

ELIZABETH MOON
PRĘDKOŚĆ MROKU



Prędkość Mroku

ELIZABETH MOON



Spis treści

[STRONA TYTUŁOWA](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)

[ROZDZIAŁ PIERWSZY](#)

[ROZDZIAŁ DRUGI](#)

[ROZDZIAŁ TRZECI](#)

[ROZDZIAŁ CZWARTY](#)

[ROZDZIAŁ PIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ SZÓSTY](#)

[ROZDZIAŁ SIÓDMY](#)

[ROZDZIAŁ ÓSMY](#)

[ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ DZIESIĄTATY](#)

[ROZDZIAŁ JEDENASTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUNASTY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYNASTY](#)

[ROZDZIAŁ CZTERNASTY](#)

[ROZDZIAŁ PIĘTNASTY](#)

[ROZDZIAŁ SZESNASTY](#)

[ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY](#)

[ROZDZIAŁ OSIEMNASTY](#)

[ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY](#)

Dla Michaela, którego odwaga i radość budzą ciągły zachwyt, i dla Richarda, bez którego miłości i wsparcia moja praca byłaby o dwieście procent trudniejsza. I dla innych rodziców autystycznych dzieci w nadziei, że oni także odkryją ten zachwyt innością.

PODZIĘKOWANIA

Wśród ludzi, którzy najbardziej pomogli mi w przygotowaniu tej książki, znajdują się autystyczne dzieci i dorośli oraz rodziny osób autystycznych, które przez lata utrzymywały ze mną kontakt - listowny, osobisty czy za pośrednictwem Internetu. Planując niniejszą powieść, oddaliłam się od większości swych źródeł (wypisując się z list mailingowych, grup dyskusyjnych itp.), aby uchronić prywatność tych osób; zwykle zawodna pamięć sprawia, że po kilku latach braku kontaktu zacierają się umożliwiające identyfikację szczegóły. Jedna z tych osób postanowiła podtrzymywać łączność e-mailową; nadal mam wobec niej dług wdzięczności za jej ogromny wkład w dyskusje o niemocy, zaangażowaniu i postrzeganiu problemu autyzmu z pozycji osoby nie-autystycznej. Jednak nie przeczytała (jeszcze) tej książki i nie ponosi odpowiedzialności za jej treść.

Spośród pisarzy zajmujących się tą tematyką najwięcej zawdzięczam Oliverowi Sackowi, którego liczne podręczniki z dziedziny neurologii przepojone są w tym samym stopniu humanitaryzmem, co wiedzą, oraz Tempie Grandin, odznaczającej się nieocenionym spojrzeniem na autyzm (szczególnie korzystnym w moim przypadku, gdyż jej wiedza pokrywa się z moją odwieczną fascynacją problematyką zachowań zwierząt). Czytelników bardziej zainteresowanych autyzmem odsyłam do bibliografii zamieszczonej na mojej stronie internetowej.

J. Ferris Duhon, prawnik o rozległym doświadczeniu w zakresie prawa pracy, pomógł mi stworzyć prawdopodobne środowisko prawne i korporacyjne bliskiej przyszłości, i wyjaśnił problemy dotyczące zatrudniania osób uznanych za niepełnosprawne; wszelkie nieścisłości natury prawniczej są wyłącznie moją winą. J.B., J.H., J.K. i K.S. umożliwili mi wgląd w struktury korporacji oraz wewnętrzną politykę wielkich koncernów międzynarodowych i ośrodków badawczych; z oczywistych względów nie życzyli sobie dokładniejszej identyfikacji. David Watson służył fachową poradą w zakresie szermierki, historycznych organizacji rekreacyjnych oraz reguł turniejów. I znowu: za wszelkie błędy odpowiedzialność ponoszę ja, nie oni.

Moja redaktorka, Shelly Shapiro, zapewniła mi swobodę i służyła radą, agent zaś, Joshua Bilmes, wspierał mnie w wysiłkach wiarą, że potrafię tego dokonać.

Pytania, ciągle pytania. Nie czekają na odpowiedzi. Pędzą przed siebie, piętrząc pytania, zajmując każdą chwilę pytaniami, tłumiąc każde wrażenie kłującym gąszczem pytań.

I poleceń. Jeśli nie: „Lou, co to jest?”, to: „Powiedz mi, co to jest”. Miska. Ta sama miska, za każdym razem. To jest miska, i to brzydka miska, nudna miska, miska pełna absolutnej i całkowitej łagodności, nieinteresująca. Nie jestem zainteresowany tą nieinteresującą miską.

Czemu miałbym mówić, skoro nie zamierzają mnie słuchać?

Nie jestem taki głupi, żeby powiedzieć to głośno. Wszystko, co się dla mnie liczy, osiągnąłem dzięki temu, że nie mówiłem, co naprawdę myślę, lecz to, co chcą ode mnie usłyszeć.

W tym gabinecie, gdzie cztery razy do roku zostaje poddany ocenie i gdzie udziela mi się porad, pani doktor jest równie pewna dzielącej nas linii jak pozostali. Obraz tej pewności jest tak bolesny, że staram się nie patrzeć na tę kobietę częściej, niż muszę. Niesie to ze sobą określone zagrożenia: podobnie jak inni uważa, że powinienem utrzymywać z nią lepszy kontakt wzrokowy. Patrzę na nią teraz.

Doktor Fornum, rzeczowa i profesjonalna, unosi brwi i kręci głową, nie tak znów niedostrzegalnie. Osoby autystyczne nie rozumieją podobnych sygnałów; tak jest napisane w książce. Przeczytałem książkę, więc wiem, czego nie rozumiem.

Czego jeszcze nie ustaliłem, to zakresu rzeczy, których nie pojmują *oni*. Normalni. Prawdziwi. Ci ze stopniami naukowymi, siedzący za biurkami na wygodnych krzesłach.

Orientuję się nieco w tym, czego nie wie ona. Nie wie, że potrafię czytać. Myśli, że mam hiperleksję^[1] i że po prostu papuguję wyrazy. Nie dostrzegam różnicy pomiędzy tym, co ona nazywa papugowaniem, a tym, co sama robi, kiedy czyta. Nie wie, że dysponuję bogatym słownictwem. Za każdym razem pyta o moją pracę, a kiedy odpowiadam, że pracuję w firmie farmaceutycznej, pyta, czy wiem, co oznacza słowo „farmaceutyczny”. Uważa, że papuguję. Nie dostrzegam różnicy pomiędzy tym, co ona nazywa papugowaniem, a używaniem przeze mnie dużej liczby słów. Sama używa poważnych słów, rozmawiając z innymi lekarzami, pielęgniarkami i technikami, paplając bez końca, podczas gdy to samo można powiedzieć znacznie prościej. Wie, że pracuję przy komputerze. Wie również, że poszedłem do szkoły, ale nie zorientowała się jakoś, że nie pasuje to do jej przekonania, iż jestem niemal analfabetą i słabo mówię.

Przemawia do mnie, jakbym był nierozgarniętym dzieckiem. Nie lubi, kiedy wplatom w rozmowę poważne słowa (jak sama je nazywa), i każe mi mówić to, co mam na myśli.

Mam na myśli to, że prędkość mroku jest równie interesująca jak prędkość światła, a może nawet większa, kto wie?

Mam na myśli grawitację i to, czy istnieje świat, w którym jest ona dwukrotnie większa, i czy wobec tego w takim świecie podmuch z wentylatora będzie silniejszy ze względu na gęstsze powietrze i zdmuchnie mi ze stołu szklankę, a nie tylko samą serwetkę? A może większa grawitacja utrzyma szklankę na stole i silniejszy wiatr jej nie strąci?

Mam na myśli to, że świat jest wielki, przerażający, hałaśliwy i szalony, lecz także piękny i spokojny jak w oku cyklonu.

Mam na myśli to, czy sprawia jakąkolwiek różnicę, że myślę o kolorach jako o ludziach lub o

ludziach jako kawałkach kredy, sztywnych i białych, chyba że to kreda brązowa lub czarna?

Mam na myśli to, że wiem, co lubię i czego chcę, a ona nie, oraz że nie chcę ani nie lubię tego, co według niej powinienem lubić lub chcieć.

Ona nie chce wiedzieć, co mam na myśli. Chce, żebym mówił to, co mówią inni ludzie. „Dzień dobry, doktor Fornum. Tak, wszystko w porządku, dziękuję. Tak, zaczekam. Nie ma sprawy”.

„Nie ma sprawy”. Kiedy odbiera telefon, mogę rozglądać się po jej gabinecie i wyszukiwać błyszczące przedmioty, o których istnieniu nawet nie wie. Mogę ruszać głową w przód i w tył, żeby światło w kącie odbijało się od połyskliwego grzbietu książki w biblioteczce. Jeśli zauważy, że poruszam głową, odnotuje to w mojej karcie. Może nawet przerwie rozmowę i powie mi, żebym przestał. Nazywa się to stereotypią, kiedy ja to robię, a rozluźnianiem mięśni karku, kiedy robi to ona. Ja nazywam to zabawą w obserwowanie odbijającego się światła.

W jej biurze panuje dziwna mieszanina zapachów, nie tylko papieru, atramentu i książek, kleju do wykładzin i plastiku krzeseł, lecz także czegoś, co według mnie musi być czekoladą. Czyżby w szufladzie biurka trzymała pudełko czekoladek? Chciałbym się dowiedzieć. Gdybym zapytał, odnotowałyby to w mojej karcie. Wyczuwanie zapachów jest niestosowne. Notatki o wyczuwaniu to złe notatki, ale nie takie, jak fałszywe dźwięki w muzyce, które są niewłaściwe.^[2]

Nie uważam, aby wszyscy poza mną byli tacy sami pod każdym względem. Powiedziała mi, że każdy wie to i każdy robi tamto, ale ja nie jestem ślepy, tylko autystyczny i wiem, że oni wiedzą i robią różne rzeczy. Samochody na parkingu mają różne kolory i rozmiary. Tego ranka trzydzieści siedem procent z nich jest niebieskich. Dziewięć procent jest za dużych: ciężarówki i furgonetki. W trzech stojakach pozostawiono osiemnaście motocykli, co powinno dawać po sześć w rzędzie, tyle że dziesięć pozostawiono w tylnym stojaku, blisko wejścia dla obsługi. Na różnych kanałach nadawane są różne programy; nie miałyby to miejsca, gdyby wszyscy byli tacy sami.

Kiedy odkłada słuchawkę i patrzy na mnie, przybiera tę minę. Nie wiem, jak określiłaby ją większość ludzi, lecz ja określam ją mianem JESTEM PRAWDZIWA. Oznacza ona, że pani doktor jest prawdziwa, zna odpowiedzi, a ja jestem kimś gorszym, nie do końca realnym, choć przez spodnie wyczuwam grudkowatą powierzchnię biurowego krzesła. Zwykle podkładam sobie kolorowy magazyn, choć ona twierdzi, że nie muszę tego robić. Sądzi, że jest prawdziwa, więc wie, czego potrzebuję, a czego nie.

Tak, doktor Fornum, słucham panią. Jej słowa zalewają mnie, szczypiąc nieznacznie, jak ocet z kadzi. „Wysłuchuj się we wskazówki - instruuje mnie - i czekaj”. „Tak”, odpowiadam. Kiwa głową, zaznacza coś w karcie i nie patrząc na mnie, mówi: „bardzo dobrze”. Ktoś idzie w tę stronę korytarzem. Dwóch ktosiów pogrążonych w rozmowie. Wkrótce ich konwersacja miesza się z jej słowami. Słyszę o Debby w piątek... „Następnym razem... idziemy do... Czyżby? I powiedziałem jej. Ale nigdy ptak na stołku... nie może być”, a doktor Fornum czeka na moją odpowiedź. Nie opowiadałaby mi o ptaku na stołku. „Przepraszam”, mówię. Nakazuje mi większą uwagę i zaznacza coś w mojej karcie, po czym pyta o moje życie towarzyskie.

Nie podoba się jej to, co mówię, czyli że gram przez Internet z moim przyjacielem Aleksiem z Niemiec i przyjaciółką Ky z Indonezji. „W prawdziwym świecie”, wyjaśnia stanowczo. „Koledzy z pracy”, dodaję, a ona ponownie kiwa głową, po czym pyta o kręgle, minigolfa, kino i lokalny oddział towarzystwa autystycznego.

Od kręgli bolą mnie plecy, poza tym nie mogę znieść hałasu. Minigolf jest dla dzieci, nie dla dorosłych, a ja nie lubiłem go nawet w dzieciństwie. Lubiłem lasery, ale kiedy powiedziałem jej o

tym na pierwszej sesji, odnotowała skłonność do przemocy. Sporo czasu zajęło mi wymazanie zestawu pytań o przemoc ze standardowego planu spotkań, a i tak jestem pewny, że nie usunęła tej adnotacji. Przypominam jej, że nie lubię kręgli ani minigolfa, a ona odpowiada, że powinienem bardziej się starać. Mówię, że byłem w kinie na trzech filmach, a ona o nie pyta. Czytałem recenzje, mogę więc opowiedzieć jej przebieg akcji. Za kinem też nie przepadam, ale muszę jej coś powiedzieć... Jak dotąd nie odkryła, że moje barwne opowieści są żywcem wzięte ze streszczeń.

Przygotowuję się na następne pytanie, które zawsze mnie denerwuje. Moje życie seksualne nie jest jej sprawą. To ostatnia osoba, której opowiedziałbym o przyjaciółce lub przyjacielu. Lecz ona nie oczekuje, że mam kogoś w tym rodzaju. Po prostu chce odnotować, że nikt taki nie istnieje, a to tylko pogarsza sprawę.

Wreszcie koniec. „Do zobaczenia następnym razem”, mówi, a ja odpowiadam: „Dziękuję, doktor Fornum”, na co ona: „Bardzo dobrze”, jakbym był tresowanym psem.

Na zewnątrz jest upalnie i sucho i muszę mrużyć oczy przed blaskiem zaparkowanych aut. Ludzie na chodnikach są kleksami czerni w blasku słońca, trudno ich zobaczyć, dopóki oczy nie przyzwyczają się do tej jasności.

Idę za szybko. Orientuję się nie tylko po głośnym tupocie butów o chodnik, lecz także po twarzach przechodniów, które - moim zdaniem - zdradzają zaniepokojenie. Dlaczego? Nie próbuję ich uderzyć. Zwalniam jednak i zaczynam myśleć o muzyce.

Doktor Fornum twierdzi, że powinienem nauczyć się cieszyć muzyką, która podoba się innym ludziom. Robię to. Wiem, że inni ludzie lubią Bacha i Schuberta, a nie wszyscy z nich są autystyczni. Nie ma tylu osób autystycznych, by utrzymać te wszystkie orkiestry i opery. Lecz dla niej „inni ludzie” znaczy: „większość ludzi”. Przypominam sobie *Pstrąga* i gdy muzyka przepływa przez mój umysł, uspokajam oddech i zwalniam, dostosowując krok do jej tempa.

Teraz, w takt odpowiedniej muzyki, kluczyk gładko wślizguje się w zamek drzwi samochodu. Siedzenie jest ciepłe, kojąco ciepłe, a miękkie runo przynosi ulgę. Przywykłem do szpitalnej wełny, lecz za pierwsze zarobione pieniądze kupiłem prawdziwą owczą skórę. Kiwam się lekko w rytm wewnętrznej muzyki, zanim uruchomię silnik. Czasami trudno jest utrzymać muzykę przy włączaniu silnika; lubię zaczekać na odpowiedni moment.

W drodze powrotnej do pracy pozwalam, by muzyka niosła mnie przez skrzyżowania, światła, korki, a wreszcie bramę kampusu, jak go nazywają. Nasz budynek wznosi się po prawej; migam identyfikatorem parkingowemu i odnajduję ulubione miejsce. Zdarza mi się słyszeć narzekania ludzi z sąsiedniego budynku, że nie mogą zostawić auta na ulubionym miejscu, ale nam zawsze się to udaje. Nikt nie zająłby mojego miejsca ani ja nie stanąłbym na cudzym. Dale po prawej, a Linda po lewej, naprzeciwko Camerona.

Wchodzę do budynku przy akompaniamencie ostatniej frazy mojego ulubionego fragmentu i pozwalam jej ucichnąć, gdy mijam drzwi. Przy maszynie do kawy stoi Dale. Milczy, ja również. Doktor Fornum chciałaby, żebym przemówił, ale nie ma ku temu powodów. Widzę, że jest pogrążony w myślach i nie trzeba mu przeszkadzać. Nadal jestem zły na doktor Fornum, jak co kwartał, toteż mijam swoje biurko i kieruję się do sali gimnastycznej. Skakanie mi dobrze robi. Zawsze tak jest. Nikogo tam nie ma, więc wieszam znak na drzwiach i włączam głośno muzykę dobrą do skakania.

Nikt mi nie przeszkadza, kiedy skaczę; siła wyrzutu trampoliny, a potem pozbawione ciężaru zawieszenie sprawiają, że mam wrażenie bezkresu i lekkości. Gdy dostosowuję się idealnie do muzyki, mój umysł rozpościera się i odpręża. Kiedy czuję powracającą koncentrację, a ciekawość

popycha mnie ku mojemu zadaniu, zwalniam do niewielkich podskoków dziecka i schodzę z trampoliny. Nikt mnie nie zaczepia, gdy wracam do biura. Wydaje mi się, że jest tam Linda i Bailey, ale nie ma to znaczenia. Później możemy pójść na kolację, lecz nie w tej chwili. Teraz jestem gotowy do pracy.

Symbole, nad którymi pracuję, dla większości ludzi są pozbawione znaczenia i mylące. Trudno wyjaśnić, co robię, wiem jednak, że jest to ważna praca, skoro płacą mi wystarczająco dobrze, żebym mógł pozwolić sobie na samochód i mieszkanie, a ponadto opłacają siłownię i kwartalne wizyty u doktor Fornum. Najprościej rzecz ujmując, wyszukuję wzory. Część wzorów ma zabawne nazwy i innym ludziom trudno je dostrzec, dla mnie jednak zawsze było to łatwe. Jedyne, czego musiałem się nauczyć, to takiego sposobu ich opisywania, żeby inni zrozumieli, co miałem na myśli.

Zakładam słuchawki i wybieram muzykę. Schubert jest zbyt bogaty dla projektu, nad którym obecnie pracuję. Bach nadaje się doskonale, jego zawiła melodyka odzwierciedla wzór, którego potrzebuję. Pozwalam tej części umysłu, która wyszukuje i tworzy wzory, zatopić się w projekcie, a potem przypomina to już obserwowanie kryształków lodu, rosnących na powierzchni nieruchomej wody... Linie lodu grubieją jedna po drugiej, rozgałęzienie, potem znowu, wreszcie splot... Muszę tylko uważać, żeby wzory pozostały symetryczne, asymetryczne lub takie, jakich wymaga projekt. Tym razem wzór powtarza się częściej niż zazwyczaj, a ja widzę go jako masę fraktali tworzących kolczastą kulę.

Gdy krawędzie tracą wyraźny zarys, otrząsam się i prostuję. Nawet nie zauważyłem, jak minęło pięć godzin. Wywołane przez doktor Fornum ożywienie znikło, pozostawiając mi czysty umysł. Czasami po powrocie z jej gabinetu nie mogę pracować przez dzień czy dwa, tym razem jednak odzyskałem równowagę dzięki skakaniu. Nad moim biurkiem, w przeciagu wywołanym przez klimatyzację, obraca się leniwie wiatraczek. Dmucham na niego i po chwili - dokładnie w 1,3 sekundy - przyspiesza, połyskując srebrno-liliowo. Postanawiam włączyć swój obrotowy wentylator, żeby wszystkie wiatraczki i spirale mogły wirować jednocześnie, wypełniając pokój migotliwym blaskiem.

Zaczęło właśnie porządnie migotać, kiedy usłyszałem z korytarza głos Baileya: „Chce ktoś pizzę?”. Jestem głodny; w brzuchu mi burczy i nagle wyłapuję wszystkie biurowe zapachy: papieru, biurka, wykładziny, środków czyszczących metal/plastik/antystatycznych... mój własny. Wyłączam wentylator, zerkam po raz ostatni na wirujące, migotliwe piękno i wychodzę na korytarz. Szybki rzut oka na twarze przyjaciół wystarcza, bym wiedział, kto idzie, a kto nie. Nie musimy o tym mówić; znamy się wszyscy.

Do pizzerii wchodzimy o dziewiątej. Linda, Bailey, Eric, Dale, Cameron i ja. Chuy też chciał iść, ale się spóźnił, a mają tutaj tylko sześciuosobowe stoliki. Rozumie to. Ja też bym rozumiał, gdyby inni byli gotowi wcześniej ode mnie. Nie chciałbym przyjść tutaj i siedzieć przy osobnym stoliku, więc wiem, że Chuy nie przyjdzie, a my nie będziemy próbowali się ścieśnić, żeby wszyscy mogli usiąść razem. W zeszłym roku nowy kierownik tego nie rozumiał. Zawsze starał się organizować dla nas wielkie przyjęcia i zmieniał nam miejsca. „Nie bądźcie tacy zabobonni”, mawiał. Kiedy nie patrzył, wracaliśmy na swoje ulubione miejsca.

Dale ma tik, który bardzo denerwuje Linde, więc siada tak, by go nie widzieć. Ja uważam ten tik za zabawny, toteż siadam po lewej stronie Dale'a; teraz wygląda to tak, jakby mrugał do mnie okiem.

Tutejsi pracownicy nas znają. Nawet kiedy inni goście zbyt długo patrzą, jak się poruszamy i rozmawiamy - albo milczymy - obsługa nie rzuca nam tych spojrzeń mówiących „idźcie stąd, sobie”, z którymi miewałem do czynienia gdzie indziej. Linda po prostu pokazuje w karcie, co chce

zamówić, albo najpierw to sobie zapisuje, a oni nigdy nie zwracają jej głowy dodatkowymi pytaniami.

Tego wieczoru nasz ulubiony stolik jest brudny. Z trudem znoszę widok pięciu zapaćkanych talerzy i patelni; w żołądku mi się przewraca na myśl o plamach po sosie i serze oraz okruchach ciasta, a wszystko pogarsza jeszcze nieparzysta liczba naczyń. Po prawej jest wolny stolik, ale my go nie lubimy. Stoi obok przejścia do toalet i zbyt wielu ludzi kręciłoby się za naszymi plecami.

Czekamy, próbując okazać cierpliwość, kiedy Cześć-Jestem-Sylwia - taki napis ma na identyfikatorze, jak gdyby była produktem na sprzedaż, a nie człowiekiem- daje znać koledze, żeby sprzątnął z naszego stolika. Lubię ją i pamiętam, żeby nazywać ją Sylwią bez „Cześć-Jestem”, przynajmniej dopóki nie rzucę okiem na jej plakietkę. Cześć-Jestem-Sylwia zawsze się do nas uśmiecha i stara się nam pomagać. Cześć-Jestem-Jean jest przyczyną, dla której nie przychodzimy tu w czwartki, kiedy wypada jej zmiana. Cześć-Jestem-Jean nie lubi nas i mamrocze coś pod nosem na nasz widok. Czasami jedno z nas przychodzi po zamówienie dla wszystkich; kiedy ostatnio wypadła moja kolej i właśnie odchodziłem od kasy, Cześć-Jestem-Jean powiedziała do jednego z kucharzy: „Przynajmniej nie przyprowadził ze sobą pozostałych dziwolągów”. Wiedziała, że usłyszałem. Chciała, żebym usłyszał. Tylko ona sprawia nam kłopoty.

Lecz tego wieczoru są tutaj Cześć-Jestem-Sylwia i Tyree, który zbiera talerze, brudne noże i widelce, jakby zupełnie się tym nie przejmując. Tyree nie ma identyfikatora; on tylko sprząta ze stołów. Wiemy, że to Tyree, ponieważ słyszeliśmy, jak inni tak na niego wołają. Kiedy po raz pierwszy zwróciłem się do niego po imieniu, był zaskoczony i lekko wystraszony, ale teraz nas zna, choć nie używa naszych imion.

- Zaraz skończę - mówi i zerka na nas z ukosa. – Wszystko w porządku?

- Pewnie - odpowiada Cameron. Kołysze się lekko na piętach. Zawsze tak robi, ale teraz nieco szybciej niż zwykle.

Obserwuję migające w oknie logo piwa. Zapalają się po kolei jego elementy: czerwony, zielony i niebieski środek, a potem wszystkie trzy na raz. Mrugnięcie, czerwień. Mrugnięcie, zieleń, mrugnięcie, błękit, potem mrugnięcie, czerwień/zieleń/błękit, przy-gaśnięcie, błysk, przygaśnięcie i od początku. Bardzo prosty wzór, a kolory nie są szczególnie ładne (czerwień jest zbyt pomarańczowa jak na mój gust, podobnie zieleń, lecz błękit jest piękny), niemniej stanowi to jakiś wzór, na który można sobie popatrzeć.

- Wasz stolik jest gotowy - oznajmia Cześć-Jestem-Sylwia, a ja staram się nie krzywić, przenosząc na nią wzrok z symbolu piwa. Zajmujemy miejsca wokół stołu w zwyczajowym porządku i siadamy. Zamawiamy to, co zwykle, więc nie zabiera nam to zbyt wiele czasu. Czekamy na jedzenie, nie rozmawiając, ponieważ każde z nas, na swój sposób, oswaja się z sytuacją. Z powodu wizyty u doktor Fornum jestem bardziej niż zazwyczaj świadomy szczegółów pewnego procesu: Linda uderza palcami w łyżeczkę, wystukując skomplikowany wzór, który zachwyciłby matematyka, tak jak zachwycają. Kątem oka obserwuję logo piwa, podobnie Dale. Cameron porusza małutkimi plastikowymi kośćmi, które zawsze trzyma w kieszeni, tak dyskretnie, że nieorientowani niczego by nie zauważyli, ale ja dostrzegam ruch jego rękawa. Bailey również obserwuje logo piwa. Eric wyjął wielokolorowy długopis i rysuje na papierowej podkładce maleńkie

geometryczne wzory. Najpierw czerwony, potem fioletowy, niebieski, zielony, żółty, pomarańczowy i ponownie czerwony. Lubi, kiedy przynoszą jedzenie, a on kończy wielobarwną sekwencję.

Tym razem napoje pojawiają się, gdy jest przy żółtym, a talerze przy następnym z kolei oranżu.

Eric ma wyraz odprężenia na twarzy.

Nie powinniśmy rozmawiać o projekcie poza campusem. Lecz Cameron wciąż podskakuje na krzeselku, chcąc jak najszybciej opowiedzieć nam o problemie, który właśnie rozwiązał. Za chwilę skończymy jeść. Rozglądam się dokoła. Przy sąsiednich stolikach nikt nie siedzi. „Ezzer”, mówię. W naszym prywatnym języku „Ezzer” oznacza „No dalej”. Nie powinniśmy mieć prywatnego języka i nikomu nie przysłoby do głowy, że jesteśmy do czegoś takiego zdolni, ale to prawda. Wielu ludzi posługuje się prywatnym językiem, nawet o tym nie wiedząc. Mogą go nazywać żargonem albo slangiem, lecz tak naprawdę to prywatny język, sposób na odróżnienie, kto jest w grupie, a kto nie.

Cameron wyciąga z kieszeni kartkę i rozkładają. Nie powinniśmy wynosić papierów z biura, by nikt nie miał do nich dostępu, jednak wszyscy tak robimy. Czasami trudno jest mówić, znacznie łatwiej napisać lub narysować.

Poznaję kędzierzawych strażników, których Cameron zawsze umieszcza w rogu swych rysunków. Lubi anime. Rozpoznaję również wzory, które połączył w częściowej rekurencji, mającej w sobie schludną elegancję większości jego rozwiązań. Patrzymy na to wszyscy i kiwamy głowami.

- Ładne - oznajmia Linda. Ręce jej drgają; w kampusie klaskałaby jak szalona, tutaj jednak stara się tego nie robić.

- Tak - mówi Cameron i składa papier.

Wiem, że ta wymiana zdań nie zadowoliłaby doktor Fornum. Chciałaby, żeby Cameron objaśnił rysunek, mimo że dla nas jest zupełnie przejrzysty. Chciałaby, żebyśmy zadawali pytania, komentowali, rozmawiali o tym. Ale to niepotrzebne. Wiemy, na czym polegał problem i że rozwiązanie Camerona jest dobre w każdym sensie. Cała reszta to czcza gadanina. Między sobą nie musimy tego robić.

- Zastanawiałem się nad prędkością mroku - mówię, spuszczać wzrok. Zerkną na mnie, choćby tylko przelotnie, a ja nie chcę czuć na sobie tych wszystkich spojrzeń.

- On nie ma prędkości - oponuje Eric. - To tylko przestrzeń pozbawiona światła.

- Jakby to było jeść pizzę w świecie z większą grawitacją? - pyta Linda.

- Nie wiem - odpowiada zatroskanym tonem Dale.

- Prędkość niewiedzy - rzuca Linda. Zastanawiam się nad tym przez moment i znajduję rozwiązanie.

- Niewiedza rozszerza się szybciej od wiedzy - oświadczam. Linda uśmiecha się i pochyla głowę. - A więc prędkość mroku może być większa od prędkości światła. Jeśli zawsze istnieje mrok wokół światła, to musi je zawsze wyprzedzać.

- Chcę iść do domu - mówi Eric. Doktor Fornum chciałaby, żebym go zapytał, czy jest zdenerwowany. Wiem, że nie jest, ale jeśli teraz pójdzie do domu, obejrzy swój ulubiony program w telewizji. Żegnamy się, ponieważ jesteśmy w miejscu publicznym i dobrze wiemy, że oczekuje się od nas tego, byśmy mówili „do widzenia” w miejscu publicznym. Wracam do kampusu. Przed pójściem spać chcę poobserwować wiatraczki i spirale.

* * *

Cameron i ja jesteśmy na siłowni, rozmawiamy w trakcie podskoków na trampolinie. Przez ostatnich kilka dni obaj odwaliliśmy kawał dobrej roboty i teraz się odprężamy.

Wchodzi Joe Lee i patrzy na Camerona. Joe Lee ma tylko dwadzieścia cztery lata. Byłby jednym z nas, gdyby nie poddano go kuracji, którą w naszym przypadku wynaleziono zbyt późno. Uważa

jednak, że jest jednym z nas, ponieważ wie, że byłby nim i że ma parę charakterystycznych dla nas cech. Jest na przykład bardzo dobry w abstrakcjach i rekurencjach. Lubi niektóre z naszych gier i naszą salkę gimnastyczną. Lecz jest znacznie lepszy - prawdę powiedziawszy, jest normalny - jeśli chodzi o zdolność czytania umysłów i wyrażań. Normalnych umysłów i wyrażań. Nie różni się od nas, którzy w tym sensie jesteśmy jego najbliższymi krewnymi.

- Cześć, Lou - wita mnie.

- Cześć, Cam. - Widzę, jak Cameron sztywnieje. Nie lubi, kiedy ktoś skraca jego imię. Powiedział mi kiedyś, że to tak, jakby odcinali mu nogi. Joemu Lee też to mówił, ale Joe Lee o tym zapomina, gdyż zbyt wiele czasu spędza z normalnymi.

- Jak leci? - pyta niewyraźnie, jednym ciągiem, zapominając stanąć twarzą do nas, żebyśmy mogli czytać z ruchu jego warg. Zrozumiałem jego słowa, ponieważ mam lepszy słuch od Camerona i wiem, że Joe często mówi niezrozumiale.

- Jak leci? - powtarzam wyraźnie, na użytek Camerona.

- Świetnie, Joe Lee - sapie Cameron.

- Słyszeliście? - pyta Joe Lee i dodaje, nie czekając na odpowiedź: - Ktoś pracuje nad procedurą odwracania autyzmu. Sprawdziło się na szczurach czy czymś takim, więc starają się to wypróbować na naczelnym. Założę się, że wy, chłopaki, będziecie niedługo tak samo normalni jak ja.

Joe Lee zawsze mówił, że jest jednym z nas, teraz się jednak okazało, że tak naprawdę nigdy w to nie wierzył. My jesteśmy „wy, chłopaki”, a normalni są, jak ja”. Ciekawe, czy twierdził, że jest jednym z nas, tylko miał więcej szczęścia, żeby sprawić przyjemność nam, czy komuś innemu.

Cameron patrzy na niego ze złością; czuję niemal gąszcz słów, które go dławią, udaremniając próbę powiedzenia czegokolwiek. Wiem, że lepiej go nie wyręczać. Mówię zawsze tylko za siebie; każdy powinien tak postępować.

- A więc przyznajesz, że nie jesteś jednym z nas - mówię i Joe Lee sztywnieje, przybierając minę, którą nauczono mnie interpretować jako „zranione uczucia”.

- Jak możesz tak mówić, Lou? Wiesz, że to tylko leczenie...

- Jeśli przywrócić głuchemu dziecku słuch, nie jest już głuche - upieram się. - Jeśli dokonasz tego odpowiednio wcześniej, nigdy nim nie będzie. To wszystko to tylko udawanie czegoś innego.

- Co to znaczy udawanie czegoś innego? Jakiego innego? - Joe Lee ma minę jednocześnie zmieszaną i urażoną, a ja orientuję się, że pozostawiłem niewielką przerwę, jakbym stawiał przecinek. Lecz jego zakłopotanie mnie niepokoi - niepokoi mnie bycie niezrozumianym; tak długo to trwało, kiedy byłem dzieckiem. Czuję, jak słowa płaczą mi się w głowie, w gardle, i staram się za wszelką cenę wydobyć je w odpowiednim porządku i z właściwym wyrazem twarzy. Dlaczego ludzie nie mogą po prostu mówić tego, co myślą, samymi słowami? Dlaczego muszą walczyć z intonacją głosu, jego tempem, tonem i modulacją?

Czuję i słyszę mechaniczność głosu wydobywającego się przez moje zaciśnięte gardło. Brzmi w nim złość, ale tak naprawdę jestem przerażony.

- Naprawili cię przed urodzeniem, Joe Lee - mówię. - Nie przeżyłeś choćby jednego dnia taki jak my.

- Mylisz się - rzuca pospiesznie, jakby chciał mi przerwać. - W środku jestem taki sam jak wy, z wyjątkiem...

- Z wyjątkiem tego, co cię odróżnia od innych, których nazywałeś normalnymi - powiadam, tym razem mu przerywając. Przerywanie boli. Panna Finley, jedna z moich terapeutek, dawała mi po łapach, kiedy przerywałem. Nie mogłem już jednak znieść wysłuchiwania nieprawdy. - Słyszałeś dźwięki i mogłeś je wydawać. Nauczyłeś się normalnie mówić. Nie miałeś niewidzących oczu.

- Tak, ale mój mózg pracuje w ten sam sposób.

Kręcę głową. Joe Lee powinien być mądrzejszy; powtarzamy mu to na okrągło. Nasze kłopoty ze słuchem, wzrokiem i innymi zmysłami nie mają źródła w organach, lecz w mózgu. Czyli mózg nie pracuje tak samo u kogoś, kto nie ma takich problemów. Gdybyśmy byli komputerami, Joe Lee miałby inny procesor, z odmiennym zestawem instrukcji. Nawet jeśli dwa komputery z różnymi procesorami pracują na tym samym oprogramowaniu, nie czynią tego w identyczny sposób.

- Ale wykonuję taką samą pracę...

Wcale nie. Tylko tak myśli. Czasami zastanawiam się, czy koncern, dla którego pracujemy, podziela jego zdanie, gdyż zatrudnił innych Joe Lee, choć wiem, że są jeszcze bezrobotni ludzie tacy jak my. Rozwiązania Joego Lee są linearne. Czasami bardzo efektywne, lecz czasami... Chcę to powiedzieć, ale nie mogę, ponieważ sprawia wrażenie rozgniewanego i niezadowolonego.

- Dajcie spokój - mówi. - Zjedzcie ze mną kolację, ty i Cam. Ja stawiam.

Czuję w środku chłód. Nie chcę jeść kolacji z Joem.

- Nie mogę. Mam randkę - odpowiada Cameron, a ja podejrzewam, że chodzi o jego partnera szachowego z Japonii. Joe przenosi na mnie wzrok.

- Przykro mi - mówię. Pamiętałem, żeby to powiedzieć. - Umówiłem się na spotkanie. - Pot spływa mi po plecach; mam nadzieję, że Joe Lee nie zapyta, o co chodzi. Najgorsze jest to, że znalazłbym czas na kolację z Joem Lee przed spotkaniem, jeśli jednak będę musiał skłamać, przez następne dni będę czuł się naprawdę podle.

* * *

Gene Crenshaw zasiadł w wielkim fotelu u szczytu stołu, Pete Aldrin, podobnie jak pozostali, zajął zwykle miejsce z boku. Typowe, pomyślał. Zwołuje narady, ponieważ w tym wielkim fotelu wygląda na ważnego. To już trzecie spotkanie w ciągu czterech dni i na biurku Aldrina piętrzyła się sterta roboty, której nie mógł wykonać przez te nieszczęsne narady. U pozostałych było podobnie.

Tego dnia tematem był negatywny duch w miejscu pracy, co zdawało się oznaczać każdego, kto w jakikolwiek sposób sprzeciwił się Crenshawowi. Zamiast tego mieli „uchwycić wizję” - wizję Crenshawa - i skupić się na niej, zapominając o reszcie. Wszystko, co nie pasowało do wizji, uznawano za... podejrzanę, jeśli nie złe. Nie było w tym za grosz demokracji: był to biznes, nie jakaś impreza. Crenshaw powtórzył to parokrotnie. Potem wymienił zespół Aldrina - Sekcję A, jak nieformalnie go określano - jako przykład negatywny.

Aldrin poczuł zgagę; w ustach pojawił się kwaśny smak. Sekcja A wykazywała się znakomitą produktywnością; dostał za to szereg pochwał. Jak Crenshaw mógł uważać, że coś było nie tak?

Zanim zdążył się wtrącić, przemówiła Madge Demont.

- Wiesz, Gene, zawsze pracowaliśmy w tym dziale jako zespół. A ty przychodzisz tutaj i nie zwracasz uwagi na ustalone, i przynoszące sukcesy, metody wspólnej pracy...

- Jestem naturalnym liderem - oznajmił Crenshaw. - Mój profil psychologiczny dowodzi, że mam być kapitanem, a nie członkiem załogi.

- Praca zespołowa jest ważna dla wszystkich - powiedział Aldrin. - Liderzy muszą się nauczyć,

jak współdziałać z innymi...

- Nie na tym polega mój talent - zauważył Crenshaw. – Moje zadanie polega na inspirowaniu innych i gwarancji silnego przywództwa.

Jego talent - pomyślał Aldrin - to pozowanie na bossa bez najmniejszego ku temu prawa. Lecz Crenshaw cieszył się znacznym poparciem wyższego kierownictwa. Wywalą ich wszystkich, nim przyjdzie kolej na niego.

- Ci ludzie - ciągnął Crenshaw - muszą zdać sobie sprawę, że nie są pępkiem świata. Powinni się dostosować; ich obowiązkiem jest wykonywanie pracy, do której zostali zatrudnieni...

- A jeśli niektórzy z nich to także urodzeni liderzy? – zapytał Aldrin.

Crenshaw prychnął.

- Autystyczni? Liderami? Chyba żartujesz. Daleko im do tego. Nie rozumieją podstawowych zasad funkcjonowania społeczeństwa.

- Mamy zobowiązania kontraktowe... - Aldrin zmienił taktykę, nim zdążył rozzłości się na tyle, by stracić zdolność logicznego myślenia. - Zgodnie z umową musimy zapewnić im odpowiednie warunki pracy.

- Cóż, przecież to robimy, prawda? - Crenshaw aż zadygotał z oburzenia. - Olbrzymim kosztem. Osobna sala gimnastyczna, systemy audio, miejsca parkingowe, wszelkie zabawki.

Wyższe kierownictwo też miało osobną salę gimnastyczną, system audio, miejsca parkingowe i przywileje, takie jak choćby prawo subskrypcji akcji. Nie warto było o tym mówić.

- Jestem pewny, że pozostali pracownicy, którzy dają z siebie wszystko, też mieliby ochotę pobawić się w tej piaskownicy - ciągnął Crenshaw. - Lecz oni wykonują swoją robotę.

- Tak samo jak Sekcja A- odparł Aldrin. - Ich wydajność...

- Jest odpowiednia, przyznaję. Gdyby jednak zajmowali się pracą równie intensywnie co tymi ich zabawami, byłyby o wiele wyższa.

Aldrin poczuł, jak gorąco oblewa mu kark.

- Ich wydajność nie jest tylko *odpowiednia*, Gene. Jest fantastyczna. Sekcja A, co do jednego pracownika, przewyższa pod tym względem każdy inny dział. Może powinniśmy zapewnić pozostałym te same środki wsparcia, które dajemy Sekcji A...

- I zredukować zysk do zera? Nasi udziałowcy byliby zachwyceni, Pete. Podziwiam cię, że tak walczysz o swoich ludzi, ale właśnie dlatego nie zostałeś wiceprezesem i nie zajdziesz wyżej, dopóki nie nauczysz się ogarniać wzrokiem całości obrazu, dostrzegać. Ta firma się rozwija i potrzebuje pełnosprawnych, produktywnych pracowników, którym nie trzeba tych wszystkich świadczeń. Odchudzamy się, wracamy do szczupłej, mocnej, wydajnej maszyny...

Techniczny żargon, pomyślał Aldrin. Walczył z podobną paplaniną, żeby zdobyć dla Sekcji A te wszystkie dodatkowe świadczenia, które sprawiały, że była tak wydajna. Kiedy produktywność Sekcji A dowiodła, że miał rację, wyższe kierownictwo ustąpiło z radością - przemknęło mu przez głowę. Teraz jednak nasłali na nich Crenshawa. Wiedzieli? Mogli nie wiedzieć?

- Wiem, że twój starszy brat cierpi na autyzm - rzucił obłudnym tonem Crenshaw. - Rozumiem twój ból, musisz jednak pamiętać, że to brutalny świat, a nie szkółka pielęgniarstwa. Twoje kłopoty rodzinne nie mogą wpływać na politykę firmy.

Aldrin miał ochotę chwycić dzbanek i roztrzaskać go - z wodą i lodem w środku - facetowi na głowie. Opanował się. Nie przekona Crenshawa, że powody, dla których walczył o Sekcję A, były o

wiele bardziej złożone, że nie chodziło tylko o autystycznego brata. Niewiele brakowało, a odmówiłby przyjęcia tej pracy ze względu na Jeremy'ego i dzieciństwo spędzone w cieniu jego bezsensownych wybuchów wściekłości oraz docinków ze strony innych dzieciaków na temat „stukniętego” brata. Miał dosyć Jeremy'ego. Opuszczając dom, przyrzekł sobie, że będzie unikał wszystkiego, co mogłoby mu o tym przypominać, i resztę życia spędzi wśród zdrowych, niegroźnych, normalnych ludzi.

Teraz jednak dostrzegał różnicę pomiędzy Jeremym (który nadal mieszkał w domu opieki i był niezdolny do niczego z wyjątkiem prostych czynności higienicznych), a mężczyznami i kobietami z Sekcji A. Dlatego ich bronił. Choć czasem trudno mu było dostrzegać ich podobieństwo do Jeremy'ego, nie odczuwając jednocześnie niechęci. Mimo to dzięki tej pracy nie miał takiego poczucia winy, że odwiedza rodziców i Jeremy'ego nie częściej niż raz do roku.

- Mylisz się - zwrócił się do Crenshawa. - Jeśli pozbawi się Sekcję A środków, to straty będą większe niż oszczędności. Korzystamy z ich niezwykłych zdolności. Opracowane przez nich algorytmy wyszukiwawcze i analizy wzorów skróciły czas potrzebny na wdrożenie nowych technologii, co daje nam istotną przewagę nad konkurencją...

- Nie sądzę. Utrzymanie wysokiego poziomu ich produktywności jest twoim zadaniem, Aldrin. Zobaczymy, jak sobie z tym poradzisz.

Aldrin stłumił w sobie gniew. Na obliczu Crenshawa zagościł pełen samozadowolenia uśmiezek człowieka pewnego swojej władzy i lubiącego patrzeć na płaszczących się przed nim podwładnych. Aldrin zerknął na pozostałych; nie patrzyli na niego, licząc na to, że unikną jego kłopotów.

- I jeszcze jedno - ciągnął Crenshaw. - W laboratorium w Europie trwają nowe badania. Za dzień lub dwa wyniki powinny być dostępne w sieci. Na razie to faza eksperymentalna, lecz wielce obiecująca. Może powinniśmy im zasugerować, żeby dostarczyli nam raport.

- Nowa metoda leczenia?

- Tak. Niewiele mogę powiedzieć na jej temat, ale znam kogoś, kto dużo o niej wie i orientuje się, że zatrudniam grupę ludzi autystycznych. Poradził mi trzymać rękę na pulsie, kiedy dojdzie do testów na ludziach. Ta metoda ma uzupełnić ich podstawowe braki, uczynić normalnymi. Gdyby byli normalni, nie mieliby pretekstu, by otrzymywać te wszystkie luksusy.

- Gdyby byli normalni - wtrącił Aldrin - nie mogliby wykonywać swojej pracy.

- Tak czy owak, uwolnimy się od obowiązku, jakim jest zapewnianie im tego wszystkiego. - Crenshaw szerokim gestem zilustrował przywileje Sekcji A, od sali gimnastycznej do indywidualnych boksów z drzwiami. - Będą wykonywać swoją pracę mniejszym kosztem, a jeśli okażą się do niej niezdolni... przestaną być naszymi pracownikami.

- Co to za metoda? - zapytał Aldrin.

- Och, jakaś kombinacja neurowspomagaczy i nanotechnologii. Zmusza odpowiednie części mózgu do prawidłowego wzrostu. - Crenshaw uśmiechnął się nieprzyjaźnie. - Może dowiedziałbyś się czegoś na ten temat i przesłał mi sprawozdanie? Gdyby ta metoda się sprawdziła, moglibyśmy się postarać się o licencję na Amerykę Północną.

Aldrin chciał spiorunować go wzrokiem, ale wiedział, że to nic nie da. Wpadł w pułapkę Crenshawa; jeśli sprawa zakończy się źle dla Sekcji A, wina spadnie na niego.

- Wiesz, że nikogo nie można zmuszać do kuracji - powiedział, czując spływający po żebrach pot. - Mają swoje prawa obywatelskie.

- Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek *chciał* być taki jak oni - odparł Crenshaw. - A jeśli tak, to należy ponownie ocenić ich stan psychiczny. Jeśli wolą być chorzy...

- Nie są *chorzy* - zaprotestował Aldrin.

- ... i niesprawni, jeśli wolą szczególne względy od leczenia... oznacza to brak równowagi psychicznej. A to już jest podstawa do zerwania kontraktu, zważywszy, że wykonują ważną pracę, której chętnie podjęliby się inni.

Aldrin znów musiał nad sobą zapanować, by nie uderzyć szefa czymś ciężkim w głowę.

- Może nawet pomogłoby to twojemu bratu - dodał Crenshaw. Tego już było za wiele.

- Proszę, nie mieszaj do tego mojego brata - wycedził Aldrin przez zaciśnięte zęby.

- No, no, nie chciałem cię zdenerwować - uśmiechnął się szeroko Crenshaw. - Pomyślałem sobie tylko, że to mogłoby pomóc... - Odwrócił się, machając niedbale ręką, zanim Aldrin zdążył powiedzieć bez ogródek, co myśli, i wybrał kolejną ofiarę. -

Przejdźmy teraz do terminów, których nie dotrzymuje twój zespół, Jenifer...

Cóż Aldrin mógł zrobić? Nic. A ktokolwiek inny? Nic. Ludzie tacy jak Crenshaw wspięli się na szczyt, ponieważ byli właśnie tacy - mieli to, co trzeba. Najwyraźniej.

Jeśli istniała taka kuracja - nie bardzo w to wierzył - czy pomogłaby jego bratu? Nienawidził Crenshawa za to, że ten podsunął mu tę przynętę. W końcu zdołał zaakceptować Jeremy'ego takim, jaki był. Stłumił dawne urazy i poczucie winy. Co by było, gdyby Jeremy się zmienił?

Pan Crenshaw jest nowym kierownikiem. Pan Aldrin, nasz szef, oprowadzał go pierwszego dnia. Nie polubiłem go - to znaczy pana Crenshawa - ponieważ miał ten sam fałszywie serdeczny ton głosu co nauczyciel WF w moim gimnazjum, który chciał być trenerem futbolu w liceum. Kazał się nazywać trenerem Jerrym. Uważał, że cała klasa specjalna jest głupia; nienawidziliśmy go wszyscy. Nie żywię wobec pana Crenshawa nienawiści, nie można jednak powiedzieć, żebym go lubił.

Dzisiaj, jadąc do pracy, czekam na czerwonym świetle w miejscu, gdzie ulica krzyżuje się z trasą między stanową. Samochód przede mną to ciemnoniebieski minivan, ma tablice innego stanu, Georgii. Widzę misia przyzcpionego czerwonymi przyssawkami do tylnej szyby. Uśmiecha się do mnie głupkowato. Cieszę się, że to zabawka; nienawidzę psów, które siedzą na tylnych kanapach i gapią się na mnie. Zwykle warczą na mój widok.

Światło się zmienia i minivan rusza. Nim zdążę pomyśleć: „Nie, stój!”, uderzają w niego dwa samochody, próbujące pełnym gazem przejechać na czerwonym świetle - beżowy pickup z brązowym paskiem i pomarańczowym automatem z chłodzoną wodą na skrzyni, i brązowy sedan, tuż za którym pojawia się ciężarówka. Hałas jest okropny: zgrzyt/huk/pisk/chrupot - wszystko na raz, minivan i ciężarówka obracają się, rozpryskując dookoła grad błyszczącego szkła... Chcę zapaść się w sobie na widok groteskowych kształtów, które wirują coraz bliżej. Zamykam oczy.

Cisza powraca wolno, przerywana trąbieniem klaksonów tych, którzy nie znają przyczyny zatoru. Otwieram oczy. Pali się zielone światło. Ludzie powysiadali z aut. Kierowcy rozbitych samochodów chodzą w kółko i dyskutują.

Kodeks ruchu drogowego mówi, że z miejsca wypadku nie wolno oddalać się jego uczestnikom. Kodeks ruchu drogowego mówi, że należy zatrzymać się i udzielić pomocy. Lecz ja nie jestem uczestnikiem, ponieważ w mój wóz uderzyło tylko kilka okruchów szkła. Poza tym dookoła jest mnóstwo ludzi, którzy mogą pomóc. Nie mam odpowiedniego przeszkolenia.

Patrzę ostrożnie za siebie i powoli, uważnie omijam miejsce wypadku. Ludzie przyglądają mi się ze złością. Aleja nie zrobiłem nic złego; nie brałem udziału w wypadku. Gdybym tu został, spóźniłbym się do pracy. I musiałbym rozmawiać z policjantami. Boję się policjantów.

Jestem cały roztrzęsiony, więc po dotarciu do pracy nie siadam za biurkiem, tylko udaję się do sali gimnastycznej. Nastawiam polkę i fugę ze *Schwandy Kobziarza*, ponieważ muszę sobie wysoko poskakać, mam też ochotę na szerokie, zamaszyste ruchy. Udaje mi się nieco uspokoić, nim pojawia się pan Crenshaw o twarzy błyszczącej brzydkim, czerwonym beżem.

- No i jak, Lou? - rzuca. Mówi przytłumionym głosem, jakby chciał mu nadać przyjacielskie brzmienie, choć w rzeczywistości jest rozgniewany. Trener Jerry zazwyczaj używał takiego tonu. - Podoba ci się sala gimnastyczna, co?

Długa odpowiedź jest zawsze bardziej interesująca od krótkiej. Wiem, że większość ludzi woli usłyszeć raczej krótką, niezbyt interesującą odpowiedź niż długą, choć ciekawą, toteż staram się o tym pamiętać, gdy zadają mi pytania, na które można by udzielić długiej odpowiedzi, gdyby tylko ją zrozumieli. Pan Crenshaw chce jedynie wiedzieć, czy podoba mi się sala gimnastyczna. Nie chce wiedzieć jak bardzo.

- Jest ładna - odpowiadam.

- Brakuje ci tu czegoś?

- Nie. - Brakuje mi mnóstwa rzeczy, których tutaj nie ma, w tym jedzenia, wody i miejsca do spania, ale jemu chodzi o to, czy potrzebuję w tym pomieszczeniu czegoś, co służy do celów, dla jakich zostało ono urządzone, a czego w nim brakuje.

- Potrzebujesz tej muzyki?

Ta muzyka. Laura nauczyła mnie, że kiedy ludzie poprzedzają rzeczownik słówkiem „ten/ta”, to tym samym określają swoją postawę wobec znaczenia owego rzeczownika. Próbuję się domyślić, jakie jest nastawienie pana Crenshawa do tej muzyki, a on mówi dalej - ludzie często tak robią - zanim zdążę mu odpowiedzieć.

- To takie trudne - ciągnie. - Cały czas mieć tę muzykę pod ręką. Nagrania się zużywają... Byłoby znacznie łatwiej, gdybyś my włączyli radio.

Z radia dobiega tutaj donośny, dudniący hałas albo zawodzące śpiewy zamiast muzyki. I reklamy, jeszcze głośniejsze, co parę minut. Brakuje w tym rytmu i nikt nie mógłby się przy tym odprężyć.

- Radio się nie nadaje - mówię. Widzę po jego minie, że było to zbyt brutalne. Muszę powiedzieć więcej, użyć długiej odpowiedzi, a nie krótkiej. - Muzyka musi przeze mnie przepływać - dodaję. - To musi być odpowiednia muzyka, by odnieść właściwy skutek, i to musi być muzyka, a nie gadanie lub śpiew. Tak jest z każdym z nas. Potrzebujemy własnej muzyki, muzyki, która na nas działa.

- Byłoby miło - rzuca pan Crenshaw głosem, w którym pobrzmiewa złość - gdybyśmy wszyscy mieli swoją ulubioną muzykę. Lecz większość ludzi... - „większość ludzi” wymawia tonem oznaczającym tych prawdziwych ludzi, normalnych - ... musi słuchać tego, co jest dostępne.

- Rozumiem - odpowiadam, chociaż wcale nie rozumiem. Każdy mógłby przynosić sobie odtwarzacz z własną muzyką i nosić w pracy słuchawki, tak jak my. - Ale dla nas... - „Dla nas”, autystycznych, niekompletnych - ... to musi być odpowiednia muzyka.

Teraz naprawdę wygląda na wściekłego: mięśnie jego policzków się marszczą, a twarz czerwienieje i błyszczy. Dostrzegam napięcie ramion pod koszulą.

- Bardzo dobrze - mówi. Nie chodzi mu o to, że wszystko jest bardzo dobrze. Chodzi mu o to, że musi pozwalać nam grać odpowiednią muzykę, ale zmieni to, jeśli tylko będzie mógł. Zastanawiam się, czy słowa na papierze w naszych umowach są wystarczająco silne, by mu to uniemożliwić. Zastanawiam się, czy nie porozmawiać z panem Aldrinem. Przez kolejne piętnaście minut staram się ochłoniąć na tyle, by móc wrócić do swojego pokoju. Jestem cały spocony. Brzydko pachnę. Biorę ubranie na zmianę i idę wziąć prysznic. Kiedy wreszcie siadam do roboty, od oficjalnego początku dnia pracy upływa właśnie godzina i czterdzieści siedem minut; będę musiał posiedzieć do późna, by to nadrobić.

Pan Crenshaw przychodzi do mnie pod koniec dnia, gdy jeszcze pracuję. Otwiera moje drzwi bez pukania. Nie wiem, jak długo tam tkwił, zanim go zauważyłem, lecz jestem pewny, że nie zapukał. Podskakuję, kiedy mówi: „Lou!”, i odwracam się.

- Co robisz? - pyta.

- Pracuję - odpowiadam. A co myślał? Cóż innego mógłbym robić przy biurku?

- Pozwól mi rzucić okiem - mówi i podchodzi bliżej.

Staje za mną i czuję, jak moje nerwy zwijają się pod skórą, niczym zrolowany dywan. Nienawidzę, kiedy ktoś za mną stoi.

- Co to jest? - Dźga palcem linijkę symboli, oddzielonych białą kreską od gąszczy znaków powyżej i poniżej. Majstrowałem przy tej linijce przez cały dzień, starając się ją zmusić, by zrobiła to, czego od niej oczekuję.

- To będzie... linijka pomiędzy tym... - wskazuję na bloki znaków powyżej - ... a tym. - Pokazuję znaki poniżej.

- A co to jest? - pyta.

Naprawdę nie wie? A może chodzi o to, co w książkach jest nazywane naukowym dyskursem, kiedy nauczyciele zadają pytania, na które znają odpowiedzi, by się dowiedzieć, czy studenci także je znają? Jeśli naprawdę nie wie, to cokolwiek powiem, pozbawione będzie dla niego sensu. Jeśli naprawdę wie, rozżłości się, gdy tylko się zorientuje, że według mnie nie wie.

Byłoby prościej, gdyby ludzie mówili to, co myślą.

- To jest system trójwarstwowej syntezy - odpowiadam. Prawidłowa odpowiedź, choć krótka.

- Och, rozumiem - mówi głosem pełnym sarkazmu. Czyżby uważał, że kłamię? Widzę jego zniekształcone odbicie na powierzchni błyszczącej kuli, stojącej na moim biurku. Trudno określić, jaką ma minę.

- System trój warstwowej syntezy zostanie wstawiony do kodów produkcyjnych - mówię, starając się za wszelką cenę zachować spokój. - Umożliwia użytkownikowi końcowemu zdefiniowanie parametrów produkcyjnych, zapobiega jednakże zmianom, które doprowadziłyby do czegoś szkodliwego.

- I ty to rozumiesz? - pyta.

Co to jest „to”? Rozumiem, co robię. Nie zawsze rozumiem, dlaczego trzeba to zrobić. Wybieram łatwą, krótką odpowiedź. -Tak.

- Świetnie - rzuca. Brzmi to równie fałszywie jak rankiem. - Późno dzisiaj zacząłeś - dodaje.

- Zostanę po godzinach - mówię. - Spóźniłem się godzinę i czterdzieści siedem minut. Pracowałem podczas lunchu, co daje trzydzieści minut. Zostanę jedną godzinę i siedemnaście minut.

- Jesteś uczciwy - oznajmia, wyraźnie zaskoczony.

- Tak - odpowiadam. Nie odwracam się, by spojrzeć mu w twarz. Po siedmiu sekundach zabiera się do wyjścia. Na progu mówi jeszcze:

- Tak dłużej być nie może, Lou. Czasami coś trzeba zmienić. Dziesięć słów. Dziesięć słów, które sprawiają, że drżą jeszcze po zamknięciu drzwi.

Włączam wentylator i mój pokój wypełnia się rozmigotanymi, wirującymi refleksami. Pracuję przez godzinę i siedemnaście minut. Dziś wieczorem nie czuję pokusy dłuższej pracy. Jest środa i mam coś do zrobienia.

Temperatura na zewnątrz jest umiarkowana, powietrze lekko wilgotne. Bardzo ostrożnie wracam samochodem do domu, gdzie przebieram się w T-shirt i szorty, a potem zjadam kawałek zimnej pizzy.

* * *

Do tego, o czym nigdy nie mówię doktor Fornum, zalicza się też moje życie seksualne. Doktor Fornum sądzi, że w moim przypadku ono nie istnieje, ponieważ kiedy mnie pyta, czy mam partnera

seksualnego, dziewczynę lub chłopaka, mówię po prostu: „Nie”. Koniec pytań. Bardzo mi to odpowiada, gdyż nie chcę z nią o tym rozmawiać. Moi rodzice mówili, że o seksie rozmawia się tylko po to, by się dowiedzieć, jak zadowolić partnera, i odwrotnie. A jeśli coś jest nie tak, należy iść do lekarza.

Ze mną zawsze wszystko było jak należy. Od samego początku pewne sprawy szły źle, ale to co innego. Dojadam pizzę i myślę o Marjory. Marjory nie jest moją partnerką seksualną, ale bardzo bym chciał, żeby była moją dziewczyną. Poznałem ją na zajęciach z szermierki, a nie jakiejś imprezie dla niepełnosprawnych, na które - zdaniem doktor Fornum - powinienem chodzić. Nie mówię doktor Fornum o szermierce, ponieważ zmartwiłyby ją moje skłonności do przemocy. Skoro lasery ją zaniepokoiły, to długie i ostre szpady wywołałyby u niej panikę. Nie mówię doktor Fornum o Marjory, gdyż zaczęłaby zadawać pytania, na które nie chcę odpowiadać. Oto dwie wielkie tajemnice: szpady i Marjory.

Po posiłku jadę na szermierkę do klubu Toma i Lucii. Marjory tam będzie. Kiedy myślę o niej, chcę zamknąć oczy, ale prowadzę samochód, więc nie byłoby to bezpieczne. Myślę za to o muzyce, o chorale Bacha *Kantata nr 39*.

Tom i Lucia mieszkają w dużym domu z wielkim, ogrodzonym podwórzem. Nie mają dzieci, choć są starsi ode mnie. Najpierw myślałem, że Lucia lubi pracować z klientami i nie chce siedzieć w domu z dziećmi, ale potem usłyszałem, jak komuś mówiła, że nie mogą mieć dzieci. Odwiedza ich wielu znajomych, nieraz zjawia się ośmiu albo dziewięciu, żeby poćwiczyć fechtunek. Nie sądzę, żeby Lucia powiedziała komukolwiek w swoim szpitalu, że się fechtuje albo że zaprasza czasami pacjentów na lekcje szermierki. Myślę, że szpital nie pochwalałby tego. Nie jestem jedyną osobą pozostającą pod stałym nadzorem psychiatrycznym, która przychodzi do Toma i Lucii uczyć się walki na szpady. Kiedyś ją o to zapytałem, a ona wybuchnęła śmiechem i odpowiedziała: „Nie przestraszą się tego, o czym nie wiedzą”.

Uprawiam tutaj szermierkę od pięciu lat. Pomagałem Tomowi położyć nową nawierzchnię na placu ćwiczebnym z materiału, którego zwykle używa się do wykładania kortów tenisowych. Pomogłem Tomowi zbudować stojak w pomieszczeniu, gdzie przechowujemy szpady. Nie chcę trzymać broni w samochodzie ani w domu, ponieważ wiem, że przestraszyłoby to pewnych ludzi. Tom uprzedził mnie o tym. To ważne, żeby nie straszyć ludzi. Tak więc zostawiam swój ekwipunek u Toma i Lucii, i każdy wie, że dwa miejsca na stojaku po lewej stronie należą do mnie, tak samo jak dwa kołki w ścianie naprzeciwko, a moja maska ma swoją przegródkę w przechowalni masek.

Zaczynam od ćwiczeń rozciągających. Przykładam się do rozgrzewki; Lucia mówi, że jestem wzorem dla innych. Don, na przykład, rzadko wykonuje wszystkie przepisowe ćwiczenia, a potem zawsze narzeka na plecy albo naciąga sobie jakiś mięsień. Później siedzi z boku i narzeka. Nie jestem taki dobry jak on, ale nigdy nie łapię kontuzji z powodu lekceważenia zasad. Żałuję, że Don ich nie przestrzega, ponieważ robi mi się smutno, kiedy mojego przyjaciela coś boli.

Po rozgrzaniu mięśni ramion, pleców, nóg i stóp udaję się do pomieszczenia na tyłach domu i zakładam skórzaną kurtkę z rękawami uciętymi na wysokości łokci oraz stalową kryzę. Ciężar okalającej szyję kryzy jest przyjemny. Zdejmuję z półki maskę ze złożonymi w środku rękawicami i chwilowo chowam je do kieszeni. Moja szpada i rapier tkwią w stojaku. Wtykam maskę pod pachę i wyciągam je ostrożnie.

Do środka wpada Don, spocony jak zwykle i zaczerwieniony na twarzy.

- Cześć, Lou - rzuca. Odpowiadam „cześć” i odsuwam się, żeby mógł zdjąć ze stojaka swoją broń. Jest normalny i może wozić szpadę w samochodzie, nie strasząc tym ludzi, ale jest

zapominalski. Zawsze musiał pożyczać broń od innych i w końcu Tom powiedział mu, żeby zostawiał ją tutaj.

Wychodzę na zewnątrz. Marjory jeszcze nie ma. Cindy i Lucia stoją naprzeciwko siebie ze szpadami w dłoniach, Max zakłada swój stalowy hełm. Nie sędzę, żebym polubił stalowy hełm; byłoby strasznie głośno, gdyby ktoś w niego uderzył. Max się roześmiał, kiedy mu to powiedziałem, i odrzekł, że mógłbym nosić zatyczki do uszu, ale ja nienawidzę zatyczek do uszu. Mam wtedy wrażenie, jakbym się okropnie przeziębiał. To dziwne, bo prawdę mówiąc, lubię nosić przepaskę na oczy. Za młodu często ją zakładałem i udawałem, że jestem ślepy. Dzięki temu nieco lepiej rozumiałem głosy. Lecz zatykanie sobie uszu nie poprawiało mi wzroku.

Don wychodzi zawadiacko na zewnątrz ze szpadą wetkniętą pod pachę, dopinając szykowny, skórzany kombinezon. Czasami żałuję, że takiego nie mam, ale sędzę, że lepiej mi w zwykłym ubraniu.

- Rozgrzałeś się? - pyta go Lucia. Wzrusza ramionami.

- Wystarczająco.

Teraz ona wzrusza ramionami.

- Twój ból - mówi. Zaczyna się fechtować z Cindy. Lubię na nie patrzeć, starając się uchwycić, co robią. Są takie szybkie, że nie mogę nadażyć za ich ruchami, tak samo zresztą jak normalni ludzie.

- Cześć, Lou - odzywa się za moimi plecami Marjory. Czuję ciepło i lekkość, jakby zmaląła grawitacja. Na chwilę zamykam oczy. Jest piękna i trudno mi na nią patrzeć.

- Cześć, Marjory - odpowiadam i odwracam się. Uśmiecha się do mnie. Twarz jej jaśnieje. Niepokoiło mnie kiedyś, że gdy ludzie są szczęśliwi, to twarze im jaśnieją, ponieważ rozgniewanym ludziom także jaśnieją twarze, a nie byłem pewny, o które

uczucie w konkretnej chwili chodzi. Rodzice próbowali zademonstrować mi różnicę w układzie brwi i tak dalej, ja jednak doszedłem w końcu do wniosku, że najlepiej jest się orientować po położeniu zewnętrznych kącików oczu. Jaśniejąca twarz Marjory to szczęśliwa twarz Marjory. Jest szczęśliwa, że mnie widzi, a ja jestem szczęśliwy, że ją widzę.

A jednak martwię się wieloma sprawami, kiedy myślę o Marjory. Czy autyzm jest zaraźliwy? Czy Marjory może się nim ode mnie zarazić? To by się jej nie spodobało. Wiem, że autyzm nie jest uważany za zakaźny, ale powiadają, że gdy długo przebywa się w jakiejś grupie ludzi, zaczyna się myśleć jak oni. Jeśli będzie przebywała w moim towarzystwie, to zacznie myśleć jak ja? Nie chcę, żeby przytrafiło się jej coś takiego. Inna sprawa, gdyby urodziła się taka jak ja, lecz ktoś taki jak ona nie powinien stać się kimś takim jak ja. Nie sędzę, żeby do tego doszło, lecz gdyby jednak doszło, czułbym się winny. Czasami mam przez to ochotę trzymać się z dala od niej, przeważnie jednak chciałbym spotykać się z nią częściej niż teraz.

- Cześć, Marjory - mówi Don. Ma jeszcze jaśniejszą twarz. On też uważa, że jest ładna. Wiem, że to, co czuję, nazywa się zazdrością; przeczytałem to w książce. To złe uczucie, które oznacza, że jestem zbyt zaborczy.

Cofam się, próbując nie być zbyt zaborczy, a Don robi krok do przodu. Marjory patrzy na mnie, nie na Dona.

- Chcesz się zabawić? - pyta Don, trącając mnie łokciem. Chodzi mu o to, czy chcę z nim poćwiczyć. Początkowo tego nie rozumiałem. Teraz już łapię. Kiwam w milczeniu głową i idziemy poszukać miejsca, gdzie możemy stanąć naprzeciwko siebie.

Don porusza nieznacznie nadgarstkiem w sposób, w jaki zaczyna każdy pojedynek. Odruchowo

paruję atak. Krążymy wokół siebie, pozorując wypadki i blokując ciosy, gdy wtem dostrzegam opuszczone ramię. Kolejny podstęp? Wreszcie się odsłonił. Rzucam się naprzód i trafiam go w pierś.

- Dorwałeś mnie - przyznaje. - Naprawdę boli mnie ramię.

- Przepraszam - mówię. Masuje sobie ramię, by zniecka skoczyć naprzód, celując w moją stopę. Robił tak już wcześniej; cofam się szybko, a ona chybi. Po otrzymaniu kolejnych trzech trafień wydaje z siebie głośne westchnienie i mówi, że jest zmęczony. Odpowiada mi to. Wolę porozmawiać z Marjory. Max i Tom zajmują nasze miejsca. Lucia odpoczywa; Cindy pojedynkuje się z Susan.

Marjory siedzi teraz obok Lucii, która pokazuje jej jakieś zdjęcia. Fotografia to jedno z hobby Lucii. Zdejmuję maskę i przyglądam się im. Twarz Marjory jest szersza niż Lucii. Don staje pomiędzy mną a Marjory i zaczyna rozmowę.

- Przeszkadzasz - upomina go Lucia.

- Och, przepraszam - tłumaczy Don, lecz wciąż stoi w tym samym miejscu, zasłaniając mi widok.

- I stoisz dokładnie pośrodku - dodaje Lucia. - Proszę, nie wciskaj się między dwoje ludzi. - Rzuca mi krótkie spojrzenie. Nie robię niczego złego; w przeciwnym razie powiedziałyby mi o tym. Ze wszystkich ludzi, jakich znam, a którzy nie są tacy jak ja, Lucia bardzo otwarcie mówi, czego chce.

Don ogląda się, prychnie i odsuwa na bok.

- Nie zauważyłem Lou - mówi.

- A ja tak - odpowiada Lucia. Zwraca się do Marjory: - A tutaj zatrzymaliśmy się czwartej nocy. Zrobiłam to zdjęcie z wnętrza. Co za widok!

- Cudowny - zachwyca się Marjory. Nie widzę fotografii, którą ogląda, lecz dostrzegam radość na jej twarzy. Przyglądam się jej, zamiast słuchać Lucii, która opowiada o pozostałych zdjęciach. Od czasu do czasu Don wtrąca jakiś komentarz. Kiedy już obejrzeliby wszystko, Lucia zamyka album i kładzie pod krzesłem.

- Chodź, Don - mówi. - Zobaczmy, jak sobie poradzisz ze mną. - Zakłada rękawice i maskę, po czym wyciąga szpadę. Don wzrusza ramionami i idzie za nią na plac.

- Siadaj - mówi Marjory. Siadam, wyczuwając resztki ciepła Lucii na opuszczonym przez nią krześle. - Jak minął dzień?

- Omal nie miałem wypadku - odpowiadam. Nie zadaje pytań. W zamian pozwala mi mówić. Trudno to wszystko opisać. Fakt, że opuściłem miejsce wypadku, wydaje się teraz trudny do zaakceptowania, ale nie chciałem się spóźnić do pracy i rozmawiać z policjantami.

- Brzmi przerażająco - mówi ciepłym, kojącym głosem. Nie jak profesjonalistka, tylko delikatnie.

Mam ochotę powiedzieć jej o panu Crenshawie, ale właśnie wraca Tom i pyta, czy chcę z nim walczyć. Lubię się pojedynkować z Tomem. Jest prawie tak wysoki jak ja i choć starszy, to nadal bardzo sprawny. I jest najlepszym szermierzem w grupie.

- Widziałem, jak walczyłeś z Donem - mówi. - Bardzo dobrze radziłeś sobie z jego sztuczkami. Ale on się nie rozwija. Na dobrą sprawę się cofa, pamiętaj więc, żeby co tydzień walczyć z lepszym szermierzem. Ze mną, Lucią, Cindy, Maksem. Przynajmniej z dwojgiem z nas, dobrze?

„Przynajmniej” znaczy „nie mniej niż”.

- Dobrze - zgadzam się. Każdy z nas ma dwa długie ostrza: szpadę i rapier. Kiedy po raz

pierwszy próbowałem użyć jednocześnie drugiej klingi, ciągle obijały się o siebie. Potem starałem się trzymać je równolegle. W ten sposób ostrza się nie krzyżowały, lecz Tom potrafił je odtrącić. Teraz wiem, że trzeba je trzymać na różnych wysokościach i pod różnym kątem.

Krążymy wokół siebie najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Staram się pamiętać o wszystkim, czego nauczył mnie Tom: jak stawiać stopy, jak trzymać klingi, jakimi ruchami parować poszczególne ciosy. Zadaje pchnięcie; moje ramię unosi się, by zablokować je lewym ostrzem, a jednocześnie sam zadaję cios, który on paruje. To jest jak taniec: krok-krok-pchnięcie-blok-krok. Tom mówi, że trzeba zmieniać wzór, być nieprzewidywalnym, lecz kiedy ostatnio obserwowałem jego walkę z kimś innym, wydawało mi się, że dostrzegam pewien wzór w pozornym jego braku. Jeśli uda mi się powstrzymać Toma wystarczająco długo, to może zdołam ponownie dostrzec tę prawidłowość.

Wtem słyszę muzykę z *Romeo i Julii* Prokofiewa, majestatyczny taniec. Wypełnia mi umysł i dostosowuję się do jego rytmu, zwalniając. Tom również zwalnia. Teraz to widzę, ten opracowany przez niego dalekosiężny wzorzec, ponieważ nikt nie może działać zupełnie chaotycznie. Poruszając się w rytmie mojej osobistej muzyki, potrafię dotrzymać mu kroku, blokując każde pchnięcie, testując jego riposty. I nagle wiem, co zaraz zrobi, i moje ramię wykonuje odruchowo zamach i uderzam go w bok głowy. Czuję ten cios w całej dłoni i barku.

- Dobrze! - woła. Muzyka się urywa. - Ha! - dodaje, potrząsając głową.

- To było za mocno, przepraszam - mówię.

- Nie, nie, wszystko w porządku. Dobry, czysty cios, który dokładnie ominął moją obronę. Nie miałem szansy go sparować. - Uśmiecha się przez maskę. - Mówiłem ci, że jesteś coraz lepszy. Spróbujmy jeszcze raz.

Nie chcę wyrządzać nikomu krzywdy. Kiedy zaczynałem, nie mogli zmusić mnie do dotknięcia kogokolwiek ostrzem na tyle mocno, by przeciwnik to poczuł. Nadal tego nie lubię. Lubię za to uczyć się wzorów, a potem odtwarzać je tak, bym sam stawał się ich częścią.

Światło splywa po klingach Toma, gdy unosi je w geście pozdrowienia. Na chwilę poraża mnie blask i prędkość świetlnego tańca.

Potem znów się poruszam, w obrębie mroku poza światłem. Jak szybki jest mrok? Cień nie może być szybszy od tego, co go rzuca, ale nie każdy mrok jest cieniem. A może jest? Tym razem nie słyszę muzyki, lecz widzę wzór światła i cienia, zmienny, wirujący, składający się z jasnych łuków i helis na tle ciemności.

Tańczę na czubku światła i poza nim, i nagle czuję ten drażniący nacisk na rękę. Tym razem odczuwam także mocne trafienie klingi Toma w moją pierś. Mówię „dobrze”, on także, i odstępujemy od siebie, uznając podwójne trafienie.

- Auuuu! - Odrywam wzrok od Toma i widzę Dona zginającego się wpół z ręką na plecach. Kuśtyka do krzesła, lecz Lucia dochodzi do niego pierwsza i ponownie siada obok Marjory. Odnoszę dziwne wrażenie: że to zauważyłem i że się tym przejąłem. Don zatrzymuje się, pochylony. Nie ma więcej wolnych krzeseł, gdyż zjawili się inni szermierze. W końcu Don osuwa się powoli na chodnik, cały czas stękając i jęcząc.

- Chyba będę musiał dać sobie spokój - wyznaje. - Robię się na to za stary.

- Nie jesteś za stary - rzuca Lucia. - Jesteś leniwy.

Nie rozumiem, czemu Lucia bywa taka niemiła dla Dona. To przyjaciel; nie jest miło obrażać przyjaciół, chyba że w żartach. Don nie lubi rozgrzewki i strasznie narzeka, ale to nie dyskredytuje go

jako przyjaciela.

- Chodź, Lou - mówi Tom. - Raz ty mnie zabiłeś, a raz zabiliśmy się nawzajem. Daj mi szansę wyrównania rachunków. - Jego słowa są gniewne, ale głos przyjazny; poza tym się uśmiecha. Ponownie unoszę ostrza.

Tym razem Tom robi coś, czego nigdy ze mną nie próbował -szarżuje. Nie mam czasu przypomnieć sobie, co trzeba zrobić, kiedy ktoś szarżuje; daję krok wstecz i obracam się, odpychając jego szpadę moją, i jednocześnie próbuję pchnąć go rapierem w głowę. Lecz on porusza się zbyt szybko; chybiam, a jego uzbrojone w rapier ramię wznosi się ponad głowę i uderza mnie w sam czubek czaszki.

- Mam cię! - mówi.

- To zrobiłeś jak? - pytam i zaraz zmieniam kolejność słów: - Jak to zrobiłeś?

- To moje sekretne pchnięcie turniejowe - wyznaje Tom, ściągając maskę. - Ktoś wykorzystał je przeciwko mnie dwanaście lat temu, a ja wróciłem do domu i ćwiczyłem, dopóki nie nauczyłem się tej kombinacji na pamięć... Zwykle stosuję ją wyłącznie podczas zawodów. Lecz ty jesteś gotowy, by się jej nauczyć. Jest tylko jeden haczyk. - Uśmiecha się, a po twarzy spływa mu pot.

- Hej! - woła Don z drugiej strony podwórza. - Nie widziałem tego. Zrób to jeszcze raz, co?

- Jaki to haczyk? - pytam.

- Musisz sam wykombinować. Zachęcam cię do tego, ale właśnie byłeś świadkiem jedynej demonstracji, na jaką możesz liczyć. Wspomnę tylko, że jeśli nie wykonasz tego dokładnie, padniesz trupem z ręki przeciwnika, który nie ulegnie panice. Widziałeś, jak łatwo odbić cios zadany drugą ręką.

- Tom, nie pokazałeś mi tego pchnięcia. Zrób to jeszcze raz - rzuca Don.

- Nie jesteś jeszcze gotowy - odpowiada Tom. - Musisz sobie na to zasłużyć. - W jego głosie brzmi gniew, podobnie jak przedtem w głosie Lucii. Co Don takiego zrobił, że ich rozgniewał? Nie rozgrzał się i naprawdę szybko się męczy, ale czy to wystarczający powód? Teraz nie mogę zapytać, ale zrobię to później.

Zdejmuję maskę i podchodzę, by stanąć obok Marjory. Patrząc z góry, widzę refleksy światła na jej ciemnych włosach. Gdybym poruszał się w przód i w tył, blask przesuwałby się po jej włosach, tak jak wędrował po ostrzach Toma. Ciekawe, jakie jej włosy są w dotyku.

- Usiądź na moim miejscu - mówi Lucia wstając. - Zamierzam się jeszcze trochę pofechtować.

Siadam, bardzo świadomy bliskości Marjory.

- Będziesz ćwiczyć dziś wieczorem? - pytam.

- Nie. Muszę wyjść wcześniej. Moja przyjaciółka Karen przylatuje, a ja obiecałam ją odebrać z lotniska. Zajrzałam tutaj, żeby zobaczyć się z... ludźmi.

Chcę jej powiedzieć, że się cieszę, że tak zrobiła, lecz słowa utykają mi w gardle. Czuję się sztywny i niezgrabny.

- Skąd przylatuje Karen? - pytam w końcu.

- Z Chicago. Była tam w odwiedzinach u rodziców. - Marjory wyciąga przed siebie nogi. - Miała zostawić samochód przed lotniskiem, ale w dniu wyjazdu złapała gumę. Dlatego właśnie muszę po nią pojechać. - Obraca się i patrzy na mnie; spuszczam wzrok, niezdolny znieść żaru jej spojrzenia. - Długo tu dzisiaj zostajesz?

- Niezbyt długo - odpowiadam. Skoro Marjory wychodzi, a Don zostaje, to ja idę do domu.

- Chcesz pojechać ze mną na lotnisko? Odwiozę cię potem tutaj, żebyś mógł zabrać swój samochód. Oczywiście, będziesz przez to późno w domu; jej samolot przylatuje piętnaście po dziesiątej.

Pojechać z Marjory? Jestem tak zaskoczony/szczęśliwy, że przez dłuższą chwilę tkwię bez ruchu.

- Tak - odpowiadam. - Tak. - Czuję gorąco na twarzy.

* * *

W drodze na lotnisko wyglądam przez okno. Mam wrażenie lekkości, jakbym mógł wzbić się w powietrze.

- Bycie szczęśliwym sprawia, że człowiekowi się zdaje, jakby grawitacja była mniejsza - mówię.

Czuję spojrzenie Marjory.

- Lekki jak piórko - mówi. - To masz na myśli?

- Może nie piórko. Bardziej jak balonik - odpowiadam.

- Znam to uczucie - potwierdza Marjory. Nie mówi, że czuje się tak teraz. Nie wiem, jak się czuje. Normalni ludzie wiedzieli by, jak się czuje, ja jednak nie potrafię tego określić. Im lepiej ją znam, tym więcej rzeczy o niej nie wiem. Nie wiem również, dla czego Tom i Lucia byli tacy złośliwi wobec Dona.

- Wydawało się, że Tom i Lucia gniewają się na Dona - mówię.

Obrzuca mnie szybkim spojrzeniem. Myślę, że powinienem to rozumieć, ale nie wiem, co to znaczy. Sprawia, że chcę odwrócić wzrok; w środku czuję rozbawienie.

- Don potrafi być prawdziwą kosą - zauważa.

Don nie jest kosą, jest człowiekiem. Normalni ludzie mówią takie rzeczy, bez ostrzeżenia zmieniając znaczenie słów, a mimo to się rozumieją. Ja rozumiem, ponieważ wiele lat temu ktoś mi powiedział, że „kosa” oznacza w slangu kogoś ostrego, łobuza. Lecz nie potrafił wyjaśnić mi dlaczego i do dziś się nad tym zastanawiam. Jeśli ktoś jest łobuzem i chcesz powiedzieć, że jest łobuzem, to czemu po prostu tak go nie nazwać? Po co mówić: „kosa”? A przymiotnik „prawdziwy” jeszcze to wszystko pogarsza. Jeśli mówisz, że coś jest prawdziwe, to powinno być prawdziwe.

Ale bardziej chcę wiedzieć, dlaczego Tom i Lucia są źli na Dona, niż wyjaśniać Marjory, czemu nie powinno nazywać się Dona prawdziwą kosą.

- Czy to dlatego, że nie wykonał prawidłowej rozgrzewki?

- Nie. - Marjory sprawia teraz wrażenie poirytowanej i czuję ściskanie w żołądku. Co takiego zrobiłem? - On jest po prostu... czasami złośliwy, Lou. Żartuje sobie z ludzi w niezbyt śmieszny sposób.

Zastanawiam się, czy to żarty są nieśmieszne, czy może ludzie. Znam się na żartach, których większość ludzi nie uważa za śmieszne, ponieważ sam kilka takowych zrobiłem. Nadal nie rozumiem, dlaczego pewne dowcipy są zabawne, a moje nie, ale wiem, że tak jest.

- Żartuje sobie z ciebie - mówi cicho Marjory po przejechaniu następnego skrzyżowania. - A nam się to nie podoba.

Nie wiem, co powiedzieć. Don żartuje sobie ze wszystkich, nawet z Marjory. Nie podobały mi

się te żarty, ale nic z tym nie robiłem. Może powinienem? Marjory znów na mnie zerka. Tym razem wydaje mi się, że chce, żebym coś powiedział. Nie mogę nic wymyślić. Wreszcie coś przychodzi mi do głowy.

- Moi rodzice mówili, że jak ktoś się gniewa na ludzi, to oni wcale nie zaczynają postępować lepiej.

Marjory wydaje zabawny odgłos. Nie wiem, co to oznacza.

- Lou, czasami odnoszę wrażenie, że jesteś filozofem.

- Nie - odpowiadam. - Nie jestem wystarczająco mądry, żeby być filozofem.

Znów ten odgłos. Wyglądam przez okno; prawie dojechaliśmy do lotniska. Wieczorem inaczej są oświetlone pasy startowe i postoje taksówek. Bursztyń, błękit, zieleń, czerwień. Żałuję, że nie mają fioleto. Marjory parkuje w sektorze przeznaczonym do krótkiego postoju, po czym przecinamy drogi dla autobusów i dochodzimy do terminalu.

Kiedy podróżuję sam, lubię obserwować, jak otwierają się i zamykają drzwi automatyczne. Dziś wieczorem idę obok Marjory i udaję, że mnie nie obchodzą. Przystaje, żeby spojrzeć na monitor z informacjami o odlotach i przylotach. Zdażyłem już wyszukać właściwy lot: linie te i te, z Chicago, lądowanie o dziesiątej piętnaście, bez opóźnień, brama 17. Jej zabiera to więcej czasu; normalni ludzie zwykle potrzebują go więcej.

Przy bramce przylotów znowu kurczy mi się żołądek. Wiem, jak się zachować; rodzice mnie nauczyli i robiłem to już wcześniej. Wyjąć z kieszeni wszystkie metalowe przedmioty i włożyć do koszyczka. Zaczekać na swoją kolej. Przejść przez bramkę. Łatwe, o ile nikt nie zadaje mi żadnych pytań. Jeśli jednak pytają, nie zawsze dobrze ich słyszę: zbyt wiele hałasu i dźwięków odbijających się echem od twardych powierzchni. Czuję, że jestem spięty.

Marjory idzie pierwsza: torebka na taśmociągu, klucze w koszyczku. Widzę, jak przechodzi. Nikt jej o nic nie pyta. Kładę do koszyka klucze, portfel i drobne, po czym przechodzę. Żadnego brzęczyka. Mężczyzna w mundurze przygląda mi się, gdy chowam do kieszeni klucze, portfel i monety. Odwracam się w stronę czekającej kilka metrów dalej Marjory. Wtedy strażnik się odzywa:

- Mogę zobaczyć pański bilet? I jakiś dowód tożsamości?

Przenika mnie chłód. Nie zapytał nikogo innego - ani mężczyzny z długimi, zaplecionymi w warkoczyki włosami, który przepycha się koło mnie, by zabrać z taśmy swoją teczkę, ani Marjory... a ja nie zrobiłem nic złego. Nie trzeba mieć biletu, żeby przejść przez bramkę przylotów, należy jedynie znać numer lotu, na który się czeka. Ludzie, którzy czekają na innych ludzi, nie muszą mieć biletów, ponieważ nie podróżują. Ochrona przy odlotach żąda okazania biletu.

- -Nie mam biletu-mówię. Za nim widzę przestępującą z nogi na nogę Marjory, która jednak nie podchodzi bliżej. Nie sądzę, żeby go usłyszała, a ja nie chcę drzeć się w miejscu publicznym.

- Dowód tożsamości? - mówi. Jest skupiony na mojej osobie; twarz zaczyna mu jaśnieć. Wyciągam portfel i otwieram go na identyfikatorze. Przygląda się mu, po czym przenosi wzrok na mnie. - Jeśli nie masz biletu, to co tutaj robisz? - pyta.

Czuję, jak wali mi serce, a po szyi spływa pot. - Ja... ja... ja...

- No, wyduś to z siebie - rzuca, marszcząc brwi. - A może się jąkasz?

Kiwam głową. Wiem, że nie zdołam nic powiedzieć przez najbliższych kilka minut. Sięgam do kieszeni koszuli i wyciągam niewielką kartkę, którą tam trzymam. Podaję mu; oglądają.

- Autystyczny, co? Ale przecież rozmawiałeś ze mną, odpowiedziałeś mi. Po kogo tu przyszedłeś?

Podchodzi do nas Marjory.

- Jakieś kłopoty, Lou?

- Proszę się cofnąć, proszę pani - rzuca mężczyzna. Nie patrzy na nią.

- To mój przyjaciel - wyjaśnia Marjory. - Przyjechaliśmy tutaj po moją znajomą, lot 382, bramka 17. Nie słyszałam żadnego brzęczyka... - W jej głosie pojawiają się gniewne nuty.

Strażnik obraca głowę i patrzy na nią. Odpręża się lekko. – On jest z panią?

- Tak. Czy coś się stało?

- Nie, proszę pani. Po prostu wyglądał nieco dziwnie. To... - wciąż trzyma moją kartkę w dłoni -... chyba wszystko wyjaśnia. Jak długo jest pod pani opieką...

- Nie jestem jego opiekunką - mówi Marjory tym samym tonem, którego użyła, gdy nazywała Dona prawdziwą kosą. – Lou jest moim przyjacielem.

Mężczyzna unosi brwi, a po chwili je opuszcza. Oddaje mi kartkę i odchodzi. Ruszam za Marjory, która idzie tak szybko, że chyba nadweręża sobie nogi. Milczymy, dopóki nie docieramy do poczekalni dla bramek 15-30. Za szklaną ścianą, po stronie odlotów, siedzą rzędami ludzie z biletami. Stelaże granatowych siedzisk wykonano z lśniącego metalu. W przylotach nie mamy miejsc siedzących, ponieważ przewiduje się, że nie powinniśmy wchodzić tutaj wcześniej niż na dziesięć minut przed planowanym lądowaniem samolotu.

Kiedyś było inaczej. Oczywiście, nie pamiętam tego - urodziłem się na przełomie wieków - lecz moi rodzice opowiadali mi, jak to można było podchodzić do samych bramek, by witać przylatujących ludzi. Potem, po katastrofach 2001 roku, tylko odlatujący pasażerowie mogli podchodzić do bramek. Było to bardzo kłopotliwe dla ludzi potrzebujących opieki i tak wiele osób występowało o specjalne przepustki, że władze zaprojektowały w zamian te poczekalnie dla przylotów za osobnymi liniami zabezpieczeń. Zanim rodzice zabrali mnie w pierwszą podróż samolotem - miałem wtedy dziewięć lat - wszystkie duże lotniska rozdzielały przylatujących i odlatujących pasażerów.

Wyglądam przez olbrzymie okna. Wszędzie światła. Czerwone i zielone lampki na końcach skrzydeł samolotów. Rzędy słabo oświetlonych kwadratów wzdłuż ich kadłubów wskazujące usytuowanie okienek. Reflektory maleńkich pojazdów ciągnących wózki bagażowe. Stałe światła i migające światła.

- Możesz już mówić? - pyta Marjory, gdy wciąż przyglądam się światłom przez wielkie okna.

- Tak. - Czuję jej ciepło; stoi tuż za mną. Zamykam na chwilę oczy. - Ja tylko... pogubiłem się. - Pokazuję na podjeżdżający samolot. - To ten?

- Tak myślę. - Obchodzi mnie i zagląda mi w twarz. - Wszystko w porządku?

- Tak. Czasami... to się zdarza. - Czuję zakłopotanie, że stało się to dzisiaj, kiedy po raz pierwszy jestem sam na sam z Marjory. Pamiętam, jak w liceum chciałem rozmawiać z dziewczętami, które nie chciały rozmawiać ze mną. Czy ona też odejdzie? Mógłbym wziąć taksówkę i wrócić do Toma i Lucii, ale nie mam przy sobie za dużo pieniędzy.

- Cieszę się, że nic ci nie jest - mówi Marjory, a wtedy otwierają się drzwi i ludzie zaczynają wysiadać z samolotu. Marjory szuka wzrokiem Karen, a ja się jej przyglądam. Karen okazuje się starszą, siwowłosą kobietą. Wkrótce jesteśmy już na zewnątrz

i jedziemy do mieszkania Karen. Siedzę cicho na tylnym siedzeniu, przysłuchując się rozmowie Marjory i Karen. Ich głosy płyną i falują, niczym bystra woda na skałach. Nie całkiem rozumiem, o czym mówią. Robią to zbyt szybko, poza tym nie znam ludzi i miejsc, o których rozmawiają. Ale jest dobrze, gdyż mogę patrzeć na Marjory bez konieczności otwierania ust.

Kiedy wracamy po mój samochód do Toma i Lucii, Dona już nie ma, a ostatnia z szermierczych grup właśnie pakuje sprzęt do aut. Przypominam sobie, że nie schowałem swoich ostrzy i maski, więc wychodzę po nie na zewnątrz, lecz Tom mówi, że już się nimi zajął. Nie był pewny, o której wrócimy, a nie chciał zostawić ich na dworze w ciemnościach.

Żegnam się z Tomem, Lucią i Marjory, po czym jadę do domu w gęstym mroku.

Mój komunikator miga, kiedy przyjeżdżam do domu. To sygnał Larsa; chce, żebym się włączył online. Jest późno. Nie chcę zasnąć i spóźnić się do pracy. Lecz Lars wie, że w środy trenuję szermierkę i zwykle nie próbuje się ze mną komunikować tego właśnie dnia. To musi być coś ważnego.

Loguję się i odszukuję jego wiadomość. Przesłał mi artykuł o badaniach nad zwalczaniem objawów autyzmopodobnych u dorosłych osobników z rzędu naczelnych. Przeglądam go z mocno bijącym sercem. Zwalczanie objawów autyzmu u małych dzieci jest już powszechne, ale dla mnie było za późno. Tak mi powiedziano. Jeśli wiadomość jest prawdziwa, nie jest jeszcze za późno. W zakończeniu artykułu autor spekuluje, że wyniki badań można odnieść do ludzi, i sugeruje dalsze badania.

Kiedy czytam, na ekranie wyskakują kolejne ikonki. Logo lokalnego towarzystwa autystycznego. Logo Camerona i Dale'a. A więc oni też o tym usłyszeli. Na razie je ignoruję i czytam dalej. Choć dotyczy to takich mózgów jak mój, nie jest to moja działka i nie całkiem rozumiem, jak to leczenie ma działać. Autorzy odwołują się do innych artykułów, w których opisano całe procedury. Nie ma do nich dostępu - nie dla mnie, nie tej nocy. Nie wiem, czym jest metoda Ho i Delgracii. Nie znam też znaczenia wszystkich słów i nie mogę znaleźć ich w moim słowniku.

Gdy patrzę na zegarek, okazuje się, że jest grubo po północy. Łóżko. Muszę iść spać. Wyłączam wszystko, nastawiam budzik i idę do sypialni. W mojej głowie fotony ścigają mrok, lecz nie mogą go dogonić.

* * *

Następnego ranka w pracy stoimy na korytarzu, nie patrząc sobie w oczy. Wszyscy wiedzą.

- Myślę, że to fałszywka - mówi Linda. - Pewnie nie będzie działać.

- Ale jeśli tak... - rzuca Cameron. - Jeśli tak, to możemy być normalni.

- Nie chcę być normalna - twierdzi Linda. - Jestem, kim jestem, i czuję się szczęśliwa. - Nie wygląda na szczęśliwą. Wygląda na zaciętrzewioną i zdecydowaną.

- Ja też - popiera ją Dale. - Co to znaczy, że działa na małpy? To nie ludzie; są prostsze od nas. Małpy nie mówią. - Powieka drga mu bardziej niż zwykle.

- Porozumiewamy się lepiej od małp - dodaje Linda. Kiedy jesteśmy wszyscy razem, tylko my, mówimy lepiej niż zazwyczaj. Śmiejemy się, że normalni ludzie muszą emitować jakieś pole tłumiące nasze umiejętności. Wiemy, że to nieprawda i że inni uznaliby nas za paranoików, gdybyśmy opowiedzieli ten żart na zewnątrz. Pomyśleliby, że jesteśmy wariatami. Nie zrozumieliby, że to dowcip. Kiedy my nie rozumiemy żartu, mówią, że to dlatego, iż myślimy dosłownie, lecz my wiemy, że nie możemy tak powiedzieć o nich.

- Dobrze by było, gdybym nie musiał chodzić co trzy miesiące do psychiatry - mówi Cameron.

Myślę o tym, jakby to było, gdybym nie musiał spotykać się z doktor Fornum. Byłbym o wiele szczęśliwszy, gdybym nie musiał widywać doktor Fornum. Czy ona byłaby szczęśliwa, gdyby nie musiała się ze mną spotykać?

- A ty, Lou? - pyta Linda. - Żyjesz już częściowo w ich świecie.

Wszyscy tak żyjemy, pracując tutaj i mieszkając samodzielnie. Lecz Linda nie lubi robić czegoś

z ludźmi, którzy nie są autystyczni, i powiedziała mi już kiedyś, że nie powinienem zadawać się z grupą szermierczą Toma i Lucii ani z ludźmi w moim kościele. Gdyby wiedziała, co czuję do Marjory, usłyszałbym coś naprawdę niemiłego.

- Radzę sobie... Nie widzę potrzeby, by cokolwiek zmieniać. - Słyszę, że mój głos jest bardziej chrapliwy niż zwykle, i wolałbym, żeby nie przybierał takiego tonu, kiedy czuję złość. Nie jestem rozgniewany. Nie chcę sprawiać takiego wrażenia.

- Widzisz? - Linda patrzy na Camerona, który odwraca wzrok.

- Muszę brać się za robotę - mówię i ruszam do swojego pokoju, gdzie włączam niewielki wentylator i patrzę na odbłyśki światła. Muszę poskakać, ale nie chcę iść do sali gimnastycznej, na wypadek gdyby przyszedł pan Crenshaw. Czuję się, jakby coś mnie ścisnęło. Trudno mi się skupić na problemie, nad którym pracuję.

Zastanawiam się, jakby to było zostać normalnym człowiekiem. Kiedy skończyłem szkołę, postanowiłem o tym nie myśleć. Gdy nachodzą mnie takie myśli, odpycham je od siebie. Teraz jednak... Jakby to było, nie martwić się, że ludzie wezmą mnie za wariata, kiedy zaczynam się jąkać albo nie potrafię im odpowiedzieć i muszę pisać w podręcznym notesie? Jakby to było, nie nosić tej kartki w kieszeni? Móc wszędzie widzieć i słyszeć? Odgadywać po wyrazie twarzy, co ludzie myślą?

Blok symboli, nad którym pracuję, traci nagle sens, jak niewyraźne i niezrozumiałe głosy.

Czy o to chodzi? Czy dlatego normalni ludzie nie wykonują takiej pracy jak my? Czy muszę wybierać pomiędzy pracą, którą umiem wykonywać, pracą, w której jestem dobry, a byciem normalnym? Rozglądam się po biurze. Spirale zaczynają mnie nagle irytować. Wirują tylko, nie robią nic innego, ciągle tak samo, na okrągło. Obracam się, żeby wyłączyć wentylator. Jeśli to jest normalne, to nie powiem, żeby mi się podobało.

Symbole znów ożywają, bogate w znaczenia. Nurkuję w nie, zanurzam w nich umysł, tak bym nie musiał widzieć nieba nad głową.

Gdy wynurzam się ponownie, pora lunchu już minęła. Od zbyt długiego siedzenia w jednym miejscu i braku posiłku boli mnie głowa. Wstaję i spaceruję po pokoju, próbując nie myśleć o wiadomości od Larsa. Nie mogę nic na to poradzić. Nie jestem głodny, ale wiem, że powinienem coś zjeść. Idę do aneksu kuchennego i wydaję z lodówki plastikowe pudełko. Nikt z nas nie lubi zapachu plastiku, lecz oddziela on nasze jedzenie, dzięki czemu nie muszę wachać kanapki z tuńczykiem Lindy, a ona mojego suszonego mięsa z owocami.

Zjadam jabłko i winogrona, potem skubię trochę mięsa. Niedobrze mi. Myślę, czy nie pójść do sali gimnastycznej, ale okazuje się, że są tam Linda i Chuy. Linda podskakuje wysoko, ma grymas na twarzy. Chuy siedzi na podłodze, przyglądając się serpentynom poruszającym podmuchem wentylatora. Linda dostrzega mnie i obraca się na trampolinie. Nie chce rozmawiać. Ja też nie mam na to ochoty.

Wydaje się, że popołudnie ciągnie się nieskończoność. Wychodzę punktualnie i idę prosto do samochodu, który stoi na swoim miejscu. Muzyka jest absolutnie zła: głośna i dudniąca. Kiedy otwieram drzwi auta, ze środka bucha rozgrzane powietrze. Stoję przy samochodzie, marząc o jesieni i chłodniejszej pogodzie. Widzę, jak wychodzą pozostali, każdy na swój sposób okazuje napięcie i unika wzroku innych. Nikt nic nie mówi. Wsiadamy do naszych aut. Odjeżdżam pierwszy, ponieważ pierwszy wyszedłem.

Trudno jest bezpiecznie prowadzić w upalne popołudnie, ze złą muzyką w głowie. Światła odbijają się od przednich szyb, zderzaków, ozdób; zbyt wiele tych refleksów. Gdy docieram do

domu, boli mnie głowa i cały się trzęsę. Zabieram poduszki z kanapy, idę do sypialni i zamykam drzwi. Kładę się, układam na sobie poduszki, a potem gaszę światło.

Kolejna rzecz, o której nigdy nie powiedziałem doktor Fornum. Wiem, że zaraz odnotowałyby to w mojej karcie. Kiedy tak leżę w ciemnościach, delikatny, miękki nacisk stopniowo osłabia napięcie, a zła muzyka cichnie. Unoszę się w miękkiej, mrocznej ciszy... w spokoju, wygodnie, nieatakowany przez mknące fotony.

Wreszcie znów mogę myśleć i czuć. Jest mi smutno. Nie powinienem być smutny. Powtarzam sobie słowa doktor Fornum. Jestem zdrowy. Mam niezłe płatną pracę. Mam gdzie mieszkać i w co się ubrać. Mam też prawo do prywatnego samochodu, rzadko przyznawane, dzięki czemu nie muszę jeździć zatłoczonymi, hałaśliwymi środkami transportu publicznego. Mam szczęście.

Ale i tak jest mi smutno. Staram się bardzo, a mimo to nic z tego nie wychodzi. Noszę te same ubrania co inni. Mówię to samo w tej samej chwili: dzień dobry, cześć, jak się masz, w porządku, dobranoc, proszę, dziękuję, nie ma za co, nie, dziękuję, nie teraz. Przestrzegam przepisów ruchu drogowego. Przestrzegam prawa. W mieszkaniu mam przeciętne meble, a swoją niezwykłą muzykę odtwarzam bardzo cicho albo używam słuchawek. Ale to nie wystarcza. Pomimo moich wysiłków, prawdziwi ludzie wciąż chcą mnie zmieniać, żebym był taki jak oni.

Nie wiedzą, jakie to trudne. Nie obchodzi ich to. Chcą, żebym się zmienił. Chcą powkładać mi do głowy różne rzeczy, chcą zmienić mój mózg. Zaprzeczyliby, ale tego właśnie chcą.

Myślałem, że byłem bezpieczny, mieszkając samodzielnie, jak inni. Myliłem się.

Zaczynam trząść się pod poduszkami. Nie chcę płakać; płacz może okazać się zbyt głośny i zostanie zauważony przez moich sąsiadów. Słyszę, jak w głowie tłoczą mi się etykiety, które mi przykleili, kiedy byłem dzieckiem. Rozpoznanie wstępne: zespół zaburzeń autystycznych/autyzm. Deficyt integracji czuciowej. Deficyt w zakresie przetwarzania informacji dochodzących drogą słuchową. Deficyt w zakresie przetwarzania informacji dochodzących drogą wzrokową. Ucieczka przed dotykiem.

Nienawidzę etykietek. Czuję się lepki w miejscach, gdzie je nakleili profesjonalnym klejem, którego nie potrafię usunąć.

Wszystkie dzieci rodzą się autystyczne, jak powiedział kiedyś ktoś z naszej grupy. Roześmialiśmy się nerwowo. Przytaknęliśmy, ale mówienie czegoś takiego było niebezpieczne.

Dziecko bez zaburzeń neurologicznych uczy się przez wiele lat, jak przetworzyć informacje zmysłowe w spójny obraz świata. Choć zajęło mi to znacznie więcej czasu - a bez oporów przyznaję, że moje procesy przetwarzania danych nie są normalne nawet teraz - podszedłem do zadania w taki sam sposób, jak każde inne dziecko. Najpierw zalała mnie powódź nieprzetworzonych danych zmysłowych, przed którą chroniłem się snem i ignorowaniem przeciążonych zmysłów.

Po lekturze książek można by pomyśleć, że postępują ataki wyłącznie dzieci z zaburzeniami neurologicznymi, w rzeczywistości jednak wszystkie bez wyjątku kontrolują własną wrażliwość - zamykają oczy, odwracają wzrok lub po prostu zasypiają, gdy świat staje się zbyt męczący. Z czasem, kiedy zaczynają pojmować kolejne fragmenty informacji, uczą się, jakie wzory pobudzenia siatkówkowego oznaczają takie, a nie inne wydarzenia w widzialnym świecie, albo jakie wzory pobudzenia słuchowego wywoływane są ludzkim głosem - wreszcie głosem mówiącym w ich ojczystym języku.

Mnie - osobie autystycznej - zabrało to znacznie więcej czasu. Moi rodzice wyjaśnili mi, gdy byłem już wystarczająco duży, że z pewnych przyczyn moje dziecięce nerwy potrzebują dłuższej

stymulacji, by przenieść informację. Oni - i ja - mieliśmy szczęście, że dostępne już były techniki zapewniające moim neuronom niezbędny czas trwania sygnałów. Zamiast zaklasyfikować mnie jako osobnika cierpiącego na „niedobór uwagi” (co było dosyć powszechne), zapewniono mi bodźce, które *mogłem* zauważyć.

Pamiętam okres, nim poddano mnie wspomaganemu komputerowo programowi uczenia języka... kiedy dźwięki wydobywające się z ust ludzi zdawały się równie przypadkowe - nie, nawet bardziej - jak muczenie krowy na pastwisku. Nie słyszałem wielu spółgłosek, bo nie trwały wystarczająco długo. Terapia pomogła - komputer wydłużał dźwięki na tyle, bym je usłyszał, a mój mózg nauczył się stopniowo wychwytywać krótsze sygnały. Ale nie wszystkie. Do dzisiaj nie rozumiem szybko mówiącego człowieka, bez względu na to, jak bardzo jestem skupiony.

W połowie dwudziestego wieku terapeuci sądzili, że autyzm jest chorobą psychiczną, pokrewną schizofrenii. Moja matka czytała książkę napisaną przez kobietę, którą oskarżono o doprowadzenie do szaleństwa własnego dziecka. Pogląd, że autystyczni ludzie są - lub będą - psychicznie chorzy, pokutował do końca dwudziestego stulecia i nawet sam widziałem artykuł na ten temat w jakimś piśmie kilka lat temu. Dlatego właśnie muszę odwiedzać doktor Fornum - by mogła zyskać pewność, że nie rozwija się u mnie żadna choroba psychiczna.

Zastanawiam się, czy pan Crenshaw uważa mnie za wariata. Czy to dlatego twarz mu jaśnieje, kiedy ze mną rozmawia? Czy jest przestraszony? Nie sądzę, żeby pan Aldrin obawiał się mnie albo któregoś z nas. Rozmawia z nami, jakbyśmy byli normalni. Lecz pan Crenshaw rozmawia ze mną jak z upartym zwierzęciem, które ma prawo tresować. Często jestem wystraszony, lecz teraz, po wypoczynku pod poduszkami, w ogóle się nie boję.

* * *

Moim marzeniem jest wyjść na zewnątrz i spojrzeć na gwiazdy. Rodzice zabrali mnie pod namiot, to było gdzieś na południowym zachodzie; pamiętam, jak leżałem i patrzyłem na te przepiękne, odwieczne wzory. Chciałbym jeszcze raz popatrzeć na gwiazdy. Uspokajały mnie, gdy byłem dzieckiem. Ukazywały porządek wszechświata, wzór wszechświata, w którym mógłbym być małą częścią większego schematu. Kiedy rodzice powiedzieli mi, jak długo światło musi podróżować, by dotrzeć do moich oczu - setki, tysiące lat - uspokoiło mnie to, choć nie wiem dlaczego.

Stąd nie widzę gwiazd. Światła na parkingu obok naszego budynku mają sodowe żarówki, które emitują różowo-żółty blask. Sprawiają, że powietrze robi się jakby rozmyte, a gwiazdy nie mogą się przebić przez czarne wieko nieba. Widać jedynie księżyc i kilka najjaśniejszych gwiazd i planet.

Czasami wyjeżdżam poza miasto i próbuję znaleźć miejsce, skąd mógłbym podziwiać gwiazdy. To trudne. Jeśli zaparkuję na poboczu i wyłączę światła, ktoś na mnie najedzie, gdyż mnie nie zauważy. Próbowiałem zatrzymać się równoległe do szosy albo na nieużywanej drodze dojazdowej do jakiejś stodoły, ale ktoś mieszkający w pobliżu mógłby mnie zauważyć i powiadomić policję. Przyjadą funkcjonariusze i będą chcieli wiedzieć, dlaczego zaparkowałem w tym miejscu o tak późnej porze. Nie rozumieją mojej potrzeby ujrzenia gwiazd. Uznają to za wykręt. Nie robię tego już więcej. Staram się za to zaoszczędzić tyle pieniędzy, by móc wyjechać tam, gdzie widać gwiazdy.

Z tą policją to zabawna sprawa. Niektórzy z nas mają z nią więcej kłopotów niż inni. Jorge, który dorastał w San Antonio, powiedział mi, że jeśli nie jesteś bogaty, biały i normalny, to uważają cię za kryminalistę. W młodości wielokrotnie go zatrzymywano; dopiero w wieku dwunastu lat nauczył się mówić i nawet wtedy nie szło mu zbyt dobrze. Zawsze brali go za pijanego albo

naćpanego, opowiadał. Nawet kiedy nosił bransoletę z informacją, że jest autystyczny i nie potrafi mówić, nie chcieli jej oglądać, dopóki nie dowiedzieli go na komisariat. Potem starali się odszukać rodzica, żeby zabrał go do domu, bo nie chcieli, żeby sam jechał przez całe miasto. Jego rodzice pracowali, więc zwykle przesiadywał tam trzy, cztery godziny.

Nie przydarzyło mi sienie takiego, ale czasami zatrzymywano mnie bez konkretnej przyczyny, jak zrobił to ten strażnik na lotnisku. Boję się, kiedy ktoś mówi do mnie szorstkim tonem, i czasami z trudem znajduję odpowiedź. Ćwiczyłem przed lustrem zdanie: „Nazywam się Lou Arrendale, jestem autystyczny, mam kłopoty z udzielaniem odpowiedzi”, aż mogłem je wyrecytować niezależnie od tego, jak bardzo byłem przerażony. Wypowiadam je ochryłym i napiętym głosem. Pytają wtedy: „Masz jakiś dowód tożsamości?” Wiem, że powinienem wtedy odpowiedzieć: „W kieszeni”. Gdybym spróbował wyjąć portfel, mogliby się przestraszyć i mnie zabić. Jak wyjaśniła nam w liceum panna Sevier, policja z góry zakłada, że nosimy w kieszeniach noże albo pistolety, i zdarzało się już, że zabijali ludzi, którzy tylko chcieli pokazać im dowód tożsamości.

Uważam, że to niesłuszne, ale czytałem o orzeczeniu sądu, że wszystko było w porządku, skoro policjanci naprawdę się przestraszyli. Jeśli jednak ktoś przestraszy się policjanta i go zabije, to wcale nie jest dobrze.

To bez sensu. Nie ma w tym symetrii.

Policjant, który odwiedził naszą klasę w liceum, powiedział, że policja jest po to, żeby nam pomagać, i tylko ci, którzy zrobili coś złego, powinni się jej bać. Jen Brouchard powiedziała to, co sam pomyślałem w tym momencie, że trudno nie bać się ludzi, którzy krzyczana ciebie, grożą ci i mogą cię zmusić, byś położył się twarzą do ziemi. I nawet jeśli nie zrobiłeś nic złego, to wielki mężczyzna wymachujący bronią może przerazić każdego. Policjant się zaczerwienił i powiedział, że taka postawa w niczym nie pomaga. On też w niczym nie pomógł, pomyślałem sobie wtedy, ale nie byłem taki głupi, żeby powiedzieć to na głos.

Z drugiej strony, mieszkający w naszym budynku policjant zawsze jest dla mnie miły. Nazywa się Daniel Bryce, ale prosi, by zwracać się do niego Danny. Na mój widok mówi „dzień dobry” i „dobry wieczór”, a ja odpowiadam mu tak samo. Chwali mnie zawsze za to, że mam czysty samochód. Obaj pomagaliśmy pannie Watson w przeprowadzce, kiedy musiała przenieść się do domu opieki; każdy z nas trzymał za jeden koniec stolika kawowego, gdy znosiliśmy go po schodach. Zaproponował, że to on będzie szedł tyłem. Nie krzyczy na żadnego z moich znajomych. Nie wiem, co o mnie myśli, z wyjątkiem tego, że mu się podoba, że mam czysty samochód. Nie wiem, czy wie, że jestem autystyczny. Staram się go nie bać, ponieważ nie zrobiłem nic złego, mimo to trochę się go lękam.

Chciałbym go zapytać, czy uważa, że wywołuje w ludziach strach, ale nie chcę go rozzłościć. Nie chcę, żeby pomyślał, że robię coś złego, gdyż wciąż się go trochę obawiam.

Próbowałem oglądać policyjne programy w telewizji, ale one też mnie wystraszyły. Policjanci wyglądają w nich na wiecznie zmęczonych i złych, a programy przekonują, że tak ma być. Ja nie powinienem się zachowywać, jakbym był rozgniewany, nawet kiedy jestem, a im wolno.

A jednak nie lubię być osądzany przez pryzmat tego, co robią podobni do mnie, i nie chcę być nie w porządku wobec Danny'ego Bryce'a. Uśmiecha się do mnie, a ja odpowiadam mu uśmiechem. Mówi mi „dzień dobry”, a ja odpowiadam mu „dzień dobry”. Staram się udawać, że noszona przez niego broń to zabawka, dzięki czemu nie pocę się tak w jego towarzystwie, przez co mógłby uznać, że jestem winny czegoś, czego nie zrobiłem.

Pod kocami i poduszkami jestem cały spocony, ale i spokojny. Wypełzam spod nich, odnoszę je i biorę prysznic. To ważne, żeby nie pachnieć brzydko. Śmierdzący ludzie wywołują u innych gniew lub strach. Nie lubię zapachu mydła, którego używam - to sztuczny zapach, zbyt silny - lecz wiem, że jest on akceptowany przez innych.

Jest już późno - po dziewiątej - kiedy wychodzę spod prysznic i ubieram się. W czwartki oglądam zwykle *Kobalt 457*, teraz jednak jest już za późno. Jestem głodny. Zagotowuję wodę i wrzucam do wrzątku trochę makaronu.

Dzwoni telefon. Podskakuję. Niezależnie od wybranego dzwonka telefon zawsze mnie zaskakuje, a ja zrywam się z miejsca, kiedy dają się zaskoczyć.

To pan Aldrin. Ściska mnie w gardle; przez dłuższą chwilę nie mogę wydobyć z siebie głosu, ale mój rozmówca mnie nie pogania. Czeka. Rozumie.

Ja nie rozumiem. On należy do biura, jest jego częścią. Nigdy przedtem nie dzwonił do mnie do domu. A teraz chce się ze mną spotkać. Czuję się tak, jakbym wpadł w pułapkę. Jest moim szefem. Może mówić mi, co mam robić, ale tylko w pracy. Jego głos w słuchawce domowego telefonu brzmi niewłaściwie.

- Ja... nie spodziewałem się telefonu od pana - mówię.

- Wiem - odpowiada. - Zadzwoiłem do ciebie do domu, ponieważ muszę porozmawiać z tobą poza biurem.

Ściska mnie w żołądku.

- Z jakiego powodu? - pytam.

- Lou, musisz się o tym dowiedzieć, zanim wciągnie cię w to pan Crenshaw. Pojawiła się eksperymentalna metoda leczenia, która może odwrócić autyzm u dorosłych.

- Wiem - mówię. - Słyszałem o tym. Testowali ją już na małpach.

- Zgadza się. Ale artykuł w tym piśmie ma już ponad rok. Odnotowali... postęp. Nasza firma zakupiła wyniki badań. Crenshaw chce, żebyście wszyscy spróbowali tej nowej terapii. Nie zgadzam się z nim. Uważam, że jest za wcześnie, a on nie powinien was o to prosić. To musi być wasz wybór; nikomu nie wolno wywierać na was presji. Ale on jest moim szefem i nie mogę zakazać mu rozmów z wami na ten temat.

Po co dzwoni, skoro nie może pomóc? Czy to jeden z manewrów normalnych ludzi, o których czytałem, kiedy domagają się współczucia za to, że muszą zrobić coś złego?

- Chcę ci pomóc - mówi. Przypominam sobie powiedzenie moich rodziców, że mówienie o tym, co chce się zrobić, nie jest tym samym, co zrobienie tego czegoś... Próbować to coś innego, niż robić. Dlaczego nie powie w zamian: „Pomogę ci”?

- Myślę, że potrzebujecie adwokata - dodaje. - Kogoś, kto pomoże wam w negocjacjach z Crenshawem. Kogoś lepszego ode mnie. Mogę wam znaleźć taką osobę.

Moim zdaniem nie chce być naszym adwokatem. Myślę, że się boi, że Crenshaw go zwolni. To ma sens. Crenshaw może zwolnić każdego z nas. Walczę z upartym językiem, żeby coś powiedzieć.

- Czy nie powinniśmy... czy nie byłoby... myślę... myślę, że ja - my - powinniśmy sami znaleźć taką osobę.

- Naprawdę? - pyta. W jego głosie słyszę powątpiewanie. Kiedyś wystarczyło, żebym usłyszał coś innego od zadowolenia i od razu się bałem, że ten ktoś jest na mnie zły. Cieszę się, że już taki nie jestem. Zastanawia mnie, skąd u niego ta wątpliwość, skoro wie, nad czym pracujemy i że żyjemy

samodzielnie.

- Mogę iść do Centrum - mówię.

- Może tak byłoby lepiej - przytakuje. Po jego stronie pojawia się jakiś hałas. Pan Aldrin coś mówi, chyba nie do mnie: - Ścisz to, rozmawiam przez telefon. - Słyszę drugi, niezadowolony głos, nie rozróżniam jednak słów. A potem mocniejszy głos pana Aldrina, tuż przy moim uchu. - Lou, gdybyście mieli problem ze znalezieniem kogoś... Jeśli chcecie, żebym wam pomógł, proszę, dajcie mi tylko znać. Wiesz, że chcę dla was jak najlepiej.

Nic mi na ten temat nie wiadomo. Wiem, że pan Aldrin jest naszym przełożonym i zawsze był dla nas miły i cierpliwy, zapewnił nam ułatwiające pracę przedmioty, lecz wcale nie wiem, że chce dla nas jak najlepiej. Skąd by wiedział, co to miałyby być? Czy chciałby, żebym poślubił Marjory? Co wie o naszym życiu poza pracą?

- Dziękuję - mówię; bezpieczna, konwencjonalna odżywka dobra w niemal każdej sytuacji. Doktor Fornum byłaby ze mnie dumna.

- Nie ma sprawy - odpowiada. Próbuję powstrzymać umysł od uwikłania się w te słowa, które same w sobie nie mają żadnego znaczenia. Kolejna konwencjonalna odżywka; mój rozmówca zamierza skończyć rozmowę. - Zadzwoń do mnie, gdybyście potrzebowali pomocy. Podam ci mój numer domowy... - Wypluwa z siebie ciąg cyfr; mój system telefoniczny wyłapuje je, choć ja nie zdołałbym ich spamiętać. Numery są łatwe, a zwłaszcza ciąg składający się z liczb pierwszych, choć pan Aldrin prawdopodobnie nigdy tego nie zauważył. - Dobranoc, Lou - kończy. - Spróbuj się nie martwić.

Próbować to nie robić. Żegnam się, odkładam słuchawkę i wracam do makaronu, nieco już rozmiękłego. Nie przeszkadza mi rozgotowany makaron; jest miękki i uspokajający. Większość ludzi nie lubi dodawać do makaronu masła orzechowego, lecz ja tak.

Rozważam zamiar pana Crenshawa skierowania nas na leczenie. Nie sądzę, żeby mógł nas do tego zmusić. Obowiązują prawa dotyczące takich jak my i badań medycznych. Nie wiem dokładnie, co mówi prawo, nie sądzę jednak, żeby pozwalało komukolwiek nas do tego zmusić. Pan Aldrin powinien wiedzieć na ten temat więcej ode mnie; jest szefem. Musi więc uważać, że pan Crenshaw może to zrobić albo że podejmie w tym celu jakąś próbę.

Trudno zasnąć po czymś takim.

* * *

W piątek rano Cameron mówi mi, że pan Aldrin dzwonił także do niego. Dzwonił do każdego. Jak dotąd, pan Crenshaw nic nam nie powiedział. Czuję to nieprzyjemne ściskanie w żołądku, jak przed egzaminem, którego spodziewam się nie zdać. Włączenie komputera i zabranie się do pracy przynosi ulgę.

Przez cały dzień nic się nie dzieje, z wyjątkiem tego, że skończyłem połowę bieżącego projektu i wszystkie testy wypadają pomyślnie. Po lunchu Cameron mówi mi, że lokalne towarzystwo autystyczne zwołało w Centrum spotkanie na temat artykułu w magazynie. Wybiera się tam. Uważa, że wszyscy powinniśmy pójść. Nie planowałem na sobotę niczego poza myciem auta, a i tak chodzę do Centrum w każdy sobotni ranek.

W sobotę rano idę do Centrum. To długi spacer, lecz o tak wczesnej porze nie jest jeszcze gorąco i dobrze to robi moim nogom. Poza tym, chodnik wyłożony jest dwukolorową cegłą-brązową i czerwoną- tworzącą interesujący wzór. Lubię na niego patrzeć.

W Centrum spotykam nie tylko kolegów i koleżanki z pracy, lecz również tych z całego miasta.

Niektórzy, głównie starsi, przebywają w dziennych ośrodkach opieki lub warsztatach pracy chronionej, a mieszkają we wspólnych domach. Stefan jest profesorem na tutejszym niewielkim uniwersytecie; zajmuje się biologią. Mai jest profesorem na większym uniwersytecie; prowadzi badania na pograniczu matematyki i biofizyki. Żadne z nich nie przychodzi zbyt często na spotkania. Zauważyłem, że najczęściej przychodzą najbardziej poszkodowani. Młodzi ludzie, tacy jak Joe Lee, nie pokazują się prawie wcale.

Rozmawiam z kilkoma osobami, które znam, zarówno z pracy, jak i spoza niej, na przykład z Murrayem, pracującym w wielkiej firmie rachunkowej. Murray chce usłyszeć o moim fechtunku; trenuje aikido i też nie powiedział o tym swojemu psychiatrze. Wiem, że słyszał o nowej metodzie leczenia, bo z jakiej innej przyczyny przyszedłby tu dzisiaj, ale odnoszę wrażenie, że nie chce o tym rozmawiać. Nie pracuje z nami; może nie wiedzieć, jak bliskie są już testy na ludziach. Może tego chce. Nie zamierzam go o to pytać, nie dzisiaj.

Centrum nie jest wyłącznie dla ludzi autystycznych. Widujemy tu mnóstwo osób z różnymi dolegliwościami, zwłaszcza w weekendy. Nie wiem, na co cierpią. Nie chcę myśleć o wszystkich przypadłościach, jakie mogą dotknąć człowieka.

Niektórzy są przyjaźnie nastawieni i z nami rozmawiają, inni nie. Dzisiaj Emmy podchodzi od razu do mnie. Jest tutaj niemal zawsze. Niższa ode mnie, ciemnowłosa, nosi okulary o grubych szklach. Nie wiem, czemu nie przeszła operacji okulistycznej. Pytanie o to byłoby nieuprzejme. Emmy zawsze sprawia wrażenie rozgniewanej. Ma ściągnięte brwi i napięte mięśnie w kącikach ust, zawsze skierowanych do dołu.

- Masz dziewczynę - mówi.

- Nie - odpowiadam.

- Tak. Linda mi powiedziała. Nie jest jedną z nas.

- Nie - powtarzam. Marjory nie jest moją dziewczyną - jeszcze - i nie chcę rozmawiać o niej z Emmy. Linda nie powinna Emmy nic mówić, a już na pewno nie o tym. Nie powiedziałem Lindzie, że Marjory jest moją dziewczyną, bo nianie jest. To nie w porządku.

- Tam, gdzie chodzisz walczyć na szpady - mówi Emmy. - Jest tam dziewczyna...

- To nie jest dziewczyna - zaprzeczam. - To kobieta i nie jest moją dziewczyną. - Jeszcze, dodaję w myślach. Jednak, jak mi się wydaje, robię się czerwony na myśl o Marjory i wyrazie jej twarzy w zeszłym tygodniu.

- Linda mówi, że jest. Ona jest szpiegiem, Lou.

Emmy rzadko używa imion. Kiedy wymawia moje, czuję się tak, jakby ktoś mnie trzepnął w ramię.

- Co masz na myśli, mówiąc „szpieg”?

- Pracuje na uniwersytecie. Tam, gdzie przygotowali ten projekt, wiesz. - Patrzy na mnie ostro, jakbym to ja nim kierował. Ma na myśli zespół badawczy, zajmujący się zaburzeniami rozwojowymi. Kiedy byłem dzieckiem, rodzice zabrali mnie tam na badania i przez trzy lata chodziłem do klasy specjalnej. Potem rodzice uznali, że zespół był bardziej zainteresowany wypełnianiem dokumentów, co pozwalało otrzymać kolejny grant, niż pomaganiem dzieciom, wobec czego przenieśli mnie do innego programu, w lokalnej klinice. Nasze stowarzyszenie wymaga od badaczy ujawniania swej tożsamości; nie pozwalamy im uczestniczyć w naszych spotkaniach.

Emmy sama pracuje na uniwersytecie jako dozorczyńni i przypuszczam, że właśnie stąd wie, że Marjory też tam pracuje.

- Mnóstwo ludzi pracuje na uniwersytecie - mówię. – Nie wszyscy należą do zespołu badawczego.

- Ona jest szpiegiem, Lou - powtarza Emmy. - Interesuje ją wyłącznie twoja diagnoza, a nie ty jako osoba.

Czuję, jak otwiera się we mnie pustka. Jestem pewny, że Marjory nie jest badaczką, ale nie aż tak bardzo pewny.

- Dla niej jesteś dziwolągiem - ciągnie Emmy. – Zamienia przedmiot badań w coś obscenicznego, o ile dobrze pojmuję słowo „obsceniczny”. W coś paskudnego. Mysz w labiryncie, małpa w klatce. Myślę o tym nowym leczeniu. Ludzie, którzy poddadzą mu się pierwsi, będą przedmiotami badań jak małpy, na których już je wypróbowali.

- To nieprawda - mówię, czując ukłucia potu pod pachami i na szyi, i słaby dreszcz, który się pojawia, gdy coś mnie przestraszy. - A zresztą i tak nie jest moją dziewczyną.

- Cieszę się, że jesteś na tyle rozsądny - oznajmia Emmy.

Zostaję na zebraniu, ponieważ gdybym opuścił Centrum, Emmy opowiedziałaby innym o mnie i Marjory. Trudno jest słuchać prowadzącego, który opowiada o zasadach badania i jego implikacjach. Słyszę i nie słyszę tego, co mówi. Zauważam, kiedy mówi o czymś, czego wcześniej nie słyszałem, ale nie obchodzi mnie to. Mogę przeczytać streszczenie później, na stronie internetowej Centrum. Nie myślałem o Marjory, dopóki Emmy o niej nie wspomniała, a teraz nie mogę przestać o niej myśleć.

Marjory mnie lubi. Jestem pewny, że mnie lubi. Jestem pewny, że lubi mnie jako mnie, jako Lou, który fechtuje się w grupie, jako Lou, którego poprosiła o towarzystwo w drodze na lotnisko tamtego wieczoru. Lucia powiedziała, że Marjory mnie lubi. Lucia nie kłamie.

Istnieje jednak lubienie i lubienie. Lubię szynkę jako jedzenie. Nie dbam o to, co szynka sobie myśli, kiedy zatapiam w niej zęby. Wiem, że szynka nie myśli, toteż nie mam oporów, by ją ugryźć. Niektórzy ludzie nie jedzą mięsa, ponieważ zwierzęta, z których pochodzi, kiedyś żyły i może miały własne uczucia i myśli, ale przestaje mnie to interesować z chwilą, kiedy takie zwierzę traci życie. Wszystko, co sieje, kiedyś żyło, z wyjątkiem odrobiny minerałów, a i drzewo może mieć myśli i uczucia, tylko nie wiemy, jak do nich dotrzeć.

A jeśli Marjory lubi mnie tak, jak mówi Emmy -jako rzecz, przedmiot badania, ekwiwalent mojego kęsa szynki? A jeśli lubi mnie bardziej od innych obiektów badań, ponieważ jestem cichy i przyjazny?

Nie czuję się cichy i przyjazny. Czuję się tak, jakbym miał kogoś uderzyć.

Konsultant nie mówi niczego, czego byśmy nie przeczytali w Internecie. Nie umie objaśnić metody. Nie wie, gdzie powinien zgłosić się ktoś chętny do uczestnictwa w badaniach. Nie wspomina o tym, że korporacja, dla której pracuję, zakupiła te badania. Może o tym nie wie. Nic nie mówię. Nie jestem pewny, czy pan Aldrin ma rację.

Po zebraniu większość chce zostać i podyskutować o nowej metodzie, ale ja szybko wychodzę. Chcę iść do domu i pomyśleć o Marjory bez kręcącej się wokół mnie Emmy. Nie chcę myśleć o niej jako o badaczce. Chcę myśleć o tym, jak siedziała obok mnie w samochodzie. Chcę myśleć o jej zapachu i świetlistych włosach, nawet jej stylu walki rapierem.

Łatwiej jest myśleć o Marjory, myjąc auto. Odwiązuję owczą skórę i strzepuję ją na zewnątrz. Nieważne, jak bardzo się staram, zawsze coś się w nią zapłacze - kurz, nitki, a dzisiaj również spinacz biurowy. Nie mam pojęcia, skąd się tutaj wziął. Kładę go na masce samochodu i czyszcze

siedzenie szczotką, a potem odkurzam podłogę. Hałas odkurzacza rani moje uszy, lecz jest to szybsze od zamiatania i mniej kurzu wpada mi do nosa. Myję od środka przednią szybę, uważając, żeby dokładnie wyczyścić narożniki, a potem poleruję lusterka. Sklepy sprzedają specjalne środki czyszczące do aut, ale wszystkie one okropnie śmierdzą i doprowadzają mnie do mdłości, wobec czego używam zwykłej wilgotnej szmatki.

Kładę owczą skórę z powrotem na siedzenie i porządnie ją przywiązuję. Teraz auto jest czyste i gotowe na niedzielny poranek. Choć jeżdżę do kościoła autobusem, lubię sobie myśleć, że mój samochód siedzi sobie czystutki w swoim niedzielnym ubraniu, gotowy na uroczystość.

* * *

Szybko biorę prysznic, nie myśląc o Marjory, a potem idę do łóżka i o niej myślę. W moich myślach zawsze jest w ruchu, a jednocześnie pozostaje w bezruchu. Jej twarz jest dla mnie czytelniejsza od większości twarzy. Wyraz twarzy trwa na tyle długo, że mogę go zinterpretować. Kiedy zasypiam, uśmiecha się.

Tom obserwował z ulicy, jak Marjory Shaw i Don Poiteau idą przez podwórze. Lucia myślała, że Marjory interesuje się Lou Arrendale'em, a oto spaceruje sobie z Donem. Właśnie wziął od niej torbę ze sprzętem, ale... gdyby go nie lubiła, to czy nie odebrałaby jej z powrotem?

Westchnął, przeczesując rzednące włosy. Kochał szermierkę, kochał towarzystwo ludzi, lecz bezustanny ciężar intryg w grupie z biegiem lat wyczerpywał go coraz bardziej. Chciał, żeby ich dom był miejscem, gdzie ludzie dorastają do swych możliwości, fizycznych i społecznych, lecz czasami odnosił wrażenie, że utknął w gronie wiecznych niedorostków. Wcześniej czy później wszyscy przyłączyli się do niego ze swoimi skargami, pretensjami i zranionymi uczuciami.

Albo obskakiwali Lucie. Przeważnie kobiety. Siadały obok niej, udając zainteresowanie jej życiem albo zdjęciami, i zaczynały opowiadać o swoich kłopotach. Spędzali z Lucią wiele godzin na rozmowach o tym, co się dzieje, kto potrzebuje wsparcia i jak najlepiej mu pomóc, nie biorąc na siebie zbyt wielkiej odpowiedzialności.

Gdy podeszli bliżej, Tom przekonał się, że Marjory jest zirytowana. Niczego nieświadomy Don trącił ją w najlepszym momencie, wymachując jej torbę z entuzjazmem wywołanym własnymi słowami. No właśnie, pomyślał Tom. Był pewny, że nim upłynie wieczór, dowie się, czym Don rozwścieczył Marjory, a od Dona usłyszy, że Marjory nic nie rozumie.

- Za każdym razem musi odkładać swoje rzeczy dokładnie na to samo miejsce, nie potrafi położyć ich gdzie indziej - perorował Don, gdy znaleźli się w zasięgu słuchu.

- To schludność - odparowała Marjory. Zabrzmiało to afektowanie, czyli była więcej niż tylko zirytowana. - Masz coś przeciwko porządkowi?

- Mam coś przeciwko obsesji - odrzekł Don. - Ty, moja droga, okazujesz zdrową elastyczność, parkując to po jednej, to po drugiej stronie ulicy, jak również nosząc różne stroje. Lou co ty dzień ubiera się tak samo, czysto, przyznaję, ale tak samo, a już ta historia z miejscem na jego sprzęt...

- Odłożyłeś go na niewłaściwe miejsce i Tom kazał ci go przelożyć, prawda? - domyśliła się Marjory.

- Bo Lou by się zdenerwował - odparł urażonym tonem Don.

- To nie w porządku...

Tom widział, że Marjory miała ochotę nawrzeszczyć na Dona. On też. Ludzie czasami na niego krzyczeli i nigdy nie przynosiło to pożądanego rezultatu. Nic nie skutkowało. Miał porządną, ciężko pracującą dziewczynę, która od ośmiu lat mu matkowała, a on wciąż był taki sam.

- Ja również lubię porządek - wyznał Tom, starając się, by nie zabrzmiało to złośliwie. - Wszystkim jest łatwiej, kiedy każdy wie, gdzie ma swój sprzęt. Poza tym, zostawianie rzeczy gdziekolwiek mogłoby zostać uznane za taką samą obsesję, jak odkładanie ich zawsze w to samo miejsce.

- Daj spokój, Tom. Roztargnienie i obsesja to przeciwności. - Don nawet nie sprawiał wrażenia rozżłoszczonego, tylko rozbawionego, zupełnie jakby Tom był nieświadomym niczego dzieckiem. Tom się zastanawiał, czy Don tak samo zachowuje się w pracy. Jeśli tak, to wyjaśniałoby to zawile meandry jego kariery zawodowej.

- Nie miej pretensji do Lou o to, że przestrzega moich reguł - rzucił, zastanawiając się, czy

odniesie to jakiś skutek. Don wzruszył ramionami i wszedł do domu po sprzęt.

Parę minut spokoju, zanim się zacznie... Tom usiadł obok Lucii, która właśnie rozgrzewała się, i sięgnął palcami dłoni do stóp. Zwykle było to dość łatwe. Marjory usadowiła się po drugiej stronie Lucii i pochyliła do przodu, starając się dotknąć czołem kolan.

- Wieczorem powinien przyjść Lou - odezwała się Lucia, zerkając na Marjory.

- Zastanawiałam się, czy nie sprawiłam mu kłopotu, prosząc, żeby pojechał ze mną na lotnisko - powiedziała Marjory.

- Nie sądzę - mruknęła Lucia. - Powiedziałabym raczej, że było mu bardzo przyjemnie. Czy coś się stało?

- Nie. Odebraliśmy moją przyjaciółkę, potem podrzuciłam go tutaj. To wszystko. Don mówił coś o jego sprzeczności...

- Och, Tom kazał mu wszystko pozbierać i Don chciał to poutykać byle gdzie. Tom dopilnował, żeby zrobił to właściwie. Powinien wiedzieć, jak się do tego zabrać, widząc to tyle razy, ale Don.. on się po prostu nigdy nie nauczy. Teraz kiedy nie jest już z Helen, cofa się do poziomu beztroskiego chłopczyka. Wolałabym, żeby wreszcie dorósł.

Tom tylko się przysłuchiwał, nie wtrącając niczego do rozmowy. Wiedział, co będzie. Za chwilę Lucia poruszy sprawę uczuć Marjory do Lou i Dona, a on wolałby być daleko stąd, kiedy do tego dojdzie. Skończył rozgrzewkę i wstał w chwili, gdy Lou wynurzył się zza narożnika domu.

* * *

Po sprawdzeniu świateł i uprzątnięciu wszystkiego, co groziłoby nabawieniem się kontuzji, Tom zaczął obserwować rozgrzewającego się Lou... metodycznego jak zawsze i jak zawsze dokładnego. Niektórzy ludzie uznaliby, że Lou jest tępy, lecz dla Toma był niezmiennie fascynujący. Trzydzieści lat temu mógłby nigdy tego nie dokonać, pięćdziesiąt lat temu spędziłby życie w zakładzie zamkniętym. Lecz postęp w zakresie wczesnej interwencji, metod nauczania i komputerowo wspieranych ćwiczeń zmierzających do zintegrowania zmysłów umożliwił mu znalezienie dobrej pracy, niezależne życie i funkcjonowanie w świecie na niemal równych warunkach z innymi.

Cud adaptacji, dla Toma nieco przygnębiający. Ludzie młodszy od Lou, urodzeni z tym samym zaburzeniem neurologicznym, mogli być całkowicie uzdrowieni dzięki kuracji genowej przeprowadzonej w ciągu pierwszych dwóch lat życia. Tylko ci, których rodzice odmówili poddania dzieci terapii, musieli się borykać - jak Lou - ze znużającymi metodami terapeutycznymi. Gdyby Lou był młodszy, nie cierpiałby. Byłby normalny, cokolwiek to znaczy.

A jednak był tutaj, na lekcjach fechtunku. Tom przypomniał sobie jakby szarpane, nierówne ruchy Lou podczas pierwszych zajęć - przez długi czas zanosilo się na to, że szermierka w jego wykonaniu będzie zwykłą parodią. Na każdym etapie szkolenia obserwował ten sam powolny start i mozolny postęp... od floretu do szpady, od szpady do rapiera, od jednego ostrza do floretu i sztyletu, szpady i sztyletu, rapiera i sztyletu, i tak dalej.

Lou dochodził do wszystkiego dzięki wyteżonej pracy, nie zaś wrodzonym zdolnościom. A przecież teraz, gdy opanował czysto fizyczne umiejętności, w ciągu kilku miesięcy osiągnął biegłość, co w przypadku innych szermierzy trwało całe lata.

Uchwycił spojrzenie Lou i przywołał go do siebie.

- Pamiętaj, co powiedziałem: potrzebujesz teraz praktyki z najlepszymi w grupie.

- Tak jest... - skinął głową Lou, po czym pozdrowił go formalnie.

Otwarcie wydawało się sztywne, szybko jednak zmienił styl na taki, który dawał mu przewagę dzięki specyficznym dla niego ruchom. Tom krążył, zmieniał kierunek, markował ciosy i udawał, że się odkrywa, a Lou odpowiadał manewrem na manewr, sprawdzając go tak, jak on sprawdzał jego. Czy był w tym jakiś wzór, czy tylko zwykłe reakcje na jego posunięcia? Nie potrafił tego określić. Lecz raz za razem Lou omal go nie trafiał, przewidując jego ruchy... co musiało oznaczać, rozumował Tom, że sam postępuje według jakiegoś wzoru, który zaobserwował Lou.

- Analiza wzorów - odezwał się w tej samej chwili, w której ostrze Lou ominęło jego klingę i trafiło go w pierś. - Powiniennem być o tym pomyśleć.

- Przepraszam - powiedział Lou. Zawsze przepraszał, sprawiając wrażenie zakłopotanego.

- Dobre trafienie - pochwalił go Tom. - Próbowałem się domyślić, jak robisz to, co robisz, zamiast koncentrować się na pojedynku. Wykorzystujesz analizę wzorów?

- Tak - przyznał Lou. W jego tonie zabrzmiało lekkie zaskoczenie i Tom się zastanowił, czyjego przeciwnik pomyślał sobie: „A inni nie?”.

- Nie potrafię tego robić w czasie rzeczywistym - powiedział Tom. - Chyba że ktoś działa według naprawdę prostego schematu.

- Czy nie jest to nie fair? - zmartwił się Lou.

- To jest bardzo fair, o ile potrafisz tego dokonać – uspokoił go Tom. - To również oznaka dobrego szermierza... albo szachisty, jeśli już o tym mowa. Grasz w szachy?

- Nie.

- Cóż... Wobec tego przekonajmy się, czy potrafię skupić się na tym, co robię, i zdołam ci się zrewanżować. - Tom skinął głową i zaczęli od nowa, lecz trudno było mu się skupić. Chciał myśleć o Lou: o chwili, w której niezgrabne, gwałtowne ruchy nabrały skuteczności, kiedy po raz pierwszy dopatrzył się w nim prawdziwego potencjału, kiedy Lou zaczął rozpoznawać wzory postępowania wolniejszych szermierzy. Jak świadczyło to o jego sposobie rozumowania? Jak świadczyło to o nim jako o człowieku?

Dostrzegł lukę i zaatakował, lecz natychmiast poczuł uderzenie w klatkę piersiową.

- Trafienie, Lou. Jeśli tak dalej pójdzie, będziemy mogli zgłosić cię do turniejów - powiedział, tylko na wpół żartobliwie. Lou zeszywniał i przygarbił się. - Zmartwiło cię to?

- Ja... nie wiem, czy powinienem walczyć w turniejach - odparł.

- Decyzja należy do ciebie. - Tom ponownie zasalutował. Zastanawiał się, dlaczego Lou wyraził to w taki właśnie sposób. Czym innym jest nie mieć ochoty na występ w turnieju, a czym innym twierdzenie, że „nie powinno się” tego robić. Gdyby Lou był normalny - nienawidził siebie za samo użycie tego słowa, lecz tak właśnie było - występowałby w turniejach od trzech lat. Zacząłby zbyt wcześnie, jak większość ludzi, zamiast zbyt długo ograniczać się do tych prywatnych ćwiczeń. Tom skupił się na pojedynku, z trudem sparował cios i spróbował bardziej chaotycznych ataków.

W końcu zabrakło mu tchu i musiał przerwać zdyszany.

- Potrzebuję przerwy, Lou. Chodź, popatrzymy sobie.

Lou podążył za nim posłusznie i przysiadł na kamiennym murku wokół patio, Tom zaś zajął jedno z krzeseł. Zauważył, że Lou był spocony, nie oddychał jednak zbyt ciężko.

* * *

Tom wreszcie przerywa walkę; sapie i mówi, że jest zbyt zmęczony, by kontynuować. Prowadzi

mnie na stronę, a na placu pojawia się kolejna para. Z trudem łapie powietrze; słowa rozdzielają długie przerwy, dzięki czemu lepiej je rozumiem. Cieszę się, że uważa, iż mimo wszystko dobrze sobie radzę.

- No proszę... nawet się nie zadyszałeś. Idź powalczyć z kimś innym, daj mi odetchnąć. Pogadamy później.

Oglądam się na Marjory, która siedzi obok Lucii. Zauważyłem, że obserwowała, jak walczyłem z Tomem. Teraz patrzy w ziemię, a gorąco zaróżowiło jej twarz. Ściska mnie w żołądku, lecz wstaję i do niej podchodzę.

- Cześć, Marjory - mówię. Bije mi serce. Marjory podnosi wzrok. Uśmiecha się szczerym uśmiechem.

- Cześć, Lou - odpowiada. - Jak się masz?

- Świetnie - zapewniam. - Czy... zechcesz... ze mną powalczyć?

- Oczywiście. - Podnosi z ziemi maskę i ją zakłada. Teraz nie widzę już tak dobrze jej twarzy, a ona nie będzie widziała mojej, kiedy ja założę swoją maskę; odpycham tę myśl. Mogę patrzeć, nie będąc widzianym; puls mi się uspokaja.

Zaczynamy od przećwiczenia sekwencji z podręcznika fechtunku Saviola. Krok po kroku, naprzód i w bok, okrążając się nawzajem i wyczuwając. Jest to zarówno rytuał, jak i rozmowa, gdy paruję cios i sam natykam się na zastawę. Czy to znam? Czy ona zna tamto? Jej ruchy są płynniejsze, bardziej nastawione na sondowanie przeciwnika niż u Toma. Kółeczko, krok, pytanie, odpowiedź, rozmowa stali, wtórująca muzyce, która rozbrzmiewa w mojej głowie.

Trafiam ją, gdy wykonuje inny ruch, niżbym oczekiwał. Nie chciałem jej uderzyć.

- Przepraszam - mówię. Muzyka się urywa; gubię rytm. Cofam się, przerywając kontakt i kierując czubek szpady ku ziemi.

- Nie... To był dobry cios - mówi Marjory. - Nie powinnam była opuścić zasłony...

- Nic ci nie jest? - To było mocne uderzenie, aż zabolą mnie dłoń.

- Nic... Walczymy dalej. - Za maską dostrzegam błysk zębów: uśmiecha się.

Salutuję. Odpowiada mi. Wracamy do tańca. Staram się być ostrożny. Po dotyku stali wyczuwam, że Marjory staje się bardziej zdecydowana, skupiona, szybsza. Nie przyspieszam; trafia mnie w ramię. Od tego momentu próbuję się fechtować w jej tempie, przedłużając pojedynek do maksimum.

Jej oddech zbyt szybko staje się chrapliwy. Kończymy walkę. Dziękujemy sobie, ściskając dłonie; jestem jak odurzony.

- Cóż to była za zabawa - mówi. - Muszę skończyć z wymówkami i zabrać się porządnie do roboty. Gdybym ćwiczyła z ciężarkami, nie bolałoby mnie tak ramię.

- Ja podnoszę ciężary trzy razy w tygodniu - odpowiadam. Zaraz sobie uświadamiam, że może uznać, iż mówię jej, co ma robić, albo się przechwalam, ja jednak chciałem tylko wyjaśnić, że to dzięki ćwiczeniom nie bolą mnie ramiona.

- Też tak powinnam - przyznaje. Jej głos jest radosny i zrelaksowany. Ja też się odprężam. Nie popsulem jej humoru tymi ciężarami. - Kiedyś ćwiczyłam. Teraz jednak mam na głowie nowy projekt, który pożera mnóstwo czasu.

Wyobrażam sobie projekt jako coś żywego, przeżywającego zegar. Musi chodzić o badania, o których wspominała Emmy.

- Rozumiem. Co to za projekt? - Z trudem łapię oddech, czekając na odpowiedź.

- No cóż, zajmuję się przede wszystkim przekąźnictwem nerwowo-mięśniowym - wyjaśnia Marjory. - Opracowujemy metody leczenia niektórych chorób uwarunkowanych genetycznie i niepoddających się terapii genowej. - Patrzy na mnie, a ja kiwam głową.

- Takich jak dystrofią mięśniowa? - pytam.

- Tak, między innymi - odpowiada Marjory. - Prawdę mówiąc, to dzięki niej zajęłam się szermierką.

Czuję, że marszczę czoło - zakłopotanie. Jaki jest związek pomiędzy szermierką a dystrofią mięśniową? Tacy ludzie się nie pojedynkują.

- Szermierką... ?

- Tak. Wiele lat temu, idąc na zebranie wydziału, przesłam przez podwórko, na którym Tom demonstrował fechtunek. Rozważałam prawidłową pracę mięśni z punktu widzenia lekarza, nie uczestnika... Pamiętam, jak tam stałam, obserwując walczących i zastanawiając się nad biochemicznym zachowaniem komórek mięśniowych, gdy nagle Tom podszedł do mnie i spytał, czy nie chciałabym spróbować. Pewnie wyczytał z mojej twarzy zainteresowanie szermierką, podczas gdy ja przypatrywałam się mięśniom nóg.

- Myślałam, że fechtowałaś się na uczelni - mówię.

- To było na uczelni - przyznaje. - Byłam wtedy świeżo po studiach.

- Och... i zawsze zajmowałaś się mięśniami?

- W pewnym sensie. Odniosłam sukces w pewnych terapiach genowych i zwróciłam się bardziej ku nerwom mięśni... czy może powinnam raczej powiedzieć, że zajęli się tym moi przełożeni. Jestem zwykłą szefową projektu. - Długo patrzy mi w twarz. Muszę odwrócić wzrok, gdyż uczucie staje się zbyt intensywne. - Mam nadzieję, że cię nie uraziłam, prosząc, żebyś mi towarzyszył w drodze na lotnisko, Lou. Z tobą czułam się bezpieczniej.

Robi mi się gorąco.

- Ja nie... chciałem... - Przełknięcie śliny. - Nie jestem zły - mówię, odzyskując kontrolę nad głosem. - Pojechałem z przyjemnością.

- To dobrze - mówi Marjory. Potem milczy; siedzę obok niej i czuję, jak moje ciało się rozluźnia. Siedziałbym tak całą noc, gdyby tylko było to możliwe. Kiedy moje serce zwalnia, rozglądam się wokół. Max, Tom i Susan walczą dwoje na jednego. Don rozwała się w fotelu na patio. Przygląda mi się, ale odwraca wzrok, gdy na niego patrzę.

* * *

Tom pożegnał się z Makssem, Susan i Marjory, którzy wychodzili razem. Rozejrzał się dokoła i zobaczył Lou. Lucia weszła do środka, a za nią ci, którzy jak zwykle chcieli pogadać.

- Są takie badania - odezwał się Lou. - Nowe. Może nawet leczenie.

Tom wsłuchiwał się bardziej w urywany ton głosu, napięcie ujawniające się w wysokości i tonacji, niż w wypowiedane słowa. Lou był przerażony. Przemawiał w ten sposób tylko wówczas, gdy coś go bardzo niepokoiło.

- Nadal w fazie eksperymentalnej czy już dostępne? -Nadal eksperyment. Ale oni... w biurze... chcą... mój szef powiedział... chcą, żebym ja... się temu poddał.

- Eksperymentalnej metodzie leczenia? To dziwne. Zwykle nie są dostępne dla komercyjnych przedsięwzięć medycznych.

- To jest... oni... to zostało opracowane w centrum w Cambridge - wyrzucił z siebie mechanicznym głosem Lou. - Teraz tym dysponują. Mój szef mówi, że jego szef chce, żebyśmy się poddali temu eksperymentowi. Nie zgadza się na to, lecz nie może go powstrzymać.

Tom poczuł gwałtowną chęć, by zdzielić kogoś pięścią po głowie. Lou był przerażony; ktoś go nastraszył. Nie jest moim dzieckiem, upomniał się Tom. Nie miał żadnych praw, ale jako przyjaciel Lou miał określone obowiązki.

- Wiesz, na czym to polega? - zapytał.

- Jeszcze nie. - Lou pokręcił głową. - Pojawiło się w Internecie w zeszłym tygodniu. Lokalne towarzystwo autystyczne zwołało na ten temat spotkanie, ale sami nic nie wiedzieli... Sądzieli, że minie jeszcze wiele lat, nim zastosują je wobec ludzi. Pan Aldrin, mój przełożony, powiedział, że może być teraz testowane, a pan Crenshaw chce, abyśmy wzięli w tym udział.

- Nie mogą żądać od ciebie poddania się leczeniu eksperymentalnemu, Lou. To wbrew prawu zmuszać cię...

- Ale mogą odebrać mi pracę...

- Czy grożą ci zwolnieniem, gdybyś się nie zgodził? Nie mogą tego zrobić. - Przynajmniej tak sądził. Na uniwersytecie było to wykluczone, ale w sektorze prywatnym sprawa wyglądała inaczej. Jednak żeby aż tak? - Potrzebujesz prawnika - dodał. Starał się przypomnieć sobie prawników, których znał. Gail chyba byłaby najlepsza, pomyślał. Od dłuższego czasu zajmowała się prawami człowieka. Wolał zastanawiać się nad tym, kto mógł w tym wypadku pomóc, niż podsycać w sobie pragnienie rozbicia komuś głowy.

- Nie... tak... nie wiem. Martwi mnie to. Pan Aldrin powiedział, że powinniśmy zapewnić sobie pomoc jakiegoś prawnika...

- Racja - przytaknął Tom. Rozwahał przez chwilę, czy nie byłoby lepiej skierować uwagę Lou na coś innego. - Słuchaj... wspomniałem ci o turnieju...

- Nie jestem wystarczająco dobry - rzucił prędko Lou.

- Prawdę mówiąc, jesteś. Zastanawiam się, czy udział w turnieju nie pomógłby ci w tym drugim problemie... - Bił się z myślami, próbując ustalić, czemu tak uważał. - Jeśli skończy się na tym, że będziesz musiał spotkać się ze swoim pracodawcą w sądzie, to będzie to przypominać pojedynek szermierczy. Twoje umiejętności mogłyby ci się bardzo przydać.

Lou obrzucił go pozbawionym wyrazu spojrzeniem.

- Nie rozumiem, czemu miałyby się to przydać.

- Cóż... Może i nie. Pomyślałem sobie tylko, że mógłbyś wykorzystać nowe doświadczenia.

- Kiedy jest ten turniej?

- Za kilka tygodni - odparł Tom. - W sobotę. Mógłbyś pojechać z nami; ja i Lucia będziemy w pobliżu i dopilnujemy, żebyś spotkał tam miłych ludzi.

- Są też niemili ludzie?

- No cóż, owszem. Niemili ludzie są wszędzie i kilku z nich zawsze zdoła dostać się do grup szermierczych. Lecz większość z nich jest miła. Mogłoby ci się spodobać. - Nie powinien nalegać, choć żywił coraz silniejsze przekonanie, że Lou potrzebował większego kontaktu z normalnym

światem, o ile można tak nazwać bandę entuzjastów historycznych sztuk walki. Na co dzień byli najzwyczajniejszymi ludźmi na świecie; po prostu lubili przebierać się w kostiumy i udawać, że zabijają się nawzajem szpadami.

- Nie mam kostiumu - zauważył Lou, patrząc na swoją starą kurtkę bez rękawów.

- Coś ci znajdziemy - zapewnił go Tom. Prawdopodobnie będzie na niego pasował któryś z jego strojów. Miał ich więcej, niż sam potrzebował, więcej od przeciętnych mężczyzn z siedemnastego wieku. - Lucia nam pomoże.

- Nie jestem przekonany - mruknął Lou.

- Cóż, daj mi znać w przyszłym tygodniu, czy chcesz spróbować. Będziemy musieli wpłacić za ciebie wpisowe. Jeśli nie, wkrótce będzie następny turniej.

- Zastanowię się - obiecał Lou.

- Dobrze. A jeśli chodzi o tamto... Być może znam prawniczkę, która mogłaby ci pomóc. Porozmawiam z nią. A co z Centrum, rozmawiali z nimi?

- Nie. Pan Aldrin do mnie dzwonił, ale nikt nie mówi nic oficjalnie i myślę, że też nie powinienem nic mówić, dopóki oni nie zaczną.

- Nie zaszkodzi wcześniej sprawdzić, jakie prawa ci przysługują- zauważył Tom. - Nie jestem pewny... Przepisy ciągle się zmieniają, a ja nigdy nie miałem nic wspólnego z badaniami nad ludźmi, więc nie jestem na bieżąco. Potrzebujesz eksperta.

- To będzie mnóstwo kosztować - powiedział Lou.

- Może - odparł Tom. - To też trzeba sprawdzić. Centrum z pewnością może udzielić ci takich informacji.

- Dziękuję - powiedział Lou.

Tom odprowadzał wzrokiem swojego cichego, zamkniętego w sobie, niekiedy przerażającego na swój niegroźny sposób przyjaciela. Na samą myśl o jakichkolwiek eksperymentach, którym miałby być poddany Lou, robiło mu się niedobrze. Lou to Lou, i był w porządku taki, jaki był.

W środku zastał Dona rozciągniętego na podłodze pod wentylatorem i gadającego jak zwykle o niczym oraz pochyloną nad haftem Lucie, której twarz mówiła: „Ratuj mnie!”. Don odwrócił się ku niemu.

- A więc uważasz, że Lou jest gotowy do zawodów, he? - spytał. Tom skinął głową.

- Podśluchałeś? Owszem, tak uważam. Dokonał ogromnych postępów. Fechtuje się z najlepszymi spośród nas i świetnie sobie radzi.

- To wielka presja dla kogoś takiego jak on - zauważył Don.

- Takiego jak on... Masz na myśli autystycznego?

- Tak. Nie radzą sobie zbyt dobrze z tłumami i hałasem, prawda? Czytałem, że to dlatego znakomici wykonawcy muzyki nie dają publicznych koncertów. Lou jest w porządku, ale uważam, że nie powinieneś nakłaniać go do udziału w turnieju. Załamie się.

Tom stłumił pierwszą myśl, która przyszła mu do głowy, i odparł:

- Pamiętasz swój pierwszy turniej, Don?

- Owszem... Byłem wtedy bardzo młody... To była katastrofa.

- Zgadza się. Pamiętasz, co powiedziałeś po pierwszym pojedynku?

- Nie... raczej nie. Wiem, że przegrałem... Posypałem się.
- Powiedziałeś mi, że nie mogłeś się skupić przez tych wszystkich kręcących się dokoła ludzi.
- Tak. No cóż, to będzie o wiele gorsze dla kogoś takiego jak Lou.
- Don, jak Lou mógłby przegrać w jeszcze większym stopniu niż ty?

Don poczerwieniał.

- Cóż, ja... on... dla niego to będzie jeszcze gorsze. Mam na myśli przegraną. Dla mnie...

- Wytrąbiłeś sześciopak piwa i wyrzygałeś się za drzewem - przypomniał mu Tom. - Potem rozplakałeś się i powiedziałeś, że to najgorszy dzień w twoim życiu.

- Byłem młody - zauważył Don. - Wyrzuciłem to z siebie i przestałem się tym przejmować... a on będzie to rozpamiętywał.

- Cieszę się, że tak troszczysz się o jego uczucia – wtrąciła Lucia. Tom omal się nie skrzywił, słysząc sarkazm w jej głosie, mimo że nie był wymierzony w niego. Don wzruszył ramionami i zmarszczył brwi.

- Oczywiście, że się troszczę - przyznał. - Różni się od nas...

- To się zgadza - potwierdziła Lucia. - Jest lepszym szermierzem od większości z nas i lepszym człowiekiem od niejednego.

- Rany, Luci, ale masz kiepski humor - oznajmił Don żartobliwym tonem, który, jak wiedział Tom, oznaczał, że wcale nie jest mu do śmiechu.

- Nie poprawiasz mi go - rzuciła Lucia, składając robótkę i wstając. Odeszła, nim Tom zdążył coś powiedzieć. Nie znosił, kiedy mówiła głośno to, co sam myślał, a potem zostawiała go, by radził sobie w pojedynkę ze skutkami tej szczerości. Teraz, zgodnie z oczekiwaniami, Don rzucił mu wymowne spojrzenie „między nami mężczyznami”, czym chciał go zachęcić do wyrażenia określonego poglądu na temat kobiet, którego Tom bynajmniej nie podzielał.

- Czy ona... no wiesz... wkracza w kryzys wieku średniego? - zapytał.

- Nie - odparł Tom. - Ona wyraża opinię. - Tak się złożyło, że sam ją wyrażał, ale czy powinien to mówić? Czemu Don po prostu nie dorośnie i nie przestanie sprawiać kłopotów? - Słuchaj, jestem zmęczony, a jutro wcześniej zaczynam zajęcia.

- OK, OK, chwytam aluzję - mruknął Don. Dźwignął się z podłogi z teatralnym grymasem na twarzy i złapał za plecy.

Problem polegał na tym, że właśnie nie pojmował aluzji. Minęło dalszych piętnaście minut, nim wyszedł. Tom zamknął na klucz drzwi wejściowe i pogasił światła, bojąc się, że Don coś wymyśli i wróci, jak to często robił. Tom czuł się źle; dawno temu Don był czarującym, pełnym entuzjazmu chłopcem, a on z pewnością powinien dopomóc mu stać się bardziej dojrzałym mężczyzną. W końcu od czego są starsi przyjaciele?

- To nie twoja wina - odezwała się z holu Lucia. Przemawiała łagodniejszym tonem, a on rozluźnił się nieco; nie miał ochoty uspokajać rozwścieczonej żony. - Byłby gorszy, gdybyś nad nim nie pracował.

- Nie wiem - mruknął Tom. - Wciąż myślę...

- Jesteś urodzonym pedagogiem i nadal uważasz, że powinieneś ich wszystkich ratować przed nimi samymi. Pomyśl tylko: Marcus na uniwersytecie Columbii, Grayson na uniwersytecie Michigan i Vladianoff w Berlinie. Niegdyś to byli twoi chłopcy, a wszyscy stali się lepsi dzięki znajomości z

tobą. Don to nie jest twoja porażka.

- Dziś wieczorem mogę to kupić - oświadczył Tom. Oświetlona padającym z sypialni blaskiem Lucia miała w sobie coś magicznego.

- To nie wszystko, co mam na sprzedaż - oświadczyła przekornie, zsuwając z siebie sukienkę.

* * *

Nie rozumiem, dlaczego Tom ponowił zaproszenie na turniej, kiedy opowiadałem mu o eksperymentalnej metodzie leczenia autyzmu. Rozmyślam o tym podczas powrotu do domu. Widać jak na dłoni, że moje umiejętności szermiercze są coraz lepsze i potrafię stawić czoło najlepszym fecht mistrzom w grupie. Ale co to ma wspólnego z leczeniem lub moimi prawami?

Ludzie, którzy walczą w turniejach, traktują to bardzo serio. Ćwiczą od dawna. Mają własny sprzęt. Chcą wygrać. Nie jestem pewny, czy chcę wygrać, choć cieszy mnie dostrzeganie wzorów i wyszukiwanie dzięki nim własnej drogi. Może Tom uważa, że powinienem pragnąć zwycięstwa? Może uważa, że powinienem pragnąć zwycięstwa w turniejach, tak abym pragnął wygrać w sądzie?

Te dwie sprawy nie mają ze sobą nic wspólnego. Ktoś chce wygrać pojedynki albo wygrać sprawę w sądzie, niekoniecznie zaś obie te rzeczy na raz.

Może są podobne? W obu przypadkach to zawody. Ktoś wygrywa, ktoś inny przegrywa. Rodzice zawsze podkreślali, że nie wszystko w życiu jest współzawodnictwem, że ludzie mogą ze sobą współpracować, że każdy może wtedy wygrać. Szermierka jest ciekawsza, kiedy ludzie współdziałają ze sobą, czerpiąc z tego radość. Nie traktuję trafienia kogoś jako zwycięstwa, tylko jako wykazanie swych umiejętności w grze.

Obie te sprawy wymagają przygotowań? Wszystko wymaga wcześniejszych przygotowań. Obie wymagają... Skręcam gwałtownie, omijając rowerzystę z zepsutym tylnym światłem; nie zauważyłem go wcześniej.

Przewidywanie. Uwaga. Zrozumienie. Wzory. Myśli przelatują mi przez głowę niczym plansze do nauki przedmiotów, zawierające ustalone pojęcia, ubrane w gładkie, niewyjaśniające wszystkiego słówka.

Chciałbym sprawić Tomowi przyjemność. Był zadowolony, kiedy pomagałem mu przy nawierzchni placu do walki i stojakach na sprzęt. Czuję się tak, jakbym odzyskał ojca z jego najlepszych dni. Chciałbym znowu sprawić mu przyjemność, nie wiem jednak, czy to osiągnę, występując w tym turnieju. A co będzie, jeśli przegram? Rozczaruję go? Czego ode mnie oczekuje?

Byłoby ciekawie walczyć z ludźmi, których nigdy wcześniej nie widziałem. Z ludźmi, których wzorów nie znam. Z normalnymi, którzy nie mają pojęcia, że ja nie jestem normalny. A może Tom im powie? Nie wydaje mi się, by chciał to zrobić.

W najbliższą sobotę idę z Erikiem i Lindą do planetarium. To trzecia sobota miesiąca, a ja zwykle sprzątam wtedy mieszkanie. Turniej odbędzie się w sobotę po tamtej sobocie. Nie mam na ten dzień żadnych planów.

Po powrocie do domu wpisuję przy czwartej sobocie miesiąca „turniej szermierczy”. Rozważam wykonanie telefonu do Toma, ale jest już późno, poza tym mówił, żebym poinformował go o mojej decyzji za tydzień. Naklejam na kalendarz karteczkę z przypomnieniem: „Powiedzieć Tomowi ‘tak’”.

Do piątkowego popołudnia pan Crenshaw nie przekazał nam nic na temat eksperymentalnego leczenia. Może pan Aldrin się mylił. Może pan Aldrin wybił mu to z głowy. Sieć huczy od rozmów, przeważnie w prywatnych grupach dyskusyjnych, wygląda jednak na to, że nikt nie wie, na kiedy są zaplanowane próby na ludziach ani gdzie się odbędą.

Nie rozpowszechniam w Internecie informacji, które przekazał nam pan Aldrin. Nie zabraniał rozmów na ten temat, ale byłoby to nie w porządku. Rozzłościłoby go, gdyby pan Crenshaw zmienił decyzję, a wszyscy się rozczarowali. I tak wygląda na rozgniewanego, kiedy nas odwiedza.

Pokaz w planetarium to „Eksploracja planet zewnętrznych i ich satelitów”. Odbywa się od Dnia Pracy, co oznacza, że nie będzie tłoku, nawet w sobotę. Idę wcześniej, na pierwszy pokaz, na którym zwykle jest mniej ludzi nawet w dni, gdy do planetarium przychodzą tłumy. Tylko co trzeci fotel jest zajęty, dzięki czemu Eric, Linda i ja możemy zająć cały rząd, nie siedząc zbyt blisko innych.

Widownia pachnie zabawnie, jak zawsze. Czuję to samo znane mi podniecenie, gdy gasną światła i ciemnieje sztuczny nieboskłon. Choć te światełka na kopule nie są prawdziwymi gwiazdami, to przecież chodzi o gwiazdy. Światło nie jest takie stare; nie wygładziła go podróż przez miliardy miliardów lat - rzuca sieje z projektora na odległość mniejszą niż dziesięciotysięczna część sekundy świetlnej - ale i tak mi się podoba.

Nie podoba mi się za to długie wprowadzenie mówiące o tym, co wiedzieliśmy setki lat temu i pięćdziesiąt lat temu, i tak dalej. Chcę wiedzieć, co wiemy teraz, a nie to, co mogli usłyszeć moi rodzice, kiedy byli dziećmi. Co za różnica, że ktoś dawno temu myślał, iż na Marsie istnieją kanały?

W pluszu mojego siedzenia kryje się twardy, szorstki guzek. Wyczuwam go pod palcami - ktoś przykleił tam gumę albo cukierka, którego nie usunął do końca środek czyszczący. Odkąd go zauważyłem, nie mogę przestać zwracać na niego uwagi. Wsuwam broszurę pomiędzy siebie a ten szorstki punkt.

Wreszcie program przenosi się do teraźniejszości. Wykonane przez próbniki kosmiczne najnowsze zdjęcia zewnętrznych planet są znakomite. Symulacje przelotów sprawiają, że omal nie wyskakuję z fotela, by zanurzyć się w grawitację kolejnych ciał niebieskich. Żałuję, że nie mogę się tam znaleźć osobiście. Kiedy byłem mały i widziałem w wiadomościach ludzi w przestrzeni kosmicznej, chciałem być astronautą, ale wiedziałem, że to niemożliwe. Nawet gdybym poddał się nowej, „dożywotniej” kuracji i żył wystarczająco długo, pozostałbym autystyczny. „Nie smuć się tym, czego nie możesz zmienić”, mawiała mama.

Nie dowiaduję się niczego, czego bym już nie wiedział, ale pokaz i tak mi się podoba. Po zakończeniu jestem głodny. Minęła już zwykła dla mnie pora lunchu.

- Może zjedlibyśmy lunch? - proponuje Eric.

- Jadę do domu - odpowiadam. Mam w domu dobre, suszone mięso i jabłka, które zaraz przestaną być kruche.

Eric kiwa głową i odwraca się.

* * *

W niedzielę idę do kościoła. Przed rozpoczęciem mszy organista gra Mozarta. Muzyka pasuje do podniosłości wyznania. Wszystko pasuje, tak jak powinny pasować do siebie koszula, marynarka i

krawat, nie takie same, ale dobrze dobrane. Chór śpiewa ładny hymn Ruttera. Nie lubię Ruttera tak jak Mozarta, lecz nie boli mnie od tego głowa.

Poniedziałek jest chłodniejszy. Z północnego wschodu wieje wilgotny, przenikliwy wiatr. Nie jest tak zimno, by założyć marynarkę lub sweter, niemniej zrobiło się przyjemniej. Wiem, że najgorsza część lata jest już za nami.

We wtorek znowu się ociepliło. We wtorki robię zakupy spożywcze. We wtorki sklepy są mniej zatłoczone, nawet jeśli wypada wtedy pierwszy dzień miesiąca.

Obserwuję ludzi w spożywczym. Kiedy byłem dzieckiem, mówiono nam, że niedługo nie będzie już sklepów spożywczych. Każdy zamówi sobie jedzenie przez Internet z dostawą do domu. Sąsiedzi robili tak przez pewien czas i moja matka uznawała to za głupie. Zwykle kłóciła się o to z panią Taylor. Twarze im błyszczały, a głosy przypominały zgrzytające o siebie noże. Jako dziecko sądziłem, że się nienawidzą, potem jednak nauczyłem się, że dorośli - ludzie - mogą nie zgadzać się ze sobą i kłócić, nie czując do siebie niechęci.

Nadal są takie miejsca, gdzie dostarczają produkty spożywcze, tutaj jednak wszystkie firmy, które oferowały taką usługę, zbankrutowały. Teraz można zamówić dla siebie artykuły, które przenoszone są do sektora „szybkiego odbioru”, skąd taśmociąg dostarcza pudło prosto na parking. Sam tak robię, ale niezbyt często. Kosztuje dziesięć procent drożej, a dla mnie bardzo ważne jest samo doświadczenie robienia zakupów. Tak właśnie mówiła moja mama. Według pani Taylor, i bez tego doznawałem wystarczająco silnego stresu, lecz mama utrzymywała, że pani Taylor jest zbyt wrażliwa. Czasami żałowałem, że to pani Taylor nie jest moją matką, ale potem miałem z tego powodu wyrzuty sumienia.

Kiedy ludzie w spożywczym robią zakupy sami, często wyglądają na zmartwionych i skupionych, i ignorują innych. Mama nauczyła mnie właściwych zachowań w sklepach i większość reakcji przychodziła mi z łatwością, pomimo panujących w nich hałasu i zamieszania. Ponieważ nikt nie oczekuje, że będzie przystawał i gawędził z nieznanymi, ludzie unikają kontaktu wzrokowego, co ułatwia dyskretne przyglądanie się im bez ryzyka, że ich to zdenerwuje. Nie obchodzi ich, że nie patrzę im prosto w oczy, choć grzeczność nakazuje przynajmniej przez chwilę popatrzeć na osobę przyjmującą od ciebie pieniądze lub kartę.

Grzecznie jest bąknąć coś na temat pogody, nawet jeśli stojący przed tobą w kolejce powiedział wcześniej dokładnie to samo, choć nie jest to konieczne.

Czasami się zastanawiam, jacy są normalni ludzie, a najczęściej robię to właśnie w sklepach spożywczych. Na lekcjach umiejętności codziennych uczono nas sporządzania listy zakupów i przechodzenia z jednej alejki do drugiej, przy jednoczesnym odhaczaniu na liście kolejnych zakupów. Nauczyciel doradzał nam, byśmy wcześniej sprawdzali ceny w gazecie, zamiast porównywać je, stojąc w przejściu między półkami. Myślałem, zgodnie z tym, co nam powiedział, że uczy nas, jak robią zakupy normalni ludzie.

Lecz blokujący alejkę mężczyzna widocznie nie uczestniczył w takich zajęciach. Wygląda na normalnego, ale ogląda każdy słoik z sosem do spaghetti, porównując ceny i czytając etykiety. Stojąca za nim krótkowłosa, siwa kobieta w okularach o grubych szklach stara się zerknąć ponad jego ramieniem na tę samą półkę. Wydaje mi się, że chce kupić któryś z sosów po mojej stronie alejki, lecz mężczyzna stoi jej na drodze, a ona nie zamierza zwracać mu uwagi. Ani ja. napięte mięśnie twarzy uwypuklają mu brwi, policzki i brodę. Ma połyskliwą skórę. Jest zły. Siwowłosa kobieta i ja doskonale wiemy, że dobrze ubrany mężczyzna może wybuchnąć, gdy się go zaczepi.

Nagle podnosi głowę i dostrzega moje spojrzenie. Robi się czerwony na twarzy.

- Mógł pan *coś* powiedzieć! - mówi, przesuwając gwałtownie koszyk na drugą stronę i jeszcze bardziej tarasując drogę staruszce. Uśmiecham się do niej i kiwam głową; okrąża go, pchając koszyk. Dopiero potem sam go wymijam.

- To takie głupie - słyszę, jak pomrukuje. - Dlaczego wszystkie nie mogą być tego samego rozmiaru?

Nie jestem taki głupi, żeby mu odpowiedzieć, choć pokusa jest wielka. Jeśli ludzie mówią na głos, zakładają, że ktoś ich usłyszy. Oczekuje się ode mnie uwagi i słuchania, kiedy inni mówią, i wyćwiczyłem się tak, żeby w większości przypadków postępować właśnie w ten sposób. W spożywczych ludzie nie oczekują odpowiedzi i są źli, kiedy im jej udzielasz. Ten mężczyzna jest bardzo rozzłoszczony. Czuję, jak łomocze mi serce.

Przed sobą widzę dwójkę małych, rozchichotanych dzieci, ściągających z półek paczki przypraw. Do alejki zagląda młoda kobieta w dzinsach i rzuca ostrym tonem:

- Jackson! Misty! Odłóżcie to!

Podsakuję. Wiem, że nie mówi do mnie, ale od tego tonu aż bolą mnie zęby. Jedno dziecko piszczy, a drugie woła „Nie!”. Młoda kobieta mija mnie biegiem, twarz wykrzywia jej złość. Słyszę krzyk dziecka. Nie odwracam się. Chcę powiedzieć: „Spokojnie, spokojnie, spokojnie”, ale to nie moja sprawa. Nie powinno się uciszać innych, jeśli nie jest się ich szefem albo rodzicem. Słyszę inne kobiece głosy besztające matkę dzieci i czym prędzej skręcam w poprzeczną alejkę. Serce bije mi jak szalone, szybciej i mocniej niż zazwyczaj.

Ludzie przychodzą do takich sklepów, by usłyszeć ten hałas i zobaczyć innych ludzi, zagonionych, wściekłych i wyprowadzonych z równowagi. System zamówień online i dostaw zawiódł, ponieważ ludzie woleli przyjść do sklepu i zobaczyć innych ludzi, niż siedzieć w samotności i czekać na przesyłkę. Nie wszędzie. W niektórych miastach zamówienia online są bardzo popularne. Lecz tutaj... Okrążam umieszczony na środku stojak z winem i uświadamiam sobie, że minąłem odpowiednią alejkę. Rozglądam się uważnie dookoła i odwracam się.

Zawsze idę do alejki z przyprawami, niezależnie od tego, czy ich potrzebuję, czy nie. Gdy nie ma tutaj tłumów - a dzisiaj nie ma - zatrzymuję się i wdycham aromaty. Wyczuwam leciutką woń przypraw i ziół pomimo zapachu wosku, płynu do czyszczenia i gumy do żucia stojącego w pobliżu dzieciaka. Cynamon, kminek, goździki, majeranek, gałka muskatołowa... nawet nazwy są interesujące. Mama lubiła używać przypraw i ziół. Pozwalała mi je wąchać. Niektórych nie lubiłem, lecz większość pachniała dobrze. Dziś potrzebuję przyprawy chili. Nie muszę przystawać i rozglądać się; wiem, na której półce znajdę czerwono-białe pudełko.

* * *

Nagle oblewam się potem. Przede mną stoi Marjory. Nie dostrzega mnie, ponieważ działa teraz w trybie zakupów spożywczych. Otworzyła pojemnik z przyprawami. Którymi?, zastanawiam się, dopóki powiew powietrza nie przynosi mi nieomyślnej woni goździków. Mojej ulubionej. Szybko odwracam głowę i staram się skupić na półce z barwnikami, kandyzowanymi owocami i dekoracjami do ciast. Nie rozumiem, dlaczego znajdują się w tej samej alejce co przyprawy i zioła, ale tak właśnie jest.

Zauważy mnie? A jeśli tak, to czy się do mnie odezwie? A może ja powinienem powiedzieć coś do niej? Język urósł mi do rozmiarów cukini. Wyczuwam czyjaś bliskość. Ona czy ktoś inny? Gdybym naprawdę robił zakupy, nie obejrzałbym się. Nie chcę dekoracji do ciast ani kandyzowanych

wiśni.

- Cześć, Lou - mówi. - Pieczesz ciasto?

Odwracam się, by na nią spojrzeć. Widuję ją jedynie u Toma i Lucii, czasem w samochodzie, kiedy jedzie na lotnisko albo z lotniska. Nigdy przedtem nie widziałem jej w tym sklepie. Nie bywa tutaj... albo nic o tym nie wiedziałem.

- Ja... ja tylko oglądam - wyjaśniam. Trudno mi rozmawiać. Nienawidzę się tak pocić.

- Ładne kolory - oznajmia tonem uprzejmego zainteresowania. Przynajmniej nie wyśmiała mnie na cały głos. - Lubisz ciasto owocowe?

- N... nie - odpowiadam, przełykając wielką gulę w gardle. - Myślę... myślę, że kolory są ładniejsze od smaku. - Błąd; smaki nie są ładne ani brzydkie, ale za późno już na zmianę.

Kiwa poważnie głową.

- Też tak uważam - rzuca. - Jak byłam mała i dostałam do zjedzenia swój pierwszy kawałek ciasta owocowego, spodziewałam się, że będzie smaczne, bo ładnie wyglądało. A jednak mi nie smakowało.

- Czy... często robisz tutaj zakupy? - pytam.

- Nie - odpowiada. - Idę do przyjaciółki. Poprosiła mnie, żebym po drodze kupiła jej parę rzeczy. - Patrzy na mnie, a ja z całą mocą uświadamiam sobie, z jakim trudem przychodzi mi mówienie. Nawet oddychać mi ciężiej, a spływający po plecach pot sprawia, że czuję się oślizgły. - Zawsze tutaj kupujesz? - Tak.

- To może mi pokażesz, gdzie znaleźć ryż i folię aluminiową - prosi. Czuję w głowie pustkę, zaraz sobie jednak przypominam.

- Ryż znajduje się w trzeciej alejce pośrodku - mówię. - A folia w osiemnastej...

- Och, proszę cię - przerywa mi radosnym głosem. - Po prostu mi pokaż. Mam wrażenie, że łażę po tym sklepie od kilku godzin.

- Pokazać... Zaprowadzić cię? - Nagle czuję się głupio; oczywiście, że to właśnie miała na myśli. - Chodź - dodaję, zawracając wózkiem, przez co narażam się na wrogie spojrzenie tęgiej kobiety, pchającej wózek ze stertą artykułów. - Przepraszam - mówię do niej; mija mnie bez słowa.

- Pójdę za tobą - proponuje Marjory. - Nie chcę denerwować ludzi...

Kiwam głową i zaczynam od ryżu, ponieważ znajdujemy się w siódmej alejce i jest po prostu bliżej. Zdaję sobie sprawę z obecności Marjory. Ta świadomość ogrzewa mi plecy na podobieństwo promieni słońca. Cieszę się, że nie widzi mojej twarzy; na niej również czuję ciepło.

Przyglądam się jej, gdy penetruje półki z ryżem - długoziarnistym, krótkoziarnistym, brązowym, mieszanym, w pudełkach i torebkach. Nie ma pojęcia, gdzie znaleźć gatunek, o który jej chodzi. Ma jedną rzęsę dłuższą od pozostałych i bardziej brązową. Jej oczy mają więcej kolorów niż jeden oraz cętki w tęczówkach, co sprawia, że są jeszcze bardziej interesujące.

Większość oczu jest wielobarwna, zwykle jednak kolory są do siebie zbliżone. Błękitne oczy mają dwa odcienie błękitu albo błękitu i szarości, albo błękitu i zieleni, czy nawet cętkę lub dwie brązu. Większość ludzi tego nie dostrzega. Kiedy po raz pierwszy poszedłem po moją stanową kartę tożsamości, natknąłem się w formularzu na pytanie o kolor oczu. Próbowałem wypisać wszystkie barwy, jakie przybierają moje oczy, lecz rubryczka okazała się za mała. Poradzili mi, żebym wpisał „piwne”. Tak zrobiłem, lecz nie jest to jedyny kolor moich oczu. Tę barwę ludzie dostrzegają

najczęściej, lecz dzieje się tak dlatego, że w rzeczywistości nie patrzam innym w oczy.

Podoba mi się kolor oczu Marjory, ponieważ to jej oczy i ponieważ podobają mi się wszystkie kolory, jakie przybierają. Lubię także wszystkie kolory jej włosów. Zapewne wpisała do formularza „brązowe”, lecz jej włosy mają wiele odcieni, jeszcze więcej niż oczy. W sklepowym świetle zmatowiały i zabrakło im pomarańczowego połysku, ale ja wiem, że nadal tam jest.

- No i znalazłam - mówi. Trzyma pudełko białego ryżu długoziarnistego do szybkiego gotowania. - Teraz do folii! - komenderuje i uśmiecha się. - Mam na myśli gotowanie, nie szermierkę.^[3]

Rewanżuję się uśmiechem, czując, jak naprężają mi się mięśnie policzków. Wiedziałem, że chodzi jej o folię. Czyżby uważała, że nie wiedziałem, a może po prostu żartowała? Prowadzę ją do skrzyżowania alejek na środku sklepu, a potem prosto do alejki z plastikowymi torebkami, pojemnikami do przechowywania żywności i rolkami przezroczystej folii, papieru śniadaniowego i folii aluminiowej.

- Gładko poszło - mówi. Szybciej wybrała folię niż ryż. - Dziękuję, Lou - dodaje. - Bardzo mi pomogłeś.

Zastanawiam się, czy powinienem powiedzieć jej o kasach ekspresowych. Może ją tym zdenerwuję? Ale wspomniała, że się spieszy.

- Kasy ekspresowe - bąkam. Czuję nagłą pustkę w głowie, a mój głos jest płaski i bez wyrazu. - O tej porze ludzie mają w wózkach więcej, niż informują znaki dotyczące kas ekspresowych...

- To takie frustrujące - mówi. - Który koniec jest szybszy? Z początku nie jestem pewien, o co jej chodzi. Obie kolejki przesuwają się z taką samą prędkością. Czytnik znajduje się pośrodku i tylko tam tempo może być szybkie lub wolne. Czeka, nie poganiając mnie. Może pytała, która kolejka do zwykłych kas jest szybsza, na wypadek gdyby nie chciała stanąć do kasy ekspresowej. Wiem. To kolejka najbliższej punktu obsługi klienta. Mówię jej, a ona kiwa głową.

- Przepraszam, Lou, ale muszę się pospieszyć - mówi. - Miałam spotkać się z Pam piętnaście po szóstej.

- Jest szósta siedem. Jeśli Pam mieszka daleko stąd, może nie zdążyć.

- Powodzenia - rzucam. Odprowadzam ją wzrokiem, gdy szybkim krokiem oddala się alejką, zgrabnie omijając kupujących.

- A więc tak wygląda - odzywa się ktoś za moimi plecami. Odwracam się. To Emmy. Sprawia jak zwykle wrażenie rozgniewanej. - Nie jest aż tak ładna.

- Ja uważam, że jest - odpowiadam.

- Widzę - mówi Emmy. - Zarumieniłeś się.

Czuję, jak płonie mi twarz. Może się czerwienię, ale Emmy nie musiała tego mówić. To niegrzeczne tak komentować publicznie czyjś wyraz twarzy. Milczę.

- Pewnie myślisz, że cię kocha - dodaje Emmy wrogim tonem. Uważa, że tak myślę, a ona sądzi, że się mylę i że Marjory mnie nie kocha. Smutno mi, że tak sądzi, a jednocześnie cieszę się, że potrafię to wszystko wywnioskować z tego, co powiedziała i w jaki sposób to zrobiła. Kilka lat temu nic bym nie pojął.

- Nie wiem - odpowiadam spokojnie i cicho. W głębi alejki jakaś kobieta zamiera z ręką na paczce plastikowych pojemników i zaczyna się nam przyglądać. - Nie masz pojęcia, co myślę - mówię do Emmy. - I nie masz pojęcia, co myśli ona. Próbujesz czytać w myślach. To błąd.

- Uważasz, że jesteś taki mądry - prycha Emmy. - Tylko dlatego, że pracujesz przy komputerach i zajmujesz się matematyką. Nic nie wiesz o ludziach.

Kobieta z głębi alejki podchodzi bliżej i zaczyna się nam przysłuchiwać. Boję się. Nie powinniśmy tak rozmawiać w miejscu publicznym. Nie powinniśmy rzucać się w oczy. Powinniśmy wtapiać się w tłum, wyglądać, mówić i zachowywać się jak normalni ludzie. Gdybym spróbował powiedzieć to Emmy, rozzłościłaby się jeszcze bardziej. Mogłaby powiedzieć coś głośno.

- Muszę iść - mówię do Emmy. - Już jestem spóźniony.

- Dokąd, na randkę? - dopytuje się. Słowo „randka” wymawia głośniejszym tonem, co ma oznaczać ironię.

- Nie - odpowiadam cicho. Jeśli zachowam spokój, może się ode mnie odczepi. - Idę oglądać telewizję. Zawsze oglądam telewizję w... - Nagle nie mogę przypomnieć sobie dnia tygodnia. W głowie mam pustkę. Odwracam się, jak gdybym zdążył wypowiedzieć całe zdanie. Emmy śmieje się szorstko, lecz nie mówi nic, co mógłbym dosłyszeć. Wracam pospiesznie do alejki z przyprawami i zabieram paczkę z proszkiem chili, a potem idę w stronę kas. Do wszystkich ustawiły się kolejki.

W mojej kolejce stoi przede mną pięcioro ludzi. Trzy kobiety i dwóch mężczyzn. Jeden blondyn, pozostali mają ciemne włosy. Mężczyzna włożył błękitny pulower prawie w tym samym kolorze co pudełko w jego koszyku. Staram się myśleć tylko o kolorze, lecz jest bardzo głośno, a sklepowe światła sprawiają, że barwy różnią się od rzeczywistych. To znaczy takich, jakimi są w blasku słońca. Sklep też jest realnością. Rzeczy, których nie lubię, są równie prawdziwe, jak te, które lubię.

Mimo to łatwiej mi, kiedy rozmyślam o rzeczach, które lubię, a nie o takich, których nie lubię. Rozmyślanie o Marjory i *Te Deum* Haydna uszczęśliwia mnie. Kiedy pozwalam sobie na myślenie o Emmy, choćby na moment, muzyka robi się tak cierpka i mroczna, że mam ochotę uciekać. Skupiam się na Marjory, jak gdyby była przydzielonym mi w pracy zadaniem, a muzyka tańczy, coraz radośniejsza.

- Czy to twoja dziewczyna?

Sztywnieję i na wópół się obracam. To kobieta, która obserwowała Emmy i mnie; stanęła za mną w kolejce. W jaskrawym świetle sklepowych lamp jej oczy błyszczą, a wyschnięta szminka przybiera w kącikach ust krzykliwy pomarańczowy odcień. Uśmiecha się do mnie, ale nie jest to miły uśmiech. Raczej twardy, ograniczający się do samych ust. Nie odpowiadam, a ona odzywa się ponownie.

- Nie mogłam tego nie zauważyć - mówi. - Twoja przyjaciółka była taka wzburzona. Jest trochę... inna, nieprawdaż? - Błyska zębami w uśmiechu.

Nie wiem, co powiedzieć. Muszę się odezwać; patrzę na mnie wszyscy stojący w kolejce.

- Nie chcę być niegrzeczna - ciągnie kobieta. Mięśnie wokół jej oczu napinają się wyraźnie. - Chodzi o to... że zwróciłam uwagę na jej sposób mówienia.

Życie Emmy należy do Emmy. Nie jest życiem tej kobiety; nie ma prawa się dopytywać, co złego dzieje się z Emmy. O ile cokolwiek się dzieje.

- Musi być ciężko ludziom takim jak wy - mówi. Ogląda się na obserwujących nas ludzi w kolejce i chichocze cicho. Nie mam pojęcia, co ją tak rozbawiło. Moim zdaniem nie ma w tym nic śmiesznego. - Związki uczuciowe i dla nas bywają trudne - dodaje. Nie uśmiecha się już. Ma ten sam wyraz twarzy co doktor Fornum, kiedy wyjaśnia mi, co chciałaby, żebym zrobił. - Wam musi być jeszcze trudniej.

Stojący za nią mężczyzna ma dziwną minę. Nie umiem powiedzieć, czy się z nią zgadza, czy nie. Chciałbym, żeby ktoś kazał jej zamilknąć. Byłoby niegrzeczne, gdybym ja jej to zaproponował.

- Mam nadzieję, że cię nie zdenerwowałam - dodaje wyższym głosem, unosząc brwi. Czeka, aż udzieli jej właściwej odpowiedzi.

Obawiam się, że nie ma właściwej odpowiedzi.

- Nie znam pani - odzywam się cicho i spokojnie. Chcę przez to powiedzieć, że jej nie znam i nie mam ochoty na rozmowy o Emmy i Marjory czy na poruszanie jakichkolwiek osobistych tematów z kimś obcym.

Twarz jej tężeje. Odwracam się szybko. Za plecami słyszę „No cóż!”, co przypomina sapnięcie, i ciche mamrotanie jakiegoś mężczyzny: „Dobrze ci tak”. Domyślam się, że to ten stojący za tamtą kobietą, lecz nie oglądam się i nie patrzę na boki. Kolejka przede mną skurczyła się do dwojga osób. Patrzę prosto przed siebie, nie koncentrując się na niczym szczególnym, i próbuję znów usłyszeć muzykę, ale nic z tego. Dociera do mnie tylko hałas.

Gdy wynoszę zakupy na zewnątrz, lepki upał wydaje się jeszcze gorszy, niż kiedy wchodziłem do sklepu. Wyczuwam zapach wszystkiego: resztek słodczy na wyrzuconych papierkach, łupinek owoców, gumy, dezodorantów i szamponu przechodniów, parkingowego asfaltu, spalin autobusów. Stawiam zakupy na bagażniku, otwierając drzwi samochodu.

- Hej - słyszę. Podskakuję i obracam się.

To Don. Nie spodziewałem się zobaczyć tutaj Dona. Nie spodziewałem się też zobaczyć tutaj Marjory. Ciekawe, czy inni członkowie grupy szermierczej też robią w tym sklepie zakupy.

- Cześć, brachu - dodaje. Ma na sobie koszulkę w prążki i ciemne, luźne spodnie. Nie widziałem wcześniej, żeby ubierał się w coś takiego; na fechtunek przychodzi w T-shircie i džinsach albo kostiumie.

- Cześć, Don - mówię. Nie mam ochoty na rozmowę z Donem, chociaż jest przyjacielem. Jest za gorąco, a ja muszę zawieźć zakupy do domu i je pochować. Podnoszę pierwszą torbę i umieszczam ją na tylnym siedzeniu.

- Robisz tutaj zakupy? - pyta. Głupie pytanie, skoro sterczę przy samochodzie z torbami pełnymi produktów. Może myśli, że to wszystko ukradłem?

- Przyjeżdżam tutaj we wtorki - odpowiadam. Patrzy z dezaprobatą. Może uważa, że wtorki nie są odpowiednie na zakupy spożywcze, ale w takim razie co sam tutaj robi?

- Przychodzisz jutro na szermierkę? - pyta.

- Tak - odpowiadam. Wkładam do auta drugą torbę i zamykam tylne drzwi.

- Wybierasz się na ten turniej? - Patrzy na mnie w taki sposób, że mam ochotę odwrócić wzrok lub wbić go w ziemię.

- Tak - mówię. - A teraz muszę jechać do domu. - Mleko powinno być przechowywane w temperaturze nie wyższej niż 38 stopni Fahrenheita. Na parkingu jest co najmniej 90 stopni^[4]; zakupione przeze mnie mleko zaraz się nagrzej.

- Prawdziwy rutyniarz z ciebie, co? - pyta.

Nie wiem, czy istnieje fałszywy rutyniarz. Zastanawiam się, czy to coś takiego jak „prawdziwa kosa”.

- Robisz codziennie te same rzeczy? - chce wiedzieć.

- Nie te same rzeczy codziennie - prostuję. - Te same rzeczy w te same dni.

- Och, w porządku - uspakaja. - Cóż, do zobaczenia jutro, mój systematyczny przyjacielu. -

Śmieje się. To dziwny śmiech, jakby Don wcale nie był rozbawiony. Otwieram przednie drzwi i wsiadam do samochodu. Don nic nie mówi ani nie odchodzi. Włączam silnik, a on gwałtownie wzrusza ramionami, jakby coś go ukąsiło.

- Do widzenia - mówię uprzejmie.

- Tak - mruczy przeciągle. - Cześć.

Wciąż tam stoi, kiedy ruszam z miejsca. Widzę go we wstecznym lusterku, dopóki nie wyjeżdżam na ulicę. Skręcam w prawo.

Gdy się oglądam, już go nie ma.

* * *

W moim mieszkaniu jest ciszej niż na zewnątrz, ale nie jest tak naprawdę cicho. Piętro niżej policjant Danny Bryce ma włączony telewizor i wiem, że ogląda show z udziałem publiczności. Wyżej pani Sanderson przeciąga krzesła do kuchni; robi tak co wieczór. Słyszę tykanie budzika i cichutki szum zasilacza swojego komputera. Waha się nieznacznie wraz ze zmianami natężenia mocy. Z zewnątrz napływa hałas: stukot pociągu podmiejskiego, jęk ruchu ulicznego, głosy na podwórku.

Trudniej mi ignorować hałasy, kiedy jestem rozgniewany. Włączam muzykę. Nakłada się na inne dźwięki, lecz one wciąż są obecne, niczym zabawki wepchnięte pod gruby dywan. Chowam zakupy, ścierając z kartonu z mlekiem kropelki skondensowanej wilgoci, i nastawiam głośniejszą muzykę. Nie za głośno; nie powinienem denerwować sąsiadów. W odtwarzaczu znajduje się płyta z Mozartem. Zwykle pomaga. Czuję, jak powolutku opuszcza mnie napięcie.

Nie wiem, dlaczego zaczęła mnie tamta kobieta. Nie powinna była tego robić. Sklep spożywczy to teren neutralny; nie powinna tam rozmawiać z nieznajomymi. Byłem bezpieczny, dopóki nie zwróciła na mnie uwagi. Gdyby Emmy nie mówiła tak głośno, nic by nie zauważyła. Sama tak powiedziała. Nie przepadam za Emmy. Czuję, jak czerwienieje mi kark na myśl o tym, co wygadywała ona i tamta kobieta.

Rodzice mówili, że nie powinienem obwiniać ludzi za to, iż dostrzegają, że jestem inny. Nie powinienem mieć pretensji do Emmy. Powinienem raczej przyjrzeć się sobie i rozważyć, co się wydarzyło.

Nie chcę tego robić. Nie uczyniłem nic złego. Muszę robić zakupy w spożywczym. Miałem powód, żeby tam być. Zachowywałem się odpowiednio. Nie rozmawiałem z nieznajomymi ani nie mówiłem do siebie na głos. Nie zajmowałem w alejce więcej miejsca, niż powinienem. Marjory jest moją przyjaciółką. Rozmowa z nią nie była niczym złym, tak samo okazana jej pomoc w odszukaniu ryżu i folii aluminiowej.

Emmy się myliła. Emmy mówiła za głośno i to dlatego tamta kobieta zwróciła na nas uwagę. Mimo to powinna była zajmować się własnymi sprawami. To nie moja wina, że Emmy mówiła za głośno.

Muszę wiedzieć, czy to, co czuję, jest tym, co czują normalni ludzie, kiedy są zakochani. W szkole, na lekcjach angielskiego, czytaliśmy różne opowiadania o miłości, lecz nauczyciele zawsze nam mówili, że są one dalekie od rzeczywistości. Nie wiem dlaczego. Nie zapytałem wtedy o to, ponieważ nic mnie to nie obchodziło. Myślałem, że to głupie. Pan Neilson, ten od zajęć z higieny, mówił, że to wszystko kwestia hormonów i żebyśmy nie robili nic głupiego. Sposób, w jaki opisał czynności seksualne, sprawił, że wolałbym nie mieć tam w dole niczego, niczym plastikowa lalka. Nie potrafiłem wyobrazić sobie wkładania *tego* do *tamtego*... Poza tym nazwy części ciała są brzydkie. Ukłucie boli; kto chciałby mieć kolec^[5]? Wciąż myślałem o cierniach. Inne słowa nie były lepsze, a termin medyczny - penis - brzmiał głupio. Określenia aktu płciowego też są brzydkimi, dudniącymi słowami; przywodzą mi na myśl ból. Samo wyobrażenie sobie bliskości, konieczności oddychania cudzym oddechem, wachania cudzego ciała... obrzydliwe. Szatnia była wystarczająco okropna. Zawsze zbierało mi się tam na wymioty.

Wtedy uważałem to za ohydne. Teraz... zapach włosów fechtującej się Marjory sprawiał, że chciałem się do niej zbliżyć. Mimo że używa perfumowanego mydła do odzieży i dezodorantu o jakby proskowatym zapachu, jest coś... Ale sam *pomysł* pozostaje dla mnie okropny. Widziałem zdjęcia; wiem, jak wygląda kobiece ciało. Kiedy chodziłem do szkoły, chłopcy wymieniali się kasetami wideo z tańczącymi nagimi kobietami i parami, które uprawiały seks. Oglądając je, czerwienili się i pocili, a ich głosy przypominały dźwięki wydawane przez szympansy z audycji przyrodniczej. Z początku też chciałem zobaczyć, ponieważ niczego takiego nie znałem - moi rodzice nie trzymali w domu podobnych rzeczy - lecz te krótkie filmy okazały się nudne, a występujące w nich kobiety sprawiały wrażenie rozgniewanych lub wystraszonych. Uznałem wówczas, że gdyby im się to podobało, wyglądałyby na szczęśliwsze.

Nigdy nie chciałem sprawić, żeby ktoś wyglądał na przerażonego albo złego. Nie jest miło być przestraszonym albo rozgniewanym. Przerażeni ludzie popełniają błędy. Rozgniewani ludzie popełniają błędy. Pan Neilson mówił, że pociąg seksualny jest czymś całkowicie normalnym, lecz nie wyjaśnił, na czym on polega, przynajmniej nie tak, żebym mógł to zrozumieć. Moje ciało rozwijało się tak samo jak ciała innych chłopców; pamiętam moje zdumienie, gdy odkryłem na kroczu pierwsze ciemne włoski. Nauczyciel opowiedział nam o spermie i jajeczkach, i o tym, jak wszystko wyrasta z nasienia. Kiedy zobaczyłem te włosy, pomyślałem, że ktoś je tam zasiał, i nie miałem pojęcia, jak do tego doszło. Matka wyjaśniła mi, że to objaw dojrzewania płciowego, i zakazała robienia głupstw.

Nigdy nie byłem pewny, o jakie uczucia chodziło; wrażenia cielesne, jak ciepło i zimno, czy psychiczne, jak radość i smutek. Kiedy patrzyłem na zdjęcia nagich dziewcząt, moje ciało czasem reagowało, lecz jedynym uczuciem psychicznym było obrzydzenie.

Widziałem walczącą Marjory i wiem, że ją to bawi, lecz zwykle się nie uśmiecha. Mówią, że twarz uśmiechnięta to twarz szczęśliwa. Może to nieprawda? Może jej się to podoba?

Kiedy docieram do domu Toma i Lucii, ta ostatnia mówi mi, żebym wyszedł na dwór. Sama pichci coś w kuchni; słyszę stukot garnków. Wyczuwam przyprawy. Nie ma nikogo więcej.

Tom siedzi na tyłach domu i usuwa osełką szczyrbę z klingi jednej ze swoich broni. Zaczynam rozgrzewkę. Od śmierci moich rodziców są jedyną znaną mi parą, która jest ze sobą tak długo po ślubie. Nie potrafię ich zapytać, jak to jest być małżeństwem.

- Czasami ty i Lucia sprawiaacie wrażenie, jakbyście się na siebie gniewali - mówię, wypatrując na twarzy Toma oznak gniewu.

- Pary czasami się kłócą - odpowiada Tom. - Nie jest łatwo tyle czasu przebywać tak blisko z drugą osobą.

- Czy... - Nie wiem, jak powiedzieć to, co chcę powiedzieć. - Czy jeśli Lucia się na ciebie gniewa... jeśli ty się na nią gniewasz... czy to oznacza, że się nie kochacie?

Tom wygląda na zaskoczonego. Potem wybucha śmiechem.

- Nie, ale to trudno wytłumaczyć, Lou. Kochamy się nawet wtedy, kiedy jesteśmy na siebie źli. Miłość jest ponad gniewem, jak ściana za kurtyną lub ziemia po ucichnięciu burzy. Burza przechodzi, a ziemia trwa na swoim miejscu.

- Jeśli jest burza - mówię - to czasami też jest powódź albo zniszczone domy.

- Tak, a czasami, jeśli miłość nie jest wystarczająco silna albo jeśli gniew jest zbyt wielki, ludzie przestają się kochać. Ale to nas nie dotyczy.

Zastanawia mnie ta jego pewność. W ciągu ostatnich trzech miesięcy Lucia tak często była rozgniewana. Skąd Tom wie, że nadal go kocha?

- Ludzie miewają gorsze chwile - dodaje Tom, jakby wiedział, o czym myślę. - Ostatnio Lucia była zdenerwowana sytuacją w pracy. Zirytowała ją również wiadomość, że wywierają na ciebie nacisk, żebyś poddał się leczeniu.

Nigdy nie sądziłem, że normalni ludzie mogą mieć problemy w pracy. Jedyjni normalni ludzie, jakich znałem, mieli tę samą pracę przez cały okres naszej znajomości. Jakie kłopoty miewają normalni ludzie? Nie mają przecież pana Crenshawa, nakazującego im poddać się leczeniu, którego nie chcą. Co denerwuje ich w pracy?

- Lucia jest zła przez swoją pracę i przeze mnie?

- Częściowo tak. Za dużo kłopotów na raz.

- Nie jest miło, kiedy Lucia się gniewa - zauważam. Tom wydaje zabawny dźwięk, który jest po trochu śmiechem, a po trochu czymś innym.

- Nic dodać, nic ująć - mówi. Wiem, że nie znaczy to, że powinienem coś dodawać i odejmować, ale w dalszym ciągu wydaje mi się głupie mówienie czegoś takiego, zamiast po prostu „zgadzam się z tobą” czy „masz rację”.

- Myślałem o tym turnieju - wyznaję nagle. - Postanowiłem... Na podwórku pojawia się Marjory. Zawsze wchodzi przez dom, choć wiele osób korzysta z bocznej furtki. Zastanawiam się, jakby to było, gdyby Marjory gniewała się na mnie tak, jak Lucia gniewa się na Toma, albo jak oboje gniewają się na Dona. Zawsze mnie martwiło, kiedy ludzie się na mnie gniewali, nawet tacy, których nie lubiłem. Wydaje mi się, że złość Marjory byłaby gorsza nawet od gniewu rodziców.

- Postanowiłeś... - podsuwa mi Tom. Podnosi wzrok i dostrzega Marjory. - Aha, to ty. No i?

- Chciałbym spróbować - mówię. - Jeśli to nadal aktualne.

- Och! - woła Marjory. - Postanowiłeś wziąć udział w turnieju, Lou? Brawo!

- To bardzo aktualne - potwierdza Tom. - Ale musisz wysłuchać mojego standardowego wykładu numer jeden. Marjory, idź po swój sprzęt. Lou musi się skupić.

Zastanawiam się, ile ma wykładów i dlaczego muszę wysłuchać pierwszego z nich, żeby móc wziąć udział w turnieju. Marjory wchodzi do domu, co ułatwia mi słuchanie Toma.

- Po pierwsze, od teraz aż do samego turnieju będziesz ćwiczył możliwie jak najwięcej. Codziennie, o ile zdołasz, aż do ostatniego dnia. Gdybyś nie mógł tu przyjść, ćwicz w domu. Mięśnie nóg i koncentrację.

Nie sędzę, żebym mógł przychodzić do Toma i Lucii codziennie. Kiedy chodziłbym do pralni czy na zakupy, albo mył samochód?

- Jak często?

- Za każdym razem, gdy znajdziesz chwilę czasu, ale bez przesady - odpowiada Tom. - Potem, na tydzień przed występem, sprawdź sprzęt. Utrzymujesz go w dobrym stanie, niemniej dobrze będzie dokonać przeglądu. Zrobimy to razem. Masz zapasowe ostrze?

- Nie... Powinienem zamówić?

- Tak, jeśli możesz sobie na to pozwolić. W przeciwnym razie weźmiesz jedno z moich.

- Mogę jedno zamówić. - Nie przewidywałem tego w moim budżecie, ale mam dosyć pieniędzy.

- To świetnie. Będziesz miał sprzęt sprawdzony, wyczyszczony i gotowy do spakowania. Na dzień przed turniejem nie będziesz ćwiczył. Przyda ci się wtedy odpoczynek. Spakuj sprzęt i idź na spacer czy coś takiego.

- Mogę po prostu zostać w domu?

- Mógłbyś, ale lepiej, gdybyś miał trochę ruchu. Oczywiście, bez przesady. Zjedz dobrą kolację i idź spać o zwykłej dla siebie porze.

Rozumiem, jaki jest cel takiego planu, lecz będzie mi ciężko spełnić oczekiwania Toma, chodzić do pracy i robić inne rzeczy, które powinienem robić. Nie muszę jednak oglądać telewizji ani grać w Internecie z przyjaciółmi, czy iść w sobotę do Centrum, choć zwykle tak robię.

- -Czy będzie... czy zorganizujesz... ćwiczenia szermiercze w inne dni niż środa?

- Owszem, dla uczniów wybierających się na turniej - odpowiada Tom. - Przychodź każdego dnia, z wyjątkiem wtorku. To nasz specjalny wieczór.

Czuję, że się rumienię. Zastanawiam się, jakby to było mieć specjalny wieczór.

- We wtorki robię zakupy spożywcze - informuję. Z domu wychodzą Marjory, Lucia i Max.

- Dosyć tego kazania - mówi Lucia. - Jeszcze go zniechęcasz. Nie zapomnij wypełnić formularza zgłoszenia.

- Formularz zgłoszenia! - Tom uderza się dłonią w czoło. Zawsze tak robi, kiedy o czymś zapomina. Nie wiem dlaczego. Mnie to nie pomagało, kiedy próbowałem. Wchodzi do domu.

Rozgrzewam się; inni dopiero zaczynają ćwiczenia. Przez boczną furtkę wchodzi Susan, Don i Cindy. Don niesie niebieską torbę jest się fechtować przez cały czas niż na zmianę, w przerwach obserwując innych.

Biorę prysznic, delikatnie obmywając świeże skaleczenia. Czuję się dobrze, choć jestem zmęczony i zeszywniały. Pan Crenshaw nie powiedział nic na temat nowej metody leczenia i ludzi. Kiedy Marjory usłyszała, że wybieram się na turniej, zauważyła: „Och, to ci dobrze zrobi”. Tom i Lucia nie gniewają się na siebie, przynajmniej nie tak bardzo, żeby przestać być małżeństwem.

* * *

W piątek robię pranie, lecz w sobotę, po myciu auta, wracam do Toma i Lucii na kolejną lekcję. W niedzielę nie jestem taki zeszywniały jak w piątek. W poniedziałek mam kolejną, dodatkową lekcję. Cieszę się, że wtorek jest specjalnym dniem Toma i Lucii, ponieważ nie muszę zmieniać pory

zakupów w spożywczym. Marjory nie ma w sklepie. Dona nie ma w sklepie. W środę idę na zwykły trening szermierczy. Marjory nie ma; Lucia mówi, że wyjechała z miasta. Lucia daje mi specjalny ubiór na turniej. Tom mówi, że bym nie przychodził w czwartek, ponieważ jestem już dostatecznie przygotowany.

* * *

W piątkowy rano o ósmej pięćdziesiąt trzy pan Crenshaw zwołuje nas wszystkich i mówi, że chce nam coś ogłosić. Żołądek zawiązuje mi się w supeł.

- Macie wszyscy bardzo dużo szczęścia - oznajmia. - Pomimo trudnej sytuacji ekonomicznej... Sam jestem szczerze zaskoczony, że to w ogóle możliwe... Macie szansę poddać się najnowszej metodzie leczenia, nie ponosząc żadnych kosztów. - Jego usta rozciągają się w szerokim, fałszywym uśmiechu; twarz błyszczy mu od wysiłku, jaki w to wkłada.

Chyba sądzi, że jesteśmy naprawdę głupi. Zerkam na Camerona, potem na Dale'a i Chuy - jedynych, których mogę widzieć, nie obracając głowy. Ich oczy też się poruszają.

Cameron odzywa się monotonnym głosem:

- Ma pan na myśli eksperymentalną metodę leczenia, wynalezioną w Cambridge i opisaną w *Naturę Neuroscience* kilka tygodni temu?

Crenshaw błędnie i przełyka ślinę.

- Kto wam o tym powiedział?

- Było o tym w Internecie - mówi Chuy.

- To... to... - urywa i mierzy nas wzrokiem. Potem znów układa wargi w uśmiech. - Tak czy owak, to nowa metoda leczenia, a wy macie okazję wypróbować ją bez żadnych opłat.

- Nie chcę jej - oświadcza Linda. - Nie potrzebuję leczenia. Jestem dobra taka, jaka jestem.

Obracam się i na nią patrzę. Crenshaw czerwienieje.

- Nie jesteście dobrzy - oponuje głośniejszym i twardszym tonem. - Ani normalni. Jesteście autystyczni, niepełnosprawni, zostaliście zatrudnieni na specjalnych warunkach...

- „Normalny” to program nastawienia suszarki - przerywają mu razem Chuy i Linda. Uśmiechają się przelotnie.

- Musicie się dostosować - mówi Crenshaw. - Nie możecie oczekiwać, że zawsze będziecie mieli specjalne przywileje, zwłaszcza w sytuacji, gdy pojawiła się kuracja, dzięki której możecie stać się normalni. Sala gimnastyczna, oddzielne pokoje, cała ta muzyka i śmieszne dekoracje... Możecie być normalni i wtedy to wszystko przestanie być potrzebne. To nieekonomiczne. To śmieszne. - Odwraca się, jakby chciał wyjść, po czym znów zwraca się w naszą stronę. - To musi się skończyć - rzuca.

Po czym naprawdę wychodzi.

Patrzemy po sobie. Przez kilka minut nikt nic nie mówi. Wreszcie odzywa się Chuy.

- Cóż, stało się.

- Nie zrobię tego - mówi Linda. - Nie mogą mnie zmusić.

- Niewykluczone, że mogą - podsuwa Chuy. - Nie wiemy tego na pewno.

Po południu każdy z nas za pośrednictwem poczty wewnętrznej otrzymuje list wydrukowany na papierze. Z listu wynika, że w związku z presją rynku oraz potrzebą dywersyfikacji i utrzymania konkurencyjności, każdy dział musi zredukować personel. Jednostki aktywnie uczestniczące w

badaniach nie będą rozpatrywane jako kandydaci do zwolnień, głosi pismo. Pozostałym zostaną zaoferowane atrakcyjne odprawy w zamian za dobrowolne odejście z firmy. List nie mówi, że musimy zgodzić się na leczenie albo że stracimy pracę, ale myślę, że to właśnie oznacza.

Późnym popołudniem przychodzi do naszego budynku pan Aldrin i zwołuje zebranie w holu.

- Nie mogłem ich powstrzymać - oznajmia. - Próbowałem. Znowu przypomina mi się powiedzenie matki: „Próbować to nie robić”. Próbowanie to za mało. Liczy się tylko działanie. Patrzę na pana Aldrina, który jest miłym człowiekiem, i wyraźnie widzę, że nie jest tak silny jak pan Crenshaw, który miłym człowiekiem nie jest. Pan Aldrin ma smutną minę.

- Jest mi naprawdę przykro - dodaje - ale może tak będzie lepiej. - Po czym wychodzi. To było głupie. Jak coś takiego może być lepsze?

- Powinniśmy porozmawiać - mówi Cameron. - Niezależnie od tego, czego chcemy, ja albo wy, powinniśmy o tym porozmawiać. I to z kimś innym, może z prawnikiem.

- List mówi wyraźnie: żadnych dyskusji poza biurem - wtrąca Bailey.

- Ten list ma nas przestraszyć - mówię.

- Powinniśmy porozmawiać - powtarza Cameron. - Dziś wieczorem po pracy.

- W piątki wieczorem robię pranie - informuję.

- Jutro w Centrum...

- Jutro się gdzieś wybieram - wyjaśniam. Wszyscy na mnie patrzą, odwracam wzrok. - Na turniej szermierczy - tłumaczę. Jestem trochę zaskoczony, że nikt mnie o nic nie pyta.

- Porozmawiamy, możemy też zapytać w Centrum - mówi Cameron. - Potem ci wszystko powiemy.

- Nie chcę rozmawiać - odzywa się Linda. - Chcę zostać sama. - Odchodzi. Jest rozgniewana. Wszyscy jesteśmy rozgniewani. Idę do swojego pokoju i gapię się w monitor. Dane są nudne i puste, niczym ciemny ekran. Gdzieś tam znajdują się wzory, za znalezienie lub stworzenie których mi płacą, lecz dzisiaj jedyny wzór, jaki widzę, zamyka się wokół mnie niczym pułapka, na podobieństwo wirującej ciemności, która napiera zewsząd tak szybko, że nie mogę jej przeanalizować.

Skupiam się na planach dotyczących dzisiejszego wieczoru i jutra. Tom powiedział mi, co mam zrobić, żeby się przygotować, i zamierzam to uczynić.

* * *

Tom wjechał na parking pod blokiem Lou, uświadamiając sobie, że nigdy przedtem nie widział miejsca, gdzie jego przyjaciel od wielu lat mieszkał. Wzniesiony w poprzednim stuleciu budynek wyglądał zwyczajnie. Zgodnie z przewidywaniami, Lou był gotowy na czas, czekając na zewnątrz ze sprzętem schludnie zapakowanym w pokrowiec. Sprawiał wrażenie wypoczętego, choć jednocześnie spiętego; był uosobieniem kogoś, kto dostosował się do poleceń, dobrze zjadł i się wyspał. Miał na sobie strój, który pomogła mu skompletować Lucia. Chyba było mu niewygodnie, jak zwykle w przypadku nowicjusza w kostiumie z epoki.

- Gotowy? - zapytał Tom.

Lou obejrzał się dokładnie, jakby sprawdzając, i odrzekł:

- Tak. Dzień dobry, Tom. Dzień dobry, Lucia.

- Dzień dobry - odpowiedziała Lucia. Tom na nią zerknął. Zdążyli się już posprzeczać o Lou; Lucia była gotowa zamordować każdego, kto sprawiłby mu najmniejszy problem, Tom natomiast uważał, że Lou sam sobie poradzi z drobnymi kłopotami. Pomyślał, że ostatnio była bardzo wrażliwa

na punkcie Lou. Szykowały coś z Marjory, nie chciała jednak nic zdradzić. Miał nadzieję, że nie wyjdzie to podczas turnieju.

Po drodze Lou siedział cicho z tyłu wozu; prawdziwa ulga w porównaniu z gadatliwymi pasażerami, jakich zwykle woził. Nagle się odezwał.

- Zastanawialiście się kiedyś, jak szybki jest mrok? - spytał.

- Hm? - Tom oderwał się od rozmyślań.

- Prędkość światła - powiedział Lou. - Znają wartość prędkości światła w próżni... ale prędkość mroku...

- Mrok nie ma prędkości - odparła Lucia. - Po prostu jest tam, gdzie nie ma światła... To tylko słowo oznaczające jego brak

- Myślę... że mrok może mieć prędkość - zauważył Lou. Tom zerknął w lusterko wsteczne; twarz Lou wydawała się smutna.

- Masz jakąś teorię na ten temat? - spytał Tom. Lucia na niego spojrzała; zignorował ją. Zawsze odczuwała irytację, kiedy bawił się z Lou w gry słowne, lecz on nie widział w tym nic złego.

- Jest tam, gdzie nie ma światła - odrzekł Lou. - Dokąd światło jeszcze nie dotarło. Może być szybszy, bo zawsze je wyprzedza.

- Albo nie ma żadnej prędkości, ponieważ już tam jest, na miejscu - podsunął Tom. - Miejsce, nie ruch.

- To nie jest *coś* - włączyła się Lucia. - To zwykła abstrakcja, słowo oznaczające brak światła. Nie może pozostawać w ruchu...

- Skoro już o tym mówisz - zauważył Tom - to światło jest również swego rodzaju abstrakcją. Mówiło się, że istnieje tylko w ruchu, cząsteczka i fala, aż do początku tego stulecia, kiedy udało się je zatrzymać.

Nie musiał na nią patrzeć; poznał po brzmieniu jej głosu, że się krzywi.

- Światło jest prawdziwe - oświadczyła Lucia. - Mrok jest brakiem światła.

- Czasami mrok wygląda na ciemniejszy od mroku - powiedział Lou. - Gęstszy.

- Naprawdę sądzisz, że jest prawdziwy? - zapytała Lucia, obracając się na siedzeniu.

- Mrok to zjawisko naturalne, charakteryzujące się brakiem światła. - Śpiewna intonacja Lou nie pozostawiała wątpliwości, że przytacza definicję. - To cytat z mojego podręcznika z liceum. Ale tak naprawdę to nic nie mówi. Mój nauczyciel powiedział, że choć nocne niebo między gwiazdami wygląda na ciemne, to w rzeczywistości jest tam światło. Gwiazdy promieniują światłem we wszystkich kierunkach, istnieje więc światło, bo inaczej nie można by ich było zobaczyć.

- Metaforycznie rzecz ujmując - powiedział Tom - jeśli uznasz wiedzę za światło, a mrok za ignorancję, to czasami mrok wydaje się realną obecnością, tak samo jak ignorancja. To coś bardziej namacalnego i silniejszego od zwyczajnego braku wiedzy. Rodzaj dążenia do niewiedzy. To by wyjaśniało zachowanie części polityków.

- Metaforycznie rzecz ujmując - rzuciła Lucia - możesz nazwać wieloryba symbolem pustyni, tak jak wszystko czymkolwiek innym.

- Dobrze się czujesz? - spytał Tom. Kątem oka dostrzegł jej nagły ruch.

- Jestem zła - odparła Lucia. - A ty wiesz dlaczego.

- Przepraszam - odezwał się z tyłu Lou.

- Za co? - spytała Lucia.

- Nie powinienem był nic mówić o prędkości mroku – odparł Lou. - To cię rozzłościło.

- Nie ty mnie rozzłościłeś - odrzekła Lucia - tylko Tom.

Tom prowadził w nieprzyjemnej ciszy, jaka zapanowała w aucie. Gdy dotarli do parku, gdzie zorganizowano turniej, pospiesznie załatwił formalności związane z wpisaniem Lou i sprawdzeniem jego broni, po czym oprowadził go po zapleczu. Lucia odeszła, by porozmawiać z przyjaciółkami, Tom miał nadzieję, że żona stłumi w sobie złość, która psuła humor i jemu, i Lou.

Po półgodzinie poczuł, jak odpręża się w panującej dokoła przyjacielskiej atmosferze. Znał niemal wszystkich; wszędzie słyszał swojskie rozmowy. Kto z kim się uczył, kto wziął udział w którym turnieju, kto wygrał, a kto przegrał. Czego dotyczą obecne nieporozumienia i kto z kim nie rozmawia. Lou trzymał się dzielnie, witając się z ludźmi, którym przedstawiał go Tom. Potem Tom przeprowadził z nim małą rozgrzewkę, by po chwili zabrać go na arenę, gdzie miał się odbyć pierwszy pojedynek.

- Pamiętaj - pouczał go - twoja największa szansa na zaliczenie trafienia to natychmiastowy atak. Przeciwnik nie zna twojego stylu, a ty nie znasz jego, ale jesteś szybki. Musisz tylko przebić się przez jego obronę i uderzyć go, a przynajmniej spróbować. W każdym razie to powinno nim wstrząsnąć...

- Cześć, chłopaki - odezwał się zza ich pleców Don. – Dopiero co przyjechałem. Walczył już?

Jak zwykle Don był gotów zakłócić koncentrację Lou.

- Nie, ale zaraz wyjdzie na arenę. Zobaczymy się za parę minut - rzucił Tom i obrócił się do Lou. - Poradzisz sobie, Lou. Tylko pamiętaj: trzeba zaliczyć trzy z pięciu pchnięć, więc nie martw się, jeśli cię trafi. Wciąż możesz wygrać. I słuchaj... -Nadszedł czas i Lou się odwrócił, by wejść na odgradzoną linami arenę.

Tom uświadomił sobie, że paraliżuje go panika. Co będzie, jeśli się okaże, że wpakował Lou w coś, co go przerasta?

Lou sprawiał wrażenie równie niezdarnego jak podczas pierwszego roku zajęć. Choć przybrał technicznie prawidłową pozycję, wyglądała ona na sztywną i wydumaną, nie jak u kogoś zdolnego do jakiegokolwiek ruchu.

- Mówiłem ci - odezwał się cicho Don. - To dla niego zbyt wiele. On...

- Zamknij się - uciszył go Tom. - Usłyszysz cię.

* * *

Jestem gotowy przed przyjazdem Toma. Mam na sobie kostium przyszykowany przez Lucie, czuję się jednak dziwnie, nosząc go w miejscu publicznym. Nie wygląda jak zwykłe ubranie. Długie skarpety otulają moje nogi do samych kolan. Obszerne rękawy bluzy powiewają na wietrze, przesuwając się w górę i w dół ramienia. Choć kolory są smutne - brąz i ciemna zieleń - nie sądzę, żeby pan Aldrin lub pan Crenshaw pochwalili mój wygląd.

„Punktualność jest cechą królów”, napisała na tablicy nauczycielka w czwartej klasie. Kazała nam to przepisać. Potem wyjaśniła. Nie rozumiałem wtedy, kim są królowie, zawsze jednak wiedziałem, że zmuszanie ludzi do czekania jest niegrzeczne. Nie lubię czekać. Tom przyjeżdża o czasie, nie muszę więc czekać zbyt długo.

Jazda na turniej wystraszyła mnie, ponieważ Lucia i Tom znowu się pokłócili. Choć Tom

powiedział, że wszystko jest w porządku, nie wydaje mi się, żeby tak było, i mam wrażenie, że to w jakiś sposób moja wina. Nie wiem jak ani dlaczego. Jeśli Lucia jest zła na coś związanego z pracą, to nie rozumiem, dlaczego o tym nie opowie, zamiast warczeć na Toma.

Na miejscu Tom parkuje na trawie, w jednym rzędzie z innymi pojazdami. Nie ma tu miejsca na podładowanie baterii. Odruchowo przyglądam się samochodom i liczę kolory i typy: osiemnaście niebieskich, pięć czerwonych, czternaście brązowych, beżowych i płowych. Dwadzieścia jeden ma baterie słoneczne na dachach. Większość ludzi przebranych jest w kostiumy. Wszystkie są równie dziwne jak mój albo jeszcze dziwniejsze. Jeden mężczyzna ma na głowie wielki, płaski kapelusz z piórami. Wygląda to na pomyłkę. Tom mówi, że wcale nie, że przed wiekami ludzie naprawdę tak się ubierali. Chcę policzyć kolory, lecz większość kostiumów jest wielobarwna, co utrudnia mi liczenie. Podobają mi się falujące płaszcze, jednego koloru na zewnątrz, a innego od wewnątrz. Kiedy wirują, przypominają kręcące się spirale.

Najpierw podchodzimy do stolika, gdzie kobieta w długiej sukni szuka naszych nazwisk na liście. Podaje nam metalowe kółeczka z dziurką, a Lucia wyciąga z kieszeni cienkie wstążeczki i podaje mi zieloną.

- Nawlecz na to kółko - mówi - a potem załóż na szyję. Następnie Tom prowadzi mnie do sąsiedniego stolika, gdzie mężczyzna w obszernych szortach sprawdza moje nazwisko na kolejnej liście.

- Zaczynasz o dziesiątej piętnaście - informuje. - Tablica jest tam.. - Wskazuje w stronę namiotu w zielono-żółte pasy. Tablicę sklejono z dużych kawałków kartonu z miejscami do wpisywania nazwisk, uszeregowanymi jak na drzewie genealogicznym, tyle że w większości pustymi. Wypełniony jest jedynie rząd krutek po lewej stronie. Odnajduję swoje nazwisko i nazwisko pierwszego przeciwnika.

- Mamy dziewiątą trzydzieści - odzywa się Tom. - Rzućmy okiem na pole, a potem znajdziemy ci miejsce na rozgrzewkę.

Kiedy przychodzi moja kolej i wchodzę na odgradzony obszar, serce mi wali, a ręce się trzęsą. Nie wiem, co tutaj robię. Nie powinno mnie tu być... Nie znam wzoru. Przeciwnik atakuje, a ja paruję cios. To nie był dobry blok - byłem za wolny -jednak nie zdołał mnie trafić. Biorę głęboki wdech i koncentruję się na jego ruchach, jego wzorach.

Wydaje się, że mój przeciwnik nie dostrzega moich trafień. Zdumiewa mnie to, ale Tom powiedział mi, że niektórzy nie zgłaszają otrzymanych trafień. Mogą być zbyt podekscytowani, wytłumaczył, żeby czuć lekkie czy nawet średnio mocne trafienia, zwłaszcza jeśli to ich pierwszy pojedynek. Tobie też może się to zdarzyć, przestrzega. Dlatego właśnie kazał mi zadawać mocniejsze ciosy. Próbuję i tym razem przeciwnik rzuca się na mnie w chwili, gdy zadaję pchnięcie, przez co trafiam go zbyt mocno. Nie podoba mu się to i zwraca się do sędziego, lecz ten mówi, że to jego wina, bo to on mnie zaatakował.

Wreszcie wygrywam pojedynek. Brakuje mi tchu, nie tylko wskutek zmęczenia walką. Czuję się zupełnie inaczej i nie wiem, na czym polega różnica. Czuję się lżejszy, jakby zmieniło się przyciąganie, lecz nie jest to ta sama lekkość, jakiej doznaję w obecności Marjory. To skutek walki z nieznanym czy odniesionego zwycięstwa?

Tom ściska mi dłoń. Twarz mu błyszczy, a w głosie brzmi podniecenie.

- Dokonałeś tego, Lou. Świetna robota...

- Tak, świetnie się spisałeś - wtrąca Don. - Ale miałeś też trochę szczęścia. Musisz uważać na

zastawy, Lou. Już wcześniej zauważyłem, że nie stosujesz ich wystarczająco często, a nawet kiedy to robisz, to czy planujesz już następne posunięcie...

- Don... - wtrąca Tom, lecz Don nie daje sobie przerwać.

- ... a kiedy ktoś na ciebie naciera, nie daj się tak zaskakiwać...

- Don, on *wygrał*. Spisał się znakomicie. Odpuść sobie. – Tom marszczy brwi.

- Tak, tak, wiem, że wygrał. Szczęście debiutanta. Ale jeśli chce przejść dalej...

- Don, przynieś nam coś do picia. - Tom sprawia wrażenie rozgniewanego. Zaskoczony Don mruga. Bierze podsunięte mu przez Toma pieniądze.

- Och... no dobra. Zaraz wracam.

Nie czuję się już lżejszy. Czuję się cięższy. Popełniłem zbyt wiele błędów.

Tom odwraca się do mnie z uśmiechem.

- Lou, to był jeden z najlepszych pojedynków debiutanta, jakie widziałem - mówi. Myślę, że chce, żebym zapomniał o słowach Dona, ale nie potrafię. Don jest moim przyjacielem; próbuje mi pomóc.

- Ja... nie zrobiłem tego, co mi mówiłeś. Powiedziałeś, żebym od razu zaatakował...

- Twoje postępowanie okazało się skuteczne. To najważniejsze. Uświadomiłem sobie, że mogłem ci źle radzić. - Tom marszczy brwi. Nie wiem dlaczego.

- Tak, ale gdybym cię posłuchał, być może mój przeciwnik nie zdobyłby pierwszego punktu.

- Posłuchaj mnie, Lou. Sprawileś się bardzo, bardzo dobrze. Zaliczył pierwsze trafienie, ale ty się nie poddałeś. Doszedłeś do siebie. I wygrałeś. Gdyby uczciwie sygnalizował otrzymane trafienia, wygrałbyś jeszcze szybciej.

- Ale Don powiedział...

Tom kręci energicznie głową, jakby coś go zabolalo.

- Zapomnij o tym, co mówił Don - nakazuje. - Na swoim debiutanckim turnieju Don załamał się po pierwszej walce. Kompletnie. Porażka tak go rozżłościła, że odpuścił sobie resztę turnieju, nie wystąpił nawet w rundzie pocieszenia dla przegranych...

- Wielkie dzięki - rzuca Don. Wrócił z trzema puszkami napoju gazowanego; dwie z nich upuścił na ziemię. - Zawsze sądziłem, że masz na względzie uczucia innych... - Odchodzi z puszką w ręce. Jest wściekły, to pewne.

Tom wzdycha.

- Cóż... taka jest prawda. Nie martw się tym, Lou. Znakomicie sobie poradziłeś. Pewnie dzisiaj nie wygrasz turnieju, bo debiutanci nigdy nie wygrywają, wykazałeś się jednak umiejętnościami i jestem dumny, że występujesz w naszej grupie.

- Don jest naprawdę zły - mówię, patrząc w ślad za odchodzącym Donem. Myślę, że Tom nie powinien był opowiadać o pierwszym turnieju Dona.

Tom podnosi puszki i podaje mi jedną. Pieni się, kiedy ją otwieram. Jego także się pieni; oblizuje palce. Nie wiedziałem, że tak można, ale ja również zlizuję pianę z palców.

- Tak, ale Don to... Don - upiera się Tom. - Czasem mu się to zdarza; sam widziałeś.

Nie jestem pewny, co ma na myśli: czy to, że Don mówi innym ludziom, że robią błędy, czy że się złości.

- Myślę, że stara się być moim przyjacielem i mi pomóc - wyjaśniam. - Pomimo tego, że lubi

Marjory i że ja lubię Marjory, i zapewne chce, żeby ona także go lubiła, choć ona uważa, że jest prawdziwym draniem.

Tom krztusi się napojem i długo kaszle. Potem pyta:

- Lubisz Marjory? Tylko lubisz czy może lubisz w jakiś specjalny sposób?

- Bardzo ją lubię - mówię. - Chciałbym... - Nie mogę jednak powiedzieć na głos tego, co bym chciał.

- Marjory miała złe doświadczenia z mężczyzną podobnym do Dona - mówi Tom. - Myśli o nim za każdym razem, kiedy widzi, że Don postępuje tak samo jak tamten.

- Czy był szermierzem? - pytam.

- Nie. To ktoś od niej z pracy. Lecz czasami Don zachowuje się tak jak on. Marjory to się nie podoba. Oczywiście, ciebie lubi bardziej.

- Marjory powiedziała, że Don mówił coś niemiłego na mój temat.

- Czy to cię złości? - chce wiedzieć Tom.

- Nie... Czasami ludzie coś mówią, bo nie rozumieją. Tak twierdzili moi rodzice. Myślę, że Don nie rozumie. - Biorę łyk napoju. Nie jest tak zimny, jak lubię, ale lepsze to niż nic.

Tom pociąga spory łyk. Na arenie zaczyna się kolejna walka; odchodzimy na bok.

- Teraz powinniśmy zgłosić twoje zwycięstwo pisarzowi - mówi, jakby odsuwając na bok dotychczasowy temat naszej rozmowy - i dopilnować, żebyś właściwie przygotował się do następnego pojedynku.

Na myśl o kolejnej walce uświadamiam sobie, jaki jestem zmęczony i że czuję wszystkie zadane mi przez przeciwnika ciosy. Chciałbym już pójść do domu i przemyśleć sobie wszystko, co się wydarzyło, ale czekają mnie kolejne pojedynki i wiem, że Tom chce, żebym został i dokończył turniej.

Walczę z drugim przeciwnikiem. Ten pojedynek bardzo się różni od pierwszego, ponieważ nie jest takim zaskoczeniem. To ten mężczyzna nosił kapelusz przypominający pizzę z piórami. Teraz założył maskę z przezroczystą zasłoną na oczy w miejsce stalowej siatki. Taka kosztuje znacznie więcej. Tom powiedział mi, że mój przeciwnik jest bardzo dobry, a jednocześnie uczciwy. Będzie liczył moje trafienia. Wyraźnie widzę jego twarz; sprawia wrażenie zaspanego, powieki opadają mu na błękitne oczy.

Sędzia macha chusteczką. Mój przeciwnik rzuca się do przodu, a ja czuję dotknięcie jego ostrza na ramieniu. Unoszę rękę. Zaspana mina nie oznacza, że przeciwnik jest powolny. Chcę zapytać Toma, co robić. Nie rozglądam się; pojedynek trwa i tamten może zaliczyć kolejne trafienie.

Tym razem przesuвам się w bok; przeciwnik krąży wokół mnie. Jego klinga wyskakuje naprzód tak szybko, że niemal znika, po czym pojawia się przy mojej piersi. Nie mam pojęcia, jak może poruszać się tak szybko; czuję się sztywny i niezdarly. Jeszcze jedno trafienie i przegram. Rzucam się do ataku, choć dziwnie się z tym czuję. Moje ostrze napotyka jego - tym razem zastawa okazała się skuteczna. Jeszcze raz i jeszcze - w końcu, po kolejnym wypadzie, czuję w dłoni, że moja klinga czegoś dotknęła. Mężczyzna cofa się natychmiast i unosi rękę.

- Tak - potwierdza. Patrzę mu w twarz. Uśmiecha się. Nie ma mi za złe, że go trafiłem.

Krążymy wokół siebie, zasypując się ciosami. Zaczynam dostrzegać, że jego wzór, choć szybki, jest zrozumiały, zanim jednak zdążę wykorzystać tę informację, trafia mnie po raz trzeci.

- Dziękuję - mówi. - To była świetna walka.

- Dobra robota, Lou - mówi Tom, gdy schodzę z areny. - Prawdopodobnie wygra cały turniej; zwykle tak jest.

- Raz go trafiłem - przypominam.

- Tak, i to w znakomitym stylu. I kilka razy niemal go dopadłeś.

- To już koniec? - pytam.

- Niecałkiem - odpowiada Tom. - Przegrałeś tylko jedną walkę; teraz przechodzisz do grupy jednorundowców i czeka cię jeszcze co najmniej jeden pojedynek. Dobrze się czujesz?

- Tak - mówię. Brak mi tchu i jestem zmęczony hałasem i ruchem, nie mam jednak takiej ochoty iść do domu, jak wcześniej. Ciekawe, czy Don oglądał walkę; nigdzie go nie widzę.

- Masz ochotę na lunch? - pyta Tom. Kręcę głową. Chcę znaleźć ciche miejsce, gdzie mógłbym usiąść. Tom prowadzi mnie przez tłum. Paru ludzi, których nie znam, łapie mnie za rękę lub klepie po ramieniu, mówiąc „dobra walka”. Wolałbym, żeby mnie nie dotykali, ale wiem, że tylko chcą być mili.

Lucia i nieznana mi kobieta siedzą pod drzewem. Lucia klepie dłonią ziemię. Wiem, że oznacza to: „Usiądź tutaj”, więc siadam.

- Gunther wygrał, ale Lou go trafił - mówi Tom. Nieznajoma klaszcze w dłonie.

- Znakomicie - woła. - Mało kto zalicza trafienie w pierwszej walce z Guntherem.

- Dokładnie rzecz ujmując, to nie była moja pierwsza walka, tylko pierwsza walka z Guntherem - prostuję.

- To właśnie miałam na myśli - przytakuje. Jest wyższa od Lucii i mocniej zbudowana. Ma na sobie fantastyczny kostium z długą spódnicą. W dłoniach trzyma małą ramkę, a jej palce przesuwają się tam i z powrotem. Na wąskim pasku materiału wyszywa geometryczny brązowo-biały wzór. Wzór jest prosty, ale nigdy przedtem nie widziałem nikogo wyszywającego, więc obserwuję ją uważnie, dopóki nie jestem pewien, że wiem, jak to robi i jak sprawia, że brązowy wzór zmienia kierunek.

- Tom powiedział mi o Donie - mówi Lucia, zerkając na mnie. Czuję nagły chłód. Nie chcę pamiętać, jaki był zły. - Wszystko w porządku? - pyta.

- Nic mi nie jest - odpowiadam.

- Don, cudowne dziecko? - pyta Lucie nieznajoma kobieta. Lucia się krzywi.

- Tak. Czasami potrafi być prawdziwym palantem.

- Co zrobił tym razem? - pyta nieznajoma. Lucia zerka na mnie.

- Och, to co zwykle. Ma niewyparzony jęzor.

Cieszę się, że nic więcej nie wyjaśnia. Nie sędzę, żeby był taki zły, jak to musiał przedstawić Tom. Jestem nieszczęśliwy na myśl o tym, że Tom potrafi być wobec kogoś niesprawiedliwy.

Tom wraca i mówi mi, że następny pojedynek mam o trzynastej czterdzieści pięć.

- Z jednorundowcem - dodaje. - Wczesnym rankiem przegrał swoją pierwszą walkę. Powinieneś coś zjeść. - Podaje mi bułkę z mięsem w środku. Pachnie dobrze. Jestem głodny. Odgryzam kęs i przekonuję się, że jest smaczna, więc zjadam całą.

Przy Tomie zatrzymuje się starzec i zagaduje go. Tom wstaje; nie wiem, czy też nie powinienem wstać. Coś w przybyszu przyciąga moją uwagę. Ma tik. I bardzo szybko mówi. Nie wiem, o czym rozmawiają- o ludziach, których nie znam, i miejscach, gdzie nigdy nie byłem.

Mój trzeci przeciwnik jest cały ubrany w czerń z czerwonymi lamówkami. On również nosi plastikową, przezroczystą maskę. Ma ciemne włosy i oczy, bardzo jasną skórę i przycięte na ostro długie bokobrody. Nie porusza się jednak za dobrze. Jest wolny i niezbyt silny. Swoimi atakami niewiele osiąga; ostrze porusza się gwałtownie w przód i w tył bez żadnego efektu. Zaliczam trafienie, którego on nie zgłasza, więc trafiam go mocniej. Podnosi dłoń. Na twarzy ma wymalowane uczucia: jest jednocześnie zaniepokojony i zły. Pomimo zmęczenia wiem, że mogę wygrać, gdybym tego chciał.

Nie jest dobrze złościć ludzi, ale chciałbym wygrać. Okrążam go; obraca się powoli, sztywno. Trafiam go ponownie. Wydyma dolną wargę i marszczy czoło. Niedobrze jest sprawiać, że ludzie czują się głupio. Zwalniam, ale on tego nie wykorzystuje. Ma bardzo prosty wzór, tak jakby znał tylko dwie zastawy i pchnięcia. Cofa się, kiedy się zbliżam. Ale takie stanie w jednym miejscu i wymiana ciosów jest nudna. Chcę, żeby coś zrobił. Kiedy nic nie robi, mijam jego kiepską zastawę i uderzam. Twarz przeciwnika wykrzywia gniew; wyrzuca z siebie wiązanek ordynarnych słów. Wiem, że powinienem uścisnąć mu dłoń i podziękować, ale on już odszedł. Sędzia wzrusza ramionami.

- Dobrze zrobiłeś - mówi Tom. - Widziałem, jak zwolniłeś, dając mu szansę na honorowe trafienie... Szkoda, że idiota nie miał pojęcia, jak postąpić. Teraz już wiesz, dlaczego nie lubię, kiedy moi uczniowie zbyt wcześnie biorą udział w turniejach. Nie był do końca gotowy.

Nie był do końca gotowy. Czy prawie gotowy. W ogóle nie był gotowy.

Kiedy zgłaszam swoje zwycięstwo, dowiaduję się, że znalazłem się w grupie zawodników z wynikiem 2:1. Tylko ósemka pozostała niepokonana. Czuję się bardzo zmęczony, ale nie chcę rozczarować Toma, więc się nie wycofuję. Następna walka zaczyna się niemal natychmiast, tym razem z wysoką, ciemnowłosą kobietą. Ubrana jest w prosty granatowy strój, ze zwykłą drucianą maską. W niczym nie przypomina poprzednika; atakuje natychmiast i po szybkiej wymianie ciosów zalicza pierwsze trafienie. Ja zdobywam drugie, ona trzecie, a ja czwarte. Ten wzór niełatwo jest przejrzeć. Dookoła słyszę głosy; ludzie mówią jedni do drugich, że to dobra walka. Znowu czuję się lekki i szczęśliwy. Wtem czuję na piersi dotknięcie klingi i pojedynek się kończy. Nie dbam o to. Jestem zmęczony i spocony; czuję swój zapach.

- Dobra walka! - mówi kobieta i klepie mnie po ramieniu.

- Dziękuję - odpowiadam.

Tom jest ze mnie zadowolony; poznaję to po jego uśmiechu. Lucia też jest obecna; nie zauważyłem, kiedy przyszła oglądać pojedynek. Stoją obok siebie. Czuję się jeszcze szczęśliwszy.

- Sprawdźmy, jak wysoko zaszedłeś w rankingu – proponuje Tom.

- Ranking?

- Wszyscy szermierze otrzymują punkty w zależności od swoich rezultatów - mówi. - Dla nowicjuszy jest osobny ranking. Przypuszczam, że osiągnąłeś dobre miejsce. Turniej jeszcze potrwa, ale wydaje mi się, że wszyscy debiutanci już skończyli.

Nie wiedziałem o tym. Na wielkiej tablicy moje nazwisko znajduje się na dziewiętnastym miejscu, lecz w prawym dolnym rogu widnieje na samym szczycie listy siedmiu debiutantów.

- Tak myślałem - mówi Tom. - Claudio... - Jedna z kobiet zapisujących nazwiska na tablicy się odwraca. - Czy wszyscy nowicjusze już skończyli?

- Tak... Czy to jest Lou Arrendale? - Patrzy na mnie.

- Tak - potwierdzam. - Jestem Lou Arrendale.

- Świetnie ci poszło jak na debiutanta - chwali.

- Dziękuję - odpowiadam.

- Mam tutaj twój medal - dodaje, sięgając pod stół i wyciągając mały skórzany woreczek. - Czy wolisz poczekać i otrzymać go w trakcie uroczystej ceremonii?

Nie wiedziałem, że dostanę medal. Myślałem, że tylko zwycięzca wszystkich walk zostanie nagrodzony.

- Musimy wracać - wtrąca Tom.

- Cóż, wobec tego... proszę bardzo - Podaje mi woreczek, który w dotyku sprawia wrażenie prawdziwej skóry. - Powodzenia następnym razem.

- Dziękuję - mówię.

Nie wiem, czy powinienem otworzyć mieszek, lecz Tom rzuca:

- Zobaczmy... - i wyciąga medal. To metalowy krążek z wtopionym wizerunkiem szpady i małą dziurką przy brzegu. Chowam go z powrotem do woreczka.

W drodze powrotnej odtwarzam w pamięci wszystkie pojedynki. Pamiętam każdy z nich, jestem nawet w stanie spowolnić ruchy Gunthera, żeby następnym razem - jestem zaskoczony swoją pewnością, że będzie następnym razem i że chcę wziąć udział w kolejnym turnieju - sprawić się lepiej w starciu z tym przeciwnikiem.

Zaczynam rozumieć, czemu Tom uważał, że mi to pomoże, gdybym musiał walczyć z panem Crenshawem. Zjawiłem się w miejscu, gdzie nikt mnie nie znał, i współzawodniczyłem z innymi jak normalna osoba. Nie musiałem wygrać całego turnieju, żeby mieć poczucie, że coś osiągnąłem.

Po powrocie do domu zdejmuję przepocony strój, wypożyczony mi przez Lucie. Powiedziała, żebym go nie prał, ponieważ jest specjalny. Kazała go odwiesić i przywieźć ze sobą w środę, na trening. Nie podoba mi się ten zapach. Wolałbym oddać kostium dzisiaj lub jutro, ale wyraźnie powiedziała: w środę. Przewieszam strój przez oparcie kanapy w salonie i biorę prysznic.

Gorąca woda dobrze mi robi. Widzę niewielkie siniaki w miejscach, gdzie trafili mnie przeciwnicy. Biorę długi prysznic, aż czuję się absolutnie czysty, po czym zakładam najbardziej miękki podkoszulek i szorty, jakie mam. Jestem bardzo śpiący, lecz muszę zobaczyć, co inni napisali w e-mailach o swoich rozmowach.

Otrzymałem wiadomości od Camerona i Baileya. Cameron pisze, że rozmawiali, ale nic nie ustalili. Bailey wymienia tych, którzy przyszli - wszyscy, prócz mnie i Lindy - i informuje, że zapytali radcę prawnego Centrum o zasady rządzące eksperymentami na ludziach. Według Baileya, Cameron przedstawił to w ten sposób, że słyszeliśmy o tej kuracji i chcieliśmy ją wypróbować. Radca powinien dowiedzieć się więcej na ten temat od strony prawnej.

Idę spać wcześniej.

* * *

W poniedziałek i we wtorek nie słyszymy nic nowego ani od pana Crenshawa, ani od firmy. Może wynalazcy kuracji nie są jeszcze gotowi, by wypróbować ją na ludziach. Może pan Crenshaw musi ich do tego przekonać. Żałuję, że nie dowiedzieliśmy się więcej. Pamiętam, jak się czułem na arenie przed pierwszą walką. Niewiedza zdecydowanie wydaje się szybsza od wiedzy.

Znowu czytam streszczenie artykułu z magazynu online, nadal jednak nie rozumiem większości słów. Nawet po sprawdzeniu ich znaczenia nie pojmuję, na czym polega ta metoda i jak wygląda. Nikt nie oczekuje ode mnie zrozumienia. To nie moja działka.

Ale chodzi o mój mózg i moje życie. Chcę to zrozumieć. Kiedy zaczynałem trenować szermierkę, jej również nie rozumiałem. Nie wiedziałem, dlaczego muszę trzymać floret w określony sposób ani dlaczego moje stopy muszą znajdować się pod określonym kątem w stosunku do siebie. Nie znałem pojęć ani ruchów. Nie spodziewałem się, że będę dobrym szermierzem; myślałem, że przeszkodzi mi autyzm, i na początku faktycznie tak było. Nie brałem także udziału w żadnym turnieju z normalnymi ludźmi. Nie wygrałem, ale okazałem się lepszy od pozostałych debiutantów.

Może zdołam nauczyć się o mózgu więcej, niż wiem teraz. Nie jestem pewny, czy znajdę na to czas, ale postanawiam spróbować.

W środę odwożę kostium Tomowi i Lucii. Już wysechł i nie pachnie tak okropnie, nadal jednak czuję kwaśną woń własnego potu. Lucia odbiera ode mnie strój, a ja przechodzę przez dom do pomieszczenia ze sprzętem. Tom jest już na podwórzu; biorę broń i wychodzę na dwór. Jest zimno, lecz nie wieje wiatr. Tom się rozgrzewa. Dołączam do niego. W niedzielę i poniedziałek byłem cały zeszywniały, teraz jednak czuję się dobrze i boli mnie tylko jedno skaleczenie.

Na podwórze wychodzi Marjory.

- Opowiadałam Marjory, jak dobrze radziłeś sobie na turnieju - odzywa się Lucia zza jej pleców. Marjory się do mnie uśmiecha.
- Nie wygrałem - mówię. - Popełniłem błędy.
- Wygrałeś dwa pojedynki - upiera się Lucia - i zdobyłeś medal nowicjusza. I wcale nie

popęłniłeś tylu błędów.

Nie wiem, ile błędów to „tyle”. Jeśli chce powiedzieć „za dużo”, czemu mówi „tyle”?

Na tym podwórku bardziej pamiętam o Donie i jego złości z powodu tego, co powiedział o nim Tom, niż o uczuciu lekkości, jakie ogarnęło mnie po wygraniu dwóch walk. Czy przyjdzie dzisiaj? Czy będzie na mnie zły? Myślę, że powinienem o niego zapytać, potem jednak dochodzę do wniosku, że raczej nie.

- Simon był pod wrażeniem - mówi Tom. Siedzi i poleruje ostrze papierem ściernym, wygładzając nierówności. Badam swoją klingę, nie znajduję jednak nowych uszczerbków. - Mam na myśli sędziego; znamy się od lat. Spodobało mu się twoje zachowanie, kiedy tamten facet nie sygnalizował otrzymanych trafień.

- Powiedziałeś mi, co trzeba zrobić - wyjaśniam.

- No cóż, zgadza się, ale nie wszyscy słuchają moich rad - odpowiada Tom. - A teraz, po kilku dniach, powiedz mi szczerze: była to dla ciebie dobra zabawa czy raczej kolejny kłopot?

Nie podchodziłem do turnieju jak do zabawy, z drugiej strony jednak nie uważałem go także za kłopot.

- A może coś zupełnie innego? - dodaje Marjory.

- Coś zupełnie innego - mówię. - Nie myślałem o tym jak o kłopotcie; powiedziałeś mi, co trzeba zrobić, żeby się przygotować, i ja to zrobiłem. Nie uważałem turnieju za zabawę, raczej sprawdzian, wyzwanie.

- A w ogóle ci się podobało? - pyta Tom.

- Tak. Pewne fragmenty bardzo. - Nie wiem, jak opisać tę mieszaninę uczuć. - Czasami cieszy mnie robienie nowych rzeczy - dodaję tonem wyjaśnienia.

Ktoś otwiera bramę. Don. Czuję, jak podwórko ogarnia nagle napięcie.

- Cześć - rzuca spiętym głosem. Uśmiecham się do niego, on jednak nie odpowiada uśmiechem.

- Cześć, Don - mówi Tom. Lucia milczy. Marjory kiwa mu głową.

- Tylko zabiorę swój sprzęt - rzuca Don i wchodzi do domu. Lucia patrzy na Toma; ten wzrusza ramionami. Marjory podchodzi do mnie.

- Powalczymy? - pyta. - Nie mogę zbyt długo zostać. Praca.

- Jasne - mówię. Znów czuję tę lekkość.

Teraz, po tym jak walczyłem w turnieju, czuję się bardzo odprężony. Nie myślę o Donie; skupiam się wyłącznie na ostrzu Marjory. Znowu odnoszę wrażenie, że dotykanie jej klingi to prawie tak, jak dotykanie jej samej - poprzez stal czuję jej każdy ruch, nawet nastrój. Chcę, żeby to trwało. Zwalniam nieco, przedłużając kontakt, nie trafiając jej wtedy, kiedy bym mógł, byle tylko pojedynkować się dalej. To uczucie jest inne niż na turnieju, lecz „lekki” to jedyne słowo, jakie przychodzi mi do głowy. Wreszcie Marjory się cofa. Dyszy ciężko.

- To była świetna zabawa, Lou, ale zupełnie mnie wykończyłeś. Muszę odetchnąć.

- Dziękuję - mówię.

Siadamy obok siebie, z trudem łapiąc powietrze. Dopasowuję rytm swojego oddechu do jej oddechu. Miło jest tak robić.

Nagle z zaplecza wychodzi Don, ze szpadami w jednej ręce i masce w drugiej. Obrzuca mnie palącym spojrzeniem i na sztywnych nogach obchodzi róg domu. Tom idzie za nim, wzruszając

ramionami i rozkładając ręce.

- Próbowałem mu to wyperswadować - mówi do Lucii. - Nadal uważa, że na turnieju obraziłem go celowo. Poza tym uplasował się w drugiej dwudziestce, za Lou. Narazie to wszystko moja wina, więc zamierza uczyć się u Gunthera.

- To nie potrwa długo - pociesza Lucia. Wyciąga przed siebie nogi. - Nie podoła dyscyplinie.

- To przeze mnie? - pytam.

- To dlatego, że świat za nic nie chce się do niego dopasować - odpowiada Tom. - Daję mu kilka tygodni, zanim wróci, udając, że nic się nie stało.

- Pozwolisz mu na to? - pyta ostrym tonem Lucia. Tom wzrusza ramionami.

- Pewnie, o ile będzie się poprawnie zachowywał. Ludzie naprawdę dorastają, Lucio.

- Niektórzy z trudem - rzuca.

Zjawiają się Max, Susan, Cindy i pozostali, a wszyscy mówią o mnie. Nie widziałem ich na turnieju, ale oni widzieli mnie. Jestem zakłopotany, że ich nie zauważyłem, lecz Max zaraz to wyjaśnia.

- Staraliśmy się nie wchodzić ci w oczy, żebyś mógł się skoncentrować. Zawsze chcesz w takich sytuacjach rozmawiać z jedną, najwyżej dwiema osobami - mówi. To miałoby sens, gdyby inni również mieli problemy z koncentracją. Nie wiedziałem, że tak uważają. Myślałem, że chcą, by wokół nich ciągle było jak najwięcej ludzi.

Skoro to, co mówi się o mnie, nie jest prawdą, to może to, co mówiono mi o normalnych ludziach, także nie jest prawdą.

Fechtuję się z Maksem, potem z Cindy, a później siedzę z Marjory, dopóki nie mówi, że musi już iść. Zanoszę jej torbę do auta. Chciałbym spędzić z nią więcej czasu, nie jestem jednak pewny, jak to zrobić. Gdybym spotkał kogoś takiego jak Marjory - kogoś, kogo bym polubił - na turnieju, gdzie nikt nie wie, że jestem autystyczny, to czy byłoby mi łatwiej zaprosić taką osobę na kolację?

Co by odpowiedziała? Co powiedziałyby Marjory, gdybym ją zaprosił? Stoję obok samochodu, choć ona już do niego wsiadła, i żałuję, że nie wypowiedziałem tych słów, bo teraz czekałbym już na odpowiedź. W głowie dźwięczy mi rozdrażniony głos Emmy. Nie wierzę, że ma rację. Nie wierzę, że Marjory widzi we mnie jedynie obiekt do zdiagnozowania i potencjalny przedmiot badań. Nie, *nie* wierzę w to jednak na tyle mocno, żeby zaprosić ją na kolację. Otwieram usta, lecz nie dobywają się z nich żadne słowa. Cisza jest szybsza od dźwięku, szybsza od myśli, jakie mogę uformować.

Marjory na mnie patrzy. Nieśmiałość przejmuje mnie chłodem. Cały sztywnieję.

- Dobranoc - mówię.

- Do widzenia - odpowiada. - Zobaczymy się w przyszłym tygodniu. - Zapala silnik, więc się cofam.

Wracam na podwórko i siadam obok Lucii.

- Jeśli ktoś zaprasza kogoś na kolację - zaczynam - to jeśli zaproszona osoba nie chce pójść, czy istnieje jakiś sposób, by ostrzec przed tym zapraszającą osobę, zanim zaprosi tę drugą?

Nie odpowiada przez - moim zdaniem - ponad czterdzieści sekund. Potem mówi:

- Jeśli dana osoba zachowuje się przyjaźnie wobec tamtej osoby, to nie będzie miała nic przeciwko temu, że została zaproszona, choć może nie mieć ochoty przyjąć zaproszenia. Albo może mieć inne plany na ten wieczór. - Milknie na chwilę. - Czy zaprosiłeś kiedyś kogoś na kolację, Lou?

- Nie - odpowiadam. - Z wyjątkiem ludzi, z którymi pracuję. Są tacy jak ja. To pewna różnica.

- Faktycznie - przytakuje. - Zamierzasz zaprosić kogoś na kolację?

Ścisła mnie w gardle. Nie mogę wykrztusić słowa, lecz Lucia nie nalega. Czeka.

- Myślę o zaproszeniu Marjory - mówię w końcu cichym głosem. - Nie chcę jednak wprawić jej w zakłopotanie.

- Nie sądzę, by je odczuła, Lou - zapewnia Lucia. - Nie wiem, czy z tobą pójdzie, nie uważam jednak, żeby była na ciebie zła za zaproszenie.

W domu, a potem wieczorem w łóżku wyobrażam sobie, jak Marjory siedzi naprzeciwko mnie przy stoliku i je. Widziałem coś takiego na wideo. Nie czuję się jeszcze gotowy, by to zrobić.

* * *

W czwartkowy poranek wychodzę z mieszkania i patrzę przez parking na samochód. Wygląda dziwnie. Wszystkie cztery opony rozplaszczyły się na betonie. Nie rozumiem. Kupiłem je raptem kilka miesięcy temu. Zawsze sprawdzam ciśnienie w kołach, kiedy kupuję paliwo, a ostatni raz tankowałem trzy dni temu. Nie wiem, dlaczego uszło z nich powietrze. Posiadam tylko jedno zapasowe koło i chociaż mam w samochodzie pompkę, wiem, że nie uda mi się wystarczająco napompować trzech pozostałych. Spóźnię się do pracy. Pan Crenshaw będzie wściekły. Po żebrach spływa mi pot.

- Co się stało, kolego? - To Danny Bryce, mieszkający obok policjant.

- Nie mam powietrza w kołach - mówię. - Nie wiem dlaczego. Wczoraj sprawdzałem ciśnienie.

Podchodzi bliżej. Jest w mundurze; pachnie miętą i cytryną, a mundur pralnią. Buty aż lśnią. Na bluzie ma srebrną plakietkę z czarnymi literami, układającymi się w napis: „Danny Bryce”.

- Ktoś je poprzecinał - oznajmia. Głos ma poważny, ale nie słychać w nim gniewu.

- Poprzecinał? - Czytałem o tym, ale nigdy mi się to nie przydarzyło. - Dlaczego?

- Głupi dowcip - mówi, pochylając się, by lepiej widzieć. - Tak. Zdecydowanie jakiś chuligan.

Ogląda pozostałe samochody. Ja też. Żaden nie ma sflaczałych opon, z wyjątkiem starej przyczepy właściciela bloku, ale ta ma tylko jedno koło bez powietrza, i to od dawna. Guma jest szara, nie czarna.

- Tylko w twoim samochodzie - oznajmia. - Kto ma z tobą na pieńku?

- Nikt. Nie spotkałem się jeszcze dzisiaj z nikim. Pan Crenshaw będzie na mnie wściekły - mówię. - Spóźnię się do pracy.

- Po prostu powiedz mi, co się stało - radzi.

Myślę, że pan Crenshaw będzie zły tak czy owak, lecz nie mówię tego na głos. Nie należy dyskutować z policjantem.

- Zgłoszę to za ciebie - obiecuje. - Przyślą tu kogoś...

- Muszę iść do pracy - przypominam. Czuję, że coraz bardziej się pocę. Nie wiem, co mam zrobić najpierw. Nie znam rozkładu jazdy, choć wiem, gdzie jest stacja. Muszę poszukać rozkładu. Powinienem zadzwonić do biura, ale nie wiem, czy ktoś tam będzie.

- Naprawdę powinieneś to zgłosić - nalega z poważną miną Danny. - Z pewnością możesz zadzwonić do szefa i uprzedzić go...

Nie znam numeru wewnętrznego do pana Crenshawa. Myślę, że jeśli do niego zadzwonię, po

prostu na mnie nakrzyczy.

- Później do niego zadzwonię - decyduję.

Radiowóz przyjeżdża już po szesnastu minutach. Danny Bryce zostaje ze mną, zamiast jechać do pracy. Nie mówi zbyt wiele, ale w jego obecności czuję się lepiej. Radiowóz zatrzymuje się i wysiada z niego mężczyzna w luźnych, płowych spodniach i brązowej sportowej bluzie. Nie ma plakietki z nazwiskiem. Pan Bryce podchodzi do auta i słyszę, jak przybysz mówi do niego „Dan”.

Pan Bryce i funkcjonariusz, który przyjechał, rozmawiają ze sobą, zerkają na mnie i zaraz odwracają wzrok. Co pan Bryce o mnie mówi? Jest mi zimno; trudno mi skupić na nich wzrok. Gdy ruszają w moją stronę, wydają się, że lekko podskakują, jakby drgało światło.

- Lou, to jest funkcjonariusz Stacy - wyjaśnia pan Bryce, uśmiechając się do mnie. Przyglądam się jego towarzyszowi. Jest niższy i szczuplejszy od Bryce'a; ma rzadkie i czarne włosy, pachnące jakimś słodkim olejkiem.

- Nazywam się Lou Arrendale - mówię. Mój głos brzmi dziwnie, jak wtedy, kiedy jestem przestraszony.

- Kiedy po raz ostatni widział pan swój samochód przed dzisiejszym rankiem? - pyta.

- O dziewiątej czterdzieści siedem wczoraj wieczorem - odpowiadam. - Jestem tego pewny, ponieważ spojrzałem na zegarek.

Spogląda na mnie, po czym notuje coś w podręcznym komputerze.

- Czy zawsze parkuje pan w tym samym miejscu?

- Zazwyczaj - mówię. - Miejsca parkingowe nie są numerowane i czasami ktoś inny zostawia tu samochód, kiedy przyjeżdżam z pracy.

- Wrócił pan wczoraj z pracy o dziewiątej... - patrzy na ekranik komputera -... czterdzieści siedem?

- Nie, proszę pana - odpowiadam. - Z pracy wróciłem o piątej pięćdziesiąt dwie, a potem pojechałem... - Nie chcę powiedzieć, że na trening szermierczy. Co będzie, jeśli uzna to za coś złego? Że się fechtuję? -... do domu przyjaciela - kończę.

- Czy to ktoś, kogo często pan odwiedza?

- Tak. Co tydzień.

- Czy byli tam jacyś inni ludzie?

Oczywiście, że byli tam inni ludzie. Dlaczego miałbym iść do kogoś, gdzie nie byłoby nikogo innego?

- Byli tam moi przyjaciele, mieszkający w tamtym domu - mówię. - I ludzie, którzy tam nie mieszkają.

Policjant mruga i zerka szybko na pana Bryce'a. Nie wiem, co oznacza to spojrzenie.

- Ach... zna pan ludzi, którzy nie mieszkają w tamtym domu? Czy to było przyjęcie?

Zbyt wiele pytań. Nie wiem, na które odpowiedzieć najpierw. *Ludzie?* Czy ma na myśli ludzi, którzy byli u Toma i Lucii, nie będących jednocześnie Tomem i Lucią? *Którzy nie mieszkają w tamtym domu?* Większość ludzi nie mieszka w tamtym domu... Z miliardów ludzi na całym świecie tylko dwie osoby mieszkają w tamtym domu, co oznacza... mniej niż milionową część procenta.

- To nie było przyjęcie - wyjaśniam, ponieważ to najłatwiejsza odpowiedź.

- Wiem, że wychodzisz w każdą środę wieczorem - mówi pan Bryce. - Czasami masz ze sobą

drelichową torbę... Myślałem, że chodzisz do siłowni.

Jeśli przesłuchają Toma i Lucie, dowiedzą się o szermierce. Będę musiał powiedzieć im o tym teraz.

- To jest... to jest szermierka... trening szermierki-przyznaję. Nienawidzę tak dukać.

- Szermierka? Nigdy nie widziałem cię z bronią - rzuca pan Bryce. Sprawia wrażenie zaskoczonego i zainteresowanego.

- Ja... zostawiam sprzęt u nich w domu - odpowiadam. – Są moimi instruktorami. Nie chcę trzymać takich rzeczy w samochodzie ani w domu.

- A więc... poszedł pan do domu przyjaciół poćwiczyć szermierkę - wtrąca drugi policjant. - I ćwicz pan tam... od jakiego czasu?

- Od pięciu lat - mówię.

- Czyli każdy, kto chciałby zrobić coś z pańskim samochodem, wiedziałby o tym? Wiedziałyby, gdzie spędza pan środowe wieczory?

- Może... Nie sądzę. Myślę, że ktoś, kto chciałby uszkodzić mi samochód, wiedziałby raczej, gdzie mieszkam, a nie dokąd wychodzę, kiedy wychodzę.

- Żyje pan w zgodzie z tamtymi ludźmi? - pyta policjant.

- Tak. - Myślę, że to głupie pytanie. Nie chodziłbym przez pięć lat do niemiłych ludzi.

- Będziemy potrzebować nazwiska i numeru telefonu.

Podaję im nazwisko i imiona Toma i Lucii oraz ich numer domowy. Nie rozumiem, do czego im to potrzebne, skoro samochód nie został uszkodzony u Toma i Lucii, tylko tutaj.

- To zapewne zwykli chuligani - mówi policjant. – Okolica jest spokojna, lecz po drugiej stronie Broadwayu było mnóstwo zgłoszeń o pociętych oponach i wybitych szybach. Jakiś dzieciak uznał, że zrobiło się tam za gorąco i przeniósł się tutaj. Coś go spłoszyło, zanim zabrał się za inne wozy. - Obrócił się do pana Bryce'a. - Daj mi znać, gdyby coś się wydarzyło, OK?

- Jasne.

Komputer policjanta szumi i wypluwa pasek papieru.

- Proszę bardzo. Raport, numer sprawy, nazwisko oficera dochodzeniowego... Wszystko, czego będzie pan potrzebował do zgłoszenia w firmie ubezpieczeniowej. - Podaje mi papier. Czuję się głupio. Nie mam pojęcia, co z tym zrobić. Oficer się odwraca. Pan Bryce patrzy na mnie.

- Lou, czy wiesz, do kogo zadzwonić w sprawie tych opon? - Nie... - Bardziej martwię się pracą niż oponami. Jeśli nie będę miał samochodu, zawsze mogę skorzystać z transportu publicznego, jeśli jednak zwolnią mnie z pracy przez powtarzające się spóźnienia, nie będę miał nic.

- Musisz skontaktować się z twoim ubezpieczycielem i ściągnąć kogoś, żeby wymienił ci opony.

Wymiana opon będzie kosztowna. Nie wiem, jak mam dojechać do warsztatu na czterech kapciach.

- Potrzebujesz pomocy?

Chcę, żeby ten dzień był każdym innym dniem, kiedy siedzę w aucie i dojeżdżam do pracy na czas. Nie wiem, co powiedzieć. Potrzebuję pomocy tylko dlatego, że nie wiem, co zrobić. Chciałbym wiedzieć, co trzeba zrobić, żeby nie potrzebować pomocy.

- Wypełnienie formularza zgłoszenia szkody w firmie ubezpieczeniowej nie jest proste, jeśli nie

robiłeś tego przedtem. Ale nie będę nalegał, skoro sobie nie życzysz.

Nie bardzo wiem, jak mam rozumieć minę pana Bryce'a. Jedna połowa jego twarzy wygląda na nieco smutną, druga na lekko rozgniewaną.

- Nigdy nie wypełniałem formularza zgłoszenia szkody - wyjaśniam. – Muszę nauczyć się go wypełniać, skoro powinienem uczynić to w tym przypadku.

- Chodźmy do ciebie i załogujmy się - decyduje. - Pomogę ci. Przez moment nie mogę się poruszyć ani przemówić. Ktoś ma wejść do mojego mieszkania? Zakłócić moją prywatną przestrzeń? Ale muszę wiedzieć, co zrobić. On wie, co powinienem zrobić. Próbuje mi pomóc. Nie spodziewałem się tego.

Bez zbędnych słów ruszam do mieszkania. Po paru krokach przypominam sobie, że powinienem jednak coś powiedzieć. Pan Bryce wciąż stoi przy moim samochodzie.

- To miło - mówię. Nie wydaje mi się, żebym użył właściwych słów, lecz pan Bryce chyba odpowiednio je rozumie, gdyż za mną idzie.

Kiedy otwieram zamek, trzęsą mi się ręce. Wszelki spokój, jaki tu stworzyłem, wsiąka w ściany, ucieka przez okna, ustępując miejsca napięciu i strachowi. Włączam swój domowy system i łączę się szybko z firmową siecią. Odzywa się Mozart, którego słuchałem zeszłej nocy. Zaraz go ściszam. Potrzebuję muzyki, ale nie wiem, co tamten sobie pomyśli.

- Ładnie tu - mówi za moimi plecami pan Bryce. Wzdrygam się lekko, choć przecież wiedziałem, że tam jest. Staje obok mnie, żebym mógł go widzieć. Tak jest troszkę lepiej. Pochyla się. - A teraz powinieneś...

- Powiadomić przełożonego o spóźnieniu - wpadam mu w słowo. - Muszę zająć się tym w pierwszej kolejności.

Trzeba odszukać adres mailowy pana Aldrina na internetowej stronie korporacji. Wcześniej nigdy nie przysyłałem mu wiadomości spoza firmy. Nie wiem, jak się wytłumaczyć, wobec czego jak najprościej przedstawiam całą sprawę.

Spóźnię się, ponieważ opony mojego samochodu zostały poprzecinane i nie ma w nich powietrza. Zjawiała się policja. Przyjadę najszybciej, jak to będzie możliwe.

Pan Bryce nie patrzy na ekran, kiedy piszę; to dobrze. Przełączam się do sieci publicznej.

- Powiadomiłem go - mówię.

- OK, w takim razie musisz teraz dokonać zgłoszenia szkody w firmie ubezpieczeniowej. Zaczynaj od lokalnego agenta, o ile go masz. On sam albo firma powinna mieć własną stronę internetową.

Już zacząłem szukać. Nie mam lokalnego agenta. Pojawia się strona firmowa. Szybko przebiegam przez „Usługi dla klientów”, „Polisy samochodowe” i „Nowe zgłoszenia”, by otworzyć właściwy formularz.

- Nieźle sobie radzisz - zauważa pan Bryce odrobinę wyższym głosem, co oznacza, że jest zaskoczony.

- To bardzo proste - odpowiadam. Wpisuję swoje nazwisko i adres, z osobistych plików ściągam numer polisy, wprowadzam dane i klikam przycisk „Tak” w okienku dialogowym: „Czy zdarzenie zostało zgłoszone policji?”.

Pozostałych rubryk nie rozumiem.

- To jest numer raportu policji - podpowiada pan Bryce, wskazując linijkę tekstu na pasku

papieru, który otrzymałem. - A to numer oficera dochodzeniowego, który wprowadzasz *tam* - wskazuje - a jego nazwisko *tam*.

Zdażyłem zauważyć, że nie wyjaśnia mi tego, do czego doszedłem samodzielnie. Wydaje się rozumieć, z czym mogę sobie poradzić, a z czym nie. W polu „Własnymi słowami” wpisuję krótki opis zdarzenia, którego nie widziałem. Zaparkowałem auto wieczorem, a rano we wszystkich oponach brakowało powietrza. Pan Bryce mówi, że tyle wystarczy.

Po dokonaniu zgłoszenia szkody do firmy ubezpieczeniowej muszę znaleźć kogoś, kto wymieni mi opony.

- Nie mogę ci powiedzieć, do kogo powinieneś zadzwonić - mówi pan Bryce. - W zeszłym roku zrobiła się z tego wielka afera. Ludzie oskarżali policję o branie łapówek od firm usługowych. - Nie wiem, co to jest łapówka.

Kiedy schodzę na dół, zatrzymuje mnie pani Thomas, która zarządza budynkiem, i mówi, że zna kogoś, kto może to dla mnie zrobić. Daje mi do niego numer. Nie mam pojęcia, skąd wie, co się stało, lecz pan Bryce nie wygląda na zaskoczonego tym, że ona wie. Zachowuje się tak, jakby to było całkowicie normalne. Czy mogła usłyszeć naszą rozmowę na parkingu? Nie podoba mi się ta myśl.

- Podrzucę cię na stację - proponuje pan Bryce. - Bo sam się spóźnię.

Nie wiedziałem, że nie jeździ codziennie do pracy samochodem. To miło z jego strony, że zaproponował podwiezienie. Zachowuje się jak przyjaciel.

- Dziękuję panu, panie Bryce - mówię. Potrząsa głową.

- Już ci mówiłem, Lou: możesz się zwracać do mnie Danny. Jesteśmy sąsiadami.

- Dziękuję, Danny - powtarzam. Uśmiecha się do mnie, szybko kiwa głową i otwiera drzwi samochodu. W środku jest bardzo czysto, zupełnie jak w moim, tylko brakuje futrzaka na siedzeniu. Włącza system audio; jest głośny i dudniący i sprawia, że w środku cały się trzęsę. Nie podoba mi się to, ale wolę ten hałas niż wędrówkę pieszo na stację.

Stacja jest bardzo zatłoczona i głośna. Trudno mi zachować spokój i skupić się na tyle, by móc odczytać znaki, które podpowiadają mi, jaki bilet kupić i w której ustawić się w kolejce.

To bardzo dziwne uczucie widzieć campus ze stacji, a nie przez szybę samochodu, od strony parkingu. Zamiast pokazywać identyfikator strażnicze przy wjeździe, pokazuję go strażnikowi przy wyjściu ze stacji. Większość pracowników tej zmiany jest już w pracy; ochroniarz mierzy mnie ostrym spojrzeniem i gwałtownym ruchem głowy zezwala na przejście. Szerokie, obramowane kwietnikami chodniki prowadzą do budynku administracji. Kwiaty o pękatych kielichach są pomarańczowe i żółte; barwy wyglądają, jakby migotały w blasku słońca. W budynku administracji muszę pokazać identyfikator kolejnemu strażnikowi.

- Dlaczego nie zaparkowałeś tam, gdzie powinieneś? – pyta gniewnie.

- Ktoś pociął mi opony - mówię.

- Włóczęga - komentuje. Twarz mu się jakby zapada, a wzrok powraca do blatu biurka.

Przypuszczam, że jest rozczarowany, ponieważ nie ma powodu do złości.

- Jaka jest najkrótsza droga do pawilonu 21? - pytam.

- Przez ten budynek, potem w prawo wokół pawilonu 15 i koło fontanny z nagą kobietą na koniu.

Stamtąd będziesz mógł zobaczyć swój parking. - Nawet nie podnosi wzroku.

Przechodzę przez wydział administracji, o brzydkiej podłodze z zielonego marmuru, gdzie unosi się nieprzyjemnie mocny zapach cytryny, po czym z powrotem wychodzę na jaskrawe słońce. Jest znacznie cieplej niż przed chwilą. Blask słońca odbija się od chodników. Tutaj nie ma klombów; trawnik sięga do samych płyt.

Po drodze oblewam się potem. Docieram do naszego budynku i wsuwam kartę w czytnik przy drzwiach. Czuję swój zapach. W środku jest chłodno i ciemnowo; mogę się odprężyć. Łagodne kolory ścian, miarowy blask oświetlenia w starym stylu, chłodne, bezwonne powietrze - wszystko to mnie uspokaja. Idę prosto do swojego pokoju i włączam wentylator na najwyższe obroty.

Mój komputer jak zwykle czuwa, a na ekranie miga ikonka wiadomości. Wprawiam w ruch jedną ze spiral i włączam muzykę - Bach, wersja na orkiestrę *Owce mogą paść się w spokoju*, po czym odbieram wiadomość.

Zadzwoń natychmiast po przyjściu. Podpisano: pan Crenshaw, wewnętrzny 213.

Sięgam po słuchawkę telefonu, który zaczyna brzęczeć, nim zdążyłem ją podnieść.

- Kazałem ci zadzwonić, jak tylko dotrzesz do biura - odzywa się głos pana Crenshawa.

- Właśnie przyszedłem - mówię.

- Minałeś główną bramę dwadzieścia minut temu - informuje. Głos ma bardzo rozgniewany. -

Nawet tobie pokonanie takiego odcinka nie powinno zabierać tyle czasu.

Powiniennem go przeprosić, ale wcale tego nie chcę. Nie wiem, ile czasu zabrało mi przejście od bramy aż tutaj, i nie mam pojęcia, jak szybko bym przyszedł, gdybym chciał się spieszyć. Było za gorąco, żeby się spieszyć. Nie wiem, co więcej mógłbym zrobić. Czuję, jak napinają mi się mięśnie czerwieniejącego karku.

- Nie zatrzymywałem się - mówię.

- I o co chodzi z tą oponą? Nie potrafisz zmienić koła? Spóźniłeś się ponad dwie godziny.

- Czterema oponami - poprawiam. - Ktoś poprzecinał mi wszystkie cztery opony.

- Cztery! Zakładam, że powiadomiłeś policję.

- Tak - potwierdzam.

- Mogłeś poczekać z tym do końca pracy - burczy. – Albo zadzwonić z biura.

- Był tam policjant - wyjaśniam.

- Tam? Ktoś widział chuligana niszczącego twoje auto?

- Nie... - Usiłuję poprawnie zrozumieć jego słowa, nie zważając na wyczuwalne w głosie zniecierpliwienie i gniew. Ich dźwięk oddala się ode mnie, tracą powoli znaczenie. Trudno ułożyć właściwą odpowiedź. - To był policjant mieszkający w moim budynku. Zobaczył, że w kołach nie ma powietrza. Wezwał innego policjanta. Powiedział mi, co mam zrobić.

- Powinien ci kazać jechać do pracy - upiera się Crenshaw. - Nie było powodów, żebyś się tam kręcił. Wiesz, że będziesz musiał odpracować to spóźnienie.

- Wiem. - Ciekawe, czy on musi odpracowywać spóźnienia, jeśli coś go zatrzyma w drodze do pracy. Ciekawe, czy z jego opony, albo ze wszystkich czterech opon, uszło kiedyś powietrze, gdy śpieszył się do biura.

- Tylko nie policz sobie tego jako nadgodzin - kończy i rozłącza się. Nie powiedział, że mu przykro z powodu moich kłopotów z czterema oponami. Wystarczyłaby standardowa odżywka typu „a to pech” czy „paskudna sprawa”, lecz on, choć jest normalny, nie powiedział nic takiego. Może wcale nie jest mu przykro. Może nie doznaje współczucia, które mógłby wyrazić. Musiałem się nauczyć wypowiadać konwencjonalne zwroty, nawet kiedy nie czułem potrzeby ich wypowiedzenia, ponieważ była to część *dopasowania* i *nauki właściwego postępowania*. Czy ktoś kiedykolwiek prosił pana Crenshawa, żeby się dopasował albo odpowiednio zachowywał?

Zbliża się pora lunchu, choć się spóźniłem i muszę nadrobić stracony czas. Czuję się pusty w środku; ruszam do aneksu kuchennego i uświadamiam sobie, że nie mam nic do jedzenia. Musiałem zostawić śniadanie na stole, kiedy wróciłem do mieszkania, żeby wypełnić zgłoszenie szkody. Schowane w lodówce pudełko z moimi inicjałami jest puste. Opróżniłem je dzień wcześniej.

W naszym budynku nie mamy automatu z jedzeniem. Nikt z niego nie korzystał i żywność się psuła, więc dali sobie z tym spokój. Firma ma stołówkę po drugiej stronie kampusu, a w sąsiednim budynku stoi taki automat. Wydawane z niego posiłki są paskudne. Wszystkie części kanapki są wymieszane ze sobą i usmarowane majonezem lub sosem do sałatek. W środku zielenina i siekane mięso z przyprawami. Nawet gdybym rozłożył kromki i oczyścił je z majonezu, jego zapach i smak i tak by zostały, psując mięso. Słodyczne - pączki i bułki - kleją się, zostawiając obrzydliwe plamy na plastikowych pojemnikach, z których sieje wyjmuję. Aż skręca mnie w żołądku, gdy to sobie wyobrażam.

Wyjechałbym poza firmę i coś sobie kupić, choć zazwyczaj nie wychodzimy z biura w porze lunchu, lecz mój wóz pozostał na parkingu pod domem, opuszczony na swoich czterech sflaczałych oponach. Nie chcę iść przez cały kampus, żeby jeść w tej wielkiej, hałaśliwej sali z ludźmi, których nie znam i którzy traktują nas jak groźnych dziwaków. Nie wiem też, czy oferowane tam jedzenie byłoby lepsze niż to z automatu.

- Zapomniałeś lunchu? - pyta Eric. Podskakuję. Jeszcze z nikim nie rozmawiałem.

- Ktoś poprzecinał mi opony w aucie - mówię. – Spóźniłem się. Pan Crenshaw jest na mnie wściekły. Przypadkowo zostawiłem lunch w domu. Mój samochód stoi pod domem.

- Jesteś głodny?

- Tak. Ale nie chcę iść do stołówki.
- Chuy jedzie załatwić coś w porze lunchu - oznajmia Eric.
- Chuy nie lubi nikogo zabierać - wtrąca Linda.
 - Mogę z nim pogadać - podsuwam.

Chuy zgadza się kupić mi coś do jedzenia. Nie wybiera się do spożywczego, więc będę musiał zadowolić się tym, co zdoła kupić po drodze. Wraca z jabłkami i bułką z kielbasą. Lubię jabłka, ale nie kielbasę. Nie smakują mi wymieszane w niej cząstki. Nie jest jednak tak zła jak kilka innych rzeczy, a ja jestem głodny, więc ją zjadam, nie namyślając się długo.

Jest szesnasta szesnaście, kiedy przypominam sobie, że nie zadzwoniłem do nikogo w sprawie wymiany opon w samochodzie. Otwieram lokalną książkę teleadresową i drukuję listę numerów. Spis online podaje także lokalizację, toteż zaczynam od tych najbliższych mojego domu. Kiedy do nich dzwonię, jeden po drugim mówią mi, że jest już zbyt późno, żeby cokolwiek dzisiaj zrobić.

- Najszybsze rozwiązanie - radzi mi jeden z nich - to kupić cztery kompletne koła i założyć je samemu, po jednym na raz. - Kupno opon z kołami kosztowałoby mnóstwo pieniędzy, nie wiem zresztą, jak miałbym przewieźć je do domu. Nie chcę tak szybko prosić Chuya o kolejną przysługę.

Zupełnie jak w tej zagadce o człowieku, kurze, kocie i worku ziarna na tym samym brzegu rzeki oraz łodzi, która uniesie tylko dwoje z nich, a człowiek musi jej użyć do przewiezienia wszystkiego na drugi brzeg tak, żeby nie zostawić kota sam na sam z kurą ani kury z workiem ziarna. Mam cztery pocięte opony i jedną zapasową. Jeśli założę zapasowe koło, mogę zabrać uszkodzone do sklepu z oponami, gdzie zamontują na nie nową oponę, potoczę koło z powrotem do domu i założę je, po czym zabiorę do sklepu następną pociętą oponę. Po trzech rundkach będę miał cztery dobre koła i pojedę autem z ostatnią zniszczoną oponą, żeby ją także wymienili na nową.

Najbliższy sklep znajduje się milę od domu. Nie wiem, ile czasu będę toczył tam pozbawioną powietrza oponę, choć przypuszczam, że więcej niż w przypadku napompowanej. Ale to jedyny sposób, jaki potrafię wymyślić. Nie pozwolą mi pojechać z kołem komunikacją publiczną, nawet jeśli znalazłbym właściwą linię.

Sklep z oponami jest otwarty do dziewiątej wieczorem. Jeśli przepracuję dzisiaj dwie dodatkowe godziny i przyjadę do domu przed ósmą, to na pewno zdążę dotoczyć jedno koło do sklepu, zanim zamkną. Jutro, jeśli wyjdę z pracy punktualnie, powinienem zdążyć wymienić dwie następne.

Jestem w domu o dziewiętnastej czterdzieści trzy. Otwieram bagażnik i wyciągam zapasowe koło. Nauczyłem się zmieniać koło na kursie prawa jazdy, lecz od tamtej pory ani razu nie musiałem tego robić. Teoretycznie to bardzo proste, zabiera mi jednak więcej czasu, niż przewidywałem. Podnośnik trudno prawidłowo ustawić, a samochód nie unosi się zbyt szybko. Przód osiada na felgach; puste opony wydają głuchy odgłos, gdy bieżnik trze o nawierzchnię. Jestem cały spocony i zdyszany, kiedy w końcu udaje mi się zdjąć uszkodzone koło i nasadzić dobre.

Chyba trzeba przykręcać śruby w określonej kolejności, ale nie pamiętam dokładnie w jakiej. Pani Melton twierdziła, że należy to zrobić właściwie. Jest już ósma i poza kręgami światła gęstnieje mrok.

- Hej!

Podrywam się. Z początku nie rozpoznaję głosu ani biegnącego w moją stronę zwalistego człowieka. Zwalnia.

- Och, to ty, Lou. Myślałem, że może wrócił ten chuligan, żeby narobić więcej szkód. Co robisz,

chcesz kupić nowe opony?

To Danny. Czuję, jak z ulgi miękną mi kolana.

- Nie. To koło zapasowe. Założę je, a potem zabiorę uszkodzone do sklepu z oponami, gdzie założą na nie nową oponę, a kiedy wrócę, będę mógł wymienić ją na uszkodzoną. Jutro zrobię to samo z następną.

- Ale... przecież mogłeś zadzwonić po kogoś, żeby wymienił ci wszystkie cztery. Czemu robisz to w tak skomplikowany sposób?

- Powiedzieli mi, że zrobią to dopiero jutro albo pojutrze. W jednym miejscu doradzono mi, żebym kupił komplet kół i sam je wymienił, żeby było szybciej. Więc pomyślałem o czymś takim. Przypomniałem sobie o zapasie. Wymyśliłem, jak zrobić to samemu, oszczędzając czas i pieniądze, i postanowiłem zacząć zaraz po powrocie do domu...

- Dopiero teraz wróciłeś do domu?

- Rano spóźniłem się do pracy. Siedziałem po godzinach, żeby to odrobić. Pan Crenshaw był na mnie bardzo zły.

- Tak, ale to zajmie ci kilka dni. Zresztą za niecałą godzinę zamkną sklep. Wezwiesz taksówkę, czy coś takiego?

- Potoczę je - mówię. Koło ze sflaczałą oponą się ze mnie naigrawa; wystarczająco trudno było odtoczyć je na bok. Kiedy zmienialiśmy koło na zajęciach, było napompowane.

- Pieszko? - Danny kręci głową. - To ci się nigdy nie uda, stary. Lepiej wsadź je do mojego wozu, podrzucę cię. Szkoda, że nie możemy zabrać dwóch... chociaż właściwie możemy.

- Nie mam dwóch zapasowych kół - zastrzegam.

- Możesz wykorzystać moje - mówi. - To ten sam rozmiar.

Nie wiedziałem o tym. Nie mamy samochodów tej samej marki ani modelu, a nie wszystkie koła mają identyczne rozmiary. Skąd to wie?

- Pamiętaj, żeby przykręcać przeciwległe śruby. Najpierw częściowo, potem pozostałe, a później dokręcasz wszystkie, zgadza się? Tak bardzo dbasz o swój samochód, że mogłeś tego nie wiedzieć.

Pochyliam się, żeby dokręcić śruby. Teraz przypominam sobie dokładnie, co mówiła pani Melton. To wzór, w dodatku łatwy. Lubię symetryczne wzory. Nim kończę, wraca Danny ze swoim kołem zapasowym, spoglądając na zegarek.

- Będziemy musieli się pospieszyć - mówi. - Masz coś przeciwko temu, żebym zdjął następną? Robiłem to nie raz...

- Nie mam nic przeciwko temu - odpowiadam. Nie mówię całej prawdy. Jeśli ma rację, że dziś wieczorem mogę wymienić dwie opony, oznacza to olbrzymią pomoc, lecz Danny wkracza w moje życie, poganiając mnie i sprawiając, że czuję się powolny i głupi.

Z drugiej strony zachowuje się jak przyjaciel, pomagając mi. Okazywanie wdzięczności za otrzymaną pomoc jest bardzo ważne.

O dwudziestej dwadzieścia jeden oba zapasowe koła znajdują się z tyłu mojego samochodu; śmiesznie wygląda z pustymi oponami z tyłu i napompowanymi z przodu. Obie pocięte opony, które zdemontowaliśmy z tylnej osi auta, ładują w bagażniku samochodu Danny'ego, a ja siadam obok niego. Znowu włącza audio i grzechoczące dźwięki wstrząsają moim ciałem. Chcę uciec; za dużo tych dźwięków i to niewłaściwych. Danny przekrzykuje hałas, ale nie rozumiem go; muzyka i głos

znoszą się nawzajem.

Gdy dojeżdżamy do sklepu z oponami, pomagam mu zanieść uszkodzone koła do środka. Ekspedient przygląda mi się obojętnie. Kręci głową, nim zdążam cokolwiek wyjaśnić.

- Już za późno - oznajmia. - Nie możemy teraz zmienić opon.

- Macie otwarte do dziewiątej - zauważam.

- Sklep, owszem. Lecz nie zmieniamy opon o tej godzinie. - Zerka na drzwi warsztatu, w których staje kościsty mężczyzna w granatowych spodniach i piaskowej koszuli z łąką, wycierając ręce w czerwoną szmatę.

- Ale nie mogłem przyjechać wcześniej - mówię. - A wy macie czynne do dziewiątej.

- Słuchaj pan - zaczyna. Jeden kącik ust podjeżdża mu do góry, bynajmniej nie w uśmiechu. - Powiedziałem przecież: spóźnił się pan. Nawet gdybyśmy zabrali się za te koła od razu, nie skończylibyśmy do dziewiątej. Założę się, że pan nie zostaje po godzinach, żeby dokończyć pracę, którą w ostatniej chwili dorzucił panu jakiś skończony cymbał.

Otwieram usta, chcąc powiedzieć, że owszem, zostaję po godzinach, że właśnie dzisiaj zostałem po godzinach i dlatego jestem tutaj tak późno, lecz wysuwa się przede mnie Danny. Mężczyzna za kontuarem prostuje się nagle, zaniepokojony. Ale Danny patrzy na mężczyznę w drzwiach warsztatu.

- Cześć, Fred - rzuca zadowolony, jakby właśnie spotkał przyjaciela. Lecz w jego głosie słychać coś jeszcze. - Jak leci ostatnimi czasy?

- Ach, świetnie, panie Bryce. Jestem czysty.

Wcale nie wygląda na czystego. Ma czarne smugi na rękach i brud pod paznokciami. Na spodniach i koszuli też widać ciemne smugi.

- To dobrze, Fred. Słuchaj, zeszłej nocy ktoś uszkodził mojemu kumplowi samochód. Musiał zostać do późna w biurze, ponieważ rano spóźnił się do pracy. Miałem nadzieję, że mógłbyś mi pomóc.

Mężczyzna w drzwiach patrzy na kolegę za ladą. Obaj unoszą i opuszczają brwi. Ekspedient wzrusza ramionami.

- Będziesz musiał sam pozamykać - mówi. Po czym do mnie:

- Zakładam, że wie pan, jaki typ opon chce pan kupić?

Oczywiście. Kupowałem tutaj opony raptem kilka miesięcy temu, więc wiem, co powiedzieć. Zapisuje numery i typ, po czym wręcza kartkę drugiemu mężczyźnie - Fredowi - a ten kiwa głową i podchodzi, żeby odebrać ode mnie koła.

Jest dwudziesta pierwsza siedem, kiedy wychodzimy z dwiema nowiutkimi oponami. Fred podtacza je do samochodu Danny'ego Bryce'a i wrzuca do bagażnika. Jestem bardzo zmęczony. Nic wiem, czemu Danny Bryce mi pomaga. Nie podoba mi się myśl o jego kole w moim aucie; nie pasuje tam, jak kawałek ryby w wołowym gulaszu. Po powrocie na parking Danny pomaga mi założyć koła z nowymi oponami na przód wozu, a zniszczone chowa mi do bagażnika. Dopiero wtedy dociera do mnie, że rano będę mógł pojechać do pracy, a w południe wymienię obie pocięte opony.

- Dziękuję - mówię. - Teraz będę mógł jeździć.

- Pewnie. - Uśmiecha się szczerze. - I mam pewną sugestię: przestaw samochód. Na wypadek gdyby tamten chuligan tu wrócił. Postaw go tam, bardziej z tyłu. Założę w nim alarm; jeśli ktoś go dotknie, usłyszę.

- To dobry pomysł - przyznaję. Jestem taki zmęczony, że trudno mi nawet mówić. - Dziękuję.

- *Por nada* - rzuca Danny, Macha ręką i wchodzi do budynku. Wsiadam do samochodu. Czuć lekki zaduch, ale siedzenie jest wygodne. Cały drzę. Włączam silnik, a potem muzykę - *prawdziwą* muzykę - i cofam, powoli obracając kierownicą. Wymijam pozostałe auta i zatrzymuję się na wskazanym przez Danny'ego miejscu. Tuż obok jego własnego wozu.

Trudno mi zasnąć, pomimo - a może właśnie dlatego - że jestem taki zmęczony. Bołą mnie plecy i nogi. Ciągłe wydaje mi się, że coś słyszę, i podrywam się z łóżka. Włączam muzykę - znowu Bach - i w końcu osuwam się w sen, łagodnie kołysany dźwiękami.

Poranek przychodzi zbyt wcześnie, wstaję jednak i biorę kolejny prysznic. Zbiegam po schodach i nie widzę mojego samochodu. Przechodzi mnie nagły mróz, zaraz jednak przypominam sobie, że nie ma go na zwykłym miejscu, i obchodzę budynek, żeby go znaleźć. Wygląda na to, że wszystko jest w porządku. Wracam do siebie, by zjeść śniadanie i naszykować sobie lunch, po czym spotykam na schodach Danny'ego.

- W południe oddam opony do wymiany - mówię mu. - Wieczorem zwrócę ci koło zapasowe.

- Nie ma pośpiechu - odpowiada. - I tak nie jadę dzisiaj samochodem.

* * *

Zastanawiam się, czy mówi poważnie. Tak było, kiedy mi pomógł. W każdym razie oddam opony do wymiany, ponieważ nie podoba mi się jego koło; nie pasuje, gdyż nie jest moje.

Gdy przychodzą do pracy pięć minut przed czasem, pan Crenshaw i pan Aldrin stoją w holu i rozmawiają. Pan Crenshaw patrzy na mnie. Oczy ma błyszczące i twarde; nie czuję się dobrze, kiedy w nie spoglądam, ale staram się nie tracić kontaktu wzrokowego.

- Nie złapałeś dzisiaj żadnej gumy, Arrendale?

- Nie, panie Crenshaw - odpowiadam.

- Czy policja znalazła tego chuligana?

- Nie wiem. - Chcę dotrzeć do mojego pokoju, ale stoi mi na drodze i musiałbym przepychać się obok niego. Takie postępowanie nie jest uprzejme.

- Kto prowadzi dochodzenie? - pyta pan Crenshaw.

- Nie pamiętam nazwiska, ale mam jego wizytówkę - mówię, wyciągając portfel.

Pan Crenshaw wzrusza ramionami i kręci głową. Napinają mu się niewielkie mięśnie wokół oczu.

- Nieważne - rzuca. Po czym zwraca się do pana Aldrina: - Chodźmy do mnie, uporządkujmy ten bałagan. - Odwraca się, z lekko zwieszonym ramieniem, a pan Aldrin podąża za nim. Teraz mogę się dostać do swojego pokoju.

Nie wiem, dlaczego pan Crenshaw zapytał o nazwisko policjanta, a potem nie obejrzał wizytówki. Chciałbym poprosić o wyjaśnienie pana Aldrina, lecz on również odszedł. Nie wiem, czemu pan Aldrin, który jest normalny, tak słucha pana Crenshawa. Boi się go? Czy normalni ludzie boją się innych normalnych ludzi? A jeśli tak, to jaka jest korzyść z bycia normalnym? Pan Crenshaw powiedział, że jeśli poddamy się kuracji i staniemy się normalni, będzie nam łatwiej z innymi ludźmi, zastanawiam się jednak teraz, co miał na myśli. Może chce, żeby wszyscy byli jak nadskakujący mu pan Aldrin. Nie wykonywalibyśmy dobrze naszej pracy, gdybyśmy mieli się tak zachowywać.

W południe zabieram opony do innego sklepu, blisko kampusu, gdzie zostawiam je do wymiany. Karteczkę z rozmiarem i typem opony wręczam ekspedientce. Jest w moim wieku i ma krótkie, ciemne włosy. Nosi płową koszulę z wyszytym czerwoną nicią napisem: „Obsługa klientów”.

- Dziękuję - mówi. Uśmiecha się do mnie. - Nie uwierzy pan, ilu ludzi przychodzi tutaj, nie mając zielonego pojęcia, jakich opon potrzebują, i zaczynają pokazywać rękami.

- Łatwo jest to zapisać - zauważam.

- Tak, ale nie przychodzi im to do głowy. Zaczeka pan czy przyjdzie później?

- Przyjdę później - odpowiadam. - Do której macie otwarte?

- Do dziewiątej. Albo może pan przyjechać jutro.

- Przyjdę przed dziewiątą- decyduję. Przesuwa moją kartę bankową przez czytnik i zaznacza na paragonie „Zapłacone z góry”.

- Oto pańska kopia - mówi. - Proszę jej nie zgubić... choć ktoś na tyle bystry, by zapisać rozmiar opony, jest pewnie na to zbyt mądry.

Z ulgą wracam do samochodu. Podczas tak krótkich spotkań łatwo oszukać ludzi, że jestem taki sam jak inni. Jeszcze łatwiej, gdy ludzie lubią gadać, jak ta kobieta. Sprawę załatwi parę formułek i uśmiech.

Pan Crenshaw znowu stoi w naszym holu, kiedy wracani na trzy minuty przed końcem przerwy obiadowej. Krzywi się na mój widok. Nie wiem dlaczego. Niemal natychmiast odwraca się i odchodzi. Nie odzywa się do mnie. Czasami milczenie ludzi oznacza gniew, ale nie wiem, co takiego zrobiłem, że jest na mnie zły. Ostatnio dwukrotnie się spóźniłem, lecz w obu przypadkach nie z własnej winy. Nie spowodowałem wypadku ani sam nie pociąłem sobie opon.

Trudno zabrać się do pracy.

Jestem w domu o siódmej, z własnymi oponami na wszystkich czterech kołach i zapasem Danny'ego w bagażniku. Postanawiam zaparkować obok jego wozu, choć nie wiem, czy jest w domu. Łatwiej będzie przenieść zapasowe koło z jednego auta do drugiego, jeśli będą stały blisko siebie.

Pukam do drzwi Danny'ego.

- Tak? - To jego głos.

- Tutaj Lou Arrendale - mówią. - Mam twoje koło zapasowe w bagażniku.

Słyszę zbliżające się kroki.

- Mówiłem ci, Lou, że nie musisz się z tym spieszyć. W każdym razie dziękuję. - Otwiera drzwi. Ma na podłodze taką samą brązową/żółtą/rdzawą wykładzinę jak ja, tyle że ja położyłem na niej coś, od czego nie bolą mnie oczy. Ma duży, ciemnoszary ekran wideo z niebieskimi głośnikami, które wydają się nieodpowiednie. Brązowa kanapa pokryta jest małymi ciemnymi kwadratami; wzór jest regularny, lecz nie pasuje do wykładziny. Na kanapie siedzi młoda kobieta w żółto-zielonej koszuli z białym wzorkiem, gryzącym się zarówno z wykładziną, jak i kanapą. Danny się do niej obraca.

- Lyn, idę przenieść koło zapasowe z samochodu Lou do mojego.

- OK. - Nie wygląda na zainteresowaną; nie podnosi wzroku znad stolika.

Ciekawe, czy to dziewczyna Danny'ego. Nie wiedziałem, że ma dziewczynę. Nie po raz pierwszy się zastanawiam, dlaczego czyjaś partnerka nazywana jest dziewczyną, a nie kobietą.

- Wejdz, Lou - mówi do mnie Danny - a ja poszukam kluczyków. - Nie mam ochoty wchodzić do środka, z drugiej jednak strony nie chciałbym sprawiać wrażenia kogoś nieuprzejmego. Żle dopasowane kolory i wzory męczą wzrok. Wchodzę. - Lyn, to jest Lou z góry - przedstawia mnie Danny. - Pożyczył ode mnie wczoraj koło zapasowe.

- Cześć - rzuca kobieta, unosząc na chwilę wzrok i zaraz go opuszczając.

- Cześć - odpowiadam. Patrzę, jak Danny podchodzi do biurka i zabiera z niego klucze. Na blacie panuje porządek: tylko skorowidz i telefon.

Udajemy się na dół i wychodzimy na parking. Otwieram bagażnik, a Danny wyciąga z niego koło. Otwiera swój bagażnik i kładzie je do środka, po czym zatrzaskuje klapę, która wydaje inny dźwięk niż ta w moim wozie.

- Dziękuję za pomoc - mówię.

- *No problemo* - zapewnia Danny. - Miło było pomóc. I dziękuję za szybki zwrot koła.

- Proszę bardzo - odpowiadam. To nie brzmi dobrze w sytuacji, gdy on zrobił znacznie więcej, żeby mi pomóc, nie wiem jednak, co innego miałbym powiedzieć.

Stoi przy aucie, patrząc na mnie. Milczy przez chwilę, po czym rzuca: „No cóż, do zobaczenia” i odwraca się. Pewnie, że mnie zobaczy - mieszkamy w tym samym budynku. Myślę, że oznacza to, iż nie chce wracać do środka razem ze mną. Nie wiem, czemu po prostu tego nie powiedział, skoro o to mu chodziło. Odwracam się do mojego samochodu i czekam, aż usłyszę dźwięk otwierających się drzwi wejściowych, po czym zamykam bagażnik.

Czy zrozumiałbym to, gdybym poddał się leczeniu? Czy chodzi o kobietę w jego mieszkaniu? Gdyby była u mnie Marjory, to czy też bym nie chciał, żeby Danny wchodził ze mną do środka? Nie wiem. Czasami powody, dla których ludzie normalni coś robią, są bardzo oczywiste, czasem jednak w ogóle ich nie rozumiem.

Wreszcie wchodzę do budynku i ruszam na swoje piętro. Włączam uspokajającą muzykę - preludia Chopina. Wlewam dwie szklanki wody do garnka i otwieram paczkę klusek z warzywami. Obserwuję bąbelki w gotującej się wodzie. Pod pierwszymi z nich dostrzegam wzór palnika, kiedy jednak woda zaczyna wrzeć, tworzy się kilka obszarów intensywnego ruchu. Wciąż mi się wydaje, że to coś ważnego, coś więcej niż zwykła wrząca woda, na razie jednak nie odkryłem całego wzoru. Wrzucam kluski i warzywa, i mieszam zgodnie ze wskazówkami. Lubię patrzeć, jak wirują we wrzącej wodzie.

A czasami jestem znudzony głupio roztańczonymi warzywami.

W piątki piorę, żeby mieć wolne weekendy. Mam dwa kosze na brudną odzież: jeden na jasne, a drugi na ciemne rzeczy. Zdejmuję prześcieradła z łóżka i powłoczkę z poduszki, po czym wkładam je do kosza z jasnymi rzeczami. Ręczniki wędrują do kosza z ciemnymi rzeczami. Moja matka używała do sortowania brudnych ubrań dwóch błękitnych koszy; jeden z nich nazywała „jasnym”, a drugi „ciemnym”, co bardzo mnie niepokoiło. Znalazłem ciemnozielony kosz z wikliny i przeznaczyłem go na ciemne rzeczy; kosz na jasne ubrania jest ze zwykłej wikliny w miodowym kolorze. Lubię wzór wiklinowej plecionki i lubię słowo „wiklina”. Pręty otaczają pionowe ożebrowanie, niczym dźwięk *wi*, potem następuje ostre *k*, przypominające spleciony z wikliny warkocz, a na koniec bardziej miękkie *lina*, gdy gałązki znikają z powrotem w cieniu.

Wyjmuję z pudełka z drobnymi dokładnie odliczoną ilość monet plus jedną dodatkową, na wypadek gdyby maszyna którejś nie przyjęła. Bardzo mnie złości, kiedy idealnie okrągła moneta nie wprawia maszyny w ruch. Mama nauczyła mnie zabierać dodatkową monetę. Powiedziała, że nie jest dobrze długo się złościć. Czasami moneta, której nie przyjęła pralka lub suszarka, zadziała w dystrybutorze napojów, a kiedy indziej bywa odwrotnie. Nie ma to sensu, ale taki już jest ten świat.

Wkładam monety do kieszeni i wrzucam paczuszkę z detergentem do jasnego kosza, który stawiam na ciemnym. Jasny powinien znaleźć się nad ciemnym. Zachowuje wówczas równowagę.

Idąc przez hol, widzę ponad nim drogę przed sobą. Zapamiętuję preludium Chopina i ruszam do pralni. Jak zwykle w piątkowe wieczory zastaję tam tylko pannę Kimberly. Jest stara i ma kędzierzawe, siwe włosy, nie jest jednak tak stara jak pani Watson. Zastanawiam się, czy rozważa zastosowanie kuracji przedłużającej życie, czy też jest już na to zbyt wiekowa. Panna Kimberly ma na sobie jasnozielone luźne spodnie i kwiecistą bluzkę. Nosi to w każdy ciepły, piątkowy wieczór. Wolę zastanawiać się nad jej strojem, niż rozmyślać o zapachu pralni - ostrym i nieprzyjemnym, którego nie lubię.

- Dobry wieczór, Lou - mówi. Skończyła już pranie i wkłada rzeczy do stojącej po lewej stronie suszarki. Zawsze używa suszarki po lewej stronie.

- Dobry wieczór, panno Kimberly - odpowiadam.

Nie przyglądam się jej praniu; niegrzecznie jest oglądać kobiece rzeczy, ponieważ może być wśród nich bielizna. Niektóre kobiety nie lubią, kiedy mężczyźni patrzą na ich bieliznę. Inne owszem, co komplikuje sprawę, ale panna Kimberly jest stara i nie sędzę, żeby chciała, abym zobaczył jej różowe barchany pomiędzy ręcznikami i pościelą. Ja również nie mam ochoty ich oglądać.

- Jak minął tydzień? - pyta. Zawsze o to pyta. Nie wydaje mi się, żeby ją obchodziło, czy mój tydzień był dobry, czy też nie.

- Pocięto mi opony - mówię. Przerywa wkładanie rzeczy do suszarki i spogląda na mnie z uwagą.

- Ktoś pociął ci opony? Tutaj? Czy w pracy?

Nie rozumiem, dlaczego miałyby to stanowić jakąś różnicę.

- Tutaj - odpowiadam. - Wyszedłem z domu w czwartek rano i wszystkie były podziurawione.

Wygląda na niezadowoloną.

- Tutaj, na naszym parkingu? Myślałam, że tu jest bezpiecznie!

- To było bardzo nieprzyjemne - dodaję. - Spóźniłem się do pracy.

- Ale chuligani? Tutaj?! - Robi minę, jakiej nigdy u niej nie widziałem; coś pośredniego między strachem a wstrętem. Potem patrzy ze złością wprost na mnie, jakbym to ja zrobił coś niestosownego. Odwracam wzrok. - Będę musiała się przeprowadzić - mówi.

Nie rozumiem: musi się przeprowadzić, ponieważ pocięto mi koła? Jej nikt nie przedziurawi opon, gdyż ich nie ma. Nie ma samochodu.

- Widziałeś, kto to zrobił? - pyta. Zostawiła część rzeczy przewieszonych przez krawędź suszarki; wygląda to bardzo nieporządknie i nieładnie, zupełnie jak wystające poza krawędź talerza jedzenie.

- Nie - odpowiadam. Wyciągam jasne rzeczy z jasnego kosza i wkładam je do pralki po prawej stronie. Dodaję detergent, uważnie go odmierzając, ponieważ zużycie zbyt dużej jego ilości byłoby marnotrawstwem, a ubrania się nie dopiorą, jeśli będzie go za mało. Wrzucam monety do szczeliny, zamykam drzwiczki, ustawiam pralkę na średnie pranie, płukanie w zimnej wodzie i odwirowanie, po czym naciskam guzik START. W pralce coś szczyka i do środka zaczyna wlewać się z sykiem woda.

- To okropne - mówi panna Kimberly. Trzęsącymi się rękami wpycha resztę prania do suszarki. Na podłogę spada coś różowego i pomarszczonego. Odwracam się i wyciągam ubrania z ciemnozielonego kosza. Wkładam je do pralki pośrodku. - Choć to nie problem dla ludzi takich jak ty - dodaje.

- Co to znaczy, że to nie problem dla ludzi takich jak ja? - pytam. Nigdy przedtem tak nie mówiła.

- Jesteś młody - wyjaśnia. - I jesteś mężczyzną. Nie musisz się martwić.

Nie rozumiem. Według pana Crenshawa nie jestem młody. Jestem wystarczająco dorosły, żeby wiedzieć, co trzeba. Jestem mężczyzną, ale nie rozumiem, czemu miałyby to oznaczać, że przedziurawienie opon w moim wozie to nic złego.

- Nie chciałem, żeby pocięto mi opony - mówię powoli, ponieważ nie wiem, jak się zachowa.

- No cóż, jasne, że tego nie chciałeś - odpowiada pospiesznie. Zwykle w świetle pralni jej skóra wygląda blado i żółtawo, teraz jednak na policzki wystąpiły jej brzoskwiniowe rumieńce.

- Ale nie musisz się martwić ludźmi, którzy ci dokuczają. Mężczyznami.

Patrząc na pannę Kimberly, nie potrafię wyobrazić sobie nikogo, kto by jej dokuczał. Ma siwe włosy, przez które przeliera różowa czaszka, pomarszczoną skórę i brązowe plamy na ramionach. Chcę zapytać, czy mówi poważnie, lecz wiem, że tak właśnie jest. Nie śmieje się, nawet ze mnie, kiedy coś upuszczę.

- Przykro mi, że panią zaniepokoiłem - mówię, wkładając detergent do pralki pełnej ciemnych rzeczy. Wsuwam monetę w szczelinę. Drzwi suszarki zamykają się z trzaskiem; zapomniałem o niej, próbując zrozumieć pannę Kimberly i teraz drgnęła mi ręka. Jedna z monet nie trafia w szczelinę i wpada do pralki. Będę musiał wszystko wyjąć, żeby ją znaleźć, a w tym czasie zsunie się z ubrań do środka. Szumi mi w głowie.

- Dziękuję, Lou - mówi panna Kimberly cieplejszym głosem. Jestem zaskoczony. Nie spodziewałem się, że powiem właściwą rzecz. - Coś nie w porządku? - pyta, gdy zaczynam wyciągać ubrania, strząsając je tak, że większość detergentu spada do pralki.

- Wpadła mi do środka moneta - wyjaśniam. Panna Kimberly podchodzi bliżej. Nie chcę tego. Używa mocnych perfum o bardzo słodkim zapachu.

- No to włóż inną. Tamta będzie naprawdę czysta, kiedy wyjmiesz pranie - oznajmia.

Nieruchomieję na chwilę z ubraniami w ręce. Czy mogę zostawić monetę w środku? W kieszeni mam zapasową. Wrzucam rzeczy do środka i sięgam do kieszeni po monetę. Ma odpowiedni rozmiar. Wkładam ją do szczeliny, zamykam drzwiczki, nastawiam pranie i naciskam przycisk START. Kolejne szczęknięcie i syk wody. Czuję się dziwnie. Myślałem, że rozumiałem pannę Kimberly, kiedy była jeszcze przewidywalną starszą panią i robiła pranie w każdy piątek wieczorem, tak jak ja. Myślałem, że rozumiałem ją kilka minut temu, przynajmniej na tyle, by pojąć, że jest na coś zła. Lecz ona tak szybko wymyśliła rozwiązanie, gdy ja jeszcze myślałem, że nadal jest rozgniewana. Jak to zrobiła? Czy normalni zawsze tak postępują?

- To łatwiejsze niż wyciąganie rzeczy - dodaje. - W ten sposób nie zapychasz pralki i nie musisz jej czyścić. Zawsze noszę ze sobą kilka zapasowych monet, tak na wszelki wypadek. - Wybucham nieco oschłym śmiechem. - Im jestem starsza, tym bardziej trzęsą mi się ręce. - Milknie, wpatrując się we mnie. Nadal zastanawiam się, jak to zrobiła, uświadamiam sobie jednak, że czeka na coś z mojej strony. Zawsze należy podziękować, nawet jeśli nie jest się pewnym, za co.

- Dziękuję - mówię. Znowu udało mi się powiedzieć właściwą rzecz; uśmiecha się.

- Miły z ciebie człowiek, Lou. Przykro mi z powodu twoich opon - wyznaje. Zerka na zegarek. - Muszę iść wykonać kilka telefonów. Zostajesz tutaj? Popilnujesz prania?

- Będę na dole - odpowiadam. - Tutaj jest za głośno. - Powiedziałem to już wcześniej, kiedy poprosiła mnie, żebym miał oko na jej rzeczy. Zawsze myślę wtedy o wyjęciu sobie oka i położeniu go na ubraniach, nie mówię jej jednak o tym. Wiem, co znaczy to wyrażenie, ale i tak brzmi głupio. Kiwa głową i uśmiecha się, po czym wychodzi. Sprawdzam ponownie, czy prawidłowo nastawiłem obie pralki (można zmieniać ustawienia, dopóki pralka nie nabierze wody), a następnie wychodzę na korytarz.

Podłoga w pralni pokryta jest brzydkim, szarym betonem i opada lekkim ukosem w stronę sporego odpływu pod pralkami. Wiem, że tam właśnie znajduje się odpływ, ponieważ dwa lata temu zniosłem pranie na dół i byli tam robotnicy. Odsunęli pralki i zdjęli pokrywę odpływu. Bił z niego obrzydliwy, kwaśny i stęchły zapach.

Posadzka na korytarzu wyłożona jest ozdobnymi płytkami z przeplatającymi się pasmami zieleni i beżu. To kwadraty o boku dwunastu cali; korytarz ma pięć kwadratów szerokości oraz czterdzieści pięć i pół kwadratu długości. Osoba układająca płytki zrobiła to tak, że pasma na poszczególnych kwadratach pozostają względem siebie pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Większość płytek ułożono na jeden z dwóch sposobów, ale osiem z nich odwrócono do góry nogami w stosunku do pozostałych kwadratów o tym samym kierunku.

Lubię patrzeć na korytarz i rozmyślać o owych ośmiu płytkach. Jaki powstałby wzór, gdyby ułożyć je odwrotnie? Jak dotąd, wymyśliłem trzy możliwe kombinacje. Kiedyś próbowałem opowiedzieć o nich Tomowi, nie potrafił jednak wyobrazić sobie wzorów tak jak ja. Narysowałem je więc na papierze, szybko jednak spostrzegłem, że go nudzą. Nie jest grzecznie nudzić ludzi. Nigdy więcej nie próbowałem z nim o tym rozmawiać.

Ale dla mnie jest to nadal interesujące. Kiedy zmęczy mnie podłoga - a nigdy nie męczy - mogę przyglądać się ścianom. Wszystkie ściany korytarza są pomalowane, lecz na jednej z nich była kiedyś imitacja ceglano-muru. Te niby-cegły miały czterocalową krawędź, a w odróżnieniu od płytek

posadzki znajdowała się między nimi przerwa na niby-zaprawę. Tak więc ich prawdziwy rozmiar to cztery i pół cala. Gdyby miały równo po cztery cale, to trzy z nich równałyby się jednej płytce posadzki.

Szukam miejsca, w którym linia pomiędzy płytkami może wspiąć się na ścianę, potem na sufit i z powrotem, bez przerwy. W całym korytarzu jest tylko jedno miejsce, gdzie linie tak się łączą, a i tam nie do końca. Kiedyś uważałem, że gdyby korytarz był dwukrotnie dłuższy, istniałyby dwa takie miejsca, ale to działa inaczej. Kiedy odpowiednio się temu przyjrzę, widzę, że korytarz musiałby być pięć i pół razy dłuższy, żeby linie zbiegły się dwukrotnie.

Słyszę, że jedna pralka zwalnia i wracam do pralni. Wiem, że zajmuje mi to dokładnie tyle czasu, by bęben przestał się obracać. To taka gra: zrobić ostatni krok w chwili, gdy wirnik kończy ostatni obrót. Suszarka po lewej stronie wciąż mruczy i bełkocze. Wyjmuję mokre ubrania i wkładam do suszarki po prawej. Zanim wszystko przełożyłem i sprawdziłem, czy nic nie zostało w środku, zaczęła zwalniać druga pralka. Pewnego razu w zeszłym roku rozpracowałem zależność pomiędzy siłą tarcia zwalnającą wirowanie a częstotliwością wydawanego przy tym dźwięku. Zrobiłem to sam, bez pomocy komputera, co sprawiło mi tym większą frajdę.

Wyjmuję rzeczy z drugiej pralki i znajduję na dnie upuszczoną przeze mnie monetę- lśniącą, czystą i gładką. Wkładam ją do kieszeni, ładuję ubrania do suszarki, wrzucam monety i włączam urządzenie. Dawno temu patrzyłem na kotłującą się odzież, by ustalić wzór - dlaczego raz rękaw czerwonego swetra znajduje się przed niebieską suknią, spadając i obracając się, by następnym razem pojawić się przy żółtych spodniach i powłoczce poduszki. Matka nie lubiła, jak mamrotałem, obserwując unoszenie się i opadanie ubrań, toteż nauczyłem się robić to po cichu.

Panna Kimberly wraca w chwili, gdy zatrzymuje się suszarka z jej rzeczami. Uśmiecha się do mnie. Trzyma talerzyk z ciasteczkami.

- Dziękuję, Lou - mówi. Wyciąga do mnie talerzyk. - Poczęstuj się ciastkiem. Wiem, że chłopcy... to jest: młodzi mężczyźni... uwielbiają ciasteczka.

Przynosi je niemal co tydzień. Nie zawsze mi smakują, nie byłoby jednak grzecznie jej o tym powiedzieć. W tym tygodniu to kruche ciastka cytrynowe. Bardzo je lubię. Biorę trzy. Stawia talerzyk na składanym stoliku i wyjmuję ubrania z suszarki. Umieszcza je w koszyku; nie składa ubrań tutaj.

- Odnieś mi talerzyk, jak skończysz, Lou - prosi. Tak samo było w zeszłym tygodniu.

- Dziękuję, panno Kimberly - odpowiadam.

- Nie ma za co - mówi jak zwykle.

Zjadam ciasteczka, wsypuję okruszki do kubła i składam pranie przed pójściem na górę. Oddaję talerzyk i wracam do mieszkania.

W sobotnie poranki udaję się do Centrum. Jeden z doradców przyjmuje od ósmej trzydzieści do południa, a raz na miesiąc przygotowują specjalny program. Dzisiaj nie ma żadnego programu, lecz Maxine, jedna z doradczyń, zmierza właśnie w stronę sali konferencyjnej, gdy przyjeżdżam. Bailey nie powiedział, czy to z nią rozmawiali w zeszłym tygodniu. Maxine ma pomarańczową szminkę na wargach i purpurowe cienie do powiek; nigdy jej o nic nie pytałem. Mimo to chcę zadać jej pytanie, lecz ktoś inny wchodzi do środka, nim mam czas podjąć decyzję.

Doradcy wiedzą, jak znaleźć dla nas pomoc prawną albo mieszkanie, nie mam jednak pewności, czy zrozumieją problem, przed jakim obecnie stoimy. Zawsze zachęcają nas do robienia wszystkiego, co pozwoli nam stać się bardziej normalnymi. Powiedzą, jak sądzę, że powinniśmy zgodzić się na

leczenie, nawet jeśli uznają je za zbyt niebezpieczne, gdyż pozostaje jeszcze w fazie eksperymentalnej. W końcu będę musiał porozmawiać z kimś z Centrum, cieszę się jednak, że ktoś jest przede mną. Nie muszę robić tego właśnie teraz.

Przyglądam się tablicy z ogłoszeniami o spotkaniach AA i innych grup wsparcia (samotni rodzice, rodzice nastolatków, szukający pracy) i wspólnych zainteresowań (taniec funk, kręgle, pomoc komputerowa), kiedy podchodzi do mnie Emmy.

- Cóż, jak się miewa twoja dziewczyna?

- Nie mam dziewczyny - odpowiadam.

- Widziałam ją - oznajmia Emmy. - Wiesz, że tak było. Nie kłam.

- Widziałaś moją przyjaciółkę - mówię. - A nie dziewczynę. Dziewczyna to ktoś, kto zgadza się być twoją dziewczyną, a ona się nie zgodziła. - Nie jestem do końca szczery i to jest złe, nie mam jednak ochoty na rozmowę z Emmy o Marjory.

- Zapytałeś ją? - pyta Emmy.

- Nie chcę z tobą o niej rozmawiać - odpowiadam i odwracam się.

- Ponieważ wiesz, że mam rację - zauważa Emmy. Szybko obchodzi mnie dookoła i znowu staje przede mną. - Jest jedną z tych, którzy nazywają siebie normalnymi i traktują nas jak laboratoryjne szczury. Wiecznie się wokół nich kręcisz, Lou, i to nie jest w porządku.

- Nie wiem, o co ci chodzi - mówię. Widuję się z Marjory tylko raz w tygodniu, dwa razy, licząc spotkanie w sklepie spożywczym, więc jak można mówić o „kręceniu się” wokół niej? Jeśli przychodzę co tydzień do Centrum i jest tam Emmy, czy oznacza to, że kręcę się wokół niej? Nie podoba mi się ta myśl.

- Od miesiący nie zjawiałeś się na żadnej imprezie specjalnej - mówi. - Spędzasz czas ze swoimi *normalnymi* przyjaciółmi. - Wymawia to słowo niczym przekleństwo.

Nie chodzę na imprezy specjalne, ponieważ mnie nie interesują. Wykład o tym, jak być dobrym rodzicem? Nie mam dzieci. Taniec? Nie lubię takiej muzyki. Pokaz garncarstwa? Nie chcę wyrabiać przedmiotów z gliny. Rozmyślając o tym, uświadamiam sobie, jak mało rzeczy interesuje mnie w Centrum. Łatwo jest wmieszać się w tłum innych autystycznych osób, lecz nie wszyscy z nich mnie przypominają, a łatwiej jest znaleźć ludzi o podobnych zainteresowaniach w Internecie lub w biurze. Cameron, Bailey, Eric, Linda... wszyscy spotykamy się w Centrum, zanim pójdziemy w jakieś inne miejsce, ale to tylko przyzwyczajenie. Tak naprawdę wcale nie potrzebujemy Centrum, chyba że od czasu do czasu chcemy zasięgnąć opinii doradcy.

- Jeśli zamierzasz znaleźć sobie dziewczynę, powinieneś zacząć od własnego środowiska - ciągnie Emmy. Dostrzegam widoczne na jej twarzy oznaki gniewu: zaczerwienioną skórę, błyszczące oczy pod napiętymi powiekami, zaciśnięte zęby i usta. Nie wiem, o co jest na mnie teraz zła. Nie wiem, czemu tak ją obchodzi, ile czasu spędzam w Centrum. I nie uważam, żeby należała do mojego środowiska. Nie jest autystyczna. Nie wiem, co jej dolega, i nie dbam o to.

- Nie szukam dziewczyny - odpowiadam.

- Czyli to ona znalazła ciebie?

- Powiedziałem, że nie chcę o tym z tobą rozmawiać - powtarzam. Rozglądam się dokoła. Nie widzę nikogo znajomego. Myślałem, że przyjdzie Bailey, może jednak zdał sobie sprawę z tego, do czego ja doszedłem przed chwilą. Może nie przychodzi,

ponieważ wie, że nie potrzebuje Centrum. Nie chcę sterczeć tutaj i czekać, aż Maxine będzie wolna.

Odwracam się, żeby odejść, świadomy obecności Emmy za plecami; promieniuje mrocznymi uczuciami szybciej, niż mogę się oddalić. Wchodzą Linda i Eric. Nim mam czas cokolwiek powiedzieć, Emmy wypala:

- Lou znowu widuje się z tą dziewczyną, z tą badaczką. Linda odwraca wzrok; nie chce jej słuchać. Poza tym nie chce być zamieszana w żadne sprzeczki. Spojrzenie Erika prześlizguje się po mojej twarzy i odnajduje wzór na posadzce. Słucha, ale o nic nie pyta.

- Mówiłam mu, że jest badaczką i chce go wykorzystać, ale on nie słucha - ciągnie Emmy. - Widziałam ją na własne oczy; nawet nie jest ładna.

Czuję, jak czerwienieje mi kark. To nie w porządku ze strony Emmy mówić tak o Marjory. Nawet jej nie zna. Uważam, że Marjory jest ładniejsza od Emmy, zresztą to nie uroda jest powodem, że ją lubię.

- Czy próbuje nakłonić cię do poddania się kuracji, Lou? - pyta Eric.

- Nie - odpowiadam. - Nie rozmawiamy o tym.

- Nie znam jej - mówi Eric i się odwraca. Linda już zniknęła nam z oczu.

- Wcale nie chcesz jej poznać - rzuca Emmy. Eric się ogląda.

- Nie powinnaś wygadywać na jej temat niemiłych rzeczy, skoro jest przyjaciółką Lou - oznajmia. Potem podąża za Lindą. Zastanawiam się, czy nie pójść z nimi, ale nie chcę tutaj zostać. Emmy mogłaby za mną ruszyć. Mogłaby dalej mówić. Powie działałyby więcej. To zdenerwowałoby Erika i Linde.

Odwracam się, żeby odejść, a ona rzeczywiście mówi dalej.

- Dokąd idziesz? - pyta. - Dopiero co tu przyszedłeś. Nie myśl sobie, że możesz uciec przed swoimi problemami, Lou!

Myślę, że mogę uciec przed nią. Nie mogę uciec przed pracą czy doktor Fornum, ale mogę uciec przed Emmy. Uśmiecham się na tę myśl, a ona robi się jeszcze bardziej czerwona na twarzy.

- Dlaczego się uśmiechasz?

- Myślę o muzyce - mówię. To bezpieczna odpowiedź. Nie chcę na nią patrzeć; jej twarz jest czerwona, błyszcząca i rozgniewana. Okrąża mnie, starając się mnie zmusić, żebym na nią spojrział. Ja jednak tylko wbijam wzrok w podłogę. - Zawsze myślę o muzyce, kiedy ktoś się na mnie złości - dodaję. Czasami naprawdę tak robię.

- Och, jesteś niemożliwy! - rzuca i oddala się korytarzem. Zastanawiam się, czy w ogóle ma jakichś przyjaciół. Nigdy nie widuję jej w towarzystwie innych. To smutne, ale nic nie mogę na to poradzić.

Na zewnątrz jest znacznie spokojniej, choć Centrum mieści się przy ruchliwej ulicy. Nie mam żadnych planów. Nie jestem pewny, co robić, kiedy nie spędzam sobotniego poranka w Centrum. Pranie zrobiłem. Mieszkanie wysprzątane. Książki mówią, że nie radzimy sobie zbyt dobrze z niepewnością lub zmianą planów. Zazwyczaj się tym nie przejmuję, lecz teraz odkrywam, że w środku jestem cały rozdygotany. Nie chcę myśleć, że Marjory jest tym, kim jest według Emmy. Co będzie, jeśli okaże się, że Emmy ma rację, a Marjory mnie okłamuje? Mam wrażenie, że tak nie jest, lecz mogę się mylić.

Żałuję, że nie mogę spotkać się teraz z Marjory. Chciałbym, żebyśmy poszli razem coś zrobić i żebym mógł na nią patrzeć. Po prostu patrzeć i słuchać, jak rozmawia z kimś innym. Czy

zorientowałbym się, gdyby mnie lubiła? Myślę, że mnie lubi. Nie wiem jednak, czy lubi mnie bardzo, czy tylko trochę. Nie wiem, czy lubi mnie w sposób, w jaki lubi innych mężczyzn, czy też tak, jak dorośli lubi dziecko. Nie wiem, jak to odróżnić. Wiedziałbym, gdybym był normalny. Normalni muszą to wiedzieć, w przeciwnym bowiem razie nigdy by się nie pobierali.

W zeszłym tygodniu o tej porze brałem udział w turnieju. Podobało mi się to. Wolałbym być tam niż tutaj. Pomimo hałasu, tłumu ludzi i tych wszystkich zapachów. Oto miejsce, do którego przynależę; z tym tutaj nie czuję się już związany. Zmieniam się, a raczej już się zmieniłem.

Postanawiam wrócić do mieszkania pieszo, choć to daleko stąd. Jest teraz chłodniej, a gdy mijam podwórka, widzę przywiedle kwiaty. Rytm marszu rozluźnia mnie i ułatwia wsłuchiwanie się w muzykę, którą sobie wybrałem. Dostrzegam innych ludzi ze słuchawkami. Słuchają radia lub nagranej muzyki; zastanawiam się, czy ludzie bez słuchawek słuchają własnej muzyki, czy też idą bez niej.

Po drodze zatrzymuje mnie zapach świeżego chleba. Skręcam do małej piekarni i kupuję bochenek świeżego pieczywa. Obok znajduje się kwaciarnia z rzędami kwiatów - fioletowych, żółtych, niebieskich, brązowych i ciemnoczerwonych. Kolory to coś więcej niż odpowiednia długość fal świetlnych; emanują radością, dumą, smutkiem, pociechą. Trudno to niemal znieść.

Utrwalam w pamięci barwy i struktury, po czym zabieram chleb do domu, wdychając jego zapach i łącząc go z mijanymi kolorami. Mur jednego z domów porośnięty jest pnącymi krzakami róż; nawet z drugiego końca podwórka wyczuwam ulotną, słodką woń.

* * *

Minął już ponad tydzień, lecz ani pan Aldrin, ani pan Crenshaw nie wspomnieli nic więcej o leczeniu. Nie przyszły do nas kolejne listy. Oznacza to, jak chciałbym wierzyć, że coś poszło nie tak z całym procesem i zapomną o tym, lecz obawiam się, że oni nie zapominają. Pan Crenshaw zawsze sprawia wrażenie zdenerwowanego. Gniewni ludzie nie zapominają krzywd; wybaczenie łagodzi gniew. Taki był temat kazania w tym tygodniu. Nie powinienem błędzić myślami podczas kazania, czasami jednak jest nudne i wolę rozmyślać o innych rzeczach. Gniew i pan Crenshaw zdają się ze sobą nierozzerwalnie złączyć.

W poniedziałek wszyscy otrzymujemy notatkę, że mamy się spotkać w sobotę. Nie chcę zrezygnować z mojej soboty, lecz notatka nie wymienia żadnych powodów, które pozwalałyby nie przyjść. Teraz żałuję, że nie poczekałem na Maxine w Centrum, lecz jest już za późno.

- Myślicie, że musimy iść? - pyta Chuy. - Wyrzucą nas, jeśli nie pójdziemy?
- Nie wiem - odpowiada Bailey. - Chcę wiedzieć, co zamierzają, więc i tak pójdę.
- Ja idę - mówi Cameron. Kiwam głową, pozostali również. Linda ma nieszczęśliwą minę, jednak wygląda tak zazwyczaj.

* * *

- Słuchaj... ee... Pete... - Głos Crenshawa ocieka fałszywą nutą przyjaźni; Aldrin zauważył, jaki kłopot sprawia szefowi zapamiętanie jego imienia. - Wiem, że uważasz mnie za pozbawionego serca drania, lecz prawda jest taka, że firma walczy o przetrwanie. Produkcja w przestrzeni jest niezbędna, ale nigdy byś nie uwierzył, ile pożera zysków.

Och, czyżby?, pomyślał Aldrin. Jego zdaniem, to głupota: korzyści wypływające z produkcji w nieważkości i niskiej grawitacji nikły w porównaniu z jej wadami i związanymi z nią wydatkami. Tu, na Ziemi, było wystarczająco wiele bogactw i on nigdy nie zagłosowałby za eksploracją przestrzeni, gdyby tylko ktoś dał mu takie prawo.

- Twoje chłopaki to skamieliny, Pete. Musisz to przyznać. Autystyczni, starsi od nich, byli odrzucani, dziewięciu na dziesięciu. I nie powołuj się na tamtą kobietę... jakkolwiek się nazywała... która zaprojektowała rzeźnię czy coś...

- Grandin - mruknął Aldrin, lecz Crenshaw go zignorował.

- Jedna na milion, a ja żywię najwyższy podziw dla kogoś, kto pnie się na szczyt, tak jak ona. Ale to wyjątek. Większość tych biednych drani była beznadziejna. Nie z własnej winy, prawda? Mimo to sytuacja nie była dobra ani dla nich, ani dla nikogo innego, niezależnie od wysokości nakładów. A gdyby cholerni psychiatrzy wciąż trzymali się dawnych teorii, twoi chłopcy byłiby tak samo do kitu. Na szczęście dla nich do głosu dorwali się neurologowie i psychologowie behawioralni. Mimo to, cokolwiek byś powiedział, nadal nie są normalni.

Aldrin nie odezwał się ani słowem. Crenshaw, jak już się rozpędził, nie słuchał nikogo. Teraz też wziął milczenie za oznakę zgody i kontynuował.

- A potem odkryli, gdzie tkwił błąd, i wzięli się za naprawia nie niemowlaków... co oznacza, że twoje chłopaki to skamieliny, Pete. Zawieszeni pomiędzy dawnymi, złymi czasami a świetlaną przyszłością. Utkwili. To niesprawiedliwe w stosunku do nich.

W życiu mało co było sprawiedliwe, a Aldrin nie wierzył, że szefowi szczególnie zależy na sprawiedliwości.

- Twierdzisz, że mają wyjątkowy talent i zasługują na dodatkowe wydatki, którymi ich obsypujemy, ponieważ wytwarzają. Może było to prawdą pięć lat temu, Pete, może nawet dwa lata temu... Lecz maszyny się udoskonaliły, jak to zwykle bywa. - Pokazał wydruk. - Założę się, że nie śledzisz doniesień o sztucznej inteligencji, prawda?

Aldrin wziął wydruk, nie rzucając nań okiem.

Maszyny nigdy nie dokonają tego, co robią oni - powiedział.

- Dawno temu maszyny nie potrafiły zsumować dwóch dwójek - odparł Crenshaw. - Teraz jednak nie zatrudniłbyś nikogo do podliczania z ołówkiem w ręku kolumn cyfr, prawda?

Chyba że podczas przerwy w dostawie prądu... Małe firmy przekonały się już dawno, jak jest ważne, by ludzie sprawdzający rachunki potrafili dodawać dwa do dwóch na papierze. Aldrin wiedział jednak, że nie ma sensu o tym wspominać.

- Twierdzisz, że mogą ich zastąpić maszyny? - upewnił się.

- Proste jak drut - odrzekł Crenshaw. - Cóż... Może nie aż tak proste. Wymagałoby to kilku nowych komputerów i niezłego, wysokowydajnego oprogramowania... potem jednak wystarczyłby tylko prąd. Żadnych głupot, które dostali w prezencie twoi podwładni.

Prąd, za który trzeba byłoby ciągle płacić, podczas gdy środki wspomagające dla jego ludzi już dawno się zwróciły. Kolejny argument, którego Crenshaw nie miałby ochoty wysłuchać.

- Załóżmy, że wszyscy poddadzą się leczeniu i wyzdrowieją... Czy nadal chciałbyś zastępować ich maszynami?

- Zyski, Pete, zyski. Chcę tego, co jest najlepsze dla firmy. Jeśli nadal będą mogli wykonywać swoją pracę i nie będą kosztować więcej od nowych urządzeń, to nie mam zamiaru wysyłać ich na bezrobocie. Ale musimy ciąć koszty... to konieczne.

W obecnej sytuacji rynkowej jedyną metodą przyciągnięcia inwestycji jest okazywanie wydajności. A to luksusowe prywatne laboratorium i osobne pokoje... Żaden akcjonariusz nie nazwie tego

wydajnością.

Aldrin zdawał sobie sprawę, że sala gimnastyczna i jadalnia uważane były przez część akcjonariuszy za zbytek, nigdy jednak nie pomyślano o likwidację menedżerskich przywilejów. Kadra zarządzająca, powtarzano ciągle, potrzebowała ich do utrzymania maksymalnej wydajności. Zarobili na nie, a to z kolei zwiększało ich wydajność. Tak twierdzono, lecz Aldrin w to nie wierzył. Tego również nie powiedział na głos.

- A więc... zysk, Gene... - To, że zwrócił się do Crenshawa po imieniu, wydawało się śmiałym manewrem, lecz Aldrin był w bojowym nastroju. - Albo zgodzą się na kurację i jest to warunek, byś pozwolił im zostać w firmie, albo znajdziesz sposób, żeby się ich pozbyć. Zgodny z prawem lub nie.

- Prawo nie może doprowadzać firm do bankructwa - oznajmił Crenshaw. - Ta zasada przestała obowiązywać na samym początku naszego stulecia. Stracilibyśmy zwolnienia podatkowe, lecz jest to tak nikła pozycja w naszym budżecie, że nawet nie ma o czym wspominać. Z drugiej strony, gdyby zgodzili się zrezygnować z tak zwanych środków wsparcia i zachowywali się jak zwykli pracownicy, nie należałbym na leczenie, choć nie potrafię sobie wyobrazić, czemu mieliby go nie chcieć.

- Czego w takim razie ode mnie oczekujesz? - zapytał Aldrin. Crenshaw się uśmiechnął.

- Witamy na pokładzie, Pete. Chcę, żebyś jasno przedstawił swoim ludziom, jakie są możliwe opcje. Tak czy inaczej, muszą przestać być balastem dla firmy: natychmiast zrezygnować z luksusów lub poddać się leczeniu i dopiero potem z nich zrezygnować, o ile to faktycznie autyzm je usprawiedliwia, albo... - Przeciągnął ręką po gardle. - Nie mogą robić z firmy zakładnika. Nie ma w tym kraju prawa, którego nie moglibyśmy obejść lub zmienić. - Odchylił się na krześle i splótł ręce za głowę. - Mamy swoje sposoby.

Aldrinowi zrobiło się niedobrze. Wiedział o tym wszystkim od chwili, gdy stał się dorosły, jednak nigdy dotąd nikt nie powiedział tego przy nim na głos. Aż do tej chwili udawało mu się ukrywać przed samym sobą prawdę.

- Spróbuję im to wytłumaczyć - wykrztusił, walcząc z zeszywniałym językiem.

- Pete, musisz przestać *próbować* i zacząć *działać* – upomniął go Crenshaw. - Nie jesteś głupi ani leniwy; mogę to śmiało powiedzieć. Brakuje ci tylko... motywacji.

Aldrin kiwnął głową i wycofał się z gabinetu szefa. Poszedł do łazienki i umył ręce... Czuł się zbrukany. Zastanawiał się nad odejściem, nad złożeniem rezygnacji. Mia miała dobrą pracę i mogli wstrzymać się jeszcze z dziećmi. W razie potrzeby wyżyliby z jej pensji.

Ale kto zająłby się jego ludźmi? Nie Crenshaw. Pokręcił głowę do swojego odbicia w lustrze. Oszukiwał samego siebie, myśląc, że może pomóc. Musiał spróbować, ale... kto inny z rodziny mógłby opłacać leczenie brata? Co będzie, jeśli straci pracę?

Przejrzał w myślach swoje kontakty: Betty w kadrach, Shirley w księgowości. Nie znał nikogo z działu prawnego; nigdy ich nie potrzebował. Kadry zajmowały się sprawami pracowników o specjalnych potrzebach; to one w razie konieczności kontaktowały się z prawnikami.

* * *

Pan Aldrin zaprosił całą sekcję na obiad. Jesteśmy w pizzerii, a ponieważ grupa jest zbyt liczna, by pomieścić się przy jednym stoliku, siedzimy wokół dwóch złączonych, w niewłaściwej części sali.

Nie czuję się swobodnie w towarzystwie pana Aldrina, który siedzi z nami przy wspólnym stole, nie wiem jednak, co mógłbym na to poradzić. Często się uśmiecha i dużo mówi. Doszedł do

wniosku, jak twierdzi, że leczenie jest dobrym pomysłem. Nie chce na nas naciskać, uważa jednak, że przyniosłoby nam korzyść. Staram się koncentrować na smaku pizzy i go nie słuchać, lecz jest to trudne.

Po chwili zwalnia. Wypił piwo i głos mu mięknie, niczym brzegi tostu z czekoladą. Bardziej przypomina starego pana Aldrina, do jakiego przywykłem.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego tak im się spieszy - mówi. - Wydatki na salę gimnastyczną i inne rzeczy są naprawdę minimalne. Nie potrzebujemy dużo miejsca. W porównaniu z wydajnością naszej sekcji to kropla w morzu. A na całym świecie nie ma tylu podobnych wam ludzi z autyzmem, żeby uczynić tę kurację opłacalną, nawet jeśli sprawdzi się w przypadku każdego z was.

- Aktualne szacunki podają, że w samych Stanach Zjednoczonych są miliony osób autystycznych - wtrąca Eric.

- Tak, ale...

- Koszty obsługi socjalnej takiej populacji, wliczając w to stałą opiekę dla najbardziej poszkodowanych, szacowane są na miliardy w skali roku. Jeśli kuracja okaże się skuteczna, te pieniądze będą do wzięcia...

- Rynek nie poradzi sobie z taką ilością nowych pracowników - mówi pan Aldrin. - A wielu z nich jest za starych. Jeremy... - Przerzywa nagle, a jego skóra robi się czerwona i błyszcząca. Jest zły czy zakłopotany? Nie bardzo wiem. Bierze głęboki oddech. - Mój brat - wyjaśnia - jest za stary, by znaleźć sobie pracę.

- Masz autystycznego brata? - pyta Linda. Po raz pierwszy patrzy mu w twarz. - Nigdy nam nie mówiłeś. - Nagle przenika mnie lodowaty ziąb; czuję się zupełnie odsłonięty. Myślałem, że pan Aldrin nie potrafi wejrzeć w nasze myśli, jeśli jednak ma autystycznego brata, to może wiedzieć więcej, niż zakładałem.

- Ja... cóż, nie sądziłem, że to ważne. - Jego twarz nadal jest czerwona i lśniąca. Myślę, że nie mówi prawdy. - Jeremy jest starszy od was. Mieszka w domu stałej opieki...

Staram się połączyć tę nową informację o panu Aldrinie, że ma autystycznego brata, z jego podejściem do nas i milczę.

- Okłamałeś nas - mówi Cameron. Ma opuszczone powieki i rozgniewany głos. Głowa pana Aldrina wykonuje gwałtowny ruch do tyłu, jakby ktoś pociągnął za sznurek.

- Ja nie...

- Są dwa rodzaje kłamstwa - ciągnie Cameron. Domyślam się, że cytuje czyjeś słowa. - Kłamstwo umyślne, które polega na tym, że oznajmia się nieprawdę, wiedząc, że jest nieprawdą, i kłamstwo przemilczenia, polegające na zatajeniu prawdy, kiedy wie się, że to prawda. Skłamałeś, nie mówiąc nam, że twój brat jest autystyczny.

- Jestem twoim szefem, a nie przyjacielem - wyrzuca z siebie pan Aldrin. Robi się jeszcze bardziej czerwony. Wcześniej powiedział, że jest naszym przyjacielem. Kłamał wtedy czy kłamie teraz? - To znaczy... To nie ma nic wspólnego z pracą.

- To powód, dla którego chciałeś być naszym przełożonym - mówi Cameron.

- Nieprawda. Z początku wcale nie chciałem być waszym przełożonym.

- Z początku. - Linda nadal wpatruje się w jego twarz. - Coś się zmieniło. Chodziło o twojego brata?

- Nie. Nie przypominacie mojego brata. On jest... bardzo ograniczony.

- Chcesz poddać swojego brata kuracji? - pyta Cameron. -

- Ja... sam nie wiem.

To również nie brzmi szczerze. Próbuje wyobrazić sobie brata pana Aldrina, ową nieznaną, autystyczną osobę. Jeśli pan Aldrin uważa własnego brata za bardzo upośledzonego, co naprawdę myśli o nas? Jakie było jego dzieciństwo?

- Założę się, że tak - mówi Cameron. - Skoro uważasz, że to dobre dla nas, z pewnością sądzisz, że pomoże również jemu. Może myślisz, że jeśli nas przekonasz do kuracji, to wynagrodzą cię wyleczeniem brata? Grzeczny chłopczyk dostanie cukierka?

- To nie fair - rzuca pan Aldrin. Podniósł głos. Ludzie oglądają się na niego. Żałuję, że tu jestem. - To mój brat. Naturalnie, że chcę mu pomóc w miarę możliwości, ale...

- Czy pan Crenshaw ci powiedział, że jeśli nas przekonasz, to twój brat będzie mógł poddać się leczeniu?

- To... to nie tak... - Umyka spojrzeniem na boki; jego twarz zmienia kolor. Dostrzegam na niej wysiłek, z jakim stara się nas oszukać. W podręczniku napisano, że osoby autystyczne są łatwowierne i że bez trudu można je oszukać, ponieważ nie pojmują niuansów komunikacji. Nie uważam kłamstwa za niuans. Uważam, że kłamstwo jest złe. Przykro mi, że pan Aldrin nas okłamuje, cieszę się jednak, że nie robi tego zbyt dobrze.

- Skoro nie istnieje wystarczający rynek na ten rodzaj leczenia osób autystycznych, to gdzie tu korzyści? - pyta Linda. Wolałbym, żeby nie wracała do tamtego tematu, lecz jest już za późno. Oblicze Aldrina rozluźnia się nieznacznie.

Mam pewien pomysł, lecz jeszcze nie nabrał on ostatecznego kształtu.

- Pan Crenshaw powiedział, że jest skłonny zatrzymać nas bez konieczności poddawania się leczeniu pod warunkiem, że zrezygnujemy z naszych środków wspomagających, zgadza się? - pytam.

- Tak, a o co chodzi?

Czyli... chciałby mieć to, w czym my, autystyczni, jesteśmy dobrzy, bez naszych wad.

Pan Aldrin marszczy brwi. Oznacza to zakłopotanie.

- Tak przypuszczam - mówi powoli. - Nie jestem jednak pewny, co to ma wspólnego z kuracją.

- Gdzieś tutaj ukryty jest zysk - oświadczam panu Aldrinowi. - Nie w leczeniu ludzi autystycznych. W tym kraju nie rodzą się już dzieci takie jak my. Jest nas za mało. Lecz coś, co potrafimy, jest na tyle cenne, że gdyby potrafili to normalni ludzie, przyniosłoby duży zysk. - Przypomina mi się moment w biurze, kiedy na kilka chwil znaczenie symboli, przepiękna złożoność wzorów pierzchła, a ja odczułem zmieszanie i dekoncentrację. - Obserwujesz naszą pracę od wielu lat. Musisz się orientować, co to takiego...

- Wasze uzdolnienia w zakresie analizy wzorów i matematyki. Doskonale o tym wiecie.

- Nie. Twierdziłeś, że pan Crenshaw mówił, że nowe oprogramowanie też da sobie z tym radę. Chodzi o coś innego.

- Nadal chcę się dowiedzieć o twoim bracie - upiera się Linda. Aldrin zamyka oczy, przerywając kontakt. Bywałem karcony za to samo. Otwiera je znowu.

- Jesteście... bezlitośni - mówi. - Po prostu nigdy nie dajecie za wygraną.

Tworzący się w mojej głowie wzór, światło i mrok, zmieniając się i kołując, zaczyna układać

się w spójną całość. Lecz nie dostatecznie; potrzebuję więcej danych.

- Wyjaśnij pieniądze - proszę pana Aldrina.

- Wyjaśnić... co?

- Pieniądze. Jak firma zarabia pieniądze, które nam płaci.

- To jest... bardzo skomplikowane, Lou. Nie sądzę, byś to zrozumiał.

- Spróbuj, proszę. Pan Crenshaw twierdzi, że za dużo kosztujemy, że cierpi na tym firma. Skąd tak naprawdę biorą się zyski?

Pan Aldrin wpatruje się we mnie. W końcu mówi:

- Nie wiem, jak to powiedzieć, Lou, ponieważ nie znam dokładnie całego procesu, nie wiem też, co by się stało, gdyby zastosować go wobec osoby nieautystycznej.

- Nie możesz nawet...

- Poza tym... uważam, że nie powinienem o tym rozmawiać. Pomaganie wam to jedno... - Jeszcze nam nie pomógł. Okłamywanie nas w niczym nam nie pomaga. - Lecz spekulacje na temat czegoś, co nie istnieje, domniemywanie, że firma planuje jakieś szersze działania, które mogą... które polegałyby na... - Urywa i kręci głową, nie kończąc zdania. Wszyscy na niego patrzymy. Oczywiście bardzo mu błyszcza, jakby miał się zaraz rozpląkać. - Nie powinienem był przychodzić - oznajmia po chwili. - To był poważny błąd. Zapłacę za posiłek, ale musimy już stąd iść.

Odsuwa krzesło i wstaje. Widzę, jak podchodzi do kasy i obraca się do nas tyłem. Nikt nic nie mówi, dopóki nie znika za drzwiami wyjściowymi.

- Jest szalony - podsumowuje Chuy.

- Jest przerażony - wpada mu w słowo Bailey.

- Wcale nam nie pomógł - mówi Linda. - Nie wiem, czemu zawracał sobie głowę...

- Jego brat - podsuwa Cameron.

- Powiedzieliśmy coś, co zaniepokoiło go bardziej niż pan Crenshaw czyjego brat - mówię.

- Wie coś, czego nie chce nam zdradzić. - Linda gwałtownym gestem odgarnia włosy z czoła.

- Sam nie chce tego wiedzieć - dodaję. Nie jestem pewny, czemu tak uważam, lecz tak właśnie jest. To coś, co powiedzieliśmy. Muszę wiedzieć, o co chodzi.

- Było coś takiego, na początku wieku - rzuca Bailey. - W jednym z naukowych periodyków napisali o tym, że robiono z ludzi do pewnego stopnia autystyków, żeby ciężiej pracowali.

- Periodyk naukowy czy fantastycznaukowy? - pytam. - To było... Czeka, sprawdzę. Znam kogoś, kto będzie wiedział. - Bailey robi notatkę na podręcznym komputerze.

- Nie wysyłaj tego z biura - radzi Chuy.

- Dlaczego... Och, oczywiście. - Bailey kiwa głową.

- Jutro, przy pizzy - mówi Linda. - To normalne, że tu przychodzimy. Nikt nie będzie nic podejrzewał.

Otwieram usta, żeby powiedzieć, że we wtorek robię zakupy spożywcze, ale gryzę się w język. To jest ważniejsze. Mogę przez tydzień obejść się bez zakupów albo zrobić je później.

- Niech każdy sprawdzi, co może znaleźć - dorzuca Cameron.

W domu loguję się i wysyłam e-maila do Larsa. Tam, gdzie obecnie przebywa, jest bardzo późno, ale jeszcze nie śpi. Ustalam, że badania zapoczątkowano w Danii, lecz laboratorium, sprzęt i tak dalej zostały wykupione i cały ośrodek przeniósł się do Cambridge. Artykuł, o którym usłyszałem kilka tygodni temu, bazował na wynikach badań sprzed ponad roku. Pan Aldrin miał co do tego rację. Lars uważa, że większość pracy mającej na celu opracowanie kuracji dla ludzi została już wykonana, i spekuluje na temat tajnych eksperymentów wojskowych. Nie wierzę w to. Lars we wszystkim dopatruje się tajnych eksperymentów wojskowych. To bardzo dobry gracz, nie wierzę jednak we

wszystko, co mówi.

W okna uderza podmuch wiatru. Wstaję i kładę dłoń na szybie. Znacznie zimniej. Krople deszczu i grzmot. Jest już późno. Zamykam system i idę spać.

We wtorek nie rozmawiamy ze sobą w pracy, ograniczając się do „dzień dobry”. Po zakończeniu kolejnej części mojego projektu spędzam piętnaście minut w sali gimnastycznej, potem jednak wracam do pracy. Pan Aldrin i pan Crenshaw przychodzą razem, może nie ramię w ramię, niemniej jednak odnoszą się do siebie przyjaźnie. Nie zostają długo i nie rozmawiają ze mną. Po pracy znowu idziemy do pizzerii.

- Dwa wieczory pod rząd! - woła Cześć-Jestem-Sylwia. Nie potrafię powiedzieć, czy ją to cieszy, czy martwi. Wybieramy nasz stolik i dostawiamy drugi, żeby starczyło dla wszystkich miejsca.

- A więc? - zaczyna Cameron zaraz po złożeniu zamówienia.

- Czego się dowiedzieliśmy?

Mówię im, co powiedział Lars. Bailey odszukał tekst starego artykułu, który jest czystą fikcją. Nie wiedziałem, że periodyki naukowe publikują fantastykę. Najwyraźniej dzieje się tak tylko raz w roku.

- Chodziło o to, by ludzie nauczyli się naprawdę koncentrować na zleconym im projekcie, nie tracąc czasu na inne sprawy - mówi Bailey.

- Tak jak pan Crenshaw uważali, że marnujemy czas? - podsuwam. Bailey przytakuje.

- Nie tracimy tyle czasu, ile on na łażenie z rozgniewaną miną - rzuca Chuy. Wybuchamy cichym śmiechem. Eric kreśli zawijasy kolorowymi długopisami; wyglądają jak odgłosy śmiechu.

- Wyjaśnili, jak to ma działać? - pyta Linda.

- W pewnym sensie - odpowiada Bailey. - Ale nie jestem pewny, czy założenia naukowe są słuszne. Poza tym, minęły dziesiątki lat. W rzeczywistości ich założenia mogą się nie sprawdzić.

- Nie chcą ludzi autystycznych, takich jak my - mówi Eric. - Chodziło im, tak przynajmniej tam napisano, o specjalistów i zwiększoną koncentrację bez efektów ubocznych. W porównaniu ze specjalistami marnujemy mnóstwo czasu, choć nie tyle, ile uważa pan Crenshaw.

- Normalni ludzie też marnują mnóstwo czasu - woła Cameron.

- Przynajmniej tyle samo co my, jeśli nie więcej.

- Czego potrzeba, by zamienić normalną osobę w specjalistę wolnego od dodatkowych problemów? - pyta Linda.

- Nie wiem - odpowiada Cameron. - Przede wszystkim musiałby być inteligentny. Dobry w jakiejś dziedzinie. I jeszcze jedno: musiałby chcieć robić określoną rzecz, zamiast czegokolwiek innego.

- Niewiele by dało, gdyby chciał robić to, w czym nie jest dobry - mówi Chuy. Wyobrażam sobie człowieka, który chce być muzykiem, a nie ma słuchu ani wyczucia rytmu. Zabawne. Wszyscy to dostrzegamy i wybuchamy śmiechem.

- Czy ludzie w ogóle chcą robić coś, w czym nie są dobrzy? - pyta Linda. - To znaczy: normalni? - Choć raz nie wymawia słowa „normalny” jak przekleństwa.

Przez chwilę siedzimy i zastanawiamy się, po czym Chuy mówi:

- Miałem wujka, który chciał być pisarzem. Moja siostra, która dużo czyta, twierdziła, że był naprawdę kiepski. I to bardzo. Miał sprawne ręce, jak rzemieślnik, ale chciał pisać.

- Tu jesteście - rzuca Cześć-Jestem-Sylwia, stawiając talerze z pizzą. Patrzą na nią. Uśmiecha się, ale wygląda na zmęczoną, a nawet nie ma jeszcze siódmej.

- Dziękuję - mówię do niej. Macha mi ręką i oddala się.

- Coś, co nie pozwoli, by ludzie się rozpraszała - mówi Bailey.

- Co sprawi, że polubią właściwe rzeczy.

- Brak skupienia determinowany jest wrażliwością zmysłów na każdym poziomie przetwarzania oraz siłą ich integralności - recytuje Eric. - Czytałem o tym. częściowo jest wrodzony. Wiedzano o tym już czterdzieści albo i pięćdziesiąt lat temu; pod koniec dwudziestego wieku można było o tym przeczytać w podręcznikach dla rodziców. Zespół kontroli uwagi wykształca się we wczesnej fazie rozwoju płodu; później może ulec uszkodzeniu...

Przez chwilę jest mi niedobrze, jak gdyby coś atakowało mój mózg, spycham jednak to wrażenie gdzieś na bok. Cokolwiek wywołało mój autyzm, spoczywa w przeszłości i nie mogę tego zmienić. Ważne, żeby teraz nie myśleć o sobie, tylko o problemie.

Przez całe życie mi powtarzano, jakie mam szczęście, że się urodziłem właśnie tutaj - że mogłem skorzystać z dobrodziejstw wczesnej interwencji, że się urodziłem w odpowiednim kraju i że miałem dysponujących odpowiednimi środkami wykształconych rodziców, którzy mogli o mnie zadbać. Miałem nawet szczęście, że urodziłem się za wcześnie, by można było mnie poddać całościowemu leczeniu, ponieważ -jak utrzymywali moi rodzice -konieczność walki dała mi szansę okazania siły charakteru.

Co by powiedzieli, gdyby tę kurację udostępniono, kiedy byłem dzieckiem? Woleliby, żebym był silny czy normalny? Czy zgoda na leczenie oznaczałaby dla mnie brak silnego charakteru? Czy może znalazłbym sobie inne pole walki?

* * *

Rozmyślam o tym jeszcze następnego wieczoru, gdy się przebieram i jadę do Toma i Lucii na trening szermierki. Na jakich to zachowaniach z naszej strony ktoś chciałby zbić majątek, pomijając sporadycznie występujący talent w jakiejś dziedzinie? Większość zachowań autystycznych przedstawiano nam jako wady, a nie zalety. Aspołeczni, pozbawieni umiejętności współżycia w społeczeństwie, mający kłopoty z utrzymaniem koncentracji... Wciąż do tego wracam. Trudno myśleć z ich perspektywy, mam jednak wrażenie, że ta kontrola koncentracji to serce wzoru, niczym czarna dziura w środku czasoprzestrzennego wiru. To coś, czego nam brakuje, zgodnie ze słynną Teorią Umysłu.

Zjawiam się odrobinę za wcześnie. Pod domem jeszcze nikt nie zaparkował. Podjeżdżam możliwie najdalej, by zostawić za sobą maksymalnie dużo wolnego miejsca. Czasami inni nie są równie uważni i mniej ludzi może zaparkować tak, by nie przeszkadzać pozostałym. Mógłbym przyjeżdżać wcześniej co tydzień, lecz nie byłoby to w porządku wobec innych.

Ze środka dobiega śmiech Toma i Lucii. Kiedy wchodzę, uśmiechają się do mnie, bardzo odprężeni. Zastanawiam się, jakby to było przez cały czas mieć w domu kogoś, z kim można by się pośmiać. Nie zawsze się śmieją, lecz częściej wyglądają na szczęśliwych niż smutnych.

- Jak się masz, Lou? - pyta Tom. Zawsze o to pyta. To jedna z tych rzeczy, które normalni zawsze robią, nawet jeśli wiedzą, że u ciebie wszystko w porządku.

- Świetnie - odpowiadam. Chcę zapytać Lucię o pewne sprawy medyczne. Ale nie wiem, jak zacząć ani czy byłoby to uprzejme. Zaczynam więc od czegoś innego. – W zeszłym tygodniu ktoś pociął mi opony w samochodzie.

- Och, nie! - woła Lucia. - To okropne! - Jej twarz się zmienia; sędzę, że Lucia ma zamiar wyrazić w ten sposób współczucie.

- Wydarzyło się to na parkingu pod moim domem - dodaję. - W tym samym miejscu co zawsze. Wszystkie cztery opony.

Tom gwizdże.

- Kosztowna sprawa - zauważa. - Czy w okolicy często zdarzały się przypadki wandalizmu? Zgłosiłeś to na policję?

Nie mogę odpowiedzieć na wszystkie pytania jednocześnie.

- Zgłosiłem - mówię. - W moim budynku mieszka policjant. Powiedział mi, jak to zrobić.

- To dobrze - cieszy się Tom. Nie jestem pewny, czy ma na myśli, że to dobrze, iż w naszym budynku mieszka policjant czy że to zgłosiłem, ale nie uważam tego za zbyt istotne.

- Pan Crenshaw był zły, że spóźniłem się do pracy - wyznaję.

- Czy to nie o nim mówiłeś, że jest nowy? - pyta Tom.

- Tak. Nie lubi naszej sekcji. Nie lubi autystycznych osób.

- Och, pewnie jest... - zaczyna Lucia, lecz Tom rzuca jej spojrzenie i ta milknie.

- Nie wiem, czemu uważacie, że nie lubi autystycznych osób - mówi Tom. Rozluźniam się. O wiele łatwiej rozmawia się z Tomem, kiedy mówi w taki sposób. Jest to mniej przerażające. Żałuję, że nie wiem dlaczego.

- Twierdzi, że nie powinniśmy potrzebować środków wsparcia - wyjaśniam. - Utrzymuje, że to zbyt kosztowne i że nie powinniśmy mieć sali gimnastycznej ani... innych rzeczy. – Prawdę powiedziawszy, nigdy nie mówiłem o specjalnych przedmiotach, ulepszających nasze środowisko pracy. Może Tom i Lucia pomyślą tak samo jak pan Crenshaw, gdy się o nich dowiedzą.

- To jest... - Lucia urywa, patrzy na Toma, po czym kontynuuje: - To jest śmieszne. Nieważne, co on sobie myśli. Prawo stanowi, że muszą zapewniać wam otoczenie stymulujące efektywną pracę.

- Dopóki jesteśmy równie wydajni jak inni pracownicy - dodaję. Trudno mi o tym rozmawiać; to zbyt straszne. Czuję, jak ściska mnie w gardle, i słyszę własny głos, napięty i mechaniczny. - Dopóki mieścimy się w wyznaczonych przez prawo przedziałach diagnostycznych...

- A autyzm z pewnością spełnia te kryteria - wtrąca Lucia. - Jestem pewna, że jesteś produktywny, w przeciwnym razie nie trzymaliby cię tak długo...

- Lou, czy pan Crenshaw grozi, że was zwolni? - pyta Tom.

- Nie... niezupełnie. Mówiłem wam o tej eksperymentalnej kuracji. Od pewnego czasu nie wspominali o tym, lecz teraz chcą, pan Crenshaw... firma... żebyśmy poddali się leczeniu. Przysłali nam list. Wynika z niego, że osoby biorące udział w badaniach są chronione przed zwolnieniami. Pan Aldrin z nami rozmawiał. Mieliśmy specjalne zebranie w sobotę. Myślałem, że nie mogą nas do tego zmusić, ale pan Aldrin mówi, że według pana Crenshawa mogą rozwiązać naszą sekcję i odmówić przyjęcia nas do innych działów, gdyż nie jesteśmy przeszkoleni do wykonywania odpowiedniej pracy. Mówi, że jeśli nie poddamy się kuracji, to zrobią to, i nie jest to żadne zwolnienie, ponieważ firma ma prawo zmieniać swoją strukturę.

Tom i Lucia sprawiają wrażenie zdenerwowanych. Mięśnie ich twarzy się napinają, a skóra

staje się połyskliwa. Nie powinienem być mówić im o tym właśnie teraz; to nie był odpowiedni moment, choć chyba żaden moment nie byłby odpowiedni.

- Co za *dranie* - mówi Lucia. Patrzy na mnie i twarz się jej wygładza. - Lou... Posłuchaj, Lou: nie jestem na ciebie zła. Jestem zła na ludzi, którzy się krzywdzą albo nie traktują dobrze... ale nie na ciebie.

- Nie powinienem być wam o tym wspominać - mówię niepewnie.

- Owszem, powinieneś - odpowiada Lucia. - Jesteśmy twoimi przyjaciółmi. Musimy wiedzieć o wszystkim, co jest złe w twoim życiu, żebyśmy mogli ci pomóc.

- Lucia ma rację - dodaje Tom. - Przyjaciele sobie pomagają, tak jak ty pomogłeś nam budować stojak na maski.

- Obaj z niego korzystamy - zauważam. - Moja praca dotyczy tylko mnie.

- Tak i nie - mówi Tom. - Tak, ponieważ z tobą nie pracuje my i nie możemy ci pomóc bezpośrednio. Nie, gdyż jest to duży problem natury ogólnej, który może dotyczyć wszystkich. Nie chodzi tylko o ciebie. To samo może przytrafić się każdej niepełnosprawnej osobie, zatrudnionej w dowolnym miejscu. Co będzie, jeśli dojdą do wniosku, że człowiek na wózku inwalidzkim nie potrzebuje podjazdów? Musicie znaleźć prawnika. Czy nie wspominałeś, że Centrum może wam kogoś polecić?

- Zanim przyjdą pozostali, może opowiesz nam więcej o panu Crenshawie i jego planach? - proponuje Lucia.

Siadam na sofie, lecz trudno mi mówić, choć sami powiedzieli, że chcą mnie wysłuchać. Patrę na dywan na podłodze o szerokim niebieskim obrzeżu i kremowych geometrycznych wzorach - są na nim cztery, w ramach z bladoniebieskich pasów - i staram się wyrażać możliwie jasno.

- Istnieje kuracja, którą ktoś zastosował na małpach - mówię. - Nie wiedziałem, że małpy mogą być autystyczne, ale oni twierdzą, że po leczeniu autystyczne małpy były normalniejsze. Teraz pan Crenshaw chce zastosować kurację na nas.

- A wy tego nie chcecie? - pyta Tom.

- Nie rozumiem, jak to działa ani w jakim stopniu poprawi mój stan - odpowiadam.

- Bardzo słusznie - przyznaje Lucia. - Wiesz, kto prowadził te badania, Lou?

- Nie pamiętam nazwiska - wyznaję. - Lars, członek międzynarodowej grupy dorosłych z autyzmem, przesłał mi o tym e-maila kilka tygodni temu, na adres internetowy. Wszedłem tam, ale nie zrozumiałem zbyt wiele. Nie studiowałem neurologii.

- Masz jeszcze tę wiadomość? - chce wiedzieć Lucia. - Mogę ją przejrzeć. Zobaczę, czego uda mi się dowiedzieć.

- Chciałabyś?

- Jasne. Mogę popytać u siebie i dowiedzieć się, czy ci naukowcy uznawani są za dobrych, czy nie.

- Mieliśmy pomysł - mówię.

- Mieliśmy... kto? ~ pyta Tom.

- My... Ludzie, z którymi pracuję - odpowiadam.

- Autystyczni? - upewnia się Tom.

- Tak. - Zamykam na chwilę oczy, żeby się uspokoić. - Pan Aklrin zafundował nam pizzę. Wypił

piwo. Powiedział, że nie sądzi, by leczenie autystycznych dorosłych miało przynieść wystarczający profit, ponieważ obecnie leczy się dzieci nienarodzone i niemowlęta, a my jesteśmy ostatnią taką grupą. Przynajmniej w tym kraju. Zaczęliśmy więc się zastanawiać, dlaczego chcieli prowadzić pracę nad tą kuracją i jakie inne efekty może ona dawać. Przypomina to analizę wzorów, jaką się zajmuję. Istnieje wzór, lecz nie jest on jedyny. Można uważać, że tworzy się określony wzór, a w rzeczywistości powstaje ich kilka; któryś może być użyteczny bądź nie, w zależności od tego, na czym polegał problem. - Patrzę na Toma, a on patrzy na mnie z dziwną miną. Ma półotwarte usta. Szybko kręci głową.

- A więc... uważasz, że może zamierzają osiągnąć coś jeszcze i że jesteście im do tego potrzebni?

- To możliwe - mówię ostrożnie. Patrzy na Lucie, a ona kiwa głową.

- To absolutnie możliwe - potwierdza. - Wypróbowanie tej kuracji na was dostarczy im dodatkowych informacji, a potem... niech się zastanowie...

- Myślę, że ma to coś wspólnego z koncentracją- oznajmiam. - Każdy z nas inaczej przyjmuje dane zewnętrzne i... inaczej określa poziom swej uwagi. - Nie jestem pewny, czy używam właściwych słów, lecz Lucia przytakuje gorliwie.

- Koncentracja, oczywiście. Gdyby mogli ją osiągać innymi metodami niż chemiczna, łatwiej byłoby wykształcić oddaną pracy siłę roboczą.

- Przestrzeń kosmiczna - rzuca Tom. Nie rozumiem, lecz Lucia tylko mruga i zaraz przytakuje.

- Tak. Wielkim ograniczeniem, jeśli chodzi o zatrudnianie ludzi do pracy w przestrzeni, jest zmuszenie pracowników do koncentracji i zapobieganie ich rozkojarzeniu. Wysoko w górze bodźce zmysłowe różnią się od tych, do których przywykliśmy i które przechodzą przez sito naturalnej selekcji. - Nie mam pojęcia, skąd Lucia wie, co myśli jej mąż. Chciałbym umieć tak czytać w umysłach. Uśmiecha się do mnie. - Lou, myślę, że jesteś na tropie czegoś wielkiego. Prześlij mi ten fragment artykułu, a już ja się tym zajmę.

Jestem zaniepokojony.

- Nie powinienem rozmawiać o pracy poza campusem - mówię.

- Nie rozmawiamy o pracy - odpowiada. - Opisujesz nam swoje *środowisko* pracy. To co innego.

Ciekawe, czy pan Aldrin podzielałby tę opinię.

Ktoś puka do drzwi i kończymy rozmowę. Jestem spocony, choć przecież jeszcze się nie fechtowałem. Pierwsi zjawiają się Dave i Susan. Przechodzimy przez dom, bierzemy sprzęt i zaczynamy rozgrzewkę na podwórku.

Następna przyjeżdża Marjory. Uśmiecha się do mnie. Znowu czuję się lżejszy od powietrza. Pamiętam słowa Emmy, ale nie mogę w nie uwierzyć, gdy patrzę na Marjory. Może tego wieczoru zaproszę ją na kolację. Don się nie pojawił. Przypuszczam, że wciąż gniewa się na Toma i Lucie za ich niezbyt przyjacielskie postępowanie. Martwi mnie, że nie są już przyjaciółmi; mam nadzieję, że nie rozniewają się na mnie i nie przestaną się ze mną przyjaźnić.

Walczę z Davem, kiedy słyszę na ulicy jakiś hałas, a zaraz potem pisk opon ruszającego szybko samochodu. Nie zwracam na to uwagi i nie przerywam ataku, lecz Dave zatrzymuje się, a ja trafiam go zbyt mocno w pierś.

- Przepraszam - mówię.

- Nie szkodzi - odpowiada. - To gdzieś blisko. Słyszałeś?

- Słyszałem - odpowiadam. Próbuję odtworzyć dźwięki: łomot-trzask-brzęk-brzęk-pisk-ryk, i zorientować się, co to było. Komuś wypadła z auta miska?

- Lepiej to sprawdźmy - mówi Dave. Kilka osób wstaje, by wyrzucić na ulicę. Idę z pozostałymi na podjazd. W świetle narożnej latarni dostrzegam błysk na chodniku.

- To twój samochód, Lou - wzdycha Susan. - Przednia szyba. Robi mi się zimno.

- Opony w zeszłym tygodniu... Jaki to był dzień, Lou?

- Czwartek - odpowiadam. Głos drży mi lekko i brzmi chrapliwie.

- Czwartek. A dzisiaj mamy... - Tom patrzy na pozostałych, a oni odpowiadają mu spojrzeniami. Podejrzewam, że zastanawiają się nad czymś, nie wiem jednak nad czym. Tom potrząsa głową. - Przypuszczam, że trzeba będzie wezwać policję. Nienawidzę, kiedy trzeba przerwać trening, ale...

- Zawiozę cię do domu, Lou - proponuje Marjory. Stała za mną, podskakując na dźwięk jej głosu.

Tom wzywa policję, ponieważ - jak twierdzi - wydarzyło się to przed jego domem. Po paru minutach podaje mi słuchawkę i znużony głos pyta o moje nazwisko, adres, numer telefonu i prawa jazdy. Słyszę jakieś hałasy w tle na drugim końcu linii, a w salonie rozmawiają ludzie; trudno zrozumieć pytania. Cieszę się, że to rutynowe pytania, z którymi mogę sobie poradzić.

Potem głos zapytał o coś jeszcze i słowa poplątały się tak, że nic nie zrozumiałem.

- Przepraszam... - mówię.

Głos przybiera na sile, dokładniej rozdzielając wyrazy. Tom ucisza obecnych w salonie. Tym razem rozumiem.

- Domyśla się pan, kto to mógł zrobić? - pyta głos.

- Nie - odpowiadam. - Ale w zeszłym tygodniu ktoś pociął mi opony.

- Och? - W głosie pobrzmiewa zainteresowanie. - Zgłosił pan to?

- Tak - mówię.

- Pamięta pan, kto był oficerem prowadzącym?

- Mam wizytówkę... moment... - Odkładam słuchawkę i wyciągam portfel. Wizytówka nadal tam jest. Odczytuję imię i nazwisko: Malcolm Stacy. I numer sprawy.

- Nie ma go teraz w biurze. Położę raport na jego biurku. Czy są jacyś świadkowie?

- Słyszałem to - mówię. - Ale nie widziałem. Byliśmy na podwórku za domem.

- Szkoda. Cóż, przyślemy kogoś, ale to chwilę potrwa. Proszę czekać.

Nim przyjeżdża patrol, dochodzi dziesiąta; wszyscy siedzą w salonie, znużeni oczekiwaniem. Mam wyrzuty sumienia, choć przecież to nie moja wina. Nie wybiłem tej szyby ani nie powiedziałem policji, żeby kazała ludziom czekać. Funkcjonariusz to kobieta o nazwisku Isaka, niska, ciemnowłosa i bardzo energiczna. Chyba uważa, że to zbyt błaha sprawa, by od razu wzywać policję.

Ogląda mój samochód, potem pozostałe wozy i ulicę, po czym wzdycha.

- No cóż, ktoś wybił panu przednią szybę, a kilka dni temu podziurawił opony, powiedziałabym więc, że ten problem dotyczy osobiście pana, panie Arrendale. Musiał pan naprawę kogoś wkurzyć i zapewne wie pan, kto to taki. Wystarczy, że się pan głęboko nad tym zastanowi. Jak tam u pana w pracy?

- Świetnie - odpowiadam machinalnie. Tom porusza się na kanapie. - Mam nowego szefa, nie

sądzę jednak, żeby pan Crenshaw wybijał szyby albo przecinał opony. - Nie zrobiłby tego nawet w napadzie złości.

- Och? - mruczy, coś sobie notując.

- Był na mnie zły, kiedy spóźniłem się do pracy z powodu poprzecinanych opon - mówię. - Nie sądzę, żeby wybił mi szybę. Może mnie po prostu zwolnić.

Isaka na mnie patrzy, ale nic więcej nie mówi. Przenosi wzrok na Toma.

- Urządzaliście tu przyjęcie?

- Wieczorny trening fechtunku - wyjaśnia Tom. Widzę, jak napinają się mięśnie na szyi policjantki.

- Fechtunku? Bronią?

- To taki sport - mówi Tom. W jego głosie również wyczuwam napięcie. - W zeszłym tygodniu mieliśmy turniej, za parę tygodni mamy następny.

- Ktoś został tu kiedyś ranny?

- Nie u mnie. Przestrzegamy ścisłych reguł bezpieczeństwa.

- Czy co tydzień przychodzą tutaj te same osoby?

- Zazwyczaj. Zdarza się, że ktoś czasem nie zjawia się na zajęciach.

- A w tym tygodniu?

- Cóż, brakuje Larry'ego. Załatwia interesy w Chicago. I Dona.

- Kłopoty z sąsiadami? Skargi na hałas, coś w tym rodzaju?

- Nie. - Tom przeczesuje włosy dłonią. - Żyjemy z sąsiadami w zgodzie. To mili ludzie. Nie zdarzają się tu przypadki wandalizmu.

- Ale pan Arrendale doświadczył dwóch takich przypadków w ciągu tygodnia... To dość znaczące. - Czeka. Wszyscy milczą. Wreszcie wzrusza ramionami i ciągnie: - Sprawa wygląda następująco. Gdyby samochód jechał na wschód, prawą stroną ulicy, kierowca musiałby się zatrzymać, wysiąść, wybić szybę, obejść swój wóz, wsiąść i odjechać. Nie ma możliwości wybicia szyby, siedząc na miejscu kierowcy w trakcie jazdy w tym samym kierunku, w którym jest zaparkowany uszkodzony samochód, chyba

że z broni palnej, lecz nawet w takim przypadku nie zgadzają się kąty. Jeśli jednak samochód jechał na zachód, kierowca mógł sięgnąć szyby jakimś przedmiotem, na przykład kijem, albo rzucić kamieniem, nie zatrzymując się. Mógł dzięki temu uciec, zanim ktokolwiek wybiegł z domu.

- Rozumiem - mówię. Kiedy już to wszystko powiedziała, mogę wyobrazić sobie, jak ktoś podjeżdża, atakuje i ucieka. Tylko dlaczego?

- Musi pan mieć *jakieś* podejrzenia, domyślać się, kto żywi do pana urazę - naciska policjantka. Wydaje się, że jest na mnie zła.

- Nieważne, jak bardzo człowiek jest na kogoś zły, to nie usprawiedliwia niszczenia jego rzeczy - oświadczam. Myślę intensywnie, lecz jedyna osoba, jaka przychodzi mi do głowy, a która jest na mnie zła za szermierkę, to Emmy. Emmy nie ma samochodu i nie sądzę, żeby wiedziała, gdzie mieszkają Tom i Lucia. Poza tym nie sądzę, by Emmy była zdolna wybić komuś szybę w aucie. Mogłaby wejść do środka i zbyt głośno mówić albo powiedzieć coś niegrzecznego o Marjory, ale niczego by nie zniszczyła.

- To prawda - przyznaje policjantka. - To niezgodne z prawem, niemniej ludzie tak postępują. Z

kim ma pan na pieńku?

Jeśli powiem jej o Emmy, narobi jej kłopotów, a ona narobi kłopotów mnie. Jestem pewny, że to nie Emmy.

- Nie wiem - mówię. Czuję za sobą poruszenie, niemal presję. Myślę, że to Tom, lecz nie jestem pewny.

- Czy pozostali mogą już wyjść? - zwraca się Tom do policjantki.

- Och, jasne. Nikt nic nie widział ani nie słyszał... No dobrze, coś słyszeliście, ale niczego nie widzieliście... prawda?

Mruczą pod nosem: „Nie”, „Nie ja”, „Może gdybym wyszedł szybciej”, po czym wszyscy rozchodzą się do samochodów. Zostają Tom, Lucia i Marjory.

- Jeśli to pan jest celem, a na to właśnie wygląda, to sprawca wiedział, że będzie pan tutaj dzisiejszego wieczoru. Ilu ludzi wie, że przychodzi pan tutaj w środy?

Emmy nie ma pojęcia, którego dnia wieczorem chodzę na szermierkę. Pan Crenshaw w ogóle nie wie, że się fechtuję.

- Każdy, kto tutaj przychodzi - wyręcza mnie w odpowiedzi Tom. - Może ktoś z ostatniego turnieju... To był pierwszy występ Lou. Twoi koledzy z pracy coś wiedzą, Lou?

- Nie mówię o tym za dużo - odpowiadam. Nie tłumaczę dlaczego. - Coś tam wspominałem, nie przypominam sobie jednak, żebym zdradził komuś, gdzie odbywają się zajęcia. Chociaż mogłem to zrobić.

- Cóż, będziemy musieli się tego dowiedzieć, panie Arrendale - mówi policjantka. - W takich przypadkach zdarza się, że dochodzi do napaści i uszczerbku na zdrowiu. Proszę na siebie uważać. - Podaje mi wizytówkę z nazwiskiem i numerem. - Proszę zadzwonić do mnie albo do Stacy'ego, gdyby pan sobie o czymś przypomniał.

Po odjeździe radiowozu Marjory powtarza:

- Jeśli chcesz, Lou, to z przyjemnością odwiozę cię do domu.

- Pojadę swoim wozem - odpowiadam. - Powinienem oddać go do naprawy. Znowu będę musiał skontaktować się z firmą ubezpieczeniową. Nie będą szczęśliwi.

- Sprawdźmy, czy nie ma szkła na siedzeniu - mówi Tom. Otwiera drzwiczki. Światło latarni lśni w okruchach szkła na desce rozdzielczej, podłodze i pokrowcu z owczej skóry. Robi mi się niedobrze. Pokrowiec powinien być miękki i ciepły; teraz jest pełen ostrych odłamków. Odwiązuję go i strzepuję nad jezdnią. Uderzając o asfalt, kawałki szkła wydają cichy, drażniący dźwięk. Jest okropny, przypomina nowoczesną muzykę. Nie jestem pewien, że pozbyłem się wszystkich odłamków; w runie mogły ukryć się maleńkie kawałeczki, podobne do mikroskopijnych noży.

- Nie możesz tak jechać, Lou - wzdycha Marjory.

- I tak będzie musiał to zrobić, żeby wstawić sobie nową szybę - przekonuje Tom. - Reflektory są w porządku. Może jechać, tyle że powoli.

- Dojadę do domu - mówię. - Będę jechał ostrożnie. - Kładę pokrowiec z owczej skóry na tylnym siedzeniu, a sam bardzo uważnie siadam na przednim.

Dużo później, w domu, odtwarzam sobie w głowie to, co mówili Tom i Lucia.

- Według mnie - dowodził Tom - to ten twój pan Crenshaw postanowił brać pod uwagę ograniczenia, a nie możliwości. Mógł uznać ciebie, i resztę twojej sekcji, za zasoby, które należy wyškolić.

- Nie jestem zasobem - powiedziałem. - Jestem osobą.

- Masz rację, Lou, ale teraz mówimy o korporacji. Podobnie jak w wojsku, korporacje traktują pracowników jak aktywa i pasywa. Pracownik, który potrzebuje czegoś innego niż pozostali, może być postrzegany jako zobowiązanie wymagające więcej nakładów dla osiągnięcia tego samego efektu. To bardzo proste podejście do sprawy i wielu menedżerów tak właśnie uważa.

- Widzą, co jest złe - zauważyłem.

- Tak. Mogą także dostrzec twoją wartość, jako części swoich aktywów, ale wolą mieć takie, które nie są obciążone zobowiązaniami.

- Dobrzy menedżerowie - dodała Lucia - pozwalają swym pracownikom się rozwijać. Jeśli pracownicy dobrze wykonują część swojej pracy, a resztę nie, pomagają im dostrzec słabe strony i je rozwijać, lecz tylko do takiego momentu, w którym nie wpływa to ujemnie na ich możliwości, dla jakich zostali zatrudnieni.

- Ale jeśli nowy system komputerowy może zrobić to lepiej...

- To nieważne. Zawsze jest coś, czego nie robi. Lou, to bez znaczenia, czy komputer albo inna maszyna, albo inny pracownik może wykonać konkretne zadanie, które ty wykonujesz... szybciej, dokładniej i tak dalej... Jedyne, czego nikt nie robi lepiej od ciebie, to bycie *tobą*.

- Ale co dobrego w tym, że nie będę miał pracy? - zapytałem. - Jeśli nie zdołam jej znaleźć...

- Lou, jesteś osobą... indywidualnością niepodobną do nikogo innego. To jest dobre, niezależnie od tego, czy będziesz miał pracę, czy nie.

- Jestem osobą autystyczną - powiedziałem. - Oto, kim jestem. Muszę mieć jakieś wyjście... Jeśli mnie zwolnią, cóż innego mógłbym robić?

- Mnóstwo ludzi traci pracę, a potem znajduje sobie inne zajęcie. Ty też możesz tego dokonać, jeśli będziesz musiał. O ile będziesz musiał. Możesz sam podjąć decyzję o zmianie. Nie musisz wystawiać się na cios. To tak jak w szermierce: możesz być tym, który ustanawia wzór, lub tym, który za nim podąża.

Odtwarzam to kilka razy jak taśmę, próbując dopasować dźwięki do słów i wyrażeń, tak jak zapamiętałem. Parę razy powtórzyli mi, żebym wynajął sobie prawnika, ale nie jestem gotowy rozmawiać z kimś, kogo nie znam. Trudno wyjaśnić, o co mi chodzi i co się wydarzyło. Wolę najpierw sam to sobie przemyśleć.

Gdybym nie był taki, jaki jestem, to jaki bym był? Zastanawiam się nad tym od czasu do czasu. Gdyby łatwiej przychodziło mi zrozumienie tego, co mówią inni, czy chciałbym częściej ich słuchać? Czy prowadzenie rozmowy przychodziłoby mi łatwiej? I czy w rezultacie miałbym wtedy więcej przyjaciół, był bardziej popularny? Próbuję sobie wyobrazić siebie jako dziecko, normalne dziecko, rozmawiające z rodziną, nauczycielami i kolegami z klasy. Gdybym był takim dzieckiem, a nie sobą, czy łatwiej nauczyłbym się matematyki? Czy wspaniałe, skomplikowane konstrukcje muzyki poważnej byłyby dla mnie równie oczywiste już przy pierwszym słuchaniu? Pamiętam, kiedy po raz pierwszy usłyszałem *Toccatę i fugę d-mol* Bacha... intensywność radości, jaką wówczas czułem. Czy byłbym zdolny wykonywać pracę, jaką się obecnie zajmuję? Jaką inną pracę mógłbym wykonywać?

Trudniej jest wyobrazić sobie innego siebie teraz, kiedy już jestem dorosły. Będąc dzieckiem, wyobrażałem sobie siebie w innych rolach. Myślałem, że stanę się normalny, że pewnego dnia będę mógł robić wszystko to, co innym przychodziło z taką łatwością. Z czasem te fantazje zniknęły. Moje ograniczenia były realne i niezmiennie, niczym czarne linie, tworzące obwódki wokół mego życia.

Jedyna rola, jaką gram, to rola normalnego.

Wszystkie książki podkreślały to samo: trwałość braków, jak to nazywają. Wczesna interwencja mogła złagodzić symptomy, lecz najważniejszy problem pozostawał. Czułem ten problem każdego dnia, tak jakbym miał w środku wielki i okrągły kamień, ciężką obecność, która mi zawadzała i wpływała na wszystko, co robiłem lub usiłowałem zrobić.

A gdyby go tam nie było?

Porzuciłem czytanie o własnym upośledzeniu, gdy skończyłem szkołę. Nie miałem wykształcenia chemika, biochemika ani genetyka... chociaż pracuję w firmie farmaceutycznej, niewiele wiem o lekarstwach. Znam się tylko na wzorach, które przepływają przez mój komputer i które wyszukuję i analizuję. I na tych, które mam tworzyć.

Nie wiem, jak ludzie uczą się nowych rzeczy, lecz sposób, w jaki ja to robię, jest skuteczny. Kiedy miałem siedem lat, rodzice kupili mi rower i usiłowali wytłumaczyć, jak na nim jeździć. Chcieli, żebym najpierw usiadł i pedałowiał, podczas gdy oni prowadzili rower, a potem żebym zaczął sam nim kierować. Zignorowałem ich. Jasne było, że kierowanie to bardzo ważna, ale i trudna sprawa, wobec czego musiałem nauczyć się tego w pierwszej kolejności.

Prowadziłem rower dokoła podwórka, wyczuwając, jak kierownica podskakuje i szarpie, gdy przednie koło najeżdża na trawę lub kamień. Potem usiadłem na rowerze okrakiem i chodziłem w ten sposób, pozwalając, by się przewracał, a wtedy go podnosiłem. W końcu zjechałem ze skarpy, na której znajdowała się droga, odrywając stopy od ziemi, lecz w każdej chwili gotów się zatrzymać. A potem zacząłem pedałować i już nigdy się nie przewróciłem.

Najważniejsze jest wiedzieć, od czego zacząć. Jeśli zaczniesz we właściwym miejscu i przejdziesz przez wszystkie etapy, dotrzesz do mety.

Jeśli chcę się dowiedzieć, dlaczego to leczenie sprawi, że pan Crenshaw się wzbogaci, to muszę zapoznać się z zasadami działania mózgu. Nie z ogólnie znanymi definicjami, lecz z tym, jak rzeczywiście pracuje, na zasadzie maszyny. To jak kierownica roweru - sposób kierowania całą osobą. Muszę ponadto wiedzieć, czym tak naprawdę są lekarstwa i jak działają.

Wszystko, co pamiętam ze szkoły o mózgu, to tyle że jest szary i zużywa mnóstwo glukozy i tlenu. Kiedy chodziłem do szkoły, nie lubiłem słowa „glukoza”. Przywodziło mi na myśl gluta, a nie podobało mi się, że mój mózg wykorzystuje do pracy glutę. Chciałem, żeby mój mózg był jak komputer, coś, co działa dobrze samo z siebie i nie popełnia błędów.

Książki mówiły, że problem z autyzmem kryje się w mózgu, co sprawiało, że czułem się jak niesprawny komputer, który należałoby zwrócić do producenta lub wyrzucić. Wszystkie interwencje, całe szkolenie, było niczym oprogramowanie, które miało naprawić zepsuty komputer. Tyle że nigdy tak się nie stało.

Zbyt wiele rzeczy dzieje się jednocześnie. Odnoszę wrażenie, że prędkość wydarzeń jest większa od prędkości światła, wiem jednak, że obiektywnie nie może to być prawdą. Obiektywna prawda to określenie, jakie znalazłem w jednym z tekstów, które starałem się przeczytać w Internecie. Według książki, prawda subiektywna równa się temu, co ludzie sądzą o pewnych rzeczach. Mam wrażenie, że zbyt wiele rzeczy dzieje się tak szybko, że wręcz nie można ich zobaczyć. Dzieją się przed świadomością, w mroku, który jest zawsze szybszy od światła, ponieważ dociera w każde miejsce pierwszy.

Siedzę przy komputerze, starając się doszukać w tym wszystkim jakiegoś wzoru. Odnajdywanie wzorów to moja umiejętność. Wiara we wzory - w istnienie wzorów - to najwyraźniej moje życiowe credo. Część tego, kim jestem. Autor książki pisze, że to, kim jest dany człowiek, zależy od jego genów, pochodzenia i środowiska.

Kiedy byłem dzieckiem, znalazłem w bibliotece książkę o skalach, od najmniejszych do największych. Myślałem, że to najlepsza książka w całym budynku; nie rozumiałem, czemu inne dzieci wolą książki pozbawione struktury, zwykłe historyjki o poplątanych ludzkich uczuciach i pragnieniach. Czemu zmyślony chłopiec dostający się do fikcyjnej drużyny softballu miałby być ważniejszy od wiedzy o tym, jak rozgiazdy i gwiazdy wpisują się w ten sam wzór?

Człowiek, którym byłem, uważał abstrakcyjne wzory utworzone z liczb za ważniejsze od abstrakcyjnych wzorów, jakie stanowiły związki między ludźmi. Ziarnka piasku są prawdziwe. Gwiazdy są prawdziwe. Wiedza o tym, jak do siebie pasują, wprawia mnie w ciepły, kojący nastrój. Otaczających mnie ludzie wystarczająco trudno zrozumieć, wręcz nie da się ich pojąć. Ludzie z książek postępowali jeszcze bardziej bezsensownie.

Człowiek, którym jestem teraz, uważa, że gdyby ludzie bardziej przypominali liczby, łatwiej byłoby ich zrozumieć. Lecz człowiek, którym jestem teraz, wie, że ludzie nie są tacy jak liczby. Cztery nie zawsze jest pierwiastkiem kwadratowym z szesnastu - w ludzkim odniesieniu do czterech i szesnastu. Ludzie są ludźmi, skłonni do bałaganiarstwa i zmienności, oddziałującymi na siebie w różny sposób z dnia na dzień czy wręcz z godziny na godzinę. Dla policjantki prowadzącej śledztwo w sprawie uszkodzenia mojego wozu jestem panem Arrendale'em, a dla Danny'ego jestem Lou, choć Danny także jest funkcjonariuszem policji. Jestem Lou Sermierzem dla Toma i Lucii, ale Lou Pracownikiem dla pana Aldrina i Autystycznym Lou dla Emmy w Centrum.

Kręci mi się od tego wszystkiego w głowie, bo wewnątrz czuję się jedną osobą, a nie trzema, czterema czy tuzinem. Tym samym Lou, który skacze na trampolinie, siedzi za biurkiem, wysłuchuje Emmy, fechtuje się z Tomem czy patrzy na Marjory, pełen ciepłych uczuć. Wrażenia przepływają przeze mnie jak światło i cień po krajobrazie w wietrzny dzień. Wzgórza są te same, niezależnie od tego, czy pada na nie cień chmury, czy blask słońca.

Dopatrywałem się wzorów w obrazach płynących po niebie chmur... Zbierały się po jednej stronie nieba, a rozwiewały po drugiej, nad grzbietami wzgórz.

Rozmyślałem o wzorach w naszej szermierczej grupie. Jest dla mnie oczywiste, że ten, kto tego wieczoru wybił mi przednią szybę w samochodzie, doskonale wiedział, gdzie znajdzie tę właśnie szybę. Wiedział, że tutaj będę, wiedział też, który samochód jest mój. Był chmurą formującą się nad wzgórzem i znikającą na czystym niebie. Gdzie jestem ja, jest i on.

Kiedy myślę o ludziach, którzy znają mój wóz, i tych, którzy wiedzą, dokąd udaję się w każdą środę wieczorem, możliwości maleją. Dowody schodzą się w jednym punkcie, wywołując konkretne imię. Niemożliwe imię. Imię przyjaciela. Przyjaciele nie wybijają szyb przyjaciołom. Poza tym ten ktoś nie ma powodów, żeby się na mnie gniewać, nawet jeśli pokłócił się z Tomem i Lucią.

To musi być ktoś inny. Choć jestem biegły w analizie wzorów, choć wszystko dokładnie przemyślałem, nie mogę ufać swojej ocenie, kiedy przychodzi do ludzkich działań. Nie rozumiem normalnych ludzi; nie zawsze stanowią racjonalny wzór. To musi być ktoś inny, kto nie jest przyjacielem, kto mnie nie lubi i jest na mnie zły. Muszę znaleźć ten inny wzór, w miejsce oczywistego, który jest niemożliwy.

* * *

Pete Aldrin przeglądał najnowszy spis pracowników firmy. Jak dotąd zwolnienia przypominały strumyczek, który nie przyciągał uwagi mediów, lecz przynajmniej połowa znanych mu nazwisk zniknęła z listy. Wkrótce się rozejdzie. Berty z kadr... wcześniejsza emerytura. Shirley z księgowości...

Najgorsze było coś innego - musiał stwarzać pozory, że pomaga Crenshawowi we wszystkim, cokolwiek tamten robił. Na samą myśl o sprzecznie czuł, jak żołądek zaciska mu się w lodowaty supeł, co uniemożliwiało podjęcie jakichkolwiek działań. Nie odważył się zrobić niczego poza wiedzą Crenshawa. Nie wiedział, czy przełożeni znają jego plany, czy może był to wyłącznie pomysł Crenshawa. Nie odważył się zwierzyć żadnemu ze swych autystycznych pracowników; skąd miał wiedzieć, czy pojmą znaczenie dochowania tajemnicy.

Był pewny, że Crenshaw nie konsultował tego z górą. Chciał być postrzegany jako ktoś, kto rozwiązuje problemy, jako myślący perspektywicznie menedżer, ktoś zdolny do efektywnego zarządzania własnym imperium. Nie zadawał pytań ani nie prosił o zgodę. Gdyby wyszło to na jaw, prasa miałaby używanie. Istniało ryzyko, że ktoś wysoko postawiony zorientuje się w całej sprawie. Ale jak wysoko postawiony? Crenshaw liczył na brak informacji, przecieków, plotek. To było nieracjonalne, nawet gdyby faktycznie udało mu się kontrolować każdego podwładnego.



A gdyby Crenshaw poszedł na dno, Aldrina zaś uznano za jego pomocnika, on także straciłby pracę.

Czego potrzeba, by zamienić Sekcję A w grupę obiektów badań? Musieliby zwolnić się z pracy - na jak długo? Czy mieliby przeznaczyć na to własne urlopy, czy też firma udzieliłaby im urlopów okolicznościowych? Co w takim wypadku z wynagrodzeniem? Co ze stażem pracy? Co z księgowaniem - byliby opłacani z funduszy operacyjnych jego sekcji czy z funduszy badawczych?

Czy Crenshaw doszedł do porozumienia z kimś z kadr, działu prawnego i badawczo-rozwojowego? Jakiego porozumienia? Nie zamierzał na raz posługiwać się nazwiskiem Crenshawa.

Chciał poznać reakcję n; pytania, nie powołując się na niego.

Shirley nadal pracowała w księgowości. Aldrin do niej zadzwonił.

- Przypomnij mi, jakich dokumentów potrzeba, kiedy ktoś przenosi się do innej sekcji - zaczął. - Natychmiast zdejmuję go z mojego budżetu czy jak?

- Transfery są zamrożone - odparła Shirley. - To nowe kierownictwo... - Słyszał, jak oddycha głęboko. - Nie dostałeś notatki służbowe?

- Nie sędzę - mruknął Aldrin. - A więc... jeśli mamy pracownika, który chce wziąć udział w badaniach, to nie możemy po prostu przesunąć jego pensji do badawczego?

- Nie, wykluczone! - odparła Shirley. - Tim McDonough, no wiesz, szef badawczego, natychmiast zawiesiłby sobie twoją skórę na ścianie. - Po chwili spytała: - Jakie badania?

- Jakies nowe leki - odrzekł.

- Aha. No cóż, w każdym razie, jeśli masz pracownika, który chce wziąć w tym udział, to będzie musiał zgłosić się na warunkach ochotniczych: pięćdziesiąt dolarów stypendium dziennie za udział w badaniach wymagających pobytu w klinice, dwadzieścia pięć dolarów dziennie dla pozostałych, przy minimalnej stawce dwustu pięćdziesięciu dolarów. Oczywiście, w klinice będzie miał zapewnione łóżko, wyżywienie i niezbędną opiekę medyczną. Nie namówiłbyś mnie, żebym w zamian za to pozwoliła testować na sobie nowe lekarstwa, lecz komitet do spraw etyki twierdzi, że nie powinno się stosować bodźców finansowych.

- Cóż... Czy nadal dostawałby pensję?

- Tylko wtedy, gdyby pracował albo wziął płatny urlop - odparła i zachichotała. - Firma sporo by zaoszczędziła, gdybyśmy wysłali wszystkich do udziału w badaniach i wypłacali tylko stypendia, co? Znacznie prostsza księgowość, żadnych dodatkowych wyliczeń. Dzięki Bogu, nie mogą tego zrobić.

- Tak przypuszczam - mruknął. A więc, zastanawiał się, co Crenshaw zamierza zrobić z pensjami i stypendiami badawczymi? Kto to finansował? I czemu nie pomyślał o tym wcześniej? - Dzięki, Shirley - dodał poniewczasie.

- Powodzenia - rzuciła.

Czyli, zakładając, że kuracja potrwa... Uświadomił sobie, że nie ma zielonego pojęcia, ile potrwałoby takie leczenie. Czy wspomniano o tym w materiałach przekazanych mu przez Crenshawa? Wyjął je i dokładnie przeczytał, wysuwając wargi. Jeśli Crenshaw nie poczynił jakichś kroków, by przenieść płace Sekcji A do badawczego, to zamieniał starszy personel techniczny w laboratoryjne szczury... i nawet gdyby przebywali na leczeniu tylko przez miesiąc (najbardziej optymistyczny szacunek podany w materiałach), oszczędziłoby to... furę pieniędzy. Wykręcił palcami młynka. Wyglądało to na mnóstwo forsy, lecz nie w przypadku, gdy porównało się to z ryzykiem prawnym, jakie ponosiła firma.

Nie znał nikogo z kierownictwa badawczego, tylko Marcusa z przetwarzania danych. Wracając do kadr... W związku z odejściem Berty próbował przypomnieć sobie inne nazwiska. Paul. Debra. Paul widniał na liście, Debra już nie.

- Streszczaj się - rzucił Paul. - Jutro odchodzę.

- Odchodzisz?

- Jako jeden ze sławnych dziesięciu procent - wyjaśnił Paul. Aldrin dosłyszał w jego głosie gniew. - Nie, firma nie traci pieniędzy, nie, firma nie ogranicza zatrudnienia... Tak się złożyło, że po

prostu nie potrzebują już moich usług.

Aldrin poczuł na plecach lodowate palce strachu. Za miesiąc to może być on. Nie, nawet dzisiaj, jeśli Crenshaw się zorientuje, co właśnie robi.

- Postawię ci kawę - zaproponował.

- Tak, potrzebuję czegoś, żeby nie spać w nocy - mruknął Paul.

- Posłuchaj, Paul. Muszę z tobą pogadać, ale nie przez telefon. Długie milczenie, wreszcie:

- Och. Ty też wylatujesz?

- Jeszcze nie. Kawa?

- Pewnie. O dziesiątej trzydzięci w barku?

- Nie, na wczesnym lunchu. Wpół do dwunastej – powiedział Aldrin i odłożył słuchawkę. Miał spocone dłonie.

* * *

- Cóż to za wielki sekret? - zapytał Paul. Jego twarz niczego nie zdradzała. Garbił się nad stolikiem na samym środku barku.

Aldrin wybrał stolik w rogu, lecz na widok Paula przypomniał sobie jakiś thriller szpiegowski. Stoliki w kątach pomieszczenia mogą być obserwowane. Z tego, co wiedział, Paul mógł mieć na sobie... pluskwę, tak to nazywali. Zrobiło mu się niedobrze.

- No dalej, niczego nie nagrywam - dodał Paul. Łyknął kawy. - Już bardziej podejrzanie wygląda, kiedy tak stoisz i się na mnie gapisz. Musisz skrywać jakąś piekielną tajemnicę.

Aldrin usiadł, rozchlapując kawę z kubka.

- Wiesz, że szef mojego działu jest jedną z nowych mioteł...

- Witamy w klubie - mruknął Paul z intonacją „radź z tym sobie sam”.

- Crenshaw - dodał Aldrin.

- Niezły drań - skomentował Paul. - Ma niezgorszą reputację, ten nasz Crenshaw.

- Tak. Pamiętasz Sekcję A?

- Autystyczni, jasne. - Rysy mu się wyostrzyły. - Zabrał się za *nich!*

Aldrin skinął głową.

- To głupie — oznajmił Paul. - W jego stylu, ale... to naprawdę głupie. Opierają się na nich nasze zwolnienia podatkowe w kategorii 614.11. Twój dział ma niewielkie znaczenie dla 614.11, ale każdy z twych pracowników jest wart 1,5 kredytu. Poza tym opinia publiczna...

- Wiem ~ odparł Aldrin. - Ale on nie słucha. Utrzymuje, że są zbyt kosztowni.

- Uważa tak o każdym prócz siebie - zauważył Paul. - Jest przekonany, że za mało zarabia... Dasz wiarę? - Łyknął kawy. Aldrin odnotował, że Paul nawet teraz nie powiedział, ile wynosi pensja Crenshawa. - Przeszliśmy z nim swoje, kiedy zjawił się w naszym biurze. Zna każdą sztuczkę podatkową.

- Nie wątpię - przytaknął Aldrin.

- I co chce z nimi zrobić, zwolnić ich? Obciąć wynagrodzenia?

- Zastraszyć i zmusić, żeby zgłosili się na ochotnika do testów laboratoryjnych - odrzekł Aldrin.

Paul wytrzeszczył oczy.

- Żartujesz! Nie może tego zrobić!

- Właśnie to robi. - Aldrin przerwał na chwilę, po czym dokończył: - Twierdzi, że nie ma takiego prawa, którego firma nie mogłaby obejść.

- Cóż, to pewnie prawda, ale... nie możemy tak po prostu lekceważyć prawa. Musimy je zmienić. A próby na ludziach... Co to jest, lekarstwo?

- Kuracja dla autystycznych dorosłych - wyjaśnił Aldrin. - Przywracająca normalność. Sprawdziła się podobno na małpach.

- Nie mówisz poważnie. - Paul gapił się na niego przez chwilę. - Cholera, jednak nie żartujesz. Crenshaw próbuje zastraszyć pracowników o kategorii 614.11 i zmusić do udziału w badaniach? Jezu, tylko patrzeć, jak prasa się do tego dorwie... To może kosztować firmę miliardy...

- Ty to wiesz i ja to wiem, ale Crenshaw... ma własne spojrzenie na sprawę.

- No dobra... Kto z góry się pod tym podpisał?

- Nikt, o kim bym wiedział - odrzekł Aldrin, przysięgając w duchu, że to prawda. Tak było, ponieważ o to nie pytał.

Paul nie wyglądał już na skwaszonego.

- Co za ogłupiony władzą idiota - rzucił. - Myśli, że może to zrobić i przebić Samuelsona.

- Samuelsona?

- Kolejna miotła. Nie śledzisz tego, co się dzieje dookoła?

- Nie - przyznał Aldrin. - Nie jestem w tym za dobry. Paul pokiwał głową.

- Wydawało mi się, że ja jestem, ale to wymówienie świadczy dobitnie o czymś wręcz przeciwnym. Tak czy owak, Samuelson i Crenshaw ze sobą rywalizują. Samuelson tnie koszty produkcji, unikając hałasu w prasie... Choć to się szybko zmieni, jak sądzę.

Crenshaw uważa pewnie, że osiągnie potrójną korzyść: zdobędzie ochotników zbyt wystraszonych wizją utraty pracy, by się skarżyć, gdyby coś poszło nie tak, i zorganizuje wszystko sam, nie powiadamiając o tym nikogo innego, po czym przypisze wszystkie zasługi sobie. A ty pójdziesz na dno razem z nim, Pete, jeśli czegoś nie zrobisz.

- Wywali mnie w mgnieniu oka, jeśli tylko kiwnę palcem - wyznał Aldrin.

- Zawsze pozostaje rzecznik praw pracowniczych. Nie zlikwidowali jeszcze tego stanowiska, choć Laurie też nie czuje się zbyt pewnie.

- Nie mogę jej zaufać - mruknął Aldrin, choć odnotował sobie w pamięci to, co powiedział Paul. Na razie miał na głowie inne kwestie. - Nie wiem, jak zamierza rozliczyć ich czas pracy, gdyby się zgłosili. Miałem nadzieję dowiedzieć się czegoś więcej o przepisach. Czy można na przykład wykorzystać do tego ich zwolnienia lekarskie i urlopy? Jak to wygląda w przypadku pracowników specjalnych?

- Cóż, w gruncie rzeczy to, co zamierza Crenshaw, jest nielegalne jak jasna cholera. Po pierwsze, dział badawczy wdepta go w ziemię, jak tylko wywacha, że nie są prawdziwymi ochotnikami. Ci z badawczego będą musieli zgłosić to do Narodowego Instytutu Zdrowia, a nie chcą mieć na karku federalnych, którzy oskarżą ich o złamanie pół tuzina zasad etyki lekarskiej i praw pracowniczych. Poza tym, jeśli to zmusi tych twoich do nieobecności w biurze przez ponad trzydzieści dni... a tak będzie? - Aldrin przytaknął, a Paul podjął: - W takim razie nie można tego zakwalifikować jako urlopu, zresztą obowiązują szczegółowe przepisy w tej kwestii, zwłaszcza jeśli chodzi o pracowników specjalnych. Nie wolno doprowadzić do sytuacji, w której mogliby utracić wysługę lat. Ani wynagrodzenia, jeśli już o tym mowa. - Pogładził palcem krawędź

kubka. - Co nie uszczęśliwiłoby zanadto księgowości. Z wyjątkiem starszych naukowców, oddelegowanych do innych instytucji, nie mamy oddzielnej kategorii dla pracowników, którzy nie przychodzą do pracy, a otrzymują pełne wynagrodzenie. Co więcej, zrujnowałoby to twoje wskaźniki produktywności.

- Myślałem już o tym - mruknął Aldrin. Paul wykrzywił ironicznie wargi.

- Możesz naprawdę przygwoździć faceta - powiedział. - Wiem, że nie odzyskam roboty, nie w takiej sytuacji, lecz z przyjemnością będę śledził dalszy rozwój wypadków.

- Wolałbym zrobić to subtelnie - przyznał Aldrin. - Rzecz jasna, boję się o pracę, ale na tym świat się nie kończy. Crenshaw uważa, że jestem głupi, podszyty tchórzem i leniwy, chyba że włożę mu akurat w tyłek, a wtedy bierze mnie wyłącznie za lizusa.

Myślałem, żeby zrobić coś nieudolnego, co zwróci na niego uwagę i w ten sposób pomoże...

Paul wzruszył ramionami.

- Nie mój styl. Ja bym wstał i narobił hałasu. Ale ty to ty i skoro takie metody bardziej ci odpowiadają...

- A więc... z kim w kadrach mam rozmawiać o urlopach dla autystycznych? I co z działem prawnym?

- Cholernie okrężna droga. Zabierze mnóstwo czasu. Czemu nie porozmawiasz z rzecznikiem, póki go jeszcze mamy, albo nie poprosisz o spotkanie z kimś z góry, skoro masz ochotę udawać bohatera? Weź ze sobą swoich upośledzonych biedaków i odstaw naprawdę melodramatyczną scenę.

- Nie są upośledzeni, tylko autystyczni - poprawił go machinalnie Aldrin. - Nie wiem, co by było, gdyby się zorientowali, do jakiego stopnia to wszystko jest nielegalne. Zgodnie z prawem powinni o wszystkim wiedzieć, ale co będzie, jeśli wezwą jakiegoś dziennikarza? Wtedy dopiero się zacznie.

- No to idź sam. Może nawet spodoba ci się na szczycie naszej piramidy. - Paul roześmiał się odrobinę zbyt głośno i Aldrin zaczął się zastanawiać, czy aby jego rozmówca nie dosypał sobie czegoś do kawy.

- Nie wiem - odparł. - Nie sądzę, żebym dotarł wystarczająco wysoko. Crenshaw by się dowiedział, że próbuję umówić się na spotkanie, a pamiętasz chyba ten okólnik o hierarchii dowodzenia.

- To są skutki zatrudniania zbyt wielu emerytowanych generałów - rzucił Paul.

Tłum w barku zaczął się przeredzać i Aldrin uznał, że musi już iść.

* * *

Nie był pewny, jaki ma być jego następny krok, co przyniesie najlepszy efekt. Miał nadzieję, że badawczy zatrzaśnie wieko i nie będzie musiał nic robić.

Późnym popołudniem Crenshaw pozbawił go tych złudzeń.

- OK, masz tu dane badawcze - powiedział, kładąc na biurku Aldrina dyskietkę i jakieś wydruki. - Nie rozumiem, po co im te wszystkie testy, tomografia komputerowa, rezonans magnetyczny, Chryste Panie! Ale się upierają, a ja nie odpowiadam za badawczy. - Choć słowo to nie padło, podyktowane ambicją Jeszcze" było doskonale słyszalne. - Poumawiaj swoich pracowników na spotkania i skontaktuj się z Bartonem z badawczego w sprawie harmonogramu testów.

- Harmonogram testów? - zdziwił się Aldrin. - A jeśli będzie kolidować z godzinami pracy?

Crenshaw się skrzywił i wzruszył ramionami.

- Do licha, okazemy wspaniałość. Nie będą musieli tego odrabiać.

- Co z rozliczeniem? Czyj budżet... ?

- Na litość boską, Pete, po prostu zajmij się tym! – Oblicze Crenshawa przybrało nieładny, purpurowofioletowy kolor. - Zaczynaj rozwiązywać problemy, zamiast je wyszukiwać. Oszczędź mi tego. Wszystko podpiszę, a w tym czasie użyj do tego kodu autoryzacji. - Wskazał głową stertę papierów.

- Tak jest, sir - rzucił złośliwie Aldrin. Nie mógłby się cofnąć w razie czego, bo stał za biurkiem, lecz Crenshaw po chwili się odwrócił i poszedł do swojego gabinetu.

„Rozwiązuj problemy”. Rozwiąże je, ale nie będą to problemy Crenshawa.

* * *

Nie wiem, co potrafię zrozumieć, a czego nie rozumiem, choć wydaje mi się, że rozumiem. Przeglądam najprostsz y tekst z dziedziny neurobiologii, jaki udaje mi się znaleźć w Internecie, zapoznając się najpierw ze słownikiem. Nie chcę marnować czasu na sprawdzanie definicji, skoro mogę nauczyć się ich na pamięć. Słownik jest pełen nieznan ych mi słów, całych setek. Nie rozumiem także definicji.

Muszę zacząć wcześniej, odnaleźć blask bardziej odległej gwiazdy, bardziej zagłębionej w przeszłości.

Podręcznik z biologii dla uczniów liceum - to może być mój poziom. Zerkam do słowniczka. Znam te słowa, choć wielu z nich nie widziałem od lat. Tylko co dziesiąte jest mi obce.

Kiedy zaczynam pierwszy rozdział, wszystko ma sens, choć pewne rzeczy są inne, niż zapamiętałem. Spodziewałem się tego. Nie martwi mnie to. Kończę podręcznik przed północą.

Następnej nocy nie oglądam swojego ulubionego programu. Studiuję skrypt uniwersytecki. Jest za prosty; napisano go pewnie dla studentów, którzy nie mieli biologii w liceum. Przechodzę do następnego poziomu, zgadując, czego potrzebuję. Skrypt z biochemii zbija mnie z pantafel y; muszę znać chemię organiczną. Przeglądam chemię organiczną w Internecie i ściąg am pierwsze rozdziały skryptu. Znowu czytam do późnej nocy, a potem w piątek, przed i po pracy, robiąc pranie.

W sobotę mamy spotkanie w kampusie, chcę zostać w domu i czytać, ale mi nie wolno. Podczas jazdy treść podręcznika buzuje mi w głowie. Maleńkie molekuly układają się we wzory, które nie do końca są dla mnie zrozumiałe. Jeszcze nigdy nie byłem w kampusie podczas weekendu. Nie spodziewałem się, że będzie tam niemal równie gwarno jak w tygodniu.

Kiedy podjeżdżam, samochody Camerona i Baileya już stoją. Pozostali jeszcze nie przyjechali. Odnajduję drogę do wyznaczonej sali konferencyjnej. Jej ściany wyłożone są sztucznym drewnem, a podłoga zielonym dywanem. W jednym końcu pomieszczenia stoją dwa rzędy krzeseł z metalowymi nogami oraz siedziskami i oparciami wykładanymi różową tkaniną w zielone plamki. Przy drzwiach stoi nieznan a mi młoda kobieta. Trzyma tekturowe pudełko z identyfikatorami. Ma listę z małutkimi zdjęciami. Patrzy na mnie i wymawia moje nazwisko.

- To pański - mówi, podając mi identyfikator z niewielkim metalowym zaciskiem. Trzymam go w dłoni. - Proszę go założyć - dodaje. Nie lubię tego typu zapięć; zaciągają mi koszule. Mimo to przypinam sobie identyfikator i wchodzę do środka.

Pozostali siedzą na krzesłach; na niezajętych leżą foldery z nazwiskami na okładkach, po jednym

dla każdego z nas. Odnajduję swoje miejsce. Niepodoba mi się - siedzę w pierwszym rzędzie po prawej. Gdybym chciał się przesiąść, mogłoby to zostać uznane za niegrzeczne. Rozglądam się po rzędach i widzę, że umieszczono nas w porządku alfabetycznym z punktu widzenia patrzącego na nas mówcy.

Jestem siedem minut za wcześnie. Gdybym wziął ze sobą wydruk skryptu, mógłbym sobie jeszcze trochę poczytać. Zamiast tego zastanawiam się nad tym, o już przeczytałem. Jak dotąd, wszystko ma sens.

Gdy sala jest już pełna, siedzimy w milczeniu i czekamy przez dwie minuty i czterdzieści sekund. Słyszę głos pana Aldrina.

- Są już wszyscy? - pyta stojącej przy drzwiach kobiety. Odpowiada mu, że tak.

Wchodzi. Wygląda na zmęczonego, ale poza tym wszystko jest chyba w porządku. Ma na sobie tkaną koszulę, płowe, obszerne spodnie i mocne buty. Uśmiecha się do nas, ale nie jest to szczery uśmiech.

- Miło mi was tu widzieć - mówi. - Za kilka minut doktor Ransome objaśni potencjalnym ochotnikom, na czym polega cały projekt. W folderach znajdziecie kwestionariusze dotyczące historii waszych chorób; wypełnijcie je teraz. I podpiszcie oświadczenie

Kwestionariusze są proste; częściej testy wielokrotnego wyboru niż wolne miejsca do wypełnienia. Prawie kończę (niewiele czasu zabiera odhaczenie pozycji typu: choroby serca, bóle w klatce piersiowej, brak tchu, choroby nerek, problemy z oddawaniem moczu...), kiedy otwierają się drzwi i do sali wchodzi mężczyzna w białym fartuchu z wyhaftowanym na kieszeni „dr Ransome”. Ma siwe, kręcone włosy i błękitne oczy. Jego twarz jest zbyt młoda na siwiznę. On także się do nas uśmiecha, zarówno ustami, jak i oczami.

- Witajcie - mówi. - Miło mi was poznać. Jak rozumiem, jesteście wszyscy zainteresowani podjęciem leczenia? - Nie czeka na odpowiedź, której mu nie udzielamy. - Bardzo krótko - obiecuje. - Dzisiaj będziecie mieli okazję usłyszeć, o co w tym wszystkim chodzi, zapoznać się z proponowanym harmonogramem testów wstępnych i tak dalej. Najpierw nieco historii.

Mówi bardzo szybko, czytając z ekranu notebooka i streszczając historię badań nad autyzmem, poczynając od odkrycia na przełomie wieków dwóch genów związanych z całym spektrum zaburzeń o charakterze autystycznym. Zanim jeszcze włącza projektor i pokazuje zdjęcie mózgu, mój umysł jest otępiały od przeładowania danymi. Laserowym wskaźnikiem pokazuje różne obszary mózgowia, nadal mówiąc bardzo szybko. W końcu dochodzi do obecnego projektu, znowu zaczynając od samego początku, jakim była praca na temat podstawowej organizacji społecznej i komunikacji naczelnych, która doprowadziła do omawianej kuracji.

- To tylko zarys tła - dorzuca. - Pewnie jesteście już zmęczeni, musicie mi jednak wybaczyć mój entuzjazm. W folderach znajdziecie uproszczoną wersję, w tym diagramy. Tym, co chcemy zasadniczo osiągnąć, jest normalizacja autystycznego mózgu, aby mógł sprawnie funkcjonować, a następnie przeszkolenie go dzięki ulepszonej i szybszej wersji przeznaczonej dla niemowląt integracji sensorycznej, co umożliwi nowej strukturze mózgu prawidłowe funkcjonowanie. - Przerywa, pije łyk wody ze szklanki i kontynuuje. - Tyle na dzisiaj. Zostaną wam wyznaczone terminy testów. Wszystko znajdziecie w folderach. Potem oczywiście nastąpią dalsze spotkania z personelem medycznym. Po prostu oddajcie kwestionariusze i pozostałe dokumenty dziewczynie przy drzwiach. Zostaniecie powiadomieni, czy zaakceptowano wasze kandydatury. - Odwrócił się i wyszedł, zanim zdążyłem się zastanowić, czy nie mam czegoś do powiedzenia. Ani nikt inny.

Pan Aldrin wstaje i odwraca się do nas.

- Po prostu oddajcie mi wypełnione kwestionariusze i podpisane oświadczenia... i nie martwcie się: wszyscy zostaniecie przyjęci.

Nie to mnie martwi. Kończę swój kwestionariusz, podpisuję oświadczenie, oddaję wszystko panu Aldrinowi i wychodzę, z nikim nie rozmawiając. Przepadł mi prawie cały sobotni poranek i chcę wrócić do lektury.

Jadę do domu tak szybko, jak tylko pozwalają na to ograniczenia prędkości, i zaczynam czytać zaraz po wejściu do mieszkania. Nie przerywam, żeby posprzątać czy umyć samochód. W niedzielę nie idę do kościoła. W poniedziałek i wtorek zabieram wydrukowany rozdział, który właśnie czytam, i następny, by czytać podczas przerw śniadaniowych i do późna w nocy. Informacja napływa, jasna i uporządkowana, a jej wzory układają się w równe ustępy, rozdziały i sekcje. W moim umyśle jest dla niej wystarczająco wiele miejsca.

Do środy jestem gotowy zapytać Lucie, co powinienem przeczytać, żeby zrozumieć, w jaki sposób pracuje mózg. Zdałem - online - egzaminy pierwszego i drugiego stopnia z biologii i biochemii oraz pierwszego stopnia z chemii organicznej. Wertuję podręcznik do neurologii, która jest teraz dla mnie dużo bardziej zrozumiała, lecz nie wiem, czy to właściwa książka. Nie wiem, ile mam czasu; nie chcę go marnować na niewłaściwą książkę.

Jestem zaskoczony, że nie zrobiłem tego wcześniej. Kiedy zaczynałem szermierkę, przeczytałem wszystkie książki polecane mi przez Toma i obejrzałem filmy, które mogły mi według niego pomóc. Kiedy gram w gry komputerowe, najpierw czytam o nich wszystko, do czego uda mi się dotrzeć.

A jednak nigdy wcześniej nie zabrałem się za naukę mówiącą o tym, jak działa mój własny mózg. Nie mam pojęcia dlaczego.

Wiem, że początkowo czułem się bardzo dziwnie i byłem niemal przekonany, że nie zrozumieję tych podręczników. Lecz w rzeczywistości okazało się to dużo łatwiejsze. Myślę, że gdybym spróbował, mógłbym zaliczyć w tej dziedzinie liceum. Wszyscy doradcy mi mówili, żebym szedł na kierunki związane z zastosowaniem matematyki, więc to zrobiłem. Powiedzieli mi, do czego jestem zdolny, i uwierzyłem im. Uważali, że mój mózg nie nadaje się do wykonywania prawdziwej pracy naukowej. Może się mylili. Pokazuję Lucii wydrukowaną przeze mnie listę pozycji, które przeczytałem, i wyniki, jakie uzyskałem na testach.

- Muszę wiedzieć, co mam robić dalej - mówię.

- Lou, przyznam, że jestem zaskoczona - kręci głową Lucia. - Tom, chodź to zobaczyć. Lou w jeden tydzień zaliczył licencjat z biologii.

- Nie bardzo - prostuję. - Wszystko to jest ściśle ukierunkowane, a licencjat wymaga także znajomości botaniki, biologii populacji...

- Miałam na myśli bardziej dogłębność niż zakres - oznajmia Lucia. - Przeszedłeś od najniższego poziomu wiedzy do bardzo wymagających zagadnień wyższego poziomu... Lou, czy ty naprawdę rozumiesz proces syntezy organicznej?

- Nie wiem - odpowiadam. - Nie przeprowadzałem żadnych eksperymentów laboratoryjnych. Lecz wzory są oczywiste... Sposób, w jaki substancje chemiczne do siebie pasują...

- Lou, możesz mi wyjaśnić, dlaczego pewne grupy przyłączone do pierścieni węglowych łączą się ze sobą, a inne przeskakują o jeden lub dwa pierścienie dalej?

Uważam, że to głupie pytanie. Jest przecież oczywiste, że miejsce, w którym grupy się ze sobą łączą, wynika z ich kształtu lub ładunku. Z łatwością przyglądam się im w myślach - grudkowate

kształty otoczone chmurami dodatnich bądź ujemnych ładunków. Nie chcę mówić Tomowi, że moim zdaniem to głupie pytanie. Pamiętam paragrafy z podręcznika, które to wyjaśniały, lecz przypuszczam, że chce usłyszeć, jak tłumaczę to własnymi słowami, bez powtarzania. Więc opowiadam o tym możliwie jasno, nie używając tych samych wyrażeń.

- I doszedłeś do tego po przeczytaniu książki... Ile razy?

- Raz - odpowiadam. - Niektóre ustępy dwa razy.

- Jasna cholera - mówi Tom. Lucia na niego cmoka. Nie lubi mocnych słów. - Lou, masz pojęcie, jak ciężko większość studentów pracuje, żeby to zrozumieć?

Nauka nie jest ciężka. Brak wiedzy jest ciężki. Zastanawiam się, dlaczego ci studenci nie uczą się wystarczająco długo, by poczuć, jak to działa.

- Łatwo mi to zobaczyć w głowie - wyjaśniam. - A w książkach są ilustracje.

- Doskonała wyobraźnia plastyczna - mruczy Lucia.

- Pomimo ilustracji, a nawet animacji wideo - mówi Tom - większość studentów ma kłopoty z chemią organiczną. A ty nauczyłeś się tego po jednokrotnym przeczytaniu podręcznika... Lou, ukrywałeś coś przed nami. Jesteś geniuszem.

- To może być przypadek - upieram się. Wyraz twarzy Toma mnie przeraża. Jeśli uzna, że jestem geniuszem, może mi zakazać szermierki.

- Przypadek, akurat - rzuca gniewnie Lucia. Ścisła mnie w żołądku. - Nie ma mowy, jeśli o ciebie chodzi - dodaje szybko. - Całe to pojęcie przypadku jest takie... przestarzałe. Każdy ma swoje mocne i słabe strony. Każdy ma kłopoty z wykorzystaniem swoich umiejętności. Studenci fizyki, którzy wzorowo zdają mechanikę, popełniają błędy, prowadząc pojazdy na śliskiej drodze... Znają teorię, lecz nie potrafią jej zastosować do kierowania autem. A ciebie znam od lat. Twoje umiejętności są... *umiejętnościami*, a nie żadnym przypadkiem.

- Ale mnie się wydaje, że to tylko kwestia dobrej pamięci - mówię, wciąż zaniepokojony. - Potrafię naprawdę szybko zapamiętywać. I radzę sobie z większością standardowych testów.

- Wyjaśnienie czegoś własnymi słowami to nie zapamiętywanie - oznajmia Tom. - Znam ten tekst... Wiesz co, Lou, nigdy nawet nie zapytałeś, jak zarabiam na życie.

Przeżywam szok, jak przy dotknięciu klamki w zimny dzień. Ma rację. Nie zapytałem go o pracę. Nie przyszło mi to do głowy. Spotkałem Lucie w klinice, stąd wiem, że jest lekarzem, ale Tom?

- Gdzie pracujesz? - pytam teraz.

- Wykładam na uniwersytecie - odpowiada. - Inżynierię chemiczną.

- Uczysz studentów?

- Tak. Dwa licencjaty i jeden kierunek magisterski. Specjalizujący się w inżynierii chemicznej muszą zdawać chemię organiczną, więc wiem, co o niej sądzą. I jak opisują ją ci, którzy ją rozumieją, w przeciwieństwie do tych, którzy jej ni w ząb nie pojmują.

- Więc... więc naprawdę uważasz, że ja ją rozumiem?

- Lou, to jest w *twojej* głowie. Uważasz, że ją rozumiesz?

- Tak myślę... ale nie jestem pewny.

- Ja też tak uważam. I jeszcze nigdy nie spotkałem kogoś, kto opanowałby to w niespełna tydzień. Czy poddałeś się kiedyś testowi na inteligencję, Lou?

- Tak. - Nie chcę o tym mówić. Robili mi testy co roku, nie zawsze takie same. Nie lubię testów. Na przykład takich, w których muszę odgadnąć, jakie słowo przyporządkowała do obrazka osoba układająca test. Pamiętam, kiedy chodziło o słowo „tor”, a na rysunkach widać było ślad opony na mokrej jezdni i jakieś kopuły na szczycie długiego, wysokiego budynku, przypominającego - tak mi się przynajmniej wydawało - trybunę na torze wyścigowym. Przyporządkowałem słowu ten drugi rysunek, ale się pomyliłem.

- I poinformowano o wynikach ciebie lub twoich rodziców?

- Nie powiedzieli nic moim rodzicom - odpowiadam. - Co bardzo rozgniewało moją mamę. Mówili, że nie chcą wpływać na jej oczekiwania wobec mnie. Ale twierdzili, że powinienem ukończyć liceum.

- Uhm. Szkoda, że nie wiedzieliśmy... Podałbyś się znowu takim testom?

- Dlaczego? - pytam.

- Przypuszczam... po prostu chcę wiedzieć... skoro jednak poradziłeś sobie z tym materiałem, to co za różnica?

- Kto ma twoje wyniki, Lou? - pyta Lucia.

- Nie wiem - mówię. - Przypuszczam, że... szkoła? Lekarze? Nie wracałem tam po śmierci rodziców.

- To są twoje wyniki i masz prawo je odzyskać. Jeśli chcesz. Kolejna sprawa, o której nigdy przedtem nie pomyślałem. Czy ludzie zabierają ze sobą swoje szkolne i medyczne kartoteki, kiedy już dorosną i się wyprowadzą? Nie wiem, czy chcę wiedzieć, co zapisano o mnie w notatkach. Co by było, gdyby napisali tam coś gorszego niż to, co pamiętam?

- Nieważne - rzuca Lucia. - Wydaje mi się, że mam dla ciebie dobrą książkę. Dosyć starą, ale w jej treści nie ma nic niepoprawnego, choć obecnie wiemy znacznie więcej. *Funkcjonowanie mózgu* Cego i Clintona. Mam jeden egzemplarz... - Wychodzi z pokoju, a ja staram się przemyśleć wszystko, co powiedziała Lucia i Tom. Za dużo tego. Myśli kotłują mi się w głowie na podobieństwo fotonów obijających się we wnętrzu czaszki.

- Proszę, Lou - mówi Lucia, wręczając mi książkę. To ciężki i gruby tom w płóciennej oprawie. Tytuł i nazwiska autorów wytłoczone są złotym kolorem na tle czarnego prostokąta, który zakrywa grzbiet. Dawno już nie widziałem książki wydrukowanej na papierze. - Można ją zapewne znaleźć w Internecie, ale nie wiem gdzie. Kupiłam ją sobie na początku studiów. Zajrzyj do środka.

Otwieram książkę. Pierwsza strona jest pusta. Na następnej widnieje tytuł i nazwiska autorów: Betsy R. Cego i Malcolm R. Clinton. Ciekawe, czy R oznacza w obu przypadkach to samo imię i czy dlatego właśnie postanowili napisać tę książkę razem. Potem kolejna pusta strona, na dole której zamieszczono nazwę firmy i rok wydania. Domyślałam się, że ta firma to wydawca. R. Scott Landsdown & Co. Publishers. Znowu R. Na następnej stronie małą czcionką wydrukowano jakieś informacje. Potem znów tytuł i nazwiska autorów. Wreszcie przedmowa. Zaczynam czytać.

- Możesz to pominąć. Także wstęp - mówi Lucia. - Chcę zobaczyć, czy poradzisz sobie z rozdziałami.

Dlaczego autorzy umieszczają w książce coś, czego ludzie i tak nie zamierzają czytać? Po co jest przedmowa? Wstęp? Nie chcę się spierać z Lucią, wydaje mi się jednak, że najpierw powinienem przeczytać tę właśnie część, ponieważ została zamieszczona na początku. Po co ją tutaj wstawiono, skoro mam ją pominąć? Na razie jednak tylko ją przekartkowuję i docieram do rozdziału pierwszego.

Czytanie nie jest trudne i wszystko rozumiem. Kiedy po dziesięciu stronach podnoszę wzrok,

Tom i Lucia mnie obserwują. Czuję, że się rumienię. Zapomniałem o nich, kiedy czytałem. Nie jest uprzejmię zapominać o ludziach.

- W porządku, Lou? - pyta Lucia.

- Podoba mi się - odpowiadam.

- Dobrze. Weź ją do domu i trzymaj tak długo, jak sobie życzysz. Prześlę ci e-mailem kilka innych tytułów, które można znaleźć w Internecie. Co ty na to?

- Świetnie - mówię. Mam ochotę czytać dalej, słyszę jednak dobiegający z zewnątrz trzask drzwi samochodu i wiem, że nad szedł czas na szermierkę.

Pozostali przyjeżdżają całą grupą w ciągu kilku kolejnych minut. Przechodzimy na podwórko, rozgrzewamy się, zakładamy stroje i zaczynamy się fechtować. Marjory siedzi ze mną w czasie przerw między pojedynkami. Czuję się szczęśliwy, kiedy jest obok mnie. Chciałbym dotknąć jej włosów, lecz tego nie robię.

Nie rozmawiamy zbyt wiele. Nie wiem, co powiedzieć. Pyta, czy wstawiłem nową szybę, a ja odpowiadam, że tak. Obserwuję ją, jak walczy z Lucią; jest wyższa od niej, lecz Lucia jest lepszym szermierzem. Brązowe włosy Marjory unoszą się przy każdym ruchu; Lucia związała swoje jasne kosmyki w kucyk. Tego wieczoru obie założyły jasne kaftany; na stroju Marjory szybko pojawiają się niewielkie, brązowe ślady trafień Lucii.

Wciąż myślę o Marjory, fechtując się z Tomem. Widzę wzór Marjory, nie Toma, który szybko mnie „zabija”, i to dwukrotnie.

- Jesteś rozkojarzony - mówi do mnie.

- Przepraszam - odpowiadam. Mój wzrok ucieka do Marjory. Tom wzdycha.

- Wiem, że masz teraz mnóstwo na głowie, Lou, lecz spotykamy się tutaj po to, żeby zapomnieć o kłopotach.

- Tak... przepraszam. - Odrywam od niej spojrzenie i koncentruję się na Tomie i jego klindze. Skupiony potrafię dostrzec jego wzór - długi i skomplikowany - i jestem w stanie parować pchnięcia. Nisko, wysoko, wysoko, powrót, nisko, wysoko, nisko, nisko, powrót... Tom co piąte pchnięcie atakuje powracającym ciosem. Mogę przygotować się na powrót, obrócić i dać szybki krok po przekątnej... Tnij ukośnie, radzi jeden ze starych mistrzów, nigdy bezpośrednio. Przypomina to szachy z atakującymi pod kątem skoczkiem i gońcem. W końcu stosuję ulubioną kombinację ciosów i zaliczam solidne trafienie.

- Rany! - mówi Tom. - Myślałem, że naprawdę osiągnąłem przypadkowość...

- Powrót po pięciu pchnięciach - mówię.

- Do licha - rzuca Tom. - Spróbujmy jeszcze raz...

Tym razem nie atakuje powrotnym ciosem przez dziewięć pchnięć, następnie przez siedem - zawsze po nieparzystej liczbie ataków, jak dostrzegam. Sprawdzam to na dłuższej serii i czekam. Potem znowu mijam go po przekątnej i ponownie trafiam.

- Nie było co pięć razy - mówi. Brak mu tchu.

- Nie... ale po nieparzystej liczbie ciosów - odpowiadam.

- Nie potrafię myśleć wystarczająco szybko - przyznaje Tom.

- Nie mogę walczyć i myśleć. Jak ty to robisz?

- Ty się zmieniasz, ale twój wzór nie - wyjaśniam. - Wzór, kiedy go dostrzegam, jest stały. Łatwiej utrzymać go w umyśle, ponieważ się nie zmienia.

- Nigdy nie patrzyłem na to w ten sposób - mówi Tom. - Ale jak planujesz własne ataki? Nie wynikają z jakiegoś wzoru?

- Wynikają - odpowiadam. - Mogę jednak zmieniać wzór...

- Widzę, że to do niego nie dociera, próbuję więc wyjaśnić mu w inny sposób. - Kiedy dokądś

jedziesz, możesz wybrać wiele możliwych tras... wiele wzorów. Jeśli ruszysz jedną drogą i okaże się ona zablokowana, wybierzesz inną i zmienisz wzór, prawda?

- Postrzegasz drogi jako wzory? - pyta Lucia. - Ja patrzę na nie jak na sznurki... i mam prawdziwy kłopot ze zmianą jednej na drugą, chyba że znajdują się w tym samym kwartale.

- Ja kompletnie się gubię - wyznaje Susan. - Komunikacja miejska jest dla mnie prawdziwym dobrodziejstwem, bo po prostu odczytuję tabliczkę i wsiadam. Gdybym w dawnych czasach musiała dokądś dojechać, z pewnością byłabym wiecznie spóźniona.

- A więc potrafisz utrzymać w myślach różne wzory kombinacji ciosów i po prostu przeskakujesz z jednego na drugi?

- Przeważnie reaguję na ataki przeciwnika, analizując jego wzór - odpowiadam.

- To by wyjaśniało twój sposób nauki, gdy zaczynałeś szermierkę - zauważa Lucia. Wygląda na uradowaną. Nie wiem, dlaczego tak ją to cieszy. - Te pierwsze walki... Nie miałeś czasu, żeby nauczyć się wzoru, a brakowało ci umiejętności, żeby jednocześnie się fechtować i myśleć, prawda?

- Ja... trudno mi to sobie przypomnieć - mówię. Czuję się niezręcznie, kiedy inni ludzie analizują, jak pracuje mój mózg. Albo nie pracuje.

- To bez znaczenia. Teraz jesteś dobrym szermierzem. Ale ludzie uczą się inaczej.

Wieczór szybko dobiega końca. Walczę z innymi; w przerwach siedzę obok Marjory, jeśli akurat się nie fechtuje. Nasłuchuję hałasu z ulicy, lecz nic nie słyszę. Czasami przejeżdża samochód, lecz brzmi to zwyczajnie, przynajmniej od strony podwórka na tyłach domu. Kiedy wychodzę, szyba w moim aucie nie jest potłuczona, a opony są całe. Brak uszkodzeń miał miejsce, zanim doszło do uszkodzeń - gdyby ktoś przyszedł i uszkodził mój samochód, uszkodzenie byłoby konsekwencją... Bardzo podobnie do mroku i światła. Najpierw jest mrok, a dopiero potem pojawia się światło.

- Czy zgłaszała się do ciebie policja w sprawie tej szyby? - pyta Tom. Stoimy wszyscy razem na podjeździe.

- Nie - odpowiadam. Tego wieczoru nie chcę myśleć o policji. Mam obok siebie Marjory i mogę wdychać zapach jej włosów.

- Zastanawiałeś się, kto mógł to zrobić? - pyta.

- Nie - mówię. O tym także nie chcę myśleć, nie wtedy, kiedy obok mnie stoi Marjory.

- Lou... - Tom skrobie się po głowie. - Musisz o tym pomyśleć. Jakie jest prawdopodobieństwo, że twój samochód został uszkodzony przez nieznaną chuliganów dwa razy z rzędu podczas wieczornego treningu szermierki?

- To nie był nikt z naszej grupy - zapewniam. - Jesteście moimi przyjaciółmi.

Tom spuszcza wzrok, potem patrzy mi w twarz.

- Lou, uważam, że powinieneś przemyśleć... - Moje uszy nie chcą słyszeć tego, co zaraz powie.

- Proszę - mówi do mnie Lucia, przerywając mu. Przerywanie jest niegrzeczne, lecz cieszę się, że to zrobiła. Przyniosła ze sobą książkę, której zapomniałem. Podaje mi ją, gdy już schowałem torbę do bagażnika. - Daj mi znać, jak sobie z nią radzisz.

W świetle latarni na rogu okładka książki jest ciemnoszara i nierówna w dotyku.

- Co czytasz, Lou? - pyta Marjory. Ścisła mnie w żołądku. Nie chcę rozmawiać z Marjory o kuracji. Nie chcę się przekonać, że już o tym wie.

- Cego i Clinton - rzuca Lucia, jakby tak brzmiał tytuł.

- Rany! - woła Marjory. - To świetnie, Lou.

Nie rozumiem. Poznała książkę po jej autorach? Czyżby napisali tylko tę jedną? I dlaczego twierdzi, że to świetnie? A może „świetnie” oznaczało pochwałę dla mnie? Tego również nie pojmuję. Czuję się uwięziony w cyklonie pytań, w niewiedzy, która zalewa mnie i wiruje.

Z odległych iskierek pędzi ku mnie światło, najstarsze światło, któremu droga tutaj zajmuje najwięcej czasu.

Jadę do domu ostrożnie, bardziej niż zwykle świadomy obmywających mnie plam i strumieni blasku z lamp ulicznych i podświetlonych znaków drogowych. Co chwila zanurzam się w mrok - a w mroku naprawdę mam wrażenie większej prędkości.

Po odjeździe Lou Tom pokręcił głową.

- Sam nie wiem.. - zaczął i urwał.

- Myślisz to samo co ja? - spytała Lucia.

- To jedyna realna możliwość - odrzekł Tom. - Nie podoba mi się to. Trudno uwierzyć, żeby Don był zdolny do czegoś równie poważnego, ale... któż inny mógłby to zrobić? Zna nazwisko Lou, może ustalić jego adres, z pewnością wie, kiedy Lou trenuje i jakim samochodem jeździ.

- Nie powiedziałaś o tym policji - zauważyła Lucia.

- Nie. Myślałem, że Lou sam do tego dojdzie, poza tym to jego samochód. Uznałem, że nie powinienem o tym trąbić. Teraz jednak... żałuję, że nie wyszedłem za Lou i nie powiedziałem mu wprost, żeby uważał na Dona. Wciąż uznaje go za przyjaciela.

- Wiem. - Lucia pokręciła głową. - Jest taki... cóż, nie mam pojęcia, czy to prawdziwa lojalność, czy tylko przyzwyczajenie. Raz przyjaciel, na zawsze przyjaciel? Poza tym..

- To nie musi być Don. Wiem. Czasami był istnym utrapieniem i zachowywał się jak palant, lecz nigdy wcześniej nie posunął się do czegoś takiego. I nic się nie wydarzyło dzisiaj wieczorem.

- Noc się jeszcze nie skończyła - mruknęła Lucia. - Jeśli usłyszymy o kolejnym zdarzeniu, powinniśmy zawiadomić policję. Dla dobra Lou.

- Oczywiście, masz rację. - Tom ziewnął. - Miejmy nadzieję, że nic się nie wydarzy i wszystko okaże się zbiegiem okoliczności.

Wchodzę po schodach z książką i torbą. Z mieszkania Danny'ego nie dobiegają żadne dźwięki, więc je mijam. Wkładam kaftan szermierczy do kosza z brudnymi rzeczami i zanoszę książkę na biurko. W świetle lampki okładka jest jasnoniebieska, nie szara.

Otwieram ją. Już bez Lucii, która radziła mi pominąć pierwsze strony, czytam je uważnie. Na stronie nazwanej „Dedykacje” Betsy R. Cego napisała: „Dla Jerry'ego i Boba z podziękowaniem”, a Malcolm R. Clinton napisał: „Dla mojej kochanej żony Celi i ku pamięci mojego ojca George'a”. Przedmowa, autorstwa Petera J. Bartlemana, doktora nauk medycznych i doktora filozofii, profesora emerytowanego Uniwersytetu Medycznego im. Johna Hopkinsa, zawiera informację, iż litera R u Betsy R. Cego jest skrótem od „Rodham”, a litera R u Malcolma R. Clintona oznacza „Richarda”, więc R prawdopodobnie nie ma nic wspólnego z tym, że napisali książkę razem. Peter J. Bartleman uważa, że książka ta jest najważniejszą kompilacją aktualnego stanu wiedzy na temat funkcjonowania mózgu. Nie wiem, dlaczego napisał przedmowę.

Wyjaśnia to wstęp. Peter J. Bartleman uczył Betsy R. Cego, kiedy była na medycynie, i

rozbudził w niej trwale zainteresowanie studiami nad funkcjonowaniem mózgu. Uważam to sformułowanie za niezręczne. Wstęp wyjaśnia, o czym jest książka i dlaczego autorzy ją napisali, po czym następują podziękowania za pomoc dla mnóstwa ludzi i instytucji. Zaskoczony odnajduję na tej liście nazwę firmy, w której pracuję. Konsultowała metody obliczeniowe.

Metodami obliczeniowymi zajmuje się nasz dział. Patrę ponownie na datę wydania. Kiedy napisano tę książkę, jeszcze tam nie pracowałem.

Zastanawiam się, czy gdzieś jeszcze można znaleźć tamte stare programy.

Przechodzę do słowniczka na końcu i czytam szybko definicje. Znam mniej więcej połowę z nich. Kiedy wracam do pierwszego rozdziału opisującego budowę mózgu, wszystko ma sens. Mózdzek, migdałek, hipokamp, mózg... rozrysowane na kilka sposobów, w przekroju od góry do dołu, od przodu do tyłu i z boku. Jeszcze nigdy nie widziałem diagramu pokazującego funkcje różnych obszarów, więc przyglądam mu się uważnie. Zastanawiam się, dlaczego ośrodek mowy znajduje się w lewej połowie mózgu, skoro to w prawej połowie jest ośrodek słuchu. Czemu służy taka specjalizacja? Zastanawiam się, czy dźwięki dobiegające do jednego ucha są lepiej rozpoznawane jako słowa niż dźwięki dochodzące do drugiego ucha. Etapy przetwarzania bodźców wzrokowych równie trudno zrozumieć.

Na ostatniej stronie rozdziału dostrzegam zdanie tak porażające, że muszę się zatrzymać i pochłaniać je wzrokiem: „Zasadniczo, pominiawszy funkcje fizjologiczne, ludzki mózg istnieje po to, aby analizować i tworzyć wzory”.

Brakuje mi tchu w piersiach. Czuję na przemian zimno i gorąco. Wzory. Tym się właśnie zajmuję. Skoro do tego sprowadza się zasadnicza funkcja ludzkiego mózgu, to nie jestem dziwolągiem, lecz kimś najzupełniej normalnym.

To niemożliwe. Wszystko, co wiem, podpowiada mi, że jestem inny, wybrakowany. Czytam w kółko to zdanie, próbując dopasować je do tego, co wiem.

W końcu odrywam się od niego i czytam pozostałą część rozdziału. „Analiza wzorów lub ich tworzenie mogą być wadliwe, podobnie jak ma to miejsce w przypadku pewnych chorób psychicznych, w wyniku czego powstają błędne analizy lub wzory wygenerowane na podstawie nieprawdziwych »danych«, jednak nawet w przypadku najcięższych zaburzeń kognitywnych, te dwie funkcje - analiza i tworzenie wzorów - są charakterystyczne dla ludzkiego mózgu, a także dla mózgów znacznie mniej skomplikowanych od ludzkiego. Czytelnicy zainteresowani tymi funkcjami u nietuzinków powinni skorzystać z niżej zamieszczonych odsyłaczy”.

Może więc jestem normalny i dziwaczny... Normalny w dostrzeganiu i tworzeniu wzorów, może jednak tworzę nieprawidłowe wzory?

Czytam, a kiedy wreszcie przerywam, roztrzęsiony i wyczerpany, jest prawie trzecia nad ranem. Dotarłem do rozdziału szóstego: „Rachunkowe szacunki przetwarzania bodźców wizualnych...”

* * *

Już się zmieniam. Kilka miesięcy temu nie wiedziałem, że kocham Marjory. Nie wiedziałem, że mogę walczyć na turnieju z nieznajomymi. Nie wiedziałem, że mogę nauczyć się biologii i chemii. Nie wiedziałem, że tyle mogę zmienić.

Jedna z osób z ośrodka rehabilitacyjnego, gdzie spędziłem tak wiele godzin w dzieciństwie, zwykła mawiać, że niesprawność jest daną od Boga szansą na okazanie swej wiary. Moja matka zaciskała wtedy usta, ale nie wdawała się w dyskusję. W tym czasie istniał program rządowy, który dostarczał pieniądze na rehabilitację za pośrednictwem kościoła, i z tego właśnie korzystali moi

rodzice. Matka obawiała się, że gdyby zaczęła się spierać, mogliby usunąć mnie z programu. A przynajmniej musiałyby wysłuchiwać dalszych kazań.

Nie pojmuję Boga w ten sposób. Nie uważam, aby Bóg powodował nieszczęścia po to, żeby ludzie rozwijali się duchowo. „Tak postępują źli rodzice”, powiedziała moja matka. Źli rodzice utrudniają życie dzieciom, a potem twierdzą, że w ten sposób pomagają im dorosnąć. Dorastanie i życie są wystarczająco trudne; nie należy ich dodatkowo uprzykrzać dzieciom. Myślę, że dotyczy to również normalnych dzieci. Obserwowałem maluchy uczące się chodzić. Wszystkie walczą i wielokrotnie upadają. Po ich twarzach widać, że nie jest to dla nich łatwe. Byłoby czymś głupim przywiązywać im do nóg cegły i dodatkowo utrudniać zadanie. Jeśli jest to prawda w przypadku nauki chodzenia, to uważam, że odnosi się to także do innych funkcji dorastania i uczenia się.

Bóg powinien być dobrym rodzicem, Ojcem. Nie sędzę więc, aby Bóg dodatkowo utrudniał pewne rzeczy. Nie uważam, abym był autystyczny dlatego, że Bóg uznał, iż moim rodzicom potrzeba wyzwania albo że ja potrzebuję wyzwania. To tak jakbym był dzieckiem i głaz upadł mi na nogę i ją złamał. Bez względu na przyczynę, był to przypadek. Bóg nie chroni nas przed przypadkami, ale też ich nie wywołuje.

Przypadki się zdarzają; przyjaciółka mamy Celia mówiła, że większość nie jest bynajmniej przypadkami, tylko wywołana zostaje głupimi działaniami innych, choć osoba poszkodowana nie zawsze jest tą, która zrobiła coś głupiego. Myślę, że mój autyzm był przypadkiem, lecz to, co z nim robię, zależy tylko ode mnie. Tak twierdziła moja matka.

Sam tak często uważam. Tylko czasami nie jestem tego pewny.

* * *

Poranek jest szary; chmury wiszą nisko. Niemrawe światło nie przegnało jeszcze ciemności. Pakuję śniadanie. Biorę Cego i Clintona i schodzę po schodach. Poczytam sobie w przerwie na lunch.

W oponach jest powietrze. Nowa przednia szyba cała. Być może osoba, która nie jest moim przyjacielem, zmoczyła się niszczeniem mojego samochodu. Otwieram drzwi, kładę posiłek i książkę na siedzeniu pasażera, po czym wsiadam. W głowie gra mi poranna muzyka, której lubię słuchać, kiedy prowadzę.

Gdy przekręcę kluczyk w stacyjce, nic się nie dzieje. Samochód nie zapala. Słyszę jedynie ciche szcęknięcie obracającego się kluczyka. Wiem, co to znaczy. Wyczerpał się akumulator.

Muzyka w mojej głowie cichnie. Poprzedniej nocy akumulator był w porządku. Poziom naładowania znajdował się w odpowiedniej pozycji.

Wysiadam i otwieram maskę. Kiedy ją unoszę, coś na mnie wyskakuje; zataczam się do tyłu i omal nie potykam się o krawężnik.

To dziecinna zabawka, pajacyk wyskakujący z pudełka. Tkwi w miejscu, gdzie powinien być akumulator. Akumulator zniknął.

Spóźnię się do pracy. Pan Crenshaw będzie wściekły. Zatraskuję maskę, nie dotykając pajacyka. Nie lubiłem takich zabawek, kiedy byłem dzieckiem. Muszę zawiadomić policję, firmę ubezpieczeniową, całą tę nudną listę. Patrzę na zegarek. Jeśli się pospieszę, zdążę złapać na stacji odpowiedni pociąg i uniknę spóźnienia.

Biorę torbę z posiłkiem i książkę z siedzenia pasażera, zamykam samochód i idę szybko na stację. Mam w portfelu wizytówki policjantów. Zadzwonię do nich z pracy.

W zatłoczonym pociągu ludzie patrzą przed siebie, unikając kontaktu wzrokowego. Nie wszyscy

są autystyczni; wiedzą skądś, że w pociągu nie należy nawiązywać kontaktu wzrokowego. Niektórzy czytają faksy z wiadomościami. Inni patrzą w monitor na końcu wagonu. Otwieram książkę i czytam, co Cego i Clinton twierdzili o przetwarzaniu sygnałów wzrokowych przez mózg. W czasach kiedy to pisali, roboty przemysłowe potrafiły wykorzystywać jedynie proste dane wizualne, by kierować swoimi ruchami. Nie opracowano jeszcze dla nich obuocznego widzenia, z wyjątkiem namierzania laserem większych pocisków.

Fascynują mnie wzajemne powiązania między etapami przetwarzania bodźców wizualnych; nie miałem pojęcia, że w głowach normalnych ludzi zachodzi coś tak interesującego. Myślałem, że po prostu patrzą na przedmioty i rozpoznają je automatycznie. Uważałem własne przetwarzanie za wadliwe, podczas gdy - o ile prawidłowo zrozumiałem - jest jedynie powolne.

Po przyjeździe na przystanek campusu wiem już, którędy iść, i dotarcie do naszego budynku zajmuje mi mniej czasu. Jestem trzy minuty dwadzieścia sekund przed czasem. W holu znowu stoi pan Crenshaw, lecz się do mnie nie odzywa. Odsuwa się na bok w milczeniu, dzięki czemu mogę dostać się do swojego pokoju. Mówię: „Dzień dobry, panie Crenshaw”, ponieważ jest to właściwe, a on mamrocze coś, co można by uznać za „dobry”. Gdyby odwiedzał mojego terapeutę mowy, wysławiałby się bardziej zrozumiale.

Kładę książkę na biurku i wychodzę na korytarz, żeby zanieść śniadanie do aneksu kuchennego. Pan Crenshaw stoi w drzwiach, wyglądając na parking. Odwraca się i dostrzega mnie.

- Gdzie jest twój samochód, Arrendale? - pyta.

- W domu - odpowiadam. - Przyjechałem pociągiem.

- *Czyli potrafisz korzystać z komunikacji* - mówi. Twarz mu się lekko błyszczy. - Tak naprawdę, wcale nie potrzebujesz specjalnego miejsca parkingowego.

- Komunikacja jest bardzo hałaśliwa - tłumaczę. - Zeszłej nocy ktoś ukradł mi akumulator.

- Dla ludzi takich jak ty samochód jest tylko problemem - oznajmia, podchodząc bliżej. - Ludzie, którzy nie mieszkają w bezpiecznych osiedlach ze strzeżonymi parkingami, nie powinni chwalić się posiadaniem aut.

- Do niedawna nic się nie działo - wyjaśniam. Nie rozumiem, czemu chcę się z nim spierać. Nie lubię się kłócić.

- Miałeś szczęście. Wygląda jednak na to, że ktoś cię namierzył, co? Trzy przypadki wandalizmu. Przynajmniej tym razem nie spóźniłeś się do pracy.

- Tylko raz spóźniłem się z tego powodu - mówię.

- Nie o to chodzi - odpowiada. Zastanawiam się, o co w takim razie chodzi, chyba że o jego niechęć do mnie i pozostałych. Spogląda na drzwi do mojego pokoju. - Pewnie chcesz wrócić do swoich zajęć - dodaje. - Albo zacząć... - Patrzy na zegar w holu. Od chwili rozpoczęcia pracy minęły dwie minuty i osiemnaście sekund. Chcę powiedzieć: „Spóźniam się przez pana”, ale milczę. Wchodzę do pokoju i zamykam za sobą drzwi. Nie zamierzam odrabiać tych dwóch minut i osiemnastu sekund. To nie moja wina. Czuję w związku z tym lekkie podniecenie.

Wywołuję na komputerze wczorajszą pracę i w mojej głowie na nowo formują się przepiękne wzory. Jeden po drugim pojawiają się kolejne parametry, płynnie zmieniając wzory. Przekształcam parametry w dozwolonym zakresie, zawsze sprawdzając, czy nie doszło do niepożądanego mutacji. Kiedy podnoszę wzrok, jest godzina i jednaście sekund później. Pana Crenshawa nie będzie już w naszym budynku. Nigdy nie zostaje tak długo. Wychodzę na korytarz po wodę. Hol jest pusty, lecz na drzwiach do sali gimnastycznej umieszczono wywieszkę. Ktoś jest w środku. Nie dbam o to.

Zapisuję sobie potrzebne słowa, dzwonię na policję i proszę o połączenie z oficerem śledczym prowadzącym pierwszą sprawę, panem Stacym. Kiedy podnosi słuchawkę, w tle słyszę hałasy. Ludzie rozmawiają ze sobą, słychać też jakieś dudnienie.

- Mówi Lou Arrendale - przedstawiam się. - Zajmował się pan moim samochodem z przeciętymi oponami. Mówił pan, żeby zadzwonić...

- Tak, tak - przerywa zniecierpliwiony, jakby wcale mnie nie słuchał. - Isaka powiedziała mi o przedniej szybie w zeszłym tygodniu. Nie mieliśmy jeszcze czasu, żeby się tym zająć...

- Zeszłej nocy skradziono mi akumulator - mówię. - Ktoś włożył w jego miejsce dziecięcą zabawkę.

- Co?

- Kiedy rano wyszedłem do pracy, samochód nie chciał zapalić. Zajrzałem pod maskę i coś na mnie wyskoczyło. To był taki pajacyk na sprężynie. Pozostawiono go w miejscu, gdzie powinien znajdować się akumulator.

- Proszę tam zostać, a ja zaraz kogoś podeślę... - mówi.

- Nie ma mnie w domu - odpowiadam. - Jestem w pracy. Mój szef byłby zły, gdybym się spóźnił. Samochód stoi pod domem.

- Rozumiem. Gdzie jest zabawka?

- W aucie - odpowiadam. - Nie dotykałem jej. Nie lubię pajacyków w pudełkach. Po prostu zatrasnąłem wieko. - Miałem na myśli „maskę”, ale użyłem złego słowa.

- Nie podoba mi się to - mówi. - Ktoś naprawdę pana nie lubi, panie Arrendale. Raz to mógł być przypadek, ale... Domyśla się pan, czyja to robota?

- Jedyne osobę, o której wiem, że się na mnie gniewa, to mój przełożony, pan Crenshaw - odpowiadam. - Po tym jak spóźniłem się poprzednim razem. Nie lubi osób autystycznych. Chce zmusić nas do poddania się leczeniu...

- Nas? Czy tam, gdzie pan pracuje, jest więcej takich osób?

Uświadamiam sobie, że o niczym nie wiem. Nie pytał o to wcześniej.

- Nasza sekcja składa się wyłącznie z pracowników autystycznych - wyjaśniam. - Nie sądzę jednak, żeby pan Crenshaw robił takie rzeczy. Chociaż... nie podoba mu się, że mamy specjalne prawa jazdy i miejsca na parkingu. Uważa, że wszyscy powinniśmy poruszać się komunikacją miejską, jak inni ludzie.

- Hmm. I zawsze niszczone tylko pański samochód.

- Tak. Ale on nie wie o moich treningach szermierki. - Nie potrafię wyobrazić sobie pana Crenshawa, który jeździ po mieście i szuka mojego auta, żeby wybić w nim przednią szybę.

- Coś jeszcze? Cokolwiek?

Nie zamierzam rzucać niesłusznych podejrzeń. Fałszywe oskarżenia są bardzo złe. Nie chcę jednak, żeby mój samochód doznawał dalszych uszkodzeń. Zabiera mi to czas, który mógłbym poświęcić innym sprawom. Rujnuje mój plan dnia. I kosztuje pieniądze.

- Znam jedną osobę w Centrum, Emmy Sanderson, która uważa, że nie powinienem mieć normalnych przyjaciół - mówię. - Ale ona nie wie, gdzie odbywają się lekcje szermierki. - Nie wydaje mi się, żeby to była Emmy, lecz tylko ona, poza panem Crenshawem, była ostatnio na mnie o coś zła. Wzór nie pasuje ani do niej, ani do pana Crenshawa, ale musi być nieprawidłowy, skoro nie doprowadził mnie do prawdopodobnego nazwiska.

- Emmy Sanderson - powtarza. -1 jest pan pewien, że ona nie wie, gdzie odbywają się treningi?

- Nie. - Emmy nie jest moją przyjaciółką, ale nie wierzę, że to zrobiła. Don jest moim przyjacielem i nie chcę wierzyć, że on to zrobił.

- Czy nie jest bardziej prawdopodobne, że to ktoś z pańskiej grupy szermierczej? Czy jest tam ktoś, z kim nie układa się panu najlepiej?

Oblewa mnie nagły pot.

- To są moi przyjaciele - wyjaśniam. - Emmy twierdzi, że nie mogą być prawdziwymi przyjaciółmi, ale są. Przyjaciele nie krzywdzą przyjaciół.

Chrząka. Nie wiem, co to może oznaczać.

- Są przyjaciele i przyjaciele - mówi. - Proszę mi opowiedzieć o tej grupie.

Zaczynam od Toma i Lucii, potem opisuję pozostałych; notuje sobie nazwiska, dopytując się, jak się pisze niektóre. -1 przez ostatnie tygodnie wszyscy tam byli?

- Nie co tydzień - odpowiadam. Mówię mu, co pamiętam: kto wyjechał służbowo, a kto uczęszczał na zajęcia. - A Don przeniósł się do innego instruktora, bo pokłócił się z Tomem.

- Z Tomem. Nie z panem?

- Nie. - Nie wiem, jak to powiedzieć, nie krytykując przyjaciół, gdyż krytykowanie przyjaciół jest złe. - Don czasami mi dokucza, ale jest moim przyjacielem - mówię. - Obraził się na Toma, ponieważ Tom opowiedział mi o czymś, co Don zrobił bardzo dawno temu, a Don nie chciał, żeby Tom mi o tym opowiedział.

- Kiedy to było? - pyta Stacy.

- Podczas turnieju - odpowiadam. - Don podszedł do mnie po pojedynku i zaczął wyliczać, co zrobiłem źle, a Tom, mój nauczyciel, kazał mu zostawić mnie w spokoju. Don próbował mi pomóc, lecz Tom myślał, że mi nie pomaga. Tom powiedział, że spisałem się lepiej niż Don na swoim pierwszym turnieju, a Don usłyszał to i wściekł się na Toma. Potem opuścił grupę.

- Ha. W takim razie prędkiej przedziurawiłby opony w samochodzie pańskiego instruktora. Mimo to go sprawdzimy. Proszę dać mi znać, gdyby coś jeszcze przyszło panu do głowy. Przyślę kogoś po tę zabawkę. Może uda się nam zdjąć z niej odciski palców albo jakieś inne ślady.

- Po odłożeniu słuchawki siedzę i rozmyślam o Donie, ale nie jest to przyjemne. Wobec tego zaczynam myśleć o Marjory, a potem Marjory i Donie. Trochę mnie ścisza w żołądku na myśl o Marjory i Donie jako... przyjaciółkach. Zakochanych. Wiem, że Marjory nie lubi Dona. Czy on ją lubi? Pamiętam, jak siadał obok niej stawał pomiędzy nią a mną, aż Lucia musiała go przeganiać.

Czy Marjory powiedziała Lucii, że mnie lubi? To kolejna rzecz, którą robią normalni ludzie, jak mi się wydaje. Wiedzą, kiedy ktoś kogoś lubi i jak bardzo. Nie muszą się zastanawiać. To zupełnie jak czytanie w myślach - orientują się, kiedy ktoś żartuje, a kiedy jest najzupełniej poważny, kiedy słowo użyte jest we właściwym znaczeniu, a kiedy jako żart. Chciałbym wiedzieć na pewno, że Marjory mnie lubi. Uśmiecha się. Mówi miłym tonem. Ale może się tak zachowuje, bo nie czuje do mnie niechęci. Jest miła dla ludzi; zaobserwowałem to w spożywczym.

Przypominają mi się oskarżenia Emmy. Jeśli Marjory naprawdę widzi we mnie interesujący przypadek, obiekt badań - mimo że nie z jej zakresu - to może dalej się do mnie uśmiechać i miło rozmawiać. Nie będzie to znaczyło, że mnie lubi. Będzie to znaczyło, że jest osobą sympatyczniejszą od doktor Fornum, która też uśmiecha się odpowiednio, mówiąc „dzień dobry” i „do widzenia”, choć

ten uśmiech nigdy nie dociera do jej oczu, jak w przypadku Marjory. Widziałem, jak Marjory uśmiecha się do innych ludzi i zawsze jest to uśmiech szczerzy. Jeśli jednak Marjory jest moją przyjaciółką, to mówi mi prawdę o prowadzonych przez nią badaniach, a jeśli ja jestem jej przyjacielem, to powinienem jej wierzyć.

Potrząsam głową, by przegnać te myśli z powrotem w mrok, gdzie ich miejsce. Włączam wiatrak, żeby zawirowały moje spirale. Potrzebuję ich; oddycham zbyt szybko i czuję pot na szyi. Wszystko z powodu pana Crenshawa, samochodu, konieczności powiadomienia policji. Nie z powodu Marjory.

Po kilku minutach mój mózg wraca do analizy i generowania wzorów. Nie pozwalam sobie uciekać myślami do Cego i Clintona. Przepracuję część przerwy na lunch, by nadrobić czas strawiony na rozmowie z policją, ale nie dwie minuty i osiemnaście sekund, które zabrał mi pan Crenshaw.

Zanurzony w złożoności i pięknie wzorów, pojawiaam się na lunchu dopiero o 13:28:17.

* * *

Muzyka w mojej głowie to *Koncert na wiolonczelę nr 2* Brucha. W domu mam nagrane cztery wersje: bardzo starą w wykonaniu dwudziestowiecznego solisty nazwiskiem Perlman, moją ulubioną. Trzy są nowsze, dwie całkiem udane, lecz niezbyt interesujące, oraz jedna w wykonaniu młodziutkiej zwyciężczyni zeszłorocznego konkursu imienia Czajkowskiego, Idris Vai-Kassadelikos. Gdy dorośnie, Vai-Kassadelikos może być równie znakomita jak Perlman. Nie wiem, jak dobry był w jej wieku, lecz ona gra z pasją, wyciągając długie nuty w gładkich, zapierających dech frazach.

To muzyka, która ułatwia dostrzeżenie pewnych wzorów. Bach wzmacnia większość z nich, pomijając... eliptyczne - to najlepsze określenie, jakie przychodzi mi na myśl. Rozmach tej muzyki, przesłaniający rozetowe wzory uwypuklane przez Bacha, pozwala mi odszukać i zbudować długie, asymetryczne elementy, pogrążone w nieruchomym fluidzie.

To ciemna muzyka. Słyszę ją jako przeciągłe, matowe smugi mroku, przypominające granatowo-czarne wstążki, które powiewają na wietrze w nocy i co chwila zasłaniają i odsłaniają gwiazdy. Raz cicho, raz głośnie, raz pojedyncza wiolonczela z cichutką orkiestrą w tle, a raz głośna, unosząca się na dźwiękach orkiestry niczym wstążki w strumieniu powietrza.

Myślę, że to będzie dobra muzyka do czytania Cego i Clintona. Szybko zjadam lunch i ustawiam włącznik czasowy wentylatora. W ten sposób odbłyśki światła dadzą mi znać, kiedy przyjdzie pora, by wrócić do pracy.

Cego i Clinton opisują sposób, w jaki mózg przetwarza dane o krawędziach, kątach, strukturach i barwach oraz jak informacje przepływają między poszczególnymi etapami przetwarzania bodźców wizualnych. Nie wiedziałem, że istnieje osobny obszar, odpowiedzialny za rozpoznawanie twarzy, choć dzieła, na które powołują się autorzy, zostały napisane jeszcze w dwudziestym wieku. Nie wiedziałem, że umiejętność rozpoznawania obiektu w różnych położeniach jest zachwiana u ludzi, którzy urodzili się niewidomi, a wzrok odzyskali później.

Raz za razem wspominają o rzeczach, z którymi sam miałem problemy. Poruszają te kwestie w kontekście ślepoty od urodzenia, urazu mózgu bądź tętniaka. Kiedy moja twarz nie zmienia się pod wpływem silnych emocji, czy oznacza to, że mój mózg nie dokonuje procesu, jakim jest zmiana jej kształtu?

Cichutki szum: włącza się wentylator. Zamykam oczy, czekam trzy sekundy i otwieram je. Pomieszczenie skąpane jest w barwach i ruchu; poruszają się wszystkie spirale i wiatraczki, odbijając światło. Odkładam książkę i wracam do pracy. Miarowa oscylacja błysków uspokaja

mnie. Słyszałem, jak normalni ludzie określali ją jako chaotyczną, ale wcale tak nie jest. To wzór, regularny i przewidywalny; całe tygodnie zajęło mi jego odpowiednie ułożenie. Myślę, że istnieje jakaś prostsza metoda, by tego dokonać, ja jednak musiałem wyregulować każdy ruchomy element, aż poruszał się z właściwą prędkością w stosunku do pozostałych.

Dzwoni mój telefon. Nie lubię, kiedy dzwoni; odrywa mnie od tego, co w danej chwili robię, a po drugiej stronie zwykle jest ktoś, kto oczekuje ode mnie, że będę w stanie natychmiast rozmawiać. Biorę głęboki wdech. Dociera do mnie tylko hałas, kiedy mówię:

- Lou Arrendale, słucham.

- Ach... tu detektyw Stacy - odzywa się głos. - Wie pan... posłaliśmy kogoś do pańskiego mieszkania. Proszę mi jeszcze raz powiedzieć, jaki jest numer rejestracyjny pańskiego wozu.

Recytuję go z pamięci.

- Uhm. Cóż, będę musiał osobiście z panem porozmawiać. - Urywa i wydaje mi się, że czeka, aż coś powiem, ale nie mam pojęcia, co by to miało być. Wreszcie się odzywa: - Uważam, że może grozić panu niebezpieczeństwo, panie Arrendale. Ktokolwiek to robi, nie jest grzecznym chłopcem. Kiedy nasi ludzie próbowali wyciągnąć zabawkę, nastąpił niewielki wybuch.

- Wybuch!

- Tak. Na szczęście byli ostrożni. Coś im się nie spodobało i wezwali saperów. Gdyby to jednak pan podniósł zabawkę, mógłby pan stracić palec albo dwa. Niewykluczone, że całe to urządzenie trafiłoby pana w twarz.

- Rozumiem. - Potrafiłem to sobie wyobrazić. Niemal wyciągnąłem ręce i złapałem zabawkę... a gdybym to uczynił... Przeszywa mnie chłód, a moje dłonie zaczynają się trząść.

- Naprawdę musimy znaleźć tę osobę. W domu pańskiego instruktora fechtunku nikt nie odbiera...

- Tom wyklada na uniwersytecie - mówię. - Inżynierię chemiczną.

- To nam pomoże. A jego żona?

- Lucia jest lekarzem - odpowiadam. - Pracuje w centrum medycznym. Naprawdę pan sądzi, że ta osoba próbuje mnie skrzywdzić?

- Z pewnością chce panu narobić kłopotów - mówi policjant. - Poza tym, te akty wandalizmu są za każdym razem coraz brutalniejsze. Może pan przyjść na stację?

- Nie dam rady się stąd wyrwać, dopóki nie skończę pracy - wyjaśniam. - Pan Crenshaw rozgniewałby się na mnie. - Nie chcę, żeby ktoś jeszcze się na mnie złościł, skoro jest już ktoś, kto chce wyrządzić mi krzywdę.

- Wyślemy kogoś po pana - oznajmia Stacy. - W którym budynku pan przebywa? - Mówię mu, a także tłumaczę, którą bramą należy wjechać i gdzie skręcić, żeby dotrzeć na nasz parking. Policjant ciągnie: - Nasz człowiek powinien tam być za jakieś pół godziny. Mamy odciski palców; będziemy musieli zdjąć pańskie, żeby je porównać. Powinny być w całym samochodzie... Ostatnio oddał go pan do naprawy, będą więc także inne. Jeśli jednak znajdziemy takie, które nie będą pasowały do pańskich ani do mechaników... To będzie to solidny trop, którym podążymy.

Zastanawiam się, czy powinienem powiedzieć panu Aldrinowi albo panu Crenshawowi o tym, że przyjedzie tu policja, żeby ze mną porozmawiać. Nie wiem, co bardziej rozżłości pana Crenshawa. Pan Aldrin nie gniewa się tak często. Dzwonię do jego gabinetu.

- Przyjeżdża tutaj policja, żeby ze mną porozmawiać - mówię. - Odrobię to.

- Lou! Co się stało? Coś ty narobił?

- Chodzi o mój samochód - odpowiadam. Zanim zdążę coś dodać, przerywa mi szybko.

- Lou, nic im nie mów. Zapewnimy ci prawnika. Czy ktoś doznał obrażeń?

- Nikt - mówię. Słyszę, jak oddycha z ulgą.

- Cóż, Bogu dzięki - wzdycha.

- Nie dotknąłem tego urządzenia, kiedy podniosłem maskę.

- Urządzenia? O czym ty mówisz?

- Tego... przyrządu, który ktoś włożył do mojego **auta**. Wyglądał jak zabawka, jak pajacyk wyskakujący z pudełka.

- Czekaj... czekaj. Chcesz mi powiedzieć, że policja przyjeżdża w związku z tym, co przytrafiło się tobie, a co uczynił ktoś inny? Ty nic nie zrobiłeś?

- Nie dotknąłem tego - odpowiadam. Wypowiedziane przez niego słowa docierają do mnie powoli, jedno po drugim; emocje w jego głosie utrudniają ich zrozumienie. Początkowo myślał, że zrobiłem coś złego, co sprowadziło tutaj policję. Ten człowiek, którego znam od początku mojej pracy tutaj, uważa, że mógłbym zrobić coś tak złego. Robi mi się ciężko na sercu.

- Przepraszam - mówi, uprzedzając mnie. - To brzmi tak... Musiało tak zabrzmieć, jakbym wyciągnął wniosek, że zrobiłeś coś złego. Przepraszam. Wiem, że nie byłbyś do tego zdolny. Nadal jednak uważam, że podczas rozmowy z policją przydałby ci się któryś z naszych prawników.

- Nie - odpowiadam. Zmroziło mnie i czuję gorycz; nie chcę być traktowany jak dziecko. Myślałem, że pan Aldrin mnie lubi. Skoro on mnie nie lubi, to pan Crenshaw, który jest o wiele gorszy, musi mnie nienawidzić. - Nie chcę prawnika. Nie potrzebuję go. Nie zrobiłem nic złego. Ktoś niszczy mi samochód.

- To zdarzyło się kilka razy? - pyta.

- Tak - odpowiadam. - Dwa tygodnie temu ktoś pociął mi wszystkie opony. Dlatego się spóźniłem. Potem, w następną środę, kiedy byłem u przyjaciół, wybito mi przednią szybę. Wtedy także wezwałem policję.

- O niczym mi nie mówiłeś, Lou - ma pretensje pan Aldrin.

- Nie... Myślałem, że rozgniewałoby to pana Crenshawa. A dzisiaj rano mój samochód nie zapalił. Akumulator zniknął, a na jego miejscu znalazłem zabawkę. Przeszedłem do pracy i zadzwoniłem na policję. Kiedy ją obejrzel, okazało się, że pod zabawką umieszczono ładunek wybuchowy.

- Mój Boże, Lou, to jest... Mogło ci się coś stać. To okropne. Masz jakieś domysły...? Nie, oczywiście, że nie masz. Słuchaj, zaraz do ciebie przyjdę.

Odłożył słuchawkę, nim zdążyłem go poprosić, żeby teraz nie przychodził. Jestem zbyt poruszony, żeby pracować. Nie dbam o to, co myśli pan Crenshaw. Potrzebuję chwili w sali gimnastycznej. Nie ma tam nikogo. Nastawiam odpowiednią muzykę i zaczynam podskakiwać na trampolinie. Początkowo nie mogę dostosować się do muzyki, po chwili jednak moje ruchy stają się bardziej miarowe. Muzyka unosi mnie i ściąga w dół; czuję rytm w nacisku na stawy, gdy opadam na sprężynującą tkaninę i ponownie wzbijam się w górę.

Odpreżam się, nim przychodzi pan Aldrin. Jestem spocony i czuję swój zapach, lecz muzyka

wciąż we mnie rozbrzmiewa. Nie jestem roztrzęsiony ani przestraszony. To miłe uczucie.

Pan Aldrin ma zaniepokojoną minę i chce podejść do mnie bliżej, niżbym sobie życzył. Nie chcę, żeby poczuł mój pot i obraził się. Nie chcę także, by mnie dotykał.

- Wszystko w porządku, Lou? - pyta. Wyciąga rękę, jakby chciał mnie poklepać.

- Czuję się świetnie - odpowiadam.

- Jesteś pewny? Naprawdę uważam, że przydałby się nam tutaj prawnik, może powinieneś też udać się do kliniki...

- Nic mi się nie stało - mówię. - Wszystko w porządku. Nie muszę iść do lekarza i nie chcę prawnika.

- Zostawiłem wiadomość dla policji przy bramie wjazdowej - informuje mnie pan Aldrin. - Musiałem także powiadomić pana Crenshawa. - Opuszcza brwi. - Był na naradzie. Przekażą mu, jak tylko wyjdzie.

Odzywa się dzwonek do drzwi. Pracownicy uprawnieni do przebywania w budynku mają własne karty-klucze. Tylko goście muszą dzwonić.

- Pójdę otworzyć - mówi pan Aldrin. Nie wiem, czy wracać do siebie, czy stać w holu. Zostaję w holu i patrzę, jak pan Aldrin idzie do drzwi. Otwiera je i mówi coś do czekającego na progu mężczyzny. Nie widzę, czy to ten sam człowiek, z którym rozmawiałem wcześniej, dopóki nie podchodzi bliżej. Dopiero teraz poznaję, że to on.

- Witam, panie Arrendale - mówi i wyciąga do mnie rękę. Podaję mu swoją, choć nie lubię ściskania dłoni. Wiem jednak, że tak należy postąpić. - Czy moglibyśmy gdzieś porozmawiać? - pyta.

- W moim pokoju - odpowiadam. Wprowadzam go. Nie miewam gości, w związku z czym brakuje mi dodatkowego krzesła. Widzę, jak pan Stacy patrzy na świecidełka, spirale, wiatraczki i inne dekoracje. Nie wiem, co o nich myśli. Pan Aldrin mówi coś do niego cicho i wychodzi. Nie siadam, ponieważ nie jest uprzejmie siedzieć, kiedy inni muszą stać, chyba że jest się ich szefem. Pan Aldrin wraca z krzesłem z aneksu kuchennego. Stawia je pomiędzy biurkiem a szafami. Następnie zajmuje pozycję przy drzwiach.

- A pan jest...? - pyta pan Stacy, odwracając się ku niemu.

- Pete Aldrin, bezpośredni przełożony Lou. Nie wiem, czy pan rozumie... - Pan Aldrin rzuca mi spojrzenie, którego nie rozumiem, a pan Stacy kiwa głową.

- Rozmawiałem już z panem Arrendale'em - mówi. Znów zadziwia mnie sposób, w jaki przekazują sobie informacje bez słów. - Nie będę zajmował panu czasu.

- Ale... wydaje mi się, że on potrzebuje...

- Panie Aldrin, pan Arrendale nie ma żadnych kłopotów. Staramy się mu pomóc, powstrzymać tego czubka przed zrobieniem mu krzywdy. Gdyby znalazł mu pan bezpieczne miejsce, gdzie mógłby spędzić kilka dni, podczas gdy my spróbujemy wysledzić tę osobę, byłoby to bardzo pomocne, ale poza tym... nie sądzę, żeby potrzebował opieki, kiedy z nim rozmawiam. Chociaż to zależy od niego... - Policjant patrzy na mnie. Widzę na jego twarzy cień uśmiechu, choć mogę się mylić. Jest bardzo subtelny.

- Lou jest bardzo zdolny - mówi pan Aldrin. - Ceniśmy go. Chciałem tylko...

- ...upewnić się, że zostanie właściwie potraktowany. Rozumiem. Ale to już zależy od niego.

Obaj na mnie patrzą. Czuję się nadziany na ich spojrzenia, niczym eksponat w muzeum. Wiem, że pan Aldrin chce, żebym powiedział, że ma zostać, ale oczekuje tego z niewłaściwych powodów, a ja nie chcę, żeby został.

- Nic mi nie będzie - zapewniam. - Zawołam pana, gdyby coś się działo.

- Oczywiście - mówi. Obrzuca pana Stacy'ego przeciągłym spojrzeniem, po czym wychodzi. Słyszę oddalające się kroki na korytarzu, a potem skrzypienie krzesła w aneksie kuchennym, brzęk monet wrzucanych do maszyny z napojami i łomot lądującej w podajniku puszk. Zastanawiam się, co wybrał. Zastanawiam się, czy zostałby, gdybym tego chciał.

Policjant zamyka drzwi do mojego pokoju i siada na przyniesionym przez pana Aldrina krześle. Zajmuję miejsce za biurkiem. Rozgląda się po pokoju.

- Lubi pan wirujące przedmioty, prawda? - zauważa.

- Tak - odpowiadam. Zastanawiam się, jak długo tu zostanie. Będę musiał nadrobić ten czas.

- Pozwoli pan, że opowiem co nieco o chuliganach - podejmuje. - Znamy kilka typów. Osoby, zwykle dzieciaki, lubiące po prostu sprawiać trochę kłopotów. Mogą przebić oponę, rozbić szybę lub ukraść znak stopu. Robią to dla frajdy i nie obchodzi

ich, komu wyrządzają szkodę. W drugiej kolejności jest coś, co nazywamy „nadwyżką”. Dochodzi do bójki w barze, która przenosi się na zewnątrz i przy okazji tłuczone są szyby samochodów na parkingu. Na ulicy gromadzi się tłum, komuś odbija i już po chwili tłum atakuje okna wystawowe i okrada sklepy. Część z tych osób nie ma zwykle skłonności do przemocy i sami są zaszokowani własnym zachowaniem. - Urywa i patrzy na mnie. Kiwam głową. Domyślam się, że oczekuje ode mnie jakiegoś potwierdzenia.

- Chce pan powiedzieć, że niektórzy chuligani nie robią tego po to, żeby skrzywdzić konkretnych ludzi.

- Właśnie. Są jednostki, które uwielbiają burdy, ale nie znają swoich ofiar. Są jednostki, które zazwyczaj nie wszczynają burd, ale zostają wciągnięte w rozróbę. Jeśli teraz przyjrzymy się konkretnemu przypadkowi aktu chuligaństwa, jak to miało miejsce z pańskimi oponami, jasno widzimy, że nie jest to „nadwyżka”, i zakładamy, że było to dzieło przypadkowej jednostki. To najpowszechniejszy przypadek. Jeżeli w ciągu następnych tygodni dojdzie do podziurawienia opon innych samochodów w okolicy lub wzdłuż tej samej trasy, to przyjmujemy, że trafił się nam rozrabiaka, który lubi wodzić policję za nos. Irytujący, ale niegroźny.

- Kosztowny - mówię. - Przynajmniej dla posiadaczy samochodów.

- Zgadza się, i dlatego jest to przestępstwo. Istnieje jednak trzeci typ chuligana i jest to typ niebezpieczny. Taki, który bierze na cel konkretną osobę. Zwykle zaczyna się od czegoś irytującego, lecz niegroźnego, jak porznięcie opon. Niektórych satysfakcjonuje pojedynczy akt zemsty. W takim przypadku nie są niebezpieczni. Innych jednak to nie zadowala i właśnie tacy budzą nasze zaniepokojenie. W pańskim przypadku mamy do czynienia z relatywnie niegroźnym podziurawieniem opon, po którym nastąpiło bardziej brutalne rozbicie przedniej szyby w samochodzie i wreszcie bardzo niebezpieczne podłożenie niewielkiego urządzenia wybuchowego, które mogło wyrządzić panu krzywdę. Za każdym razem dochodzi do eskalacji przemocy. Dlatego właśnie obawiamy się o pana bezpieczeństwo.

Mam wrażenie, jakbym unosił się w kryształowej kuli, niepowiązany ze światem zewnętrznym. Nie czuję się zagrożony.

- Może się pan czuć bezpiecznie - dodaje pan Stacy, znowu czytając mi w myślach. - Ale to wcale nie znaczy, że *jest* pan bezpieczny. Jedyne sposoby, by zapewnić panu bezpieczeństwo, to wsadzić tego świra za kratki.

Tak łatwo nazywa go świrem... Ciekawe, czy o mnie też tak sądzi.

Znowu czyta w moich myślach.

- Przepraszam, nie powinienem mówić „świr”... Pewnie słyszy pan wystarczająco wiele tego typu określeń. Po prostu bardzo mnie to złości: z jednej strony pan, uczciwy i ciężko pracujący człowiek, a z drugiej strony ten... *osobnik*, który się na pana wziął. Jaki ma problem?

Chcę powiedzieć, że na pewno nie autyzm, ale się powstrzymuję. Nie sądzę, żeby jakakolwiek autystyczna osoba mogła być wandalą, lecz nie znam wszystkich i mogę się mylić.

- Po prostu chcę, żeby pan wiedział, że traktujemy to zagrożenie poważnie - mówi. - Nawet jeśli początkowo nie działaliśmy zbyt gorliwie. Proszę więc także traktować tak tę sprawę. Te działania są bezwzględnie wymierzone w pana. Zna pan powiedzenie o wrogim działaniu?

- Nie - odpowiadam.

- Raz to przypadek, dwa razy - zbieg okoliczności, ale trzy - to wrogie działanie. Jeśli więc coś, co jedynie mogło być w pana wymierzone, dzieje się trzy razy, to pora założyć, że ktoś wziął pana na

celownik.

Zastanawiam się nad tym przez chwilę.

- Ale... jeśli to jest wrogie działanie, to za pierwszym razem także było to wrogie działanie, nieprawdaż? A nie jakiś przypadek?

Wygląda na zaskoczonego: uniesione brwi i półotwarte usta.

- Prawdę mówiąc... tak... ma pan rację, ale sęk w tym, że nie wie pan tego o pierwszym przypadku, dopóki nie wydarzą się następne. Dopiero wtedy może pan zaliczyć wszystkie do tej samej kategorii.

- Jeśli dojdzie do trzech prawdziwych przypadków, możemy uznać je za wrogie działanie i się pomylić - mówię.

Patrzy na mnie, kręcąc głową.

- Jak wiele istnieje możliwości pomyłki i jak niewiele, że ma się rację?

Przez moją głowę natychmiast przebiegają kalkulacje, tworząc wzór dywanu z kolorów przypadku (pomarańczowego), zbiegu okoliczności (zielonego) i wrogiego działania (czerwonego). Trzy zdarzenia, z których każde może mieć przyporządkowaną jedną z trzech wartości, trzy teorie prawdy, z których każda jest albo prawdą, albo fałszem w zależności od wartości przypisanej każdemu działaniu. Trzeba także założyć istnienie pewnego filtra, odrzucającego zdarzenia, których nie można powiązać z działaniem ewentualnego wroga jednostki, której dotyczą brane pod uwagę zdarzenia.

Tego typu problemy rozwiązuję co dzień, tyle że o wiele bardziej złożone.

- Istnieje dwadzieścia siedem możliwości - mówię. – Tylko jedna jest prawdziwa, jeśli zdefiniujemy prawdziwość jako sumę trzech prawdziwych elementów, to znaczy, że pierwsze zdarzenie naprawdę było przypadkiem, drugie było naprawdę zbiegiem okoliczności, a trzecie naprawdę było wrogim działaniem. Tylko jedna - ale odmienna - jest prawdziwa, jeżeli prawdziwość zdefiniujemy jako sumę trzech wrogich działań. Jeśli zdefiniujemy prawdziwość w ten sposób, że we wszystkich przypadkach trzecie zdarzenie było wrogim działaniem niezależnie od zaszeregowania pierwszych dwóch zdarzeń, to musimy przyjąć możliwość wrogiego działania w dziewięciu przypadkach.

Jeśli jednak pierwsze dwa zdarzenia nie były wrogim działaniem, a trzecie tak, to dobór korelatywnych zdarzeń staje się jeszcze bardziej istotny.

Wpatruje się we mnie z otwartymi ustami.

- Pan... to przeliczył? W głowie?

- To nietrudne - wyjaśniam. - Prosta permutacja, której uczą w liceum.

- Czyli istnieje tylko jedna szansa na dwadzieścia siedem, że to prawda? - pyta. - To bez sensu.

Nikt nie ukułby tego starego powiedzenia o szansach na ileś tam, gdyby nie było prawdziwsze... Więc co? Mamy około czterech procent? Coś tu nie gra.

Braki w jego wiedzy matematycznej i logicznym myśleniu są boleśnie oczywiste.

- W rzeczywistości prawda uzależniona jest od celu, jaki panu przyświeca - tłumaczę. - Jest tylko jedna szansa na dwadzieścia siedem, że wszystkie części twierdzenia są prawdziwe: że pierwsze zdarzenie to przypadek, drugie - zbieg okoliczności, a trzecie to wrogie działanie. Daje to 3,7 procent, przy wskaźniku błędu 96,3 procent dla prawdziwości całego twierdzenia. Istnieje jednak dziewięć przypadków - jedna trzecia całości - w których *ostatnie* zdarzenie jest wrogim działaniem,

co mniejsza wskaźnik błędu odnośnie ostatniego zdarzenia do 67 procent. Mamy także dziewiętnaście przypadków, w których wrogie działanie może wystąpić jako pierwsze, drugie bądź trzecie zdarzenie, albo ich kombinacja. Dziewiętnaście z dwudziestu siedmiu to 70,37 procent: takie jest prawdopodobieństwo, że wrogie działanie nastąpiło przynajmniej w jednym z trzech przypadków. Pańskie założenie o wrogim działaniu może być nadal mylne w 29,63 procentach, ale jest to mniej niż jedna trzecia przypadków. Z czego wynika, że jeśli należy wzmocnić czujność w związku z zaistnieniem wrogiego działania - jeżeli dla pana ważniejsze jest wykrycie wrogiego działania niż uniknięcie mylnego podejrzenia - to lepiej będzie założyć, że wrogie działanie nastąpiło, gdy zaobserwuje pan trzy logicznie powiązane zdarzenia.

- Dobry Boże - mówi. - Pan nie żartuje. - Potrząsa gwałtownie głową. - Przepraszam. Nie miałem... Nie wiedziałem, że jest pan geniuszem matematycznym.

- Nie jestem geniuszem matematycznym - zaprzeczam. Chcę powtórzyć, że to bardzo proste obliczenia, w zasięgu możliwości dzieci z podstawówki, mogłoby to jednak być niewłaściwe. Jeśli nie potrafi ich wykonać, mógłbym sprawić mu przykrość.

- Ale... zgodnie z tym, co pan mówi... to powiedzenie o szansach oznacza, że i tak mogę się mylić wielokrotnie.

- Z matematycznego punktu widzenia powiedzenie to oznacza, że nie może się pan mylić częściej. To tylko powiedzenie, a nie matematyczna formuła, a w matematyce sprawdzają się tylko formuły. W rzeczywistości wszystko zależeć będzie od wybranych przez pana zdarzeń. - Zastanawiam się, jak to wytłumaczyć. - Przypuśćmy, że jadąc pociągiem do pracy, brudzę sobie rękę o świeżo pomalowaną część wagonu. Nie zauważyłem tabliczki „Świeżo malowane” albo ktoś ją przypadkiem przewrócił. Jeśli powiążę to zdarzenie z upuszczeniem jajka na podłogę i potknięciem się na nierównym chodniku, mógłbym nazwać to wrogim działaniem...

- Podczas gdy jest to kwestia pańskiej nieuwagi. Rozumiem. Proszę mi powiedzieć, czy procentowy wskaźnik błędu spada, gdy ilość powiązanych ze sobą zdarzeń rośnie?

- Oczywiście, o ile wybierze pan odpowiednie zdarzenia. Znowu kręci głową.

- Wróćmy wobec tego do pana i upewnijmy się, że wybraliśmy właściwe przypadki. Ktoś pociął panu opony we środę w nocy, dwa tygodnie temu. W następną środę wieczorem udał się pan do przyjaciela na... trening szermierki? To jest walka na szpady?

- To nie są prawdziwe szpady - mówię- tylko zwyczajna broń sportowa.

- OK. Trzyma je pan w samochodzie?

- Nie - odpowiadam. - Przechowuję sprzęt w domu Toma. Kilka osób tak robi.

- Czyli motywem nie mogła być chęć dokonania kradzieży. W następnym tygodniu, gdy był pan na treningu, wybito panu przednią szybę w samochodzie. Znowu mamy atak na pana wóz, zaś miejsce jego postoju dobitnie świadczy o tym, że napastnik wiedział, dokąd jeździ pan w środy. A trzeci atak nastąpił we środę w nocy, między pańskim powrotem do domu z zajęć, a porannym udaniem się do pracy. Sugeruje to, że ataki powiązane są z pańską grupą szermierczą.

- Chyba że robi to ktoś, kto dysponuje wolnym czasem jedynie we środę w nocy - podsuwam.

Przygląda mi się przez dłuższą chwilę.

- Wygląda mi na to, że nie chce pan przyjąć do wiadomości, że ktoś z pańskiej grupy szermierczej albo ktoś, kto do niej należał, żywi do pana szczególną niechęć.

Ma rację. Nie chcę dopuścić do siebie myśli, że nie lubią mnie ludzie, z którymi spotykam się

co tydzień od tyłu lat. Że choćby jeden z nich mnie nie lubi. Czuję się tam bezpiecznie. Są moimi przyjaciółmi. Widzę wzór, który wskazuje mi policjant - jest oczywisty, proste powiązanie czasowe, na które sam już wpadłem - ale to niemożliwe. Przyjaciele to ludzie, którzy życzą ci dobrze, a nie źle.

- Ja nie... - Moje gardło się zamyka. Czuję w głowie ciśnienie, które oznacza, że przez jakiś czas nie będę mógł się swobodnie wysławiać. - Nie jest... dobrze... mówić... czego... nie jest... się pewnym. - Żałuję, że w ogóle wspomniałem coś o Donie. Źle się z tym czuję.

- Nie chce pan wysuwać fałszywych oskarżeń - mówi. Przytakuję w milczeniu.

Wzdycha.

- Panie Arrendale, każdego ktoś nie lubi. Wcale nie musi być pan zły, żeby ludzie pana nie lubili. A to, że podejmuje pan pewne kroki, uniemożliwiające innym krzywdzenie pana, nie sprawia, że staje się pan złym człowiekiem. Nawet jeśli w pańskiej grupie ktoś żywi do pana niechęć, słusznie czy nie, to nadal nie musi być to osoba, która to zrobiła. Wiem o tym. Nie zamierzam nikogo poddawać resocjalizacji tylko dlatego, że pana nie lubi. Nie chcę jednak dopuścić do tego, żeby pan zginął, ponieważ nie potraktowaliśmy takiej możliwości poważnie.

Wciąż nie mogę sobie wyobrazić, żeby ktoś - Don - usiłował mnie zabić. Nie wyrządziłem nikomu żadnej krzywdy. Ludzie nie zabijają z błahych przyczyn.

- Chodzi mi o to - ciągnie pan Stacy - że ludzie zabijają z najróżniejszych głupich przyczyn. Błahych przyczyn.

- Nie - mruczę pod nosem. Normalni ludzie mają powody, żeby coś robić; ważne powody, żeby robić ważne rzeczy, i nieważne powody, żeby robić nieważne rzeczy.

- Tak - przekonuje. Wierzy w to, co mówi. - Nie każdy, ma się rozumieć. Lecz moim zdaniem ten, kto podłożył panu do auta tę głupią zabawkę z materiałem wybuchowym, nie jest normalną, zdrową na umyśle osobą. Z racji swojej profesji znam ludzi, którzy zabijają. Ojców ciskających dziećmi o ścianę, bo wzięły bez pozwolenia kromkę chleba. Żony i mężów chwytających za broń w środku sprzeczki o to, kto i co zapomniał kupić w sklepie spożywczym. Nie uważam pana za kogoś, kto bezmyślnie rzuca na innych niesłuszne podejrzenia. Proszę nam zaufać, zbadamy pieczołowicie wszystko, co nam pan powie. Niech pan da nam coś, nad czym będziemy mogli popracować. Osoba, która pana prześladowa, może także niepokoić innych.

Nie chcę mówić; moje gardło jest tak ściśnięte, że aż boli. Jeśli jednak miałyby to przydarzyć się również komuś innemu...

Gdy się zastanawiam, on dodaje:

- Proszę opowiedzieć mi więcej o tej grupie szermierczej. Kiedy zaczął pan trenować?

Na to mogę odpowiedzieć. Pyta mnie, jak wygląda trening, o której przychodzą pozostali, co robią i o której wychodzą.

Opisuję dom, podwórko, przechowalnię sprzętu.

- Moje rzeczy zawsze znajdują się na tym samym miejscu - mówię.

- Ile osób przechowuje sprzęt u Toma, zamiast wozić go tam i z powrotem?

- Poza mną? Dwie - odpowiadam. - Inni również, jeśli wybierają się na turniej. Lecz nas trzech robi tak zawsze. Pozostali to Sheraton i Don. - Proszę. Wymówiłem imię Dona bez zajknięcia.

- Dlaczego? - pyta cicho.

- Sheraton bardzo często wyjeżdża służbowo - odpowiadam. - Nie może przychodzić regularnie

co tydzień, a raz stracił komplet broni, bo włamano mu się do mieszkania, kiedy wyjechał za granicę w interesach. Don... - Gardło znowu mi się zaciska, lecz
brnę dalej. - Don zawsze zapominał sprzętu i pożyczał od innych. W końcu Tom kazał mu zostawiać sprzęt u siebie, żeby już więcej nie zapominał.

- Don. Ten sam, o którym opowiadał mi pan przez telefon?

- Tak - mówię. Mam napięte mięśnie, wszystkie bez wyjątku. Jest mi trudniej, kiedy policjant siedzi w moim pokoju i na mnie patrzy.

- Czy był w grupie, kiedy pan się przyłączył?

- Tak.

- Kim są pańscy przyjaciele w grupie?

Myślałem, że wszyscy są moimi przyjaciółmi. Emmy powiedziała, że to niemożliwe, aby byli moimi przyjaciółmi - są normalni, a ja nie. Ale i tak uważałem, że nimi są.

- Tom - mówię. - Lucia. Brian. M... Marjory...

- Lucia jest żoną Toma, tak? A kim jest ta Marjory? Czuję, że czerwienieje mi twarz.

- To... to osoba... która jest moim przyjacielem.

- Przyjaciółką? Kochanką?

Słowa wylatują mi z głowy szybciej od światła. Mogę jedynie kręcić nią w milczeniu.

- Chciałby pan, żeby była pańską dziewczyną?

Jestem cały sztywny. Czy chcę? Oczywiście, że chcę. Czy ośmielam się mieć nadzieję? Nie. Nie mogę ani pokręcić głową, ani przytaknąć, nie mogę wykrztusić słowa. Nie chcę widzieć miny pana Stacy'ego. Nie chcę wiedzieć, co myśli. Chcę uciec w jakieś spokojne miejsce, gdzie nikt mnie nie zna ani nie zadaje żadnych pytań.

- Pozwoli pan, że coś zasugeruję, panie Arrendale - mówi pan Stacy. Jego głos brzmi jak *staccato*, pocięty na ostre kawałeczki, które ranią moje uszy, moją zdolność rozumienia. - Załóżmy, że naprawdę lubi pan tę kobietę, tę Marjory...

„Tę Marjory”... Jakby była jakimś okazem, a nie człowiekiem. Na samo wspomnienie jej twarzy, włosów, głosu zalewa mnie fala ciepła.

- I jest pan dosyć nieśmiały, co jest absolutnie normalne u mężczyzny, który, jak przypuszczam, nie ma w tych sprawach zbytniego doświadczenia. Może pana lubi, a może tylko podoba się jej, że jest adorowana z daleka. A ktoś inny, może Don, może nie, jest wkurzony, ponieważ wygląda na to, że ona pana lubi. Może ona się jemu podoba. Może on po prostu pana nie lubi. Nieważne. Widzi pomiędzy wami coś, co nie przypada mu do gustu. Zazdrość jest bardzo częstą przyczyną gwałtownych zachowań.

- Ja... nie... chcę... żeby... to był... on - wyrzucam z trudem.

- Lubi go pan?

- Ja... znam... myślę... myślałem... że znam... że go znałem... - Wir chorobliwej czerni maści ciepłe uczucie, wywołane wspomnieniem Marjory. Pamiętam, jak Don żartował, śmiał się, uśmiechał.

- Zdrada to nie zabawa - mówi pan Stacy, niczym ksiądz recytujący dziesięcioro przykazań. Wyciąga komputer kieszonkowy i wprowadza polecenia.

Wyczuwam wokół Dona jakiś mrok, który przypomina potężną chmurę burzową, nadciągającą

nad słoneczną okolicę. Chcę ją przegnać, ale nie wiem jak.

- Kiedy wychodzi pan z pracy? - pyta pan Stacy.

- Zwykle kończę o siedemnastej trzydzieści - odpowiadam. - Ale dzisiaj straciłem sporo czasu w związku z tym, co stało się z moim autem. Muszę to odpracować.

Unosi brwi.

- Musi pan odrobić czas stracony na rozmowę ze mną?

- Oczywiście - mówię.

- Pański szef nie wygląda na kogoś, kto się czepia - wyznaje pan Stacy.

- To nie pan Aldrin - odpowiadam. - I tak odrobiłbym ten czas, ale to pan Crenshaw się złości, kiedy ma wrażenie, że nie pracujemy wystarczająco ciężko.

- Ach, rozumiem - mówi. Twarz mu czerwienieje i zaczyna się błyszczyć. - Podejrzewam, że chyba bym nie polubił tego Crenshawa.

- Ja nie lubię pana Crenshawa - przyznaję. - Ale i tak muszę się starać. Nadrobiłbym ten czas nawet wtedy, gdyby się nie gniewał.

- Jestem o tym przekonany - zapewnia. - Jak pan myśli, o której pan dzisiaj skończy, panie Arrendale?

Patrzę na zegarek i obliczam, ile jeszcze czasu będę musiał tu spędzić.

- Jeśli natychmiast wrócę do pracy, mogę wyjść o osiemnastej pięćdziesiąt trzy - odpowiadam. - Pociąg odchodzi ze stacji przy kampusie o dziewiętnastej cztery. Zdam na niego, jeśli się pospieszę.

- Nie będzie pan jeździł pociągiem - oznajmia. - Zapewnimy panu transport. Nie słyszał pan, jak mówiłem, że obawiamy się o pańskie bezpieczeństwo? Czy może pan zatrzymać się u kogoś na parę dni? Będzie lepiej, jeśli nie wróci pan do domu. Kręcę głową.

- Nikogo nie znam - mówię. Nie nocowałem w niczyim domu, odkąd opuściłem własny; zawsze mieszkałem u siebie lub w pokoju hotelowym. Nie chcę teraz jechać do hotelu.

- Jesteśmy w trakcie poszukiwań tego Dona, choć niełatwo go znaleźć. Jego pracodawca twierdzi, że nie pojawia się w pracy od kilku dni, a w mieszkaniu go nie ma. Zakładam, że tutaj nic panu nie grozi, proszę jednak powiadomić nas przed wyjściem, OK?

Kiwam głową. To łatwiejsze niż spieranie się. Mam wrażenie, że to jakiś film lub przedstawienie, że nic nie dzieje się naprawdę. Nikt nigdy nie opowiadał mi o czymś takim.

Drzwi otwierają się gwałtownie; podskakuję wystraszony. To pan Crenshaw. Jest wściekły.

- Lou! Co ja słyszę? Masz problemy z policją? - Rozgląda się po pokoju i sztywnieje na widok pana Stacy'ego.

- Jestem porucznik Stacy - mówi policjant. - Pan Arrendale nie ma problemów z policją. Prowadzę śledztwo w sprawie, w której jest poszkodowany. Mówił panu o pociętych oponach, prawda?

- Tak... - Pan Crenshaw to blednie, to czerwienieje. - Mówił mi. Ale czy to jest powód, żeby przysłać tu funkcjonariusza?

- Nie, nie jest - odpowiada pan Stacy. - Są nim dwa następne zdarzenia, z czego jedno to podłożenie ładunku wybuchowego w samochodzie pana Arrendale'a.

- Ładunek wybuchowy? - Pan Crenshaw znowu blednie. - Ktoś próbuje skrzywdzić Lou?

- Tak uważamy - mówi pan Stacy. - Obawiamy się o bezpieczeństwo pana Arrendale'a.

- Jak myślicie, kto to jest? - pyta pan Crenshaw. Po czym podejmuje dalej, nie czekając na odpowiedź: - Arrendale pracuje nad bardzo ważnymi dla nas projektami. Może to próba sabotażu ze strony konkurencji...

- Nie sędzę - mówi pan Stacy. - Mamy powody przypuszczać, że nie ma to nic wspólnego z jego pracą. Jestem jednak pewny, że leży panu na sercu bezpieczeństwo tak cennego pracownika... Czy wasza firma dysponuje jakimiś pokojami gościnnymi lub podobnymi pomieszczeniami, gdzie pan Arrendale mógłby pozostać przez kilka dni?

- Nie... Naprawdę uważa pan, że to takie poważne? Powieki policjanta opadają nieznacznie.

- Pan Crenshaw, jak przypuszczam? Tak mi się zdawało, że rozpoznaję pana z opisu pana Arrendale'a. Czy uznałby pan za poważne zagrożenie, gdyby ktoś wyjął panu akumulator z samochodu i podłożył w jego miejsce urządzenie, które miało eksplodować w chwili, gdy uniósłby pan maskę?

- Mój Boże - mówi pan Crenshaw. Wiem, że to nie pana Stacy'ego nazywa bogiem. Tak wyraża swe zaskoczenie. Patrzy na mnie i jego twarz staje się groźna. - W coś ty się wpakował, Lou, że ktoś próbuje cię zabić? Znasz politykę firmy. Jeśli dowiem się, że zadawałeś się z jakimiś kryminalistami...

- Strzela pan na oślep, panie Crenshaw - przerywa mu pan Stacy. - Nie ma dowodów na to, że pan Arrendale zrobił coś złego. Podejrzewamy, że napastnikiem może być ktoś zazdrosny o dokonania pana Arrendale'a... kto wolałby, żeby pan Arrendale był mniej zdolny.

- Zazdrosny o jego przywileje? - pyta pan Crenshaw. - To miałoby sens. Zawsze mówiłem, że specjalne traktowanie takich ludzi spowoduje odwet ze strony tych, którzy ponoszą tego skutki. Mamy pracowników, którzy nie widzą powodów, by ta właśnie sekcja dysponowała wydzielonym parkingiem, salą gimnastyczną, systemem nagłaśniającym i aneksem kuchennym.

Patrzę na pana Stacy'ego, któremu właśnie tężeje twarz. Rozzłościło go coś, co powiedział pan Crenshaw, tylko co? Zaczyna cedzić słowa w wystudiowany sposób, co ma oznaczać dezaprobatę.

- Ach, tak... Pan Arrendale wspomniał, że nie akceptuje pan środków wspomagających, które umożliwiają niepełnosprawnym wykonywanie pracy - mówi.

- Tak bym tego nie ujął - odpowiada pan Crenshaw. - To zależy, czy są naprawdę niezbędne, czy nie. Podjazdy dla wózków inwalidzkich i tego typu rzeczy... Leczą niektóre tak zwane środki wspomagające to nic innego jak zwykła ekstrawagancja...

- A pan jest takim ekspertem, że doskonale odróżnia jedno od drugich? - pyta pan Stacy.

Pan Crenshaw ponownie czerwienieje. Patrzę na pana Stacy'ego. Wcale nie wygląda na przestraszonego.

- Znam się na bilansie - wyznaje pan Crenshaw. - Nie ma prawa, które mogłoby nas zmusić do bankructwa, byle tylko rozpieszczą parę osób, przekonanych, że potrzebują dupereli jak.. Jak to... - wskazuje na spirale, które obracają się nad moim biurkiem.

- Jedna kosztuje dolara trzydzieści osiem centów - ucina pan Stacy. - Chyba że kupił je pan od dostawcy sprzętu wojskowego.

To jakaś bzdura. Dostawcy sprzętu wojskowego nie sprzedają wirujących spiral. Sprzedają pociski, miny i samoloty. Pan Crenshaw mówi coś, czego nie dosłyszałem, podczas gdy staram się dociec, czemu pan Stacy, który sprawia wrażenie całkiem kompetentnego, może z wyjątkiem

permutacji, sugerował kupowanie wirujących spiral od dostawcy wojskowego. To po prostu głupie. Może to jakiś żart?

- ... i właśnie w tym sęk - mówi pan Stacy, kiedy znów zaczynam przysłuchiwać się rozmowie. - Na przykład ta sala gimnastyczna. Jest już urządzona, prawda? Jej utrzymanie kosztuje pewnie grosze. Zakłada pan pozbycie się całej sekcji, szesnastu, może dwudziestu osób, i zamianę tej sali na... Nie potrafię wymyślić innego zastosowania dla przestrzeni zajmowanej nawet przez dużą siłownię, które przyniosłoby panu tyle samo pieniędzy, co obciążenie pracodawcy kosztami bezrobocia tak wielu ludzi. Nie wspominając już o utracie certyfikatu firmy zatrudniającej niepełnosprawnych, dzięki któremu, jestem tego pewien, cieszyacie się ulgą podatkową.

- Co pan o tym wie? - pyta pan Crenshaw.

- W naszej komendzie również pracują niepełnosprawni - odpowiada pan Stacy. - Niektórzy zostali kalekami na służbie, innych zatrudniono, kiedy już nimi byli. Kilka lat temu też mieliśmy do czynienia z narwanym facetem, radnym, który chciał ciąć koszty pozbywając się „naciągaczy”, jak ich nazywał. Spędziłem wiele nadgodzin nad statystykami, by udowodnić, ile pieniędzy stracimy, jeśli zwolnimy tych ludzi.

- Utrzymujecie się z podatków - mówi pan Crenshaw. Widzę, jak na jego czerwonym, błyszczącym czole pulsuje naczynko krwionośne. - Nie musicie się martwić o zysk. To my musimy zarabiać pieniądze, żeby opłacać wasze cholerne pensje.

- Co spędza panu sen z powiek, jak przypuszczam - rzuca pan Stacy. U niego również widać bijący puls. - A teraz, jeśli pan pozwoli, muszę porozmawiać z panem Arrendale'em...

- Lou, odpracujesz ten zmarnowany czas - oznajmia mi pan Crenshaw i wychodzi, trzaskając drzwiami.

Patrzę na pana Stacy'ego, a on potrząsa głową.

- Naprawdę niezły okaz. Miałem kiedyś takiego sierżanta, kiedy sam byłem jeszcze zwykłym posterunkowym, ale na szczęście przenieśli go do Chicago. Może powinien rozejrzeć się pan za inną pracą, panie Arrendale. Ten gość ewidentnie zamierza się was pozbyć.

- Nie rozumiem tego - wyznaję. - Pracuję... wszyscy pracujemy... bardzo ciężko. Czemu chce się nas pozbyć? Albo zmienić w kogoś innego... - Zastanawiam się, czy powinienem powiedzieć panu Stacy'emu o eksperymentalnym leczeniu.

- To żądny władzy sukinsyn - odpowiada pan Stacy. - Tacy jak on zawsze chcą wypaść dobrze na tle kogoś, kto ma wypaść źle. Siedzi pan cichutko za biurkiem i dobrze wykonuje swoją pracę. I wygląda pan na kogoś, kogo można bezpiecznie kopać w tyłek. Na nieszczęście dla niego przydarzyły się panu te przykre historie z samochodem.

- To dla mnie żadne szczęście - mówię. - To jeszcze gorzej.

- Pewnie tak - zgadza się pan Stacy. - Ale nie do końca. Bo dzięki temu pan Crenshaw będzie miał do czynienia ze mną i szybko się przekona, że na arogancji daleko z policją nie zajędzie.

Nie jestem pewny, czy w to wierzyć. Pan Crenshaw nie jest po prostu panem Crenshawem; jest również firmą, a firma ma duży wpływ na politykę miasta.

- Coś panu powiem - dodaje pan Stacy. - Wrócimy teraz szybko do tych zdarzeń, żeby mieć to już z głowy i żeby nie musiał pan zostawać tu do późna. Miał pan jeszcze jakieś inne zajścia z Donem, choćby nie wiem jak banalne, które mogłyby świadczyć, że żywił do pana urazę?

Dla mnie to głupie, ale opowiadam mu o tym, jak Don stawał pomiędzy mną a Marjory na treningu i jak Marjory nazywała go prawdziwą kosą, choć przecież dosłownie nie mógł być kosą.

- To, co od pana słyszę, układa się w pewien wzór. Pańscy pozostali przyjaciele chronią pana przed Donem, gdyż nie podoba im się sposób, w jaki pana traktuje, zgadza się?

Nie podchodziłem do tego w ten sposób. Kiedy mówi to na głos, dostrzegam wzór równie czytelnie jak na ekranie swojego komputera lub podczas szermierczego pojedynku i zastanawiam się, dlaczego nie zauważyłem tego wcześniej.

- Byłby nieszczęśliwy - mówię. - Zobaczyłby, że jestem traktowany inaczej niż on i... - przerywam, uderzony innym wzorem, którego wcześniej nie dostrzegałem. - To zupełnie jak z panem Crenshawem - dodaję. Podnosi mi się głos; słyszę w nim napięcie, ale to jest zbyt ekscytujące. - Nie podoba mu się to z tych samych przyczyn. - Znowu milknę, chcąc to przemyśleć. Sięgam ręką do wentylatora i włączam go; wirujące spirale pomagają mi myśleć, kiedy jestem zbyt poruszony. - To wzór ludzi, którzy tak naprawdę nie wierzą, że potrzebujemy środków wsparcia, i mają o nie pretensje. Gdybym... gdybyśmy... mieli gorzej, lepiej by nas rozumieli. To zestawienie powodzenia i środków wspomagających tak ich denerwuje. Jestem zbyt normalny...

Spoglądam na pana Stacy'ego; uśmiecha się i przytakuje.

- To głupie - dodaję. - Nie jestem normalny. Nie teraz. Ani nigdy wcześniej.

- Może tak się panu wydawać - mówi. - A kiedy robi pan coś takiego, jak tamta analiza przypadku i wrogiego działania, z pewnością wybiega pan ponad przeciętność... Zwykle jednak wygląda pan i działa normalnie. Wie pan, sam myślałem... tłumaczono nam to na obowiązkowych zajęciach z psychologii... że autystyczni są małomówni, sztywni, skryci. - Uśmiecha się. Nie wiem, co oznacza ten uśmiech, skoro powiedział na nasz temat tyle złych rzeczy. - I oto przekonuję się, że prowadzi pan samochód, ma pracę, zakochuje się, bierze udział w turniejach szermierki...

- Jak dotąd, tylko w jednym - prostuję.

- W porządku, jak dotąd. Ale znam mnóstwo ludzi, panie Arrendale, którzy radzą sobie znacznie gorzej od pana albo znajdują się na takim samym poziomie. Bez wspomagania. Teraz rozumiem, po co potrzebne są środki wspomagające i na czym polega ich opłacalność. To tak samo, jak ze wsuwaniem małego klina pod zbyt krótką nogę stołu. Dlaczego niby nie mieć solidnego, opierającego się na czterech nogach mebla? Po co znosić chybota, niepewną powierzchnię, skoro taka mała rzecz sprawia, że

cały układ jest stabilny? Lecz ludzie to nie meble, a gdy inni widzą w takim klinie zagrożenie dla siebie... Na pewno im się to nie podoba.

- Nie rozumiem, jakie zagrożenie mógłbym stanowić dla Dona albo pana Crenshawa - mówię.

- Pan osobiście? Żadne. Pańskie środki wspomagające także nie, dla nikogo. Lecz pewnym ludziom myślenie nie wychodzi za dobrze i najłatwiej jest im obarczać innych winą za wszystko, co im w życiu poszło nie tak. Don uważa zapewne, że gdyby nie cieszył się pan taryfą ulgową, to jemu poszczęściłoby się lepiej z tamtą kobietą.

Wolałbym, żeby posługiwał się jej imieniem: Marjory. „Tamtą kobietą” brzmi tak, jakby Marjory zrobiła coś złego.

- Prawdopodobnie i tak by go nie lubiła, ale on nie chce się z tym pogodzić. Woli obwinić za to sama. Oczywiście, o ile to on za tym wszystkim stoi. - Pan Stacy spuszcza wzrok na swój podręczny komputer. - Z posiadanych przez nas informacji wynika, że miał się szeregu nisko płatnych zajęć, czasami sam je porzucał, czasami go zwalniano... Ma niską wiarygodność kredytową... Może

uważać siebie za przegranego i szukać winnych tego stanu rzeczy.

Nigdy nie myślałem, że normalni ludzie potrzebują usprawiedliwień dla swych porażek. Nigdy nie sądziłem, że w ogóle doznają porażek.

- Przyślemy kogoś, żeby pana zabrał, panie Arrendale - dodaje policjant. - Proszę zadzwonić pod ten numer, kiedy będzie pan gotowy do wyjścia z pracy. - Wręcza mi wizytówkę. - Nie zamierzamy stawiać tutaj funkcjonariusza, ochrona w tej firmie jest wystarczająco dobra, proszę mi jednak wierzyć, że powinien pan zachowywać ostrożność.

Po jego odejściu trudno mi wrócić do pracy, koncentruję się jednak na moim projekcie i coś osiągam, zanim nadchodzi pora, by wyjść i zadzwonić pod wskazany numer.

* * *

Pete Aldrin odetchnął głęboko, kiedy Crenshaw opuścił jego gabinet, wściekły na „zawziętego glinę”, który przyjechał przesłuchać Lou Arrendale’a, i podniósł słuchawkę telefonu, by zadzwonić do kadr.

- Bart... - To właśnie imię Paul zasugerował - młodego i niedoświadczonego pracownika, który z pewnością uda się do kogoś po radę i wskazówki. - Bart, muszę zorganizować trochę wolnego dla mojej Sekcji A. Wezmą udział w projekcie badawczym.

- Czyim? - zapytał Bart.

- Naszym. To pierwsze próby na ludziach nowego produktu przeznaczonego dla dorosłych autystycznych. Pan Crenshaw nadaje temu priorytetowe znaczenie, byłbym więc wdzięczny za szybkie załatwienie bezterminowych urlopów... Tak chyba będzie najlepiej. Nie wiemy, jak długo to potrwa...

- Dla wszystkich? Jednocześnie?

- Mają zaliczyć cały projekt, choć nie jestem tego jeszcze do końca pewny. Dam znać, jak tylko zostaną podpisane odpowiednie formularze. Założę się jednak, że potrwa to co najmniej trzydzieści dni...

- Nie rozumiem, jak...

- Podam ci kod autoryzacji. Jeśli potrzebujesz podpisu pana Crenshawa...

- Nie chodzi tylko o...

- Dziękuję - rzucił Aldrin i odłożył słuchawkę. Wyobraził sobie, jak zdumiony i zaniepokojony Bart biegnie do swych przełożonych z pytaniem, co ma robić. Odetchnął głęboko, po czym zadzwonił do Shirley z księgowości.

- Muszę zorganizować bezpośrednio zdeponowanie płac Sekcji A w ich bankach na czas bezterminowego urlopu...

- Mówiłam ci, Pete, że to nie tak działa. Musisz mieć upoważnienie...

- Pan Crenshaw uważa to za priorytet. Mam kod autoryzacji tego projektu i mogę dostarczyć jego podpis...

- Ale jak niby mam...

- Nie możesz po prostu założyć, że pracują w innym miejscu? Nie wymagałoby to żadnych zmian w aktualnych budżetach działów.

Słyszał, jak Shirley wciąga powietrze przez zęby.

- Pewnie bym mogła, gdybyś podał mi to nowe miejsce ich pobytu.

- Budynek 42, główny campus.

Chwila milczenia, po czym:

- Ale to jest klinika, Pete. Co ty kombinujesz? Podwójne opłacanie pracowników jako obiektów doświadczalnych?

- Nic nie kombinuję - odparł Aldrin tak obraźliwym tonem, na jaki tylko mógł się zdobyć. - Próbuję przyspieszyć projekt, na którym zależy panu Crenshawowi. Nie będzie mowy o podwójnym opłacaniu, jeśli dostaną pensję, a nie honoraria.

- Mam pewne wątpliwości - oświadczyła Shirley. - Zobaczę, co da się zrobić.

- Dzięki - mruknął Aldrin i ponownie odłożył słuchawkę. Był cały mokry, czuł ściekające po żebrach strużki potu. Shirley nie jest nowicjuszka. Doskonale wie, jak oburzająca jest ta prośba, i odpowiednio to nagłośni.

Kadry, księgowość... został mu dział badawczy - prawnicy. Przejrzał pozostawione przez Crenshawa papiery i odnalazł na protokole nazwisko szefa zespołu badawczego. Liselle Hendricks... Zauważył, że to nie lekarz, którego wysłano na spotkanie z ochotnikami - doktora Ransome'a wymieniano jako „lekarza kontaktowego, rekrutacja” na liście pomocniczego personelu technicznego.

- Doktor Hendricks - powiedział do słuchawki kilka minut później. - Jestem Pete Aldrin z analiz. Odpowiadam za Sekcję A, skąd pochodzą pani ochotnicy. Ma pani już gotowe formularze?

- O czym pan mówi? - zapytała doktor Hendricks. - Jeśli chciał pan rozmawiać w sprawie rekrutacji ochotników, proszę wybrać wewnętrzny 337. Nie mam z tym nic wspólnego.

- Jest pani szefową zespołu badawczego, prawda?

- Tak... - Aldrin był w stanie wyobrazić sobie jej zdumioną minę.

- Cóż, zastanawiam się po prostu, kiedy wreszcie przyślecie nam formularze dla ochotników.

- Czemu miałabym je wam przysyłać? - zdziwiła się doktor Hendricks. - To doktor Ransome powinien się tym zająć.

- Cóż, wszyscy pracują tutaj - odparł Aldrin. - Tak byłoby prościej.

- Wszyscy w jednej sekcji? - Hendricks była bardziej zaskoczona, niż Pete oczekiwał. - Nie wiedziałam o tym. Czy nie stworzy to wam żadnych problemów?

- Poradzę sobie - odrzekł Aldrin, siląc się na chichot. - Bądź co bądź, jestem szefem. Rzecz w tym, że jeszcze nie wszyscy się zdecydowali... choć jestem pewien, że w końcu wszyscy się zgodzą, tak czy inaczej, ale...

Głos Hendricks zabrzmiał ostrzej.

- Co ma pan na myśli, mówiąc: „tak czy inaczej”? Wywieracie na nich naciski, co? To nieetyczne...

- Och, nie przejmowałbym się tym zbytnio - odparł Aldrin. - Oczywiście, nikogo nie można zmusić do współpracy... Nie ma tu mowy, rzecz jasna, o żadnym przymusie, ale z ekonomicznego punktu widzenia patrząc, czasy są ciężkie i pan Crenshaw mówi...

- Ale... ale... - wyrzucała z siebie.

- Więc byłbym zobowiązany, gdyby jak najszybciej przesłała nam pani te formularze - dokończył Aldrin i odłożył słuchawkę. Po czym szybko wykręcił numer Bartona, z którym Crenshaw kazał mu się skontaktować.

- Kiedy będziesz miał te formularze? - zapytał. - I jak będzie wyglądał harmonogram?

Rozmawiałeś już z księgowością o pensjach? A z kadrami?

- Eeee... nie. - Barton miał zbyt młody głos, żeby być kimś ważnym, został jednak wyznaczony przez Crenshawa. - Myślałem... pan Crenshaw powiedział, że... jego sekcja... zajmie się szczegółami. Ja miałem tylko dopilnować, żeby zakwalifikowali się do projektu badawczego. Formularze... Nie jestem pewny, czy już je przygotowaliśmy...

Aldrin uśmiechnął się do siebie. Zmieszanie Bartona było nieoczekiwaną nagrodą; każdy menedżer mógłby spokojnie zlekceważyć tak niezorganizowanego durnia. Miał pretekst, by zadzwonić do Hendricks. Jeśli dopisało mu szczęście - a takie miał wrażenie - nikt się nie zorientuje, czyj numer wykręcił jako pierwszy.

Pozostawało pytanie, kiedy udać się wyżej. Wolałby to zrobić, kiedy dotrą tam plotki, nie miał jednak pojęcia, ile czasu to zajmie. Jak długo Shirley lub Hendricks będą nad tym siedziały, zanim coś zrobią? Co uczynią najpierw? Jeśli pójdą od razu na najwyższe piętro, kierownictwo dowie się o wszystkim w ciągu kilku godzin, jeśli jednak postanowią odczekać dzień czy dwa, wszystko może się przedłużyć nawet do tygodnia.

Piekło go w żołądku; wziął dwie tabletki na nadkwasotę.

W piątek policja załatwiła, że podwieziono mnie do pracy. Mój samochód został odholowany na policyjną stację diagnostyczną celem dokładnego zbadania; mówią, że oddadzą go w piątek wieczorem. Pan Crenshaw nie przychodzi do naszej sekcji. Robię istotne postępy w swoim projekcie.

Policja przysłała radiowóz, żeby zabrał mnie do domu, najpierw jednak podjeżdżamy do sklepu, aby kupić nowy akumulator do mojego auta, a następnie na parking, gdzie policja przetrzymuje samochody. Nie jest to zwykły posterunek, lecz jednostka zajmująca się konfiskatami. To nowe dla mnie słowo. Muszę podpisać dokumenty, że ten samochód to mój samochód oraz że przejmuję za niego odpowiedzialność. Mechanik montuje w nim akumulator, który właśnie kupiłem. Jeden z policjantów proponuje, że pojedzie ze mną do domu, nie uważam jednak, bym potrzebował pomocy. Mówi, że umieścili moje mieszkanie na liście obiektów pod obserwacją.

W samochodzie jest brudno; wszystkie powierzchnie pokrywa jasny proszek. Chcę go wysprzątać, najpierw jednak muszę pojechać do domu. Trasa jest dłuższa niż zwykle, ale nie gubię się. Parkuję samochód koło wozu Danny'ego i wchodzę na górę, do swojego mieszkania.

W trosce o własne bezpieczeństwo nie powinienem go opuszczać, ale jest piątkowy wieczór i muszę zrobić pranie. Pralnia znajduje się wewnątrz budynku. Myślę, że panu Stacy'emu chodziło o to, że mam nie opuszczać budynku. W środku jest bezpiecznie, ponieważ mieszka tutaj Danny, a on jest policjantem. Nie opuszczę budynku, ale zrobię pranie.

Wkładam ciemne rzeczy do ciemnego kosza, jasne do jasnego, na wierzchu stawiam detergent, a przed wyjściem wyglądam ostrożnie przez wizjer. Nikogo, rzecz jasna. Otwieram drzwi, wynoszę pranie i zamykam mieszkanie na klucz. Ważne, żeby zawsze zamykać za sobą drzwi.

Budynek jest cichy, jak zwykle w piątkowy wieczór. Idąc po schodach, słyszę włączony u kogoś telewizor. Korytarz przed pralnią wygląda dokładnie tak samo jak zazwyczaj. Nie zauważam, żeby ktoś zaglądał do środka z zewnątrz. W tym tygodniu jestem tu wcześniej i w pralni nie ma nikogo. Wkładam ciemne rzeczy do pralki po prawej stronie, a jasne do sąsiedniej. Korzystając z tego, że nikogo nie ma i nikt na mnie nie patrzy, mogę wrzucić monety do obu szczelin i uruchomić pralki jednocześnie. Aby to zrobić, muszę wyciągnąć ramiona, ale tak jest lepiej.

Zabrałem ze sobą Cego i Clintona. Siadam na plastikowym krzeselku przy składanym stoliku. Wolałbym wystawić je na korytarz, ale wisi tutaj tabliczka, który głosi drukowanymi literami, że mieszkańcom absolutnie nie wolno zabierać krzeseł z pralni. Nie podoba mi się to krzesło; ma dziwaczny, brzydki, niebieskawo-zielony odcień, jednak kiedy na nim siedzę, nie muszę na nie patrzeć. Jest niewygodne, ale lepsze to niż brak krzesła.

Zdażyłem przeczytać osiem stron, kiedy do środka wchodzi ze swoim praniem panna Kimberly. Nie podnoszę głowy. Nie mam ochoty na rozmowę. Przywitam się z nią, jeśli do mnie przemówi.

- Witaj, Lou - mówi. - Czytasz?

- Witam. - Nie odpowiadam na jej pytanie, ponieważ widzi, że czytam.

- Co to jest? - pyta, podchodząc bliżej. Zamykam książkę, zaznaczając palcem miejsce, w którym przerwałem, i pokazuję jej okładkę. - Ojej - mruczy. - Jaka gruba. nie wiedziałem, że lubisz czytać, Lou.

Nie pojmuję zasad rządzących przerywaniem Według mnie, przerywanie komuś jest zawsze niegrzeczne, lecz inni nie uważają za niegrzeczne przerywania mi w sytuacjach, gdy ja nigdy bym im nie przeszkadzał.

- Owszem, czasami - odpowiadani. Nie podnoszę głowy znad książki w nadziei, że zrozumie, iż chcę czytać dalej.

- Gniewasz się na mnie o coś? - pyta.

Jestem na nią zły, ponieważ nie daje mi spokoju i nie pozwala czytać, jest jednak osobą starszą i byłoby nieuprzejmie jej to powiedzieć.

- Zazwyczaj jesteś bardzo przyjacielski - ciągnie - ale dzisiaj przyniosłeś tutaj tę wielką książkę... Przecież tak naprawdę nie możesz jej czytać...

- Czytam ją - odpowiadam, ugodzony do żywego. - Pożyczyłem ją w środę wieczór od przyjaciółki.

- Ale... wygląda na bardzo trudną książkę - mówi. - Naprawdę ją rozumiesz?

Przypomina doktor Fornum. W gruncie rzeczy nie wierzy w moje możliwości.

- Owszem - rzucam. - Rozumiem ją. Czytam o tym, jak odpowiedzialne za przetwarzanie bodźców wzrokowych części mózgu scalają przerywane sygnały w zwarty obraz. Jak w telewizorze.

- Przerywane sygnały? - powtarza. - To znaczy wtedy, kiedy ekran migocze?

- Powiedzmy - mruczę. - Naukowcy zidentyfikowali obszary mózgu, które wygładzają migoczące obrazy.

- Cóż, nie widzę zastosowań praktycznych - oświadcza. Wyciąga pranie z kosza i zaczyna ładować je do pralki. - Jestem całkiem szczęśliwa, kiedy pozwalam swoim organom pracować i ich przy tym nie podglądam. - Odmierza detergent, wlewa go do środka, wkłada monety i nieruchomieje przed naciśnięciem guzika START. - Lou, uważam, że niezdrowo jest przejmować się nadmiernie tym, jak pracuje mózg. Wiesz, od tego można zwariować.

Nie wiedziałem o tym. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że nadmierna wiedza o tym, jak pracuje mózg, może doprowadzić mnie do szaleństwa. Nie sądzę, aby to była prawda. Panna Kimberly naciska guzik i woda wlewa się z szumem do pralki. Podchodzi do składanego stolika.

- Powszechnie wiadomo, że dzieci psychiatrów i psychologów są szalone częściej, niż wynosi przeciętna - mówi. - W dwudziestym wieku żył słynny psychiatra, który zamknął własne dziecko w pudle i trzymał je w nim, aż zwariowało.

Wiem, że to nieprawda. Nie sądzę jednak, żeby uwierzyła mi, że to nieprawda, gdybym jej to powiedział. Nie chcę niczego wyjaśniać, więc z powrotem otwieram książkę. Kobieta wydaje z siebie ostry, gwizdzący dźwięk i słyszę stukot jej oddalających się butów.

Kiedy chodziłem do szkoły, uczono nas, że mózg przypomina komputer, tyle że o wiele mniej wydajny. Prawidłowo zbudowane i zaprogramowane komputery nie popełniają błędów, a mózgi tak. Wyciągnąłem stąd wniosek, że każdy mózg - normalny, a co dopiero mój - jest gorszy od komputera.

Ta książka jasno stwierdza, że mózg jest znacznie bardziej skomplikowany od każdego komputera oraz że mój mózg pod wieloma *wzglądami* jest normalny - czyli że funkcjonuje tak samo jak mózg normalnego człowieka. Moje postrzeganie kolorów jest normalne. Ostrość wzroku jest normalna. Co nie jest normalne? Najsubtelniejsze rzeczy... jak sądzę.

Żałuję, że nie mam swojej dokumentacji medycznej z dzieciństwa. Nie wiem, czy poddali mnie wszystkim testom, opisywanym przez tę książkę. Nie wiem, na przykład, czy zbadali prędkość

transmisji neuronowej. Pamiętam, że moja matka miała harmonijkową teczkę na dokumenty, zieloną na wierzchu i niebieską w środku, wypchaną papierami. Nie przypominam sobie, żebym widział japońskiej śmierci rodziców, gdy pakowałem ich dobytek. Może mama ją wyrzuciła, kiedy dorosłem i zacząłem samodzielne życie. Znam nazwę centrum medycznego, gdzie zabrali mnie rodzice, nie jestem jednak pewny, czy tam by mi pomogli, nawet jeśli przetrzymują kartoteki dzieci, które są już dorosłe.

Książka opisuje odchylenia w zdolności wychwytywania krótkotrwałych bodźców. Sięgam pamięcią do gier komputerowych, które pomogły mi rozwinąć zmysł słuchu, a potem wymawiać spółgłoski, takie jak *t* i *d*, zwłaszcza na końcu wyrazów. Wykonywałem także ćwiczenia wzrokowe, ale byłem wtedy tak mały, że już nie pamiętam ich dokładnie.

Przyglądam się ilustracji z dwiema twarzami, sprawdzającej umiejętność odróżniania rysów ze względu na ich układ lub typ. Dla mnie są takie same; tylko dzięki podpisom dostrzegam, że obie mają te same oczy, nos i usta, lecz na jednej zostały one sztucznie od siebie oddalone. Gdyby się poruszały, jak w przypadku prawdziwego ludzkiego oblicza, nigdy bym tego nie dostrzegł. Prawdopodobnie oznacza to, że coś jest nie w porządku z konkretną częścią mojego mózgu, odpowiedzialną za rozpoznawanie twarzy.

Czy normalni ludzie naprawdę to wszystko robią? Jeśli tak, to nic dziwnego, że bez trudu rozpoznają siebie nawzajem, niezależnie od odległości i ubrania.

* * *

W sobotę nie mamy w firmie żadnego zebrania. Idę do Centrum, lecz dyżurny doradca jest chory. Rzucam okiem na zamieszczony w biuletynie numer telefonu do działu pomocy prawnej i zapamiętuję go. Nie chcę dzwonić tam sam. Nie wiem, co myślą pozostali. Po paru minutach wracam do domu i dalej czytam książkę, choć tym razem znajduję czas, by posprzątać mieszkanie i umyć samochód, nadrabiając zeszły tydzień. Postanawiam wyrzucić stary pokrowiec z owczego runa, ponieważ od czasu do czasu czuję ukłucia odłamków szkła, i kupić nowy. Nowy mocno pachnie skórą i jest bardziej miękki od starego. W niedzielę idę wczesnym rankiem do kościoła, żeby mieć jak najwięcej czasu na czytanie.

W poniedziałek wszyscy otrzymujemy notatkę informującą nas o datach i godzinach testów wstępnych. Tomografia komputerowa. Rezonans magnetyczny. Badanie internistyczne. Rozmowa z psychologiem. Test psychologiczny. Według notatki, aby pójść na te testy, możemy bezkarnie zwolnić się z pracy. Oddycham z ulgą - nie chciałbym odrabiać tych wszystkich godzin, jakie zajmą badania. Pierwsze badanie - stanu zdrowia - odbędzie się w poniedziałek po południe. Wszyscy udajemy się do kliniki. Nie lubię, kiedy dotyka mnie ktoś obcy, ale wiem, jak należy zachowywać się w klinice. Ukłucie igły do pobierania krwi wcale nie boli, nie rozumiem jednak, co moja krew i mocz mają wspólnego z funkcjonowaniem mózgu. Nikt nie próbuje mi nawet tego wyjaśnić.

We wtorek przechodzę tomografię komputerową. Technik zapewnia mnie w kółko, że nic nie będzie bolało i żebym niczego się nie bał, gdy maszyna wsuwa mnie do wąskiej komory. Nie boję się. Nie mam klaustrofobii.

Po pracy muszę zrobić zakupy spożywcze, ponieważ w poprzedni wtorek poszedłem na spotkanie grupy. Powinienem uważać na Dona, ale nie wierzę, że naprawdę zamierza wyrządzić mi krzywdę. Jest moim przyjacielem. Pewnie jest mu przykro za to, co zrobił... jeżeli to naprawdę on. Poza tym, to mój zwyczajowy dzień zakupów. Rozglądam się po parkingu, ale nikogo nie widzę. Strażnicy przy bramach campusu nie wpuszczają do środka obcych.

Przed sklepem parkuję możliwie najbliżej latarni, na wypadek gdyby się ściemniło, zanim

zrobię zakupy. Znajduję szczęśliwe miejsce: jedenaste od końca rzędu. W sklepie jest niewielu ludzi, mam więc czas, żeby odszukać wszystkie pozycje z listy. Choć nie spisałem jej, to wiem, czego potrzebuję, i nie muszę wracać się po coś, czego zapomniałem wziąć z półki. Umieściłem w wózku zbyt wiele artykułów, by skorzystać z kolejki ekspresowej, toteż wybieram najkrótszy z ogonków do zwykłych kas.

Kiedy wychodzę ze sklepu, zmierzcha się, ale nie jest jeszcze zupełnie ciemno. Powietrze jest chłodne, nawet nad chodnikiem wokół parkingu. Pcham przed siebie wózek, wsłuchując się w turkot jednego z kółek, które tylko od czasu do czasu styka się z chodnikiem. To niemal jak jazz, tylko mniej przewidywalne. Dochodzę do samochodu, otwieram drzwi i zaczynam ostrożnie wkładać do środka torby z zakupami. Cięższe rzeczy, jak detergent do prania i puszki z sokiem, stawiam na podłodze, żeby się nie przewróciły ani nie zgmiotły innych zakupów. Chleb i jajka kładę na tylnym siedzeniu.

Za moimi plecami nieoczekiwanie turkoce wózek. Obracam się i w pierwszym momencie nie rozpoznaję twarzy mężczyzny w ciemnej kurtce. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że to Don.

- To twoja wina, że Tom mnie wyrzucił - mówi. Ma ściągniętą twarz o napiętych węzłach mięśni i budzące grozę oczy. Boję się w nie patrzeć, więc skupiam wzrok na innych częściach jego oblicza. - To twoja wina, że Marjory kazała mi odejść. To jest chore, jeśli kobiety uganiają się za nienormalnymi. Pewnie masz tuziny doskonale normalnych kobiet, ujętych twoją bezradnością. - Przemawia cienkim, piskliwym głosem i domyślam się, że kogoś cytuje bądź naśladuje. - „Biedny Lou, nie może na to nic poradzić” i „Biedny Lou, on naprawdę mnie potrzebuje”. - Ponownie zaczyna mówić grubszym głosem. - Tacy jak ty nie potrzebują normalnych kobiet - oznajmia. - Dziwadła powinny parzyć się z dziwadłami, jeżeli już w ogóle muszą. Chce mi się rzygać na samą myśl, że robisz to z normalną kobietą. To obrzydliwe.

Nie mogę nic powiedzieć. Przypuszczam, że powinienem być przerażony, ale ja nie czuję strachu, tylko smutek, smutek tak wielki, że przypomina mroczny, bezkształtny ciężar. Don jest normalny. Z taką łatwością mógłby być... mógłby dokonać tylu różnych rzeczy. Czemu to odrzucił, by stać się kimś takim?

- Wszystko zapisałem - dodaje. - Nie mogę zająć się każdym takim jak ty, ale będą wiedzieli, dlaczego to zrobiłem, kiedy przeczytają list.

- To nie moja wina - mówię.

- Akurat - rzuca ironicznie.

Podchodzi bliżej. Jego pot ma dziwny zapach. Nie wiem dlaczego, domyślam się tylko, że zjadł lub napił się czegoś, co daje taką woń. Ma przekrzywiony kołnierzyk koszuli. Spuszczam wzrok. Jego buty są zakurzone, a jedna sznurówka zwisa luźno. Pastowanie butów jest ważne. To wywiera dobre wrażenie. Obecnie Don nie wywiera dobrego wrażenia, ale jakoś nikt tego nie zauważa. Kątem oka widzę innych ludzi, śpieszących do samochodów lub do sklepu i kompletnie nie zwracających na nas uwagi.

- Jesteś *dziwadłem*, Lou - syczy. - Rozumiesz, co do ciebie mówię? Jesteś dziwadłem i twoje miejsce jest w zoo.

Wiem, że słowa Dona nie mają sensu i nie są prawdziwe, jednak czuję się zraniony siłą jego niechęci. Czuję się też głupio, że nie dostrzegłem w nim tego wcześniej. Był moim przyjacielem; uśmiechał się do mnie, próbował mi pomóc. Skąd mogłem wiedzieć?

Wyciąga z kieszeni prawą rękę i widzę mierzący we mnie czarny otwór broni. Lufa błyszczą

lekko w świetle, lecz wewnątrz pozostaje ciemne. Podąża ku mnie mrok.

- Ta cała cholerna pomoc socjalna... Do diabła, gdyby nie ty i tobie podobni, reszta świata nie zsuwałaby się teraz w kolejny kryzys. Zrobiłbym karierę, zamiast babrać się w tej parszywej robocie.

Nie wiem, jaką pracę wykonuje Don. Powinienem był się dowiedzieć. Nie uważam, że to ja ponoszę winę za to, na co wydaje się pieniądze. Nie sądzę, żeby zrobił wymarzoną karierę tylko dlatego, że byłbym martwy. Pracodawcy wybierają ludzi w porządnie wyczyszczonych butach i o dobrych manierach, którzy ciężko pracują i dobrze żyją z innymi. Don jest brudny i obdarty, ordynarny i leniwy.

Porusza się gwałtownie, wyciągając w moją stronę rękę z bronią.

- Wsiadaj do samochodu - mówi, ale ja już się poruszam. Jego wzór jest prosty, łatwy do rozpoznania, a on sam nie jest tak silny ani szybki, za jakiego się uważa. Łapię go za wysuwający się naprzód nadgarstek i szarpnię w bok. Hałas nie przypomina dźwięku, jaki wydaje broń w telewizji. Jest głośniejszy i brzydszy; odbija się echem od elewacji budynku. Choć nie mam klingi, moja ręka uderza go w brzuch. Don zwija się wpół, wyrzucając z siebie cuchnące powietrze.

- Hej! - krzyczy ktoś.

- Policja! - woła ktoś inny. Słyszę krzyki. Znikąd pojawia się grupka ludzi i rzuca na Dona. Zataczam się i niemal przewracam, gdy inni na mnie skaczą. Ktoś łapie mnie za ramiona i okręca twarzą do samochodu.

- Puść go - rozlega się głos. - To ofiara. - Pan Stacy. Nie wiem, co tutaj robi. Krzywi się. - Panie Arrendale, czy nie mówiliśmy panu, żeby był pan ostrożny? Dlaczego po pracy nie pojechał pan prosto do domu? Gdyby Dan nam nie powiedział, że powinniśmy mieć na pana oko...

- Ja... myślałem... byłem ostrożny - mówię. Trudno rozmawiać w takim hałasie. - Ale potrzebowałem jedzenia; to mój dzień zakupów spożywczych. - Dopiero teraz sobie przypominam, że Don wiedział, że w ten dzień jeżdżę do sklepu i że widziałem go tutaj w któryś wtorek.

- Ma pan cholerne szczęście - komentuje policjant.

Don leży na ziemi, dwaj mężczyźni klęczą mu na plecach; wykręcili mu do tyłu ramiona, które teraz skuwają. Trwa to dłużej i wygląda gorzej niż w wiadomościach. Don wydaje z siebie dziwaczne dźwięki, przypominające łkanie. Kiedy stawiają go na nogi, okazuje się, że naprawdę płacze. Łzy spływają mu po twarzy, złościąc kanaliki w pokrywającym ją brudzie. Jest mi przykro. To musi być paskudne uczucie, płakać przed takimi ludźmi.

- Ty draniu! - woła na mój widok. - Wrobiłeś mnie.

- W nic cię nie wrobiłem - odpowiadam. Chcę wyjaśnić, że nie wiedziałem o obecności policji, która zresztą jest na mnie zła za opuszczenie mieszkania, ale już go ze sobą zabierają.

- Mówiąc o ludziach utrudniających nam pracę - odzywa się pan Stacy - nie mam na myśli osób autystycznych. Chodzi mi o tych, którzy lekceważą zwykłe środki ostrożności. - Nadal mówi gniewnym tonem.

- Potrzebowałem zakupów - powtarzam.

- Tak samo jak musiał pan zrobić pranie w piątek wieczorem?

- Tak - odpowiadam. - Ale teraz jest dzień.

- Ktoś mógł zrobić zakupy za pana...

- Nie wiem, kogo mógłbym o to poprosić - mówię. Patrzy na mnie dziwnie, po czym kręci głową.

Nie znam dudniącej mi w głowie muzyki. Nie rozumiem uczucia, które mnie przepelnia. Mam ochotę poskakać, żeby się uspokoić, lecz w okolicy nie ma takiego miejsca, gdzie mógłbym to zrobić - dokoła tylko asfalt, rzędy samochodów, w pobliżu przystanek. Nie chcę wsiąść do auta i jechać do domu.

Ludzie wciąż mnie wypytują, jak się czuję. Niektórzy mają latarki, którymi świecami w twarz. Bezustannie sugerują, że jestem „załamany” i „wystraszony”. Nie czuję się załamany. Załamany kojarzy mi się z „osamotniony”. Czulem się samotny, porzucony, kiedy umarli moi rodzice, teraz jednak tak się nie czuję. Bałem się, kiedy Don mi groził, bardziej jednak czulem smutek i gniew.

To, co czuję teraz, jest bardzo żywe i odrobinę bezładne. Nikt się nie domyśla, że mogę czuć się szczęśliwy i podekscytowany. Ktoś próbował mnie zabić i mu się nie powiodło. Żyję. Czuję się bardzo żywy, świadomy struktury ubrania na skórze, koloru światła i smaku powietrza, którym oddycham. Zwykle byłby to nadmierny napływ bodźców, lecz dziś jest inaczej: to przyjemne uczucie. Chce mi się biegać, skakać i krzyczeć, wiem jednak, że byłoby to niewłaściwie. Gdyby znajdowała się tu Marjory, chciałbym wziąć ją w ramiona i ucałować, lecz to byłoby już wielce nieodpowiednie.

Zastanawiam się, czy gdy normalni ludzie unikną śmierci, czują się załamani, smutni i zdenerwowani. Trudno wyobrazić sobie kogoś, kto w takiej sytuacji nie cieszyłby się i nie czuł ulgi, nie jestem jednak tego pewny. Może uważają, że moje reakcje powinny być inne, ponieważ jestem autystyczny; nie bardzo wiem, więc nie chcę im mówić, jak naprawdę się czuję.

- Uważam, że nie powinien pan prowadzić - mówi pan Stacy.

- Może pozwoli pan, że za kierownicą usiądzie któryś z naszych ludzi, dobrze?

- Mogę sam prowadzić - odpowiadam. - Nie jestem aż tak zdenerwowany. - Chcę być w samochodzie sam na sam ze swoją muzyką. Poza tym, nie grozi mi niebezpieczeństwo. Don nie może mnie już skrzywdzić.

- Panie Arrendale - nalega Stacy, przysuwając ku mnie głowę - może pan uważać, że nie jest pan zdenerwowany, lecz każdy, kto przeżył coś takiego, musi stracić panowanie nad sobą. Nie będzie pan tak skupiony jak zwykle. Niech pan pozwoli poprowadzić komuś innemu.

Wiem, że poradzę sobie z prowadzeniem auta, toteż potrzęsam głową. Wzrusza ramionami.

- Ktoś spotka się z panem, żeby spisać zeznania, panie Arrendale. Może ja, może ktoś inny. - Potem odchodzi. Tłum się stopniowo przersedza.

Sklepowy wózek leży na boku; torby są porozdzierane, a jedzenie porzucane po asfalcie. Wygląda to paskudnie; żołądek podchodzi mi do gardła. Nie mogę tak zostawić tego bałaganu. Nadal potrzebuję zakupów - część uległa uszkodzeniu. Nie mogę sobie przypomnieć, które są w wozie, bezpieczne, a które muszę kupić na nowo. Nie mogę znieść myśli o powrocie do gwarne go wnętrza sklepu.

Powiniennem to pozbierać. Pochylam się. Co za obrzydliwość: chleb rozdeptany na brudnym chodniku, rozlany sok, powgniatane puszki. Nie musi mi się to podobać; po prostu trzeba to zrobić. Sięgam, podnoszę i przenoszę, starając się możliwie jak najostrożniej tego dotykać. To marnowanie jedzenia, a marnowanie jedzenia jest złe, nie mogę jednak jeść brudnego chleba ani pić rozlanego soku.

- Nic panu nie jest? - pyta ktoś. Podskakuję, a ten ktoś dodaje: - Przepraszam... po prostu nie wyglądał pan najlepiej.

Radiowozy zniknęły. Nie wiem, kiedy odjechały. Zapadł zmrok. Nie wiem, jak wyjaśnić, co się tutaj stało.

- Nic mi nie jest - odpowiadam. - W odróżnieniu od zakupów.

- Może pomóc? - proponuje. To potężnie zbudowany, łysiejący mężczyzna o kręconych włosach wokół nagiej skóry na głowie. Ma na sobie szare, luźne spodnie i czarny T-shirt.

Nie wiem, czy powinienem pozwolić mu pomóc, czy też nie. Nie wiem, jakie postępowanie jest właściwie w takiej sytuacji. Nie uczyli nas tego w szkole. Zdażył już podnieść dwie wgniecione puszki, jedną z sosem pomidorowym, a drugą z pieczoną fasolą.

- Te są dobre - informuje. - Tylko trochę pogięte. - Podaje mi je.

- Dziękuję - mówię. Zawsze dobrze jest podziękować, kiedy ktoś ci coś podaje. Nie chcę powgniatanych puszek, ale to nie ma znaczenia: jeśli chcesz dostać prezent, musisz za niego podziękować.

Podnosi rozwalone pudełko, które powinno zawierać ryż, i wrzuca je do kosza na śmieci. Kiedy już wszystko, co możemy pozbiierać, ładuje w koszu lub w moim samochodzie, macha mi ręką i odchodzi. Nie wiem, jak się nazywa.

* * *

Kiedy dojeżdżam do domu, nie ma jeszcze siódmej. Nie wiem, o której zjawi się policjant. Dzwonię do Toma, żeby mu opowiedzieć, co się wydarzyło, ponieważ zna Dona, a ja nie znam innych osób, do których mógłbym zadzwonić. Mówi, że przyjedzie do mnie do domu. Nie potrzebuję jego obecności, ale on i tak chce przyjechać.

Po przybyciu sprawia wrażenie zdenerwowanego. Marszczy brwi i czoło.

- Nic ci nie jest, Lou?

- Wszystko w porządku - odpowiadam.

- Don naprawdę na ciebie napadł? - pyta dalej, nie czekając na odpowiedź. - Nie mogę uwierzyć... Powiedzieliśmy o nim temu policjantowi...

- Powiedzieliście panu Stacy'emu o Donie?

- Po tej historii z bombą. Wydawało się oczywiste, Lou, że to musiał być ktoś z naszej grupy. Próbowałem ci powiedzieć...

Pamiętam, jak Lucia mu wtedy przerwała.

- Powinniśmy byli to przewidzieć - ciągnie Tom. - Don był zazdrosny o Marjory.

- Obwinia mnie też o swoją pracę - mówię. - Powiedział, że jestem dziwadłem i że to moja wina, że nie ma takiej posady, jakiej chciałby, a ludzie tacy jak ja nie powinni przyjaźnić się z normalnymi kobietami, takimi jak Marjory.

- Zazdrość to jedno, a niszczenie przedmiotów i krzywdzenie ludzi to coś zupełnie innego - oznajmia Tom. - Przykro mi, że musiałeś przez to przejść. Myślałem, że jest zły na mnie.

- Nic mi nie jest - powtarzam. - Nie zrobił mi krzywdy. Wiedziałem, że mnie nie lubi, toteż nie było tak źle, jak mogło być.

- Lou, jesteś... nadzwyczajny. Nadal jednak uważam, że to częściowo moja wina.

Nie rozumiem tego. Don to zrobił. Tom nie kazał mu tego robić. Jak, choćby w najmniejszym stopniu, mógł ponosić za to winę?

- Gdybym to przewidział, gdybym lepiej traktował Dona...

- Don jest człowiekiem, nie przedmiotem - mówię. - Nikt nie może całkowicie kontrolować drugiej osoby; już sama próba czegoś takiego jest zła.

Jego twarz się rozluźnia.

- Lou, czasami odnoszę wrażenie, że jesteś najmądrzejszy z nas wszystkich. W porządku. To nie była moja wina. Mimo to nadal jest mi przykro, że musiałeś przez to przejść. I rozprawa... To nie będzie dla ciebie łatwe. Rozprawa jest ciężka dla wszystkich, którzy biorą w niej udział.

- Rozprawa? Czemu ma się odbyć przeciwko mnie rozprawa?

- Nie przeciwko tobie; ty będziesz tylko świadkiem w sprawie Dona. Jestem tego pewny. Nic ci nie powiedzieli?

- Nie. - Nie wiem, co robi świadek podczas rozprawy. Nigdy nie miałem ochoty oglądać rozpraw w telewizji.

- Cóż, nie dojdzie do tego zbyt szybko; jeszcze o tym porozmawiamy. A teraz czy jest coś, co Lucia czy ja moglibyśmy dla ciebie zrobić?

- Nie. Nic mi nie jest. Przyjdę jutro na trening.

- Cieszę się. Nie chciałbym, żebyś zrezygnował z obawy, że ktoś inny w grupie zacznie zachowywać się jak Don.

- Nie myślałem w ten sposób - mówię. To głupie, co mi przychodzi do głowy, ale zaczynam się zastanawiać, czy grupa potrzebuje jakiegoś nowego Dona i czy ten ktoś nie wejdzie w jego rolę. Poza tym, skoro ktoś normalny, jak Don, potrafi ukrywać złość i skłonność do przemocy, to może wszyscy normalni ludzie posiadają taką umiejętność. Nie sądzę, żebym ja to potrafił.

- Świetnie. Gdybyś jednak martwił się tym choćby w najmniejszym stopniu w przypadku kogokolwiek, proszę, daj mi natychmiast znać. Grupy bywają różne. Należałem do takich, gdzie jeśli powszechnie nie lubiana osoba odchodziła, natychmiast znajdowaliśmy sobie kogoś innego, żeby go nie lubić, i wtedy to on stawał się wyrzutkiem.

- A więc taki jest wzór zachowania w grupie?

- Jeden ze wzorów. - Wzdycha. - Mam nadzieję, że nie w naszej, i postaram się tego dopilnować. Dziwne, ale trochę brakuje nam kłopotów z Donem.

Rozlega się dzwonek do drzwi. Tom rozgląda się dokoła, po czym patrzy na mnie.

- Przypuszczam, że to policjant - mówię. - Pan Stacy powiedział, że ktoś do mnie przyjdzie, by spisać moje zeznania.

- W takim razie już sobie pójdę - oznajmia Tom.

* * *

Policjant Stacy siedzi na mojej kanapie. Ma na sobie płowe spodnie i koszulę w kratę z krótkimi rękawami. Buty brązowe, o nierównej strukturze. Po wejściu rozejrzał się dokoła i jestem pewien, że wszystko zauważył. Danny patrzy w ten sam sposób, oceniając otoczenie.

- Mam raporty z wcześniejszych aktów wandalizmu, panie Arrendale - mówi. - Gdyby więc opowiedział mi pan o tym, co zaszło tego wieczoru... - To głupie. Był tam. Zapytał o to wtedy i opowiedziałem mu, a on zanotował wszystko na podręcznym komputerze. Nie rozumiem, po co przyszedł tutaj.

- To mój dzień zakupów spożywczych - wyjaśniam. - Zawsze kupuję w tym samym sklepie, ponieważ łatwiej jest znaleźć potrzebne produkty w sklepie, do którego chodzi się co tydzień.

- Czy jeździ pan tam co wtorek o tej samej porze? - pyta.

- Tak. Jadę po pracy, przed kolacją.

- Robi pan sobie listę?

- Tak. - Myślę: *Oczywiście*, może jednak pan Stacy uważa, że nie każdy robi sobie listę zakupów. - Niestety, wyrzuciłem ją po powrocie do domu. - Zastanawiam się, czy będzie chciał, żebym wyciągnął ją z kosza.

- Nie szkodzi. Zastanawiałem się tylko, jak bardzo przewidywalne były pana działania.

- Przewidywalność jest dobra - oświadczam. Zaczynam się pocić. - To ważne, żeby opierać się na działaniach rutynowych.

- Tak, oczywiście - zgadza się. - Jednak rutyna sprawia, że staje się pan łatwym celem dla kogoś, kto chce pana znaleźć i skrzywdzić. Pamiętaj pan o moim ostrzeżeniu z zeszłego tygodnia?

Nie myślałem o tym w ten sposób.

- Proszę jednak mówić dalej - dodaje. - Nie chciałem panu przerywać. Proszę mi wszystko opowiedzieć.

Dziwnie jest siedzieć naprzeciwko kogoś, kto słucha z taką uwagą o kolejności, w jakiej robię zakupy spożywcze. Ale kazał opowiedzieć o wszystkim. Nie wiem, co to ma wspólnego z napaścią na mnie, opisuję mu jednak sposób dokonywania przeze mnie zakupów, dzięki któremu nie muszę się cofać do alejek, które już odwiedziłem.

- Potem wyszedłem na zewnątrz - mówię. - Ściemniało się, a na parkingu świeciły się latarnie. Zaparkowałem w rzędzie po lewej stronie, na jedenastym miejscu. - Lubię parkować na miejscach oznaczonych liczbami pierwszymi, tego mu jednak nie powiedziałem. - Miałem w ręku kluczyki, którymi otworzyłem samochód. Wyciągnąłem z wózka torby z zakupami i wsadziłem je do auta. - Nie sądzę, żeby chciał wiedzieć, że ciężkie zakupy położyłem na podłodze, a lekkie na siedzeniu. - Usłyszałem za sobą dźwięk wózka i obróciłem się. Wtedy odezwał się do mnie Don.

Przerywam, próbując sobie przypomnieć, jakich dokładnie słów użył i w jakiej kolejności.

- Sprawiał wrażenie bardzo rozgniewanego - podejmuję. - Głos miał chrapliwy. Powiedział: „To wszystko twoja wina. To twoja wina, że Tom mnie wyrzucił”. - Znow przerywam. Don wypowiedział bardzo szybko mnóstwo słów i nie jestem pewny, czy wszystkie je zapamiętałem we właściwej kolejności. Nie byłoby dobrze coś poprzekręcać.

Pan Stacy czeka, patrząc na mnie.

- Nie jestem pewien, czy pamiętam wszystko dokładnie - wyznaję.

- W porządku - odpowiada. - Po prostu proszę mi opowiedzieć to, co pan zapamiętał.

- Powiedział: „To twoja wina, że Marjory kazała mi odejść”. Tom zorganizował grupę szermierczą. Marjory to... Mówiłem panu o Marjory w zeszłym tygodniu. Nigdy nie była dziewczyną Dona. - Niezręcznie mi mówić o Marjory. Powinna sama wypowiadać się we własnym imieniu. - Marjory mnie lubi, ale... - Nie mogę tego powiedzieć. Nie wiem, jak Marjory mnie lubi, czy to zwykła znajomość, przyjaźń czy... coś więcej. Gdybym powiedział: „nie jak kochanka”, czy byłaby to prawda? Nie chcę, żeby to była prawda. - Powiedział: „Dziwadła powinny parzyć się z dziwadłami, jeśli w ogóle”. Był bardzo rozzłoszczony. Twierdził, że to moja wina, że jest recesja, a on nie ma dobrej pracy.

- Yhm. - Pan Stacy wydaje z siebie ten nieznaczny dźwięk i dalej siedzi bez ruchu.

- Kazał mi wsiąść do samochodu. Wyciągnął broń w moją stronę. Nie jest dobrze wsiadać do

samochodu z napastnikiem; mówili o tym w zeszłym roku w programie informacyjnym.

- Mówi się o tym co roku - koryguje pan Stacy. - Ale niektórzy ludzie i tak to robią. Cieszę się, że pan postąpił inaczej.

- Rozpoznałem jego wzór - mówię. - Więc się poruszyłem... Zablokowałem rękę z bronią i uderzyłem go w żołądek. Wiem, że niedobrze jest kogoś bić, ale on chciał mnie skrzywdzić.

- Rozpoznał pan jego wzór? - powtarza pan Stacy. - Co to znaczy?

- Od lat ćwiczylismy w tej samej grupie szermierczej - odpowiadam. - Kiedy wyrzuca do przodu prawe ramię, zawsze przesuwa prawą stopę naprzód, a lewą w bok, po czym wysuwa łokieć. Następnym ciosem jest szeroki zamach z prawej strony. Stąd wiedziałem, że jeśli zablokuję i uderzę go w tułów, to mam szansę trafić, zanim wyrzuci mi krzywdę.

- Skoro fechtował się z panem od wielu lat, to dlaczego tego nie przewidział? - pyta pan Stacy.

- Nie wiem - mówię. - Umiem dostrzegać wzory w posunięciach innych ludzi. Tak właśnie się fechtuję. On nie jest w tym równie dobry. Myślę, że ponieważ nie miałem ostrza, nie przyszło mu do głowy, że mógłbym wykorzystać tę samą kontrę, co podczas szermierki.

- Ha. Chciałbym zobaczyć, jak pan walczy - wyznaje pan Stacy. - Zawsze uważałem to za szczeniacką imitację prawdziwego sportu, całe to białe wdzianko i przewody, ale gdy pan o tym opowiada, zaczyna być interesujące. A więc groził panu bronią, pan odtrącił ją na bok i uderzył go w brzuch, a potem co?

- Potem mnóstwo ludzi zaczęło krzyczeć i kilka osób rzuciło się na niego. Zakładam, że to byli policjanci, ale nie widziałem ich wcześniej. - Urywam. Resztę informacji może uzyskać od policjantów, którzy tam byli. Tak przynajmniej sędzę.

- W porządku. Wróćmy do paru innych kwestii... - Kilkakrotnie prowadzi mnie przez wydarzenia tego wieczoru i za każdym razem przypominam sobie jakiś szczegół. Martwi mnie to. Czy naprawdę wszystko zapamiętałem, czy tylko zapełniam luki, by go zadowolić? Czytałem o tym w książce. Czasem mam wrażenie prawdy, ale czasami jest to kłamstwo. Kłamstwo jest złe. Nie chcę kłamać.

W kółko wypytuje mnie o grupę szermierczą: kto mnie lubi, a kto nie. Kogo ja lubię, a kogo nie. Myślałem, że lubię wszystkich; myślałem, że wszyscy mnie lubią, a przynajmniej tolerują, dopóki nie wyszła ta sprawa z Donem. Wydaje się, jakby chciał, żeby Marjory była moją dziewczyną albo kochanką; ciągle pyta, czy się widzimy. Strasznie się pocę, rozmawiając o Marjory. Mówię prawdę, która jest taka, że bardzo ją lubię i często o niej myślę, ale razem nigdzie nie wychodzimy.

Wreszcie wstaje.

- Dziękuję, panie Arrendale. Na dzisiaj to wszystko. Spiszę pańskie zeznania, a wówczas będzie pan musiał przyjść na posterunek i je podpisać. Potem skontaktujemy się z panem odnośnie rozprawy.

- Rozprawy? - pytam.

- Tak. Jako ofiara napaści będzie pan świadkiem oskarżenia. Czy to jakiś problem?

- Pan Crenshaw będzie zły, jeśli zbyt długo nie będzie mnie w pracy - odpowiadam. O ile do tej pory będę miał jeszcze pracę. A jeśli nie?

- Jestem pewny, że to zrozumie - mówi pan Stacy. Jestem pewny, że nie, ponieważ nie chce rozumieć.

- Istnieje możliwość, że jego prawnik będzie chciał dogadać się z sędzią- tłumaczy pan Stacy. - Przyjmą proponowany wyrok, by nie ryzykować czegoś gorszego w wyniku rozprawy. Damy panu znać. - Idzie do drzwi. - Proszę na siebie uważać, panie Arrendale. Cieszę się, że złapaliśmy tego gościa i że nic się panu nie stało.

- Dziękuję za pomoc - mówię.

Po jego wyjściu wygładzam kanapę i kładę poduszki z powrotem na swoim miejscu. Jestem niespokojny. Nie chcę już myśleć o Donie i napadzie. Chcę o tym zapomnieć. Chcę, żeby to się w ogóle nie zdarzyło.

Szybko przyrządzam sobie kolację- gotowany makaron z warzywami - i ją zjadam, po czym myję talerz i garnek. Jest już ósma. Biorę książkę i zaczynam rozdział siedemnasty: „Integracja pamięci i kontrola uwagi: lekcje z NP i ADHD”.

Teraz znacznie łatwiej radzę sobie z długimi zdaniami i skomplikowaną składnią. Nie są linearne, lecz spiętrzone lub promieniste. Żałuję, że nikt nie nauczył mnie tego wcześniej.

Informacja, którą autorzy chcą przekazać, jest logicznie uporządkowana. Czyta się to tak, jakbym sam to napisał. Dziwna jest myśl, że ktoś taki jak ja mógłby napisać rozdział książki o funkcjonowaniu mózgu. Czy kiedy mówię, brzmi to jak tekst z podręcznika? Czy to właśnie doktor Fornum określa mianem języka koturnowego? Zawsze wyobrażałem sobie wtedy aktorów w barwnych strojach, tańczących na szczydach ponad tłumem. To niepoważne. Nie jestem wysoki ani nie ubieram się kolorowo. Jeśli chodziło jej o to, że przemawiam książkowym językiem, mogła to wyrazić tymi właśnie słowami.

Wiem już, że NP to „nerwica pourazowa”, która może wywoływać dziwne zmiany w funkcjonowaniu pamięci. Wszystko jest kwestią pełnej kontroli procesów kontrakcji z otoczeniem, jak również zahamowania i odblokowania transmisji sygnałów.

Wydaje mi się, że sam jestem teraz pourazowy, że bycie ofiarą napaści ze strony kogoś chcącego mnie zabić można określić mianem traumy, urazu, choć nie czuję się nadmiernie zestresowany czy podekscytowany. Może normalni ludzie nie siedzą i nie czytają książek kilka godzin po uniknięciu śmierci, ja jednak uważam to za odprężające. W książce odnajduję fakty, ułożone w logicznym porządku przez kogoś, kto zadał sobie trud, by przedstawić je możliwie jak najjaśniej. Tak samo jak wtedy, gdy rodzice mi powiedzieli, że gwiazdy świecą niezależnie od tego, co dzieje się na naszej planecie. Podoba mi się, że gdzieś istnieje niewzruszony porządek, nawet jeśli wszystko wokół mnie się wali.

Co czułaby normalna osoba? Pamiętam eksperyment naukowy w liceum, kiedy sadziliśmy ziarna w doniczkach ustawionych pod różnymi kątami. Rośliny rosły ku światłu, niezależnie od tego, w którą stronę musiały obracać się ich łodygi. Pamiętam, jak się zastanawiałem, co by było, gdyby to mnie zasadzono w ukośnie ustawionej doniczce, ale nauczyciel powiedział mi wtedy, że to zupełnie inna sprawa.

Nadal mam wrażenie, że to to samo. Jestem ustawiony bokiem do świata i czuję się szczęśliwy, podczas gdy inni uważają, że powinienem być załamany. Mój mózg próbuje rosnać w stronę światła, ale nie może się wyprostować, gdy ktoś ustawia doniczkę w poziomie.

Jeśli właściwie rozumiem tekst w książce, pamiętam procent niebieskich samochodów na parking, ponieważ zwracam na kolory i liczby więcej uwagi niż większość ludzi, którzy nie dostrzegają pewnych rzeczy i nic ich to nie obchodzi. Ciekawe, co widzą, gdy patrzą na parking. Cóż innego można tam zobaczyć, oprócz rzędów pojazdów, tylu niebieskich, tylu beżowych, a tylu

czerwonych? Czego ja nie dostrzegam, tak jak oni nie zauważają pięknych relacji numerycznych?

Pamiętam kolory, liczby, wzory oraz rosnące i malejące serie; to właśnie najłatwiej przechodzi przez mój filtr zmysłów, dzielący mnie od świata. Później zamieniają się one w parametry rozwoju mojego mózgu, dzięki czemu widzę wszystko - od procesów produkcyjnych lekarstw po ruchy walczącego ze mną szermierza - w ten sam sposób, jako przejawy jednego rodzaju rzeczywistości.

Rozglądam się po mieszkaniu i zastanawiam nad własnymi reakcjami, potrzebą uporządkowania, fascynacją powtarzającymi się zjawiskami, seriami i wzorami. Każdy potrzebuje uporządkowania; każdy w jakimś stopniu kocha wzory i serie. Wiem to od wielu lat, ale teraz rozumiem o wiele lepiej. My, ludzie autystyczni, znajdujemy się na jednym biegunie ludzkich zachowań i preferencji, ale jesteśmy powiązani. Moje uczucie do Marjory jest zwyczajnym uczuciem, żadnym dziwactwem. Możliwe, że bardziej niż inni jestem świadomy różnych odcieni jej włosów czy oczu, lecz pragnienie bycia blisko niej jest najzupełniej normalnym pragnieniem.

Już prawie pora spać. Wchodzę pod prysznic i oglądam swoje doskonale normalne ciało: normalną skórę, normalne włosy, normalne paznokcie u rąk i nóg, normalne genitalia. Z pewnością istnieją ludzie, którzy też lubią mydło bezzapachowe, stałą temperaturę wody, tę samą fakturę myjki.

Kończę kąpiel, czyszczę zęby i opłukuję umywalkę. Twarz w lustrze wygląda jak moja twarz - oto twarz, którą znam najlepiej. Światło wpada przez źrenicę oka, niosąc informację, która zawiera się w widzialnym dla mnie zakresie, niosąc zarazem świat, lecz kiedy zaglądam tam, dokąd wpada światło, widzę mrok, głęboki i aksamitny. Światło w nim znika, a mrok na mnie patrzy. Obraz znajduje się w moim oku i mózgu, tak samo jak w lustrze.

Gaszę światło w łazience i idę do łóżka, wyłączając lampkę nocną w chwili, gdy siadam na materacu. W mroku jarzy się przez chwilę fantom światła. Zamykam oczy i widzę, jak balansują w przestrzeni przeciwności, unoszące się naprzeciwko siebie. Najpierw słowa, a potem kryjące się za nimi obrazy.

Światło jest przeciwieństwem mroku. Ciężar jest przeciwieństwem lekkości. Pamięć jest przeciwieństwem zapomnienia. Obecność jest przeciwieństwem nieobecności. Słowa nie są dokładnie tym samym, co obrazy: słowo „lekkość”, będące przeciwieństwem ciężaru, zdaje się lżejsze niżli błyszczący balon, który pojawia się jako wizualizacja tego słowa. Światło odbija się od błyszczącej sfery, która unosi się, opada, znika...

Zapytałem kiedyś mamę, skąd bierze się światło w moich snach, skoro śpię z zamkniętymi oczami. Dlaczego moje sny nie toną w mroku?, pytałem. Nie wiedziała. Książka zdradziła mi wiele o przetwarzaniu bodźców wizualnych w mózgu, ale na to pytanie również mi nie odpowiedziała.

Ciekawe dlaczego. Na pewno inni też pytali, dlaczego sny są pełne światła, nawet w kompletnych ciemnościach. Mózg generuje obrazy, owszem, ale skąd pochodzi rozjaśniające je światło? Niewidomi ludzie nie widują już więcej światła, a jednak ich mózg przetwarza najróżniejsze wzory. Czy jest więc tak, że światło we śnie stanowi jedynie wspomnienie światła, czy działa to zupełnie inaczej?

Pamiętam, jak ktoś mówił o innym dziecku:

„Tak bardzo lubi baseball, że gdybyś otworzył mu głowę, zobaczyłbyś w środku boisko...”. To było przed tym, nim się dowiedziałem, że wiele z tego, co mówią ludzie, nie zawsze oznacza dokładnie to, co poszczególne słowa. Zastanawiałem się, co byłoby wewnątrz mojej głowy, gdyby ktoś ją otworzył. Zapytałem mamę, a ona powiedziała: „Twój mózg, kochanie”, po czym pokazała mi zdjęcie szarej, pomarszczonej bryły. Rozpłakałem się, ponieważ mi się nie podobała i nie chciałem,

żeby coś takiego wypełniało mi głowę. Byłem pewny, że nikt inny nie ma w swojej czegoś równie brzydkiego. Już prędzej boiska do baseballu, lody lub piknik.

Teraz już wiem, że każdy naprawdę ma w głowie szary, pomarszczony mózg, a nie boiska, baseny czy ukochane osoby. Wówczas jednak był to dla mnie dowód na to, że zostałem nieprawidłowo wykonany.

Mamy, głowie światło i mrok, grawitację, przestrzeń, szpady, zakupy spożywcze, kolory, cyfry, ludzi i wzory tak piękne, że wywołują we mnie dreszcze. Nadal nie wiem, czemu mam takie, a nie inne wzory.

Książki odpowiada na pytania wymyślone przez innych. Ja wymyśliłem pytania, na które nikt nie odpowiedział. Zawsze uważałem swoje pytania za złe, ponieważ nie zadawał ich nikt inny. Może nikt o nich nie pomyślał. Może najpierw dotarł tam mrok. Może jestem pierwszym promieniem światła, padającym na zatokę ignorancji.

Może moje pytania są ważne.

Światło. Poranne światło. Pamiętam dziwne sny, ale nie ich treść, tylko tyle, że były dziwne. Jest jasny, rześki dzień; kiedy dotykam szyby, czuję jej zimno.

W chłodniejszym powietrzu jestem bardziej rozbudzony, niemal sprężysty. Płatki zbożowe w misce mają chrupiącą, pofałdowaną strukturę; czuję je w ustach, chrupiące, a potem gładkie.

Gdy wychodzę na zewnątrz, jasne słońce odbija się w kamykach okalających chodnik wokół parkingu. To dzień na jasną, dynamiczną muzykę. Przez głowę przemykają mi różne możliwości; decyduję się na Bizeta. Delikatnie dotykam samochodu i uświadamiam sobie, że choć Don siedzi w więzieniu, moje ciało pamięta o wciąż grożącym mi niebezpieczeństwie. Nic się nie dzieje. Cztery świeżo kupione opony nadal pachną nowością. Samochód zapala bez trudu. W drodze do pracy gra mi w głowie muzyka, jasna jak słońce. Rozważam wieczorny wyjazd za miasto, by popatrzeć na gwiazdy; powinienem dostrzec także stacje orbitalne. Potem sobie przypominam, że jest środa i idę na szermierkę. Już dawno o tym nie zapominałem. Czy dzisiejszego ranka zaznaczyłem to w kalendarzu? Nie jestem pewny.

W pracy zatrzymuję się na swoim miejscu parkingowym. Pan Aldrin stoi w drzwiach, tak jakby na mnie czekał.

- Lou... widziałem wszystko w wiadomościach... Nic ci nie jest?

- Nie - mówię. Wydaje mi się to dość oczywiste, skoro na mnie patrzy.

- Jeśli nie czujesz się dobrze, możesz wziąć dzień wolny - dodaje.

- Nic mi nie jest - odpowiadam. - Mogę pracować.

- Cóż... Jeśli jesteś tego pewien. - Urywa, jak gdyby oczekiwał, że coś powiem, lecz nie jestem w stanie niczego wymyślić. - W wiadomościach mówili, że obezwładniłeś napastnika, Lou. Nie miałem pojęcia, że wiesz, jak to zrobić.

- Zrobiłem tylko to, co na treningach szermierki - mówię. - Chociaż nie miałem ostrza.

- Szermierka! - Jego oczy się rozszerzają, a brwi unoszą do góry. - Uprawiasz szermierkę? Jak... Ze szpadami i tak dalej?

- Tak. Raz w tygodniu chodzę na treningi - odpowiadam. Nie jestem pewien, ile powinienem mu powiedzieć.

- Nie wiedziałem o tym - mówi. - Nie mam pojęcia o szermierce, z wyjątkiem tego, że zawodnicy noszą białe kostiumy i ciągną za sobą kabel.

Nie nosimy białych kostiumów ani nie stosujemy elektronicznego systemu zliczania trafień, ale nie mam ochoty wyjaśniać tego panu Aldrinowi. Chcę wrócić do swojego projektu, a po południu mamy kolejne spotkanie z zespołem medycznym. Potem przypominam sobie, co powiedział pan Stacy.

- Możliwe, że będę musiał pojechać na posterunek i podpisać zeznanie - oznajmiam.

- W porządku - zgadza się pan Aldrin. - Jak najbardziej. Jestem pewny, że to musiał być dla ciebie ogromny wstrząs.

Dzwoni mój telefon. Przypuszczam, że to pan Crenshaw, więc nie spieszę się z podniesieniem słuchawki, w końcu jednak odbieram.

- Pan Arrendale? Mówi detektyw Stacy. Spisałem pana ze znanie. Proszę posłuchać, czy mógłby pan przyjechać na posterunek dziś rano?

Nie sądzę, aby to było prawdziwe pytanie. Raczej jest tak, jak z moim ojcem, kiedy mówił: „Podniesiesz tamten koniec, dobrze?“, mając po prostu na myśli: „Podnieś tamten koniec“. Możliwe, że wydawanie poleceń poprzez nadawanie im formy pytającej jest bardziej uprzejme, ale z drugiej strony może to być mylące, ponieważ czasami to naprawdę są pytania.

- Będę musiał zapytać szefa - zastrzegam.

- To sprawa policji - mówi. - Potrzebujemy pana, aby podpisał pan zeznanie i inne dokumenty. Tak mu proszę powiedzieć.

- Zadzwoń do pana Aldrina - obiecuję. - Czy mam potem do pana oddzwonić?

- Nie, po prostu proszę przyjechać, kiedy pan będzie mógł. Jestem na posterunku przez cały ranek. - Innymi słowy, oczekuje, że przyjadę niezależnie od tego, co powie pan Aldrin. To nie było prawdziwe pytanie.

Dzwonię do biura pana Aldrina.

- Tak, Lou? - mówi. - Jak się czujesz? - To głupie; pytał mnie o to rano.

- Policja chce, żebym przyjechał na posterunek i podpisał zeznania oraz inne dokumenty - informuję. - Powiedzieli, żebym przyjechał natychmiast.

- Ale czujesz się dobrze? Może chcesz, żeby ktoś z tobą pojechał?

- Czuję się dobrze - odpowiadam. - Ale muszę pojechać na posterunek policji.

- Oczywiście. Weź sobie wolny dzień.

Na zewnątrz się zastanawiam, co myśli sobie strażnik, gdy wyjeżdżam z campusu, chociaż dopiero przed chwilą przyjechałem, Z jego twarzy nie potrafię nic wyczytać.

* * *

Na posterunku policji panuje straszny zgiełk. Przy długim, wysokim kontuarze stoi kolejka ludzi. Ustawiam się na końcu, ale pan Stacy wychodzi z biura i mnie dostrzega.

- Proszę tutaj - woła.

Prowadzi mnie do innego głośnego pomieszczenia z pięcioma biurkami zawałonymi papierami. Na jego biurku, bo sądzę, że to jego biurko, znajduje się stacja dokująca dla podręcznego komputera i duży monitor.

- Nie majak w domu - mówi, skinieniem ręki wskazując mi stojące przy biurku krzesło.

Krzesło wykonano z szarego metalu i zaopatrzono w cienkie, plastikowe siedzisko w zielonym kolorze. Czuję przez nie stelaż. Wychwytyuję zapach zwietrzałej kawy, tanich batoników, chipsów, papieru i tonera do drukarek i kserokopiarek.

- Tutaj jest kopia pańskiego zeznania, złożonego wczorajszej nocy - wyjaśnia. - Proszę je przeczytać, sprawdzić, czy nie ma błędów, i podpisać, jeśli wszystko jest w porządku.

Te wszystkie „jeśli" to znaczne utrudnienie, ale jakoś udaje mi się przez nie przebrnąć. Szybko czytam treść zeznania, choć chwilę trwa, nim się orientuję, że „ofiara" to ja, a „napastnik" to Don. Błędów nie znajduję, wobec czego podpisuję zeznanie.

Potem oficer policji mówi mi, że muszę podpisać skargę na Dona. Nie wiem dlaczego. Postępek Dona był sprzeczny z prawem i istnieją dowody na to, że to on go popełnił. Nie powinno mieć znaczenia, czy podpiszę skargę, czy nie. Niemniej zrobię to, skoro wymaga tego prawo.

- Co stanie się z Donem, jeśli zostanie uznany winnym? - pytam.

- Powtarzające się, nasilające akty wandalizmu, zakończone czynną napaścią? Nie wykręci się od opiekuńczej rehabilitacji - odpowiada pan Stacy. - OCW, osobisty chip warunkujący, wszczepiany do mózgu. To znaczy, w mózgu umieszczany jest...

- Wiem - mówię. W środku aż się skręcam; przynajmniej nie muszę się zastanawiać, co by było, gdybym to ja miał chip w swoim mózgu.

- To nie wygląda tak, jak w programach telewizyjnych - tłumaczy pan Stacy. - Żadnych iskier ani efektów świetlnych... Po prostu nie będzie mógł robić pewnych rzeczy.

Z tego, co słyszałem - co wszyscy słyszeliśmy w Centrum - OCW „nadpisuje” pierwotną osobowość i powstrzymuje rehabilitanta... to ich ulubione określenie... przed wszelkimi niepożądanymi czynnościami.

- Nie mógłby po prostu zapłacić za moje opony i szybę? - pytam.

- Recydywa - rzuca pan Stacy, grzebiąc w stercie dokumentów. - Robiłby to dalej. To udowodnione. Tak jak pan nie może przestać być sobą, kimś autystycznym, on także nie może przestać być sobą, jednostką zawistną i skłoną do przemocy. Gdyby wykryto to, kiedy był dzieckiem, to cóż... O, znalazłem. - Wyciąga kartkę papieru. - Oto właściwy formularz. Proszę go uważnie przeczytać, podpisać w miejscu zaznaczonym krzyżykiem i wstawić datę.

Czytam formularz z pieczęcią miasta na górze. Według dokumentują, Lou Arrendale, wnoszę skargę w związku z mnóstwem rzeczy, o których bym nawet nie pomyślał. Sądziłem, że to będzie proste: Don próbował mnie nastraszyć, a potem skrzywdzić. Zamiast tego dowiaduję się, że wnoszę skargę na złośliwe zniszczenie mienia, zabór mienia o wartości przekraczającej 250 \$, skonstruowanie urządzenia wybuchowego, podłożenie urządzenia wybuchowego, napaść z zamiarem pozbawienia życia za pomocą urządzenia wybuchowego...

- To mogło mnie zabić? - pytam. - Tutaj mówi się o napaści przy użyciu śmiertelnej broni...

- Materiały wybuchowe są śmiertelne. To prawda, że podłączył je w taki sposób, że nie wybuchły wtedy, kiedy powinny, a ilość samego środka wybuchowego była nieznaczna i co najwyżej pozbawiłaby pana części dłoni i twarzy, jednak w świetle prawa to bez znaczenia.

- Nie wiedziałem, że działanie, jakim było wyjęcie akumulatora i podłożenia pajacyka w pudełku, mogło naruszyć kilka przepisów prawa - mówię.

- Podobnie jak nie wie większość kryminalistów - odpowiada pan Stacy. - Ale to dość powszechna sytuacja. Załóżmy, że ktoś włamuje się do domu pod nieobecność właścicieli i kradnie wyposażenie. Istnieje prawo odnośnie nieuprawnionego wtargnięcia i inne, dotyczące zaboru mienia.

W rzeczywistości wcale nie oskarżałem Dona o wyprodukowanie urządzenia wybuchowego, ponieważ nie wiedziałem, że on to zrobił. Patrząc na pana Stacy'ego; jest jasne, że ma gotową odpowiedź na wszystko i dyskusja nie przyniesie nic dobrego. Nie wydaje mi się słuszne, by jedno działanie mogło wywołać tyle oskarżeń, ale słyszałem, jak ludzie mówili o tego typu sprawach.

Następnie dokument w mniej formalny sposób wymienia, co Don zrobił: opony, przednia szyba, kradzież akumulatora samochodowego o wartości 262,37 \$, podłożenie ładunku wybuchowego pod maską samochodu oraz napaść na parkingu. Uszeregowane w takiej kolejności zdarzenia dobitnie wskazują na Dona jako sprawcę, który w dodatku naprawdę zamierzał mnie skrzywdzić. Pierwsze zajście było czytelnym sygnałem ostrzegawczym. Mimo to nadal trudno mi się z tym pogodzić. Wiem, co powiedział, jakich słów użył, ale nie mają one większego sensu. Jest normalnym człowiekiem.

Bez trudu mógł porozmawiać z Marjory... rozmawiał z nią. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby się z nią zaprzyjaźnił, nic prócz niego samego. To nie moja wina, że Marjory mnie lubi. To nie moja wina, że poznaliśmy się w grupie szermierczej; zjawilem się tam pierwszy i nie znałem jej, dopóki nie zaczęła uczęszczać na zajęcia.

- Nie wiem dlaczego.

- Słucham? - pyta pan Stacy.

- Nie wiem, dlaczego jest na mnie taki zły - wyjaśniam. Przekrzywia głowę.

- Powiedział panu przecież - mówi. - A pan mi to powtórzył.

- Tak, ale to nie ma najmniejszego sensu - upieram się. - Bardzo lubię Marjory, ale ona nie jest moją dziewczyną. Nigdy nigdzie jej nie zabrałem. Ona także nigdy nigdzie mnie nie zaprosiła. Nie zrobiłem nic, co mogłoby wyrządzić szkodę Donowi. - Nie mówię panu Stacy, że chciałbym wyjść gdzieś razem z Marjory, ponieważ mógłby mnie zapytać, dlaczego tego nie zrobiłem, a ja nie chcę odpowiadać na to pytanie.

- Może nie ma to sensu dla pana - odpowiada - ale dla mnie tak. Widujemy mnóstwo tego typu sytuacji, gdy zazdrość przeradza się we wściekłość. Pan nie musiał niczego robić; to wszystko tkwiło tylko w nim.

- Jest normalny - mówię.

- Formalnie nie jest upośledzony, panie Arrendale, ale nie jest normalny. Normalni ludzie nie podkładają ładunków wybuchowych w cudzych samochodach.

- Chodzi panu o to, że jest szalony?

- Sąd o tym orzeknie - wyjaśnia pan Stacy. Kręci głową. - Panie Arrendale, dlaczego próbuje pan go usprawiedliwiać?

- Wcale nie... Zgadza się, że postąpił źle, ale wstawienie mu chipa do mózgu i przerobienie na kogoś innego...

Przewraca oczami.

- Chciałbym, żeby uczciwi ludzie lepiej rozumieli OCW. To nie polega na tym, że robi się z niego kogoś innego. Będzie Donem, tyle że wolnym od przymusu krzywdzenia ludzi, którzy go denerwują. Dzięki temu nie będziemy musieli trzymać go latami w zamknięciu, aby powstrzymać przed powtórzeniem czegoś takiego. On po prostu nigdy więcej tego nie robi. Nikomu. To znacznie bardziej humanitarne od wieloletniego zamykania ludzi z innymi złymi ludźmi w środowisku, które sprawia, że stają się jeszcze gorsi. To nie boli, nie zamieni go w robota. Będzie prowadził normalne życie... Nie będzie mógł tylko popełniać brutalnych przestępstw. Przekonaliśmy się, że to jedyna skuteczna metoda, z wyjątkiem kary śmierci, która, przyznaję, byłaby nieco zbyt radykalną karą za to, co zrobił panu.

- Nadal mi się to nie podoba - mówię. - Osobiście nie chciałbym, żeby ktoś wkładał mi chip do mózgu.

- Istnieją dozwolone prawem zastosowania medyczne - przypomina. Wiem o tym. Słyszałem o ludziach cierpiących na nieuleczalne ataki, chorobę Parkinsona lub uszkodzenie rdzenia kręgowego, dla których wymyślono specjalne chipy i bypassy, i to jest dobra rzecz. Ale w tym przypadku nie jestem pewny.

Ale takie jest prawo. Formularz nie zawiera nieprawdy. Don zrobił te rzeczy. O wszystkich powiadomiłem policję, prócz ostatniego zdarzenia, którego sami byli świadkami. U dołu formularza,

między tekstem a miejscem na mój podpis, widnieje pewna formułka: „Przysięgam, że wszystko, co zostało zapisane w formularzu, jest prawdą”. Tak jest, o ile mi wiadomo, i będzie musiało to wystarczyć. Podpisuję się, wstawiam datę i podaję dokument policjantowi.

- Dziękuję, panie Arrendale - mówi. - Chce spotkać się z panem prokuratorem okręgowym. Wyjaśni panu następne kroki.

Prokurator okręgowy to kobieta w średnim wieku o przetykanych siwizną, kędzierzawych, czarnych włosach. Na tabliczce na jej biurku widnieje: „P.O. Beatrice Hunston”. Jej skóra ma kolor piernika. Urzęduje w gabinecie większym od mojego; wszystkie ściany zabudowane są półkami pełnymi książek - starych i oprawionych w beżowe okładki z czarnymi i czerwonymi kwadratami na grzbietach. Nie sprawiają wrażenia, by ktokolwiek je czytał. Zastanawiam się, czy są prawdziwe. Na biurku pracuje płyta danych, a bijące od niej światło nadaje podbródkowi kobiety zabawny kolor, choć z mojego punktu widzenia ekran płyty jest czarny.

- Cieszę się, że pan żyje, panie Arrendale - mówi. - Miał pan sporo szczęścia. Jak rozumiem, podpisał pan skargę na pana Donalda Poiteau, zgadza się?

- Tak - odpowiadam.

- Cóż, w takim razie pozwoli pan, że wyjaśnię dalszą procedurę. Prawo stanowi, że pan Poiteau może domagać się rozprawy sądowej z udziałem przysięgłych. Mamy niezbita dowody, że to on jest sprawcą wszystkich incydentów, i jesteśmy absolutnie pewni, że te dowody obronią się w sądzie. Najprawdopodobniej jednak jego adwokat doradzi mu, żeby przyjął wniosek oskarżenia. Czy wie pan, co to oznacza?

- Nie - przyznaję. Wiem, że chce mi to powiedzieć.

- Jeśli nie wykorzysta środków stanowych, żądając przeprowadzenia rozprawy, skróci czas, który będzie musiał odsiedzieć, do okresu potrzebnego na wszczęcie i adaptację chipa, OCW. W przeciwnym wypadku, w razie osądzenia, musi się liczyć co najmniej z pięcioletnim wyrokiem. W tym czasie przekona się, co to takiego więzienie, i spodziewam się, że wyrazi zgodę na naszą propozycję.

- Możliwe jednak, że nie zostanie skazany - mówię.

Pani prokurator uśmiecha się do mnie.

- Mało prawdopodobne - oznajmia. - Nie przy takich dowodach, jakimi dysponujemy. Nie musi się pan martwić; nigdy więcej pana nie skrzywdzi.

Nie martwię się. A przynajmniej nie martwiłem się, dopóki tego nie powiedziała. Przestałem się martwić, gdy Don trafił do więzienia. Zaczęę się martwić, gdy ucieknie. Teraz nie mam powodów do niepokoju.

- Jeśli nie dojdzie do rozprawy, a jego adwokat zgodzi się na układ, nie będziemy musieli więcej pana wzywać - mówi. - Dowiemy się w ciągu kilku dni. Gdyby jednak zażądał procesu, zostanie pan świadkiem oskarżenia. Oznacza to konieczność spędzenia czasu ze mną lub kimś z mojego biura, żebyśmy mogli przygotować pańskie zeznania, a potem wystąpienie w sądzie. Czy pan to rozumie?

Rozumiem, co do mnie mówi. Nie mówi tylko - a może po prostu o tym nie wie - że pan Crenshaw będzie bardzo zły, jeśli stracę na to zbyt wiele czasu. Mam nadzieję, że Don i jego prawnik nie będą się upierali przy rozprawie.

- Tak - potwierdzam.

- Dobrze. Przez ostatnich dziesięć lat procedura zmieniała się dzięki dostępności chipa OCW; to wielki krok naprzód. Znacznie mniej przypadków kończy się w sądzie. Ofiary i świadkowie tracą mniej czasu. Będziemy w kontakcie, panie Arrendale.

Ranek ma się ku końcowi, kiedy nareszcie opuszczam Centrum Sprawiedliwości. Pan Aldrin powiedział, że nie muszę dzisiaj w ogóle wracać do pracy, ale nie chcę dawać panu Crenshawowi powodów do zdenerwowania, w związku z czym spędzam popołudnie w biurze. Mamy kolejny test, jeden z tych, które polegają na dopasowywaniu wzorów na ekranie komputera. Wszyscy szybko sobie z tym radzimy. Pozostałe testy są równie łatwe, ale nudniejsze. Nie odpracowuję porannej nieobecności w firmie, ponieważ to nie była moja wina.

Przed wyjściem na trening oglądam w telewizji wiadomości naukowe, ponieważ właśnie nadają program o przestrzeni kosmicznej. Konsorcjum firm buduje kolejną stację orbitalną. Rozpoznaję logo; nie wiedziałem, że firma, w której pracuję, jest zainteresowana działalnością w kosmosie. Prowadzący wspomina o miliardach, które pochłonie budowa, i udziałach poszczególnych partnerów w przedsięwzięciu.

Może to dlatego panu Crenshawowi tak zależy na cięciu kosztów. Uważam, że to dobrze, iż firma chce inwestować w kosmos; chciałbym się kiedyś tam wybrać. Może gdybym nie był autystyczny, zostałbym astronautą lub naukowcem zajmującym się przestrzenią. Ale nawet gdybym teraz się zmienił dzięki kuracji, byłoby zbyt późno, by się przekwalifikować.

Może to jest przyczyna, dla której niektórzy ludzie decydują się na kurację przedłużającą życie, aby mieć szansę na karierę, o której wcześniej nawet nie marzyli. Niestety, jest to bardzo kosztowne. Na razie niewielu może sobie na to pozwolić.

* * *

Kiedy przyjeżdżam, przed domem Toma i Lucii stoją zaparkowane trzy inne samochody. Między innymi auto Marjory. Serce bije mi szybciej. Brak mi tchu, ale nie biegnę.

Wieje chłodny wiatr. Gdy jest zimniej, łatwiej się fechtować, ale trudniej siedzieć na zewnątrz i rozmawiać.

W środku spotykam Lucie, Susan i Marjory, pogrążone w rozmowie. Przerywają, kiedy wchodzę.

- Jak się czujesz, Lou? - pyta Lucia.
- Bardzo dobrze - zapewniam. Mam wrażenie, że mój język jest za duży.
- Tak mi przykro z powodu tego, co zrobił Don - mówi Marjory.
- Nie kazałaś mu tego robić - odpowiadam. - To nie twoja wina. - Powinna to wiedzieć.
- Nie to miałam na myśli - dodaje. - Ja tylko... przykro mi z twojego powodu.
- Nic mi nie jest - powtarzam. - Jestem tutaj, a nie... - Trudno to powiedzieć. - Nie w areszcie - kończę, unikając słowa „martwy”. - To takie trudne... Powiedzieli, że wstawią mu chip do mózgu.
- Mam nadzieję - mówi Lucia. Krzywi się. Susan kiwa głową i mruczy coś, czego nie dosłyszałem.
- Lou, wydaje się, że nie chcesz, żeby go to spotkało - zauważa Marjory.
- Uważam, że to przerażające - odpowiadam. - Uczynił coś złego, ale przerażające jest to, że zamienią go w kogoś innego.
- To nie tak - upiera się Lucia. Patrzy na mnie. Właśnie ona powinna to zrozumieć; zna się na eksperymentalnych metodach leczenia; wie, czemu tak się przejmuję zamianą Dona w kogoś innego. -

Zrobił coś złego... bardzo złego. Mógł cię zabić, Lou. Zabiłby, gdyby go nie powstrzymano. Byłoby sprawiedliwie, gdyby zamienili go w miskę budyniu, ale tak naprawdę chip uniemożliwi mu jedynie wyrządzenie krzywdy innym.

To nie takie proste. Podobnie jak jedno słowo może znaczyć coś w jednym zdaniu i zupełnie coś innego w innym albo zmienić znaczenie wraz ze zmianą tonu, również działanie może być pomocne lub krzywdzące, w zależności od okoliczności. OCW nie pomaga ludziom osądzać, co jest dobre, a co złe, a jedynie usuwa wolę podjęcia działania, które w większości przypadków może skończyć się wyrządzeniem komuś krzywdy. Oznacza to, że czasami uniemożliwi Donowi uczynienie czegoś dobrego. Nawet ja to wiem i jestem pewny, że Lucia też o tym wie, tylko z jakichś względów nie przyjmuje tego do wiadomości.

- I pomyśleć, że ufałam mu i tak długo trzymałam w grupie! - dodaje. - Nigdy bym nie pomyślała, że mógłby zrobić coś takiego. Wstrętna zmija. Mam ochotę osobiście wydrapać mu oczy.

Dzięki jednemu z przeblysków intuicji wiem, że Lucia skupia się w tej chwili bardziej na własnych odczuciach niż moich. Jest zraniona tym, że Don ją oszukał; wydaje się jej, że zrobił z niej idiotkę, a ona nie chce być uważana za głupią. Jest dumna ze swojej inteligencji. Chce, żeby go ukarano, ponieważ ją skrzywdził, a przynajmniej zranił jej ego.

Nie jest to ładne zachowanie i nie wiedziałem, że Lucia potrafi być taka. Czy powinienem był to o niej wiedzieć tak samo, jak ona powinna poznać się wcześniej na Donie? Jak normalni ludzie by wytrzymali, gdyby wiedzieli wszystko o innych i ich tajemnicach? Czy nie kręciłoby się im od tego w głowach?

- Nie potrafisz czytać w ludzkich umysłach, Lucio - mówi Marjory.

- Wiem o tym! - Lucia poprawia gwałtownym ruchem włosy i wyłamuje sobie palce. - To tylko... Do licha, nie cierpię, jak ktoś robi ze mnie idiotkę, a mam wrażenie, że tak właśnie się stało. - Patrzy na mnie. - Przepraszam, Lou, jestem straszną egoistką. Tak naprawdę liczysz się ty i twoje samopoczucie.

To tak jakbym obserwował tworzenie się kryształu w roztworze przesyconym - kiedy widzę, jak jej normalna osobowość, zwykła osobowość, znów wyłania się z rozgniewanej kobiety, jaką była jeszcze przed chwilą. Czuję się lepiej, ponieważ zrozumiała, co robi, i nie będzie już zachowywać się w taki sposób. Jednak poszło jej to wolniej niż analiza postępowania innych. Zastanawiam się, czy wejrzenie w siebie i zrozumienie, co się naprawdę dzieje, zabiera normalnym ludziom więcej czasu niż osobom autystycznym; a może nasze mózgi pracują z taką samą prędkością. Ciekawe, czy do tej swojej autoanalizy Lucia potrzebowała słów Marjory.

Zastanawiam się, co Marjory naprawdę o mnie myśli. Patrzy teraz na Lucie, ale co chwilę zerka na mnie. Jej włosy są takie piękne... Przyłapuję się na analizowaniu ich barwy i stosunku do siebie różnych odcieni, a także sposobu, w jaki przy najlżejszym poruszeniu odbija się od nich światło.

Siadam na podłodze i zaczynam rozgrzewkę. Po chwili dołączają do mnie kobiety. Jestem nieco zeszywniały; dopiero po kilku próbach mogę dotknąć czołem kolan. Marjory tego nie potrafi; włosy opadają jej przed twarz, omiatając kolana, lecz czoło wciąż dzielą od nich dobre cztery cale.

Po rozgrzewce wstaję i idę do magazynku po sprzęt. Tom jest już na zewnątrz z Maksym i Simonem, sędzią z turnieju. Krąg lamp rozświetla środek podwórka, pogrążając jego okolice w głębokim cieniu.

- Cześć, kolego - mówi Max. Do wszystkich mężczyzn zwraca się „kolego”. To głupie, ale tak właśnie się zachowuje. - Jak się masz?

- Świetnie - odpowiadam.

- Słyszałem, że wykorzystales przeciwko Donowi szermierczy zwód - podejmuje Max. - Szkoda, że tego nie widziałem.

Myślę, że w rzeczywistości Max wcale nie chciałby tam być, niezależnie od tego, co wydaje mu się teraz.

- Lou, Simon był ciekawy, czy mógłby z tobą powalczyć - wtrąca Tom. Cieszę się, że nie pyta, jak się czuję.

- Owszem - zgadzam się. - Założę maskę.

Simon nie dorównuje wzrostem Tomowi, jest też chudszy. Ma na sobie starą, pikowaną kurtkę do szermierki, która przypomina białe kostiumy używane podczas oficjalnych zawodów, z tą różnicą, że jego strój jest w zielone pasy.

- Dziękuję - mówi, po czym dodaje, jakby wiedział, że patrzę na jego kurtkę: - Moja siostra chciała kiedyś mieć zielony kostium, a o szermierce wiedziała więcej niż o farbowaniu ubrań. Kurtka na początku wyglądała znacznie gorzej; teraz już trochę spłowiała.

- Nigdy nie widziałem zielonego stroju - przyznaję.

- Ani nikt inny - potwierdza. Nosi zwyczajną, białą maskę, poźółkłą od zużycia. Na rękach ma brązowe rękawice. Zakładam maskę.

- Jaka broń? - pytam.

- A jaka jest twoja ulubiona? - odpowiada pytaniem.

Nie mam ulubionej broni; każdy oręż i ich kombinacje wymaga innych wzorów.

- Zaczniście od szpady i sztyletu - mówi Tom. - Będzie na co popatrzeć.

Biorę szpadę i sztylet i tak długo układam je w rękach, aż znajduję wygodny chwyt - prawie ich nie czuję i tak właśnie powinno być. Szpada Simona ma wielką osłonę w kształcie dzwonu, za to sztylet - jedynie prosty pierścień. Jeśli mój przeciwnik nie jest zbyt dobry w parowaniu, będę miał szansę trafić go w dłoń. Ciekawe, czy zamierza obwoływać trafienia. Jest sędzią; na pewno okaże się uczciwy.

Stoi rozluźniony, z ugiętymi kolanami, co wskazuje na osobę fechtującą się na tyle długo, by dobrze się czuć w takiej pozycji. Pozdrawiamy się; jego ostrze ze świstem tnie powietrze, gdy kończy salut gwałtownym zamachem w dół. Czuję, jak ściska mnie w żołądku. Nie wiem, co teraz robi. Nim zdążę coś wymyślić, rzuca się naprzód, czego my prawie nigdy tutaj nie robimy - ramię ma wyciągnięte na całą długość, a tylną nogę wyprostowaną. Okręcam się, błyskawicznie opuszczając sztylet i blokując nim pchnięcie, po czym zadaję własny cios, ponad jego sztyletem. Ale on jest szybki, szybszy od Toma. Unosi ramię i paruje cios.

Po wypadzie tak szybko wraca do pozycji wyjściowej, że nie mam okazji wykorzystać chwilowego unieruchomienia. Przyjmuje neutralną pozycję i kiwa mi głową.

- Dobry blok - chwali.

W żołądku ściska mnie jeszcze mocniej. Uświadamiam sobie, że to nie strach, tylko podniecenie. Simon może być nawet lepszy od Toma. Wygra, ale i ja się czegoś nauczę. Umyka w bok; podążam za nim. Przypuszcza kilka szybkich ataków, a ja wszystkie paruję, choć sam nie kontratakuję. Chcę zobaczyć jego wzór, który jest zupełnie inny. Znowu. I znowu. Nisko, wysoko, wysoko, nisko, nisko, wysoko, nisko, nisko, nisko, nisko, nisko, wysoko, wysoko. Prze-widując jego następny ruch, przypuszczam własny atak w chwili, gdy tnie nisko i tym razem nie ma czasu się zasłonić, a ja

zdobywam punkt, lekko dotykając jego ramienia.

- Dobrze - chwali, odstępując. - Znakomicie.

Zerkam na Toma, który kiwa głową z uśmiechem. Max potrząsa złączonymi rękami nad głową; on też się uśmiecha. Trochę mi niedobrze. W chwili kontaktu ujrzałem twarz Dona i poczułem cios, jaki mu zadałem, i zobaczyłem, jak składa się w pół. Potrząsam głową.

- W porządku, Lou? - pyta Tom. Nie chcę nic mówić. Nie wiem, czy powinienem dalej walczyć.

- Poproszę o przerwę - mówi Simon, choć walczyliśmy tylko przez kilka minut. Jest mi głupio; wiem, że robi to ze względu na mnie i nie powinienem mieć o to pretensji, ale mam. Wciąż czuję w ręce tamten cios, zapach oddechu wyciśniętego z płuc Dona, dźwięk, widok i dotyk - wszystko razem. Część mojego umysłu pamięta książkę i rozprawę o pamięci, stresie i urazie, większość jednak pogrąża się w spirali smutku, strachu i gniewu.

Walczę z tym, mrugając i czepiając się fragmentu muzyki, który rozbrzmiewa mi w głowie; spirala rozwija się i znika.

- Nic... mi... nie... jest - dukam. Mówienie przychodzi mi z trudem, ale czuję się lepiej. Unoszę ostrze. Simon się cofa i także unosi broń.

Pozdrawiamy się ponownie. Tym razem jego atak jest równie szybki, ale całkowicie inny; w ogóle nie dostrzegam żadnego wzoru, mimo to decyduję się zaatakować. Jego klinga mija moją zastawę i trafia nisko w lewą stronę brzucha.

- Dobrze - mówię.

- Zmuszasz mnie do zbyt wielkiego wysiłku - wyznaje Simon. Słyszę, jak ciężko dyszy; wiem, że jest tak, jak mówi. - Cztery razy omal mnie nie trafiłeś.

- Nie udało mi się ta zastawa - przyznaję. - Była za słaba...

- Sprawdźmy, czy popełnisz ten błąd dwa razy - proponuje. Salutuje i tym razem to ja atakuję pierwszy. Nie zaliczam trafienia, a jego ataki wydają się szybsze od moich; dwa czy trzy razy zmusza mnie do parowania, nim dostrzegam lukę w jego obronie. Niestety, zanim zadaję cios, trafia mnie w prawe ramię.

- Stanowczo zbyt ciężko - mówi. - Lou, jesteś naprawdę niezłym szermierzem. Widziałem to na turnieju; debiutanci nigdy nie wygrywają i miałeś typowe dla żółtodzioba problemy, ale widać było, że wiesz, co robisz. Czy kiedykolwiek myślałeś o klasycznej szermierce?

- Nie - odpowiadam. - Znam tylko Toma i Lucie...

- Powinieneś się nad tym zastanowić. Tom i Lucia to jedni z najlepszych podwórkowych trenerów... - Simon uśmiecha się do Toma, który odpowiada naburmuszoną miną - ...ale odrobina klasycznej techniki poprawiłaby pracę twych nóg. Ostatnim razem trafiłem cię nie dzięki szybkości, lecz dodatkowemu zasięgowi ramienia, bo wiem, jak dokładnie postawić stopę, by uzyskać jak największy zasięg przy jak najmniejszym odsłonięciu się. - Simon zdejmuje maskę, wiesz szpadę na kołku i wyciąga do mnie dłoń. - Dziękuję, Lou, za dobrą walkę. Może to powtórzymy, jak tylko odsapnę.

- Dziękuję - mówię i ściskam mu rękę. Ma uścisk silniejszy niż Tom. Brak mi tchu; odwieszam ostrze i wsuwam maskę pod wolne krzesło, na którym zaraz siadam. Zastanawiam się, czy naprawdę mnie lubi, czy będzie taki jak Don i potem mnie znienawidzi. Ciekawe, czy Tom powiedział mi, że jestem autystyczny.

- Przepraszam - mówi Lucia; wyszła na zewnątrz ze sprzętem i usiadła obok mnie. - Nie powinnam tak wybuchać.

- Nie jestem zły - zapewniam ją. Teraz już nie, skoro się przekonałem, że wie, co złego zrobiła, i już tego nie robi.

- Dobrze. Słuchaj... wiem, że lubisz Marjory, a ona lubi ciebie. Nie pozwól, żeby to całe zamieszanie z Donem coś zepsuło, OK?

- Nie wiem, czy Marjory lubi mnie w jakiś specjalny sposób - przyznaję. - Don powiedział, że tak, ale ona tego nie powiedziała.

- Wiem. Trudna sprawa. Dorośli nie są równie bezpośredni jak dzieci, przez co stwarzają sobie masę problemów.

Marjory wychodzi z domu, zapinając szermierczą kurtkę. Uśmiecha się do mnie i Lucii - nie jestem pewny, do kogo kieruje ten uśmiech - gdy zamek się zacina.

- Jadłam za dużo pączków - mówi. - Albo za mało chodzę, czy coś w tym rodzaju.

- Chodź... - Lucia wyciąga rękę i Marjory podchodzi tak, żeby Lucia mogła rozpiąć zamek i jej pomóc.

Nie wiedziałem, że wyciągnięcie ręki sygnalizuje chęć udzielenia pomocy. Myślałem, że wyciągnięta ręka oznacza prośbę o pomoc. Może ma takie znaczenie tylko w kombinacji ze słowem „chodź”.

- Pofechtujemy się trochę, Lou? - pyta Marjory.

- Tak - odpowiadam. Czuję, że się czerwienię. Zakładam maskę i podnoszę szpadę. - Chcesz walczyć szpadą i sztyłem?

- Pewnie - mówi Marjory. Zakłada maskę i nie widzę już jej twarzy, jedynie błysk oczu i zębów, kiedy się odzywa. Za to nadal dostrzegam jej kształty pod szermierczą kurtką. Chciałbym ich dotknąć, ale to nie byłoby właściwe. Tak mogą tylko dziewczyny ze swoimi chłopakami.

Marjory salutuje. Walczy według prostszego wzoru niż Tom i z łatwością mógłbym zaliczyć trafienie, lecz to zakończyłoby pojedynek. Paruję, wykonuję krótkie pchnięcie, ponownie paruję. Gdy nasze ostrza się stykają, czuję dotyk jej dłoni. Dotykamy się bez dotykania. Krąży to w jedną, to w drugą stronę, przesuwa do przodu i w tył, a ja za nią podążam. To rodzaj tańca, wzorzec ruchu, tyle że bez muzyki. Przypominam sobie wszystkie znane mi utwory, próbując połączyć któryś z naszym tańcem. Próba dostosowania mojego wzoru do jej wywołuje we mnie dziwne wrażenie. Nie chcę jej pokonać, a jedynie czuć zwarcie, dotyk ostrzy na dłoniach i plecach.

Paganini. *Pierwszy koncert na wiolonczelę*, w tonacji D-dur, Opus 6, część trzecia. Nie do końca pasuje, ale jest najlepszy spośród wszystkich fragmentów muzyki, jakie potrafię sobie przypomnieć. Stateczny, a jednocześnie szybki, z krótkimi przerwami, kiedy Marjory wyłamuje się z rytmu, zmieniając kierunek. Przyspieszam lub zwalням wyimaginowaną muzykę, by pasowała do naszych ruchów.

Ciekawe, co słyszy Marjory. Zastanawiam się, czy zdołałaby usłyszeć muzykę, którą ja słyszę. Gdybyśmy oboje myśleli o tej samej muzyce, to czy słyszelibyśmy ją w taki sam sposób?

Zgrywalibyśmy się czy nie? Słyszę dźwięki jak kolory w mroku, dla niej mogą to być ciemne linie na świetle, tak jak zapisuje się nuty.

Gdybyśmy to połączyli, to czy nie zniesie się to nawzajem: ciemne na jasnym i jasne na ciemnym? Albo...

Trafienie Marjory przerywa moje rozmyślenia.

- Dobrze - mówię i daję krok wstecz. Kiwa głową i ponownie salutuje.

Czytałem kiedyś opis myślenia jako światła i nie-myślenia jako mroku. Podczas fechtunku zastanawiam się nad różnymi sprawami i Marjory zdobywa punkt szybciej ode mnie. Jeśli więc ona nie zastanawia się nad różnymi sprawami, to czy nie-myślenie

sprawia, że jest szybsza, i czy **ten** mrok jest szybszy od światła mojego myślenia?

Nie wiem, jaka jest prędkość myśli. Nie wiem, czy prędkość myśli jest u każdego taka sama. Czy to prędkość, czy głębia myślenia sprawiają, że jego style różnią się od siebie?

Wiolonczela wznosi się w spiralnym wzorze i Marjory gubi rytm. Ruszam w solowy płas i zaliczam trafienie.

- Dobrze - mówi i odstępuje do tyłu. Jej ciało porusza się w rytm głębokich oddechów. - Wykończyłaś mnie, Lou; to była długa walka.

- A co ze mną? - pyta Simon. Chciałbym zostać z Marjory, ale spodobał mi się wcześniejszy pojedynek z Simonem i chcę zrobić to jeszcze raz.

Tym razem słyszę inną muzykę. Fantazja *Carmen* Sarasate'a... doskonała do kociego krążenia Simona wokół mnie, wypatrywania luki w obronie i koncentracji. Nigdy nie sądziłem, że potrafiłbym tańczyć - to umiejętność towarzyska, a wtedy zawsze sztywnieję i robię się niezdarny. Teraz jednak, z ostrzem w dłoni, dobrze jest poruszać się w rytm wewnętrznej muzyki.

Simon jest lepszy ode mnie, ale się tym nie przejmuję. Jestem ciekawy, co potrafi i co ja mogę zrobić. Zdobywa punkt, potem drugi, ale po chwili go trafiam.

- Do pięciu? - pyta. Zdyszany, kiwam głową.

Tym razem żaden z nas nie zalicza szybko trafienia. Walczymy długo, aż wreszcie zdobywam punkt, bardziej dzięki szczęściu niż umiejętnościom. Remisujemy. Pozostali stoją w milczeniu i patrzą. Wyczuwam ich zainteresowanie, ciepłe miejsce na plecach. Naprzód, na boki, dookoła, wstecz. Simon zna i blokuje wszystkie moje ciosy; mnie udaje się parować jego. W końcu robi coś, czego nawet nie dostrzegam: jego ostrze pojawia się w miejscu, gdzie przed chwilą je zablokowałem, i przeciwnik trafia mnie, wygrywając pojedynek.

Spływam potem mimo chłodu nocy. Jestem pewny, że brzydko pachnę, toteż zaskakuje mnie Marjory, która podchodzi do mnie i dotyka mojego ramienia.

- To było wspaniałe, Lou - chwali. Zdejmuję maskę. Oczy jej błyszczą, a uśmiech jest tak szeroki, że niemal sięga włosów.

- Jestem spocony - mówię.

- I nic dziwnego po czymś takim - zauważa. - Rany. Nie wiedziałam, że potrafisz tak walczyć.

- Ani ja - przyznaję.

- Teraz kiedy już to wiemy - odzywa się Tom - powinniśmy zabierać cię na inne turnieje. Co o tym myślisz, Simon?

- Jest więcej niż gotowy. Najlepsi szermierze naszego stanu z nim sobie poradzą, ale jak tylko

zdobędzie trochę obycia, będą musieli solidnie się przy tym napracować.

- No to jak, Lou, pojedziesz z nami na następny turniej? – pyta Tom.

Przenika mnie chłód. Myślę, że chcą być mili, ale Don wściekł się na mnie właśnie z powodu turnieju. Co będzie, jeśli ktoś zezłości się na mnie po każdym turnieju, przez co kolejnym osobom będą wszczepiać OCW?

- To cała sobota - mówię.

- Zgadza się, a czasem również cała niedziela – przypomina Lucia. - Czy to jakiś problem?

- Ja... chodzę w niedziele do kościoła - odpowiadam. Marjory patrzy na mnie.

- Nie wiedziałam, że chodzisz do kościoła, Lou - rzuca.

- Cóż, mógłbyś być tylko w sobotę... w soboty nie brakuje ci wolnego czasu, Lou?

Nie bardzo wiem, co powiedzieć. Nie sądzę, żeby zrozumieli, gdybym powiedział im o Donie. Wszyscy na mnie patrzą; skręcam się w sobie. Nie chcę, żeby się na mnie gniewali.

- Najbliższy lokalny turniej odbędzie się w Święto Dziękczynienia - mówi Simon. - Nie musisz podejmować decyzji dzisiaj. - Przygląda mi się z zainteresowaniem. - Martwisz się, że znowu ktoś nie będzie obwoływał trafień, Lou?

- Nie... - Ponownie czuję, jak zaciska mi się gardło. Zamykam oczy, żeby się uspokoić. - Chodzi o Dona – przyznaję wreszcie. - Rozzłościł się na turnieju. Myślę, że to dlatego... tak się pogniewał. Nie chcę, żeby to samo przytrafiło się komuś innemu.

- To nie twoja wina - mówi zdenerwowanym głosem Lucia.

No właśnie, myślę. Ludzie denerwują się z mojego powodu, nawet jeśli nie są na mnie źli. Nie musi być w tym mojej winy.

- Rozumiem, o co ci chodzi - oznajmia Marjory. - Nie chcesz sprawiać kłopotów, prawda?

- Tak.

- i nie masz pewności, że nikt się na ciebie nie pogniewa?

- Tak.

- Ale, Lou, zdarza się również, że ludzie wściekają się na innych bez żadnych przyczyn. Don był zły na Toma. Ktoś może się obrazić na Simona. Bywało, że ludzie złościли się na mnie. Tak już po prostu jest. Dopóki ludzie nie robią niczego złego, nie mogą wiecznie się zastanawiać, czy nikogo nie urazili.

- Może wy tak się tym nie przejmujecie - mówię. Obdarza mnie spojrzeniem, które miało chyba coś oznaczać, ale nie wiem co. Czy wiedziałbym, gdybym był normalny? Jak normalni ludzie uczą się znaczenia takich spojrzeń?

- Może i tak - przyznaje. - Kiedyś zawsze zakładałam, że wina leży po mojej stronie. Bardzo się tym martwiłam. Ale to jest... - urywa i domyślam się, że szuka ładnego słowa. Wiem o tym, ponieważ sam często mówię wolniej, gdy szukam odpowiedniego wyrażenia. - Trudno jest ustalić, do jakiego stopnia należy się tym przejmować - kończy wreszcie.

- Tak - zgadzam się.

- Problemem są ludzie, którzy chcą, żebyś myślał, że wszystko jest twoją winą - mówi Lucia. - Zawsze obwiniają innych o swoje uczucia, szczególnie o złość.

- Lecz czasami złość jest usprawiedliwiona - wtrąca Marjory. - Nie chodzi mi o Lou i Dona; Lou nie zrobił nic złego. Przeważała zazdrość Dona. Rozumiem jednak, o co chodzi Lou. Nie chce

być przyczyną cudzych kłopotów.

- Nie będzie - zapewnia Lucia. - Nie ten typ. - Obrzuca mnie zupełnie innym spojrzeniem niż wcześniej Marjory. Też nie wiem, co ono oznacza.

- Lucio, czemu nie spróbujesz sił z Simonem? - pyta Tom. Wszyscy milkną i patrzą na niego. Lucia nieruchomieje z półotwartymi ustami. Po chwili zamyka je z cichym westchnieniem.

- Świetnie - mówi. - Minęło sporo czasu. Simonie?

- Z przyjemnością- odpowiada z uśmiechem.

Obserwuję Lucie i Simona. Jest lepszy od niej, ale nie zdobywa tylu punktów, ile powinien. Dostrzegam, że walczy na granicy jej poziomu, nie wykorzystując wszystkich sztuczek. To bardzo uprzejme. Jestem świadomy obecności Marjory obok mnie, zapachu suchych liści, przyniesionych przez wiatr pod kamienny krawężnik, i chłodnego wietrzyku na karku. Jest mi dobrze.

O dziewiątej nie jest już chłodno, tylko zimno. Wszyscy wchodzimy do środka i Lucia przyrządza gorącą czekoladę. Pierwszy raz w tym roku. Pozostali pogrążeni są w rozmowie; siedzę oparty o zielony skórzany podnózek i staram się przysłuchiwać, obserwując jednocześnie Marjory. Kiedy mówi, bardzo często gestykuluje. Kilka razy macha dłonią w sposób, który jak mnie uczono, jest oznaką autyzmu. Widziałem ten gest także u innych i zawsze się zastanawiałem, czy byli autystyczni, czy jedynie częściowo autystyczni.

Rozmawiają o minionych turniejach - kto wygrał, a kto przegrał, kto był sędzią i jak zachowywali się uczestnicy. Nikt nie wspomina o Donie. Gubię się w imionach; nie znam tamtych ludzi. Nie rozumiem, dlaczego „Bart to taka ropucha”, jak wyrażają się o niej jakimś Barcie, choć jestem pewny, iż nie mają na myśli tego, że Bart jest płazem o pokrytej brodawkami skórze, tak samo jak Don tak naprawdę wcale nie jest „kosą”. Przenoszę wzrok z Marjory na Simona, potem na Toma, Lucie, Maksa i Susan, starając się nadażyć za mówcą, nie potrafię jednak przewidzieć, kto zaraz skończy, a kto zacznie. Czasami następuje dwu-, trzysekundowa przerwa, a kiedy indziej jedna osoba się odzywa, kiedy inna jeszcze mówi.

To na swój sposób fascynujące. Niemal jak obserwacja prawie-wzorów w chaotycznym systemie. Jak przypatrywanie się rozpadowi i rekombinacji molekuł. Mam wrażenie, że to pojmuję, ale zaraz dochodzi do czegoś, czego nie przewidziałem. Nie wiem, jak mogą w tym uczestniczyć, nie gubiąc jednocześnie wątku.

Stopniowo dostrzegam, że wszyscy milkną, gdy odzywa się Simon; pozwalają mu włączyć się w rozmowę. Sam nie przerywa zbyt często, lecz jemu nie przerywa nikt. Jeden z moich nauczycieli powiedział, że przemawiająca osoba wskazuje tego, kto powinien zabrać po niej głos, patrząc nań. Wtedy zwykle nie potrafiłem określić, gdzie ktoś patrzy, chyba że robił to dosyć długo. Teraz umiem już podążać za większością spojrzeń. Simon patrzy na różne osoby. Max i Susan zawsze patrzą najpierw na Simona, dając mu pierwszeństwo. Tom zerka na Simona co drugi raz, Lucia co trzeci. Simon nie zawsze zabiera głos, gdy ktoś na niego patrzy; wówczas taka osoba przenosi wzrok na kogoś innego.

Jednak wszystko dzieje się bardzo szybko -jak oni mogą za tym nadażyć? I dlaczego Tom patrzy na Simona tylko co jakiś czas, a nie ciągle? Skąd wie, że ma spojrzeć właśnie na Simona?

Uświadamiam sobie, że Marjory mnie obserwuje, i natychmiast się czerwienię. Głosy pozostałych zaczynają się zamazywać, wzrok traci ostrość. Chcę schować się w cieniu, ale tu nie ma cienia. Spuszczam wzrok. Nasłuchuję jej głosu, lecz ona nie odzywa się zbyt często.

Potem zmieniają temat i zaczynają mówić o sprzęcie: stalowe ostrza kontra kompozytowe, stara stal kontra nowa. Wydaje się, że wszyscy preferują stal, choć Simon opowiada o ostatnich oficjalnych zawodach, jakie widział, gdzie używano kompozytowych ostrzy z wbudowanymi chipami, które emitowały brzęk stali, gdy klingi o siebie uderzały. „Dziwaczne”, zauważa.

Potem mówi, że musi już iść, i wstaje. Tom również wstaje; Max także. Podnoszę się. Simon ściska Tomowi dłoń, mówiąc:

- Świetnie się bawiłem. Dzięki za zaproszenie.

Tom odpowiada, że Simon zawsze jest tutaj mile widziany. Max wyciąga rękę i mówi:

- Dziękujemy za przybycie. To był dla nas zaszczyt. Simon ściska mu dłoń, odpowiadając, że nie ma sprawy. Nie wiem, czy mam wyciągnąć rękę, czy nie, ale Simon mnie ubiega, podając mi swoją, a ja ją ściskam, choć tego nie lubię - wydaje mi się to takie bezcelowe.

- Dziękuję, Lou. Świetna walka - mówi.

- Nie ma sprawy - odpowiadam. W pokoju zapada pełna napięcia cisza i martwię się, że powiedziałem coś niewłaściwego, choć przecież powtórzyłem tylko słowa Simona, ale ten zaraz klepie mnie po ramieniu.

- Mam nadzieję, że zmienisz zdanie o turniejach - oznajmia. - To była czysta przyjemność.

- Dziękuję - bąkam.

Gdy Simon zmierza do drzwi, Max mówi:

- Ja też muszę już iść - na co Susan podnosi się z podłogi. Na mnie również czas. Rozglądam się dokoła; wszyscy mają przyjazne miny, ale wydawało mi się, że twarz Dona również była przyjazna. Skąd mam wiedzieć, czy któreś z nich nie jest na mnie złe?

* * *

W czwartek mamy pierwszą odprawę medyczną, podczas której możemy zadawać pytania. Biorą w niej udział dwaj lekarze: doktor Ransome o siwych, kręconych włosach oraz doktor Handsel, którego proste ciemne włosy wyglądają, jakby zostały przyklepione do czaszki.

- Czy to jest odwracalne? - pyta Linda.

- Cóż... Nie. Cokolwiek się stanie, tak już pozostanie.

- Jeśli więc się nam nie spodoba, nie będziemy mogli stać się na powrót normalni?

Należałoby zacząć od tego, że nie jesteśmy normalni, ale nie mówię tego głośno. Linda wie o tym równie dobrze jak ja. Po prostu żartuje.

- Eee... nie, nie będziecie mogli. Prawdopodobnie. Ale nie rozumiem, dlaczego...

- ... mielibyśmy tego chcieć? - kończy Cameron. Na jego twarzy maluje się napięcie. - Lubię siebie takim, jaki jestem. Nie wiem, czy polubię siebie takim, jakim się stanę.

- Nie powinno być aż takiej różnicy - uprzedza doktor Ransome. Lecz każda różnica jest różnicą. Nie jestem tą samą osobą, jaką byłem, zanim zaczął prześladować mnie Don. Nie tylko jego działania mnie zmieniły, także spotkania z policjantami. Dowiedziałem się o czymś, czego nie wiedziałem wcześniej, a wiedza zmienia ludzi. Unoszę rękę.

- Tak, Lou - zachęca mnie doktor Ransome.

- Nie rozumiem, jak leczenie mogłoby nas *nie* zmienić - mówię. - Jeśli ma to znormalizować nasze postrzeganie zmysłowe, to jednocześnie zmieni prędkość i rodzaj przyjmowanych informacji,

co z kolei zmodyfikuje naszą percepcję i przetwarzanie...

- Owszem, ale ty, twoje ja, pozostanie takie samo, przynajmniej w większości. Będiesz lubił te same rzeczy, tak samo będziesz reagował...

- To *po co* ta zmiana? - pyta Linda. Sprawia wrażenie rozgniewanej; wiem, że jest bardziej zatroskana niż zła. - Mówią, że chcą nas zmienić, żebyśmy nie potrzebowali środków wsparcia, których obecnie potrzebujemy, jeśli jednak przestaniemy ich potrzebować, to będzie to oznaczało, że zmieniły się nasze preferencje... zgadza się?

- Nauka, jak radzić sobie z natłokiem danych, zabrała mi mnóstwo czasu - mówi Dale. - Co będzie, jeśli się okaże, że nagle nie mogę zajmować się rzeczami, którymi powinienem? - Mruga lewym okiem w niekontrolowanym tiku.

- Nie sądzimy, żeby doszło do czegoś takiego - powtarza lekarz. - Badacze naczelnych zaobserwowali jedynie pozytywne zmiany w zachowaniach społecznych...

- Nie jestem pieprzonym szympansem! - Dale wali dłońią w stół. Oko nieruchomieje mu na chwilę, po czym tik powraca.

Lekarz wygląda na zszokowanego. Dlaczego tak bardzo go zaskoczył gniew Dale'a? Czy byłby zadowolony, gdyby wypowiedano się o jego zachowaniach na podstawie obserwacji szympanów? A może tak właśnie zachowują się normalni? Czy postrzegają siebie jako zwykłe naczelne? Nie mogę w to uwierzyć.

- Nikt czegoś takiego nie sugeruje - mówi z lekką dezaprobatą lekarz. - Po prostu... szympany są najbliższym nam modelem. Po leczeniu ich osobowości nie uległy zmianie, znikło jedynie upośledzenie społeczne...

Szympany na całym świecie żyją obecnie w środowisku chronionym - w ogrodach zoologicznych lub instytutach badawczych.

Kiedyś żyły na wolności w dżunglach Afryki. Zastanawiam się, czy autystyczne szympany zachowywałyby się w ten sam sposób na wolności, czy zmienił je stres życia w zamknięciu. Na ekranie pojawia się slajd.

- Oto wzór aktywności normalnego mózgu, rozpoznającego twarz wśród innych twarzy - wyjaśnia lekarz. Na przeczroczu widać szary zarys mózgu z niewielkimi, świecącymi na zielono punktami. Dzięki temu, co przeczytałem, rozpoznaję kilka lokalizacji... Nie, rozpoznaję ten slajd. To ilustracja 16-43d z rozdziału szesnastego *Funkcjonowania mózgu*. - A tutaj... - zmiana slajdu - ... mamy wzór aktywności autystycznego mózgu w trakcie tego samego procesu. - Kolejny szary obrys z maleńkimi, błyszczącymi zielenią kropkami. Ilustracja 16-43c z tego samego rozdziału.

Próbuję przypomnieć sobie podpisy z książki. Nie wydaje mi się, żeby chodziło o aktywność normalnego mózgu podczas rozpoznawania znanej sobie twarzy ze sfotografowanej grupy. Raczej była to aktywność normalnego mózgu na widok znajomej twarzy. Połączenie... tak, już sobie przypominam. Dziewięciu zdrowych ochotników wybranych spośród studentów zgodnie z procedurą zaaprobowaną przez komitet etyczny badań nad ludźmi...

Na ekranie widnieje już kolejny slajd. Znowu szary obrys, następny zestaw kropek, tym razem niebieskich. Monotonne brzęczenie głosu lekarza. To przeczroczę także rozpoznaję. Próbuję sobie przypomnieć, co mówiła o nim książka, jednocześnie słuchając mówcy, ale mi się to nie udaje. Wszystko mi się miesza.

Podnoszę rękę. Przerywa i mówi:

- Tak, Lou?

- Czy możemy otrzymać kopie tych materiałów, żeby zapoznać się z nimi później? Trudno to wszystko sobie przyswoić za jednym razem.

Marszczy brwi.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł, Lou. To nadal własność... materiały ściśle tajne. Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś więcej, możesz zapytać mnie lub swojego doradcę, albo obejrzeć sobie te slajdy ponownie, choć - chichocze - nie wydaje mi się, żeby zbyt wiele ci powiedziały. Nie jesteś przecież neurologiem.

- Trochę czytałem - mówię.

- Doprawdy... - zaczyna cedzić słowa. - Co czytałeś, Lou?

- Kilka książek - odpowiadam. Nagle nie chcę mu wyjawić, jakie książki przeczytałem. Sam nie wiem dlaczego.

- O mózgu? - pyta.

- Tak. Pragnąłem zrozumieć, jak działa, zanim coś z nim zrobicie tą swoją kuracją.

- I... zrozumiałeś coś?

- To jest bardzo skomplikowane - mówię. - Podobne do równoległych procesów komputerowych, tylko bardziej złożone.

- Masz rację, to jest bardzo skomplikowane - przyznaje z satysfakcją. Jest chyba zadowolony, że nie powiedziałem, że to rozumiem. Ciekawe, co by powiedział, gdybym wyjawiał, że rozpoznaję te ilustracje.

Cameron i Dale patrzą na mnie. Nawet Bailey obrzuca mnie szybkim spojrzeniem i zaraz odwraca wzrok. Chcą wiedzieć, co wiem. Nie mam pojęcia, czy powinienem im powiedzieć, częściowo dlatego, że jeszcze sam nie wiem, co wiem... co to wszystko znaczy w tym kontekście.

Odsuwam od siebie myśli o książce i koncentruję się na słuchaniu, jednocześnie zapamiętując kolejne slajdy. W ten sposób nie przyswajam informacji - żadne z nas tego nie potrafi -ale wydaje mi się, że będę mógł później porównać przezrocza z książką.

W końcu slajdy z szarym obrysem mózgu i barwnymi kropkami zastępują przezrocza z molekułami. Nie rozpoznaję ich; nie widziałem takich w podręczniku chemii organicznej. Jedynie tu i ówdzie dostrzegam grupę hydroksylową lub aminową.

- Ten enzym reguluje ekspresję genu jedenastego czynnika wzrostu nerwów - mówi lekarz. - W normalnych mózgach jest to część pętli zwrotnej, która bierze udział w kontroli mechanizmów odpowiedzialnych za koncentrację w celu preferencyjnego przetwarzania społecznie ważnych sygnałów. A to jest jedna z rzeczy, które sprawiają wam problemy.

Przestał już udawać, że jesteśmy dla niego czymś innym, niż tylko kolejnym przypadkiem.

- Jest to także część leczenia autystycznych noworodków, które nie zostały rozpoznane i wyleczone w okresie płodowym, jak również dzieci, które przeszły infekcje zaburzające prawidłowy rozwój mózgu. Nasza nowa kuracja modyfikuje to, ponieważ dotychczasowe metody były skuteczne jedynie w pierwszych trzech latach rozwoju dziecka, dzięki czemu może wpływać na rozwój układu nerwowego u dorosłych.

- Czyli nauczy nas zwracać uwagę na innych ludzi? - pyta Linda.

- Nie, nie... Wiemy, że już to robicie. Nie jesteśmy tymi idiotami z połowy dwudziestego wieku, którzy myśleli, że osoby autystyczne po prostu ignorują innych ludzi. Kuracja pomoże wam zwracać uwagę na *sygnały* społeczne: wyraz twarzy, ton głosu, gesty... tego typu rzeczy.

Dale wykonuje wulgarny gest; lekarz nie reaguje. Zastanawiam się, czy naprawdę go nie zauważył, czy wolał zignorować.

- Ale czy ludzi nie trzeba uczyć, tak jak niewidomych, interpretacji nowych danych?

- Oczywiście. Dlatego właśnie częścią kuracji jest program edukacyjny. Symulacja sytuacji społecznych, wykorzystywanie generowanych komputerowo twarzy... - Następny slajd, tym razem ze zdjęciem szympansa o podwiniętej górnej wardze i wysuniętej dolnej. Wybuchamy śmiechem, nie mogąc się powstrzymać. Doktor czerwienieje ze złości. - Przepraszam... nie ten slajd. Oczywiście, to nie jest odpowiedni slajd. Mam na myśli ludzkie twarze i ćwiczenia z zachowań społecznych.

Dokonyjemy podstawowego oszacowania, po czym przejdziecie trwające od dwóch do czterech miesięcy szkolenie pokuracyjne...

- Oglądanie małych twarzy! - mówi Linda, śmiejąc się tak głośno, że w oczach pojawiają się jej łzy. Wszyscy chichoczymy.

- Powiedziałem, że to była pomyłka - przypomina lekarz. - Uczyliśmy psychoterapeutów metod interwencji... To bardzo ważna sprawa.

Pysk szympansa został zastąpiony rysunkiem grupy ludzi siedzących w kółku; jeden przemawia, a pozostali uważnie go słuchają. Kolejne przezrocze, na którym ktoś rozmawia z ekspedientką w sklepie odzieżowym. Na innym jakaś osoba korzysta z telefonu w biurze. To wszystko wygląda bardzo zwyczajnie i nudno. Na żadnym obrazie nie widać turnieju szermierczego ani rozmowy z policją po bójkę na parkingu. Jediną scenę z policjantem można by zatytułować: *Pytanie o drogę*. Policjant ze sztucznym uśmiechem na twarzy wyciąga ramię i wskazuje kierunek; pytający ma na głowie śmieszny kapelusz, na ramionach plecak, a w ręku książeczkę z napisem „Przewodnik turystyczny” na okładce.

Wygląda na pozowane. Wszystkie obrazki sprawiają wrażenie pozowanych, a przedstawieni na nich ludzie nie muszą nawet być prawdziwi. Mogą być - i prawdopodobnie są - komputerowymi kreacjami. Mamy być normalnymi, prawdziwymi ludźmi, a oczekuje się od nas nauki od tych nieprawdziwych, wymyślonych ludzi w zaaranżowanych sytuacjach. Lekarz i jego asystenci zakładają, że znają sytuacje, w jakich możemy się znaleźć lub z jakimi będziemy musieli sobie poradzić, i nauczą nas, jak mamy to zrobić. Przypomina mi to terapeutów z zeszłego stulecia, którzy uważali, że wiedzą, jakie słowa powinno się znać, i uczyli jedynie „podstawowego” słownictwa. Niektórzy z nich wręcz zabraniali rodzicom uczenia dzieci innych wyrazów, gdyż mogłoby to zahamować przyswajanie podstawowego słownictwa.

Tacy ludzie nie wiedzą, czego nie wiedzą. Moja mama zwykle recytowała krótki wierszyk, którego nie rozumiałem, dopóki nie ukończyłem dwunastu lat, a jedna z linijek brzmiała: „Ci, którzy niewiedzą i nie wiedzą, że nie wiedzą, są głupcami...” Lekarz nie wie, że powinienem umieć poradzić sobie na turnieju z mężczyzną, który nie obwołuje trafień, niedoszłym, zazdrosnym kochankiem z grupy szermierczej czy oficerami policji sporządzającymi raporty z aktów wandalizmu i zastraszania.

W tej chwili lekarz mówi o uogólnianiu umiejętności społecznych. Twierdzi, że po kuracji i szkoleniu nasze umiejętności społeczne powinny przydać się nam w każdej sytuacji życia codziennego. Zastanawiam się, co by pomyślał o umiejętnościach społecznych Dona.

Zerkam na zegarek. Sekundy migają; upłynęły już niemal dwie godziny. Lekarz chce wiedzieć, czy mamy jakieś pytania. Spuszczam wzrok. Pytania, jakie chciałbym zadać, są nieodpowiednie na tego typu spotkanie, poza tym nie sądzę, żeby na nie odpowiedział.

- Jak pan uważa, kiedy zaczniecie? - pyta Cameron.

- Chcielibyśmy zacząć z pierwszym obiektem... uhm, pacjentem... jak najszybciej. Do przyszłego tygodnia wszystko powinno być gotowe.

- Ilu za jednym zamachem? - chce wiedzieć Bailey.

- Dwoje. Chcielibyśmy zajmować się dwiema osobami jednocześnie, w odstępie trzydniowym. Dzięki temu nasz podstawowy zespół medyczny będzie mógł skoncentrować na nich swoje wysiłki podczas pierwszych krytycznych kilku dni.

- Czy zamierzacie odczekać jakiś czas po zakończeniu leczenia pierwszej dwójki, żeby się przekonać, czy podziałało? – pyta Bailey.

Lekarz kręci głową.

- Nie, lepiej zająć się całą grupą w możliwie krótkim czasie.

- Dzięki czemu będzie można to szybciej opublikować – słyszę swój głos.

- Co? - pyta lekarz. Pozostali patrzą na mnie. Wbijam wzrok w kolana.

- Jeśli skończymy szybko i wszyscy jednocześnie, będziecie mogli prędzej to opisać i opublikować. W przeciwnym razie za jęłoby to ponad rok.

Zerkam na jego twarz; ma czerwone i błyszczące policzki.

- To nie o to chodzi - mówi odrobinę za głośno. - Rzecz w tym, że dane można lepiej porównać, jeśli obiekty, jak wy, zostały poddane kuracji w zbliżonym czasie. Przypuśćmy, że wydarzyło się coś, co zmieniło sytuację od chwili ukończenia leczenia przez pierwszą dwójkę... coś, co wpłynęło na pozostałych...

- Co na przykład, grom z jasnego nieba, który zamieni nas w normalnych? - pyta Dale. - Boicie się, że zapadniemy na galopującą normalność i nie będziemy się nadawać na obiekty badań?

- Nie, nie - odpowiada lekarz. - Chodzi raczej o czynniki polityczne, które mogłyby zmienić wasze nastawienie...

Ciekawe, co o tym myślą władze. Czy władze w ogóle myślą? Przychodzi mi do głowy rozdział z *Funkcjonowania mózgu* pod tytułem: „Polityka zasad przeprowadzania badań”. Czy w ciągu najbliższych miesięcy ma się coś wydarzyć, pojawić się jakaś nowa regulacja prawna lub zmiana podejścia, która umożliwiłaby przeprowadzenie tych badań?

Mogę się tego dowiedzieć w domu. Nie sądzę, żeby ten człowiek udzielił mi uczciwej odpowiedzi, gdybym go o to zapytał.

Wychodzimy niesynchronicznie, nie dopasowując rytmu do pozostałych. Zwykle poruszamy się tak, by dostosować się do szczególnych cech osób z naszej grupy, teraz jednak maszerujemy w dysharmonii. Wyczuwam zagubienie i gniew. Nikt nic nie mówi. Ja też milczę. Nie chcę rozmawiać z tymi, którzy od tak dawna są moimi najbliższymi współpracownikami.

Po powrocie do naszego budynku znikamy szybko w swoich pokojach. Siadam i rozglądam się za wiatrakiem. Powstrzymuję się i zaraz zaczynam się zastanawiać, dlaczego to zrobiłem.

Nie chcę pracować. Chcę rozmyślać nad tym, co zamierzają zrobić z moim mózgiem i co to oznacza. To coś więcej, niż mówią; wszystko, co mówią, kryje w sobie więcej, niż mówią. Poza słowami jest ton, w którym kryje się kontekst zawierający w sobie niezbadane obszary normalnej socjalizacji, rozległe i ciemne jak noc, rozświetlane przez przypominające gwiazdy samotne światła doświadczeń.

Blask gwiazd, jak powiedział pewien pisarz, rozświetla cały wszechświat, sprawiając, że wszystko jaśnieje. Mrok to złudzenie, twierdził. Jeśli tak jest, to Lucia miała rację i mrok nie ma

prędkości.

Istnieje jednak zwyczajna niewiedza, brak wiedzy oraz świadoma ignorancja, która odmawia poznania i zakrywa światło ciemną zasłoną uprzedzeń. Uważam więc, że niewykluczone jest istnienie pozytywnego mroku, który może mieć prędkość.

Książki upewniają mnie, że mój mózg funkcjonuje bardzo dobrze nawet w obecnym stanie i że znacznie łatwiej jest rozregulować jego funkcje, niż je naprawić. Jeśli normalni ludzie naprawdę potrafią robić te wszystkie rzeczy, o które ich podejrzewam, to byłoby to pomocne... ale nie jestem wcale pewny, czy naprawdę je potrafią.

Nie zawsze rozumieją, czemu ludzie zachowują się w konkretny sposób. Widać to, gdy spierają się o swoje racje, motywy. Słyszałem, jak ktoś mówił do dziecka: „Robisz mi to na złość”, podczas gdy dla mnie było oczywiste, że dziecko robiło to dla zabawy... Nie zdawało sobie sprawy, jaki wpływ wywierało na dorosłych. Ja też byłem taki nieświadomy, więc rozpoznaję to u innych.

Dzwoni telefon. Odbieram.

- Lou, tu Cameron. Chcesz iść na pizzę? - Głos mechanicznie składa słowa.

- Dziś jest czwartek - mówię. - Będzie Cześć-Jestem-Jean.

- Ja, Chuy i Bailey i tak idziemy pogadać. I ty, jeśli przyjdiesz. Linda nie idzie. Dale nie idzie.

- Nie wiem, czy chcę iść - przyznaję. - Pomyślę. O której się tam wybieracie?

- O piątej - odpowiada.

- Są miejsca, gdzie lepiej o tym nie rozmawiać - przypominam.

- Pizzeria nie jest takim miejscem - mówi Cameron.

- Wiele osób wie, że tam chodzimy - nadmieniam.

- Inwigilacja? - pyta Cameron.

- Tak. Ale pójdzie tam to dobry pomysł, ponieważ tam chodzimy. Potem spotkamy się gdzie indziej.

- W Centrum.

- Nie - mówię, myśląc o Emmy. - Nie chcę iść do Centrum.

- Emmy cię lubi - zapewnia Cameron. - Nie jest zbyt inteligentna, ale cię lubi.

- Nie rozmawiajmy teraz o Emmy - proszę.

- Pomówimy o kuracji, ale po pizzy - wyznaje Cameron. - Nie wiem, dokąd możemy pójść, jeśli nie do Centrum.

Zastanawiam się nad różnymi miejscami, ale wszystkie są miejscami publicznymi. Nie powinniśmy rozmawiać o tym w miejscu publicznym. W końcu proponuję:

- Możecie przyjść do mnie. - Nigdy nie zapraszałem do siebie Camerona. Nigdy nikogo do siebie nie zapraszałem.

Milczy przez dłuższą chwilę. On też nigdy mnie do siebie nie zapraszał. Wreszcie mówi:

- Przyjdę. Nie wiem, jak inni.

- Zjem z wami kolację - mówię.

- Nie mogę zabrać się do pracy. Włączam wentylator. Spirale i wiatraczki się obracają, lecz roztańczone rozbłyski światła jakoś mnie nie uspokajają. Potrafię myśleć tylko o tym medycznym projekcie, który majaczy jak coś groźnego. Zupełnie jak na zdjęciu z surferem, nad którym piętrzy się fala. Doświadczony surfer przeżyje, ale żółtodziób zostanie zmiażdżony. Czy zdołamy okiełznać tę

falę?

Piszę i drukuję swój adres oraz wskazówki, jak tam dojechać z pizzerii. Muszę przerwać i spojrzeć na plan miasta, żeby upewnić się, czy podałem właściwe kierunki. Nie przywykłem do udzielania wskazówek innym kierowcom.

O piątej wyłączam wentylator, wstaję i wychodzę z pokoju. Przez kilka godzin nie zrobiłem nic pożytecznego. Czuję się wydrażony i jednocześnie gruby; słyszę w głowie ociężałą, przytłaczającą *Pierwszą symfonię* Mahlera. Na zewnątrz jest chłodno; wzdrygam się. Wsiadam do samochodu, uspokojony tym, że mam nienaruszone cztery opony, przednią szybę i silnik, który uruchamia się po przekręceniu kluczyka w stacyjce. Zgodnie z sugestią policji, wysłałem swojej firmie ubezpieczeniowej kopię raportu policyjnego.

W pizzerii nasz ulubiony stolik jest wolny; jestem wcześniej niż zazwyczaj. Siadam. Cześć-Jestem-Jean spogląda na mnie i odwraca wzrok. Chwilę później wchodzi Cameron, potem Chuy, Bailey i Eric. Przy naszej piątce stolik sprawia wrażenie pozbawionego równowagi. Chuy przesuwa się z krzesłem na sam koniec, a pozostali nieznacznie zmieniają pozycje; teraz jest symetrycznie.

Bez trudu mogę zerkać na migające logo piwa. Tego wieczoru mnie denerwuje; odwracam się lekko. Wszyscy są spięci. Bębnię palcami dłoni o udo, a Chuy kiwa głową w przód i w tył. Cameron porusza ramionami - obraca w kieszeni plastikowe kostki. Zaraz po złożeniu zamówienia Eric wyciąga kolorowy ołówek i zaczyna rysować swoje wzory.

Żałuję, że nie ma z nami Lindy ani Dale'a. Dziwnie jest tak siedzieć bez nich. Gdy przynoszą posiłek, jemy w całkowitym niemal milczeniu. Chuy wydaje rytmiczne „hunh” pomiędzy kęsami, a Bailey cmoka językiem. Po uporaniu się z większością porcji chrząkam donośnie. Wszyscy zerkają na mnie szybko, po czym odwracają wzrok.

- Czasami ludzie potrzebują miejsca, żeby pogadać - mówię. - Czasami może to być czyjeś mieszkanie.

- Czy może to być twoje mieszkanie? - pyta Chuy.

- Niewykluczone - odpowiadam.

- Nie wszyscy wiedzą, gdzie mieszkasz - podsuwa Cameron. Wiem, że on tego nie wie. Dziwne, w jaki sposób musimy rozmawiać o pewnych rzeczach.

- Oto wskazówki - mówię. Wyciągam wydruki i kładę je na stoliku. Każdy po kolei bierze sobie jeden. Nie zaczynają od razu czytać.

- Niektórzy muszą wcześniej wstać - oznajmia Bailey.

- Nie jest jeszcze późno - przypominam.

- Niektórzy będą musieli wyjść wcześniej niż inni, jeśli inni zostaną do późna.

- Wiem o tym - mówię.

Na parkingu są tylko dwa miejsca przeznaczone dla gości, ale wiem, że moi goście zaparkują bez problemu: większość mieszkańców nie ma własnych aut. Budynek wzniesiono w czasach, gdy każdy miał co najmniej jeden samochód.

Czekam na parkingu, dopóki nie przyjadą pozostali. Prowadzę ich na górę. Tyle stóp robi na schodach spory hałas. Nie wiedziałem, że będzie aż tak głośno. Danny otwiera drzwi.

- Och... cześć, Lou. Byłem ciekaw, co się dzieje.

- To moi przyjaciele - mówię.

- Dobrze, dobrze - mruczy Danny. Nie zamyka drzwi. Nie wiem, czego chce. Pozostali idą za mną do moich drzwi. Otwieram je i wpuszczam ich do środka.

To bardzo dziwne gościć u siebie innych ludzi. Cameron ogląda mieszkanie i znika w łazience. Słyszę go. Zupełnie jak w czasach, gdy mieszkałem w grupie. Nie lubiłem tego. Pewne rzeczy powinny pozostać czymś prywatnym; nie jest miło słyszeć kogoś w łazience. Cameron naciska spłuczkę w ubikacji, po czym słyszę wodę wlewającą się do umywalki; wreszcie wychodzi. Chuy patrzy na mnie, a ja kiwam głową. On również wchodzi do łazienki. Bailey przygląda się mojemu komputerowi.

- Nie mam w domu modelu stacjonarnego - mówi. – Używam kieszonkowego, jeśli muszę nad czymś popracować.

- Mój mi odpowiada - tłumaczę. Chuy wraca do salonu.

- A więc... co teraz? Cameron na mnie patrzy.

- Czytałeś o tym, Lou, prawda?

- Tak. - Zdejmuję z półki *Funkcjonowanie mózgu*. - Moja... przyjaciółka pożyczyła mi tę książkę. Powiedziała, że najlepiej zacząć właśnie od niej.

- Czy to kobieta, o której mówiła Emmy?

- Nie, ktoś inny. Jest lekarzem i żoną kogoś, kogo znam.

- Czy to lekarz od mózgu?

- Nie sądzę.

- Czemu dała ci tę książkę? Wypytywałeś ją o projekt?

- Zapytałem ją o książkę na temat funkcjonowania mózgu. Chcę wiedzieć, co zamierzają zrobić z naszymi.

- Ludzie, którzy nie studiowali, nie mają pojęcia, jak działa mózg - mówi Bailey.

- Ja też nie miałem, dopóki nie zacząłem czytać - przyznaję. - Wiedziałem tylko to, czego nauczyli nas w szkole, a nie było tego zbyt wiele. Właśnie dlatego chciałem się uczyć.

- I co? - pyta Cameron.

- Mnóstwo czasu zabiera nauczenie się wszystkiego, co wiadomo o mózgu - odpowiadam. - Wiem więcej niż przedtem, ale nie wiem, czy wiem wystarczająco dużo. Chcę wiedzieć, co ich zdaniem się stanie i co może pójść niewłaściwie.

- To skomplikowane - zauważa Chuy.

- Wiesz coś o funkcjonowaniu mózgu? - pytam.

- Niewiele. Moja starsza siostra była lekarzem, zanim umarła. Próbowiałem czytać jej książki, kiedy studiowała. Gdy jeszcze mieszkałem w domu z rodzicami. Ale wtedy miałem tylko piętnaście lat.

- Powiedz, czy uważasz, że mogą zrobić to, co zapowiadają - mówi Cameron.

- Nie wiem - odpowiadam. - Chciałem sprawdzić, co mówił dzisiaj lekarz. Nie jestem pewny, czy ma rację. Rysunki, które nam dzisiaj pokazywał, są w tej książce. - Stukam dłonią w okładkę. - Ale według niego, oznaczają coś innego. To nie jest nowa książka i pewne rzeczy się zmieniają. Muszę znaleźć nowe rysunki.

- Pokaż nam te rysunki - prosi Bailey.

Odnajduję stronę z rycinami ukazującymi aktywność mózgu i kładę książkę na niskim stoliku. Wszyscy do niej zagląдают.

- Piszą tutaj, że to jest obraz aktywności mózgu, kiedy ktoś widzi znajomą twarz - wyjaśniam. - Myślę, że wygląda to identycznie jak rysunek, o którym lekarz mówił, że to aktywność przy wypatrzeniu w tłumie znajomej twarzy.

- Jest taki sam - decyduje po chwili Bailey. - Stosunek szerokości linii do łącznej wielkości jest identyczny. Kolorowe kropki znajdują się w dokładnie tych samych miejscach. Jeśli to nie jest ta sama ilustracja, to na pewno kopia.

- Może w przypadku normalnych mózgow wzór aktywności jest zawsze taki sam - podsuwa Chuy.

Nie pomyślałem o tym.

- Powiedział, że drugi rysunek przedstawia autystyczny mózg osoby patrzącej na znajomą twarz - mówi Cameron. - Ale w książce napisano, że to wzór aktywności mózgu przy patrzeniu na kompozytową obcą twarz.

- Nie rozumiem, co to znaczy „kompozytowa obca” - wyznaje Eric.

- To komputerowo wygenerowana twarz złożona z rysów kilku prawdziwych twarzy - tłumaczę.

- Jeśli to prawda, że wzór aktywności autystycznego mózgu przy przyglądaniu się znajomej twarzy jest taki sam jak normalnego mózgu przy przyglądaniu się nieznajomej twarzy, to jaki jest wzór autystycznego mózgu przy przyglądaniu się nieznajomej twarzy? - pyta Bailey.

- Zawsze miałem kłopoty z rozpoznawaniem twarzy, które powinienem znać - mówi Chuy. - Nadal wiele czasu zajmuje mi nauczenie się czyichś rysów.

- Owszem, ale to robisz - przypomina Bailey. - Rozpoznajesz nas, prawda?

- Tak - odpowiada Chuy. - Ale zabiera mi to dużo czasu i najpierw rozpoznaję was po głosie, wzroście i ubraniu.

- Ważne, że wiesz jak, i to się właśnie liczy. Twój mózg robi to w inny sposób, ale robi.

- Mówiono mi, że mózg może wykonywać tę samą czynność na różne sposoby - informuje Cameron. - Podobnie jak w przypadku, gdy ktoś zostanie poszkodowany: podają mu lek, nie pamiętam nazwy, i zapewniają ćwiczenia, żeby mógł ponownie nauczyć się wykonywania pewnych czynności, ale używa do tego innych części mózgu.

- Mnie też to mówili - odzywam się. - Zapytałem, dlaczego nie podali mi tego lekarstwa, a oni odpowiedzieli, że na mnie by nie podziałało. Nie powiedzieli dlaczego.

- A książka? - pyta Cameron.

- Nie wiem. Nie doczytałem jeszcze tak daleko - odpowiadam.

- Trudna? - chce wiedzieć Bailey.

- Niektóre fragmenty, ale nie tak, jak myślałem - tłumaczę. - Zacząłem od innych książek. To mi pomogło.

- Jakich innych książek? - pyta Eric.

- Przeczytałem kilka skryptów w Internecie - wyjaśniam. - Biologia, anatomia, chemia organiczna, biochemia. - Gapi się na mnie; spuszcza wzrok. - To nie takie trudne, jak się wydaje.

Przez kilka minut wszyscy milczą. Słyszę ich oddechy; oni słyszą mój. Wszyscy słyszymy każdy hałas i czujemy każdy zapach. Jest inaczej niż z moimi przyjaciółmi na szermierce, gdzie muszę uważać na to, co dostrzegam.

- Zamierzam to zrobić - mówi nagle Cameron. - Chcę tego.

- Dlaczego? - pyta Bailey.

- Chcę być normalny - wyjaśnia Cameron. - Zawsze chciałem. Nienawidzę być inny. To zbyt trudne, tak samo jak zbyt trudne jest udawanie, że jest się takim samym jak wszyscy inni. Jestem tym już zmęczony.

- Nie jesteś dumny z tego, kim jesteś? - Ton Bailey'a nie pozostawia wątpliwości, że cytuje slogan z Centrum. „Jesteśmy dumni z tego, kim jesteśmy”.

- Nie - odpowiada Cameron. - Udawałem, Lecz tak naprawdę, z czego tu być dumnym? Wiem, co chcesz powiedzieć, Lou... - Patrzy na mnie. Myli się. Nie zamierzałem się odzywać. - Zaraz powiesz, że normalni ludzie robią to samo co my, tylko w mniejszym stopniu. Wielu ma natręctwa, tylko nie zdaje sobie z tego sprawy. Postukują stopami, nawijają włosy na palec lub pocierają twarz. Zgadza się, ale są normalni i nikt nie zwraca im uwagi. Nie nawiązują poprawnego kontaktu wzrokowego, ale są normalni i nikt ich nie upomina, że powinni nawiązywać kontakt wzrokowy. Mają coś innego, czym nadrabiają te nieznacznie autystyczne zachowania. Tego właśnie chcę. Chcę... chcę tego, żebym nie musiał tak bardzo się starać, by wyglądać normalnie. Po prostu chcę *być* normalny.

- „Normalny” to program suszarki - przypomina Bailey.

- Normalni są inni ludzie. - Ramię Camerona drga; wzrusza nim gwałtownie, czasami to powstrzymuje tik. - To... to głupie ramię... Jestem zmęczony ukrywaniem tego, co jest ze mną nie tak. Chcę być *w porządku*. - Podnosi głos, a ja nie wiem, czy jeszcze bardziej się rozłości, jeśli go poproszę, żeby był ciszej. Żałuję, że ich tutaj zaprosiłem. - Tak czy owak - kończy ciszej Cameron - zamierzam to zrobić i nie możecie mnie powstrzymać.

- Nie zamierzam cię powstrzymywać - zapewniam.

- A wy? Zamierzacie to zrobić? - pyta. Patrzy po kolei na każdego z nas.

- Nie wiem. Nie jestem jeszcze gotowy, by ci odpowiedzieć.

- Linda się nie zgadza - mówi Bailey. - Twierdzi, że rzuci pracę.

- Nie wiem, czemu wzory miałyby być takie same - odzywa się nagle Eric. Patrzy w książkę. - To nie ma sensu.

- Znajoma twarz jest znajomą twarzą?

- Zadanie polega na odszukaniu znajomego wśród obcych. Wzór aktywności powinien być

bardziej podobny do rozpoznania znajomej nie-twarzy wśród różnych nie-twarzy. Czy w tej książce jest taki rysunek?

- Na następnej stronie - odpowiadam. - Według książki, wzór aktywności jest taki sam, tyle że zadanie z twarzą aktywizuje obszar odpowiedzialny za rozpoznawanie twarzy.

- Bardziej zależy im na rozpoznawaniu twarzy - mówi Eric.

- Normalnym ludziom zależy na normalnych - rzuca Cameron. - Dlatego właśnie chcę być normalny.

- Osobom autystycznym zależy na innych autystycznych - oznajmia Eric.

- To nie to samo - upiera się Cameron. Omiata wzrokiem grupę. - Popatrz na nas. Eric rysuje wzory palcem. Bailey żuje wargę, Lou tak bardzo stara się siedzieć nieruchomo, że wygląda jak drewniany kłoc, a ja podskakuję, czy tego chcę, czy nie. Akceptujecie to, że podskakuję. Akceptujecie fakt, że trzymam w kieszeni kostki, ale wam na mnie nie zależy. Kiedy zeszedł wiosny miałem gripę, nikt nie zadzwonił ani nie przyniósł mi nic do jedzenia.

Nie odzywam się. Bo nie ma o czym mówić. Nie zadzwoniłem ani nie przyniosłem jedzenia, ponieważ nie wiedziałem, że Cameron tego chciał. Uważam, że jego obecne pretensje są nieuzasadnione. Nie jestem pewny, czy normalni ludzie zawsze dzwonią albo przynoszą jedzenie, kiedy ktoś jest chory. Patrzę na pozostałych. Wszyscy odwracają wzrok od Camerona, tak jak ja. Lubię Camerona; przyzwyczałem się do niego. Jaka jest różnica pomiędzy lubieniem a przyzwyczajeniem? Nie jestem pewny. Nie lubię niepewności.

- Ty też nie - mówi w końcu Eric. - Od ponad roku nie byłeś na żadnym spotkaniu stowarzyszenia.

- Pewnie nie - odpowiada cicho Cameron. - Wciąż widziałem starszych, w gorszym stanie od nas. Nie ma młodych. Wszystkich wyleczono jako noworodki lub wcześniej. Kiedy miałem dwadzieścia lat, bardzo mi to pomagało. Ale teraz jesteśmy tylko my. Starsi autystyczni, którzy nie przeszli dobrego, wczesnego nauczania... Nie cierpię ich towarzystwa. Sprawiają, że się boję, że wrócę do takiego stanu i będę taki sam jak oni. A nam nikt nie pomoże, ponieważ nie ma już młodych.

- Tony - podsuwa Bailey, patrząc na swoje kolana.

- Tony jest najmłodszy i ma... ile, dwadzieścia siedem lat? Jedyne poniżej trzydziestki. Reszta młodszych ludzi z Centrum jest... inna.

- Emmy lubi Lou - mówi Eric. Patrzę na niego; nie wiem, co chce przez to powiedzieć.

- Gdybym był normalny, nie musiałbym już więcej chodzić do psychiatry - oznajmia Cameron.

Przypomina mi się doktor Fornum i dochodzę do wniosku, że wizja uwolnienia się od niej jest niemal warta ryzyka poddania się kuracji.

- Mógłbym się ożenić - ciągnie tymczasem Cameron – bez konieczności posiadania świadectwa stabilności psychicznej. Mieć dzieci.

- Chcesz się ożenić? - pyta Bailey.

- Tak - odpowiada Cameron. Znowu mówi głośniej, lecz tylko trochę; poczerwieniał na twarzy. - Chcę się ożenić. Chcę mieć dzieci. Chcę żyć w zwyczajnym domu, w zwyczajnym sąsiedztwie, korzystać ze zwyczajnej komunikacji miejskiej i spędzić resztę życia jako normalny człowiek.

- Nawet gdybyś nie był tą samą osobą? - chce wiedzieć Eric.

- Oczywiście, że będę tą samą osobą - odpowiada Cameron. - Tylko normalną.

Nie jestem pewny, czy to jest możliwe. Kiedy myślę o tym, co sprawia, że jestem nienormalny, nie potrafię wyobrazić sobie bycia normalnym i pozostania tą samą osobą. Cała sprawa polega na zmianie, zmianie w kogoś innego, co musi pociągać za sobą zmianę osobowości, własnego ja.

- Zrobię to sam, jeśli nikt inny się nie zgłosi – oznajmia Cameron.

- To twoja decyzja - mówi poważnym głosem Chuy.

- Tak. - Cameron jakby cichnie. - Tak.

- Będzie mi ciebie brakowało - wyznaje Bailey.

- Ty też możesz poddać się leczeniu - podsuwa Cameron.

- Nie. W każdym razie jeszcze nie teraz. Chcę się dowiedzieć więcej.

- Idę do domu - oznajmia Cameron. - Powiem im jutro. - Wstaje. Widzę, jak jego dłoń obraca kości w kieszeni.

Nie żegnamy się. Nie musimy. Cameron wychodzi i cicho zamyka za sobą drzwi. Pozostali patrzą na mnie, po czym odwracają wzrok.

- Niektórzy ludzie nie lubią siebie takimi, jakimi są - mówi Bailey.

- Niektórzy ludzie są inni, niż się o nich sądzi - dodaje Chuy.

- Cameron zakochał się w kimś, kto go nie kochał – oznajmia Eric. - Tamta kobieta powiedziała, że nic z tego nie wyjdzie. Jeszcze w szkole średniej.

Zastanawiam się, skąd Eric o tym wie.

- Emmy twierdzi, że Lou kocha normalną kobietę, która zamierza zrujnować mu życie - wyznaje nagle Chuy.

- Emmy nie ma pojęcia, o czym mówi. - Wzruszam ramionami. - Emmy powinna zająć się swoimi sprawami.

- Czy Cameron uważa, że ta kobieta go pokocha, jeśli będzie normalny? - pyta Bailey.

- Wyszła za kogoś innego - odpowiada Eric. - Myśli, że mógłby pokochać kogoś, kto pokochałby jego. Uważam, że to dlatego chce się poddać leczeniu.

- Nie zrobiłbym tego dla kobiety - oświadcza Bailey. – Żeby to zrobić, musiałbym mieć ważny powód. - Ciekawe, co by powiedział, gdyby znał Marjory. Czy zrobiłbym to, gdybym wiedział, że dzięki temu Marjory mnie pokocha? Niewygodna myśl; odpycham ją od siebie.

- Nie wiem, co czuliby normalni. Nie wszyscy normalni wyglądają na szczęśliwych. Możliwe, że bycie normalnym jest tak samo złe, jak bycie autystycznym. - Głowa Chuya obraca się w prawo i lewo, do przodu i wstecz.

- Chciałbym spróbować - mówi Eric. - Ale chciałbym móc wrócić do dawnego siebie, gdyby to się nie sprawdziło.

- To nie działa w ten sposób - uprzedzam. - Pamiętajcie, co doktor Ransome powiedział Lindzie? Gdy neurony raz się połączą, pozostają uformowane, chyba że zostaną rozerwane przez jakiś przypadek czy coś w tym rodzaju.

- Czy to właśnie robią: utworzą nowe połączenia?

- A co ze starymi? Czy... - Bailey macha rękami - ... nie dojdzie między nimi do kolizji? Zamieszania? Chaosu?

- Nie wiem - odpowiadam.

Nagle czuję się przytłoczony ogromem niewiedzy. Z takiego bezmiaru może wyniknąć mnóstwo złych rzeczy. Wtem przypominam sobie zdjęcie zrobione przez jeden z umieszczonych w kosmosie teleskopów: rozświetlony przez gwiazdy bezkres mroku. W nieznanym też może kryć się piękno.

- Powiedziałbym - ciągnę - że będą musieli zdemontować obwody, które pracują teraz, zbudować nowe i je uruchomić. W ten sposób będą działać tylko dobre połączenia.

- Nie tak nam to przedstawiali - przypomina Chuy.

- Nikt nie zgodziłby się na zniszczenie własnego mózgu, by zbudować nowy - mówi Eric.

- Cameron... - zaczyna Chuy.

- Jego zdaniem to nie będzie tak wyglądało - przerywa Eric. - Gdyby wiedział... - Milknie z zamkniętymi oczami. Czekamy. - I tak mógłby to zrobić, jeśli jest wystarczająco nieszczęśliwy. Nie jest to gorsze od samobójstwa. Lepsze, jeśli powróci jako osoba, którą chce być.

- Co ze wspomnieniami? - pyta Chuy. - Czy usuną wspomnienia?

- Jak? - pyta Bailey.

- Wspomnienia są przechowywane w mózgu. Jeśli wszystko wyłączą, wspomnienia znikną.

- Może do tego nie dojdzie. Nie czytałem jeszcze rozdziałów o pamięci - mówię. - Przeczytam je; są następne w kolejności. - W książce omówiono już częściowo pamięć, ale nie zrozumiałem jeszcze wszystkiego i nie chcę o tym teraz rozmawiać. - Poza tym - dodaję - kiedy wyłączasz komputer, nie tracisz zapisanych na dysku danych.

- Podczas operacji ludzie są nieprzytomni, a mimo to nie tracą wspomnień - wtrąca Eric.

- Ale nie pamiętają operacji, poza tym istnieją lekarstwa wpływające na kształtowanie się pamięci - odpowiada Chuy. - Skoro mogą wpływać na pamięć, to może potrafią również usuwać stare wspomnienia.

- Informacji na ten temat możemy poszukać w sieci - oznajmia Eric. - Zrobię to.

- Zmiana połączeń i ustanawianie nowych przypomina hardware - zauważa Bailey. - Nauka używania nowych połączeń to software. Za pierwszym razem było mi wystarczająco trudno nauczyć się mówić; nie chcę znowu przez to przechodzić.

- Normalne dzieci uczą się tego szybciej - przypomina Eric.

- Nadal zajmuje im to lata - przekonuje Bailey. - Podają, że rehabilitacja potrwa od sześciu do ośmiu tygodni. Może to wystarczy szympansovi, ale szympansy nie mówią.

- Nie jest tak, że wcześniej nie popełniali błędów - dowodzi Chuy. - Mieli na nasz temat mnóstwo nieprawdziwych teorii. Być może teraz także się mylą.

- Więcej wiadomo o funkcjonowaniu mózgu - mówię. - Ale nadal nie wszystko.

- Nie lubię robić czegoś, nie wiedząc, co się stanie - ucina Bailey. Chuy i Eric milczą; zgadzają się z tym. Ja również. Ważne jest, żeby znać konsekwencje przed podjęciem działania. Czasami konsekwencje nie są oczywiste.

Konsekwencje braku działania także nie są oczywiste. Jeśli nie poddam się kuracji, sytuacja nie pozostanie niezmienna. Don udowodnił to swoimi atakami na mój samochód, a potem na mnie. Niezależnie od tego, co zrobię, niezależnie od tego, jak bardzo przewidywalnym będę próbował uczynić swoje życie, nie stanie się ono ani trochę bardziej przewidywalne od reszty świata. Którym rządzi chaos.

- Pić mi się chce - mówi raptem Eric. Wstaje. Ja też się pod noszę i idę do kuchni. Wyciągam szklankę i nalewam do niej wody. Krzywi się po skosztowaniu; przypominam sobie, że pije tylko wodę butelkowaną. Nie mam tej, którą lubi.

- Mnie też - odzywa się Chuy. Bailey milczy.

- Chcesz wody? - pytam. - To wszystko, co mam, z wyjątkiem jednej butelki napoju owocowego. - Mam nadzieję, że nie poprosi o napój. Lubię go pić do śniadania.

- Chcę wodę - mówi Bailey i podnosi rękę. Napełniam wodą dwie kolejne szklanki i przynoszę je do salonu. Kiedy jestem w domu Toma i Lucii, pytają mnie, czy chcę się czegoś napić, nawet jeśli nie chcę. Mądrzej jest zaczekać, aż ludzie powiedzą, że czegoś chcą, choć prawdopodobnie normalni ludzie najpierw pytają.

To takie dziwne uczucie mieć kogoś w swoim mieszkaniu. Przestrzeń wydaje się mniejsza. Powietrze gęstsze. Kolory zmieniają się lekko ze względu na barwy ubrań. Dodatkowe osoby zajmują miejsce i oddychają.

Zastanawiam się nagle, jakby to było, gdybym mieszkał z Marjory - gdyby to ona zajmowała miejsce w salonie, łazience, sypialni. Nie lubiłem wspólnego domu, w którym mieszkałem zaraz po opuszczeniu rodziców. Łazienka pachniała innymi ludźmi, mimo że sprzątałyśmy ją codziennie. Pięć różnych past do zębów. Pięć różnych szamponów, mydeł i dezodorantów.

- Lou! Wszystko w porządku? - Bailey wygląda na zaniepokojonego.

- Rozmyślałem o... czymś - odpowiadam. Nie chcę myśleć o tym, że nie lubiłbym obecności Marjory w moim mieszkaniu, które mogłoby wydawać się zatłoczone, głośnie lub przesiąknięte złym zapachem.

* * *

Cameron nie przychodzi do pracy. Cameron jest tam, gdzie kazali mu być, żeby mógł rozpocząć procedurę leczenia. Lindy nie ma w pracy. Nie wiem, gdzie jest. Wolę zastanawiać się nad tym, gdzie jest Linda, niż co w tej chwili robią z Cameronem. Znam Camerona takim, jaki jest teraz... jaki był dwa dni temu. Czy rozpoznam osobę z twarzą Camerona, kiedy zakończy kurację?

Im więcej o tym myślę, tym bardziej przypomina mi to filmy science fiction, gdzie czyjś mózg wszczepiany jest innej osobie albo do tego samego mózgu wkłada się inną osobowość. Ta sama twarz, ale nie ta sama osoba. Przeróżające. Kto kryłby się za moją twarzą? Czy lubiłby szermierkę? Czy lubiłby dobrą muzykę? Czy lubiłby Marjory? Czy ona polubiłaby jego?

Dzisiaj mówią nam więcej o samej procedurze.

- Tomografia komputerowa umożliwi nam stworzenie mapy waszych indywidualnych upodobań - tłumaczy lekarz. - Podczas skanowania będziemy wam zlecać zadania, które pozwolą ustalić, jak wasze mózgi przetwarzają informacje. Po dokonaniu porównań z normalnym mózgiem dowiemy się, jak zmodyfikować wasze...

- Nie wszystkie normalne mózgi są takie same - przypominam.

- Ale wystarczająco podobne - odpowiada lekarz. - Chcemy zmodyfikować różnicę pomiędzy twoim mózgiem a średnią z kilku normalnych mózgów.

- Jak wpłynie to na moją inteligencję? - pytam.

- Nie powinno w ogóle wpłynąć, naprawdę. Ten cały hałas o centralnej inteligencji wybuchł w zeszłym stuleciu wraz z odkryciem modułowości przetwarzania bodźców, która tak utrudnia

uogólnianie, a wy, osoby autystyczne, stanowicie dowód, że można być świetnym matematykiem, a jednocześnie znajdować się grubo poniżej kreski, jeśli chodzi o umiejętność komunikacji.

„Nie powinno wpłynąć” nie jest tym samym, co „nie wpłynie”. Nie wiem, czym naprawdę jest moja inteligencja - nie podali nam wyniku testów IQ, a ja nigdy nie zadałem sobie trudu, żeby rozwiązać jakiś powszechnie dostępny test - wiem jednak, że nie jestem głupi i nie chcę taki być.

- Jeśli martwisz się o swoją umiejętność analizowania wzorów - dodaje lekarz - to uspokajam, że kuracja nie wpływa na odpowiedzialną za nią część mózgu. Raczej przypomina to udostępnianie tej części mózgu nowym danym, ważnym społecznie danym, bez konieczności dodatkowego wysiłku.

- Tak jak jest z wyrazem twarzy - mówię.

- Tak, coś w tym rodzaju. Rozpoznawanie twarzy, jej wyraz, subtelności tonacji głosu... To niewielkie uszczypnięcie w obszarze kontroli uwagi, mające na celu ułatwienie dostrzegania tych rzeczy i czerpania z tego przyjemności.

- Przyjemność... Chcecie to połączyć z wyzwaniem endorfin?

Gwałtownie czerwienieje.

- Jeśli chodzi o to, czy podnieci cię przebywanie z ludźmi, to zdecydowanie nie. Lecz osoby autystyczne nie uznają kontaktów społecznych za przyjemne, a dzięki kuracji owe kontakty przestaną wzbudzać lęk. - Nie umiem biegle interpretować wszystkich subtelności w tonacji głosu, wiem jednak, że nie mówi nam całej prawdy.

Jeśli potrafią kontrolować poziom przyjemności, jaką czerpiemy z kontaktów społecznych, to potrafią również kontrolować poziom przyjemności czerpanej z tego przez normalnych ludzi. Myślę o nauczycielach w szkole, zdolnych do kontrolowania przyjemności, jaką uczniowie czerpią z kontaktów z innymi uczniami... zamieniając ich w osoby autystyczne do takiego stopnia, że wolą się uczyć, niż gadać na lekcjach. Wyobrażam sobie pana Crenshawa na czele sekcji złożonej z pracowników ignorujących wszystko, co nie jest pracą.

Ściska mnie w żołądku; czuję kwaśny smak w ustach. Co się ze mną stanie, jeśli powiem publicznie o swoich wątpliwościach? Dwa miesiące temu wyrzuciłbym z siebie bez chwili namysłu wszystko, co dostrzegłem i co mnie zaniepokoiło; teraz jestem ostrożniejszy. Pan Crenshaw i Don nauczyli mnie tej mądrości.

- Nie wolno ci wpadać w paranoję, Lou - mówi lekarz. - Dla kogoś spoza głównego nurtu życia społecznego bardzo kuszące jest założenie, że ludzie knują coś poważnego, ale nie jest dobrze tak myśleć.

Milczę. Rozmyślam o doktor Fornum, panu Crenshawie i Donie. Ci ludzie nie lubią mnie albo lubią. Czasami ludzie, którzy mnie nie lubią albo lubią, mogą próbować wyrzucić mi prawdziwą krzywdę. Czy byłoby paranoją podejrzewać Dona o pocięcie mi opon? Nie sądzę. Już raczej prawidłowo zlokalizowałbym zagrożenie. Prawidłowo rozpoznana groźba nie jest paranoją.

- Musisz nam zaufać, Lou. Wszystko będzie działać prawidłowo. Mogę podać ci coś na uspokojenie...

- Nie jestem zdenerwowany - mówię. Nie jestem zdenerwowany. Jestem zadowolony z siebie, że przejrzałem jego gadaninę i dostrzegłem ukryte znaczenie, ale nie jestem zdenerwowany, mimo iż to ukryte znaczenie sugeruje, że lekarz mną manipuluje. Skoro o tym wiem, to już nie jest to manipulacja. - Staram się zrozumieć, ale nie jestem zdenerwowany.

Odpnę się. Mięśnie jego twarzy rozluźniają się lekko, zwłaszcza wokół oczu i na czole.

- Wiesz, Lou, to jest bardzo skomplikowane. Jesteś inteligentny, ale to nie twoja dziedzina. Zrozumienie tego wymaga wielu lat studiów. Lektura paru książek i artykułów w Internecie to za mało. Próby tylko cię zdezorientują i wzbudzą niepokój. Tak jak ja nie zdołałbym zrobić tego, co ty robisz. Dlaczego nie pozwolić każdemu w spokoju wykonywać własnej pracy?

Ponieważ chodzi o mój mózg i moje ja, które ty zamierzasz zmienić. Ponieważ nie powiedziałeś całej prawdy, a ja nie jestem pewny, czy chodzi ci o moje jak najlepiej pojęte - czy w ogóle jakiegokolwiek - dobro.

- Dla mnie ważne jest to, kim jestem - mówię.

- Chcesz powiedzieć, że dobrze się czujesz jako osoba autystyczna? - Kpina w głosie; nie potrafi sobie wyobrazić, żeby ktokolwiek chciał być taki jak ja.

- Lubię siebie - tłumaczę. - Autyzm stanowi część tego, kim jestem; nie jest wszystkim. - Mam nadzieję, że to prawda, że jestem kimś więcej niż wyłącznie diagnozami.

- Kiedy już pozbędziemy się autyzmu, pozostaniesz tą samą osobą, tyle że nieautystyczną.

Ma nadzieję, że to prawda; może nawet myśli, że myśli, że to prawda; jednak nie wierzy niezachwianie, że to prawda. Strach przed tym, że to nieprawda, emanuje z niego niczym kwaśny odór przerażenia. Twarz przybiera minę, która ma mnie przekonać, że on w to wierzy, ale fałszywa szczerłość to coś, co znam od dziecka. Każdy terapeuta i doradca ma w swym repertuarze taką minę, ten zmartwiony/troskliwy wzrok.

Najbardziej mnie przeraża, że mogą - i z pewnością to zrobią - majstrować przy pamięci, a nie tylko funkcjonujących obecnie połączeniach. Muszą wiedzieć równie dobrze jak ja, że całe moje doświadczenie zdobyte zostało z perspektywy autyzmu. Manipulacja połączeń tego nie zmieni, więc i nie zmieni tego, kim jestem. Jeśli jednak utracę wspomnienia o tym, jak to jest i kim jestem, to utracę wszystko, nad czym pracowałem przez trzydzieści pięć lat. Nie chcę tego tracić. Nie chcę pamiętać rzeczy tak, jakbym przeczytał o nich w książce, nie chcę odnosić się do Marjory jak do postaci z ekranu telewizora. Chcę zachować uczucia, które towarzyszą wspomnieniom.

W niedziele komunikacja miejska nie jeździ według tego samego rozkładu co w tygodniu, pomimo że niedziela jest dniem świątecznym tylko dla niewielkiej części społeczeństwa. Jeśli nie wybieram się do kościoła samochodem, docieram tam albo za wcześnie, albo za późno. Nieuprzejmie jest się spóźniać, a bycie nieuprzejmym wobec Boga to grubiaństwo większe od każdego innego.

Kiedy przyjeżdżam, jest bardzo cicho. W kościele, do którego chodzę, odprawia się jedną mszę bardzo wcześnie rano, bez muzyki, a drugą o dziesiątej trzydzieści, z muzyką. Lubię przyjść wcześniej i siedzieć w cichym półmroku, obserwując światło wędrujące przez wielobarwne witraże. Teraz również zasiadam w cichym półmroku i rozmyślam o Marjory i Donie.

Nie powinienem rozmyślać o Donie i Marjory, tylko o Bogu. „Skupcie się na Bogu - mawiał kapłan, który niegdyś nauczał w tym kościele - a nie zbłądzicie”. Trudno jest skupić się na Bogu, kiedy przed oczami wciąż mam zięjący otwór lufy trzymanej przez Dona broni. Okrągły i ciemny, niczym czarna dziura. Czuję jego przyciąganie, jak gdyby miał masę, która chce mnie wchłonąć w wieczną czern. Śmierć. Nicość.

Nie wiem, co dzieje się po śmierci. Pismo Święte opisuje różne rzeczy w różnych miejscach. Niektórzy ludzie kładą nacisk na to, że wszyscy sprawiedliwi będą wybawieni i pójdą do nieba, inni twierdzą, że trzeba zostać wybranym. Nie wydaje mi się, aby było to coś, co potrafilibyśmy opisać. Kiedy do tej pory próbowałem to sobie wyobrazić, wyglądało jak świetlny wzór, skomplikowany i piękny, niczym rysunki tworzone przez astronomów na podstawie zdjęć z kosmicznych teleskopów, gdzie każdy kolor oznacza inną długość fal.

Teraz jednak, po napaści Dona, widzę mrok, który jest szybszy od światła i wylatuje z lufy pistoletu, by mnie w siebie wciągnąć, z dala od prędkości światła, na zawsze.

A jednak jestem tutaj, siedzę w tej ławce, w tym kościele i nadal żyję. Światło wpada do środka przez stary witraż nad ołtarzem, kładąc się barwnymi plamami na okrywającym go płótnie, drewnie i dywanie. O tak wczesnej porze światło sięga dalej w głąb kościoła niż podczas mszy, i nieco w lewo, ze względu na porę roku.

Oddycham głęboko, wyczuwając woń topiącego się wosku i delikatny ślad kadzideł po porannej mszy, a także zapach ksiąg - nasz kościół nadal korzysta z papierowych modlitewników i śpiewników - oraz środków czyszczących do drewna, tkanin i podłogi.

Żyję. Pozostaję w świetle. Tym razem mrok nie był szybszy od światła. Lecz czuję niepokój, jakby coś mnie ścigało i było coraz bliżej, za moimi plecami, gdzie nie mogę tego zobaczyć.

Siedzę z tyłu, ale za mną rozciąga się wolna przestrzeń, kolejna niewiadoma. Zwykle mnie to nie niepokoi, lecz dzisiaj wolałbym, żeby była tam ściana.

Próbuję skupić się na świetle, na powolnym przesuwaniu się barwnych smug, w miarę jak słońce wspina się coraz wyżej. W ciągu godziny światło pokonuje niezauważalną odległość, ale to nie światło się porusza, tylko planeta. Zapominam o tym i używam tego frazesu jak każdy, po czym - jak zwykle - przeżywam radosny wstrząs, gdy przypominam sobie, że to ziemia się porusza.

Wiecznie się obracamy, wpadając w światło i z niego uciekając. To nasza prędkość, a nie światła lub mroku, czyni noc i dzień. Czy to moja prędkość, a nie Dona, wtrąciła nas w mrok, gdzie

chciał mnie skrzywdzić? Czy to moja prędkość mnie uratowała?

Ponownie staram się skupić na Bogu. Światło dotarło do mosiężnego krzyża na drewnianym piedestale. Błysk żółtawego metalu na tle fioletowych cieni jest tak porażający, że przez chwilę nie mogę złapać tchu.

W tym miejscu światło jest zawsze szybsze od mroku; prędkość mroku nie ma żadnego znaczenia.

- Tutaj jesteś, Lou!

Głos mnie zaskakuje. Kulę się, ale udaje mi się zachować milczenie, a nawet uśmiechnąć do siwej kobiety z broszurką w dłoni. Zwykle jestem bardziej świadomy upływu czasu i przychodzących ludzi, tak że nie można mnie zaskoczyć. Uśmiecha się.

- Nie chciałam cię przestraszyć - mówi.

- W porządku - odpowiadam. - Zamyśliłem się.

Kiwa głową i w milczeniu wraca do tylnej części kościoła, by powitać pozostałych. Ma identyfikator z nazwiskiem Cynthia Kressman. Widuję ją tutaj co trzeci tydzień, kiedy rozdaje broszurki, a w pozostałe niedziele siada po drugiej stronie przejścia, cztery rzędy przede mną.

Jestem już czujny i zauważam wchodzących ludzi. Starzec o kulach, drepczący nawą ku przodowi. Zwykle przychodził z żoną, ale umarła cztery lata temu. Trzy staruszki, które zawsze przychodzą razem, chyba że któraś jest chora, i siadają w trzecim rzędzie po lewej. Ludzie powoli zapełniają kościół. Jedna osoba, dwie, trzy, cztery, potem znowu dwie, jedna i jeszcze jedna. Nad konsolą organów dostrzegam głowę organisty. Rozlega się ciche „mmf” i zaczyna grać muzyka.

Mama mówiła, że chodzenie do kościoła tylko ze względu na muzykę jest złe. Nie jest to jedyny powód, dla którego chodzę do kościoła. Chodzę do kościoła, by nauczyć się, jak być lepszym człowiekiem. Ale muzyka jest jednym z powodów, dla których chodzę do kościoła. Dzisiaj znowu Bach - nasz organista lubi Bacha - i mój umysł bez trudu wychwytuje niezliczone linie melodyczne i podąża za nimi w miarę ich odgrywania.

Słuchanie muzyki w ten sposób, na żywo, jest czymś zupełnie odmiennym od słuchania nagrań. Sprawia, że jestem bardziej świadomy przestrzeni, w której się znajduję; słyszę dźwięki odbijające się od ścian i tworzące harmonię specyficzną wyłącznie dla tego konkretnego miejsca. Słuchałem Bacha w innych kościołach i zawsze tworzy ona jakąś harmonię, a nie dysharmonię. To wielka tajemnica.

Muzyka milknie. Słyszę za sobą ciche pomruki, gdy zbiera się chór i duchowni. Biorę do ręki zbiór hymnów i odszukuję hymn procesyjny. Organy odzywają się ponownie, a po kilku taktach za moimi plecami rozlegają się donośne głosy. Ktoś się trochę spóźnia. Łatwo określić kto, ale byłoby nieuprzejme zwrócić mu uwagę. Pochyliam głowę, gdy niosący krzyż prowadzi obok procesję. Mija mnie chór w ciemnoczerwonych habitach z białymi komżami, najpierw kobiety, potem mężczyźni. Słyszę każdy głos. Odczytuję słowa i śpiewam najlepiej, jak umiem. Najbardziej lubię chwilę, gdy mijają mnie dwaj ostatni mężczyźni; obaj śpiewają basem i pieśń aż wibruje mi w piersiach.

Po hymnie odmawiamy wspólnie modlitwę. Znam jej słowa na pamięć. Od dziecka. Ważną przyczyną - oprócz muzyki - dla której chodzę do tego kościoła jest przewidywalny porządek mszy. Mogę wymawiać znane mi słowa, nie potykając się o nie. Mogę być gotowy do siadania, wstawiania lub klękania, mówić, śpiewać lub słuchać, nie czując się niezręczny ani powolny. Kiedy odwiedzam inne kościoły, bardziej przejmuję się tym, czy wykonuję właściwą czynność we właściwym momencie niż Bogiem. Tutaj rutyna ułatwia mi wysłuchanie, czego Bóg ode mnie chce.

Dzisiaj czyta Cynthia Kressman. Odczytuje lekcję ze Starego Testamentu. Czytam razem z nią z broszurki. Trudno wszystko zrozumieć, jeśli się tylko słucha albo tylko czyta; obie te czynności wykonywane jednocześnie działają skuteczniej. W domu czytam zawczasu lekcje z kalendarza, który kościół rozdaje co roku. Pomaga mi to również przewidzieć, co będzie w następnej kolejności. Lubię, kiedy wszyscy podejmujemy słowa psalmu; tworzy się wzór przypominający rozmowę.

Zerkam teraz do Ewangelii. Nie tego oczekiwałem. Zamiast czytania ewangelii według św. Mateusza będzie czytanie ewangelii według św. Jana. Przebiegam tekst uważnie, podczas gdy ksiądz czyta na głos. To historia człowieka leżącego przy sadzawce Siloe, który pragnął uzdrowienia, lecz nie było nikogo, kto pomógłby mu wejść do wody. Jezus zapytał go, czy naprawdę pragnie uzdrowienia.

Według mnie to głupie pytanie. Po co ktoś miałby leżeć przy uzdrawiającej sadzawce, jeśli nie chciałby być uleczone? Dlaczego skarżyłby się na to, że nie ma nikogo, kto opuściłby go do wody, gdyby nie pragnął uzdrowienia?

Bóg nie zadaje głupich pytań. To nie może być głupie pytanie, ale jeśli nie jest głupie, to co oznacza? Byłoby głupie, gdybym zadał je ja albo lekarz podczas wizyty, cóż jednak oznacza w tym przypadku?

Ksiądz rozpoczyna kazanie. Nadal staram się dociec, jakie znaczenie może mieć to pozornie głupie pytanie, kiedy jego głos odzwierciedla moje myśli.

- Dlaczego Jezus zapytał tego człowieka, czy chce być uzdrowiony? Czyż nie wydaje się to niemądre? Wszak leży tam i czeka na wyleczenie... na pewno chce zostać uzdrowiony.

Właśnie, myślę.

- Jeśli Bóg nie gra z nami w niemądre zgadywanki, co wobec tego oznacza to pytanie: „Czy chcesz być uzdrowiony”? Spójrzcie, gdzie znajdujemy tego człowieka: przy sadzawce znanej z uzdrawiającej mocy, gdzie „zstępuje anioł i porusza wodę...”, a chorzy muszą wejść do tej wzburzonej toni. Gdzie, innymi słowy, chorzy są cierpliwymi pacjentami, czekającymi na pojawienie się lekarstwa. Wiedzą - tak im powiedziano - że sposobem na uzdrowienie jest zanurzenie się we wzburzonych falach sadzawki. Nie szukają niczego innego... Przybywają w to właśnie miejsce i o tym właśnie czasie, nie szukając po prostu uzdrowienia, lecz wyleczenia za pomocą tej szczególnej metody. W dzisiejszym świecie moglibyśmy powiedzieć, że chory ten jest jak człowiek, który wierzy, że tylko jeden konkretny lekarz – znany na całym świecie specjalista - może wyleczyć go z raka. Udaje się do szpitala, gdzie pracuje ów lekarz, i domaga się wizyty u niego i tylko u niego, ponieważ jest pewny, że jedynie ta metoda przywróci mu zdrowie. Tak samo sparaliżowany mężczyzna skupia się na leczniczej sadzawce, absolutnie przekonany, że może mu pomóc tylko ktoś, kto we właściwej chwili wniesie go do wody.

Pytanie Jezusa każe mu się zastanowić, czy chce być zdrowy, czy pragnie jedynie wypróbować tę określoną metodę - zanurzenie w sadzawce. Czy przyjmie uzdrowienie osiągnięte inną metodą? Niektórzy kaznodzieje uznają tę przypowieść za przykład paraliżu na tle psychicznym, wynikającym z hysterii - jeśli ktoś chce pozostać sparaliżowanym, to tak będzie. To choroba umysłu, a nie ciała. Ja jednak uważam, że zadane przez Jezusa pytanie związane jest z problemem poznawczym, a nie emocjonalnym. Czy człowiek potrafi spojrzeć szerzej? Czy zaakceptuje uzdrowienie, którego nie oczekiwał? Które wykroczy poza uzdrowienie jego nóg i pleców, zaczynając kurację od środka, od duszy, poprzez umysł do ciała?

Zastanawiam się, co tamten człowiek by powiedział, gdyby nie był sparaliżowany, tylko

autystyczny? Czy chociaż udałby się do sadzawki po uzdrowienie? Cameron tak. Zamykam oczy i widzę, jak schodzi do szmerzącej wody, w rozmigotane światło. I znika. Linda się upiera, że nie potrzebujemy leczenia, że nie ma niczego złego w tym, jacy jesteśmy. Zło tkwi jedynie w innych, którzy nas nie akceptują. Wyobrażam sobie Linde, jak przepycha się przez tłum, oddalając się od sadzawki.

Nie uważam, abym potrzebował leczenia, w każdym razie nie z autyzmu. To inni chcą mnie leczyć, nie ja sam. Ciekawe, czy tamten człowiek miał rodzinę, zmęczoną już ciągłym dźwiganiem go na noszach. Ciekawe, czy miał rodziców, którzy mu powiedzieli: „Możesz przynajmniej *spróbować* wyzdrowieć”, albo żonę, która go namawiała: „No dalej, spróbuj, to ci nie zaszkodzi”, lub dzieci, którym dokuczały inne dzieci, ponieważ ich ojciec nie mógł pracować. Zastanawiam się, czy ci, którzy tam przyszli, zrobili to nie dlatego, że chcieli być uzdrowieni, tylko dlatego, że inni chcieli, aby to uczynili i stali się dla nich mniejszym ciężarem.

Od śmierci rodziców nie jestem dla nikogo ciężarem. Pan Crenshaw uważa, że stanowią obciążenie dla firmy, ale nie wierzę, że to prawda. Nie leżę przy sadzawce, błagając ludzi, żeby mnie do niej wnieśli. Próbuję powstrzymać ich przed wrzuceniem mnie do wody. I tak nie wierzę w jej uzdrawiającą moc.

- ... tak więc stawiane przed nami dzisiaj pytanie brzmi; Czy chcemy mocy Świętego Ducha w naszym życiu, czy jedynie udajemy? - Ksiądz powiedział bardzo dużo, gdy go nie słuchałem. Teraz jego słowa docierają do mnie i wzdrygam się. - Czy siedzimy przy sadzawce i czekamy na anioła, żeby poruszył wodę, cierpliwie, acz beczynnie, podczas gdy tuż obok żywy Bóg oferuje nam życie wieczne i dostatnie, jeśli tylko otworzymy ramiona i serca, by przyjąć ten dar? Wierzę, że wielu z nas tak właśnie czyni. Wierzę, iż wszyscy z nas postępują atak od czasu do czasu, teraz jednak wielu tylko siedzi i lamentuje, że nie ma nikogo, kto wniósłby ich do wody, gdy zstąpi anioł. - Urywa i rozgląda się po kościele; widzę, jak niektórzy się garbią, a inni odprężają, gdy spoczywa na nich jego wzrok. - Rozglądajcie się dokoła, każdego dnia, w każdym miejscu, patrzcie w oczy każdemu, kogo napotkacie. Jakkolwiek ważny jest dla was ten kościół, Bóg winien być ważniejszy... a jest On wszędzie, zawsze, w każdym człowieku i rzeczy. Zapytajcie samych siebie: „Czy chcę być uzdrowiony?”, a jeśli nie możecie odpowiedzieć sobie twierdząco, zapytajcie: „Dlaczego nie?” Gdyż jestem pewien, że On stoi obok każdego z was, zadając to pytanie waszym duszom, by uleczyć was ze wszystkich dolegliwości, jeśli tylko będziecie gotowi na uzdrowienie.

Wpatruję się w księdza i niemal zapominam wstać i wyrecytować słowa modlitwy, na którą przychodzi teraz pora.

Wierzę w Boga Ojca, Stworzyciela nieba i ziemi, i wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych. Wierzę, że Bóg jest ważny i nie popełnia błędów. Mama zwykle żartowała sobie z boskich pomyłek, ja jednak nie sądzę, aby popełniał błędy, skoro jest Bogiem. Czyli jednak nie jest to głupie pytanie.

Czy chcę być uzdrowiony? I z czego?

Jedynym ja, jakie znam, jest moje ja, człowiek, którym jestem teraz: autystyczny bioinformatyk i szermierz zakochany w Marjory.

Wierzę również w Jego syna pierworodnego, Jezusa Chrystusa, który w swej cielesnej postaci zadał to pytanie mężczyźnie przy sadzawce. Człowiekowi, który prawdopodobnie - przypowieść o tym nie wspomina - zjawił się tam, ponieważ ludzie byli zmęczeni jego chorobą i kalectwem, i który być może był zadowolony z tego, że mógł całymi dniami leżeć beczynnie, lecz mimo wszystko udał się w drogę.

Co zrobiłby Jezus, gdyby mężczyzna powiedział: „Nie, nie chcę uzdrowienia, jestem całkiem zadowolony ze swego stanu. Ze mną wszystko w porządku, to moi krewni i sąsiedzi nalegali, żebym tu przywędrował”.

Powtarzam to automatycznie, gładko, podczas gdy mój umysł siłuje się z czytaniem, kazaniem, słowami. Pamiętam innego studenta, w moim rodzinnym miasteczku, który dowiedział się, że chodzę do kościoła i zapytał: „Naprawdę wierzysz w to wszystko czy to tylko taki zwyczaj?”.

Jeśli to tylko zwyczaj, jak wyprawy do uzdrawiającej sadzawki, kiedy jest się chorym, to czy oznacza to brak wiary? Gdyby tamten człowiek odpowiedział Jezusowi, że tak naprawdę wcale nie chce być zdrowy i tylko jego krewni na to nalegają, Jezus mógłby mimo to uznać, że chory powinien odzyskać władzę w nogach i odejść o własnych siłach.

Może Bóg uważa, że byłbym lepszy, gdybym nie był autystyczny. Może Bóg chce, żebym poddał się kuracji.

Robi mi się nagle zimno. Tutaj czułem się akceptowany -przez Boga, księdza i ludzi, przynajmniej przez większość z nich. Bóg nie odrzuca ślepych, głuchych, sparaliżowanych, obłąkanych. Tak mnie uczono i w to wierzę. A jeśli się mylę? Jeśli Bóg chce, żebym był inny, niż jestem?

Siedzę do końca mszy. Nie idę przyjąć komunii. Jeden z odźwiernych pyta, czy dobrze się czuję, a ja kiwam głową. Wygląda na zatroskanego, ale zostawia mnie w spokoju. Po hymnie czekam, aż pozostali wyjdą, i wówczas sam wychodzę. Ksiądz nadal tam stoi i rozmawia z odźwiernym. Uśmiecha się do mnie.

- Witaj, Lou. Co słyszeć? - Krótko, mocno ściska moją dłoń, ponieważ wie, że nie lubię długiego potrząsania ręką.

- Nie wiem, czy chcę być uzdrowiony - mówię. Robi zatroskaną minę.

- Nie mówiłem o tobie, Lou, ani o ludziach takich jak ty. Przepraszam, jeśli tak pomyślałeś... Chodziło mi o duchowe uzdrowienie. Wiesz, że przyjmujemy cię takim, jakim jesteś...

- Wy tak - odpowiadam - ale Bóg?

- Bóg kocha cię takim, jakim jesteś i jakim się staniesz – mówi dobitnie ksiądz. - Przepraszam, jeśli moje słowa cię uraziły...

- Nie czuję się urażony - wyjaśniam. - Po prostu nie wiem...

- Chcesz o tym porozmawiać? - pyta.

- Nie teraz - mówię. Nie wiem jeszcze, co sam o tym myślę, i nie będę pytał, dopóki nie będę pewny.

- Nie przyjąłeś komunii - nadmienia. Zaskakuje mnie; nie spodziewałem się, że zauważy. - Proszę, Lou, niechaj nic, co powiedziałem, nie stanie pomiędzy tobą a Bogiem.

- Nie stanie - zapewniam. - Ja tylko... muszę się zastanowić. - Odwracam się; pozwala mi odejść. To jeszcze jedna dobra rzecz w moim kościele. Jest, ale nikomu się nie narzuca. Kiedy byłem w szkole, chodziłem do kościoła, gdzie każdy chciał uczestniczyć w życiu pozostałych. Gdybym się przeziębził i opuścił mszę, ktoś by zadzwonił, żeby się dowiedzieć dlaczego. Mówili, że się o mnie troszczą i dbają, ale ja czułem się z tego powodu przytłoczony. Mówili, że jestem chłodny i powinienem rozwijać w sobie duchowość, która roznieci we mnie ogień; nie rozumieli mnie i nie słuchali.

Wracam do księdza; unosi brwi, ale czeka, aż się odezwę.

- Nie wiem, dlaczego ksiądz wygłosił właśnie to kazanie w tym tygodniu - mówię. - Nie było go w harmonogramie.

- Ach - wzdycha. Jego twarz się wypogadza. - Nie wiedziałeś, że ewangelia według św. Jana nie zawsze znajduje się w harmonogramie? To rodzaj tajnej broni, którą my, księża, zawsze możemy zastosować, jeśli uważamy, że potrzebuje tego nasza kongregacja.

Zauważyłem to, ale nigdy nie zapytałem dlaczego.

- Wybrałem to kazanie na dzisiaj, ponieważ... Lou, jak bardzo jesteś zaangażowany w sprawy parafii?

Trudno jest zrozumieć, kiedy ktoś w trakcie udzielania odpowiedzi zmienia ją w coś innego, ale próbuję.

- Chodzę do kościoła - mówię. - Prawie w każdą niedzielę...

- Czy masz tutaj przyjaciół? - pyta. - Chodzi mi o ludzi, z którymi spędzasz czas poza kościołem i może rozmawiasz na temat tego, co dzieje się w parafii.

- Nie - odpowiadam. Po historii z tamtym kościołem nie miałem ochoty na zbliżenie z innymi parafianami.

- Cóż, wobec tego możesz nie wiedzieć, że toczą się dyskusje na rozliczne tematy. Przyłączyło się do nas wielu nowych wyznawców. Większość z nich przysła z innego kościoła, gdzie doszło do okropnej walki, toteż postanowili go opuścić.

- Walka w kościele? - Czuję, jak ściska mnie w żołądku; bójka w kościele byłaby czymś strasznie złym.

- Ci ludzie byli rozgniewani, gdy do nas przyszedli - mówi ksiądz. - Wiedziałem, że potrzebują czasu, by się uspokoić i uleczyć odniesione rany. Dałem im ten czas. Lecz oni nadal odczuwają złość i toczą spory z ludźmi z ich dawnego kościoła. Zaczynają też kłócić się z naszymi ludźmi. - Patrzy na mnie ponad krawędziami szkieleł. Większość ludzi poddaje się operacji, gdy psuje im się wzrok, on jednak nosi staromodne okulary.

Zastanawiam się nad tym, co powiedział.

- Czyli... mówił ksiądz o chęci wyleczenia się, ponieważ wciąż są rozgniewani?

- Tak. Pomyślałem, że potrzebują wyzwania. Chciałem, by zrozumieli, że uporczywe trwanie w tych samych koleinach, pogrążanie się w tych samych kłótniach i gniewie wobec ludzi, których porzucili, to niewłaściwa droga. Nie pozwalają, by Bóg ich uzdrowił. - Kręci głową, na chwilę spuszcza wzrok, po czym znów na mnie patrzy. - Lou, nadal wyglądasz na zmartwionego. Jesteś pewny, że nie możesz mi powiedzieć, o co chodzi?

Nie chcę rozmawiać z nim o nowej terapii właśnie teraz, ale kłamstwo tutaj, w kościele, jest gorsze niż gdziekolwiek indziej.

- Tak - mówię. - Powiedział ksiądz, że Bóg kocha nas wszystkich i przyjmuje takimi, jakimi jesteśmy. Potem jednak usłyszałem, że ludzie powinni się zmienić, przyjąć leczenie. Tylko wówczas gdy zaakceptujemy siebie takimi, jakimi jesteśmy, zostanie my takimi, jakimi powinniśmy być. Skoro jednak powinniśmy się zmienić, błędem byłoby akceptować siebie takimi, jakimi jesteśmy.

Kiwa głową. Nie wiem, czy to oznacza, że zgadza się z moimi słowami, czy że powinniśmy się zmienić.

- Naprawdę nie celowałem tą strzałą w ciebie, Lou, i przykro mi, że zostałeś trafiony. Zawsze

uważałem cię za kogoś doskonale przystosowanego, kto czerpie zadowolenie z życia w ramach nakreślonych mu przez Boga.

- Nie sądzę, żeby to był Bóg - mówię. - Moi rodzice powiedzieli, że to przypadek, że niektórzy ludzie po prostu tacy się rodzą. Jeśli jednak sprawił to Bóg, to grzechem byłoby to zmieniać, prawda?

Jest wyraźnie zaskoczony. Ciągnę:

- Ale zawsze wszyscy chcieli mnie zmienić tak bardzo, jak tylko się da, żebym był możliwie jak najbardziej normalny, a jeśli jest to słuszne żądanie, to nie mogą wierzyć, iż ograniczenia autyzmu pochodzą od Boga. Tego właśnie nie potrafię pojąć. Muszę to zrozumieć.

- Hmm... - Kiwa się na piętach, patrząc przez dłuższą chwilę ponad mną. - Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób, Lou. Faktycznie, jeśli ludzie uważają kalectwo za dane od Boga, to czekanie przy sadzawce jest jedyną rozsądną odpowiedzią. Nie powinno się odrzucać niczego danego od Boga. Ale, prawdę rzekłszy... zgadzam się z tobą. Nie wyobrażam sobie, żeby Bóg chciał, aby ludzie rodzili się ułomnymi.

- Powinienem więc pragnąć wyleczenia, nawet jeśli nie ma lekarstwa?

- Uważam, że powinniśmy pragnąć tego, co Bóg, problem w tym, że zwykle tego nie wiemy - wyznaje.

- Ksiądz to wie - mówię.

- Częściowo. Bóg chce, żebyśmy byli uczciwi, uprzejmi i pomocni sobie nawzajem. Ale czy Bóg chce, abyśmy gonili za najmniejszą sugestią uzdrowienia naszego stanu... Tego nie wiem. Przypuszczam, że tylko wtedy, gdy nie wpływa to na to, kim jesteśmy jako dzieci Boga. Poza tym istnieją przypadłości, których uzdrowienie pozostaje poza możliwościami człowieka, wobec czego musimy dawać z siebie wszystko, żeby sobie z nimi radzić. Wielkie nieba, Lou, podnosisz trudne kwestie! - Uśmiecha się do mnie i wygląda to na szczerzy uśmiech, uśmiech oczami, ustami i całą twarzą. - Byłbyś bardzo interesującym studentem seminarium.

- Nie mogę pójść do seminarium - wyjaśniam. - Nigdy nie nauczyłbym się żadnego języka.

- Nie jestem taki pewien. Przemyślę to, co mi powiedziałaś, Lou. Gdybyś chciał jeszcze kiedyś porozmawiać...

To sygnał, że nie ma ochoty na dłuższą rozmowę. Nie rozumiem, czemu normalni ludzie nie mogą po prostu powiedzieć: „Nie chcę już dłużej rozmawiać” i odejść. Żegnając się pośpiesznie i odwracam. Znam niektóre z tych sygnałów, wolałbym jednak, żeby było bardziej rozsądne.

Autobus się spóźnia, dzięki czemu jeszcze mi nie uciekł. Czekam na rogu i rozmyślam o kazaniu. W niedzielę niewiele osób korzysta z autobusów, toteż bez trudu znajduję miejsce siedzące i przyglądam się drzewom, brązowym i miedzianym w blasku jesiennego słońca. Kiedy byłem mały, drzewa przybierały czerwony i złocisty kolor, ale tamte drzewa uschły pod wpływem zbyt wysokich temperatur, a obecne drzewa zmieniają barwy na bardziej wyblakłe.

W domu zabieram się za czytanie. Do rana chcę skończyć Cego i Clintona. Jestem pewny, że wezwą mnie na rozmowę o leczeniu i podjęciu decyzji. Nie jestem jeszcze gotowy, żeby ją podjąć.

- Pete - odezwał się głos. Aldrin go nie rozpoznał. - Mówi John Slazik. - Umysł Aldrina ściał mróz; serce zatrzymało mu się na chwilę, po czym zaczęło bić w szaleńczym rytmie. Generał John L. Slazik, Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych, oficer w stanie spoczynku. Obecny prezes firmy.

Aldrin przełknął ślinę i uspokoił głos.

- Tak, panie Slazik? - Sekundę później przyszło mu do głowy, że może powinien powiedzieć: „Tak, panie generale”, ale było już za późno. Zresztą nie wiedział, czy emerytowani generałowie używają stopnia w cywilu.

- Słuchaj no, tak się zastanawiam, co możesz mi powiedzieć o tym całym projekcie Gene'a Crenshawa. - Głos Slazika był głęboki, ciepły, gładki jak dobra whisky i równie mocny. Aldrin czuł, jak przez żyły pełźnie mu ogień.

- Tak jest, proszę pana. - Starał się pozbierać myśli. Nie oczekiwał telefonu od samego prezesa. Wyrzucił z siebie wyjaśnienie, w którym zawarł informacje o badaniach, sekcji autystycznej, potrzebie cięcia kosztów i swojej trosce, że plan Crenshawa będzie miał negatywne konsekwencje dla firmy oraz jej autystycznych pracowników.

- Rozumiem - mruknął Slazik. Aldrin wstrzymał oddech. - Wiesz, Pete - dodał, przeciągając słowa - martwi mnie trochę, że nie przyszedłeś z tym do mnie. Fakt, jestem tutaj nowy, ale naprawdę lubię wiedzieć, co się dzieje, zanim gorący kartofel walnie mnie prosto w twarz.

- Przepraszam pana - odrzekł Aldrin. - Nie wiedziałem... Staralem się przestrzegać hierarchii...

- Uhm. - Długo i znacząco przeciągany oddech. - Cóż, teraz rozumiem już twój punkt widzenia, rzecz jednak w tym, że nadszedł czas, zdarza się to rzadko, ale tak właśnie jest teraz, kiedy próbujesz pójść wyżej, lecz zostałeś powstrzymany i musisz się dowiedzieć, jak pokonać tę przeszkodę. A takie sytuacje nie są zbyt korzystne... dla mnie.

- Przykro mi, proszę pana - powtórzył Aldrin. Serce mu waliło.

- Cóż, myślę, że połapaliśmy się w samą porę - oznajmił Slazik. - Przynajmniej jak dotąd, nic się nie przedostało do mediów. Z przyjemnością usłyszałem, że troszczyłeś się zarówno o swoich ludzi, jak i o firmę. Mam nadzieję, iż zdajesz sobie sprawę, Pete, że nigdy nie wybaczyłbym żadnych nielegalnych lub nieetycznych działań wymierzonych w pracowników lub uczestników badań. Jestem bardziej niż zaskoczony i rozczarowany, że jeden z moich podwładnych próbował czegoś takiego. - Przy wymawianiu ostatniego zdania głos mu stwardniał, przywodząc na myśl zębate, stalowe ostrze.

Aldrin wzdrygnął się mimowolnie. Po chwili przeciąganie słów powróciło.

- Ale to nie twój problem. Pete, sytuacja jest następująca: twoim ludziom obiecano leczenie i zagrożono pozbawieniem pracy, a ty musisz to teraz wyprostować. Dział prawny podeśle kogoś, by wyjaśnił sytuację, chcę jednak, żebyś ich na to przygotował.

- Jak... jak wygląda obecna sytuacja, proszę pana? - zapytał Aldrin.

- Mają zapewnioną pracę, o ile są nią zainteresowani - odrzekł Slazik. - Nie zmuszamy ochotników do niczego; to nie wojsko i doskonale to rozumiem, nawet jeśli... ktoś inny nie rozumie. Mają swoje prawa. Nie muszą zgadzać się na leczenie.

Z drugiej strony, jeśli nadal chcą zgłosić się na ochotnika, to świetnie: przeszli już wstępne testy. Pełne wynagrodzenie, zachowanie ciągłości zatrudnienia... To przypadek specjalny.

Aldrin chciał zapytać, co się stanie z Crenshawem i nim samym, bał się jednak, że to tylko pogorszy sytuację.

- Zamierzam wezwać pana Crenshawa na rozmowę - oświadczył Slazik. - Nie mów o tym nikomu, z wyjątkiem twoich ludzi, by upewnić ich, że nie są niczym zagrożeni. Czy mogę ci zaufać w tej kwestii?

- Tak jest, proszę pana.

- Żadnych ploteczek z Shirley z księgowości ani Bartem z kadr czy innymi znajomymi?

Aldrinowi zrobiło się słabo. Ile Slazik wiedział?

- Nie, proszę pana. Nikomu nic nie powiem.

- Crenshaw może cię wezwać. Powinien być nielecho na ciebie wkurzony, ale nie przejmuj się tym.

- Rozumiem, proszę pana.

- Będę musiał spotkać się z tobą osobiście, Pete, jak to wszystko się uspokoi.

- Tak jest, proszę pana.

- Jeśli nauczysz się nieco lepiej pracować w systemie, twoje oddanie zarówno celom firmy, jak i personelowi, a także świadomość problemów od strony public relations, mogą być dla nas bardzo cenne. - Slazik odłożył słuchawkę, nim Aldrin zdążył coś powiedzieć. Pete wziął głęboki oddech - miał wrażenie, że pierwszy od dłuższego czasu - i siedział wpatrzony w zegarek, dopóki sobie nie uświadomił, że wyświetlane cyferki wciąż się zmieniają.

Potem udał się do Sekcji A, zanim Crenshaw - do tej pory musiał już się dowiedzieć - wydrze się na niego przez telefon. Czuł się kruchy i bezbronny. Miał nadzieję, że jego zespół ułatwi mu obwieszczenie nowiny.

Nie widziałem Camerona, odkąd opuścił nas tydzień temu. Nie wiem, kiedy go znowu zobaczę. Nie podoba mi się, że jego samochód nie parkuje już naprzeciwko mojego. Nie podoba mi się, że nie wiem, gdzie jest ani czy u niego wszystko w porządku.

Symbole na ekranie się zmieniają, wzory się tworzą i rozpadają. Wcześniej nic takiego się nie zdarzało. Włączam wentylator. Od wirujących spiral i rozbłysków odbitego światła bolą mnie oczy. Wyłączam wentylator.

Zeszłej nocy przeczytałem kolejną książkę. Wolałbym jej nie czytać.

To, czego nauczono nas o autyzmie, kiedy byliśmy dziećmi, stanowiło jedynie część tego, w co wierzyli nasi nauczyciele. Później dowiedziałem się o paru rzeczach, ale o innych tak naprawdę wcale nie chciałem wiedzieć. Myślałem, że wystarczająco trudno jest radzić sobie ze światem i lepiej nie wiedzieć, co inni ludzie uznają we mnie za złe. Sądziłem, że wystarczy dostosować do ich oczekiwań zachowanie zewnętrzne. Tego mnie uczono: zachowuj się normalnie, a będziesz wystarczająco normalny.

Jeśli chip, który wszczepią Donowi do mózgu, sprawi, że będzie zachowywał się normalnie, to czy stanie się wystarczająco normalny? Czy to normalne mieć w mózgu chipa? Mieć mózg wymagający obecności chipa, zapewniającego normalne zachowanie?

Skoro mogę wyglądać na normalnego bez chipa, a Don potrzebuje takiego chipa, to czy oznacza to, że jestem normalny, bardziej normalny od niego?

W książce napisano, że osoby autystyczne mają skłonność do nadmiernego roztrząsania tego typu abstrakcyjnych, filozoficznych kwestii, bardzo tym przypominając psychotyków. Autorzy odwoływali się do wcześniejszych książek, w których spekulowano, że osoby autystyczne nie mają prawdziwego poczucia tożsamości, własnego ja. Definiują siebie, ale w sposób ograniczony i rygorystyczny. Wszystko to sprawia, że dostaję mdłości na samą myśl o przymusowej rehabilitacji Dona i o tym, co dzieje się z Cameronem.

Jeśli moje samookreślenie jest ograniczone i podporządkowane zasadom, to przynajmniej jest to

moje samookreślenie, a nie cudze. Lubię pieprz na pizzy, a nie lubię anchois. Jeśli ktoś mnie zmieni, to czy nadal będę lubił na pizzy pieprz, a nie anchois? Co będzie, jeśli ten, kto będzie mnie zmieniał, uzna, że powinienem lubić anchois... Czy mogą to zmienić?

W książce o funkcjonowaniu mózgu napisano, że okazywane preferencje są wynikiem interakcji pomiędzy wewnętrznym procesem przetwarzania danych oraz uwarunkowaniem społecznym. Jeśli osobie, która chce, żebym lubił anchois, nie udało się ze społecznym uwarunkowaniem, a ma dostęp do mojego systemu przetwarzania danych, to może sprawić, że polubię anchois.

Czy będę pamiętał, że nie lubię anchois... że nie lubiłem anchois?

Lou, który nie lubił anchois, zniknie, a nowy Lou, wielbiciel anchois, będzie żył pozbawiony przeszłości. To, kim jestem, zależy od mojej przeszłości tak samo jak to, czy lubię anchois, czy nie.

Jeśli moje zachcianki są zaspokajane, to jakie ma znaczenie, na czym polegają? Jaka jest różnica pomiędzy człowiekiem lubiącym, a nie lubiącym anchois? Jaką różnicę by sprawiało, gdyby każdy lubił anchois bądź ich nie lubił?

Dla anchois - wielką. Gdyby każdy lubił anchois, ginęłoby więcej anchois. Dla handlarza anchois - wielką. Gdyby każdy lubił anchois, człowiek ten zarobiłby więcej pieniędzy, sprzedając je. A dla mnie, tego, który jestem teraz, i tego, kim będę potem? Będę zdrowszy czy nie mniej zdrowy, bardziej uprzejmy czy mniej uprzejmy, sprytniejszy czy mniej sprytny, gdy polubię anchois? Widywani przeze mnie ludzie, lubiący lub nie lubiący anchois, wyglądali tak samo. W wielu przypadkach nie ma znaczenia, co ludzie lubią: jakie kolory, smaki czy muzykę.

Pytanie, czy chcę być uzdrowiony, jest jak pytanie, czy chcę lubić anchois. Nie potrafię sobie wyobrazić, jakby to było lubić anchois, jak smakowałyby w moich ustach. Ludzie, którzy lubią anchois, mówią mi, że są smaczne; ludzie normalni zapewniają, że normalność jest dobra. Nie potrafią opisać smaku ani uczucia w zrozumiałym dla mnie sposób.

Czy potrzebuję uzdrowienia? Komu zaszkodziłoby, gdybym pozostał nieuleczony? Mnie, ale tylko wówczas, gdybym czuł się źle z sobą takim, jaki jestem obecnie, a ja się tak nie czuję, z wyjątkiem chwil, gdy inni mówią, że nie jestem jednym z nich, że nie jestem normalny. Zakłada się, że osoby autystyczne nie dbają o opinie innych na ich temat, ale to nieprawda. Mnie na tym zależy i boli mnie, gdy ludzie mnie nie lubią, ponieważ jestem autystyczny.

Nawet uchodźcom, którzy zabrali ze sobą jedynie ubranie na grzbiecie, nie odmawia się prawa do wspomnień. Choć zdezorientowani i przerażeni, mają samych siebie do porównania. Możliwe, że nigdy więcej nie skosztują ulubionych potraw, nadal jednak pamiętają ich smak. Mogą już nigdy więcej nie ujrzeć rodzinnych stron, ale mają prawo pamiętać, że tam mieszkali. Mogą osądzić, czy ich życie jest lepsze, czy gorsze, czyniąc stosowne porównania ze wspomnieniami.

Chcę wiedzieć, czy Cameron pamięta tego Camerona, którym był, oraz czy uważa, że kraj, do którego zawitał, jest lepszy od tego, który porzucił.

Po południu znowu mamy się spotkać z konsultantami. Zapytam o to.

Patrzę na zegarek. Jest 10:37:18, a ja jeszcze nic nie zdziałałem. Nie chcę robić tego projektu. To projekt sprzedawcy anchois, nie mój.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Pan Aldrin wchodzi do naszego budynku. Puka do moich drzwi i mówi:

- Chodź, proszę. Chcę porozmawiać z wami w sali gimnastycznej .

Żołądek zawiązuje mi się w supeł. Słyszę, jak puka do pozostałych osób. Wychodzą na zewnątrz: Linda, Bailey, Chuy, Eric i pozostali, po czym wszyscy z napięciem na twarzach wkraczamy do sali gimnastycznej. Jest wystarczająco obszerna, by pomieścić nas wszystkich. Staram się nie martwić, ale czuję, że zaczynam się pocić. Czyżby zamierzali rozpocząć kurację natychmiast? Niezależnie od tego, co postanowimy?

- To bardzo skomplikowane - mówi pan Aldrin. - Ktoś inny wyjaśni wam to później, ja jednak chcę powiedzieć o tym teraz.

- Wygląda na wzburzonego i nie tak smutnego, jak kilka dni temu.

- Pamiętajcie, jak na samym początku powiedziałem, że moim zdaniem to źle, że próbuje się zmuszać was do podjęcia leczenia? Kiedy do was dzwoniłem?

Pamiętam to, również fakt, że nie zrobił nic, żeby nam pomóc, a później twierdził, że powinniśmy wyrazić zgodę na kurację dla naszego dobra.

- Firma uznała, że pan Crenshaw postępował źle – oznajmia pan Aldrin. - Zarząd chce, abyście wiedzieli, że wasze stanowiska są absolutnie niezagrożone niezależnie od decyzji, jaką podejmiecie. Możecie pozostać takimi, jakimi jesteście, i pracować tutaj, korzystając z tych samych środków wsparcia, jakie macie obecnie.

Muszę zamknąć oczy; zbyt wiele do zniesienia. Na ciemnych powiekach tańczą kolorowe, radosne kształty. Nie muszę tego robić. Jeśli nie zamierzają rozpocząć leczenia, to nie muszę nawet decydować, czy tego chcę, czy nie.

- Co z Cameronem? - pyta Bailey.

- Pan Aldrin kręci głową.

- O ile wiem, już rozpoczął kurację - mówi. - Nie sądzę, żeby mogli przerwać na tym etapie. Otrzyma jednak pełną rekompensatę...

To, co powiedział, uznaję za głupie. Jak można komuś zrekompensować zmianę mózgu?

- Jeśli chodzi o was - ciągnie pan Aldrin - to gdybyście chcieli poddać się leczeniu, nadal jest dla was w pełni dostępne. Zgodnie z obietnicą.

Nic mi nie obiecywano, tylko grożono. Nie mówię tego głośno.

- W czasie trwania kuracji i rekonwalescencji będziecie otrzymywać pełne wynagrodzenie, a także wszelkie podwyżki i awanse, jakie by się wam należały, gdybyście pracowali. Macie także zapewnioną ciągłość pracy. Dział prawny firmy pozostaje w kontakcie z Pomocą Prawną współdziałającą z waszym Centrum i reprezentanci obu organizacji będą gotowi wyjaśnić wam wszystkie prawne aspekty tej sytuacji, jak również pomóc z niezbędnymi dokumentami. Na przykład: gdybyście postanowili poddać się leczeniu, musielibyście zlecić płatność rachunków bezpośrednio z waszych kont i tak dalej.

- A więc... to jest całkowicie dobrowolne? Szukacie prawdziwych ochotników? - pyta Linda, wbijając wzrok w ziemię.

- Tak. Całkowicie.

- Nie rozumiem, dlaczego pan Crenshaw zmienił zdanie - mówi.

- To nie pan Crenshaw - odpowiada pan Aldrin. - Ktoś, to znaczy pewni ludzie na wyższych stanowiskach uznali, że pan Crenshaw popełnił błąd.

- Co stanie się z panem Crenshawem? - chce wiedzieć Dale.

- Nie wiem - mówi pan Aldrin. - Nie jestem uprawniony do dyskusji o tym, co się może stać, poza tym i tak nic mi nie powiedzieli.

Uważam, że jeśli pan Crenshaw nadal będzie pracował w firmie, to znajdzie sposób, żeby narobić nam kłopotów. Skoro firma mogła dokonać takiego zwrotu w zapatrywaniach, to równie dobrze może znowu zmienić zdanie, gdy ktoś inny obejmie władzę; podobnie jak samochód może jechać w dowolnym kierunku, zgodnie z wolą kierowcy.

- W waszym popołudniowym spotkaniu z konsultantami medycznymi będą także uczestniczyć przedstawiciele działu prawnego i Pomocy Prawnej - dodaje pan Aldrin. - Oraz zapewne parę innych osób. Mimo to nie musicie natychmiast podejmować decyzji. - Uśmiecha się nagle i jest to szczery uśmiech, ustami, oczami, policzkami i czołem: wszystkie linie układają się w ten sam sposób, dowodząc, że jest naprawdę szczęśliwy. - Czuję wielką ulgę - mówi. - Cieszę się ze względu na was.

Kolejne wyrażenie, które brane dosłownie nie ma żadnego sensu. Mogę być szczęśliwy albo smutny, albo rozgniewany, nie mogę jednak odczuwać czegoś za kogoś. Tak naprawdę, wcale nie może być szczęśliwy ze względu na mnie; ja sam muszę być szczęśliwy, inaczej nie będzie to prawdziwe. Chyba że chciał powiedzieć, iż jest szczęśliwy, ponieważ uważa, że będziemy szczęśliwsi, jeśli nie pocujemy się zmuszani do poddania się leczeniu, a „Cieszę się ze względu na was” oznacza: „Cieszę się ze względu na korzystne dla was okoliczności”.

Rozlega się dźwięk sygnalizatora pana Aldrina, który przeprosza nas na moment i wychodzi. Chwilę później wsuwa głowę przez drzwi i mówi:

- Muszę lecieć. Do zobaczenia po południu.

* * *

Spotkanie zostało przeniesione do większego pomieszczenia. Pan Aldrin stoi przy drzwiach, kiedy przychodzimy, a pozostali mężczyźni i kobiety w garniturach i kostiumach znajdują się już w środku i kręcą dokoła stołu. W tej sali również ściany wyłożono boazerią, która nie wygląda na imitację, a podłogę zakryto dywanem. Krzesła są takie same, lecz tapicerka ma kolor wyblakłego złota w zielone kropki, układające się w miniaturowe stokrotki. Z przodu umieszczono wielki stół z krzesłami z obu stron, a na ścianie zawieszono olbrzymi ekran. Na stole dostrzegam dwa małe stosy folderów. Jeden tworzy pięć folderów, a w drugim znajduje się ich tyle, żeby starczyło po jednym dla każdego z nas.

Zajmujemy miejsca tak jak poprzednio; pozostali czynią to nieco wolniej. Doktora Ransome'a znam; doktora Handsela nie ma. Pojawił się inny lekarz, starsza kobieta z identyfikatorem „L. Hendricks”. To ona wstaje pierwsza. Mówi nam, że nazywa się Hendricks i że zarządza zespołem badawczym i chce jedynie prawdziwych ochotników. Siada. Wstaje mężczyzna w ciemnym garniturze, który mówi nam, że nazywa się Godfrey Arakeen, jest prawnikiem z działu prawnego firmy i że nie musimy się niczym martwić.

Na razie niczym się nie martwię.

Mówi o przepisach regulujących zatrudnianie i zwalnianie pracowników niepełnosprawnych. Nie wiedziałem, że w zamian za zatrudnienie nas firma otrzymała zwolnienie podatkowe, którego wysokość zależy od procentu niepełnosprawnych w każdym dziale i specjalności. Przedstawia sprawę w ten sposób, że stanowimy wartość dla firmy ze względu na odpis podatkowy, a nie wykonywaną pracę. Mówi, że pan Crenshaw powinien być poinformować nas o prawie do rozmowy z firmowym rzecznikiem pracowniczym. Nie wiem, kim jest rzecznik pracowniczy, jednak mówca od razu wyjaśnia znaczenie tego słowa. Przedstawia innego mężczyznę w garniturze, pana Vanagli, tak chyba brzmi jego nazwisko. Nie jestem pewien, jak je zapisać, a nie jest łatwo wychwycić wszystkie zgłoski. Pan Vanagli mówi, że jeśli niepokoi nas cokolwiek związanego z pracą, to powinniśmy przyjść z nim porozmawiać.

Ma oczy osadzone bliżej siebie niż pan Arakeen, a wzór na jego krawacie rozprasza uwagę - niewielkie diamenty, złociste i błękitne, ułożone w stopnie, które idą w górę i w dół. Nie sądzę, żebym mógł opowiedzieć mu o swoich troskach. I tak nie zostaje na zebraniu, tylko wychodzi, powtarzając na odchodnym, żebyśmy przychodzili do niego o każdej porze w godzinach urzędowania.

Następnie kobieta w ciemnym kostiumie mówi, że jest prawniczką z Pomocy Prawnej, która współpracuje z naszym Centrum, i zjawiała się tutaj, by bronić naszych praw. Nazywa się Sharon Beasley. Jej nazwisko przywołuje mi na myśl łasicę^[6], ale ma szeroką, przyjazną twarz i w ogóle nie przypomina łasicy. Miękkie, kręcone włosy spływają jej na ramiona. Nie są równie błyszczące jak u Marjory. Nosi kolczyki składające się z czterech koncentrycznych kręgów, a w każdym z nich umieszczono kawałek szkła o różnych kolorach: niebieskim, czerwonym, zielonym i fioletowym. Oznajmia, że pan Arakeen jest tutaj, żeby chronić interesy firmy, i choć ona nie wątpi w jego uczciwość i szczerść - dostrzegam, że pan Arakeen porusza się niespokojnie i zaciska usta, jakby się irytował - to jednak musimy mieć kogoś po swojej stronie i ona jest właśnie tą osobą.

- Musimy wyjaśnić waszą obecną sytuację i reguły przeprowadzania badań - mówi pan Arakeen, kiedy kobieta siada. - Jeden z was rozpoczął już leczenie; pozostałym obiecano szansę udziału w eksperymentalnej kuracji. - Znowu myślę, że to była groźba, a nie obietnica, ale nie przerywam. - Firma nie wycofuje się z tej propozycji, jeśli więc którekolwiek z was postanowi wziąć udział w badaniach, może to uczynić. Otrzymacie wówczas pełne wynagrodzenie, lecz nie honorarium ochotnika. Będziecie traktowani jak zatrudnieni w innym miejscu, a wasza praca polegać będzie na uczestnictwie w eksperymencie. Firma gotowa jest ponieść wszelkie koszty związane z leczeniem, choć normalnie nie byłyby pokrywane z waszego ubezpieczenia zdrowotnego. - Przerywa i kiwa głową panu Aldrinowi. - Pete, może rozdasz foldery.

Na okładce każdego folderu widnieje nazwisko wydrukowane na niewielkiej naklejce. Inna naklejka głosi: „Własność prywatna, ściśle tajne: nie wynosić z tego budynku”.

- Jak się przekonacie - mówi pan Arakeen - foldery te szczegółowo opisują, co firma gotowa jest dla was zrobić, niezależnie od tego, czy postanowicie wziąć udział w tym leczeniu, czy nie. - Obraca się i podaje jeden z folderów pani Beasley. Ta szybko go otwiera i zaczyna czytać. Ja otwieram swój. - Jeżeli postanowicie nie brać w nim udziału, to na stronie siódmej w paragrafie pierwszym przeczytacie, że nie będzie to miało żadnych skutków, jeśli chodzi o warunki waszego zatrudnienia. Nie stracie pracy ani stażu, ani waszego specjalnego statusu. Będziecie po prostu dalej pracować, korzystając z takich samych środków wspomagających...

Rozważam to. A jeśli pan Crenshaw miał rację i naprawdę istnieją komputery zdolne do wykonywania tej samej pracy co nasza, tylko lepiej i szybciej? Pewnego dnia firma może zechcieć to

zmienić, nawet jeśli nie zamierza zrobić tego teraz. Inni tracą pracę. Don stracił pracę. Ja też mogę stracić pracę. Nie będzie łatwo znaleźć inną.

- Twierdzi pan, że mamy zapewnioną pracę na całe życie? - pyta Bailey.

Pan Arakeen robi dziwną minę.

- Tego nie powiedziałem - odpowiada.

- Jeśli więc za kilka lat firma uzna, że nie zarabiamy dla niej wystarczająco dużo pieniędzy, możemy zostać zwolnieni.

- Owszem, przyszłe warunki ekonomiczne mogą wymagać ponownej oceny sytuacji - tłumaczy pan Arakeen. - Na razie jednak niczego takiego nie przewidujemy.

Zastanawiam się, ile potrwa to „na razie”. Moi rodzice stracili pracę w wyniku ekonomicznego trzęsienia ziemi, a mama powiedziała kiedyś, że we wczesnych latach dziewięćdziesiątych wydawało im się, że są urzędzeni do końca życia. „Życie biegnie meandrami - mówiła - a ty masz pamiętać, żeby nie wypaść z toru”.

Pani Beasley się prostuje.

- Uważam, że należy określić minimalny okres ochrony zatrudnienia - mówi. - Szczególnie w świetle obaw naszych klientów oraz nielegalnych grózb ze strony waszego menedżera.

- Grózb, o których zarząd nie miał pojęcia - odpowiada pan Arakeen. - Nie sądzę, żeby można było oczekiwać od nas...

- Dziesięć lat - przerywa mu pani Beasley.

- Dziesięć lat to bardzo długi, a nie minimalny okres. Twarz pana Arakeena czerwienieje. - Nie sądzę...

- Czyli w dłuższym okresie czasu planujecie zakończenie współpracy? - pyta pani Beasley.

- Tego nie powiedziałem - mówi pan Arakeen. - Ale kto zdołałby przewidzieć, co się może wydarzyć? A dziesięć lat to stanowczo za długi okres. Nikt nie mógłby złożyć takiej obietnicy.

- Siedem - targuje się pani Beasley.

- Cztery - rzuca pan Arakeen.

- Sześć.

- Pięć.

- Pięć z dobrą odprawą - kończy pani Beasley.

Pan Arakeen unosi ręce dłońmi na zewnątrz. Nie znam znaczenia tego gestu.

- Zgoda - mówi. - Szczegóły możemy omówić później, prawda?

- Oczywiście - odpowiada pani Beasley. Uśmiecha się do niego wargami, ale jej oczy pozostają poważne. Dotyka włosów z lewej strony szyi i odrzuca je na plecy.

- W porządku - oznajmia pan Arakeen. Porusza głową, jakby kołnierzyk uciskał go w szyję. - Macie zagwarantowane zatrudnienie na tych samych warunkach przez okres co najmniej pięciu lat, niezależnie od tego, czy zechcecie wziąć udział w badaniach, czy też nie. - Spogląda na panią Beasley, po czym z powrotem przenosi wzrok na nas. - Jak więc widzicie, nie straciecie na swojej decyzji, jeśli chodzi o wasze stanowiska. Wszystko zależy wyłącznie od was. Jednakże z medycznego punktu widzenia wszyscy zakwalifikowaliście się do kuracji.

Milknie, ale nikt się nie odzywa. Rozmyślam nad tym. Za pięć lat będę miał czterdziestkę.

Trudno będzie znaleźć pracę po czterdziestce, a do emerytury jeszcze daleko. Pan Arakeen kiwa krótko głową i kontynuuje:

- A teraz damy wam chwilę, żebyście zapoznali się z informacjami zawartymi w folderze. Jak widzicie, ze względów prawnych nie wolno wynosić ich z tego budynku. Ja tymczasem omówię z panią Beasley pewne szczegóły, będziemy jednak w pobliżu, żeby móc odpowiadać na wasze pytania. A potem doktor Hendricks i doktor Ransome poprowadzą zaplanowaną na ten dzień konsultację medyczną, choć, rzecz jasna, dzisiaj nie oczekujemy od was żadnych decyzji odnośnie uczestnictwa w eksperymencie.

Czytam folder. Na końcu znajduje się kartka papieru z miejscem na mój podpis. Głosi ona, że przeczytałem i zrozumiałem wszystko, co zawarte jest w niniejszym folderze, i zobowiązałem się, że nie będę rozmawiać o tym z nikim spoza mojej sekcji, z wyjątkiem rzecznika pracowniczego oraz prawnika z Pomocy Prawnej Centrum. Jeszcze jej nie podpisuję.

Doktor Ransome wstaje i ponownie przedstawia doktor Hendricks. Ta zaczyna opowiadać nam o tym, co już wiemy. Trudno jest mi się skupić, ponieważ poznałem już tę część. To, co chcę wiedzieć, pojawia się później, kiedy lekarz opisuje, co dokładnie stanie się z naszymi mózgami.

- Nie możemy dołożyć wam nowych neuronów bez powiększenia czaszek - mówi. - Musimy regulować ich liczbę, aby zapewnić odpowiednią ilość tkanki nerwowej, tworzącej właściwe połączenia. Mózg robi to sam podczas naturalnego procesu dojrzewania: tracicie mnóstwo neuronów z ich pierwotnej liczby, gdy nie tworzą powiązań, a gdyby to czyniły, powstałby chaos.

Podnoszę rękę, a ona kiwa mi głową.

- Regulować... Czy oznacza to, że wyjmujecie część tkanki, by zrobić miejsce na nową?

- Nie fizycznie; w rzeczywistości jest to mechanizm biologiczny, resorpcja...

Cego i Clinton opisywali resorpcję w trakcie rozwoju: zapasowe neurony znikają, wchłonięte przez organizm. Jest to proces regulowany przez mechanizmy kontroli zwrotnej, wykorzystujące częściowo dane zmysłowe. Model intelektualny jest fascynujący; nie zmartwiło mnie, że tyle moich neuronów zniknęło, skoro dowiedziałem się, że to samo dzieje się u innych. Ale jeśli doktor Hendricks ma na myśli to, czego - jak sądzę - do końca nie powiedziała, to proponują wchłonięcie części neuronów, które posiadam obecnie, jako dorosły. To pewna różnica. Posiadane przeze mnie obecnie neurony robią dla mnie coś pożytecznego. Ponownie unoszę rękę.

- Tak, Lou? - Tym razem odzywa się doktor Ransome. W głosie słychać lekkie napięcie. Chyba uważa, że zadaję zbyt wiele pytań.

- Czyli... zamierzacie zniszczyć część naszych neuronów, aby zrobić miejsce dla nowego wzrostu?

- Nie do końca zniszczyć - odpowiada. - To dość skomplikowane, Lou; nie jestem pewny, czy zrozumiesz. - Doktor Hendricks zerka na niego i odwraca wzrok.

- Nie jesteśmy głupi - mruczy Bailey.

- Wiem, co znaczy resorpcja - mówi Dale. - Znaczy, że tkanka znika i jest zastępowana przez inną. Moja siostra miała raka i zaprogramowano jej ciało tak, żeby wchłonęło guza. Jeśli doprowadzicie do resorpcji neuronów, znikną.

- Przypuszczam, że możecie tak to rozumieć - przyznaje z napięciem na twarzy doktor Ransome. Obrzuca mnie wzrokiem. Podejrzewam, że ma do mnie pretensję, że zacząłem.

- Ale taka właśnie jest prawda - mówi doktor Hendricks. Nie sprawia wrażenia spiętej, tylko

podekscytowanej, jak ktoś oczekujący wyjazdu na bal karnawałowy. - Wchłaniamy neurony tworzące złe połączenia i hodujemy nowe, które utworzą dobre połączenia.

- Co zniknie, to zniknie - upiera się Dale. - Taka jest prawda. Mówcie nam prawdę. - Zaczyna się denerwować; oko mruga mu bardzo szybko. - Coś zniknie, a właściwe neurony i tak mogą nie urosnąć.

- Nie! - woła głośno Linda. - Nie, nie, nie! Nie z moim mózgiem. Żadnych podziałów. Niedobrze, niedobrze. - Zwiesza głowę, odmawiając nawiązania kontaktu wzrokowego, odmawiając słuchania.

- Nie ma mowy o dzieleniu mózgu - zapewnia doktor Hendricks. - To zupełnie nie tak... Chodzi tylko o regulację: rosną nowe połączenia neuronowe. Poza tym, nic się nie zmienia.

- Tyle że przestaniemy być autystyczni - mówię. - Jeśli terapia podziała.

- Zgadza się. - Doktor Hendricks się uśmiecha, jakbym powiedział absolutnie właściwą rzecz. - Będziecie tacy sami jak teraz, tyle że nie autystyczni.

- Ale autyzm to ja - upiera się Chuy. - Nie wiem, jak to będzie stać się kimś innym, którego teraz nie ma. Muszę zacząć od początku, od dziecka, i ponownie dorosnąć, żeby stać się kimś innym.

- Cóż, nie do końca - wyjaśnia lekarz. - Nie wpływamy na dużą ilość neuronów, tylko na kilka na raz, dzięki czemu dysponujecie pozostałymi. Oczywiście, pewnych rzeczy trzeba będzie nauczyć się na nowo, konieczna będzie rekonwalescencja. Wszystko znajduje się w opracowaniu, wasz doradca wam to wyjaśni, ale cała kuracja zostanie sfinansowana przez firmę. Nie będziecie musieli za nic płacić.

- Dożywocie - rzuca Dale.

- Słucham? - pyta lekarz.

- Jeśli muszę zaczynać od początku, to chcę mieć więcej czasu, żeby być tą inną osobą. Żeby żyć. - Dale jest najstarszy z nas, dziesięć lat starszy ode mnie. Nie wygląda staro. Wciąż ma ciemne i gęste włosy. - Chcę dożywocia - mówi, a ja uświadamiam sobie, że nie chodzi mu o coś dożywotniego, lecz o kurację odmładzającą „Dożywocie”.

- Ależ... to absurd - wtrąca pan Arakeen, ubiegając lekarzy. - To by ogromnie podrożyło cały projekt. - Patrzy po pozostałych przedstawicielach firmy, siedzących w rzędzie za stołem. Żaden nie odwzajemnia jego spojrzenia.

Dale mocno zaciska powieki, mimo to lewa wciąż trzepocze.

- A jeśli ta ponowna nauka zabierze więcej czasu, niż zakładacie? Może całe lata. Chcę mieć czas, by pożyć jako normalny człowiek. Tyle samo, ile żyłem jako osoba autystyczna. Więcej. - Przerywa, a twarz kurczy mu się z wysiłku. - Będzie więcej danych - mówi. - Dłuższa obserwacja. - Odpręża się i otwiera oczy. - Dorzucicie „Dożywocie” i wchodzę w to. Bez „Dożywocia” zabieram się stąd.

Rozglądam się dokoła. Wszyscy wpatrują się w Dale'a, nawet Linda. Cameron mógłby uczynić coś takiego, ale nie Dale. Już się zmienił. Wiem, że sam też już się zmieniłem. Jesteśmy autystyczni, ale się zmieniamy. Może wcale nie potrzebujemy leczenia, nawet żeby się bardziej zmienić, nawet żeby być - a nie tylko wyglądać - jak normalni.

Rozważam to wszystko, zastanawiam się też, jak długo może to potrwać, i przypominają mi się akapity z książki.

- Nie - mówię. Dale odwraca się i patrzy na mnie. Ma nieruchomą twarz. - To nie jest dobry

pomysł - dodaje. - Ta kuracja wpływa na neurony, „Dożywocie” także. To metoda eksperymentalna. Nikt nie wie, czy w ogóle działa.

- My wiemy, że działa - wtrąca doktor Hendricks. - To tylko...

- Nie wiecie na pewno, jak wpływa na ludzi - rzucam, przerywając jej, choć przerywanie jest niegrzeczne. Ale to ona przerwała mi pierwsza. - Dlatego właśnie potrzebujecie nas albo ludzi nam podobnych. Próbowanie obu kuracji jednocześnie to nie jest dobry pomysł. W nauce modyfikuje się tylko jedną zmienną na raz.

Pan Arakeen oddycha z ulgą. Dale milczy, lecz pozwala opaść powiekom. Nie wiem, co myśli. Wiem, jak sam się czuję: w środku jestem cały roztrzęsiony.

- Chcę żyć dłużej - woła Linda. Jej dłoń wyskakuje naprzód, jakby obdarzona własnym życiem. - Chcę żyć dłużej i nie zmieniać się.

- Nie wiem, czy chcę żyć dłużej albo się zmienić – mówię wolno, ale nawet doktor Hendricks mi nie przerywa. - A jeśli stanę się kimś, kogo nie polubię, a będę musiał żyć dłużej? Najpierw chciałbym wiedzieć, kim zostanę, a dopiero potem postanowię, czy chcę żyć dłużej.

Dale powoli kiwa głową.

- Uważam, że powinniśmy podjąć decyzję odnośnie samego leczenia. Nie próbują nas zmuszać. Możemy to przemyśleć.

- Ale... ale... - Pan Arakeen sprawia wrażenie, jakby zakrztusił się jakimś słowem i próbuje je teraz z siebie wypluć. Wykonuje gwałtowny ruch głową i mówi dalej: - Chcecie powiedzieć, że się zastanowicie... Jak długo to potrwa?

- Tak długo, ile tylko będą chcieli - mówi pani Beasley. - Macie już jednego ochotnika do leczenia; ostrożniej będzie odczekać i zobaczyć, jak z nim poszło.

- Nie mówię, że to zrobię - uprzedza Chuy. - Ale myślałbym o tym... zyczliwiej... gdyby zapewniono „Dożywocie”. Może nie jednocześnie, ale później.

- Przemyślę to - oznajmia Linda. Jest blada, a jej spojrzenie wędruje po otoczeniu.

Przemyślę to, a choć dłuższe życie uczyniłoby propozycję ciekawszą, tak naprawdę wcale tego nie chcę.

- Ja również - mówi Eric. - Nie chcę, żeby ktoś zmieniał mój mózg. Kryminaliści mają zmieniane mózgi, a ja nie jestem kryminalistą. Osoby autystyczne są inne, nie są złe. To nie zło być innym. Czasami to trudne, ale nie jest złe.

Nie odzywam się. Nie jestem pewny, co chcę powiedzieć. To wszystko dzieje się za szybko. Jak podjąć decyzję? Jak postanowić być kimś innym, kogo nie znam i nie potrafię przewidzieć? Zmiana i tak zachodzi, ale to nie moja wina, skoro nie ja o niej decydowałem.

- Chcę tego - oznajmia Bailey. Zamyka oczy i ciągnie napiętym głosem: - To rekompensata za to, że pan Crenshaw nam groził, za ryzyko utraty pracy i pogorszenia warunków. To załatwi sprawę.

Patrzą na doktor Hendricks i doktora Ransome'a; szepczą do siebie, żywo gestykulując. Podejrzewam, że już się zastanawiają, jak te dwie kuracje mogą na siebie wpłynąć.

- To zbyt niebezpieczne - mówi doktor Ransome, podnosząc wzrok. - Prawdopodobnie nie możemy przeprowadzić obu kuracji jednocześnie. - Zerka na mnie. - Lou miał rację. Nawet jeśli przejdziecie kurację odmładzającą później, nie można poddać się im obu jednocześnie.

Linda wzrusza ramionami i wbija wzrok w podłogę. Napina ramiona; zaciśnięte w pięści dłonie złożyła na kolanach. Myślę, że nie zgodzi się na leczenie bez obietnicy przedłużenia życia. Jeśli ja to

zrobię, a ona nie, możemy się już więcej nie zobaczyć. Dziwnie się z tym czuję; przyszła do sekcji przede mną. Przez lata widywałem ją w każdy dzień pracy.

- Porozmawiam o tym z zarządem - mówi znacznie spokojniej pan Arakeen. - Potrzebujemy dodatkowych opinii prawnych i medycznych. Jeśli jednak dobrze zrozumiałem, niektórzy z was żądają „Dożywocia” jako elementu pakietu świadczeń, uzależniając od tego swoje przystąpienie do kuracji, zgadza się?

- Tak - odpowiada Bailey. Linda kiwa głową.

Pan Arakeen stoi przed nami, kołysząc się lekko, jakby prze-stępował z nogi na nogę. Światło odbija się od jego identyfikatora, poruszającego się zgodnie z ruchami ciała. Jeden z guzików marynarki pojawia się i znika pod pulpitem, w miarę kołysania. Wreszcie pan Arakeen nieruchomieje i gwałtownie kiwa głową.

- W porządku. Zapytam zarząd. Uważam, że się nie zgodzi, ale mimo wszystko zapytam.

- Proszę pamiętać - mówi pani Beasley - że ci pracownicy nie wyrazili zgody na poddanie się leczeniu, a jedynie zadeklarowali chęć przemyślenia takiej decyzji.

- Zgadza się. - Pan Arakeen ponownie kiwa głową, po czym znowu wykręca szyję. - Oczekuję jednak, że dotrzymacie słowa. Że naprawdę to sobie przemyślicie.

- Ja nie kłamię- oświadcza Dale. - I wy nas nie okłamujcie. - Wstaje, prostując lekko zeszywniałe ciało. - Chodźcie – mówi do pozostałych. - Praca czeka.

Nikt się nie odzywa, ani prawnicy, ani lekarze, ani pan Aldrin. Podnosimy się powoli; czuję się niepewnie, niemal dygoczę. Czy będzie dobrze tak zwyczajnie wyjść? Ale gdy zaczynam się ruszać, z każdym krokiem czuję się lepiej. Jestem wystraszony, a jednocześnie szczęśliwy. Mam wrażenie lekkości, jakby zmniejszyła się grawitacja.

Na korytarzu skręcamy w lewo, w stronę wind. Kiedy docieramy do miejsca, gdzie korytarz się rozszerza i gdzie znajdują się windy, widzimy pana Crenshawa, stojącego z kartonowym pudłem w rękach. Jest pełne przedmiotów, ale nie widzę ich wszystkich. Na samej górze spoczywa para markowych butów do biegania; pamiętam je z katalogu ze sprzętem sportowym, jaki kiedyś przeglądałem. Ciekawe, jak szybko biega pan Crenshaw. Z obu stron, za panem Crenshawem, stoi dwóch mężczyzn w błękitnych koszulach ochrony. Na nasz widok otwiera szeroko oczy.

- Co tutaj robicie? - pyta Dale'a, krocącego na czele naszej grupy. Obraca się i robi krok w jego stronę, ale mężczyźni w mundurach natychmiast kładą mu ręce na ramionach i zatrzymują. - Do godziny czwartej powinniście przebywać w G-28; to zupełnie inny budynek.

Dale nie zwalnia; mija go bez słowa.

Pan Crenshaw kręci głową jak robot, po czym się cofa. Obrzuca mnie spojrzeniem.

- Lou! Co się tutaj dzieje?

Chcę wiedzieć, co *on* tutaj robi z tym pudłem w rękach i pod strażą ochrony, ale nie jestem na tyle niewychowany, by o to zapytać. Pan Aldrin powiedział, że nie powinniśmy się więcej przejmować panem Crenshawem, nie muszę więc odpowiadać na jego niegrzeczne pytanie.

- Mam mnóstwo pracy, panie Crenshaw - mówię. Porusza rękami, jakby chciał upuścić pudło i się na mnie rzucić, ale tego nie robi, a ja go mijam, idąc za Dale'em.

Po powrocie do naszego budynku Dale zaczyna powtarzać:

- Tak, tak, tak, tak, tak. - I głośniej: - TAK, TAK, TAK!

- Nie jestem zła - mówi Linda. - Nie jestem złym człowiekiem.

- Nie jesteś zła - zgadzam się. Do oczu napływają jej łzy.

- Źle jest być osobą autystyczną. Źle jest być złą, że jest się osobą autystyczną. Źle jest chcieć nie być - nie chcieć być - osobą autystyczną. Wszystko jest złe. Nie ma dobrego rozwiązania.

- To głupota - oświadcza Chuy. - Kazać nam chcieć być normalnymi, a potem kazać nam kochać siebie takimi Jakimi jesteśmy. Jeśli ludzie chcą się zmienić, to znaczy, że czegoś w sobie nie lubią. Nie ma innej możliwości.

Dale uśmiecha się szeroko. Jeszcze nie widziałem u niego takiego uśmiechu.

- Kiedy ktoś mówi coś niemożliwego, to ktoś jest w błędzie.

- Tak jest - mówię. - To błąd.

- Błąd - powtarza Dale. - Błędem jest też wiara w niemożliwe.

- Tak - zgadzam się. Czuję, że sztywnieję z obawy, że Dale zaraz powie coś o religii.

- Jeśli więc normalni ludzie każą nam zrobić coś niemożliwego, to nie musimy uważać, że wszystko, co mówią normalni ludzie, jest prawdą.

- Ale nie wszystko jest kłamstwem - zauważa Linda.

- To, że nie wszystko jest kłamstwem, nie oznacza, że wszystko jest prawdą - mówi Dale.

To oczywiste, jednak nie pomyślałem wcześniej, że to niemożliwe chcieć się zmienić, a jednocześnie być szczęśliwym z bycia sobą przed zmianą. Nie sądzę, żeby którekolwiek z nas pomyślało w ten sposób, zanim Dale i Chuy nie powiedzieli tego głośno.

- Zacząłem o tym myśleć, kiedy byłem u ciebie - wyznaje Dale. - Ale wtedy nie mogłem wszystkiego powiedzieć. Jednak pomogło.

- Jeśli coś pójdzie źle - zastanawia się Eric - to jeszcze drożej wyniesie ich to... co wyniknie. Jeśli potrwa dłużej.

- Nie wiem, co z Cameronem - mówi Linda.

- Chciał być pierwszy - przypomina Chuy.

- Byłoby lepiej, gdybyśmy mogli poddawać się leczeniu pojedynczo i obserwować, co dzieje się z pozostałymi - zauważa Eric.

- Prędkość mroku będzie mniejsza - oświadczam. Patrzę na mnie. Uświadamiam sobie, że nie mówiłem im o prędkości światła i prędkości mroku. - Prędkość światła w próżni wynosi 186 000 mil na sekundę - dodaję.

- Wiem o tym - mówi Dale.

- Zastanawia mnie jedno - odzywa się Linda. - Skoro przedmioty spadają tym szybciej, im bliżej są ziemi, co wynika z grawitacji, to czy światło biegnie szybciej w pobliżu olbrzymiej grawitacji, jak wokół czarnej dziury?

Nie wiedziałem, że Linda interesuje się prędkością światła.

- Nie wiem - odpowiadam. - Ale książki nie mówią nic na temat prędkości mroku. Pewni ludzie powiedzieli mi, że mrok nie ma prędkości, że to po prostu brak światła, że jest tam, gdzie nie ma światła, ja jednak uważam, że jakoś musiał się tam dostać.

Przez chwilę wszyscy milczą.

- Jeśli „Dożywocie” może wydłużyć nam czas, to coś innego może przyspieszyć światło - oznajmia Dale.

- Cameron chciał być pierwszy - mówi Chuy. - Jako pierwszy będzie normalny. To szybciej niż

my.

- Idę na salę - oświadcza Eric. Odwraca się.

- Oblicze Lindy się ściąga, na jej czole pojawia się zmarszczka.

- Światło ma prędkość. Mrok powinien mieć prędkość. Przeciwności są takie same, mają tylko odwrotny kierunek.

Nie rozumiem tego. Czekam.

- Liczby dodatnie i ujemne są takie same, z wyjątkiem kierunku - ciągnie powoli Linda. - Duże i małe to określenie rozmiaru, ale o przeciwnych kierunkach. Do i od oznacza tę samą drogę, tyle że w przeciwnych kierunkach. Tak więc światło i mrok są przeciwnościami, ale o takim samym kierunku. - Gwałtownie wyrzuca ramiona w górę. - Lubię w astronomii to, że tam wszystko jest wielkie. Tyle gwiazd, takie odległości. Wszystko, od niczego po wszystko, razem.

Nie wiedziałem, że Linda lubi astronomię. Zawsze sprawiała wrażenie najbardziej zdystansowanej z nas wszystkich, najbardziej autystycznej. Ale wiem, co ma na myśli. Ja także lubię serie od najmniejszych do największych, od bliskich do dalekich, od fotonu światła, który wpada do mego oka, bliżej niż blisko, po miejsce, z którego przybył, lata świetlne stąd.

- Lubię gwiazdy - mówi Linda. - Chcę... chciałam... zajmować się gwiazdami. Odmówili mi. Powiedzieli, że mój umysł nie funkcjonuje we właściwy sposób. Tylko parę osób może to robić. Wiedziałam, że chodzi o matematykę. Wiedziałam, że jestem dobra z matematyki, ale musiałam opanować matematykę adaptacyjną, a kiedy w końcu dostałam się do odpowiedniej klasy, powiedzieli, że jest już za późno. Na uczelni poradzili mi, żebym zajęła się matematyką stosowaną i komputerami.

Można dostać pracę przy komputerze. Powiedzieli, że astronomia jest niepraktyczna. Jeśli pożyję jeszcze jakiś czas, nie będzie za późno.

To najdłuższa przemowa, jaką kiedykolwiek usłyszałem z ust Lindy. Zaróżowiła się na policzkach, a wzrok nabrał ostrości.

- Nie wiedziałem, że lubisz gwiazdy - mówię.

- Gwiazdy są daleko jedna od drugiej - odpowiada. - Nie muszą się dotykać, żeby się znać. Oświetlają się nawzajem z daleka.

Chcę powiedzieć, że gwiazdy nie znają się nawzajem ani nie są żywe, lecz coś mnie powstrzymuje. Czytałem o tym w książkach, że gwiazdy to rozżarzony gaz, a gaz jest nieożywiony. Może książki się mylą. Może to kule płonącego, żywego gazu?

Linda patrzy na mnie, nawiązując kontakt wzrokowy.

- Lou, czy ty lubisz gwiazdy?

- Tak - odpowiadam. - I grawitację, i światło, i przestrzeń, i...

- Betelgezę - mówi. Uśmiecha się i nagle w korytarzu robi się jaśniej. Nie wiedziałem, że przedtem było ciemno. Mrok był tam pierwszy, ale światło go dogoniło. - Rigel. Antares. Światło i wszystkie kolory. Długości fal...-Jej dłonie poruszają się w powietrzu. Domyślam się, że chodzi jej o wzór tworzony przez długość fali i częstotliwość.

- Układy podwójne - podsuwam. - Czerwone karły. Jej twarz się krzywi i odpręża.

- Och, to jest *stare* - wyrokuje. - Chu i Sanderly przeklasyfikowali mnóstwo tych... - Urywa. - Lou, myślałam, że cały swój czas spędzasz z normalnymi. Udając normalnego.

- Chodzę do kościoła - odpowiadam. - Chodzę na szermierkę.
- Szermierka?
- Szpady - wyjaśniam. Jej zaniepokojony wzrok się nie zmienia. - To... taka zabawa - mówię. -
Próbujemy trafić się nawzajem.
- Dlaczego? - Ma zakłopotaną minę. - Jeśli lubisz gwiazdy...
- Szermierkę też lubię.
- Z normalnymi ludźmi - przypomina.
- Tak, lubię ich.
- To trudne... - wzdycha. - Ja odwiedzam planetarium. Próbuję rozmawiać z naukowcami, którzy tam przychodzą, ale... słowa mi się płaczą. Widzę, że nie chcą ze mną rozmawiać. Zachowują się, jakbym była głupia albo nienormalna.

- Ludzie, których znam, nie są tacy źli - mówię. Mam poczucie winy, ponieważ Marjory jest kimś więcej niż „nie taką złą”. Tom i Lucia są lepsi niż „nie tacy źli”. - Z wyjątkiem tego, który próbował mnie zabić.

- Próbował cię zabić? - powtarza Linda. Jestem zaskoczony, że o niczym nie wie, przypominam sobie jednak, że nigdy jej o tym nie mówiłem. Może nie ogląda wiadomości.

- Był na mnie zły - wyjaśniam.

- Ponieważ jesteś osobą autystyczną?

- Nie do końca... Cóż... Tak. - Co właściwie leżało u podstaw złości Dona, jeśli nie fakt, że ja, po prostu ktoś niekompletny i tylko udający osobę normalną, odniosłem sukces?

- To chore - oznajmia z naciskiem Linda. Wzrusza ramiona mi i odwraca się. - Gwiazdy - kończy.

Idę do swojego pokoju, rozmyślając o świetle, mroku, gwiazdach i przestrzeni między nimi, pełnej ich blasku. Skąd ma się brać mrok w obecności tylu gwiazd? Skoro widzimy gwiazdy, jest to dowód na to, że istnieje również światło. A instrumenty wykrywające nie tylko światło widzialne dostrzegają wielkie zamglenie -jest wszędzie.

Nie rozumiem, jak ludzie mogą mówić o przestrzeni kosmicznej, że jest zimna i mroczna, niegościnna. To tak, jakby nigdy nie wyszli wieczorem na dwór i nie spojrzeli w niebo. Gdziekolwiek kryje się prawdziwy mrok, pozostaje poza zasięgiem naszych instrumentów, daleko na obrzeżach wszechświata, gdzie mrok jest zawsze pierwszy. Lecz światło go dogania.

Przed moim narodzeniem ludzie myśleli mnóstwo złych rzeczy o dzieciach autystycznych. Czytałem o tym. Były bardziej mroczne od mroku.

Nie wiedziałem, że Linda lubi gwiazdy. Nie wiedziałem, że chciała zostać astronomem. Może chciała nawet polecieć w kosmos, jak ja. Chcę. Nadal chcę. Jeśli kuracja podziała, może będę mógł... Sama ta myśl sprawia, że zamieram, nieruchomieję w zachwycie, ale zaraz muszę się poruszyć. Wstaję i przeciągam się, ale to nie wystarcza.

Kiedy wchodzę do sali gimnastycznej, Eric właśnie zsuwa się z trampoliny. Skakał w rytm *Piątej symfonii* Beethovena, ale to zbyt mocne do przemyśleń. Kiwa mi głową, a ja zmieniam muzykę, przewijając różne możliwości, aż wreszcie natrafiam na właściwą. *Carmen*. Suita na orkiestrę. Tak.

Potrzebuję tych emocji. Potrzebuję wybuchowej ekspresji. Podskakuję coraz wyżej, czując cudowną otwartość swobodnego upadku, ściskanie stawów i pracę mięśni, wypychających mnie do

jeszcze wyższego wyskoku. Przeciwności są takie same, mają jedynie przeciwny kierunek. Akcja i reakcja. Grawitacja... nie znam przeciwieństwa grawitacji, lecz elastyczność trampoliny takową tworzy. Przez mój umysł mkną liczby i wzory, tworząc się, rozpadając i tworząc na nowo.

Pamiętam swój lęk przed wodą, jej nieprzewidywalną zmiennością, kiedy mnie obmywała. Pamiętam intensywną radość z tego, że nauczyłem się pływać, ze świadomości, że choć woda jest niestała i nie mogę przewidzieć zmiany ciśnienia w basenie, to nadal potrafię utrzymać się na powierzchni i poruszać w wybranym przez siebie kierunku. Pamiętam lęk przed rowerem, jego chwiejną nieprzewidywalnością, i tę samą radość, kiedy zrozumiałem, jak należy jeździć i wykorzystywać wolę do przewyciężenia wrodzonego owej nieprzewidywalności chaosu. Obecnie znów czuję lęk, jeszcze większy, ponieważ więcej rozumiem - mogę utracić wszystkie wypracowane przez lata przystosowania i pozostać z niczym - jeśli jednak okiełznam tę falę, ten biologiczny rower, zdobędę bez porównania więcej.

Gdy moje nogi się męczą, skaczą coraz niżej i wreszcie przestają.

Nie chcą zamienić nas w jednostki głupie i bezradne. Nie chcą zniszczyć naszych umysłów; chcą je wykorzystać.

Nie chcę być wykorzystany. Chcę sam korzystać ze swego umysłu, by zrobić to, co chcę.

Myślę, że może zechcę spróbować tej kuracji. Nie muszę. Nie potrzebuję jej: jestem dobry taki, jaki jestem. Ale myślę, że zaczynam tego pragnąć, ponieważ być może - jeśli się zmienię i to na swój sposób, a nie ich - zdołam nauczyć się tego, czego chcę, i zrobić to, co chcę. Nie jest to jedna rzecz, tylko wszystkie od razu, wszystkie możliwości.

- Nie będę taki sam - mówię, poddając się kojącej grawitacji, zamieniając niepewność wzbijania się na niepewność swobodnego spadania.

Kiedy wychodzę, czuję się lekki w dwójnasób: jakby poddany mniejszej grawitacji i pełny światła, a nie mroku. Lecz grawitacja powraca wraz z myślą, że powinienem powiedzieć o swych zamiarach przyjaciółom. Myślę, że im się to nie spodoba, tak jak prawniczce z Centrum.

Pan Aldrin przychodzi, by oznajmić nam, że firma nie zgodzi się zapewnić nam „Dożywocia”, choć może - podkreśla, że to jedynie projekt - pomóc tym z nas, którzy chcieliby poddać się tej kuracji później, po zakończeniu leczenia, jeżeli okaże się ono skuteczne.

- Jednoczesne poddanie się obu kuracjom byłoby zbyt niebezpieczne - mówi. - To zwiększa ryzyko, a jeśli coś poszłoby źle, tylko wydłużyłoby czas trwania terapii.

Myślę, że powinien powiedzieć po prostu: jeśli kuracja spowoduje jakieś spustoszenia, staniemy się gorsi, a firma będzie musiała łożyć na nas przez dłuższy czas. Wiem jednak, że normalni ludzie nigdy nie mówią wprost.

Po jego wyjściu nie rozmawiamy ze sobą. Pozostali patrzą na mnie, ale nic nie mówią. Mam nadzieję, że Linda i tak podda się leczeniu. Chcę porozmawiać z nią jeszcze o gwiazdach, grawitacji, prędkości światła i mroku.

Dzwonię ze swojego pokoju do pani Beasley z Pomocy Prawnej i mówię jej, że postanowiłem poddać się kuracji. Pyta mnie, czy jestem do końca przekonany. Nie jestem do końca, ale wystarczająco. Potem dzwonię do pana Aldrina i mu o tym mówię. On także pyta, czy jestem przekonany.

- Tak - odpowiadam, a potem pytam: - Czy pański brat też to robi? - Zastanawiałem się nad jego bratem.

- Jeremy? - Sprawia wrażenie zaskoczonego, że o tym mówię. Uważam to za rozsądne pytanie. - Nie wiem, Lou. To zależy od wielkości grupy, która podda się leczeniu. Jeśli dopuszczają ludzi z zewnątrz, zastanowię się, czy go spytać. Gdyby mógł potem żyć samodzielnie i jeśli uczyni go to szczęśliwszym...

- Nie jest szczęśliwy? - pytam.

Pan Aldrin wzdycha.

- Ja... nie jestem przyzwyczajony o nim rozmawiać - wyjaśnia. Czekam. Niechęć, by o czymś rozmawiać zbyt często, nie oznacza, że nie chce się o tym rozmawiać w ogóle. Pan Aldrin odchrząkuje i dodaje: -Nie, Lou, nie jest szczęśliwy. Jest... bardzo upośledzony. Lekarze... rodzice... Przyjmuje mnóstwo lekarstw, a nawet nie nauczył się dobrze mówić.

Myślę, że rozumiem, czego nie powiedział. Jego brat urodził się za wcześnie, przed wynalezieniem terapii, która pomogła mnie i pozostałym. Może nie otrzymał najlepszego leczenia albo nawet takiego, jakie było wówczas dostępne. Przypominają mi się opisy z książek. Wyobrażam sobie Jeremy'ego, który utknął tam, gdzie ja byłem jako dziecko.

- Mam nadzieję, że ta nowa kuracja działa - mówię. - Mam nadzieję, że pomoże również jemu.

Pan Aldrin wydaje dźwięk, którego nie rozumiem; kiedy się odzywa, ma zachrypnięty głos.

- Dziękuję, Lou - odpowiada. - Jesteś... jesteś dobrym człowiekiem.

Nie jestem dobrym człowiekiem. Jestem zwykłym człowiekiem, takim samym jak on, ale podoba mi się, że uważa mnie za dobrego.

Kiedy przyjeżdżam, Tom, Lucia i Marjory siedzą w salonie. Dyskutują o najbliższym turnieju.

Tom podnosi na mnie wzrok.

- Podjąłeś już decyzję, Lou?

- Tak - odpowiadam. - Zrobię to.

- Świetnie. Będziesz musiał wypełnić formularz zgłoszeniowy... - Nie chodzi o to - mówię. Uświadamiam sobie, że nie mógł wiedzieć, o czym myślę. - Nie będę walczył w tym turnieju... - Czy kiedykolwiek jeszcze wezmę udział w turnieju? Czy przyszedł ja będzie lubił szermierkę? Czy można się fechtować w kosmosie? Myślę, że w nieważkości będzie to bardzo trudne.

- Ale mówiłeś... - zaczyna Lucia, po czym na jej twarzy odbija się zaskoczenie. - Och... chcesz powiedzieć... że zamierzasz poddać się leczeniu?

- Tak - przytakuję. Zerkam na Marjory. Patrzy na Lucie, potem na mnie i znów na Lucie. Nie pamiętam, czy mówiłem jej o kuracji.

- Kiedy? - pyta Lucia, nie dając mi czasu na zastanowienie się, jak to wyjaśnić Marjory.

- Zaczynam w poniedziałek - odpowiadam. - Mam mnóstwo pracy. Muszę przenieść się do kliniki.

- Jesteś chory? - pyta Marjory. Zbladła. - Coś poważnego?

- Nie jestem chory - wyjaśniam. - Jest taka eksperymentalna kuracja, która uczyni mnie normalnym.

- Normalnym! Ależ, Lou, jesteś wspaniały taki, jaki jesteś. *Lubię* cię takiego, jaki jesteś. Nie musisz być taki jak wszyscy. Kto ci to doradził? - Sprawia wrażenie rozgniewanej. Nie wiem, czy złości się na mnie, czy na tego kogoś, kto według niej przekonał mnie, że powinienem się zmienić. Nie wiem, czy mam opowiedzieć jej całą historię, czy tylko część. Powiem jej wszystko.

- Zaczęło się od pana Crenshawa, który chciał zlikwidować naszą sekcję - mówię. - Dowiedział się o tej metodzie leczenia. Powiedział, że zapewni to firmie oszczędności.

- Ale to jest... zmuszanie. Nie wolno tak. To sprzeczne z prawem. Nie może tego zrobić...

Teraz jest naprawdę zła, jej policzki na przemian czerwienieją i bledną. Wszystko to sprawia, że chcę ją objąć i przytulić. Nie byłoby to właściwe.

- Tak się zaczęło - wyjaśniam. - Ale masz rację; nie mógłby zrobić tego, co zapowiedział. Pan Aldrin, nasz przełożony, znalazł sposób, żeby go powstrzymać. - Nadal mnie to zdumiewa. Byłem pewny, że pan Aldrin zmienił zdanie i nam nie pomoże. Nadal nie rozumiem, jak udało mu się powstrzymać pana Crenshawa, który stracił pracę i został wyprowadzony z firmy pod eskortą, z tekturowym pudłem w rękach. Mówię im, co powiedział pan Aldrin oraz prawnicy na zebraniu. - Teraz jednak sam chcę się zmienić - kończę.

Marjory oddycha głęboko. *Lubię* patrzeć, jak to robi; opina jej się wtedy przód bluzki.

- Dlaczego? - pyta ciszej. - Chyba nie przez... nas, prawda? Przeze mnie?

- Nie - odpowiadam. - Nie chodzi o ciebie. Chodzi o mnie. Zwiesza ramiona. Nie wiem, czy to oznaka ulgi, czy smutku.

- Więc chodzi o Dona? Czy to przez niego nabrałeś przekonania, że nie jesteś wystarczająco dobry taki, jaki jesteś?

- To nie Don... nie tylko Don... - Uważam to za oczywiste i nie mam pojęcia, czemu tego nie rozumie. Była przecież przy tym, jak strażnik na lotnisku mnie zatrzymał i zaniemówił, a ona musiała mi pomóc. Była przy tym, jak musiałem rozmawiać z oficerem policji i zaniemówił, a

Tom musiał mi pomóc. Nie lubię być kimś, komu trzeba wiecznie pomagać. - Wolałbym nie mieć problemów na lotnisku i z ludźmi, kiedy ciężko jest mi coś powiedzieć, a wszyscy się na mnie gapią. Chcę chodzić w różne miejsca i uczyć się o rzeczach, o których istnieniu nawet nie wiedziałem..

Jej twarz się wygładza, a głos uspokaja.

- Na czym polega to leczenie, Lou? Co się stanie?

Otwieram otrzymany pakiet informacyjny. Nie powinniśmy rozmawiać o kuracji, ponieważ jest ona czyjąś własnością i eksperymentem, ale uważam, że to zły pomysł. Ktoś z zewnątrz powinien o wszystkim wiedzieć na wypadek, gdyby coś poszło źle. Nie powiedziałem nikomu, że zabieram swój pakiet, i nikt mnie nie zatrzymał.

Zaczynam czytać. Niemal natychmiast Lucia mi przerywa:

- Lou, czy rozumiesz ten tekst?

- Owszem. Tak mi się wydaje. Po lekturze Cego i Clintona artykuły w Internecie nie sprawiają mi problemów.

- Czemu więc nie pozwolisz mi tego przeczytać? Zrozumiem wszystko lepiej, widząc słowa. Potem to przedyskutujemy.

Nie ma o czym dyskutować. Zamierzam to zrobić. Mimo wszystko podaję folder Lucii, ponieważ zawsze łatwiej jest zrobić to, o co prosi. Marjory się do niej przysuwa i obie pogrążają się w lekturze. Patrzą na Toma. Unosi brwi i kręci głową.

- Dzielny z ciebie człowiek, Lou. Wiedziałem o tym, ale to...! Nie wiem, czy miałbym tyle odwagi, żeby pozwolić komuś grzebać mi w mózgu.

- Ty tego nie potrzebujesz - mówię. - Jesteś normalny. Masz stałą posadę. Masz Lucie i ten dom.

- Nie mogę mu powiedzieć o tym, co jeszcze mam na myśli: że łatwo mu funkcjonować we własnym ciele, że widzi, słyszy, smakuje, wącha i czuje jak inni, dzięki czemu odbierana przez niego rzeczywistość nie różni się od rzeczywistości innych ludzi.

- Jak myślisz, wrócisz do nas? - pyta Tom. Ma smutną minę.

- Nie wiem - odpowiadam. - Mam nadzieję, że nadal będę lubił się fechtować, ponieważ to fajna zabawa, ale nie wiem.

- Masz czas, żeby dzisiaj zostać? - pyta.

- Tak - odpowiadam.

- No to chodźmy na dwór. - Wstaje i prowadzi mnie do pomieszczenia ze sprzętem. Lucia i Marjory zostają, by czytać dalej. W składziku Tom odwraca się do mnie. - Lou, jesteś pewny, że nie robisz tego dlatego, że kochasz Marjory? Ponieważ chcesz być dla niej normalnym mężczyzną? Byłoby to bardzo szlachetne, ale...

Robi mi się gorąco.

- Nie chodzi o nią. Lubię ją. Chcę jej dotykać, obejmować i... robić z nią nieprzyzwoite rzeczy. Ale to jest... - Chwytam się szczytu stojaka na broń, ponieważ zaczynam gwałtownie drżeć i boję się, że mogę upaść. - Wszystko się zmienia - mówię. - Nie jestem już taki sam. Nie mogę się nie zmienić. To tylko... szybsza zmiana. Ale wybrana przeze mnie.

- Zmiana, której się boisz, zniszczy cię; zmiana, którą opanujesz, wzmocni cię - cytuje Tom. Nie znam tej maksymy. Po chwili dodaje lekko kpiącym tonem: - Wobec tego wybierz broń. Skoro nie będzie cię przez jakiś czas, muszę cię jeszcze trochę

poturbować.

Biorę ostrza i maskę, po czym zakładam skórzany kaftan. Dopiero wtedy sobie przypominam, że się nie rozgrzałem. Siadam na patio i zaczynam ćwiczyć. Na zewnątrz jest chłodniej; czuję pod sobą twarde i zimne płyty chodnikowe.

Tom siada naprzeciwko mnie.

- Już ćwiczyłem, ale w moim wieku odrobina dodatkowej rozgrzewki nigdy nie zaszkodzi - mówi. Kiedy się pochyła, by dotknąć czołem kolan, widzę, że włosy na czubku głowy ma przerzedzone i że pojawiają się wśród nich siwe pasma. Wyrzuca ramię nad głowę i rozciąga je drugą ręką. - Co będziesz robił po kuracji?

- Chcę polecieć w kosmos - odpowiadam.

- Ty... ? Lou, nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać. - Kładzie rękę na czubku głowy i ciągnie się za łokieć. - Nie wiedziałem, że chciałeś polecieć w kosmos. Kiedy to się zaczęło?

- Kiedy byłem mały - mówię. - Ale wiedziałem, że nie mógłbym tego zrobić. Wiedziałem, że to niewłaściwe.

- Kiedy pomyślę sobie o takim marnotrawstwie...! - woła Tom, przyciskając głowę do drugiego kolana. - Lou, bardzo mnie to niepokoiło, ale teraz uważam, że masz rację. Masz w sobie zbyt wielki potencjał, by więzić go do końca życia w niepełnosprawnym ciele. Choć może to zranić Marjory, jeśli się od niej oddalisz.

- Nie chcę skrzywdzić Marjory - zapewniam. - Nie sądzę, żebym się od niej oddalił. - Dziwne wyrażenie; na pewno nie można rozumieć go dosłownie. Jeśli ludzie są ze sobą blisko, to nie mogą się po prostu oddalić.

- Wiem. Bardzo ją lubisz... nie: kochasz ją. To oczywiste. Niemniej, Lou, choć to miła dziewczyna, ty, jak sam twierdzisz, znajdujesz się na progu wielkiej przemiany. Nie będziesz już tym samym człowiekiem.

- Zawsze będę ją lubił... kochał - mówię. Nie sądziłem, że stanie się normalnym utrudni to lub wręcz niemożliwi. Nie rozumiem, dlaczego Tom tak uważa. - Nie wydaje mi się, żeby udawała sympatię do mnie tylko po to, żeby mnie zbadać, niezależnie od tego, co twierdziła Emmy.

- Wielkie nieba, kto to wymyślił? Kim jest Emmy?

- Kimś z Centrum - odpowiadam. Nie chcę rozmawiać o Emmy, więc streszczam to pośpiesznie. - Emmy twierdziła, że Marjory jest naukowcem i widzi we mnie obiekt badań, a nie przyjaciela. Marjory powiedziała mi, że bada zaburzenia nerwowo-mięśniowe, stąd wiem, że Emmy nie miała racji.

Tom wstaje. Ja również się podnoszę.

- Ale to dla ciebie wielka szansa.

- Wiem - odpowiadam. - Chciałem... Przyszło mi raz do głowy... Prawie ją zaprosiłem na randkę... ale nie wiem, jak to zrobić.

- Myślisz, że leczenie ci pomoże?

- Mam nadzieję. - Zakładam maskę. - Nawet jeśli nie w tej sprawie, to na pewno w innych. Tak sądzę. I zawsze będę ją lubił.

- Jestem tego pewien, ale to nie będzie już to samo. Nie może być. Jak z każdym systemem, Lou. Gdybym stracił stopę, nadal mógłbym walczyć, ale mój wzór uległby zmianie, prawda?

Nie podoba mi się myśl, że Tom traci stopę, rozumiem jednak, do czego zmierza. Kiwam głową.

- Jeśli więc dokonasz w sobie wielkiej przemiany, ty i Marjory stworzycie inny wzór. Możecie się do siebie zbliżyć albo oddalić.

Teraz już wiem to, czego nie wiedziałem jeszcze parę minut temu: że gdzieś głęboko skrywałem pewną myśl o sobie, Marjory i kuracji. Naprawdę uważałem, że będzie łatwiej. Naprawdę miałem nadzieję, że jeśli stanę się normalny, to możemy być razem jak normalni ludzie, pobrać się i mieć dzieci.

- Nie będzie tak samo, Lou - powtarza Tom spod swojej maski. Widzę błysk w jego oczach. - Nie może być.

Szermierka jest taka sama i nie taka sama. Z każdym pojedynkiem wzory Toma są coraz bardziej przejrzyste, ale moje wzory bezustannie wymykają mi się spod kontroli. Co chwila tracę koncentrację. Czy Marjory wyjdzie na zewnątrz? Czy będzie walczyć? Co ona i Lucia sądzą o informacjach zawartych w pakiecie? Kiedy się skupiam, trafiam Toma bez trudu, ale potem tracę rozeznanie i nie wiem, w którym punkcie swojego wzoru jest w danej chwili, więc on trafia mnie. Jest trzy do pięciu, kiedy na podwórko wychodzą Marjory i Lucia. Ja i Tom właśnie przerwaliśmy, by chwilę odpocząć. Spływamy potem, choć wieczór jest chłodny.

- Cóż - zaczyna Lucia. Czekam. Ale ona milczy.

- Moim zdaniem to niebezpieczne - mówi Marjory. - Całość polega na igraszkach z resorpcją neuronów, a potem z ich regeneracją. Ale nie znam wyników oryginalnych badań.

- Zbyt wiele tam newralgicznych punktów, gdzie coś może pójść niewłaściwie - odzywa się Lucia. - Wirusowe wszczepianie materiału genetycznego to stare dzieje, sprawdzona technologia. Naprawa chrząstki za pomocą nanotechnologii, udrażnianie naczyń krwionośnych, kontrola nad zapaleniami... W porządku. Zaprogramowane chipy w przypadku uszkodzenia rdzenia kręgowego też OK. Ale majstrowanie w genach... Jeszcze nie przewidziano wszystkich niespodzianek. W dodatku całe to zamieszanie ze szpikiem przy regeneracji kości. Oczywiście, to nie nerwy, i chodziło o dzieci, ale...

Nie wiem, o czym mówi, ale nie chcę już słyszeć niczego, co napawa mnie lękiem.

- Najbardziej martwi mnie to, że wszystko odbywa się wewnątrz twojej firmy. Jeśli coś pójdzie źle, nie ujmie się za tobą żaden adwokat. Ta kobieta z Pomocy Prawnej nie ma doświadczenia medycznego... Decyzja jednak należy do ciebie.

- Tak - mówię. Patrzę na Marjory. Nie mogę na to nic poradzić.

- Lou... - Zaraz jednak potrząsa głową i już wiem, że nie powie tego, co zamierzała. - Chcesz się pofechtować? - pyta.

Nie chcę się fechtować. Chcę siedzieć obok niej. Chcę jej dotknąć. Chcę zjeść z nią kolację i pójść z nią do łóżka. Ale jest to coś, czego nie mogę zrobić, jeszcze nie teraz. Wstaję i zakładam maskę.

Nie potrafię opisać, co się ze mną dzieje, kiedy jej ostrze dotyka mojego. To silniejsze niż dotychczas. Czuję, jak moje ciało się napina, reagując w sposób głęboko niewłaściwy, acz cudowny. Chcę, żeby to trwało, a jednocześnie chcę przerwać i ją przytulić. Zwalniam, żeby za szybko jej nie trafić i przedłużyć pojedynek.

Nadal mogę zaprosić ją na kolację. Mógłbym to zrobić przed lub po kuracji. Może.

Czwartkowy ranek. Jest zimno, wietrznie, a niebo zasnuwają szare chmury. Słucham *Mszy* Beethovena. Światło sprawia wrażenie ciężkiego i powolnego, choć wieje porywisty wiatr. Dale, Bailey i Eric już przyjechali - w każdym razie widzę ich samochody. Auta Lindy nie ma jeszcze na swoim miejscu; Chuya również. Kiedy idę do budynku, wiatr oblepia mi spodnie wokół nóg. Czuję falowanie tkaniny na skórze. Sprawia to wrażenie dotyku mnóstwa maleńkich paluszków. Pamiętam, jak błagałem mamę, żeby odcinała metki od moich koszulek, kiedy byłem dzieckiem. Później, gdy dorosłem, robiłem to sam. Czy potem będę je w ogóle dostrzegał?

Słyszę za sobą samochód i oglądam się. To auto Lindy. Parkuje na swoim miejscu. Linda wysiada, nie patrząc na mnie.

Przy drzwiach wsuwam kartę do czytnika, przyciskam kciuk do płytki, a drzwi szcękają i otwierają się. Popycham je i czekam na Linde. Podnosi klapę bagażnika i wyjmuję pudło. Przypomina pudło pana Crenshawa, nie ma tylko żadnych napisów na bokach.

Nie pomyślałem o przywiezieniu pudła na rzeczy. Zastanawiam się, czy uda mi się znaleźć jakieś podczas lunchu. Ciekawe, czy przywiezienie pudła przez Linde oznacza, że postanowiła poddać się leczeniu.

Trzyma pudło pod pachą. Idzie szybko, a wiatr odwiewa jej włosy na plecy. Linda zazwyczaj je wiąże; nie wiedziałem, że będą w ten sposób falować na wietrze. Jej twarz wygląda inaczej - jest niewzruszona i spokojna, jak pozbawiona lęku czy trosk rzeźba.

Mija mnie z pudłem, a ja wchodzę za nią do środka. Pamiętam, żeby dotknąć ekranu, sygnalizując, że dwójka ludzi weszła na jedną kartę. Bailey stoi na korytarzu.

- Masz pudełko - mówi do Lindy.

- Pomyślałam, że komuś może się przydać - odpowiada Linda. - Przyniosłam je na wszelki wypadek.

- Ja przyniosę swoje jutro - oświadcza Bailey. - Lou, wynosisz się dzisiaj czy jutro?

- Dzisiaj - mówię. Linda na mnie patrzy. - Mógłbym wykorzystać to pudło - dodaję, a ona wysuwa je w moją stronę, nie patrząc mi w oczy.

Idę do swojego pokoju. Już wygląda dziwnie, jak pokój kogoś innego. Gdybym go tak zostawił, czy będzie wyglądać równie dziwnie po moim powrocie? Skoro jednak wygląda dziwnie teraz, to czy oznacza to, że częściowo żyję już przyszłością?

Przesuwam niewielki wentylator, poruszający spirale i wiatraczki, po czym odstawiam go na miejsce. Siadam na krześle i rozglądam się ponownie. To jest ten sam pokój. To ja nie jestem tą samą osobą.

Zaglądam do szuflad biurka i widzę tę samą stertę książki. Na samym dnie - choć od dawna tam nie zaglądałem - leży *Podręcznik pracownika*. Na wierzchu znajdują się różne podręczniki dotyczące aktualizacji systemu. Nie powinno się ich drukować, ale łatwiej jest czytać tekst na papierze, gdzie litery są absolutnie nieruchome. Wszyscy korzystają z moich podręczników. Nie chcę zostawiać tutaj tych nielegalnych wydruków na czas mojego leczenia. Wyciągam je i układam tak, aby na wierzchu znalazł się *Podręcznik pracownika*. Nie wiem, co z nimi zrobić.

W niższej szufladzie leży stara karuzela, którą wieszałem, dopóki nie wygięła się największa ryba. Teraz na lśniących powierzchniach rybich boków pojawiły się czarne punkty. Wyciągam karuzelę, krzywiąc się na jej dzwonienie, i pocieram jedną z ciemnych plamek. Nie schodzi. Wygląda jak liszaj. Wrzucam zabawkę do kosza, ponownie krzywiąc się z powodu hałasu.

W płaskiej szufladzie pod blatem trzymam kolorowe ołówki i niewielkie plastikowe pudełko z

drobnymi na napoje gazowane. Wkładam pojemnik do kieszeni, a ołówki kładę na biurku. Przeglądam półki. Znajduję tam jedynie informacje o projektach, teczki i przedmioty stanowiące własność firmy. Nie muszę ich sprzątać. Zdejmuję spirale, zaczynając od tych, które lubiłem najmniej: żółtych, srebrnych, pomarańczowych i czerwonych.

Słyszę głos pana Aldrina, rozmawiającego z kimś na korytarzu. Otwiera moje drzwi.

- Lou, zapomniałem przypomnieć wszystkim, by nie wynosili poza teren kampusu żadnych opracowań dotyczących projektów. Jeśli chcesz przechować jakieś związane z tym materiały, połóż je w jednym miejscu z etykietką, że muszą znaleźć się w zabezpieczonej części archiwum.

- Tak, panie Aldrin - mówię. Niepokoją mnie trochę te wydruki dotyczące upgrade'ów systemowych, ale nie są one związane z żadnym projektem.

- Pojawisz się jutro w kampusie?

- Nie sądzę - odpowiadam. - Nie lubię czegoś zaczynać, a potem zostawiać. Uporam się dzisiaj ze wszystkim.

- Świetnie. Otrzymałeś ode mnie listę zalecanych przygotowań?

- Tak - mówię.

- To dobrze. Ja... - Ogląda się przez ramię, po czym wchodzi do mojego pokoju i zamyka za sobą drzwi. Czuję rosnące napięcie; gotuje mi się w żołądku. - Lou... - Waha się, odchrząkuje i odwraca wzrok. - Lou, ja... chciałem ci powiedzieć, że bardzo mi przykro, że to wszystko tak wyszło.

Nie wiem, jakiej odpowiedzi oczekuje. Milczę.

- Nigdy nie chciałem... Gdyby to zależało ode mnie, nic by się nie zmieniło...

Myli się. Zmieniłoby się. Don wciąż byłby na mnie zły. Nadal kochałbym Marjory. Nie mogę zrozumieć, dlaczego to mówi; musi wiedzieć, że pewne sprawy już uległy zmianie, niezależnie od tego, czy ktoś tego chciał, czy nie. Człowiek może leżeć przy sadzawce całymi tygodniami, wręcz miesiącami, czekając na zstępującego z niebios anioła, zanim ktoś przystanie przy nim i zapyta, czy chce być uzdrowiony.

Wyraz jego twarzy przypomina mi, jak często sam się czułem. Uświadamiam sobie, że pan Aldrin jest przerażony. Najzwyczajniej w świecie czegoś się boi. Źle jest bać się przez dłuższy czas; wiem, że to boli. Żałuję, że ma taką minę, ponieważ wywołuje ona u mnie wrażenie, że powinienem coś z tym zrobić, a nie mam pojęcia co.

- To nie pańska wina - mówię. Twarz mu się wygładza. To były właściwe słowa. Ale to zbyt proste. Mogę je wymówić, ale czy stają się przez to prawdziwe? Słowa mogą być nieodpowiednie. Poglądy mogą być złe.

- Chcę mieć pewność, że naprawdę jesteś... naprawdę chcesz tego leczenia - wyznaje. - Nie ma absolutnie żadnych nacisków...

Znowu się myli, choć może mieć rację, że obecnie ze strony firmy nie ma żadnych nacisków. Teraz kiedy wiem, że zmiana nadejdzie i jest możliwa, czuję coraz większą presję; to tak jak powietrze wypełniające balon lub światło wypełniające przestrzeń. Światło nie jest bierne. Wywiera nacisk na wszystko, na co pada jego blask.

- To jest moja decyzja - mówię. Chcę powiedzieć, że niezależnie od tego, czy decyzja jest dobra, czy zła, taką właśnie podjąłem. Ja również mogę się mylić.

- Dziękuję, Lou - rzuca na koniec. - Ty, wy wszyscy, wiele dla mnie znaczą.

Nie wiem, co rozumie przez „wiele znaczą”. Barne dosłownie: że mamy w sobie dużo

znaczenia, ale nie sędzę, aby to właśnie miał na myśli. Nie pytam. Nadal nie wspominam miło jego poprzednich rozmów z nami. Milczę. Po 9,3 sekundy kiwa głową i odwraca się do wyjścia.

- Uważaj na siebie - dodaje. - Powodzenia.

Rozumiem zwrot: „bądź ostrożny”, ale „uważaj na siebie” nie jest do końca jasne. Jak można uważać na samego siebie? To tak jakby człowiek występował w podwójnej postaci i jedna mogła uważać na drugą. Mimo to się nie odzywam. Potem mogę nawet o tym nie pamiętać. Powiniennem zacząć się zastanawiać, jakie będzie to „potem”.

Uświadamiam sobie, że nie powiedział: „Mam nadzieję, że kuracja podziała”. Nie wiem, czy jest taktowny i uprzejmy, czy po prostu uważa, że leczenie zawiedzie. Nie pytam. Jego kieszonkowy komunikator zaczyna buczeć i pan Aldrin wychodzi na korytarz. Nie zamyka za sobą drzwi. Nieładnie jest przysłuchiwać się cudzej rozmowie, ale równie nieuprzejmie jest zamykać drzwi za przełożonym. Nic nie mogę poradzić, że słyszę, co mówi, choć nie wiem, czego chce jego rozmówca.

- Tak, proszę pana, zaraz przyjdę.

Jego kroki się oddalają. Odprężam się, biorąc głęboki oddech. Zdejmuję ulubione spirale i ściągam wiatraczki z podstawek. Pokój wygląda pusto, za to na biurku panuje bałagan. Nie mam pojęcia, czy wszystko zmieści się do pudła od Lindy. Pan Aldrin powiedział, że na korytarzu stoi więcej pudeł. Wcześniej zaczniesz, prędzej skończysz. Kiedy wychodzę na korytarz, Chuy właśnie próbuje wydostać się ze swojego pokoju z kilkoma kartonami. Przytrzymuję mu drzwi.

- Wziąłem po jednym dla każdego - mówi. - To zaoszczędzi czasu.

- Ja użyłem pudła przywiezionego przez Linde - wyjaśniam.

- Może ktoś będzie potrzebował dwóch. - Ustawia kartony na korytarzu. - Możesz wziąć sobie jedno, jeśli potrzebujesz.

- - Potrzebuję jeszcze jednego - przyznaję. - Dziękuję. - Podnoszę karton większy od tego, który przywiozła Linda, i wracam do swojego pokoju. Na sam spód kładę podręczniki, ponieważ są ciężkie. Kolorowe ołówki idealnie pasują do szczeliny pomiędzy wydrukami a ścianką pudła. Na wierzch kładę spirale i wiatraczki, a potem przypominam sobie o wentylatorze. Wyciągam je i umieszczam wentylator na podręcznikach. Zabraknie miejsca na resztę. Zaglądam do pudła. Nie potrzebuję *Podręcznika pracownika* i nikt nie będzie miał do mnie pretensji, jeśli go tu zostawię. Wyjmuję go i odkładam na biurko. Wkładam do środka wentylator, a potem wiatraczki i spirale. Pasują idealnie. Przychodzi mi na myśl wiejący na zewnątrz wiatr. Są lekkie i mogą odfrunąć. W ostatniej szufladzie znajduję ręcznik, którego używam do wycierania głowy, gdy pada, a ja akurat wysiadam z auta na deszcz. Przykryje spirale i wiatraczki, więc wiatr ich nie porwie. Kładę ręcznik na przedmioty w kartonie i podnoszę pudło. Teraz robię to, co pan Crenshaw - wynoszę rzeczy z biura. Może dla kogoś postronnego będę wyglądał tak samo, tyle że nie pilnują mnie strażnicy. Nie jesteśmy tacy sami. To jest mój wybór; nie wydaje mi się, żeby on odszedł z własnej woli. Kiedy zbliżam się do wyjścia, ze swojego pokoju wyłania się Dale. Otwiera mi drzwi. Na dworze jest jeszcze pochmurniej, dzień wydaje się ciemniejszy i bardziej zimny, jego kontury są rozmazane. Za chwilę może się rozpadać. Lubię chłód. Wiatr wieje mi w plecy, popychając naprzód. Stawiam pudło przed swoim samochodem. Ręcznik zaraz odfrunie. Przytrzymuję go ręką. Trudno będzie otworzyć drzwi, przyciskając jednocześnie ręcznik. Stawiam pudło z boku samochodu od strony pasażera i opieram na nim stopę. Teraz mogę otworzyć drzwi.

Na policzek pada mi pierwsza kropla lodowatego deszczu. Umieszczam karton na fotelu pasażera, po czym zamykam drzwi. Zastanawiam się, czy wrócić jeszcze do budynku, ale jestem

pewny, że wszystko zabrałem. Nie chcę przenosić obecnego projektu do specjalnej części archiwum. Nie chcę go więcej widzieć.

Ale chcę się jeszcze zobaczyć z Dale'em, Baileyem, Chuyem, Erikiem i Lindą. Kolejna kropla deszczu. Zimny wiatr jest przyjemny. Potrząsam głową i wracam do wejścia. Wsuwam kartę identyfikacyjną i przyciskam kciuk do sensora. Pozostali są na korytarzu, niektórzy z pełnymi pudłami, inni tylko stoją.

- Jesteście głodni? - pyta Dale. Pozostali rozglądają się dokoła.

- Jest dopiero dziesiąta dwanaście - zauważa Chuy. - To nie pora na lunch. Jeszcze pracuję. - Nie ma pudła. Linda też nie. To dziwne, że ci, którzy nie odchodzą, przywieźli pudła. Czy chcieli, żebyśmy odeszli?

- Moglibyśmy później wybrać się na pizzę - mówi Dale. Patrzymy po sobie. Nie wiem, co myślą pozostali, ale ja uważam, że to nie będzie to samo, a jednocześnie aż za dużo *tak* samo. Udawanie.

- Moglibyśmy pójść gdzieś indziej - podsuwa Chuy.

- Pizza - mruczy Linda.

Nikt się już nie odzywa. Wydaje mi się, że nie przyjdę.

Dziwnie jest tak jechać w czasie dnia roboczego. Wracam do domu i parkuję na miejscu najbliższej wejścia. Wnoszę pudło na górę. W budynku jest bardzo cicho. Wstawiam pudło do szafy, za buty.

Mieszkanie jest ciche i wysprzątane. Przed wyjściem pozmywałem; zawsze tak robię. Wyjmuję z kieszeni pudełko z monetami i kładę je na koszu z ubraniami.

Powiedzieli nam, żebyśmy zabrali ze sobą trzy zmiany ubrania. Mogę je teraz spakować. Nie wiem, jaka będzie pogoda, ani czy będziemy potrzebowali okryć wierzchnich. Wyjmuję z szafy walizkę i wkładam do niej pierwsze trzy koszule z wierzchu stosu w drugiej szufladzie. Trzy komplety bielizny. Trzy pary skarpet. Dwie pary brązowych spodni i jedną parę niebieskich. Niebieski sweter na wypadek chłódów.

Mam zapasową szczoteczkę do zębów, szczotkę do włosów i grzebień, które trzymam na wszelki wypadek. Nigdy ich nie potrzebowałem. Teraz też tak jest, ale jeśli je zapakuję, nie będę musiał się nad tym zastanawiać. Wkładam szczoteczkę do zębów, świeżą tubkę pasty, szczotkę, grzebień, brzytwę, krem do golenia i obcinacz do paznokci do niewielkiej, zapinanej na suwak kosmetyczki, która mieści się w mojej walizce. Chowam ją tam. Przeglądam ponownie otrzymaną listę. To wszystko. Zapinam paski w walizce, a następnie zamykam ją i odstawiam.

Pan Aldrin powiedział, żeby skontaktować się z bankiem, administratorem budynku i wszystkimi przyjaciółmi, którzy mogliby się o mnie martwić. Dał nam oświadczenie dla banku i dozorczy, wyjaśniające, że zostajemy czasowo oddelegowani przez firmę, a nasze pensje będą nadal przekazywane na konta, z których wszystkie opłaty powinny być uiszczane automatycznie. Zanoszę oświadczenie dozorczy.

Drzwi do jej mieszkania na dole są zamknięte, lecz ze środka dobiega jęk odkurzacza. Kiedy byłem mały, bałem się odkurzacza, ponieważ brzmiało to tak, jakby krzyczał: ooooooooooch... nieeeeeeeeeeeeeeeee... ooooooooooooooooooch... nieeeeeeeeeeeeeeeee... gdy mama przeciągała ssawką tam i z powrotem po dywanie. Ryczał, jęczał i skowyczał. Teraz te dźwięki tylko mnie irytują. Naciskam guzik dzwonka. Jęk się nagle urywa. Nie słyszę kroków, ale drzwi otwierają się po chwili.

- Pan Arrendale! - woła zaskoczona pani Thomas, dozorczy. Nie spodziewała się, że zobaczy mnie w samym środku dnia pracy. - Jest pan chory? Potrzebuje pan czegoś?

- Biorę udział w projekcie badawczym firmy, dla której pracuję - mówię. Przećwiczyłem gładkie wymawianie tego zdania. Podaję jej oświadczenie otrzymane od pana Aldrina. – Zleciłem bankowi opłacanie czynszu. Jeśli nie będzie tego robił, proszę skontaktować się z firmą.

- Och! - Spogląda na dokument, po czym podnosi na mnie wzrok, nim ma czas go przeczytać. - Ale... jak długo pana nie będzie?

- Nie jestem pewny - odpowiadam. - Ale wróć. - Tego nie wiem na pewno, ale nie chcę jej niepokoić.

- Nie wyprowadza się pan dlatego, że tamten człowiek pociął panu opony na parkingu? Że próbował zrobić panu krzywdę?

- Nie - mówię. Nie wiem, skąd przyszło jej to do głowy. – To specjalna delegacja.

- Martwiłam się o pana, naprawdę - wyznaje pani Thomas. - Prawie poszłam do pana, by wyrazić... by powiedzieć, jak mi przykro... ale wie pan, przeważnie jest pan taki zamknięty w sobie.

- Nic mi nie jest - zapewniam.

- Będzie nam pana brakowało - mówi. Nie rozumiem, jak to możliwe, skoro prawie mnie nie widywała. - Proszę na siebie uważać. - Nie mówię jej, że tego nie mogę zrobić, ponieważ mój mózg zostanie zmieniony.

Po powrocie na górę odczytuję automatyczną odpowiedź banku, że wiadomość została przyjęta, że dyrektor wkrótce mi odpisze i że dziękują swemu wiernemu klientowi. Poniżej napisano: *Uwaga #21: ze względów bezpieczeństwa nigdy nie zostawiaj kluczyka do skrytki bankowej w domu, kiedy na dłużej go opuszczasz.* Nie mam skrytki depozytowej, więc nie muszę się tym przejmować.

Postanawiam zejść na dół do niewielkiej piekarenki na lunch - widziałem ogłoszenie o kanapkach na wynos, kiedy kupowałem tam chleb. Nie ma tłoku, ale nie podoba mi się muzyka z radia. Jest głośna i dudniąca. Zamawiam kanapkę z szynką produkowaną ze świń na diecie wegetariańskiej, zabijanych pod ścisłym nadzorem, oraz z najświeższymi dodatkami, i zabieram ją ze sobą. Jest za zimno, żeby zjeść na zewnątrz, więc wracam z nią do domu i jem w kuchni.

Mógłbym zadzwonić do Marjory. Mógłbym zabrać ją na kolację wieczorem albo jutro, albo w sobotę, gdyby przyjęła zaproszenie. Znam jej numer do pracy i domowy. Jeden składa się niemal z samych liczb pierwszych, a drugi jest przyjemnie symetryczny. Wieszam wirujące spirale w mieszkaniu, gdzie obracają się powoli w prądach powietrza wpadającego przez nieszczelne okna. Rzucane na ścianę kolorowe rozbłyski uspokajają i pomagają mi myśleć.

Z jakiego powodu miałyby pójść ze mną na kolację, gdybym do niej zadzwonił? Może mnie lubi, a może się o mnie niepokoi, a może jest jej mnie żal. Nie będę miał pewności, że przyjmie zaproszenie, bo mnie lubi. Musiałyby lubić mnie tak, jak ja lubię ją. Nic innego nie utworzyłoby dobrego wzoru.

O czym byśmy rozmawiali? W tej chwili nie wie o funkcjonowaniu mózgu więcej ode mnie. To nie jej dziedzina. Oboje uprawiamy szermierkę, nie sądzę jednak, abyśmy mogli cały czas rozmawiać o fechtunku. Nie wydaje mi się, żeby interesował ją kosmos; podobnie jak pan Aldrin uważa chyba, że to zwyczajne marnotrawstwo pieniędzy.

Jeśli wróć - jeśli kuracja podziała, a ja stanę się takim samym mężczyzną jak inni - czy będę ją lubił w taki sam sposób jak teraz?

Czy jest tylko odmianą sadzawki z aniołem - czy kocham ją, ponieważ wydaje mi się, że jest

jedyną kobietą, jaką mógłbym pokochać?

Wstaję i nastawiam *Toccatę i fugę d-moll* Bacha. Muzyka tworzy złożony krajobraz: góry, doliny i podmuchy chłodnego wiatru. Czy po powrocie nadal będę lubił Bacha?

Na chwilę ogarnia mnie strach i szybuję przez mrok szybszy od światła, lecz muzyka unosi mnie niczym oceaniczna fala i już się nie boję.

W piątek rano mógłbym pójść do pracy, ale nie miałbym tam nic do roboty. Tak samo w mieszkaniu. W skrzynce odbiorczej znajduję odpowiedź od dyrektora banku. Mógłbym zrobić pranie, ale przecież pierę wieczorem. Uświadamiam sobie, że jeżeli zrobię pranie dziś wieczorem, a potem będę spał w domu tej nocy, i jeszcze w sobotę i niedzielę, to zostawię brudne prześcieradła w sypialni i ręczniki w łazience, kiedy zgłoszę się do kliniki. Nie wiem, jak sobie z tym poradzić. Nie chcę zostawiać w domu brudów, ale musiałbym wstać wcześniej rano w poniedziałek i szybko zrobić pranie.

Przychodzi mi do głowy, żeby skontaktować się z innymi, ale postanawiam tego nie robić. Tak naprawdę, wcale nie mam ochoty z nimi rozmawiać. Nie jestem przyzwyczajony do takich dni, z wyjątkiem zaplanowanych urlopów, i nie wiem, co mam robić. Mógłbym pójść do kina albo przeczytać książkę, ale za dużo ścisła mnie w żołądku. Mógłbym pójść do Centrum, ale tam również nie mam ochoty się pokazywać.

Zmywam po śniadaniu i chowam naczynia. Nagle mieszkanie wydaje mi się zbyt ciche, duże i puste. Nie wiem, dokąd pójdę, ale gdzieś pójść muszę. Wkładam do kieszeni klucze i portfel i wychodzę pięć minut później niż zazwyczaj.

Na schodach spotykam Danny'ego.

- Cześć, Lou, jak się masz - rzuca, schodząc na dół. Myślę, iż oznacza to, że się dokądś spieszy i nie chce rozmawiać. Odpowiadam tylko: „cześć”.

Na dworze jest pochmurno i zimno, ale nie pada. Nie jest tak wietrznie jak wczoraj. Podchodzę do samochodu i wsiadam. Nie uruchamiam jeszcze silnika, ponieważ nie wiem, dokąd chcę pojechać. Szkoda, żeby silnik niepotrzebnie pracował. Wyjmuję ze skrytki atlas samochodowy i otwieram go. Mógłbym pojechać do parku stanowego w górze rzeki i obejrzeć wodospady. Większość ludzi wybiera się tam latem, ale sądzę, że zimą jest również otwarte.

Na szybę pada cień. To Danny. Opuszczam szybę.

- Wszystko w porządku? - pyta. - Coś się stało?

- Nie idę dzisiaj do pracy - odpowiadam. - Zastanawiam się, dokąd się wybrać.

- OK - mówi. Jestem zdziwiony; nie myślałem, że do tego stopnia się mną interesuje. Skoro tak, to może powinien wiedzieć, że wyjeżdżam.

- Wyjeżdżam - rzucam. Jego twarz zmienia wyraz.

- Przeprowadzasz się? Czy to przez tego łobuza? Już ci więcej nie zaszkodzi, Lou.

Ciekawe, że zarówno on, jak i dozorczyńni od razu założyli, że wynoszę się ze względu na Dona.

- Nie - odpowiadam. - Nie przenoszę się, tylko przez kilka tygodni mnie nie będzie. Pojawiła się nowa, eksperymentalna metoda leczenia i moja firma chce, żebym się jej poddał.

Sprawia wrażenie zatroskanego.

- Twoja firma... a czy ty tego chcesz? Może wywierają na ciebie nacisk?

- To moja decyzja - mówię. - To ja postanowiłem poddać się kuracji.

- Cóż... w porządku. Mam nadzieję, że dobrze ci poradzono - wyznaje.

- Tak - odpowiadam. Nie mówię, kto udzielił mi takiej rady.

- To znaczy... masz dzisiaj wolne? Czy już wyjeżdżasz? Gdzie będzie odbywało się to leczenie?

- Nie muszę jechać dzisiaj do pracy. Wczoraj posprzątałem biurko - odpowiadam. - Leczenie będzie odbywało się w klinice w kampusie, gdzie pracuję, tyle że w innym budynku. Zaczyna się w poniedziałek. Dzisiaj nie mam nic do roboty... Może pojedę obejrzeć Harper Falls.

- Aha. No to uważaj na siebie, Lou. Mam nadzieję, że ci to pomoże. - Uderza dłonią w dach mojego samochodu i odchodzi.

Nie jestem pewien, co ma na myśli, mówiąc: „Mam nadzieję, że ci to pomoże”. Wycieczkę do Harper Falls? Leczenie? Nie wiem także, czemu uderzył w dach mojego auta. Wiem tylko, że już się go nie boję - kolejna zmiana, do której doszedłem sam.

* * *

W parku płacę za wejście i zostawiam samochód na pustym parkingu. Drogowskazy informują o różnych szlakach: „Do wodospadów 290,3 m”, „Buttercup Meadow 1,7 km”, „Ścieżka przyrodnicza dla najmłodszych 1,3 km”. Ścieżka przyrodnicza dla najmłodszych oraz szlak w pełni dostępny są wyasfaltowane, za to droga do wodospadów wysypana jest pokruszonymi kamieniami i obramowana metalowymi taśmami. Wędruję tym szlakiem, chrzęszcząc butami. Nikogo nie spotykam. Docierają do mnie tylko odgłosy natury. Z oddali dobiega ciągły szum trasy między-stanowej, za to w pobliżu słychać jedynie wysokie pojękiwanie generatora zasilającego biuro zarządu parku.

Wkrótce nawet i to cichnie; znajduję się pod skalnym występem, który zatrzymuje odgłosy autostrady. Większość liści opadła z drzew i nasiąkła wczorajszym deszczem. Niżej widzę czerwone liście, błyszczące nawet w tak słabym świetle; pokrywają klony, które przetrwały jeszcze tutaj, na najchłodniejszych obszarach.

Czuję, że się odprężam. Tych drzew nie obchodzi, czy jestem normalny, czy nie. Skał i mchu również. Nie potrafią rozróżniać ludzi. Kojące. W ogóle nie muszę na siebie uważać.

Zatrzymuję się, żeby przysiąść na głazie i zwiesić nogi. Rodzice zabierali mnie do parku w pobliżu naszego domu, kiedy byłem dzieckiem. Tam również płynął strumień z wodospadem, tyle że węższy od tutejszego. Skały były ciemniejsze i miały ostro zakończone wierzchołki. Jedna przewróciła się płaskim bokiem do góry. Lubiłem na niej stawać lub siedzieć. Zachowywała się przyjaźnie, ponieważ nic nie robiła. Rodzice tego nie rozumieli.

Gdyby ktoś powiedział klonom, że mogłyby się zmienić i żyć szczęśliwie w cieplejszym klimacie, czy dokonałyby takiego wyboru? A jeśli oznaczałoby to utratę ich półprzeźroczystych liści, które przybierają co roku tak przepiękne barwy?

Wciągam powietrze i czuję mokre liście, mech na skałach, porosty, kamień, glebę... W niektórych artykułach napisano, że osoby autystyczne są zbyt wrażliwe na zapachy, ale nikt nie ma tego za złe psom lub kotom.

Nasłuchuję odgłosów lasu, ledwo słyszalnych ze względu na mokre liście. Mimo to wychwytyuję delikatny tupot na pobliskiej gałązce. Łapki wiewiórki, która właśnie skoczyła, drapiąc pazurkami o korę. Trzepot skrzydełek i cichutki świergot ptaka, którego nie dostrzegam. W niektórych artykułach napisano, że osoby autystyczne są zbyt wrażliwe na ciche dźwięki, ale nikt nie ma tego za złe zwierzętom.

Tutaj nie ma nikogo, kto miałby mi cokolwiek za złe. Mogę cały dzień cieszyć się swoimi nadwrażliwymi zmysłami, na wypadek gdybym za tydzień już je utracił. Wierzę, że wówczas będę się cieszył takimi zmysłami, jakie będę posiadał.

Pochylam się i próbuję kamienia, mchu, porostu, dotykając ich językiem, a potem ześlizguję się z głazu i liżę mokre liście zalegające u jego podstawy. Kora dębu (gorzka, surowa), kora topoli (początkowo bez smaku, potem lekko słodkawa). Rozkładam ramiona i kręcę się dookoła, deptając ze zgrzytem kamienie ścieżki (nie ma nikogo, kogo mogłoby to zdenerwować, kto mógłby zwrócić mi uwagę lub ostrzegawczo potrząsnąć głową). Wokół mnie wirują kolory; kiedy się zatrzymuję, one nie zamierają w bezruchu natychmiast, lecz stopniowo.

Przy samej ziemi znajduję paproć, której mogę dotknąć językiem - ma tylko jeden zielony listek. Bez smaku. I korę innych drzew, których nie znam, ale które odróżniam po wyglądzie. Każde ma nieco inny, niemożliwy do opisu smak, nieznacznie odmienny zapach, różne wzory na korze, bardziej szorstkiej lub gładziej pod moimi palcami. Szum wodospadu, początkowo jedynie cichy syk, rozpada się na mnóstwo pojedynczych dźwięków: grzmot największej kaskady uderzającej o skały w dole, echo tego grzmotu, przechodzące w ryk, pluskanie pióropuszy wody, szemranie mniejszych wodospadów, ciche kapanie pojedynczych kropeł z uschniętych od mrozu liści paproci.

Obserwuję spadającą wodę, próbując dojrzeć każdą jej część w pozornie jednolitej masie, która dopływa gładko do progu i rozszczepia się na mnóstwo strumieni w drodze ku dołowi... Co czułaby kropla, ześlizgując się z ostatniej skały i spadając w nicość? Woda nie ma rozumu, nie może myśleć, ale ludzie - normalni ludzie - piszą o wściekłych rzekach i podstępnych powodziach, jakby nie wierzyli w tę niemożność myśli.

Podmuch wiatru spryskuje mi twarz kropelkami; najmniejsze na przekór grawitacji unoszą się na wietrze i nie wracają tam, skąd się wzięły.

Niemal zaczynam rozmyślać o podjętej decyzji, o niewiadomej, o niemożności powrotu, ale nie chcę rozważać tego dzisiaj. Chcę czuć wszystko, co mogę czuć, i zapamiętać to, na wypadek gdybym zachował wspomnienia w tej nieznannej przyszłości. Skupiam się na wodzie, doszukując się jej wzoru, porządku w chaosie i chaosu w porządku.

* * *

Poniedziałek. Dziewięta dwadzieścia dziewięć. Znajduję się w klinice w głębi kampusu, daleko od Sekcji A. Siedzę na jednym z ustawionych w rzędzie krzesel, pomiędzy Dale'em a Baileyem.

Krzesła wykonane są z jasnoszarego plastiku; na siedzisku i oparciu umieszczono niebiesko-zielono-różowe tweedowe poduszki. Po przeciwległej stronie pomieszczenia znajduje się kolejny rząd krzesel; dostrzegam niewielkie wgłębienia w miejscach, gdzie siedzieli ludzie. Ściany pokryte są tapetą w szare paski, nad którą umieszczono jasnoszarą listwę, a ponad nią -białawy, kamienisty tynk. Pomimo pasków ściana ma taką samą chropowatą strukturę jak nad listwą. Na ścianie naprzeciwko wiszą dwa obrazy; pejzaż ze wzgórzem w tle i zielonymi polami na pierwszym planie oraz martwa natura z bukietem maków w mosiężnym dzbanku. Na końcu pomieszczenia znajdują się drzwi. Nie wiem, co się za nimi kryje. Nie wiem, czy to przez te drzwi przejdziemy. Przed nami stoi niski stolik z dwoma schludnymi rządami przeglądarki osobistych oraz pudełkiem dysków z etykietką: „Informacje dla pacjenta: zrozumieć projekt”. Na etykietce dysku, który widzę z mojego miejsca, napisano: „Zrozumieć swój żołądek”.

Mój żołądek przypomina zawieszoną w próżni zimną kluczę. Mam wrażenie, że ktoś zbyt mocno naciągnął na mnie skórę. Nie sprawdzam, czy w pudełku znajduje się dysk z podpisem: „Zrozumieć

swój mózg". Nie chcę go odczytywać, nawet jeśli tam jest.

Kiedy próbuję wyobrazić sobie przyszłość - pozostałe godziny tego dnia, jutro, przyszły tydzień, resztę swój ego życia - przypomina to zagłębienie w źrenicę oka, skąd wзира czerń. Mrok, który już tam jest, zanim dotrze światło, nieznan i niemożliwy do poznania przed nadejściem światła.

Niewiedza pojawia się przed wiedzą; przyszłość przybywa przed terażniejszością. Od tej chwili przeszłość i przyszłość są tym samym, tylko o przeciwnych kierunkach, ale ja wybrałem tamtą drogę, a nie tę.

Kiedy tam dotrę, prędkość światła i prędkość mroku będą takie same.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Światło. Mrok. Światło. Mrok. Światło i mrok. Promień światła w mroku. Ruch. Hałas. Znowu hałas. Ruch. Zimno i ciepło, gorąco, jasno, ciemno, szorstko, gładko, zimno, ZA ZIMNO, BÓL, ciepło, ciemność, brak bólu. Znowu światło. Ruch. Hałas. Coraz głośniejszy. ZA GŁOŚNO MUCZY KROWA. Ruch, kształty w świetle, żądło, ciepło. Z powrotem w mrok.

Światło to dzień. Mrok to noc. Zaczyna się dzień czas wstawać. Noc leżenie w łóżku w ciszy sen.

Teraz się obudź, usiądź, wyciągnij ramiona. Zimne powietrze. Ciepły dotyk. Wstań. Zimno w stopy. Przejdź się. Idź do miejsca jest błyszczące jest zimne przerażająco pachnie. Miejsce stawania się mokrym lub brudnym, miejsce stawania się czystym. Wyciągnij ręce, odczuwaj jak spływa po skórze. Spływa po nogach. Wszędzie zimne powietrze. Wejź pod prysznic, trzymaj się poręczy. Poręcz zimna. Przerażający dźwięk, przerażający dźwięk. Nie bądź niemądry. Stój spokojnie. Coś uderza, bardzo dużo rzeczy uderza, mokro, za zimno, potem ciepło, potem za gorąco. W porządku, już dobrze. Niedobrze. Tak, tak, stój spokojnie. Wrażenie ociekania na całym ciele. Czysto. Teraz czysto. Jeszcze więcej wilgoci. Czas minął, stój. Pocieranie całego ciała, teraz skóra ciepła. Włóż ubranie. Włóż spodnie, włóż koszulę, włóż pantofle. Czas na spacer. Trzymaj się tego. Idź.

Miejsce do jedzenia. Miska. Jedzenie w misce. Podnieś łyżkę. Jedzenie na łyżkę. Łyżka do ust. Nie, trzymaj łyżkę prawidłowo. Jedzenie zniknęło. Jedzenie spadło. Trzymaj nieruchomo. Spróbuj jeszcze raz. Spróbuj jeszcze raz. Spróbuj jeszcze raz. Łyżka do ust, jedzenie do ust. Jedzenie źle smakuje. Mokro na brodzie. Nie, nie wypluwaj. Spróbuj jeszcze raz. Spróbuj jeszcze raz. Spróbuj jeszcze raz.

Kształty, poruszający się ludzie. Ludzie żyją. Kształty nieruchome nie żyją. Chodzenie, kształty się zmieniają. Nieżywe kształty nie zmieniają się zbyt. Żywe kształty bardzo się zmieniają. Ludzkie kształty mają na szczycie pustą przestrzeń. Ludzie mówią ubierz się ubierz się dostaniesz coś dobrego. Dobre jest słodkie. Dobre jest ciepłe. Dobre jest ładne błyszczące. Dobry jest uśmiech, imię twarzy przedmioty poruszają się wtedy. Dobry jest szczęśliwy głos, nazwa takiego dźwięku. Taki dźwięk to mowa. Mówienie mówi ci, co masz zrobić. Ludzie się śmieją to najlepszy dźwięk. Dobrze, bardzo dobrze. Dobre jedzenie jest dobre. Ubranie jest dobre. Mówienie jest dobre.

Ludzie więcej niż jeden. Ludzie mają imiona. Używanie imion jest dobre, szczęśliwy głos, ładne błyszczące, nawet słodkie. Jeden to Jim, dzień dobry czas wstawać i ubierać się. Jim ma ciemną twarz, błyszczące coś na czubku głowy, ciepłe dłonie, głośne mówienie. Inne więcej niż jeden nazywa się Sally, proszę to twoje śniadanie możesz spróbować prawda że smaczne? Sally ma jasną twarz, białe włosy na czubku głowy, niegłośne mówienie. Amber ma jasną twarz, ciemne włosy na czubku głowy, nie tak głośne mówienie jak Jim ale głośniejsze od Sally.

Cześć Jim. Cześć Sally. Cześć Amber.

Jim mówi wstań. Cześć Jim. Jim się uśmiecha. Jim szczęśliwy ja mówię cześć Jim. Wstań, idź do łazienki, skorzystaj z toalety, zdejmij ubranie, wejź pod prysznic. Sięgnij po okrągłą rzecz. Jim mówi bardzo dobrze i zamyka drzwi. Obróć okrągłą rzecz. Woda. Mydło. Woda. Dobre uczucie.

Same dobre uczucia. Otwórz drzwi. Jim się uśmiecha. Jim szczęśliwy ja sam biorę prysznic. Jim trzyma ręcznik. Weź ręcznik. Wytrzyj się. Sucho. Sucho jest dobre. Mokra jest dobre. Poranek jest dobry.

Ubierz się, idź na śniadanie. Usiądź przy stole z Sally. Cześć Sally. Sally się uśmiecha. Sally szczęśliwa ja mówię cześć Sally.

Rozejrzyj się mówi Sally. Rozglądam się. Więcej stolików. Inni ludzie. Znam Sally. Znam Amber. Znam Jima. Nie znam innych ludzi. Sally pyta czy jestem głodny. Tak mówię. Sally uśmiecha się. Sally szczęśliwa ja mówię tak. Miska. Jedzenie w misce płatki. Słodkie na wierzchu to owoc. Jedz słodkie z wierzchu, jedz płatki, mów smaczne, smaczne. Sally się uśmiecha. Sally szczęśliwa ja mówię smaczne. Szczęśliwy że Sally jest szczęśliwa. Szczęśliwy bo słodkie jest dobre.

Amber mówi czas iść. Cześć Amber. Amber się uśmiecha. Amber szczęśliwa ja mówię cześć Amber. Amber idzie do pracowni. Ja idę do pracowni. Amber mówi usiądź tam. Siadam tam. Przede mną stół. Amber siada po drugiej stronie. Amber mówi czas na grę. Amber stawia przedmioty na stole. Co to jest, pyta Amber. To jest niebieskie. Mówię niebieskie. Amber mówi niebieskie to kolor, ale co to jest? Chcę dotknąć. Amber mówi nie dotykaj, tylko patrz. Przedmiot ma zabawny kształt, pomarszczony. Niebieski. Jestem smutny. Niewiedza jest niedobra, nie słodka, nie błyszczą ładnie.

Nie martw się mówi Amber. OK, OK. Amber dotyka pudełka Amber. Potem mówi możesz dotknąć. Dotykam. To część ubrania. To jest koszulka. Za mała na mnie. Za mała. Amber się śmieje. Dobrze, oto cukierek, to jest koszulka i jest o wiele za mała dla ciebie. Koszulka dla lalki. Amber zabiera koszulkę dla lalki i kładzie inną rzecz. Też śmieszny kształt, pomarszczone czarne. Nie dotykaj, tylko patrz. Jeśli pomarszczona niebieska rzecz koszulka dla lalki, to pomarszczona czarna rzecz coś dla lalki? Amber dotyka. Przedmiot leży płasko. U dołu wystają dwie rzeczy, na górze jest jedna. Spodnie. Mówię spodnie dla lalki. Amber uśmiecha się szeroko. Dobrze, naprawdę świetnie. Cukierek dla ciebie. Dotyka pudełka Amber.

Pora obiadowa. Obiad to jedzenie pomiędzy śniadaniem a kolacją. Cześć Sally. Dobrze to wygląda, Sally. Sally szczęśliwa ja to mówię. Jedzenie jest kleiste pomiędzy kromkami chleba, a owocem i wodą do popicia. Jedzenie smaczne w ustach. To jest smaczne, Sally. Sally szczęśliwa ja to mówię. Sally się uśmiecha. Bardzo dobrze. Lubię Sally. Sally miła.

Po obiedzie jest Amber i pełzanie po podłodze wzdłuż linii albo stawanie na jednej nodze, a potem na drugiej. Amber też pełza. Amber staje na jednej nodze, przewraca się. Śmiech. Śmiech jest dobry jak trzęsienie się. Amber się śmieje. Bardzo dobrze. Lubię Amber.

Po pełzaniu po podłodze jest kolejna gra na stole. Amber kładzie przedmioty na stole. Nie znam imion. Nie imion, mówi Amber. Popatrz: Amber dotyka czarnej rzeczy. Znajdź taką drugą, mówi Amber. Patrz na przedmioty. Jeden przedmiot taki sam. Dotykam. Amber się uśmiecha. Dobrze. Amber przykłada czarną rzecz do białej. Zrób tak samo, mówi Amber. Przerazające. Nie wiem. OK, OK, mówi Amber. W porządku, że nie wiesz. Amber się nie uśmiecha. Nie w porządku. Znajdź czarny przedmiot. Patrz. Znajdź biały przedmiot. Złóż je razem. Amber się teraz uśmiecha. Dobrze.

Amber składa razem trzy rzeczy. Zrób tak samo, mówi Amber. Patrzą. Jeden przedmiot jest czarny, jeden jest biały z czarną plamką, jeden jest czerwony z żółtą plamką. Patrz. Połóż czarny przedmiot. Znajdź biały przedmiot z czarną plamką, dołóż. Teraz znajdź czerwony przedmiot z żółtą plamką, dołóż. Amber dotyka pudełka Amber. Potem Amber dotyka przedmiotów Amber: czerwony pośrodku, mówi Amber. Patrz. Zrobiłeś źle. Czerwony na końcu. Przenieś. Dobrze, mówi Amber. Naprawdę świetna robota. Szczęśliwa. Lubię czynić Amber szczęśliwą. Dobrze oboje szczęśliwi.

Wchodzą inni ludzie. Jedna w białym fartuchu, widzę ją wcześniej, nie znam imienia, tylko Doktor. Jeden mężczyzna w swetrze w wielu kolorach i brązowych spodniach.

Amber mówi cześć Doktorze do tej w białym fartuchu. Doktor mówi do Amber to jest jego przyjaciel z listy. Amber patrzy na mnie, potem na tamtego mężczyznę. Mężczyzna patrzy na mnie. Nie jest szczęśliwy, nawet uśmiechając się.

Mężczyzna mówi cześć Lou jestem Tom.

Cześć Tom, mówię. Nie mówi dobrze. Jesteś doktorem, mówię.

Nie doktorem medycyny, mówi Tom. Nie wiem co znaczy nie doktor medycyny.

Amber mówi Tom jest na twojej liście odwiedzających. Znałeś go przedtem.

Przed czym? Tom nie jest szczęśliwy. Tom jest bardzo smutny.

Nie znam Toma mówię. Patrząc na Amber. To źle nie znać Toma?

Zapomniałeś o wszystkim co było przedtem? pyta Tom.

Przed czym? Niepokoi mnie to pytanie. Znam to co teraz. Jima, Sally, Amber, Doktor, gdzie jest sypialnia, gdzie jest łazienka, gdzie jest miejsce do jedzenia, gdzie jest pracownia.

W porządku mówi Amber. Wyjaśnimy później. Teraz jest OK. Świetnie sobie radzisz.

Lepiej już iść mówi Doktor. Tom i Doktor się odwracają.

Przed CZYM?

Amber układa kolejny rząd i mówi rób to co ja.

* * *

- Mówiłam panu, że jeszcze za wcześnie - powiedziała doktor Hendricks, gdy tylko wyszli z powrotem na korytarz. - Mówiłam, że nie będzie pana pamiętał.

Tom Fennell zerknął przez ramię na jednostronne okno. Lou - a raczej ktoś, kto był kiedyś Lou - uśmiechnął się do terapeutki, która z nim pracowała, i podniósł klocek, by dodać go do kopiowanego wzoru. Ogarnęły go smutek i wściekłość na wspomnienie pustego spojrzenia Lou i pozbawionego znaczenia uśmiešku, kiedy mówił: „Cześć, Tom”.

- Próba wyjaśnienia mu teraz sytuacji wywołałaby jedynie niepotrzebny stres - oznajmiła Hendricks. - Prawdopodobnie niczego by nie zrozumiał.

Tom odzyskał wreszcie mowę, choć głos brzmiał mu tak, jakby nie należał do niego.

- Czy macie pojęcie, co zrobiliście? - Powstrzymywał się ogromnym wysiłkiem woli; miał ochotę udusić tę kobietę, która unicestwiła jego przyjaciela.

- Tak. Radzi sobie naprawdę świetnie. - Głos Hendricks dowodził, że jest nieprzyzwoicie z siebie zadowolona. - W zeszłym tygodniu nie potrafił tego, co robi teraz.

Radzi sobie świetnie. Siedzenie i kopiowanie układanek nie było tym, co Tom określał jako radzenie sobie świetnie. Zwłaszcza kiedy przypominał sobie nadzwyczajne zdolności Lou.

- Ależ... analiza i tworzenie wzorów stanowiły jego szczególne uzdolnienie...

- W strukturze mózgu nastąpiły głębokie zmiany – oznajmiła doktor Hendricks. - Te zmiany trwają. Jakby mózg zmienił swój wiek, stając się w pewnych aspektach mózgiem dziecka. Olbrzymia plastyczność, wielkie możliwości adaptacyjne.

Jej pełen zadowolenia ton kłuł go do żywego; najwyraźniej nie miała najmniejszych wątpliwości co do swych dokonań.

- Jak długo to potrwa? - zapytał.

Co prawda Hendricks nie wzruszyła ramionami, lecz długie milczenie można było uznać za odpowiednik tego gestu.

- Nie wiemy. Myśleliśmy - może raczej powinnam powiedzieć: mieliśmy nadzieję - że kombinacja genetyki i nanotechnologii oraz przyspieszonego wzrostu neuronów skróci fazę rekonwalescencji, jak to miało miejsce w przypadku zwierząt. Jednakże mózg ludzki jest nieporównanie bardziej złożony...

- Powinniście byli to wiedzieć, zaczynając - oświadczył Tom. Nie dbał o to, że przemawia oskarżycielskim tonem. Zastanawiał się, jak sobie radzą inni, choć nie pamiętał dokładnie, ilu ich było. W pomieszczeniu znajdowało się jeszcze dwóch mężczyzn pracujących z terapeutami. Czy z pozostałymi było wszystko w porządku, czy też nie? Nawet nie znał ich nazwisk.

- Tak. - Jej łagodne skinienie głową bardziej go tylko rozwścieczyło.

- Co wy sobie myśleliście...

- Chcieliśmy pomóc. Pomóc. Proszę spojrzeć... - Pokazała na okno i Tom spojrzął.

Mężczyzna z twarzą Lou - ale nie z jego wyrazem twarzy - odłożył na bok ukończony wzór i z uśmiechem podniósł wzrok na siedzącą naprzeciwko terapeutkę. Powiedziała coś - Tom nie usłyszał słów przez dzielące ich szkło, lecz dostrzegł reakcję Lou, odprężony śmiech i lekkie potrząśnięcie głową. Było to tak niepodobne do Lou, tak dziwacznie normalne, że Tom na chwilę stracił oddech.

- Jego zachowania interpersonalne już są prawie normalne. Z łatwością można go motywować sygnałami społecznymi; lubi przebywać z ludźmi. Bardzo miła osobowość, choć na tym etapie wciąż infantylna. Przetwarzanie bodźców jest unormowane; preferowane przez niego zakresy temperatur, wrażeń dotykowych, smakowych i tak dalej mieszczą się w granicach normy. Z każdym dniem polepsza się komunikacja. W miarę poprawy funkcji obniżamy dawki środków przeciw stanom lękowym.

- Ale jego wspomnienia...

- Jeszcze nic nie wiadomo. Nasze doświadczenia z odzyskiwaniem utraconych wspomnień u jednostek psychotycznych sugerują, że obie stosowane techniki przyniosą pewne efekty. Jak pan wie, dokonaliśmy multizmysłowych nagrań, które zostaną mu z powrotem zaszczepione. Na chwilę obecną zablokowaliśmy dostęp do nich za pomocą specjalnego czynnika biochemicznego - własność firmy, więc nawet proszę o to nie pytać - który w najbliższych tygodniach zostanie odfiltrowany. Zanim to zrobimy, chcemy mieć absolutną pewność, że uzyskaliśmy całkowicie stabilne podstawy przetwarzania zmysłowego i integralności.

- Nie wiecie więc, czy zdołacie zwrócić mu jego poprzednie życie?

- Nie, ale mamy powody przypuszczać, że tak się stanie. Poza tym, nie znajdzie się stanie gorszym od kogoś, kto utracił wspomnienia wskutek traumy.

To, co zrobili Lou, można spokojnie określić mianem traumy, pomyślał Tom. Hendricks ciągnęła:

- Zresztą ludzie potrafią się zaadaptować i żyć samodzielnie bez wspomnień z przeszłości, dopóki potrafią ponownie się nauczyć czynności niezbędnych w życiu codziennym i społeczeństwie.

- Co ze zdolnościami poznawczymi? - zdołał spytać w miarę spokojnym tonem Tom. - W tej chwili sprawia wrażenie poważnie upośledzonego, a przedtem był niemal geniuszem.

- Nie sędzę - odparła doktor Hendricks. - Według naszych testów znajdował się ponad średnią, więc nawet jeśli utraci dziesięć czy dwadzieścia punktów, nie zagrozi to jego umiejętności

samodzielnego życia. Ale w żadnym wypadku nie był geniuszem.

- Brzmiąca w jej głosie pedantyczna pewność siebie i chłodna dyskredytacja Lou takiego, jakiego pamiętał, były gorsze od celowego okrucieństwa.

- Znała go pani wcześniej? Lub kogoś innego spośród nich - spytał Tom.

- Nie, oczywiście, że nie. Spotkałam się z nimi raz, lecz byłoby niewłaściwe, gdybym poznała ich osobiście. Znam wyniki ich testów, a wywiady i nagrania wspomnień znajdują się w rękach zespołu psychologów rehabilitacyjnych.

- Był nadzwyczajnym człowiekiem - oznajmił Tom. Spojrzał jej w twarz, lecz ujrzał wyłącznie dumę z tego, co robiła, i niecierpliwość, że ktoś jej przerywa. - Mam nadzieję, że znowu się takim stanie.

- Przynajmniej nie będzie autystyczny - odparła, jakby to wszystko usprawiedliwiało.

Już chciał powiedzieć, że bycie autystycznym nie wydawało się takie złe, lecz się powstrzymał. Nie ma sensu dyskutować z kimś takim, przynajmniej nie tutaj i nie teraz, a poza tym, dla Lou i tak było już za późno. Ta kobieta stanowiła jedyną szansę Lou na wyzdrowienie... Wzdrygnął się na samą myśl o tym.

- Powinien pan odwiedzić nas ponownie, kiedy będzie z nim lepiej - dodała doktor Hendricks. - Może wtedy bardziej doceni pan nasze osiągnięcie. Zadzwońmy do pana. - Jej słowa przyprawiły go o ucisk w żołądku, lecz był winien Lou przynajmniej tyle.

Na dworze zapiął płaszcz i naciągnął rękawice. Czy Lou wiedział chociaż, że jest zima? W całym budynku nie dostrzegł ani jednego okna wychodzącego na zewnątrz. Szare popołudnie, coraz bliższe zmierzchu, i brudna plucha pod nogami współgrały z jego nastrojem.

Przez całą drogę do domu przeklinał badania medyczne.

* * *

Siedzę przy stole twarzą do nieznajomej kobiety w białym fartuchu. Odnoszę wrażenie, że przebywam tutaj od dłuższego czasu, ale nie wiem dlaczego. To tak, jakbym się zamyślił podczas jazdy samochodem i zobaczył nagle drogowskaz z informacją, że przejechałem dziesięć mil, nie mając pojęcia, co wydarzyło się po drodze.

Przypomina to przebudzenie się z drzemki. Nie jestem pewien, gdzie się znajduję ani co powinienem zrobić.

- Przepraszam - mówię. - Chyba zgubiłem wątek. Czy mogłaby pani powtórzyć?

Patrzy na mnie zdezorientowana, po czym jej oczy rozszerzają się lekko.

- Lou? Dobrze się czujesz?

- Czuję się świetnie - odpowiadam. - Co najwyżej jestem trochę otumaniony...

- Wiesz, kim jesteś?

- Oczywiście - mówię. - Nazywam się Lou Arrendale. - Nie mam pojęcia, czemu ta kobieta myśli, że nie znam własnego imienia i nazwiska.

- Wiesz, gdzie się znajdujesz?

Rozglądam się dokoła. Ma na sobie biały fartuch; pomieszczenie nieco przypomina klinikę lub szkołę. Naprawdę nie jestem pewny.

- Nie do końca - przyznaję. - W jakiejś klinice?

- Tak - odpowiada. - Wiesz, którego dzisiaj mamy? Nagle uświadamiam sobie, że nie znam

dzisiejszej dacie. Na ścianie wisi kalendarz i wielki zegar, lecz choć na wyświetlaczu widnieje luty, coś mi się tu nie zgadza. Moje ostatnie wspomnienia dotyczą jesieni.

- Nie - wyznaję. Zaczynam się bać. - Co się stało? Zachorowałem, miałem wypadek czy coś takiego?

- Miałeś operację mózgu - odpowiada. - Pamiętasz?

Nie pamiętam. Gdy próbuję sobie przypomnieć, natrafiam na gęstą mgłę, ciemną i ciężką. Macam się po głowie. Nie boli mnie. Nie wyczuwam żadnych blizn. Włosy przypominają w dotyku włosy.

- Jak się czujesz? - pyta.

- Jestem nieco wystraszony - odpowiadam. - Chcę wiedzieć, co się stało.

* * *

Powiedzieli mi, że przez kilka tygodni wstawałem i chodziłem, wykonując polecenia typu „idź” i „siadaj”. Teraz odzyskałem pełną świadomość; pamiętam wczorajszy dzień, choć wcześniejsze widzę jak przez mgłę.

Popołudniami odbywam terapię fizyczną. Przez parę tygodni tkwiłem w łóżku, niezdolny do ruchu, co bardzo mnie osłabiło. Teraz nabieram sił.

Spacerowanie tam i z powrotem po sali gimnastycznej jest nudne. Jest tam kilka stopni z poręczą, na których można ćwiczyć wchodzenie i schodzenie, ale to również szybko mnie nudzi. Missy, moja terapeutka, proponuje grę w piłkę. Nie pamiętam zasad, ona jednak podaje mi piłkę i prosi, żebym ją do niej odrzucił. Siedzi raptem kilka stóp ode mnie. Ciskam jej piłkę, a ona odrzucają z powrotem do mnie. Proste. Łapię i ponownie rzucam. Bardzo łatwe. Wskazuje mi cel, który zadzwoni, jeśli go trafię. Łatwo go trafić z odległości dziesięciu stóp; z dwudziestu kilkakrotnie pudłuję, ale potem trafiam za każdym razem.

Choć nie pamiętam zbyt wiele z przeszłości, nie wydaje mi się, żebym spędzał czas na przerzucaniu się z kimś piłką. Prawdziwe gry w piłkę, o ile prawdziwi ludzie w nie grają, muszą być bardziej skomplikowane.

* * *

Tego ranka budzę się wypoczęty i silniejszy. Pamiętam dzień wczorajszy, przedwczorajszy i co nieco z jeszcze wcześniejszego dnia. Ubrałem się, zanim pielęgniarka Jim przyszedł, żeby mnie sprawdzić, i trafiłem do jadalni bez dodatkowych wskazówek. Śniadanie jest nudne: mają tutaj tylko płatki śniadaniowe na zimno i ciepło, banany i pomarańcze. Do wyboru: ciepłe z bananami, ciepłe z pomarańczami, zimne z bananami i zimne z pomarańczami. Rozglądam się i rozpoznaję kilka osób, choć niemal minutę zabrało mi przypomnienie sobie ich imion. Dale. Eric. Cameron. Znałem ich przedtem. Oni również należeli do poddanej leczeniu grupy. Było ich więcej; ciekawe, gdzie są pozostali.

- Człowieku, ile bym dał za wafle - odezwał się Eric, kiedy usiadłem przy stole. - Mam już dość tych samych dań.

- Przypuszczam, że moglibyśmy o nie poprosić – zauważył Dale tonem, który sugerował, że *nie przyniesie to nic dobrego*.

- Pewnie są zdrowe - rzucił Eric. Był sarkastyczny; wybuchnęliśmy śmiechem.

Nie bardzo wiedziałem, na co miałbym ochotę, ale na pewno nie na te same płatki i owoce. Przez głowę przemknęły mi wspomnienia ulubionych potraw. Ciekawe, co pamiętali inni.

Wiedziałem, że skądś ich znam, ale nie miałem pojęcia skąd.

Rano wszyscy mieliśmy różne zajęcia terapeutyczne: mowa, rozpoznawanie, umiejętności dnia codziennego. Pamiętam, choć niezbyt dobrze, że robiłem to każdego ranka od dłuższego czasu.

Tym razem było niesamowicie nudno. Nic, tylko pytania i polecenia. Lou, co to jest? Miska, talerz, szklanka, dzbanek, pudełko... Lou, włóż niebieską szklankę do żółtego koszyka albo postaw zieloną miskę na czerwonym pudełku, albo ułóż klocki czy coś równie bezużytecznego. Terapeutka ma formularz, który wypełnia. Próbuję podejrzeć nagłówek, ale trudno jest czytać do góry nogami. Wydaje mi się, że kiedyś nie sprawiało mi to problemów. Zamiast tego odczytuję etykiety na pudełkach. „Zestaw manipulacyjny-diagnostyka: komplet 1”. „Zestaw manipulacyjny - czynności dnia codziennego: zestaw 2”.

Rozglądam się po pomieszczeniu. Nie robimy tego samego, ale każdy z nas pracuje z osobnym terapeutą. Wszyscy terapeuci ubrani są w białe fartuchy. Wszyscy mają pod spodem kolorowe ubrania. W sali na biurkach stoją cztery komputery. Ciekawe, czemu z nich nie korzystamy. Pamiętam mniej więcej, czym są komputery i co mogę z nimi zrobić. To pudła pełne słów, cyfr i obrazów, które można zmusić do udzielania odpowiedzi. Wolałbym, żeby to maszyna odpowiadała za mnie na pytania.

- Czy mogę skorzystać z komputera? - pytam Janis, moją terapeutkę mowy.

Robi zaskoczoną minę.

- Z komputera? Po co?

- To jest nudne - mówię. - Wciąż zadajesz głupie pytania i każesz mi robić głupie rzeczy; to dla mnie zbyt proste.

- Lou, to ma ci pomóc... Musimy sprawdzić, na ile wszystko rozumiesz... - Patrzy na mnie jak na dziecko, w dodatku niezbyt bystre.

- Znam potoczne określenia. Czy to właśnie chcesz wiedzieć?

- Tak, ale nie znałeś ich, kiedy obudziłeś się po raz pierwszy - przypomina. - Posłuchaj, mogę przejść na wyższy poziom... - Wyciąga inną książeczkę z testami. - Zobaczmy, czy jesteś na to gotowy, ale się nie przejmuj, jeśli okaże się zbyt trudne...

Mam dopasowywać słowa do obrazków. Janis czyta słowa, a ja oglądam rysunki. To bardzo łatwe; kończę po kilku minutach.

- Byłoby szybciej, gdybyś pozwoliła mi samemu czytać słowa - oznajmiam.

Znowu wygląda na zaskoczoną.

- Potrafisz czytać?

- Oczywiście - odpowiadam, zdumiony jej zdziwieniem. Jestem dorosły; dorośli potrafią czytać. W głębi ducha czuję lekki niepokój, słabe wspomnienie o nieumiejętności czytania, o pozbawionych sensu literach, będących jedynie kształtami podobnymi do wielu innych kształtów. - Czy wcześniej nie czytałem?

- Owszem, ale nie zaraz po przebudzeniu - wyjaśnia. Podaje mi listę słów i stronę z obrazkami. Słowa są krótkie i proste: drzewo, lalka, wywrotka, dom, auto, pociąg. Wręcza mi inną listę, tym razem zwierząt, a potem narzędzi. Wszystko bardzo łatwe,

- A więc wraca mi pamięć - uznaję. - Pamiętam te słowa i przedmioty...

- Na to wygląda - mówi. - Chcesz spróbować czytania ze zrozumieniem?

- Pewnie - odpowiadam. Podaje mi cienką książeczkę. Pierwszy ustęp to historyjka o dwóch

chłopcach grających w piłkę. Słowa są proste. Na jej prośbę odczytuję je na głos, gdy wtem odnoszę wrażenie, że jestem dwiema osobami, które czytają te same słowa, lecz inaczej je rozumieją. Urywam pomiędzy „bazą” a „piłką”.

- O co chodzi? - pyta po dłuższej chwili milczenia z mojej strony.

- Ja... sam nie wiem - wyznaję. - Zabawne uczucie. - Nie mam na myśli uczucia rozbawienia, lecz czegoś zabawnie dziwnego. Pierwsze ja rozumie, że Tim jest rozgniewany, ponieważ Bill złamał mu kij i nie chce się do tego przyznać; drugie natomiast ja rozumie, że Tim jest rozgniewany, ponieważ tata podarował mu kij. Pytanie poniżej brzmi: „Dlaczego Tim jest rozgniewany?” Nie znam odpowiedzi. Nie jestem jej pewny. Próbuję wyjaśnić to terapeutce.

- Tim nie chciał kija na urodziny; chciał rower. Może więc być rozgniewany z tego powodu albo może być rozgniewany, ponieważ Bili złamał mu kij, który otrzymał od taty. Nie wiem, która odpowiedź jest właściwa; historyjka nie dostarcza mi wystarczającej ilości danych.

Zagląda do książeczki.

- Hmm. W kluczu podają, że właściwa jest odpowiedź C, ale rozumiem twój dylemat. Bardzo dobrze, Lou. Orientujesz się w społecznych subtelnościach. Spróbuj z innym tekstem.

Kręcę głową.

- Chcę to przemyśleć - oświadczam. - Nie wiem, które ja jest moim nowym ja.

- Ale Lou... - zaczyna.

- Przepraszam. - Odsuwam się od stołu i wstaję. Wiem, że to niegrzeczne. Wiem, że muszę tak postąpić. Przez chwilę pomieszczenie sprawia wrażenie większego, a każda krawędź odznacza się ostro błyszczącą linią. Trudno ocenić głębię; wpadam na róg stołu. Światła przygasają; krawędzie tracą na ostrości. Czuję się niepewnie, jak pozbawiony zmysłu równowagi... po chwili kucam na podłodze, trzymając się stołu.

Wyczuwam pod dłonią solidny kant mebla – jakiś kompozyt z ziarnistą imitacją drewna na blacie. Oczy widzą drewno, a dłoń wyczuwa jego imitację. Słyszę włączane do sali powietrze, jak również to wdychane przeze mnie, bicie serca, a włoski w uszach - skąd wiem, że to włoski? - poruszają się w strumieniach dźwięków. Atakują mnie zapachy: kwaśna woń mojego potu, smród środków do czyszczenia podłogi, słodkie kosmetyki Janis.

Przypomina to moje pierwsze przebudzenie. Teraz je pamiętam: wyrwanie ze snu, zalew danych zmysłowych; jakbym w nich tonął, nie mogąc znaleźć punktu zaczepienia, wyzwolenia od nadmiaru. Pamiętam trwającą godzinami walkę o zrozumienie wzorów światła i ciemności, kolorów, wysokości dźwięków, rezonansu, zapachów, smaków i struktur...

To jest podłoga wyłożona winylowymi płytkami, jasnoszarymi w ciemniejsze kropki. To jest stół zrobiony z kompozytu o drewnopodobnym wykończeniu. Patrzą na własny but, rozpraszając mruganiem powiek fascynację wzorem grubo tkanego płótna i dostrzegając w nim wyłącznie obuwie stojące na podłodze. Znajduję się w pokoju terapeutycznym. Jestem Lou Arrendale, który kiedyś był autystycznym Lou Arrendale'em, a teraz jest nieznanym Lou Arrendale'em. Moja stopa w moim bucie spoczywa na podłodze, która znajduje się na gruncie planety systemu słonecznego galaktyki we wszechświecie, gdzieś w umyśle Boga.

Podnoszę wzrok i widzę ciągnącą się do samej ściany podłogę; faluje i nieruchomieje, tak płaska, jak wykonali ją budowniczowie, choć nie doskonale płaska, co nie ma znaczenia, gdyż zwykle się nazywać ją płaską. Sprawiam, że wygląda na płaską. To właśnie znaczy określenie: „płaska”. Płaskość nie jest absolutem; płaskość jest *wystarczająco* płaska.

- Dobrze się czujesz? Lou, proszę, odpowiedz mi!

Czuję się *wystarczająco* dobrze.

- Wszystko jest OK - uspokajam Janis. „OK” oznacza *wystarczająco* dobrze, a nie idealnie dobrze. Wygląda na załęczoną. Przestraszyłem ją. Nie chciałem tego. Kiedy się kogoś przestraszy, należy go uspokoić. - Przepraszam - dodaję. - To jedna z tych gorszych chwil.

Uspokaja się nieco. Siadam, potem wstaję. Ściany nie są dokładnie proste, ale dostatecznie proste.

Jestem *wystarczająco* Lou. Lou wcześniejszy i Lou terażniejszy; Lou wcześniejszy używa mi lat swoich doświadczeń, które nie zawsze potrafił zrozumieć, a Lou terażniejszy ocenia, interpretuje i dokonuje oszacowania. Mam ich dwóch – ja *jestem* obydwojema.

- Muszę pobyć trochę sam - mówię Janis. Znowu robi zaniepokojoną minę. Wiem, że się o mnie martwi; z jakichś względów nie aprobuję mego postępowania.

- Potrzebujesz kontaktu z ludźmi - oznajmia.

- Wiem - zapewniam ją. - Ale mam na to wiele godzin dziennie. Teraz potrzebuję chwili samotności, by uporządkować sobie to, co właśnie zaszło.

- Porozmawiaj o tym ze mną, Lou - prosi. - Powiedz mi, co się stało.

- Nie mogę - odpowiadam. - Potrzebuję czasu... - Robię krok w stronę drzwi. Stoliki zmieniają kształt, gdy je mijam; ściana z drzwiami zatacza się na mnie, jak pijacy w komedii - gdzie ją widziałem? Skąd to wiem? Jak mogę to pamiętać, a jednocześnie borykać się z podłogą, która jest tylko *wystarczająco* płaska, a nie po prostu płaska? Z pewnym trudem doprowadzam ściany i drzwi z powrotem do płaskości; elastyczny stolik wraca do prostokątnego kształtu, jaki powinienem widzieć.

- Ale jeśli masz kłopoty ze zmysłami, Lou, to może trzeba zmienić dawkę...

- Nic mi nie będzie - zapewniam, nie oglądając się. - Po prostu potrzebuję przerwy. - Ostateczny argument: - Muszę iść do łazienki.

Wiem - pamiętam - skądś - że to, co się stało, związane jest z integracją zmysłów i przetwarzaniem bodźców wizualnych. Chodzenie jest dziwne. Wiem, że idę; czuję poruszające się płynnie nogi. Lecz widzę jakieś podskoki; gwałtowną zmianę jednej pozycji na inną. Słyszę kroki i echo kroków, a także zwielokrotnione echo kroków.

Lou wcześniejszy mówi mi, że było inaczej, przynajmniej odkąd urósł. Lou wcześniejszy pomaga mi skupić się na drzwiach do męskiej toalety i pokonaniu ich, podczas gdy Lou terażniejszy buszuje we wspomnieniach podsłuchanych rozmów i przeczytanych książek, starając się znaleźć coś, co mogłoby pomóc.

Męska toaleta jest cichsza; nie ma w niej nikogo. Oczy atakują odbicia światła od gładkich krzywizn białej porcelany i lśniących metalowych klamek i rur. Na końcu pomieszczenia stoją dwie kabiny; wchodzę do jednej z nich i zamykam drzwi.

Lou wcześniejszy przygląda się płytkom na podłodze i ścianach i chce obliczyć objętość pomieszczenia. Lou terażniejszy chce wpełznąć do jakiegoś miękkiego, ciemnego miejsca i nie wychodzić stamtąd do następnego ranka.

Jest rano. Wciąż jest rano, a my - ja - nie jadłem jeszcze drugiego śniadania. Stałość obiektów. To, czego potrzebuję, to stałość obiektów. Przypominam sobie, co Lou wcześniejszy przeczytał o tym w książce - książce, którą przeczytał - książce, którą nie całkiem pamiętam, a

jednocześnie pamiętam. Dzieci nie uświadamiają sobie stałości obiektów; dorośli tak. Niewidomi od urodzenia, którym przywrócono wzrok, nie mogą się tego nauczyć: widzą, jak mijany stolik zmienia kształt.

Nie byłem niewidomy od urodzenia. Przetwarzanie bodźców wizualnych Lou wcześniejszego zawierało w sobie stałość obiektów. Ja też mogę być jej świadomy. Byłem, dopóki nie spróbowałem przeczytać tamtej historyjki...

Czuję, jak mój puls zwalnia, spadając poniżej granicy postrzegania. Pochylam się i przyglądam terakocie na podłodze. Nie obchodzi mnie, jakie rozmiary mają płytki ani jaka jest powierzchnia podłogi czy objętość łazienki. Mógłbym to obliczyć z nudów, gdybym został tutaj zamknięty, ale w tej chwili się nie nudzę. Jestem zdezorientowany i zaniepokojony.

Nie wiem, co się stało. Operacja mózgu? Nie mam żadnych blizn ani nierówno odrośniętych włosów. Jakiś nagły atak?

Zalewają mnie emocje: strach, a potem złość i dziwne wrażenie, że puchnę, a potem się kurczę. Kiedy jestem rozgniewany, czuję się wyższy, a otaczające mnie przedmioty wydają się mniejsze. Kiedy jestem przestraszony, czuję się mały, a otoczenie rośnie. Bawię się tymi uczuciami; to bardzo dziwne wrażenie, że kabina, w której siedzę, zmienia rozmiary. Tak naprawdę nie może tego robić. Ale skąd wiedziałbym, gdyby zmieniła?

Wtem w głowie rozbrzmiewa mi muzyka - koncert fortepianowy. Łagodne, kołyszące, uporządkowane dźwięki... Zaciskam mocno powieki i odprężam się. Przypominam sobie nazwisko: Chopin. Etiuda. Etiuda to „wprawka”... Nie, nie myśl, pozwól muzyce płynąć.

Przesuwam dłońmi wzdłuż ramion, wyczuwając fakturę skóry, sprężystość włosków. To uspokaja, ale nie muszę tego robić przez cały czas.

- Lou! Jesteś tam? Wszystko w porządku? - To Jim, pielęgniarz, który zajmował się mną przez większość czasu. Muzyka cichnie, ale nadal czuję, jak uspokajająco faluje pod skórą.

- Nic mi nie jest - odpowiadam. Dostrzegam, że mój głos jest zrelaksowany. - Po prostu potrzebowałem chwili przerwy, to wszystko.

- Lepiej stamtąd wyjdź, brachu - mówi. - Zaczynają dostawać tutaj kota.

Wstaję z westchnieniem i otwieram drzwi. Stałość obiektów utrzymuje ich kształt, gdy idę. Ściany i podłoga pozostają płaskie, takie, jakie powinny być. Nie niepokoją mnie refleksy światła na błyszczących powierzchniach. Jim się do mnie uśmiecha.

- Znaczy się, już wydobrzałeś, brachu?

- Zgadza się - zapewniam go. Lou wcześniejszy lubił muzykę. Lou wcześniejszy uspokajał się muzyką... Zastanawiam się, ile muzyki Lou wcześniejszego pamiętam.

Na korytarzu czekają Janis i doktor Hendricks. Uśmiecham się do nich.

- Nic mi nie jest - mówię. - Naprawdę musiałem iść do ubikacji.

- Ale Janis twierdzi, że się przewróciłeś - zauważa doktor Hendricks.

- Tylko się potknąłem - prostuję. - Dezorientacja podczas czytania... lekkie rozstrojenie zmysłów, ale już mi przeszło. - Dla pewności rozglądam się po korytarzu. Wydaje się, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. - Chcę porozmawiać z panią o tym, co naprawdę się wydarzyło - zwracam się do doktor Hendricks. - Powiadomiono mnie o przebytej operacji mózgu, ale nie mam żadnych widocznych blizn. A muszę zrozumieć, co dzieje się z moim umysłem.

Wydyma wargi, po czym kiwa głową.

- Dobrze. Wyjaśni to panu jeden z asystentów. Powiem tylko tyle: ten rodzaj chirurgii nie wymaga wykrawania panu wielkich dziur w głowie. Janis, zapisz go na wizytę. - Po czym odchodzi.

Nie sądzę, żebym ją polubił. Wyczuwam w niej osobę zazdrośnie strzegącą swych tajemnic.

Kiedy asystent, pogodny młody człowiek z ognistorudą brodą, wyjaśnił mi, co zrobili, niemal doznałem szoku. Dlaczego Lou wcześniejszy wyraził na to zgodę? Jak mógł podjąć takie ryzyko? Miałbym ochotę go złapać i solidnie nim potrząsnąć, ale teraz jest mną. Jestem jego przyszłością, tak jak on jest moją przeszłością. Jestem wystrzelonym w kosmos promieniem światła, a on - eksplozją, która mnie zrodziła. Nie mówię tego asystentowi, który wydaje się bardzo rzeczowy i pewnie uznałby to za wariactwo. Cały czas zapewnia mnie, że nic mi nie grozi i że o wszystko zadbają; wyraźnie chce mnie uspokoić. Na zewnątrz jestem spokojny. W środku jestem podzielony na Lou wcześniejszego, analizującego wzór na jego krawacie, oraz mnie obecnego, który ma ochotę potrząsnąć Lou wcześniejszym i roześmiać się asystentowi w twarz, oznajmiając mu, że nie chcę być bezpieczny i że nie potrzebuję ich opieki. Jestem już na to za stary. Za późno na bezpieczeństwo w jego rozumieniu tego słowa, a o siebie zadbam sam.

* * *

Leżę w łóżku z zamkniętymi oczami, rozmyślając o minionym dniu. Nagle zawisam w przestrzeni, w mroku. Z dala od maleńkich, kolorowych iskierek blasku. Wiem, że to gwiazdy, a tamte obłoki to zapewne galaktyki. Rozbrzmiewa muzyka; znowu Chopin. Jest wolna, zamyślona, niemal smutna. Coś w tonacji e-moll. Potem rozlega się inna melodia, niosąc odmienne uczucie: bardziej namacalna, silniejsza, unosząca mnie niczym fala oceanu, tyle tylko że to fala światła.

Kolory ulegają zmianie: wiem, nie analizując tego, że pędzę ku tamtym odległym gwiazdom, coraz szybciej i szybciej, aż fala światła strząsa mnie z siebie, a ja gnam jeszcze szybciej, niczym mroczna percepcja, w stronę środka przestrzeni i czasu.

Kiedy się budzę, jestem szczęśliwszy niż kiedykolwiek. Sam nie wiem dlaczego.

* * *

Podczas następnej wizyty Toma rozpoznaję go i przypominam sobie, że odwiedzał mnie wcześniej. Mam mu tyle do powiedzenia i tyle pytań do zadania. Lou wcześniejszy uważa, że Tom znał go lepiej niż ktokolwiek na świecie. Gdybym mógł, pozwoliłbym Lou wcześniejszemu się z nim przywitać, ale to już nie działa.

- Za kilka dni wychodzimy - informuję go. - Rozmawiałem już z dozorczynią. Włączy z powrotem prąd i wszystko przygotowuje.

- Dobrze się czujesz? - pyta.

- Znakomicie - odpowiadam. - Dzięki za wszystkie poprzednie odwiedziny. Przepraszam, że na początku cię nie poznawałem.

Spuszcza wzrok. W jego oczach widzę łzy; jest nimi zakłopotany.

- To nie twoja wina, Lou.

- Nie, ale wiem, że się martwiłeś - mówię. Lou wcześniejszy mógłby o tym nie wiedzieć, ale ja wiem. Widzę, że Tom jest człowiekiem, który bardzo przejmuje się innymi. Wyobrażam sobie, jak się czuł, kiedy nie rozpoznałem jego twarzy.

- Wiesz, co będziesz robił? - pyta.

- Chciałem cię prosić, żebyś zapisał mnie do szkoły wieczorowej - odpowiadam. - Chcę wrócić

na studia.

- Dobry pomysł - przytakuje. - Na pewno ci pomogę. Co chcesz studiować?

- Astronomię - wyznaje. - Albo astrofizykę. Nie zdecydowałem jeszcze, którą z tych dziedzin, ale na pewno jedną z nich. Chciałbym polecieć w kosmos.

Robi smutną minę i wyraźnie widzę, z jakim wysiłkiem przywołuje na twarz uśmiech.

- Mam nadzieję, że spełnisz swoje marzenia - mówi. A po chwili, jakby nie chciał naciskać: - Szkoła wieczorowa nie zostawi ci zbyt wiele czasu na szermierkę.

- Nie - mówię. - Muszę się po prostu przekonać, jak to wszystko będzie wyglądać. Ale chętnie was odwiedzę, o ile nie macz nic przeciwko temu.

Na jego obliczu odbija się ulga.

- Oczywiście, że nie, Lou. Nie chciałbym tracić cię z oczu.

- Poradzę sobie - zapewniam. Przekrzywia głowę i potrząsa nią.

- Wiesz co, myślę, że tak właśnie będzie. Naprawdę wierzę, że ci się uda.

Aż trudno mi w to uwierzyć, choć wszystko, co osiągnąłem przez ostatnich siedem lat, podporządkowane było właśnie temu celowi. Siedzę oto przy biurku i wprowadzam notatki, a biurko to znajduje się na statku, który przemierza kosmos. Przestrzeń pełną światła. Lou wcześniejszy pochwyca te strumienie informacji, płasząc we mnie jak rozradowany dzieciak. Na zewnątrz udaję powagę i pochłonięcie codzienną pracą, lecz czuję nieznaczny uśmiech w kącikach ust. Obaj wsłuchujemy się w tę samą muzykę.

Kod identyfikacyjny na mojej karcie informuje o stopniu naukowym, grupie krwi, numerze polisy ubezpieczeniowej... Nie ma tam żadnej wzmianki o tym, że niemal czterdzieści lat dorosłego życia spędziłem jako osoba niepełnosprawna, autystyczna. Oczywiście, są tacy, którzy o tym wiedzą: wrzawa medialna wokół nieudanej próby wprowadzenia przez firmę na rynek kuracji wzmagającej koncentrację pracowników przyniosła nam wszystkim większy rozgłos, niż byśmy sobie życzyli. Szczególnie smakowitym kąskiem dla mediów okazał się Bailey. Nie orientowałem się, jak kiepsko przebiegło leczenie w jego przypadku, dopóki nie przeczytałem archiwalnych doniesień prasowych; nigdy nie pozwolili nam go zobaczyć.

Brakuje mi Baileya. To, co mu się przytrafiło, było niesprawiedliwe, i do dzisiaj mam wyrzuty sumienia, choć przecież w niczym nie zawiniłem. Tęsknię za Lindą i Chuyem. Miałem nadzieję, że poddadzą się kuracji, gdy zobaczą, jak wpłynęła na mnie, ale Linda zdecydowała się dopiero w zeszłym roku, kiedy napisałem doktorat. Jej rekonwalescencja trwa. Chuy nie wyraził zgody na leczenie. Gdy widziałem go po raz ostatni, twierdził, że jest szczęśliwy taki, jaki jest Tęsknię za Tomem, Lucią, Marjory i pozostałymi przyjaciółmi z treningów szermierki, którzy tak bardzo pomogli mi w pierwszych latach po kuracji. Wiem, że Lou wcześniejszy kochał Marjory, lecz kiedy spotkałem ją później, nic nie zaiskrzyło. Musiałem wybrać i - podobnie jak Lou wcześniejszy - postanowiłem iść naprzód, zaryzykować sukces, znaleźć sobie nowych przyjaciół i być tym, kim jestem obecnie.

Na zewnątrz rozciąga się mrok, o którym jeszcze nic nie wiemy. Jest tam zawsze i czeka; w tym sensie bezustannie wyprzedza światło. Lou wcześniejszego niepokoiło, że prędkość mroku jest większa od prędkości światła. Ja terazniejszy jestem z tego zadowolony, ponieważ oznacza to, że ścigając światło, nigdy nie dotrę do końca.

Teraz muszę zacząć stawiać pytania.

[1] Hiperleksja - przedwcześnie nabyta umiejętność czytania, której towarzyszą trudności w nauce języka i kontaktach społecznych [przytłum.]

[2] Nieprzetłumaczalna gra słów: w j. angielskim słowo „note” oznacza zarówno „notatkę, wpis, adnotację”, jak i „nutę, ton” [przytłum.]

[3] Nieprzetłumaczalna gra słów. W jęz. angielskim „foil” oznacza zarówno „folię”, jak i „floret” [przytłum.]

[4] 38 stopni Fahrenheita odpowiada 3 stopniom Celsjusza, zaś 90 stopni Fahrenheita to 33 stopnie Celsjusza [przytłum.]

[5] Nieprzetłumaczalna gra słów. W jęz. angielskim słowo „prick” oznacza zarówno „kolec, ukłuć”, jak i „penis” [przytłum.]

[6] Weasel - ang. łasica [przytłum.]

Spis treści

STRONA TYTUŁOWA..	1
PODZIĘKOWANIA..	4
ROZDZIAŁ PIERWSZY..	6
ROZDZIAŁ DRUGI	25
ROZDZIAŁ TRZECI	45
ROZDZIAŁ CZWARTY..	61
ROZDZIAŁ PIĄTY..	77
ROZDZIAŁ SZÓSTY..	91
ROZDZIAŁ SIÓDMY..	108
ROZDZIAŁ ÓSMY..	127
ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY..	141
ROZDZIAŁ DZIESIĄTATY..	161
ROZDZIAŁ JEDENASTY..	180
ROZDZIAŁ DWUNASTY..	200
ROZDZIAŁ TRZYNASTY..	221
ROZDZIAŁ CZTERNASTY..	243
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY..	265
ROZDZIAŁ SZESNASTY..	281
ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY..	300
ROZDZIAŁ OSIEMNASTY..	316
ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY..	334
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY..	355
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY..	378

[\[1\]](#)

[\[2\]](#)

[\[3\]](#)

[\[4\]](#)

[\[5\]](#)

[\[6\]](#)